

AUTORKA ŚWIATOWYCH BESTSELLERÓW

NORA ROBERTS



Wybór

DZIEDZICTWO SMOCZEGO SERCA

Świat Książki

NORA ROBERTS

Wybór

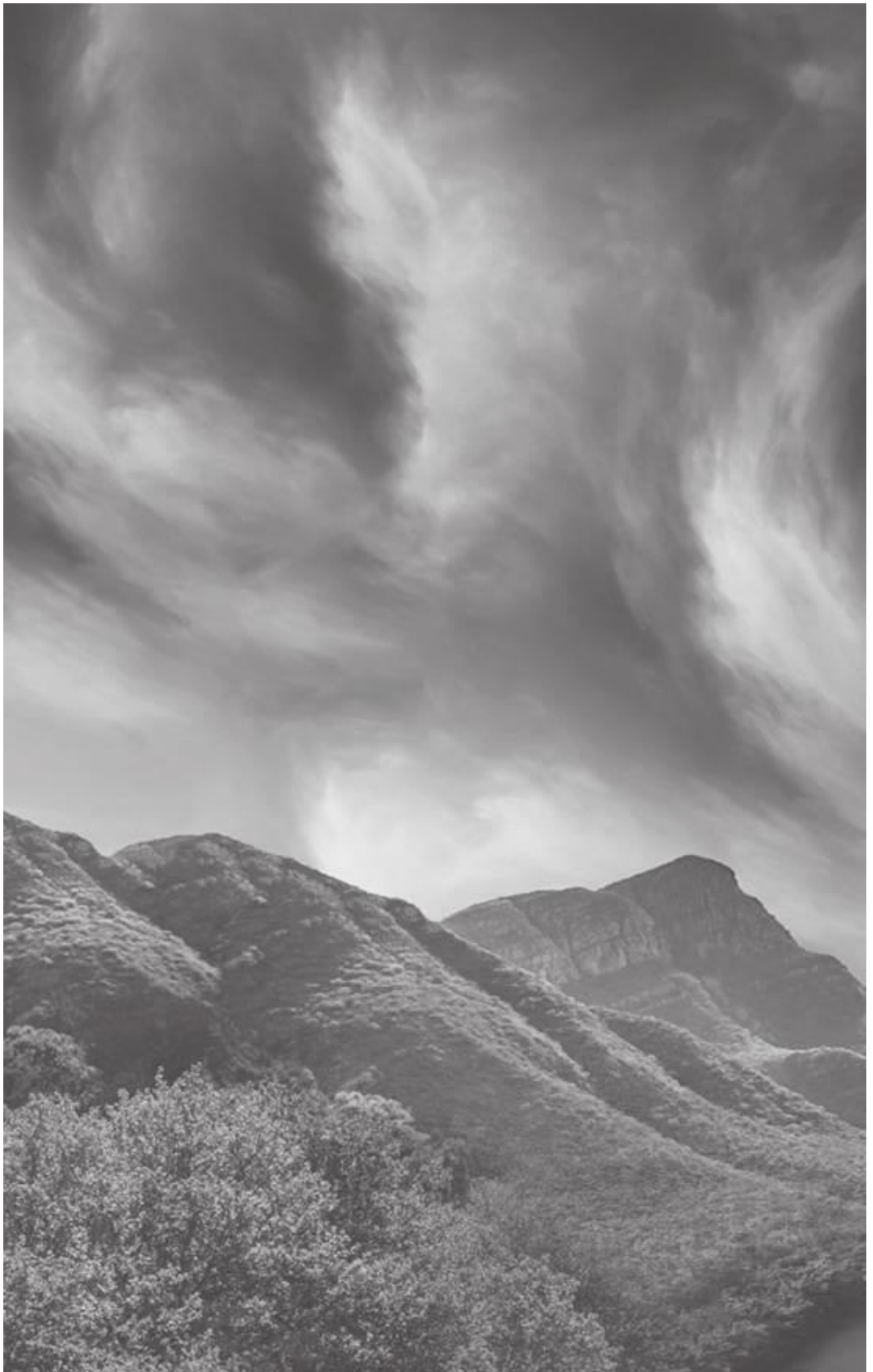
DZIEDZICTWO SMO CZEGO SERCA

Z angielskiego przełożyła
Anna Zielińska


Świat Książki
wydawnictwo

*Dla Griffina,
naszego magicznego dziecka*







CZĘŚĆ PIERWSZA

Strata

*Daj słowa smutku; smutek, który nie mówi,
zszywa serce i każe mu pękać.*

William Shakespeare

*Ziemia poczuła ranę, a Natura ze swojego miejsca,
wzdychając przez wszystkie swoje dzieła, dawała znaki;
biada, że wszystko stracone.*

John Milton

Prolog

Od wieków niektóre światy uważają, że poza nimi nic nie ma. Te, które wiedzą, że nie są same w bezkresie i godzą się z tym, często wywyższają się ponad inne.

Naturalnie oba poglądy są błędne, bo zaiste żaden świat nie jest ani jedyny, ani lepszy od innych. Te światy po prostu współistnieją.

Niektóre z nich głoszą pokój, nawet kiedy biją bębny wojenne. Kieruje tymi światami nienasycona żądza dominacji nad innymi, chęć zagarnięcia ziemi, dóbr i bogactw. Robią to w imieniu wyznawanego przez nich bóstwa, rzadko widząc w tym zło czy choćby ironię.

Tak już jest.

W niektórych światach wojna staje się bóstwem, a cześć jej oddawana jest krwawa i barbarzyńska.

W jednych światach wielkie miasta wyrastają ze złotych piasków, w innych pałace lśnią w głębinach błękitnych mórz. Ale są też takie, gdzie toczy się walka o przetrwanie, niewiele silniejsze od błysku iskry w ciemności.

Nieważne, czy ludy tych światów wspinają się na wysokie góry, czy pływają w oceanach, biją w bębny, żeby wezwać do wojny, czy w pokoju wychowują kolejne pokolenia. Im wszystkim przyswieca jeden cel.

Istnienie.

Dawno temu w jednym ze światów żyli Ludzie, Fey i Bogowie. W tym świecie rosły miasta i pałace, rozlewały się jeziora i rozrastały lasy. Góry pięły się wysoko, oceany pogłębiały. Przez szmat czasu magia jaśniała blaskiem pod słońcem i księżycem.

Wojny zawsze były i będą. Niektóre wywołuje zachłanność, inne nienasycona żądza panowania, nawet gdy ono dławi się krwią pokonanych. Pewien mroczny bóg, upojony władzą, skąpany we krwi ludzi i Fey, został skazany na banicję z ich świata.

Jednak nie koniec na tym.

Wraz z nieuchronnym obrotem koła czasu podejrzliwość i strach wśliznęły się niczym węże w harmonię pomiędzy ludźmi i Fey. Tu i ówdzie pogoń za postępem wyparła więzy pomiędzy magią i człowiekiem, bałwochwalstwo zastąpiło cześć wcześniej okazywaną bogom.

I oto nadszedł czas wyboru; odejść od magii czy ją kultywować, odwrócić się od dawnych bogów czy nadal ich poważać. Fey odłączyli się od świata ludzi, gdzie podejrzliwość i strach kazały tropić ich po lasach, skazywać na stos albo ścięciem toporem.

I tak narodził się Talamh, świat ze świata.

Wizjonerzy obdarzeni mądrością stworzyli portale pomiędzy światami i zgodnie z prawem Talamh wszystkim mieszkańcom pozostawiono wybór: mogli zostać lub odejść. W tej krainie wzgórz, wysokich gór, przepastnych lasów i mórz kwitła magia, a wódz zwany *taoiseachem* – wybierany i wybierający – utrzymywał pokój. Ale nie koniec na tym.

Mroczny bóg, który nie ustawał w intrygach w świecie mroku, skrzyknął armię z demonów i wyklętych. Z czasem spożywana przez niego krew pozwoliła mu zebrać siły do przejścia przez portal do Talamh. Tam uderzył w konkury do młodej wiedźmy – tej wybranej i wybierającej jako *taoiseach* – rozkochał ją w sobie i omamił kłamstwami. Młoda *taoiseach* dała mu syna, a on w sekrecie, kiedy matka spała odurzona zaklęciem, noc w noc wysysał moc z niemowlęcia, aby zwiększyć swoją potęgę.

Ona jednak otrząsnęła się z wymuszonego snu, bo miłość matczyzna ma wielką magiczną siłę. Przebudzona, poprowadziła armię przeciwko mrocznemu bogowi, wyrzuciła go z Talamh i zamknęła portal. Uznała też siebie za niegodną roli *taoiseach*, więc wrzuciła miecz z powrotem do Jeziora Prawdy i postanowiła przekazać buławę temu, który podejmie go z wody.

Do Talamh znowu powrócił pokój. Wśród zielonych wzgórz i przepastnych lasów dorastał jej syn. Nadszedł dzień, kiedy z dumą i smutkiem patrzyła, jak on wynurza się z mieczem z jeziora i zostaje *taoiseachem*. Pod jego wodzą panował pokój, sprawiedliwość wymierzano mądrze i litościwie. Plony były obfite, kwitła magia.

Zrządzeniem losu młody *taoiseach* poznał i pokochał kobietę ze świata ludzi. Za zgodą wybranki, sprowadził ją przez portal do Talamh. I tam w miłości i szczęściu poczęli dziecko, dziewczynkę.

To jaśniejące magią dziecko przez trzy lata znało wyłącznie miłość.

Jednak apetyt mrocznego boga nie słabł, a wręcz wzmagala się jego wściekłość.

Poprzez ofiary krwi i czarną magię raz jeszcze urósł w siłę, wspierany przez przewrotną wiedźmę, która zamieniła białą magię na czarną.

Wykradł dziecko i uwięził je w szklanej klatce pod wodą w pobliżu portalu. Gdy ojciec dziewczynki, babka i wszyscy wojownicy Talamh, na koniach czy na smokach, ruszyli jej na ratunek, ona, która dotąd знаła jedynie miłość, poczuła strach.

Ten strach przemienił się w gniew równy siłą gniewu boga. Obróciła swoją moc przeciwko niemu i wygrała; ona, krew z jego krwi, kość z kości.

Rozbiła klatkę, a Fey w tym czasie zaatakowali boga i jego oddziały. Bóg, kolejny raz wypędzony z Talamh, skrył się w ruinach swojego Czarnego Zamku.

Matka dziewczynki, kierując się ludzkim strachem, który coraz bardziej przesłaniał miłość, zażądała, aby córka wróciła z nią do świata ludzi. Z pamięci małej miały zniknąć wspomnienia o magii, Talamh i jego mieszkańcach.

Kochający ojciec i mąż przystał na to żądanie. Przeniósł obie przez portal i żył z nimi w świecie ludzi, jednak z miłości i poczucia obowiązku wobec swojego ludu wracał też do Talamh tak często, jak tylko mógł.

Miłość ojca do dziecka nigdy nie osłabła, ale uczucie pomiędzy potomkinią ludzi i potomkiem Fey nie miało szansy na przetrwanie. Wysiłki *taoiseacha*, aby żyć w obu światach łamały mu serce.

Mroczny bóg ponownie zagroził Talamh i wszystkim światom poza nim. I znowu Fey pod wodzą *taoiseacha* przepędzili wroga, lecz tym razem bóg czarną magią i czarnym mieczem uśmiercił własnego syna.

I tak oto nadszedł czas kolejnej żałoby i kolejnego wyboru.

Miecz podjął z jeziora młody chłopak, oplakujący *taoiseacha* jak rodzzonego ojca.

Kiedy nowy *taoiseach* stawał się mężczyzną, zasiadał na Krześle Sprawiedliwego w Stolicy, pomagał bratu i siostrze na farmie w dolinie, latał na smoku nad Talamh i przygotowywał się do wojny z mrocznym bogiem, do której, jak wszyscy wiedzieli, prędzej czy później musiało dojść, córka poprzedniego *taoiseacha* mieszkała w świecie ludzi.

Matka, z powodu obawy i niechęci, robiła wszystko, aby jej córka trzymała się w cieniu, miała niskie poczucie własnej wartości i skromne oczekiwania. Dziewczyna wiodła ciche życie, w którym było niewiele radości. Oczywiście nic nie wiedziała o magii. Codziennosc rozjaśniała jej obecność przyjaciela, bliskiego jak brat, i wsparcie mężczyzn pełniących rolę duchowej matki.

Dziewczyna miewała dziwne, niejasne sny, których znaczenia nie potrafiła rozszyfrować. Trawiła ją też tęsknota za ojcem, który, jak wierzyła, porzucił matkę i zostawił swoją córkę.

Jednak nadszedł taki dzień, kiedy otworzyły się przed nią drzwi. Ta młoda kobieta pozbawiona wiary w siebie, stanowczo zniechęcana do podejmowania ryzyka, dokonała wyboru. Wsiadła w samolot i poleciała do Irlandii w nadziei, że odnajdzie tam ojca i siebie. Ta podróż obudziła w niej miłość do zielonej wyspy, tamtejszych wzgórz i mgieł.

W chacie nad zatoką usiłowała rozwikłać znaczenie swoich snów. Któregoś dnia w głębi lasu natrafiła na drzewo, które zdawało się wyrastać z litej skały. Wspięła się na nie po grubych długich gałęziach.

I przeszła ze świata, który знаła, do świata swoich narodzin.

Obudziła się w niej magia, ożyły wspomnienia. A stało się tak dzięki wsparciu babki, która ciągle ją kochała i za nią tęskniła, wróżki – przyjaciółki z dzieciństwa, oraz chłopca – teraz już mężczyzny, który swego czasu podjął miecz z jeziora.

Dowiedziała się o śmierci ojca i oplakała go. Poznała poświęcenie babki i ją pokochała. Odkryła swoją moc i znalazła w niej radość. Dowiedziała się, chociaż ta wiedza budziła w niej lęk, kim sama jest dla Talamh. Poznała zagrożenie płynące ze strony mrocznego boga, jej dziada, i dlatego uczyła się walczyć magią, mieczem i wręcz.

Mijały dni i miesiące, a ona, jak wcześniej jej ojciec, żyła w dwóch światach. W chacie w Irlandii wnikała w znaczenie swoich niezwykłych snów; w Talamh doskonaliła magiczną moc i wdrażała się do walki.

Pokochała swoje obowiązki wobec Talamh, znalazła w sobie odwagę, której symbol miała wytatuowany na nadgarstku. Podziwiała plemię Fey, skrzydlate wróżki, zawrotną szybkość elfów, transformację hybrydów.

Kiedy zło przypuściło atak na Talamh, co zagrażało wszystkiemu i wszystkim, walczyła z nim magią, mieczem i wręcz. Zmiażdżyła to, co miało unicestwić światło, światłem pokonała najczarniejszą magię.

I spełniła rolę, która była jej przeznaczona z racji urodzenia.

Jednak nie koniec na tym.

Rozdział 1

Po walkach znanych jako Bitwa o Czarny Portal Breen jeszcze przez trzy tygodnie przebywała w Stolicy. Pierwsze dni były dla niej potwornie ciężkim doświadczeniem. Pomagała przy pielęgnacji rannych wojowników i znoszeniu ciał z pola walki pokrytego popiołem i nasiąkniętego krwią.

Trzymała w ramionach Morenę zalewającą się łzami po śmierci brata. Sama, przybita smutkiem, pocieszała rodziców Phelina, jego ciężarną żonę, brata, dziadków i całą rodzinę.

Dopiero niedawno przypomniała sobie Phelina, dopiero co zobaczyła go ponownie go po tylu latach, a teraz już go nie było; zginął, broniąc Talamh przed wasalami jej dziada.

Na Odprowadzeniu stała z rodziną Phelina. Ścisnęła lewą dłoń Moreny, a z drugiej strony Harken trzymał ją za prawą rękę.

Breen odczuła głęboko ból przyjaciółki, gdy prochy Phelina i wielu innych wojowników wróciły znad morza do urn trzymanyh przez bliskich.

Nie odstępowała Moreny, dopóki przyjaciółka nie wróciła z Harkenem w dolinę. Przygnębiona, patrzyła, jak Finola i Seamus, trzymając się za ręce, rozwijają skrzydła, żeby podążyć za nimi.

Keegana pochłaniało uczestnictwo w zebraniach i wyloty na patrole, więc Breen odwiedzała pogrążone w żałobie rodziny, choć bała się, że przepelniona smutkiem, sama utonie w morzu łez.

Po pierwszym tygodniu w Stolicy spróbowała nakłonić swojego najlepszego przyjaciela Marco do powrotu do Chaty Fey.

– Zostaję z moją dziewczyną – oznajmił i zacisnął szczęki pod zgrabnie przyciętą kozią bródką.

Przewidziała taką reakcję, toteż miała przygotowaną odpowiedź.

Stali na moście pod zamkiem, patrząc, jak Fąfel, jej irlandzki spaniel wodny, baraszkuje w fosie. Breen wzięła przyjaciela pod ramię. Zawsze był przy niej, na dobre i na złe, czego dał najlepszy dowód, przeskakując z nią do innego świata.

– Twoja dziewczyna ma się dobrze.

– Nie powiedziałbym. Breen, jesteś wykończona, za dużo na siebie bierzesz.

– Marco, wszyscy dużo z siebie dają. Ty...

– Jasne, że pomagałem. – Zapatrzył się na postaci trenujące walkę na miecze i wręcz, celujące z łuków do tarczy na polu za fosą. I przed oczami stanęły mu leżące tam zakrwawione ciała.

Ten widok zostanie z nim na zawsze.

– Pomagałem – powtórzył – ale ty wzięłaś na siebie większy ciężar niż inni i bardzo przeżywasz to tutaj. – Poklepał się dłonią po piersi na wysokości serca.

– To wina Odrana, on za to wszystko odpowiada. Nie ja – dodała, zanim jej towarzysz zdążył się odezwać. – Nie ja, nie mój ojciec, nie moja matka, ani babcia. Ale to nie zmienia faktu, że tylu ludzi nie żyje tylko dlatego, że Odran mnie chce dopaść, bo jestem, kim jestem, i mam to, co mam. Jeżeli dzieląc ból z rodzinami poległych, mogę im nieść pociechę, będę to robić.

Wysunął rękę spod jej ramienia i przygarnął ją do siebie.

– Dlatego zostanę.

– A ja dlatego cię proszę, żebyś wrócił do chaty. – Pogładziła go po policzku, patrząc w jego łagodne, zatroskane brązowe oczy. – Też chciałabym wracać, jednak muszę zostać tu jeszcze jakiś czas. To, niestety, oznacza, że nie mogę teraz wesprzeć Moreny, Finoli i Seamusa. Oni są dla mnie jak rodzina, Marco. A nie ma mnie przy nich.

– Ale byłaś i wiedzą, że zostałaś ze względu na rodziców Phelina, jego żonę i brata.

– Właśnie dlatego muszę tu być. A ty wróć i zaopiekuj się Moreną i całą resztą. I doliną. Zbyt wielu naszych straciliśmy. Zabierz się z Brianem.

– Po pierwsze, Brian wyrusza jutro bladym świtem i leci na zachód. A po drugie, dziewczyno, za cholere nigdy więcej nie dam się wsadzić na smoka.

Rozbawił ją.

– Mogłabym ci przyrządzić miksturę uspokajającą.

– Hej, superpomysł! – Przewrócił brązowymi oczami. – Polecę na smoku pod warunkiem, że będę naćpany. Co ty na to?

– A może pojedziesz konno? Keegan wysyła Briana z grupą zbrojnych na zachód, część z nich na koniach. Lubisz konną jazdę. Kurde, lepiej ode mnie trzymasz się w siodle, co w pewnym sensie mnie wkurza. Marco, ujmiesz mi zmartwień. Przysięgam na Boga, że mówię prawdę.

– Niech ci spojrzę w oczy. – Ujął jej twarz w dłoń, popatrzył w oczy i westchnął. – Cholera, to prawda. Tylko nie chcę cię samej zostawić.

– Wiem. Wiem, że to, o co proszę, jest dla ciebie trudne. Ale ja mam tutaj Keegana i mojego groźnego psa.

Fąfel wskoczył na most i otrząsnął się zadowolony. Pyskały bryzgi wody, psie oczy świeciły z radości. Jednak Breen pamiętała, jak on zażarcie walczył, został jej w pamięci zakrwawiony pysk i waleczny ogień w tych teraz szczęśliwych oczach.

– I – dodała – tak się składa, że jestem w miarę mocną czarownicą.

– W miarę mocną, delikatnie rzecz ujmując – poprawił ją. – Wyjadę, ale musisz mi obiecać, że będziesz przysyłać wiadomości. Codziennie, Breen, to mój warunek. Pchnij sokoła czy zrób coś w ten deseń.

– Wczoraj zajrzałam do sklepu Ninii Colconann i kupiłam ci Widzące Zwierciadło.

– A to co znowu takiego?

– Będę mogła z tobą rozmawiać. Na dodatek jest ładne. Pomyśl o tym jak o wideoczacie na Zoomie. Pokażę ci, jak to działa. – Przegarnęła palcami burzę rudych loków. – Będę spokojniejsza, poważnie. I popatrz na to z praktycznej strony. Jeżeli Derrick czy Sally spróbują się z nami skontaktować, nie połączą się. Po co ich denerwować? – Wykalkulowała, że tym argumentem przekona Marco. W końcu chodziło o Sally, ich duchową mamę.

– No. – Wepchnął ręce do kieszeni. – Też o tym myślałem.

– A więc ruszaj w drogę i jak tylko znajdziesz się w domu, pogadaj na FaceTimie z Filadelfią. I... – szturchnęła go palcem w brzuch – weź się do roboty, dla mnie.

Przykucnęła i powiodła dłońmi po sierści Fąfla, żeby otrzepać z wody jego rudo-fioletowe loki.

– A ty? Wiem, że dużo tutaj nie piszesz.

– Trochę. – Pieszczotliwie pociągnęła Fąfla za strzępiastą bródkę, zanim podniosła się z kucek. – Brakuje mi weny do wymyślania kolejnych przygód Fąfla, nie mogę wykrzesać z siebie pogodnych myśli. Ale pracuję nad drugą wersją powieści dla dorosłych. Teraz mam lepsze pojęcie o scenach batalistycznych.

– Och, Breen.

Przytuliła się do niego. Zawsze miała w nim oparcie.

– To nic, Marco. Daliśmy radę. Walczyliśmy i pokonaliśmy zło. – Popatrzyła na niego szarymi oczami zimnymi jak stal i wyprostowała ramiona. – Kiedy nadejdzie czas, znowu stanę do walki. I będę to robić, dopóki nie odniesiemy ostatecznego zwycięstwa.

Jej spojrzenie złagodniało. Wzięła go za rękę.

– Chodź, pomogę ci się spakować i pokażę, jak działa Widzące Zwierciadło.

*

O świcie, stojąc wśród porannych mgieł, patrzyła, jak odjeżdża. Jej Marco, mieszczuch z urodzenia i wyboru, trzymał się w siodle, jakby na nim przyszedł na świat. Rozbrykana klaczka zdawała się tańczyć. Breen usłyszała jeszcze jego śmiech, gdy spiał ją do galopu, dołączając do jeźdźców zmierzających na zachód.

Nad jej głową trzy smoki skrzące się w porannym świetle jak klejnoty przecięły bure listopadowe niebo, a za nimi przeleciały dwie wróżki.

Wojna i rozlew krwi powrócą wzniecone przez upadłego boga Odrana. Jej dziada.

Na szczęście Marco będzie bezpieczny. O ile w ogóle można czuć się bezpiecznie w świecie kochającym pokój, nad którym wisi groźba ataku krwiożerczego boga.

Marco, najlepszy człowiek, jaki kiedykolwiek przyszedł na świat, połączy się ze swoim ukochanym. W tej chwili tylko na tyle mogła mieć nadzieję.

– Będzie mu tam lepiej niż dobrze – odezwał się Keegan, odprowadzając wzrokiem konnych znikających we mgłę. – Dobrze zrobiłaś, że go odesłałaś.

– Wiem. I wiem też, że jego obecność dobrze wpłynie na mieszkańców doliny. To ważne.

– Tak, to ważne. Też byś się tam przydała. Jednak chcę zatrzymać cię tutaj... z pewnych powodów, chociaż wiem, że pomogłabyś w dolinie, no i sama znalazła wytchnienie.

– Na razie nie szukam wytchnienia. – Przyglądała się temu mężczyźnie, wiedunowi, wojownikowi, w którym się zakochała, którego pragnęła i potrzebowała niemal do utraty tchu. Był silny, mocno zbudowany, miał czarne włosami z niedbale zaplecionym warkoczem wojownika. Widziała znużenie i gniew na dnie jego ciemnozielonych oczu.

– Tak samo jak ty – zauważyła.

– Taak. Na razie nie ma dla mnie wytchnienia.

– Odran odparty, portal zapieczętowany, teraz nie ma tutaj z kim walczyć.

Odpowiedział jej długim chłodnym spojrzeniem.

– Żądza wojny jest pragnieniem śmierci. Innej drogi nie ma.

– Źle mnie zrozumiałeś, Keeganie. Ćwiczysz się w sztuce wojennej, bo Talamh i inne światy potrzebują obrony. Nauczyłeś mnie wszystkiego i wdobyłeś do walki. Nie oszczędzałeś mnie. Nie zliczę, ile razy boleśnie zwałeś mnie z nóg.

Wzruszył ramionami i powiódł wzrokiem po placu do ćwiczeń.

– Teraz nie tak łatwo zwać cię z nóg.

– Daj spokój. Z przykrością stwierdzam, że tobie zawsze się to udawało. Nigdy nie będę tak dobra w walce na miecze jak Robin Hood w strzelaniu z łuku.

– To ładne historie. Te o Robin Hoodzie. Masz rację, nie będziesz.

– Wiesz co, mógłbyś sobie darować ten komentarz.

Z lekkim uśmiechem nawinała pukiel jej włosów na palec.

– Po co kłamać, skoro prawdę widać jak na dłoni. Ale jesteś lepsza, niż byłaś.

– Niewiele mi to mówi.

– Lepsza, niż byłaś na początku. Natomiast moc twojej magii budzi... szacunek. Jest i zawsze będzie twoją najgroźniejszą bronią. A to? – Uniósł jej dłoń, odwrócił wewnętrzną stroną nadgarstka do góry i dotknął palcem tatuażu.

– *Misneach*. Odwaga, masz jej w sobie tyle samo co magii.

– Nie zawsze.

– Wystarczająco często. Odesłałaś Marco, rezygnując z komfortu, jaki daje ci jego obecność, żeby wesprzeć innych. To odwaga. Pojechałabyś z nim, ale zostałaś, bo ja cię potrzebuję.

– Jak powiedziałaś, z jakiegoś powodu.

– Z jakiegoś powodu.

Grupa młodzików wylała się na plac ćwiczebny. Część przyleciała, inni wbiegli tam z elfią szybkością, a jeszcze inni, ziewając, przywlekli się zaspani.

A więc nie mają dziś lekcji, domyśliła się Breen. W Talamh bardzo dbano o edukację. Spojrzała na Fąfla, widziała jego błagalne spojrzenie.

– Leć.

Puścił się biegiem z radosnym szczełaniem.

– Nie zapytałaś mnie wcale – odezwał się Keegan. – O powód.

– Sądzisz, że tutaj, przy tobie, jestem bardziej bezpieczna. Shana dwukrotnie próbowała mnie zabić, a teraz ona należy do niego. Do Odrana.

– Wszystkie portale są strzeżone. Nie przedostanie się. Nie może cię skrzywdzić.

– Ona mnie nie zabije.

Zmrużył oczy.

– Zobaczyłaś to?

Pokręciła głową.

– Nie. Wiem, że nie dam jej tej satysfakcji. Jest jeszcze Yseult. Dwukrotnie mnie zaatakowała. Nie żeby zabić, bo w przeciwieństwie do Shany nie jest, jak to mówi Marco, taka popieprzona, ale chciała mnie osłabić i odstawić do Odrana. Gdyby nie ty, za pierwszym razem by jej się udało. Za drugim już nie. To było dokładnie w tamtym miejscu.

Odwróciła się i ruchem głowy wskazała plac.

– Sama nią się zajęłam. Niestety, uległam emocjom i rozgniewana, zamiast od razu ją wykończyć, chciałam zadać jej cierpienie. Więcej tego błędu nie popełnię.

– Robisz się mściwa, *mo bandia*.

Mściwa? Chyba nie. Raczej pewna siebie. Zrobiła się pewna siebie.

– Bardzo długo miałam niskie poczucie własnej wartości, bardzo niskie. A teraz wiem, kim jestem, co mam, i zamierzam to wykorzystać. Skupiając się na mnie, tracisz z oczu ważniejsze sprawy. Powinieneś przestać.

Keegan, tak samo jak ona, obserwował ćwiczących na placu. Jacy oni młodzi, pomyślał z dumą pomieszaną ze smutkiem. I z dłonią na głowicy miecza uświadomił sobie, że w ich wieku robił to samo.

– Myślisz, że tylko z tego powodu chcę, żebyś została?

– Między innymi, ale oboje wiemy, że się tu przydadę.

– Fakt. Opiekowałaś się rannymi i niosłaś pocieszenie, odwiedzając rodziny w żałobie, zresztą nadal to robisz. Za dużo na siebie bierzesz. To widać.

– Wielkie dzięki. W takim razie zacznę maskować zmęczenie makijażem.

– Nie musisz, i tak jesteś piękna.

To idiotyczne, ale ta banalna, jakby mimochodem rzucona uwaga, wywołała u niej dreszczyk podniecenia.

– Nawet gdy jesteś zmęczona, bardzo blada i przytłoczona smutkiem – dokończył.

– Z tobą jest tak samo. Owszem, jako *taoiseach* masz szczególne obowiązki, ale jest w tym coś więcej. Ty to wszystko głęboko przeżywasz, Keeganie.

– Nie próbuj mi ująć ciężaru smutku. – Przytrzymał jej dłoń, zanim zdążyła położyć mu ją na sercu. – Potrzebuję go tak samo jak gniewu i jak zimnej krwi. Wiem, że pomagałaś przy poległych, nie chciałem takich widoków dla ciebie.

– To też są moi ludzie. Jestem tak samo Talamhijką jak Amerykanką. A może nawet bardziej, gdy się nad tym zastanowić.

– Niemniej wolałbym, żebyś nie musiała oglądać takich widoków. Odesłałaś Marco, a ja nie mogę zapewnić ci towarzystwa w miejscu, które nie jest dla ciebie domem, tak jak Irlandia czy dolina. Jesteśmy razem tylko kiedy się kochamy albo śpimy, właściwie częściej śpimy, niż się kochamy, co stwierdzam z przykrością. Ta rozmowa jest chyba naszą najdłuższą na osobności od czasu bitwy.

– Jesteś *taoiseachem*, masz zebrania Rady, Osady. Wiem, że odwiedzasz wszystkich rannych i rodziny poległych. Wiem, bo sami mi to mówią. Do tego dochodzi naprawa zniszczeń, ćwiczenia i sama nie wiem co jeszcze. Myślisz, że się spodziewam, że będziesz dotrzymywać mi towarzystwa, gdy masz tyle spraw na głowie?

Popatrzył na nią tak samo jak zawsze; uważnie i wnikliwie. A potem przeniósł wzrok z powrotem na plac i wieś.

– Nie, nie spodziewasz się i może dlatego żałuję, że nie mogę ci tego dać. Nadal pozostajesz dla mnie tajemnicą, Breen Siobhan. A to, co do ciebie czuję, to kolejna tajemnica. I ona nie zawsze mi się podoba.

Znowu ją rozbawił.

– Co często dajesz mi jasno do zrozumienia.

– Potrzebuję cię tutaj ze wszystkich powodów, które wymieniłaś. Tak, ze wszystkich, ale przede wszystkim chcę cię tutaj dla siebie. To nie musi mi się podobać, ale... lepiej tego wyjaśnić nie umiem.

Wzruszył ją, naprawdę wzruszył, bo chociaż zadał sobie trud, żeby spróbować.

– Coraz lepiej ci to wychodzi. Znaczy, wyjaśnianie. Nigdy nie będziesz w tym mistrzem, ale jeżeli poćwiczysz, nabierzesz wprawy.

Kąciki ust drgnęły mu w uśmiechu.

– Trochę uszczypliwe, ale trafne.

– Taki był zamiar. Lubię być potrzebna. – Przesunęła palcami po jego warkoczu wojownika zaplecionym przy skroni. – Bardzo długo nikt mnie nie potrzebował. Oczywiście oprócz Marco, no i Sally i Derricka. Ale to co innego. A więc teraz sen, seks i co jeszcze ewentualnie się przytrafi, musi nam wystarczyć.

– Na razie nic się nie przytrafi. Mam cholerne zebranie Rady.

– Nie ma problemu. Czeka mnie trening na placu. Cholerne strzelanie z łuku.

– Podobno nie jesteś już aż tak beznadziejna.

– Zamknij się. Biegnij przewodzić światu.

Podsunał dłonie pod jej łokcie i podciągnął ją na palce. Ich wargi złączyły się w długim pocałunku. Mgły zdążyły się rozwiać i słońce przedarło się przez chmury.

– Nie ruszaj się nigdzie bez Fafla, dobrze? A na wizyty we wsi zabieraj Kiarę, Bridgit czy kogo tam chcesz.

– Przestań się mną przejmować.

– Będę się mniej przejmował, jeżeli potraktujesz poważnie to, o co proszę.

– Dobrze. W takim razie przejmuj się mniej. Idę po mój łuk i będę mniej beznadziejna. Myślę, że będę się lepiej bawić niż ty.

– Nie wątpię. Nie ruszaj się nigdzie bez Fafla – powtórzył, po czym zamaszystym krokiem przeszedł przez most i skierował się do zamku z chorągwią na wieży opuszczonej do połowy masztu.

*

Dni upływały jej pracowicie, dzień w dzień ćwiczyła, pomagała przy naprawach – magią i fizycznie – i spędzała tak dużo czasu, jak tylko mogła, z rodziną Phelina.

Ze swoją rodziną, bo tak o nich myślała, gdy powracało do niej coraz więcej wspomnień z pierwszych trzech lat życia. Flynn brał ją na ręce i podrzucał wysoko w górę, a ona piszczła z radości. Sinead dawała jej lukrowane pierniczki, z Moreną hasała po polach, a Seamus z Phelinem zawsze wymyślali jakieś zwariowane przygody.

Czuła się u nich jak w domu, tak samo jak na farmie, gdzie się urodziła.

To Flynn, wojownik, członek Rady i ojciec rodziny, w końcu pomógł jej otrząsnąć się z żałoby.

Potrzebowała oddechu, potrzebowała ciszy. Przez dwie godziny bladym świtem oddawała się pracy nad książką i liczyła, że wygospodaruje jeszcze dwie wieczorem, a potem brała Fąfla na długi spacer.

Odrobina czasu, kradzionego czasu, kiedy mogła nic nie robić; tak o tym myślała. Później z Rowanem, członkiem Rady i magiem, oraz trzema młodymi czarownicami sporządzała eliksiry i amulety. Odtwarzali zapasy wyczerpane po bitwie. Magia nie jest jakąś abrakadabram, to działanie wymagające wysiłku, zdolności, wprawy i skupienia.

Pomagała w pracach ogrodniczych, żeby odnowić plony zrujnowane w czasie bitwy. Liczyła, że uda się jej przekonać Sinead i Noreen, aby do niej dołączyły i chociaż godzinę w ciągu dnia spędzały w słońcu na świeżym powietrzu.

Potem nadchodziła pora treningu, najmniej lubiana przez nią część dnia. Dzisiejszy fechtunek i walka na pięści były dla niej torturą, z góry zakładała, że wyjdzie z tego poobijana.

Niesamowite, jak pracowite były te dni i jak niepostrzeżenie mijały. I chociaż zamek nadal budził jej podziw, a widok nieokiełznanego morza fascynował, tęskniła za swoją przytulną chatą po drugiej stronie, za farmą na zachodzie Talamh, przyjaciółmi w dolinie i za babcią. Brakowało jej, do czego tylko w duchu się przyznawała, satysfakcji, jaką dawał rytm dnia wypracowany wiele miesięcy temu po wyjeździe z Filadelfii.

Jednak teraz była tutaj potrzebna i wiedziała, że już sam jej widok, zaangażowanej w codzienne zadania, budzi w mieszkańcach Stolicy nadzieję na podniesienie się po stratach.

Pozwalała Fąflowi pluskać się w wodzie pod mostem, ale dzięki łączącej ich więzi wiedziała, że chociaż cieszy go kąpiel, on też tęskni za ich zatoką, za hasaniem na łące z synkami Aisling i zabawą z Mab, wilczarką irlandzką, pilną chłopców.

Kiedy Fąfel wyszedł wody, pociągnięciem dłońmi osuszyła mu sierść. Rześki listopadowy wiatr pachniał morzem i świeżo zaoraną ziemią. W ogrodach na zboczach wzgórz i na polach kielkowały oziminy.

Razem z Widzącymi leczyła spaloną, nasiąkniętą krwią ziemię i teraz widziała owoce swojej pracy; znowu rosły pomarańczowe dynie, żółte kabaczki, zielone głowy kapusty i jarmużu. Pojawiły się kwiaty i zioła. Widziała dachy chat pokryte świeżą strzechą, dzieci bawiące się na podwórkach, ludzi zaglądających do kramów i sklepów na wiejskiej uliczce, dym unoszący się z kominów.

Życie i światło, myślała, są uparte. Muszą i będą jaśnieć na tle ciemności. Nie zdmuchnie się ich jak świecy, to odradzający się płomień. Miała w tym swój udział i zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby ten płomień podtrzymać.

Fąfel popędził przed siebie i zniknął jej z oczu pod gałęziami wierzby płaczącej. Podążyła za nim i zobaczyła Flynną. Siedział na kamiennej ławce i dumiał z psim pyskiem opartym o kolano.

Nie musiała widzieć jego smutku, on przygniatał jej serce jak kotwica.

Mimo wszystko Flynn uśmiechnął się do niej, gładząc Fąfla po kosmatym czubie.

– Taki pies to wielka radość.

– To prawda.

– Wkrótce zaczną krążyć o nim przyśpiewki i opowieści. Tak dużo widać z tego miejsca. Wieś i tętniące tam życie, pola i wzgórze, zarys gór, a kiedy wyteżysz słuch, dojdzie cię pomruk morza. Twoja babcia ustawiła tutaj tę ławkę, zanim jeszcze przyszedłem na świat. Wiele razy siadywałem na niej z twoim ojcem, gdy szukałem skupienia i ciszy.

– A tam... – Wskazał palcem, więc podeszła bliżej. – W tamtej chacie mieszkała dziewczyna, w której się podkochiwałem w czasach mojej szalonej młodości. Oczywiście to zdarzyło się przed Sinead, bo to ona założyła pieczęć na moje serce, której nic nie złamie. Ale tamto uczucie, kiedy trwało, było bardzo szczere, a wspomnienia po nim są niewinne i słodkie.

– Gdzie teraz jest ta dziewczyna?

– Wysła za farmera, mają troje dzieci – nie, zdaje się, czworo. Mieszkają w środkowej części Talamh, przyjeżdżają tutaj handlować i wymieniać towary. Chodź, przysiadź na chwilę. Musiałem odechnąć świeżym powietrzem.

Zawahała się, lecz intuicja jej podpowiadała, że on w tej chwili potrzebuje towarzystwa tak jak powietrza. A kiedy usiadła, a on nakrył dłonią jej dłoń, poczuła w sercu, że się nie myliła.

– Kiedy ja i twój ojciec byliśmy chłopakami i mieszkaliśmy w dolinie, marzyłem o życiu w Stolicy, podobały mi się tamtejszy rozmach i zamieszanie. W przeciwieństwie do Eiana nie miałem zadatków na farmera. Nie odziedziczyłem po tacie zamiłowania do rolnictwa, ani nie miałem takiego talentu do budowania jak on. Oczywiście była muzyka. Ach, to ona łączyła mnie z Eianem tak mocno jak naciąg na bębnie. Jak ja kochałem tamte czasy, gdy graliśmy w pubach tutaj i po tamtej stronie. Ja, Eian, Kavan i Brian byliśmy jak bracia. Ale zawsze ciągnęło mnie do wojaczki. Tam w dolinie z Sinead i dziećmi czułem się szczęśliwy. Czerpałem z tego życia radość i spokój. Do czasu.

Odwrócił się do niej.

– On był szczęśliwy z twoją mamą. Powinnaś to wiedzieć.

– Wiem. – Do czasu, dodała w myślach.

– Ale ty, rudy króliczku, byłaś jego oczkiem w głowie, światłem duszy. Kiedy Odran cię porwał... Ktoś mniejszego kalibru oszalałby, pozwolił, aby zawładnęły nim obłęd i strach. Ale nie Eian; on zamknął serce, użył rozumu, swojej mocy i siły. Tak jak ty, taki maluch. Tak jak ty – wymruczał pod nosem.

– Twoja matka przyniosła mnie na skrzydłach z powrotem do domu, a Sinead śpiewała mi kołysanki i nosiła na rękach. Teraz pamiętam bardzo wyraźnie, jak staraliście się sprawić, abym wyzbyła się strachu i znowu poczuła się bezpiecznie. Kiedy pierwszy raz tutaj wróciłam, babcia pomogła mi to wszystko zobaczyć w ogniu. Widziałam, jak walczył mój ojciec, jak ona walczyła. I ty... ze swoimi imponującymi skrzydłami i mieczem. Stawałeś za mnie, za niego, za Talamh.

– To była potworna, krwawa noc, a ja pragnąłem zachować się jak wojownik, gotów umrzeć dla ciebie, dla niego, dla Talamh. Tak wybrałem. I przeżyłem. Tamtej nocy straciliśmy Kavana.

– Wiem.

– Był mi bliski jak brat. Potem zginął Brian, a po nim Eian. Wraz z ich śmiercią, śmiercią moich braci, umarła częśćka mnie, bo tak to już jest. Ale żyłem dalej jako wojownik, mąż, ojciec i również dziadek, bo uczysz się żyć dalej bez tej części zabranej przez śmierć. Czujesz ich śmierć poprzez życie, działanie, trwanie.

– Wiem, jaki jesteś.

Tak jak Flynn siedziała zapatrzona przed siebie. Królik, szary jak jej oczy, przykicał przez pole do grzędy kapusty.

– Nigdy wcześniej nie straciłam nikogo bliskiego. Myślałam, że ojciec po prostu mnie zostawił.

– Nigdy by tego nie zrobił. Nigdy.

– Teraz to wiem, tak jak wiem, że ty czujesz śmierć tych, których kochałeś, żyjąc, działając i trwając.

– Zasiadam w Radzie i robię, co w mojej mocy, aby decyzje były mądre i uczciwe. Walczę, kiedy atakuje nas zło. A teraz, Breen, wspieram moją żonę, żonę mojego chłopca, jego brata i siostrę, moją mamę i tatę. Moje ramiona muszą być silne dla nich, bo wraz z nim częśćka ich też umarła. Mój chłopiec, moje dziecko, które na moich rękach zaczerpnęło pierwszego oddechu, nie żyje. Maleństwo, które ma się narodzić, nigdy nie pozna ojca. On nigdy więcej nie przytuli żony. Jego matka nigdy nie usłyszy głosu syna, nie zobaczy jego twarzy. Te części zniknęły i nie wiem, jak bez nich żyć.

Nie znajdując słów, po prostu otoczyła Flynna ramionami. Nie była w stanie uwolnić go od smutku, nie miała takiej mocy. Mogła tylko, czując jego cierpienie, dzielić je z nim.

– Jesteś wojownikiem – odezwała się w końcu. – Mężem, ojcem, dziadkiem. Przetrawasz. Miejsca po częściach zabranych przez śmierć wypełni światło tych, co odeszli. Światło Phelina jest w tobie i zawsze będzie.

Łzy zapiekły ją pod powiekami; nie pozwoliła im popłynąć.

– Wyczuwam jego światło w tobie. I światło mojego ojca. – Cofnęła się, by położyć mu dłoń na sercu, i nie odrywając oczu od jego oczu, tchnęła w niego to, co czuła. – Jest takie jasne, że nawet śmierć nie potrafi go przyćmić.

Flynn oparł głowę na jej ramieniu i westchnął.

– Eian byłby z ciebie taki dumny.

– We mnie też jest jego światło.

Flynn oderwał głowę od jej ramienia i pogładził ją po włosach.

– Widzę go w tobie i to wielka pociecha. Również dla mnie. – Pocałował ją w czoło. – Dziękuję wszelkim siłom, które w tym samym czasie sprowadziły mnie i ciebie w to miejsce. Rudy króliczku –

wyszeptał, pocałował ją jeszcze raz, podniósł się z ławki i zostawił ją samą pod wierzbą.

Chciała wziąć na siebie cały ból dzielony z Flynnem, ugiąć się pod jego ciężarem.

Nie tutaj, pomyślała, gdzie ktoś mógłby się na nią natknąć, zobaczyć ją. Odsunęła się od gałęzi wierzby i przywołała swojego smoka.

Och, tak, dobry Boże, potrzebowała przestrzeni, dystansu i ulgi.

Kiedy Lonarch opadł na ziemię, wsiadła na jego czerwony grzbiet w złote cętki.

– Wskakuj – rzuciła do Fąfla, który też chciał się wdrapać za nią na Lonarcha. – No, dalej.

Wzbili się wysoko pod niebo. Gwałtownie, niemal pionowo. Wiatr stawiał opór, burzył jej włosy, targał ubraniem. Im wyżej się wznosili, przedzierając się przez warstwy wilgotnych chmur, tym mocniej wiał wiatr. Gdy Talamh z góry wyglądał jak dziecięca zabawka, z jej piersi wydarł się przeciągły krzyk.

W tym krzyku gniew mieszał się z żalem. Czuła, jak drży powietrze, słyszała huk piorunu, widziała błyskawicę. Ale nic nie było w stanie jej powstrzymać. To był jej gniew, tylko jej, za każdą kroplę przelanej krwi, za wszystkie łzy, za ogrom strat. Zderzenie mroku i światła, dwóch stron jej gniewu, wstrząsnęło niebem, rozdarło chmury i wycisnęło z nich płacz. Witła burzę z wysoko wzniesionymi ramionami i dłońmi zaciśniętymi w pięści.

– Niech cię szlag! – krzychała. – Przysięgam na wszystkich bogów, że sprowadzę na ciebie śmierć za mojego ojca, za Phelina, za nich wszystkich.

Opuszczała się z Lonarchem coraz niżej i niżej, kierując go tam, gdzie chciała wylądować. Od tamtego krwawego dnia nie miała siły udać się w to miejsce.

Kiedy pośród wichury i zacinającego deszczu Lonarch opadł na ziemię w lesie, zeskoczyła z jego grzbietu i stanęła przed Drzewem z Węży. Jej krew otworzyła ten portal, by sprowadzić zgubę na Talamh. A potem babcia, Tarryn i ona zablokowały go swoją krwią.

Gromadząc coraz większą moc, wystawiła twarz na burzę, stopiła się z nią. Stała, płonąć jak ogień i w sobie, i na zewnątrz.

– Usłysz mnie, Odranie Przeklęty. Usłysz i zadrzyj. Jestem Breen Siobhan O’Ceallaigh. Córka Fey, ludzi i bogów. Jestem światłem i mrokiem, nadzieją i rozpaczą, pokojem i zagładą. Jestem kluczem, mostem, odpowiedzią. I tym wszystkim, czym jestem, ciebie unicestwię. Krew będzie wrzeć w twoich żyłach, a ciało płonąć i do wszystkich światów dotrze twój krzyk z przerażenia i bólu. Usłysz mnie, Odranie. Kiedyś bogowie skazali ciebie na banicję, a ja spalę cię na popiół, którego nawet piekło nie przyjmie. Staniesz się niczym. To moja przysięga, moje przeznaczenie.

Stała wyprostowana, światło wirowało wokół jej uniesionych rąk, oczy miała ciemne i groźne jak burza.

– Breen. Odejdź stamtąd.

Obejrzała się gwałtownie, jednocześnie przenosząc za siebie moc. Keegan musiał przejąć jej część na wyciągnięte ręce, bo inaczej strumień tej siły zwałiłby go z nóg.

– Odejdź stamtąd – powtórzył. – Chcesz ryzykować, że swoją furią otworzysz portal?

– Nie otworzy się. Ale on mnie słyszy.

– Powiedziałaś, co miałaś do powiedzenia, a teraz się cofnij.

Stała uparcie, niebezpiecznie blisko portalu z mocą przetaczającą się przez nią fala za falą.

Wtedy on podszedł do niej, a gdy chwycił ją za ramię, potężny wstrząs targnął jego ciałem, jednakże mimo wszystko zdołał ją odciągnąć.

Przemoczony Fąfel zaskomlał, kiedy z mocą i złością popatrzyła Keeganowi w oczy.

– Myślisz, że możesz mnie powstrzymać?

– Jeżeli będę musiał. – Stanął pomiędzy nią i portalem. Widział, jak jej wściekłość powoli słabnie i zastępuje ją zakłopotanie. – Musisz odpuścić.

– Co? Co mam odpuścić?

– Sprowadziłaś burzę, a teraz ją ucisz.

– O Boże. – Przycisnęła drżącą dłoń do twarzy. – Przepraszam. Przepraszam. – Roztrzęsiona, usiadła na ziemi. – Przepraszam.

Wiatr ucichł, deszcz zamarł. Przygasło wibrowanie powietrza.

– Absolutnie nie powinnaś przychodzić tutaj sama – zaczął, lecz ona już płakała skulona. Kiedy opuścił ją gniew, zostały tylko łzy.

Keegan przykucnął przy niej, Fąfel, cicho popiskując, oparł łeb o jej nogi.

– No, już, już. – Keegan gładził ją po włosach, po plecach, po ramionach, osuszając je i ogrzewając dłońmi. Potem ją objął, szukając w myślach kojących słów. – No, już, już – powtórzył, bo żadne inne nie przychodziły mu do głowy.

- Przepraszam.
- Już to mówiłaś. Było, minęło. Jeśli musisz, popłacz jeszcze, aż ci przejdzie.
- Siedziałam z Flynnem i on... Nie mogłam dłużej wytrzymać. Dusić tego w sobie. Musiałam...
- Nawrzeszczę na bogów.

Kiedy podniosła głowę, popatrzył na nią z ukosa.

- Pewnie słyszeli cię aż na Dalekim Zachodzie.
- Och, jaka ja jestem głupia. – Ukryła twarz w dłoniach. – Nie powinnam... straszyć wszystkich, kiedy...

– Straszyć? Kobieto, jesteśmy Talamhijczykami i nie miękną nam nogi w kolanach, gdy ktoś z naszych uwalnia swoją moc. A taka jak twoja, to, co pokazałaś, hmm, może jedynie cieszyć. No, może przesadziłaś z tą burzą, bo pewnie ludziom zajmie trochę czasu pozbieranie prania, które pospadało ze sznurów.

– Przepraszam.

– Na bogów, nie powtarzaj tego w kółko, to się robi męczące. Obiecuj mi, że więcej nie przyjdiesz tutaj sama.

– Nie miałam takiego zamiaru. – Pokręciła głową z kolejnym chlipnięciem. – Znaczący, nie planowałam. Chyba na moment mnie poniosło.

– Co najmniej na cholerną godzinę. Trochę mi zajęło, żeby cię odnaleźć, a potrwałoby jeszcze dłużej, gdyby nie on. – Energicznie pogłodził Fąfla. – Ściągnął mnie tutaj. Byłem o krok od namierzenia ciebie, ale akurat lunął deszcz. Pewnie jesteś zmęczona po takim wybuchu energii i wylaniu litrów łez. Możemy wyjechać jutro rano, zamiast dziś po południu.

– Wyjechać? Dokąd?

– W dolinę. – Podniósł się i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać.

– Nie, Keeganie. – Zerwała się z ziemi. – Musiałam uwolnić się od przygniatającego mnie ciężaru, dać upust emocjom, albo zwyczajnie... – Obejrzała się na portal. – Dać mu znać. Ale nie możesz mnie odsyłać tylko dlatego, że miałam taki... epizod.

– Epizod, tak? Pierwszy raz widziałem latające owce.

– O mój Boże.

– Nic im nie będzie. Jednak cię wysyłam – jestem *taoiseachem* i mogę to zrobić. Taka prawda. Jestem potrzebny w innym miejscu, poświęciłem Stolicy dostatecznie dużo czasu. Na razie wystarczy. Pojedziesz ze mną, bo tego mi potrzeba i dobrze wiem, że tobie też.

– Tak. – Przytuliła się do niego i oparła mu głowę na ramieniu. – Tak, potrzebuję tego. Możemy od razu wyruszyć?

– Tak. Jak tylko załatwimy swoje sprawy, ty się pożegnasz i spakujesz to, co chcesz ze sobą zabrać. I nie miałbym nic przeciwko temu, gdybyś uprzedziła Marco przez Widzące Zwierciadło, żeby dać mu czas na przygotowanie posiłku. Wieczorem chętnie zjadłbym jego klopsiki.

– Dobrze. – Westchnęła. – Daj mi chwilę. Muszę doprowadzić się do porządku, żeby nie było widać, że płakałam.

– Nie. – Zamknął jej dłoń w stanowczym uścisku. – Słyszeli twoją rozpacz, niech ją też zobaczą. Pozwól im ją widzieć. A mnie pozwól powiedzieć, że Odran nie zna takiej modlitwy, którą mógłby wyblagać w niebie czy piekle obronę przed kobietą, która stała tu dzisiaj, płonąca jak tysiąc świec. Nie ma takiej modlitwy.

– Zbierajmy się. Szkoda dnia.

Rozdział 2

Pożegnała się, schowała do sakwy wiadomości od matek Moreny i Keegana dla córek. A kiedy wsiadła z Fąblem na szeroki grzbiet Lonarcha, przypomniała sobie tamten szaleńczy lot do Stolicy, nagły obrót spraw i strach, które kazały jej co żywo gnać na wschód.

Teraz leciała do domu, na zawsze odmieniona.

Wiedziała, jakie widoki rozciągają się na dole, ukryte w cieniu skrzydeł Lonarcha. Znała zielone wzgórza i żyzne doliny, zapach gęstych lasów i majestat górskich szczytów. Znała wioski, chaty, jaskinie i wszystkich tutejszych mieszkańców.

Tam na ziemi jeździec galopuje na koniu, kobieta w pelerynie niesie kosz w zgięciu ramienia. Na skraju lasu jeleni zastęgi w królewskiej pozie, kobieta robi pranie w strumieniu, obok niej, na kocu, leży dziecko w powijakach.

Trolle fedrują w głębokich górskich jaskiniach, dzieci siedzą w klasach i znudzone lekcjami, snują marzenia o przygodach. Farmerzy doglądają ozimin i ostrzą lemiesz, matki układają maluchy na drzemkę. A wojownicy niezmiernie doskonalą się we władaniu orężem, aby bronić tych wzgórz i dolin, gór i strumieni i wszystkich, którzy tutaj mieszkają.

Teraz ona też jest częścią tego świata, bo przelała za niego krew. Bo walczyła, zabijała i krwawiła dla Talamh.

Obejrzała się na Keegana. Jaki on skupiony, a jednocześnie czujny, pomyślała. Krewki z natury, jakimś cudem znajduje w sobie niezgłębione pokłady cierpliwości. Twardziel, a zarazem chodząca dobroć. Same przeciwieństwa.

To dobrze, stwierdziła, bo on jest gotów walczyć, zabijać i oddawać krew za najbardziej żywotny cel jego świata.

Za pokój.

Skierowała Lonarcha bliżej Crogi, żeby przekrzyczeć wiatr,

– Co dalej?

Zerknął na nią i z powrotem skupił się na obserwacji ziemi, powietrza i majaczącego na horyzoncie morza.

– To samo co wcześniej. Wrócisz do doskonalenia magii i trenowania walk.

– Pytam o to, co teraz.

– To jest teraz, jutro i pojutrze. Mamy czas, ale nie wolno go trwonić. Odran poniósł większe straty niż my. W przeciwieństwie do nas, nie będzie trwał w żałobie, bo demony i ciemne siły, które miały nas zniszczyć, nic dla niego nie znaczą. Niemniej stracił moc.

– Musi ją odzyskać. To może potrwać tygodnie, miesiące, a nawet lata.

– Nie lata. Nie tym razem.

– Bo jestem tutaj.

– Jemu się wydaje, że jest blisko zdobycia ciebie i wszystkiego, czym jesteś. Ty, klucz, most, córka człowieka, Fey i bogów, masz wszystko, czego on pożąda. Według niego tak niewiele mu brakuje do zagarnięcia tego, co chce, a w rezultacie do zemsty nad wszystkimi światami.

Keegan ponownie się rozejrzał.

– Tymczasem on się myli. Jest dalej, niż był kiedyś.

– Dlaczego?

– Przez to wszystko, czym jesteś. Słuchaj, wolisz w dolinę czy do chaty? Odprowadzę cię tam, gdzie chcesz, a potem polecę na południe.

– Kierujesz się na południe?

– Czekają mnie tam obowiązki, których wcześniej nie mogłem wypełnić, bo byłem zajęty w Stolicy. Mahon nadzoruje tam prace przy rozbiórce i odbudowie Domu Modlitewnego, a także stawianiu pomnika. Muszę pokazać ludziom na południu, że *taoiseach* o nich pamięta.

– W takim razie lecę tam z tobą.

– Od wielu tygodni nie byłeś w domu.

– Ty też nie. No tak, nie jestem *taoiseachem* – zaznaczyła, zanim on zdążył to zrobić. – Mówiłeś, że mam pozwolić, aby widziano mój żal. W takim razie niech go tam zobaczą. Czy może myślałeś tylko o Stolicy?

Milczał przez chwilę, patrząc na nią z uwagą, po czym kiwnął głową i skręcił na południe.

– Ciepła pogoda będzie miłą odmianą – rzucił swobodnym tonem.

– Nie mam nic przeciwko temu. Zresztą chłód mi również odpowiada. Lubię obserwować, jak

wpływa na wygląd drzew. Zieleń sosen wydaje się ciemniejsza na tle dębów, kasztanowców i klonów, które teraz mienia się kolorami. Światło się staje inne, noce się wydłużają. Jelenie wkładają płowe suknie. Nigdy, ani kiedy przyleciałam do Irlandii, ani kiedy pierwszy raz przeszłam do Talamh, nie sądziłam, że zobaczę tutaj jesień i zimę, a ona właśnie nadchodzi.

Wskazała palcem dwóch jeźdźców na smokach kierujących się na północ.

– To nasi – uspokoił ją.

– Patrolują okolicę.

– Nasi. No jasne, przecież Odran nie ma smoków.

– Nie. Nie może ich zniewolić ani przeciągnąć na swoją stronę, jak udaje się mu z niektórymi Fey.

One są nieskalane.

– A gdyby Odran przekabacił jeźdźca?

– Smok pozostanie nieugięty. Będzie cierpiał, może nawet umrzeć ze smutku, gdyby jego jeździec przeszedł na stronę Odrana. Natomiast jeżeli jeździec dostałby się do niewoli, smok będzie wiernie czekać.

Pogładził Crogę po gładkich łuskach.

– Odran gdyby mógł, wybiłby je wszystkie, bo nigdy nie będą do niego należeć. Zobacz. – Zatoczył dłonią krąg. – Południe i morze.

Rzeczywiście zobaczyła w oddali złote plaże i najbardziej niebieską z niebieskich wód rozlewającą się aż po horyzont. Widziała wróżki unoszące się na skrzydłach, owce na soczysto zielonych zboczach wzgórz pnących się ku słońcu, gęste lasy okalające piaski.

Na wzgórzu ponad plażą i dużą wsią zobaczyła spory dolmen z kredowobiałych kamiennych bloków.

– Czy to ten monument?

Keegan obleciał dolmen, oglądając go ze wszystkich stron.

Och tak, pamiętał.

– Przez lata stał w tym miejscu Dom Modlitewny przekazany Świętobliwym do kultuwowania ich wiary, ale wiara to niewłaściwe słowo, bo jaka religia nakazuje torturować, prześladować i zabijać. Jednak dano im ten dom na mocy umowy, w której pod przysięgą zobowiązali się czynić dobro. Toric i jego zwolennicy wykorzystali ten dar, tę hojność do zdrady. Dla takich jak oni nie ma wybaczenia, dom, w którym gnieździło się zło, zniknął, a ziemia została poświęcona.

– Ten dolmen upamiętnia tych, którzy oddali życie w obronie nas wszystkich.

– Jest piękny. – I smutny, dodała w myślach. Żaloba oddana w kamieniu. – Wszystko tutaj jest piękne; morze, plaże, wieś. To, co widziałam w ogniu w Samhain, było straszne, okrutne i bohaterskie. Patrzyłam, jak walczyliście; ty, Mahon, Sedric i pozostali. A teraz tutaj znowu jest pięknie.

– Talamh jest nieugięty, musi taki być, żeby trwać.

Skierował Crogę nad wzgórze, zeskoczył na ziemię, odczekał, aż Fąfel pójdzie w jego ślady, i wyciągnął rękę do Breen. Ze ściśniętym żołądkiem zsunęła się z grzbietu Lonarcha na trawę.

– Damy smokom trochę polatać, muszą poszukać miejsca na wypoczynek. Wróć, gdy będą potrzebne.

– Fąfel, ty też ruszaj – rzuciła Breen do podrygującego w miejscu psa.

Zbiegł pędem ze zbocza, w paru susach pokonał plażę i wskoczył do morza. Młoda syrenka ze śmiechem wynurzyła się z wody i zanurkowała, zapraszając go do zabawy.

– Fąfel zawsze znajdzie sobie rozrywkę – skomentowała Breen, podchodząc do dolmenu. – Jest imponujący. To potężny symbol. Budzi szacunek. – Oparła dłoń na jednym z głazów przewyższającym wysokością dwóch postawnych mężczyzn. – W słońcu jest ciepły.

Cofnęła się, gdy podleciał do nich Mahon. Szwagier Keegana i jego prawa ręka zwinął skrzydła i opadał na ziemię.

– Witam. Zjawiacie się w samą porę. Dziś rano ustawiliśmy kamień szczytowy.

– Dobra robota – pochwalił Keegan. – Jak idą prace przy odbudowie?

– Na ukończeniu. Mallo i Rory trochę psioczyli, gdy zabrałeś im Nilę. – Uśmiechnął się i pogładził mahoniową brodę. – Nie powtórzę, co mówili. Ale przyznam, że czynią cuda, jeżeli chodzi o postęp robót. Sam zobaczysz, wieś na nowo rozkwitła, a wczasowicze bawią się nie gorzej od tego tam, na dole.

– Wskazał psa.

Jak wcześniej Breen, Mahon oparł dłoń na głazie.

– A to będzie im przypominać, dlaczego mogą się cieszyć.

– Nic nie zostało po Toricu i jemu podobnym – wtrąciła Breen. – Ziemia z powrotem jest zielona

i żyzna, a dolmen upamiętnia i oddaje cześć wszystkim dzielnym i niewinnym. Przetrwą wieki tak jak lud Fey.

Kierowana budzącą się w niej magią, przeszła pomiędzy pionowymi głazami i stanęła pod zwieńczeniem.

– Jednak ci, którzy będą patrzeć na to wzgórze, chodzić po tej darni, zobaczą coś więcej niż tylko smutek. To będzie...

Urwała, podniosła dłoń i pokręciła głową.

– Mów dalej – ponaglił ją Keegan. – Co widzisz?

– Raczej czuję. Białą siłę, jasną i mocną, która żyje w tych kamieniach i ziemi pod nimi. Czuję na skórze ciepły dotyk powietrza i słońca. Z nastaniem nocy wzejdą bliźniacze księżycy i oświetlą wielki monument ku czci dzielnych, niewinnych i utraconych. Ku pamięci prawdziwej wiary i honoru.

– Tamte trzy drzewa zakwitną wiosną jak zakwita nadzieja, nawet gdy wiatr strąci ich kwiaty, pokrywając ziemię płatkami. Latem urodzą obfitość owoców, a jesienią ich liście zapłoną kolorami, bo taki jest cykl. A kiedy one opadną, wirując w powietrzu, koło czasu obróci się i znowu pojawią się kwiaty.

Wyszła spod zwieńczenia i przystanęła kawałek od dolmenu.

– Staw z wodą czystą jak kryształ. Ktokolwiek jej się napije, poczuje spokój. A na wielkim kamieniu wieczny ogień płonie, płomienie ma żywe i mocne.

– Ci, którzy będą patrzeć na to miejsce, chodzić po tej darni, poznają połączone cztery elementy związane magią. Ci, którzy przyjdą uczcić dzielnych i niewinnych, poczują nadzieję, bo będą wiedzieli, że śmierć nie oznacza końca, gdyż życie, miłość i światło się odradzają.

Zadrżała i przegarnęła włosy palcami.

– To było... Wybaczcie, nie chcę...

Przerwała, gdy Keegan dał jej znak gestem dłoni.

– Mahonie, tak właśnie zrobimy. Ściągnij wróżki, niech posadzą drzewa, owocowe drzewa, murarz ocembruje staw, a czarownice napełnią go wodą. Bądź tak dobry i przyślij elfa z miedzianym kotłem. Potem wracaj do domu, do żony i dzieci. Jeżeli dotrę w dolinę przed tobą, Aisling urwie mi głowę, a wolałbym tego uniknąć.

– Jestem do usług. Zobaczymy się wkrótce?

– Rano, a może i prędzej.

Mahon odwrócił się do Breen i pocałował ją w policzek.

– Nie widzę tego, co ty, ale już nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć twoją wizję wprowadzoną w czyn.

Kiedy odfrunął, Breen splotła dłonie.

– Keeganie, jeśli przekroczyłam...

– A powiedziałem coś takiego? Mówię, że masz rację, więc tak zrobimy.

– Teraz to miejsce wygląda tak, jak chciałeś, jak je widziałeś.

Z uwagą popatrzył na dolmen, na surowe białe głazy. Tak, pomyślał, tak właśnie go widział.

– Kierowały mną smutek i gniew. Głazy zostały, zatem słusznie chciałem, żeby wznieść z nich dolmen. Jednak to za mało, zgadzam się. Przy braku nadziei smutek traci moc przetrwania, nie opiera się czasowi.

– Wróżki posadzą drzewa, będzie staw, a my wzniesimy wieczny ogień.

– Nigdy tego... nie jestem pewna, czy wiem, jak to zrobić.

– Wiesz, że dasz radę. W końcu to twoja wizja. Nawet w ciemnościach będzie światło. Zadbamy o to.

Kiedy chłopak dostarczył wielki kocioł, w jego wypolerowanej powierzchni odbijał się słoneczny blask. Keegan mocą wyniósł go wysoko w górę i osadził na środku zwieńczenia.

– Dobra robota – pochwalił elfa. – Słuszny wybór.

– Mahon powiedział, że ma być duży. – Chłopak uśmiechnął się uszczęśliwiony. – Mogę popatrzeć, *taoiseachu*?

– Naturalnie. – Keegan powiódł wzrokiem po dolinie. – Zaczekaj. Biegnij na dół i powiedz wszystkim, żeby patrzyli. Niech zobaczą, jak *taoiseach* i córka Fey rozpalają wieczny ogień w tym miejscu pamięci.

Chłopak wydał okrzyk radości i już go nie było.

– No, świetnie. Teraz będę miała publiczność.

– Breen Siobhan – odezwał się Keegan, zniecierpliwiony – przejmujesz się drobiazgami. Pojawi-

łaś się, żeby być widzianą, i masz do tego prawo. I teraz będziesz widziana, a świadkowie tej chwili nigdy jej nie zapomną. Świadkowie tego wydarzenia będą o nim opowiadać dzieciom, które dopiero się urodzą. Ci, którzy się zgromadzą, będą pamiętać, jak my, *taoiseach* i córka Fey, staliśmy tutaj dla dzielnych i niewinnych, dla wszystkich. Staliśmy, jak oni wcześniej walczyli w tym miejscu przeciwko siłom ciemności. I jak rozpaliliśmy ogień.

– Dobry w tym jesteś – mruknęła. – Czasami zapominam, jak wspaniale radzisz sobie w roli *taoiseacha*.

– To tylko intuicja.

– Nie, to zdolności przywódcze. – Uśmiechnęła się do Fąfla, który jakby wyczuwając doniosłość chwili, pobiegł na wzgórze. – W każdym razie, jeżeli to schrzanię, zrzucę winę na ciebie, Keeganie.

Ludzie zaczęli gromadzić się u podnóża wzniesienia. Breen widziała, jak wychodzą ze sklepów i chat, przerywają pracę, żeby popatrzeć w górę. Pary i rodziny kończyły spacer plażą albo wychodziły z wody. Syreny wynurzały się na bezkresną błękitną powierzchnię morza lub wślizgiwały się na skały.

Mężczyźni sadzali sobie dzieci na ramiona, kobiety trzymały niemowlęta na biodrze. Breen słyszała w głowie ich słowa: „Patrz teraz uważnie. I zapamiętaj”.

– Weź mnie za rękę – polecił Keegan. – Niepotrzebnie się denerwujesz, córko Eiana O’Ceallaigha. Niech on zapłonie. Niech się stanie. Wymów słowa. Są w tobie.

Były, oczywiście, że były. Czowała moc pulsującą od Keegana do niej i od niej do niego. Złączoną, sprzężoną, podwojoną. I słowa same przyszły.

– Przywołujemy tę moc, wieczną jak oddech, by uhonorować życie i śmierć. Iskra w płomień, płomień w ogień, niech płonie, jaśnieje i inspiruje. Dług wdzięczności na zawsze pozostanie w naszej pamięci.

– Niech to światło – dołączył do niej Keegan – płonie jasno nocami i dniami. Niech wiecznie unosi się ku niebiosom. Ognia, który wzniesimy dla uczczenia ich imion, nie ugasi ani nawałnica, ani wichura.

Czowała, jak moc przepływa przez nią niczym wiatr. Uniosła wolną rękę i tak jak Keegan skierowała tę moc w stronę kotła.

– Zapłon – powiedzieli chórem – świeć jasno wiecznym ogniem.

Buchnął płomień czysty i silny. Rozgorzał w słupy bezdymnego ognia. Piękno tego widoku wycisnęło Breen łzy z oczu.

– Świeć wiecznie, żeby wszyscy mogli cię widzieć – powiedzieli chórem. – Niech tak się stanie.

Z plaży poniżej i z otwartych drzwi chat poniosły się gromkie wiwaty.

– Żadnych łez. – Keegan mocniej ścisnął jej dłoń. – Oddajemy cześć, a nie pogrążamy się w żałobie. To chwila siły, nie ma w niej miejsca na płacz. Odwróć się do nich i pokaż, kim jesteś.

Zwalczyła łzy i zrobiła, jak polecił.

Keegan uniósł miecz i kiedy klinga Defensora rozbłysła niczym płomień, z tłumu na dole popłynęły entuzjastyczne okrzyki.

– Za dzielnych i niewinnych! – zawołał. – Za Talamh, za wszystkich!

– Nie wiem, co mam teraz zrobić.

– Już wszystko zrobiłaś. – Wsunął miecz do pochwy. – Przywołaj swojego smoka. Czas ruszać do domu.

Przelecieli nad plażą żegnani wiwatami. Breen obejrzała się jeszcze na ogień, który pochodził z jej mocy.

Nie, nigdy tego nie zapomni.

Najpierw poszła do Marg i chociaż na dworze panował ziąb, jaskrawoniebieskie drzwi chaty były otwarte. Fąfel z radosnym szczeniakiem wpadł do środka.

Chwilę po nim weszła Breen. Zastała Marg w kuchni, gdy sięgała po smakołyk dla psa. Potrzaskiwał ogień pod płytą kuchenną, para leciała z dzióbka czajnika, w powietrzu unosił się zapach ciasta.

W Breen wezbrał i wymieszał się nawał emocji. Jestem w domu, pomyślała, i wpadła w otwarte ramiona Marg.

– Moja dziewczynka. – Marg zamknęła ją w mocnym ucisku.

– Tęskniłam za tobą. Jak dobrze cię widzieć.

– Ja też bardzo się cieszę. Ale widzę, że coś cię nurtuje. – Marg odsunęła się i z uwagą popatrzyła w twarz Breen. – Opowiesz o tym babci? Chodź, usiądziemy, Napijemy się herbaty, są pierniczki. A ty mi wszystko powoli opowiesz.

– Chyba nie zdawałam sobie sprawy z ogromu tego wszystkiego, dopóki nie znalazłam się tutaj.

Tak wiele się działo i dzieje. Tamten dzień – bitwa, rozlew krwi, Phelin i wszyscy pozostali. Chwilami tamte obrazy się zamazują, a momentami widzę każdy z nich jak wyrzeźbiony w kryształ. I to wszystko, co działo się potem. Zastanawiam się, babciu, jak ludzie mogą dalej żyć. A jednak dają radę. Układają sobie życie, mimo że nawet wiedzą, że znowu będą musieli przez to wszystko przechodzić.

– Usiądź i pozwól mi trochę cię porozpieszczać. – Marg nagrzała czajnik dłońmi. – Gdy straciłam mojego chłopca, kiedy zginął Eian, zastanawiałam się, jak będę mogła dalej żyć. Ty mieszkając po drugiej stronie, pozbawiona pamięci o mnie i moim synu, zgłodzonym przez rodzzonego ojca. Jak żyć, myślałam. Jak się poruszać, rozmawiać z ludźmi, jeść, spać? A jednak można.

Breen usiadła i przyglądała się Marg, układającej pierniczki na talerzu. Ognistorude włosy miała wysoko upięte, była ubrana w spodnie i zielony sweter, na nogach miała buty za kostkę. Zapewne wcześniej pracowała w ogrodzie.

– Jesteś taka silna.

– Wtedy nie byłam. Wszystko we mnie pękło. Duch, serce, byłam bliska utraty zmysłów. Obcięłam włosy – mruknęła, oglądając się na Breen. – Do skóry. Nocami wychodziłam do lasu, nad zatokę, gdziekolwiek. Błąkałam się bez celu. Sedric sądził, że ja nie wiem, że on na wszelki wypadek, gdybym go potrzebowała, chodzi za mną w kociej postaci. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. On też głęboko przeżywał żałobę. Kochał Eiana jak syna. Wtedy nie mogłam, nie umiałam dzielić się z nim żałobą, nie przyjmowałam do wiadomości, że razem – mamie i tacie Eiana – łatwiej będzie ją unieść. Egoistycznie zasklepiłam się w swoim żalu.

– Babciu.

– Robimy to, co w danej chwili jest nam potrzebne. Wtedy tego akurat potrzebowałam. Zaprządzona w swoją rozpacz, potrzebowałam tych bezsensownych wędrówek. Widocznie tak musiało być – dodała, ustawiając filiżanki i imbryk na stole. – A Sedric czekał cierpliwie, kiedy do niego wrócę, kiedy mu pozwolę zbliżyć się do mnie. I z czasem tak się stało. Chodziliśmy, rozmawialiśmy, jedliśmy, spaliśmy. Żyliśmy.

– Dobrze, że mieliście siebie.

– On jest wielką miłością mojego życia. A teraz ty opowiadaj.

Przy herbacie i pierniczkach Breen opowiedziała, jak starała się nieść wsparcie i pociechę, pomagała przywrócić do życia spalone pola. Opisała rozmowę z Flynnem i burzę, którą potem wywołała.

– Chyba... nie byłam do tego wszystkiego przygotowana, zabrakło mi doświadczenia. Kiedy patrzę wstecz na moje życie, wszystko było proste i bezpieczne. Nie, nie czułam się szczęśliwa, co to, to nie, ale wstawałam rano, szłam do pracy, po powrocie do domu sprawdzałam testy albo robiłam konспекty lekcji. Miałam Marco, Sally i Derricka. Mogłam być i właściwie pozostawałam niewidzialna. Po prostu wtapiałam się w tło.

– A tutaj nie jesteś bezpieczna i twoje życie nie jest takie proste. Jesteś widziana i oczekiwana. Czujesz się szczęśliwa, *mo stor*?

– Tak. – Breen przycisnęła palce do powiek, potem pozwoliła opaść dłoniom. – Tak, mimo tego wszystkiego, co się działo i co może się stać, jestem zdecydowanie szczęśliwsza. Tyle mam. Mam ciebie. – Wyciągnęła rękę i uściśnęła dłoń Marg. – I mam w sobie to coś, co daje mi taką radość. Ale to, co rano zrobiłam w Stolicy, dokładnie dziś rano – dopiero teraz wszystko do niej dotarło – było nierozważne. Pozwoliłam, aby to, co jest we mnie, mną zaważnęło. Wymknęło się spod kontroli.

– Robimy to, co w danej chwili jest nam potrzebne – powtórzyła Marg. – Czy komuś stała się krzywda?

– Nie. Ale...

– Ach. – Marg podniosła palec. – Ufasz mi?

– Całkowicie, pod każdym względem.

– W takim razie uwierz, że to, kim jesteś, co masz, nie może skrzywdzić i na pewno nie skrzywdzi nikogo poza mrocznymi siłami, które zagrażają innym. Wiem to, bo jesteś z mojej krwi. Mojej i mojego syna.

– Część mnie pochodzi z niego, z Odrana.

– Tak jak wcześniej Eiana. Odran się myli, jemu się tylko wydaje, że może wykorzystać tę część. Ale to właśnie ona, *mo stor*, przyczyni się do jego końca. Martwi cię, że możesz komuś wyrządzić krzywdę?

– Nie martwiło aż do dziś rano. Było tak, jak wtedy na Osądzie Torica. Poniosło mnie. Nie kontrolowałam tego żaru i mocy.

– I to cię nieco przeraża.

– Tak.

– I słusznie. Moc jest nieokiełznana i puszczona na żywioł niszczy tego, kto nią włada. A z drugiej strony przesadnie tłumiona, gaśnie i słabnie. Będziemy nad tym pracować, ale ostatecznie musisz znaleźć własną drogę.

Breen powoli opuszczało napięcie, rozluźniały się zaciśnięte wnętrzości.

– To tylko jeden z powodów, dlaczego za tobą tęskniłam. I za doliną. Pomagasz mi utrzymać równowagę. Już sam powrót tutaj mnie uspokaja. Stolica jest piękna i tętni życiem, ale...

– To nie dom.

– Nie dom. Właśnie widziałam południe, jest piękne, pełne życia, a zarazem spokojne, ale... Zapomniałam powiedzieć ci o monumencie.

– Dwa dni temu byliśmy z Sedrikiem na południu. Keegan przysłał do mnie sokoła z pytaniem, czy nie pomogłabym przy wznoszeniu dolmenu, bo nie mógł jeszcze opuścić Stolicy. To piękne surowe upamiętnienie tego, co utracone, i tego, co pokonane.

– Tak. – Breen przeczesła włosy palcami. – Może to mój błąd i monument powinien zostać taki piękny i surowy.

– O czym mówisz?

– Kiedy tam staliśmy z Keeganem, nagle zobaczyłam coś innego. Coś więcej.

– Co więcej widziałaś?

– Zobaczyłam... Mogę ci pokazać? W ogniu?

Wstała, podeszła do kominka, wyciągnęła ręce i poczekała na Marg.

– Oto, co zobaczyłam.

Najpierw w ogniu ukazała się wiosna, z drzewami obsypanymi białymi i różowymi pąkami, mały staw u podnóża dolmenu, w którym odbija się biel kamienia, oraz światło i jarzący się złoto ogień. Potem pojawił się dywan z płatków na ziemi, zawiązki owoców, które rosły i dojrzewały. Później spadały z drzew czerwone i złote liście, a nagie gałęzie trwały w oczekiwaniu.

I cały czas płonął złoto ogień.

Oczy Marg zaszklily się łzami, przycisnęła dłoń do ust.

– To zobaczyłaś?

– Bardzo wyraźnie, babciu. Zanim wyjechaliśmy, rozpaliliśmy z Keeganem ogień i...

Marg odwróciła się i ją objęła.

– To wizja zrodzona z miłości i współczucia, a zarazem z siły. Jest w niej twój ojciec, bo z całego serca wierzę, że on ujrzałby to samo.

– Tak myślisz?

– Tak. I chwala Keeganowi za jego mądrość. Mądrze uczynił, burząc tamten dom zła i stawiając w jego miejscu potężne głązy. A jeszcze mądrzej postąpił, że ciebie posłuchał i dodał światło. Miałaś dzień pełen przeżyć!

– Mam wrażenie, że to nie dzień, a tydzień.

– W takim razie odprowadzę cię do Powitalnego Drzewa, przejdiesz na drugą stronę, do chaty.

– Nie widziałam się jeszcze z Moreną, ani Finolą, ani Seamusem.

– Jutro będzie na to czas. A dziś wieczorem odpocznij. – Marg przeszła przez kuchnię i zdjęła z wieszaków okrycia swoje i Breen. – Wyśpij się i wykorzystaj poranek na pisanie. Robimy to, co w danej chwili jest nam potrzebne – przypomniała, wkładając kurtkę.

Breen nie mogła zaprzeczyć, że tego właśnie potrzebowała, kiedy podeszła do drzewa po wąskich kamiennych stopniach i odwróciła się, żeby pomachać Marg. W świetle zmierzchu widziała za sobą dom na farmie i dym sączący się z kominów.

Kochała to miejsce, jego wygląd i zapach tutejszego powietrza, ale bardzo chciała zająć się tym, co czekało po drugiej stronie.

Wspięła się po grubych konarach, prześliznęła między powyginanymi gałęziami, zeskoczyła na gładką skałę i znalazła się w Irlandii.

Fąfel podrygiwał radośnie, jego ogon poruszał się rytmicznie niczym metronom i wcale mu nie przeszkadzał zimny drobny deszcz siąpiący z ołowianego nieba.

Breen ten deszcz też nie przeszkadzał. Zadarła głowę, wystawiając twarz na mżawkę i ruszyła przed siebie. Powietrze pachniało wilgotną ziemią i mokrymi sosnowymi igłami. Fąfel, zamiast swoim zwyczajem skręcić do strumienia na szybką kąpiel albo kursować tam i z powrotem po ścieżce, tym razem nie odstępował Breen.

– Gotowy na powrót do domu, co? – Pies zadarł łeb i popatrzył na nią, potrząsając kosmatym czu-

bem. – A może to mówiąc, myślę o sobie. Tak czy owak, wkrótce będziemy na miejscu. – Wypuściła oddech i głęboko wciągnęła powietrze. – Czujesz ten zapach? Dym torfowy, woda w zatoce, mokra trawa.

Gdy wyszli z lasu, zobaczyła to wszystko, dym, zatokę, mokrą trawę, zioła i kwiaty. I chatę z dachem ze strzechy, z grubymi kamiennymi ścianami, uroczym tarasem i światłem w oknach. I tak samo jak za pierwszym razem ten widok ją poruszył. Było w nim wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła.

Fąfel nie zboczył do zatoki. Pobiegł prosto do chaty i zaszczekał pod drzwiami. Zanim Breen zdążyła dotrzeć do wejścia, Marco z imponującymi dreadami spiętymi nad karkiem, ze ścierką do naczyń na ramieniu, otworzył drzwi. Z wnętrza popłynęła muzyka.

Parsknął śmiechem, bo Fąfel wspiął się na tylne łapy i zatańczył.

– Ile w tobie gracji! Tanecznym krokiem wejdź z deszczu do domu. Jest moja Breen!

– Marco! – Gdyby mogła, podfrunęłaby do niego, ale musiała zadowolić się podbiegnięciem prosto w jego otwarte ramiona.

Z siarczystem buziakiem zakręcił się z nią na progu.

– Jakąś godzinę temu Keegan przysłał twoje rzeczy. Klopsiki się duszą w sosie pomidorowym, bo twój facet ma do nich ogromną słabość.

– On nie całkiem jest moim facetem.

– Dobra, dobra. – Ponownie cmoknął ją w policzek. – Mam cię na oku. Niedługo pojawi się Brian i dołączy Keegan. Wtedy urządzimy ucztę, a teraz mam ciebie całą tylko dla siebie.

Ściągnął z niej kurtkę, zarzucił ją na wieszak, chwycił Breen w pól i wykręcił z nią piruet.

– Uwielbiam to miejsce. Tylko ktoś porąbany mógłby go nie lubić. Ale to nie samo, gdy nie ma tutaj ciebie.

– Też tęskniłam za domem i za tobą, za wszystkim i wszystkimi.

– Przygotowałam laptop, żebyś mogła rano sięść do pracy, zanim wstaną cywilizowane osoby. Masz mnóstwo nowych komentarzy pod blogiem. Później o tym pogadamy. Teraz nakarmimy naszego wspaniałego psa i napijemy się wina.

– Och, tak. Z ochotą.

Otoczyła go ramionami. Dom, pomyślała. Jej dom.

Jak dwa światy mogły być jej domem, pozostawało dla niej tajemnicą. Jednak uznała to za dar.

Rozdział 3

Obudziła się przed świtem i zobaczyła, że jest sama. Poleżała jeszcze trochę, delektując się tą cichą chwilą pomiędzy snem a dniem w sypialni oświetlonej poświatą z kominka.

W nocy Keegan spał razem z nią, a Fąfel zwinął się w kłębek na swoim legowisku. Wieczór spędzili we czworo; ona, Keegan, Brian i Marco. Jedli i rozmawiali, omijając temat wojny, bitew i przygotowań do walki. Była muzyka, przyjacielska atmosfera i dużo śmiechu.

A potem przy blasku kominka kochała się z Keeganem i zasnęła u jego boku.

Wiedziała, że to tylko interludium i nadzieja na to, co może przynieść przyszłość. Jednak ta nadzieja spełni się tylko wtedy, gdy będą walczyć, przygotowani przystąpią do wojny i ją wygrają.

Wstała i ubrała się w sportowy strój. Poćwicz, potem usiądzie przy biurku i popracuje. Później znowu przejdzie do Talamh, będzie praktykować magię, zobaczy się z Moreną i całą resztą oraz potrenuje sztuki walki z Keeganem.

Ale najpierw napije się kawy.

Na schodach usłyszała pomruk męskich głosów i poczuła zapach bekonu. Przypalonego bekonu.

Zobaczyła w kuchni Keegana i Briana. Fąfel siedział nad miską zajęty chrupaniem suchej karmy, na kuchence stała osmalona patelnia.

– Jakież problemy? – spytała, kierując się prosto do ekspresu.

– Ta płyta jest... – Keegan, krzywiąc się, obejrzał się na kuchenkę. – Skomplikowana.

– Pomyśleliśmy, że na zmianę zajmiemy się śniadaniem. – Brian, wysoki i muskularny, patrzył na nią roześmianymi niebieskimi oczami. – Keegan zaczął i tu pojawiły się komplikacje.

Breen z kubkiem kawy w ręce ruchem głowy wskazała furę przypalonej jajecznicy, zdecydowanie bardziej w odcieniu brązu niż żółci.

– Właśnie widzę. Hmm, zalecałabym regularne ćwiczenia i więcej praktyki, żeby te żałosne wysiłki podnieść do znośnego poziomu.

– Ha! – Keegan obłożył grzankę plastrami bekonu i przykrył je grubą warstwą jajecznicy. – Dobre – ocenił, żując.

– W takim razie życzę smacznego.

Podeszła do drzwi, a kiedy je otworzyła, Fąfel wyprysnął na dwór i puścił się biegiem do zatoki. Breen wyszła za próg na chłodne poranne powietrze.

W bladym świetle świtu mgła cienka jak pajęczyna wisiała nad szarą wodą zatoki, tu i ówdzie jej delikatne pasma snuły się nad wilgotną zieloną trawą. W powietrzu zapach rozmarynu mieszał się z ostrym aromatem goździków i waniliową wonią heliotropów. Czerwone kulki jagód połyskiwały na krzakach ostrokrzewu. Krzew róż o kwiatach w kolorze letniego słońca kwitł zadziornie, mimo że powietrze już szeptało o zimie.

Sącząc kawę, patrzyła, jak pies pluska się w zatoce. Bryzgi wody rozrywały welon mgły, słońce coraz śmielej przedzierało się przez chmury.

Kiedyś poranek oznaczał dla niej wyścig z czasem. Kawa na wynos, czekanie na autobus i jazda do wykonywanej z musu pracy, do której nie czuła powołania. Owszem, lubiła tamten swój kawałek Filadelfii, jego koloryt, atmosferę. Ale reszta? Szary cień i ona w najbardziej szarych odcieniach szarości.

A teraz miała coś, o czym dawniej nawet nie śmiałyby marzyć. Odpowiadało jej to, co robiła, miała poczucie celu.

Nawet gdy ten cel zdawał się ją przerastać i budził lęk, należał do niej.

Podobnie jak ten mężczyzna, przynajmniej na razie, pomyślała, gdy Keegan wyszedł przed próg i stanął tuż obok.

– Wiem, że kiedy schodziłam na dół, nie rozmawialiście z Brianem o przypalonym bekonie.

– Nie był przypalony, tylko porządnie usmażony.

– Jasne. Jak wolisz. Cieszę się, że wczoraj nie rozmawialiśmy o Odranie, wojnie i tym wszystkim. Wiem przecież, że musisz omawiać plany i obowiązki ze swoimi wojownikami, takimi jak Brian.

– Już wszystko załatwione – uciął. – Ty rano popracujesz nad swoimi opowiadaniem, a ja zanim zajmę się innymi sprawami, pomogę trochę Harkenowi na farmie. Teraz słońce wcześniej zachodzi, chcę cię widzieć na placu treningowym godzinę przed zachodem.

– W porządku.

Obejrzał się na wychodzącego domu Briana.

– Miłego dnia, Breen.

– Nawzajem, Brianie.

– Godzinę przed zachodem – powtórzył Keegan.

– Nie spóźnij się.

Ruszył przez łąkę w stronę lasu, przystanął i długimi krokami cofnął się do niej.

Pomyślała, że ma w sobie coś z dzikusa, gdy objął ją w pasie ramieniem, przyciągnął do siebie i pocałował.

– Nie spóźnij się – powtórzył kolejny raz i odszedł.

Breen uśmiechnęła się lekko, po czym pochyliła nad kubkiem z kawą, i jeszcze przez chwilę patrzyła na wstający dzień.

Czuła się cudownie, wręcz absurdalnie cudownie, po porządnym wypoceniu w trakcie rutynowej porcji ćwiczeń. I może tylko miała wrażenie, że tricepsy jakby wyraźniej się zaznaczały. Może nigdy nie będzie rewelacyjnie władać mieczem ani strzelać z łuku, ale Bóg świadkiem, te mordercze treningi niewątpliwie przynosiły pewne korzyści.

A prysznic po ćwiczeniach? Siódme niebo.

Ubrała się i z coca-colą w ręku przeszła do gabinetu. Odpaliła laptop, wzięła głęboki wdech i obejrzała się na Fafla, który już umościł się na łóżku.

– Kolej na ciebie – oznajmiła.

Od bitwy prawie nie zajrzała do nowej historii o Faflu. Po prostu nie miała do tego serca. Dopiero teraz, w domu, z psem na łóżku, otoczona murami chaty z przyjemnością powróciła do pisania.

Zupełnie straciła poczucie czasu. Kiedy skończyła, Fafla nie było na łóżku, a z kuchni dochodziły jakieś niesamowicie apetyczne zapachy.

Wyszła z gabinetu i zobaczyła otwarty laptop Marco na roboczym stole. On sam stał przy kuchence, której zdecydowanie nie uważał za jakieś wielce wyrafinowane urządzenie, i wlewał białe wino do sporego garnka.

– Co tak cudownie pachnie?

– Hejka, dziewczyno! Pisałaś taka skupiona. Fafel znowu wybiegł na dwór. Czy ty w ogóle coś jadłaś? Kiedy o dziewiątej zszedłem na dół, byłaś nieobecna duchem. Widać, że jeszcze nie całkiem wróciłaś.

– Byłam, rzeczywiście byłam. Mówiłam ci, że w Stolicy mogłam pracować nad książką dla dorosłych, ale absolutnie nie czułam się na siłach pociągnąć dalej przygód Fafla. – Odwróciła się do lodówki po kolejną colę jako nagrodę za osiągnięcia. – A dzisiaj pstryk i popłynęło! Boże, jak dobrze się przy tym bawiłam! – Obróciła się w koło. – Zupełnie jakby ktoś odkręcił kurek.

– Miło słyszeć, nawet jeśli to mi mówi, że jesteś bez śniadania. Zrobię ci kanapkę.

– Sama potrafię ją zrobić, ale czemu nie mogę dostać tego, co masz w garnku? A właściwie co to jest? Fantastycznie pachnie.

– Nie możesz dostać, bo jeszcze musi się podusić. Zrób te swoje czary-mary, żeby było gotowe, jak wrócimy. Bo przechodzimy na drugą stronę, tak?

– Tak, jasne, ale... Która godzina? – Otworzyła usta ze zdziwienia, kiedy spojrzała na wyświetlacz kuchenki. – Cholera, powinnam zamknąć laptop pół godziny temu. Muszę lecieć!

– Już idziemy. Ty się skup na abrakadabra, a ja zrobię kanapkę, możesz ją jeść po drodze.

– W czym mam cię wesprzeć magią?

– Dziś od rana Francja elegancja – wyjaśnił Marco, krojąc chleb. – Więc parle wu, upiekłem kilka bagietek i robię do nas kurczaka en cocotte.

– Kurczaka en cocotte? – Uniosła pokrywkę. Zobaczyła spore, lekko przyrumienione kawałki kurczaka, ćwiartki ziemniaków, marchew i seler pokrojone w talarki oraz krążki cebuli. No i ten aromat – tylko jedno określenie przychodziło jej na myśl – ekstatyczny.

– Boże, to jest... Czy coś takiego jest w ogóle legalne?

– Tak, we Francji. Ten przepis wpadł mi w ręce w zeszłym tygodniu i miałem to ugotować na wasz powrót, ale Keegan zażyczył sobie klopsiki. A więc kurczak będzie na dziś wieczór.

– Marco, jesteś cudotwórcą.

– Zgadza się. – Wręczył jej kanapkę z szynką i wędzoną goudą na razowym chlebie.

Włożyli kurtki i wysokie buty, Breen owinęła szyję szalikiem i ruszyli w drogę.

Fafla zrównał się z nimi, zatoczył koło wokół nich i popędził do lasu.

Marco z dredami schowanymi pod czapką wciśniętą na bakier wyciągnął komórkę.

– Zabrałem ją ze sobą, żeby zrobić kilka zdjęć do blogu, zanim przejdziemy na drugą stronę, bo tam nie ma zasięgu. Jesteś pewna, że nie można czegoś z tym zrobić?

– Oni wybrali magię, Marco.

– No, wiem. Niemniej...

Przystanął, zrobił zdjęcie chaty i zatoki, na koniec sfotografował Fąfla. Pies czekał na skraju lasu, przyglądając się im z przychyłoną głową

– W ten weekend wybiorę się po choinkę dla nas na święta.

– Święta.

– Za pasem. Zajmiemy się światełkami i ozdobami. Czekają nas dużo pracy, musimy to porządnie zrobić.

– Z przyjemnością. Kolorowy papier i wstążki. Zaczę szukać prezentów! I musimy pomóc przy planowaniu wesela.

– Nic nie mówiłem wieczorem, w ten czas świętowania, ale Morena zmieniła zdanie i chce poczekać ze ślubem do wiosny, a może nawet do lata.

– Co? Czemu? Och. – Nie musiał odpowiadać. – Phelin. Straciła brata, to dla niej trudne. Szkoda, że nie mogłam spędzić z nią więcej czasu, bo musiała wrócić w dolinę, do Finoli i Seamusa.

– Finola prosiła mnie, żebym porozmawiał o tym z Moreną. – Zatrzymał się i zrobił kilka zdjęć w lesie. – Mówiła, że sama z nią rozmawiała, ale nasza dziewczyna nie dała się przekonać. Mnie też się nie udało. Może ty byś spróbowała.

– Dobrze, chociaż jeżeli nie jest gotowa i potrzebuje więcej czasu, Harken to zrozumie. Nikt lepiej jej nie rozumie. Zorientuję się, co da się zrobić, gdy się z nią zobaczę.

Kiedy stanęli pod drzewem, Marco schował komórkę.

– Zostawię was same. Czasem dziewczyna potrzebuje towarzystwa innej dziewczyny, no nie?

Razem przeszli z jednego świata do drugiego.

Słońce mocno świeciło, niebo było intensywnie niebieskie. Zieleniły się i złociły pola za kamiennymi murkami. Owce pokryte gęstym runem szczypały trawę, zupełnie nie zwracając uwagi na przybyszy.

Breen zobaczyła Morenę i Harkena w wozie zaprzężonym do masywnych koni pociągowych.

– Zwożą torf z wrzosowisk – domyśliła się. – Tną go, suszą i układają w sterty na zimę.

– Finola mówi, że Morena spędza przedpołudnia z nimi i zajmuje się domem i drobnymi pracami, a po południu przeważnie idzie do Harkena. Czasami znika z tym swoim jastrzębiem, choć najczęściej...

– Pracuje. – Breen kiwnęła głową. – Miałam iść prosto do babci, ale jednak najpierw zajrzę do Moreny.

– A co powiesz na to, żebym ja poszedł do babci i dotrzymał jej towarzystwa? Miałabyście czas pogadać.

– Super, dzięki.

Przecięli wąski pas pola i przeszli nad murkiem.

– Powiedz babci, że przyjdę, kiedy będę mogła albo o ile będę mogła. Muszę się dowiedzieć, jak pomóc Morenie.

– Jasne.

Rozeszli się na drodze, Marco poszedł dalej, a Breen skręciła na farmę. Fąfel obejrzał się na nią, a gdy kiwnęła głową, pobiegł w stronę wozu, szczekając na powitanie.

Trzy ptaki spłoszone hałasem poderwały się w górę jak niebieskie strzały. Dopiero teraz Morena ją zauważyła i pomachała do niej. Breen widziała, jak Harken ją pocałował i delikatnie trącił dla zachęty. Dziewczyna zeskoczyła z wozu, poklepała uszczęśliwionego Fąfla i puściła się biegiem na spotkanie z Breen.

– Wiem od Harkena, że wróciłaś. Miałam nadzieję, że się zobaczymy. – Objęła Breen, a ona poczuła radość i ulgę, pomieszane ze smutkiem.

– Cieszę się, że tu jestem. Stolica to, hmm, Stolica, ale dolina...

– To dolina – dokończyła Morena. – W samą porę się zjawiłaś, nie będę musiała rozładowywać torfu. Wstąpisz do domu na herbatę?

– Kawal dnia spędziłam, siedząc przy biurku i pisząc. Wolałbym się przejść, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

– Z przyjemnością pospaceruję. – Nachyliła się i pogłaskała psa. – A on na pewno chętnie wskoczy do zatoki.

– Jest cieplej, niż się spodziewałam – zaczęła Breen, gdy ruszyły przed siebie.

– Dziś słońce mocno przygrzewa, ale Harken twierdzi, że jutro zerwie się zimny wiatr. – Przerzuciła złotożółty warkocz na plecy. – Może tak mówił, żeby wyciągnąć mnie na zwożenie torfu.

– Gdzie Amisz?

– Och, pewnie poluje. – Przytrzymując czapkę, zadarła głowę i powiodła wzrokiem po niebie, jakby spodziewała się zobaczyć krążącego nad nimi jastrzębia. – Czyli dzisiaj pracowałaś nad opowiadaniami?

– Nad następnym o Faflu, a kiedy skończyłam, Marco powiedział, że w weekend pójdziemy po choinkę i zaczniemy robić ozdoby. Moje pierwsze święta Bożego Narodzenia w Irlandii i tutaj. Czekają nas sporo pracy – zauważyła mimochodem. – Aisling twierdzi, że dziecko urodzi się raczej w okolicy Yul, a nie w lutym, no i mamy twój ślub.

– Myślę, że powinniśmy poczekać do wiosny, a może i lata.

– Tak?

– Jak mówiłaś, idą święta i dziecko ma się urodzić. To bardzo pracowity czas. Od początku wspominałam o wiosnie, myślę więc, że to... Breen, nie mogę wymagać od rodziny, aby bawiła się na weselu w tych okolicznościach. Jak mogłabym być taka nieczuła? Harken może poczekać.

– On umie czekać – zgodziła się z nią Breen. – I zależy mu, żebyś była szczęśliwa. Na tym polega miłość. Nie będzie naciskał, natomiast ja tak.

– Wolałabym nie.

– Chcę tylko, żebyś mnie wysłuchała, potem zrobisz, jak zechcesz. Zawsze będę po twojej stronie. Jesteś moją najstarszą przyjaciółką i cokolwiek zdecydujesz, będę cię wspierać. Na długo zniknęłaś z mojej pamięci. – Westchnęła. – A potem wszystko wróciło. Nie pamiętałam Phelina ani twojej rodziny. Kiedy ich zobaczyłam, pamięć od razu wróciła, bo oni byli również moją rodziną. Oni wszyscy są moją rodziną.

Zeszły z drogi na plażę, a Fafler natychmiast pobiegł do wody.

– To, że po tym wszystkim zostałaś w Stolicy, bardzo wiele dla mnie znaczyło. Matka mówiła, że codziennie spędzałaś z nimi czas. Przyznaję, chciałam mieć cię tutaj, ale byłam zadowolona, że tam byłaś.

– Wszyscy byliśmy tam, gdzie powinniśmy być.

Morena przymknęła oczy i wystawiła twarz na wiatr.

– Phelin był najlepszy z nas. Kocham moją rodzinę, kocham ich wszystkich, wiem jednak, że to właśnie on był z nas najlepszy. Wrażliwy, zabawny i lojalny. Owszem, lubił robić kawały, ale nikogo nie krzywdził. Kochał żonę, nie mógł się doczekać, kiedy zostanie ojcem. A teraz go nie ma. Pamiętam, że oddał życie za Talamh, za nas, za wszystkich. Przysięgam ci, że to szanuję.

– Wiem, ale to nie umniejsza bólu.

– Myślisz, że kiedyś przestanie tak boleć? Że będzie mi lżej?

Breen wzięła ją za rękę i zeszły nad wodę.

– Wiesz, ja myślałam, że ojciec mnie zostawił, nie kochał mnie na tyle mocno, aby być przy mnie. I to sprawiało mi głęboki ból. A potem, kiedy tutaj się znalazłam, usłyszałam, że on nie żyje, dowiedziałam się, kiedy i jak zginął, i to też bardzo bolało. Bolało, nawet kiedy zrozumiałam, dlaczego poniósł śmierć. Nawet teraz, po czasie, nadal boli, choć inaczej. Gdy wspominam tatę i czas, który razem spędziliśmy, czuję radość. Tak samo będzie z tobą i Phelinem. Myślę, że wraz z upływem czasu ta radość będzie łagodzić ból.

– Brałam udział w Odprowadzaniu znajomych i sąsiadów, ale nigdy nie żegnałam kogoś tak mi bliskiego. Rozpoczęcie wspólnego życia z Harkenem, zaproszenie rodziny na tańce i dzielenie tej chwili z nami byłoby z mojej strony czystym egoizmem.

– I powiem ci, że właśnie tutaj się mylisz. Jednak zanim do tego dojdę, jeszcze raz powtórzę, że będę cię wspierać, obojętnie, co postanowisz, czego chcesz. Spędziłam sporo czasu z twoją rodziną i wiem, jakie to dla nich ważne, żebyś pobrała się z Harkenem. Twoja matka rozmawiała o tym ze mną i znam jej zdanie.

– Może matka, ale...

– Noreen i twój brat myślą tak samo. Widok życia, szczególnie tego przejawu życia, ująłby trochę smutku. Przede wszystkim twój ojciec chce widzieć swoją córkę szczęśliwą w dniu ślubu. Niech to będzie na wiosnę, jeśli tak chcesz, lub latem czy nawet za rok. Albo w przesilenie zimowe czy letnie. Takie wydarzenie wnosi światło, Moreno, a oni wszyscy potrzebują światła.

Morena ze łzami w oczach wpatrywała się w twarz Breen.

– Jesteś pewna?

– Inaczej nic bym nie mówiła. Jeżeli nie jesteś gotowa, odczekaj. Nie odkładaj ślubu ze względu na nich ani dlatego, że według ciebie musisz czy powinnaś tak postąpić.

– Wiem od babci, że codziennie kontaktuje się z mamą przez zwierciadło. Rozmawiają o ślubie,

kwiatach, sukni i... Babcia mówi, że absolutnie nie powie mamie, że nie chce teraz wesela, sama mam to zrobić. Twierdzi, że te rozmowy przynoszą mamie ulgę i nie przekaże jej tej wiadomości. Musi usłyszeć ją ode mnie.

– Ale jeszcze nie usłyszała.

Morena z ciężkim westchnieniem otarła łzy, zanim zdążyły potoczyć się na policzki.

– Nie. Mówię sobie, że jej powiem. Każdego dnia to powtarzam i tego nie robię, bo ona z taką ekscytacją podchodzi do tego ślubu.

– Dlatego, że to łagodzi jej ból.

Morena z kolejnym westchnieniem oparła czoło o ramię Breen.

– Nie chcę czekać. Dlatego przesunęłam termin z wiosny na przesilenie zimowe. Nie chcę dłużej zwlekać.

– W takim razie nie zwlekaj. Phelin żyje w światłości. Wiem, że w to wierzysz.

– Wierzę.

– A więc będzie z wami w dniu ślubu. Tak długo zwlekałam z sięgnięciem po coś, czego pragnęłam, nie wierzyłam w siebie. Ale ty jesteś inna, Moreno. Już masz to, czego chciałaś. Zostaje tylko przyrzeczenie, że utrzymasz to, co masz, będziesz szanować i cenić.

– Twoja obecność jest tym, czego mi było potrzeba. – Morena odwróciła się do Breen i ją objęła.

– Jest tym, czego potrzebowałam tutaj, teraz.

– W takim razie idź powiedzieć Harkenowi.

– Pójdę. A potem zajrzę do babci i porozmawiamy z mamą o tym całym ślubnym biznesie, zanim zdąży rozboleć mnie głowa.

– A jak ci przejdzie, koniecznie przyjdź do nas, do chaty, napijemy się wina i zdasz relację Marco i mnie.

– Nie omieszkam. Dziękuję. – Uściskała Breen. – Przysięgam, że zdjęłaś mi kamień z serca. Przyjdę do was na wino.

Puściła się biegiem. Breen usłyszała krzyk jastrzębia nad głową. Patrzyła, jak ptak zakreśla koło i siada na ramieniu Moreny.

Przywołała Fafla i ruszyła do chaty Marg. Zastała babcię przy ogławianiu róż w ogrodzie od frontu.

– Wejdz do środka – Marg zwróciła się do Fafla. – Poproś Sedrica o przysmak.

Kiedy pies posłusznie zniknął w chacie, obejrzała się na Breen i odchyliła rondo kapelusza.

– Sedric i Marco dyskutują o tajnikach pieczenia szarlotki. Słuchając ich, można by pomyśleć, że zgłębiają wszelkie tajemnice wszystkich światów.

– A ty uciekłaś do ogrodu.

– Żebyś wiedziała. Może pójdziemy do pracowni i zamkniemy się tam na jakąś godzinę?

– Na to liczyłam. Wiem, że jestem trochę później niż zazwyczaj.

– Jak tam nasza Morena?

– Szykuje się wesele.

– No, nareszcie dobra nowina. – Marg uścisnęła dłoń Breen. Skręciły nad strumień i przeszły po mostku na drugi brzeg. – Ona potrzebowała, żebyś pomogła jej rozwiązać wątpliwości. Mówiłam tak Finoli. Morena bardzo to przeżywa. Czas na radość i nadzieję. Oplakujemy i czcimy naszych poległych, każdego z nich, ale brak radości i nadziei umniejsza ich poświęcenie, nie sądzisz?

– Nadzieja buduje siłę, a obietnica, którą złożą sobie Morena i Harken, jest, hmm, tak naprawdę jest obietnicą dla nas wszystkich. Życie toczy się dalej.

– Jak ty bardzo dojrzałaś, *mo stor*, od tamtego dnia, gdy pierwszy raz stanęłaś w moich drzwiach.

Breen zatrzymała spojrzenie na pracowni ukrytej wśród drzew i otoczonej dywanem z kwiatów.

– Pokaż mi więcej, babciu.

– Przerastasz mnie pod wieloma względami.

– Wcale nie, za mało wiem. Pokaż mi więcej.

Marg kiwnęła głową.

– Chętnie. – Podniosła rękę i drzwi pracowni otwarły się na całą szerokość.

Spędziły tam godzinę, a potem prawie tyle samo czasu w lesie.

– Jesteś powietrzem, a powietrze jest tobą. Utrzymuje cię, tak jak ty je utrzymujesz. Bryza, oddech, życie.

Marg skrzyżowała ręce na piersi i Breen z zamkniętymi oczami i dłońmi złączonymi w koszyczek, jakby tam trzymała powietrze, zawisła kilkanaście centymetrów nad ziemią.

– Ziemia cię puszcza i czeka na twój powrót. Zaufaj powietrzu, ono utrzyma cię tak samo jak ziemia.

Czuła się... nie, wcale nie zwiewna czy bezcielesna. Czuła swoje ciało, skórę, słyszała bicie serca. Spłynął na nią spokój, wypełnił jej umysł, jakby powietrze pod nią, nad nią i wokół niej zapraszało ją w siebie.

Trzymała je nie tylko w dłoniach czy głowie, ale w całej sobie.

– Jasna dupa!

Okrzyk Marco wszystko zepsuł. Opadła gwałtownie na ziemię. Zdążyła rozpostrzeć ramiona dla utrzymania równowagi.

– Rany, przepraszam. Ja to zrobiłem? Przepraszam. – Marco patrzył na nią oszołomiony, przyciskając do siebie foremkę z ciastem nakrytą ściereczką. Obok niego stał uśmiechnięty Sedric.

– Dziewczyno, ty lewitowałaś, zupełnie jak Doktor Strange.

– Lewitacja. Jeżeli mogę przenosić przedmioty, najwyraźniej sama też mogę lewitować – stwierdziła Breen, oglądając się na Marg. – Rozproszyłam się, straciłam koncentrację.

– Dobrze sobie poradziłaś, nawet więcej niż dobrze.

– Co czułaś? – chciał wiedzieć Marco. – Unosząc się tak w powietrzu?

– Jakbym była częścią czegoś. Nie, nie czegoś, wszystkiego. A teraz? Teraz czuję się jak po paru sporych kieliszkach tequili. Szarlotka. Czuję jej zapach, ale nie tylko, mam w ustach jej smak. Wszystko jest takie wyraziste, klarowne.

– Masz w oczach kota – zwróciła się do Sedrica. – Dlaczego wcześniej tego nie widziałam? On jest w twoich oczach.

– Jesteśmy jednością.

– Zostawmy to teraz. Uwolnij powietrze, tak jak ziemia uwolniła ciebie. Wystarczy na pierwszy raz – uznała Marg.

Breen kiwnęła głową, zamknęła oczy i otworzyła dłonie.

– A może teraz kieliszek tequili?

– Spacer pomoże ci dojść do siebie. Keegan będzie czekać.

– Racja, a kompromitacja, która czeka razem z nim, ściągnie mnie na ziemię. Dziękuję, babciu. Sedricu, szkoda, że nie mogliśmy spędzić razem więcej czasu.

– Jeszcze będzie niejedna okazja, a dziś wszyscy dobrze wykorzystaliśmy czas. – Sedric pocałował Breen w policzek i ponad jej ramieniem skrzyżował spojrzenie z Marg.

– Jutro wrócimy.

Kiedy się oddalili z psem na czele, Sedric podszedł do Marg i objął ją ramieniem.

– Dałaś jej wielki dar – oznajmił.

– Nie, to ona jest darem. Byłam gotowa jej pomóc, pokazać jej przedsmak możliwości, chociaż ona mnie nie potrzebuje. Albo potrzebuje jedynie jako przewodniczkę, coś na kształt łącznika. Sama do wszystkiego dotrze, gdy nadejdzie czas, i nic ani nikt jej nie powstrzyma.

– Uważam, że nadal będziesz niezbędna. Chodź, towarzystwo tych młodych jest nużące. Usiądźmy przy kominku ze szklaneczką whiskey.

Teraz ona otoczyła go ramieniem.

– Tak, właśnie tego nam potrzeba.

W drodze na farmę Marco zasypywał Breen pytaniami. Jak to zrobiła, co wtedy czuła, czy może to powtórzyć?

Ona nie miała nic przeciwko tym pytaniom. Co prawda już nie lewitowała, ale nadal niosła ją przyjemna świadomość osiągniętej mocy.

– Nie chcę próbować bez babci – wyjaśniła. – Nie wiem, jak dalece potrafię sama to kontrolować.

– Ha, myślisz, że mogłabyś odfrunąć czy coś w ten deseń?

– No teraz, gdy mi podsunąłeś tę myśl, rzeczywiście, mogłoby coś takiego się stać. Przede wszystkim muszę jeszcze się podszkolić. We wszystkim. Z wyjątkiem tego – dodała na widok Keegana ustawiającego tarcze na polu sąsiadującym z farmą.

– Coraz lepiej ci idzie strzelanie z łuku. Ja jestem w tym beznadziejny.

– To prawda, jesteś jeszcze gorszy ode mnie. Zobacz, jest Aisling i chłopcy.

– Ta dziewczyna nie ma ciężowego brzuszka. Ona ma ciężowy toból.

– Radziłabym ci to przemilczeć.

– Wyglądam na głupka czy co?

Fąfel wyrwał się do przodu, przeskoczył przez murek, zatańczył wokół ogromnej wilczarki

i pobiegł siłować się z dziećmi.

Breen widziała radość Aisling, gdy z jedną dłonią opartą na ciężowym tobole, szła powoli w ich stronę.

– *Failte! Mile failte!* – Objęła ich oboje.

Jest trochę blada, oceniła Breen, nie bez powodu może być znużona. Ale ta bladość przegrywała z blaskiem emanującym ze światła, które w niej rosło.

– Świetnie wyglądasz.

– No, jestem wielka jak dwie krowy, z których jedna połknęła drugą. I ta druga bez przerwy kopie, bo chce wydostać się z tej pierwszej.

– Bije od ciebie blask – powiedział Marco, przywołując tym komplementem uśmiech na jej twarz.

– Już niedługo będę trzymać to maleństwo w ramionach zamiast w brzuchu i ta myśl mnie uszczęśliwia. Przy okazji powiem, że ty, Breen, uszczęśliwiłaś mojego brata.

Breen obejrzała się na Keegana, który organizował teren do strzelania z łuku.

– Nie. – Aisling potrząsnęła głową. – Nie tego. Harkena. Cały czas śpiewa przy pracy, odkąd Morena wróciła na farmę po rozmowie z tobą. A więc będziemy mieli wesele i narodziny i coś mi mówi, że wszystko zbiegnie się w czasie. I to na farmie.

– Wesele będzie tutaj?

– Tak. Morena w końcu zdecydowała, co rusz zmieniając zdanie. Niewątpliwie chata jej babki jest przeurocza, ale tutaj mamy więcej miejsca. Poza tym to będzie ich dom, tu będą razem mieszkać. I tak padło na farmę.

– A oto nasz rozśpiewany pan młody.

Breen pierwsza go usłyszała, jeszcze zanim Harken wyszedł ze stodoły. Znała ten głos z jednego ze swoich snów. Śpiewał po talamhasku, ale nie musiała znać słów, żeby wiedzieć, że one mówią o szczęściu.

Na widok gości zboczył ze ścieżki i ruszył w ich stronę. Jak różni, a zarazem podobni są do siebie ci dwaj bracia, pomyślała Breen kolejny raz.

Takie same niesforne ciemne włosy, u Harkena nakryte farmerską czapką, u Keegana ozdobione warkoczem wojownika. Obaj silni, smukli i umięśnieni. Harken zamiast miecza nosił robocze rękawice. Obaj mieli rasowe twarze o ciosanych rysach. Gdy policzki Keegana czasami pokrywał dwudniowy zarost, Harken zawsze chodził gładko ogolony.

Podszedł teraz prosto do Breen i ku jej zaskoczeniu pocałował ją w usta.

– Teraz mogę z czystym sumieniem potwierdzić, że Morena jest szczęściarą – powiedziała rozbawiona.

– Och, pod każdym względem. Kocham moje siostry – zmienił temat. – Oczywiście, tę tutaj. –

Wskazał Aisling. – A także Maurę i Noreen, które są dla mnie jak siostry, tak jak ty dla Moreny. Jednakże dzisiaj, Breen Siobhan Kelly, ty jesteś moją najulubieńszą siostrą.

Gdy Keegan zbliżył się do nich, Harken odwrócił się i otoczył ją ramieniem,

– Dzisiaj ona jest moim oczkiem w głowie, *mo dhearthair*, i jeżeli wróci z treningu wycieńczona, będziesz miał ze mną do czynienia.

– Zaryzykuję.

– Jakbym miała mało kłopotów z rozdzielaniem moich dwóch urwisów. – Aisling westchnęła teatralnie. – Zaprowadzę chłopców do domu, zanim zobaczą, jak ich wujowie biorą się za łby. Harkenie, jesteśmy ci wdzięczni za torf. Mahon właśnie układa go za chatą. Jeżeli chcesz, zostawię jedzenie dla ciebie i Moreny, ale teraz muszę nakarmić moich łobuziaków.

– Idź, poleż trochę – wtrącił Keegan. – Jesteś taka wielka jak medalowa krowa Harkena.

Pięść, która wylądowała na jego żołądku, zaledwie wywołała uśmiech na jego twarzy.

– Zajrzyj do mnie, gdy znajdziesz chwilę – Aisling zwróciła się do Breen i uśmiechnęła słodko do Marco. – Ty też, naturalnie. Wyślemy Fąfla, żeby pobawił się z chłopcami. On jest zawsze mile widziany. A ty nie – dodała i tym razem to ona dźgnęła Keegana palcem w brzuch.

– Gdyby mężczyźni mieli zająć się rodzeniem, byłoby nas mniej – zawołał za nią.

Rozbawiona Aisling obejrzała się przez ramię i posłała mu pogodne spojrzenie.

– Sytuacja zręcznie załagodzona – zauważył Marco.

– Chyba Aisling nie będzie długo się gniewać, co? Chodź, weź swój łuk. A Harken popracuje z Marco.

– A może wpadniesz z Moreną do chaty na kolację? I na szarlotkę.

Keegan obejrzał się przez ramię na Marco.

- To się nazywa przekupstwo, bracie.
- Szkoda, że ja o tym nie pomyślałam – mruknęła Breen, biorąc łuk.

Rozdział 4

Wśliznęła się w ustalony rytm dnia jak w ciepłe bambosze. To nie potrwa długo, wiedziała, ale na razie nie nękały jej złe sny, żadne zagrożenia nie czały się w kątach.

One się pojawią, wszystkie wrócą. Żyła więc dniem dzisiejszym i cieszyła się każdą jasną chwilą.

Czy jakakolwiek chwila mogła być jaśniejsza od tej, gdy towarzyszy się przyjaciółce przy wyborze sukni ślubnej?

– Mam trzy – zaczęła Morena. – Matka przysłała je przez swojego smoka, bo bała się, że jej odmówię. Ona tak pewnie uważa, że ubiorę się w coś, co znajdę w swojej szafie. Oczywiście tak nie postąpię, bo wiem, jakie to ma znaczenie, a zresztą chcę wyglądać szalowo w ten dzień.

– Jesteś jej jedyną córką – zauważyła Breen. – Aż dziw, że nie przysłała ci ich z tuzin.

– Proszę bardzo. – Marco podał Morenie kieliszek z szampanem. – No to wskakuj w którąś z nich.

Potrzebujesz pomocy?

– Nie. Przymierzę wszystkie po kolei. I chciałabym usłyszeć szczerą prawdę. – Wypiła łyk, westchnęła i wypiła jeszcze jeden. – W takim razie idziemy.

Ruszyła schodami do sypialni na parterze, gdzie czekały rozwieszzone suknie.

– Jesteście pewni, że Keegan i Brian nie wrócą lada chwila?

– Keegan powiedział, że będzie około północy, o ile w ogóle wróci! – zawołała Breen. – Jesteśmy sami.

– Fajna zabawa, co? – Marco podał Breen kieliszek.

– Superowa.

Zastanowiło ją, jak postąpiłaby jej matka, gdyby nadszedł taki dzień. Czy przyjechałaby na ślub?

I czy ona jako panna młoda tego by chciała?

Nie знаła odpowiedzi na żadne z tych pytań.

– No to patrzcie. Tak wygląda pierwsza. Tylko powiedzcie prawdę, proszę.

Breen aż zaparło dech.

Suknia była biała jak świeży śnieg, miała długą, miękko układającą się spódnicę i gorsetową górę mieniącą się jak diamenty w słońcu.

– Niesamowita. Wyglądasz obłądnie.

– Obróć się, dziewczyno. – Marco zakręcił palcem w powietrzu.

Gorset miał na plecach śmiałe wycięcie w kształcie litery V, a spódnica po prostu płynęła, zwiewna jak mgła.

– Twoja mama zna się na sukniach ślubnych. Jak się w niej czujesz? – zapytał.

– Tylko debilka nie czułaby się w niej pięknie. No więc, czuję się piękna, ale jak ktoś inny, nie ja.

Breen spojrzała na Marco i oboje pokiwali głowami.

– Bardziej pasuje do Stolicy niż do doliny – oceniła Breen. – Jest wspaniała i wyglądasz w niej bosko.

– Suknia powala, dziewczyno, ale ty w niej nie. To tylko moje skromne zdanie.

– Mogę więc powiedzieć „nie” i nie wyjdę na niewdzięczną idiotkę? Co, Breen?

– W życiu. Powiem ci, że to jedna z najpiękniejszych sukien ślubnych, jakie widziałam, ale ona nie jest w twoim stylu.

– Dzięki bogom, bo daję głowę, że Harken by mnie w niej nie poznał.

– Zobaczmy numer dwa. – Marco odesłał ją gestem ręki. Kiedy zniknęła w sypialni, uniósł kieliszek i trącił nim o kieliszek Breen.

– A co, jeżeli wszystkie się nie nadają? – spytała półgłosem.

– Wtedy my zajmiemy się szukaniem tej właściwej.

– Zostało zaledwie kilka tygodni.

– Kochana, myślę, że w świecie pełnym wróżek, czarownic i całej reszty bez trudu znajdziemy odpowiednią suknię. Tak jak znalazłaś kostiumy na Halloween.

– Ale one były tylko iluzją. A ta suknia musi być prawdziwa.

– Twoja też. Będiesz jej druzną.

– Nie mogę przejmować się swoją suknią, dopóki ona nie znajdzie odpowiedniej dla siebie.

– Uwaga! – zawołała Morena. – Oto następna suknia.

Tym razem pojawiła się w kreacji z kremowego aksamitu. Prosty krój, monarszy fason.

Breen ponownie westchnęła.

– Wyglądasz jak królowa. Królowa wróżka. Mieniący się pas i dół, dekolt odsłaniający ramiona.

– Bardzo elegancka – zgodził się z nią Marco.
– Ale?
– Nie w twoim stylu – orzekli chórem.
– To jakiś obłąd. – Morena podeszła do stołu i dołała sobie szampana. – Mam was, a wy mnie i można by uznać, że świetnie się bawimy. No cóż, w takim razie zobaczymy ostatnią. Tylko mówcie prawdę.

Znowu wyszła.

– Dobra, potrzebujemy planu B, jeżeli ta ostatnia nie wypali. – Breen nerwowo kręciła się w miejscu. – Mogę porozmawiać z babcią, poszukać odpowiedniej krawcowej i wypytać Morenę, czego dokładnie chce, bo jak dotąd tego od niej nie usłyszeliśmy. Marco, konieczny jest pośpiech, ale zdążymy.

– W Irlandii ludzie ciągle się pobierają, no nie? Może tam zajrzeć do kilku salonów ślubnych.

– Dobra myśl. Bardzo dobra. Jednodniowy wypad do Galway? To powinno...

– Oto ostatnia z przysłanych.

Breen odwróciła się i z wrażenia aż przytknęła dłoń do otwartych ust.

– Och! – Na więcej się nie zdobyła. – Och!

Suknia sięgająca do kostek zdawała się płynąć wokół Moreny. Chmura bladofioletowego jedwabiu przetykanego srebrną nitką.

Marco przetarł oczy i kazał Morenie się obrócić.

Spódnica zawirowała razem z nią i opadła. Srebrne paski skrzyżowane na nagich plecach ginęły w tali pod wielką kokardą ze zwisającymi wstążkami.

– Jednodniowa wycieczka odwołana – ogłosił Marco z promiennym uśmiechem. – To jest twoja suknia.

– Jest idealna. – Breen otarła łzy. – Po prostu idealna. Przypomina twoje skrzydła. To cała ty. Wyglądasz bosko.

– Na pewno? Bo, och, zakochałam się w niej. Nie chciałam nic mówić, ponieważ wiem, że nie jest taka wspaniała jak tamta pierwsza, ani taka elegancka jak ta druga. Ale czuję się w niej jak panna młoda. Ona do mnie pasuje. W tej sukni jestem Moreną Mac an Ghail, panną młodą.

– To zdecydowanie twoja ślubna suknia. – Breen westchnęła i otarła resztki łez.

– Pantofle w tym samym kolorze – ocenił Marco. – Z czymś błyszczącym.

– Och tak! Czyż nie będę wyglądać jak z obrazka? Marco, chcę, żebyś zrobił coś z moimi włosami. Powiedz, że mnie uczeszesz. Chcę mieć warkoczyki na całej głowie i wianek z kwiatów. Obiecuj, że mnie uczeszesz.

– Chcesz, żebyśmy zrobił ci fryzurę? W dzień ślubu! Muszę usiąść. – Rzeczywiście się zachwiał. – Potrzebuję więcej szampana i muszę usiąść.

– Czy to znaczy, że on się zgadza?

– Oczywiście, że się zgadza – potwierdziła Breen. – Dolewka szampana!

– Muszę najpierw się przebrać, żeby jej nie poplamieć. A potem upiję was do nieprzytomności.

*

W grudniu powiało mrozem, drzewa drżały, woda w zatoce się ścięła, cienka warstwa szronu skrzypiała pod butami, końskie kopyta podzwaniały metalicznie na oblodzonych drogach.

W Chacie Fey zapanował świąteczny nastrój. Marco z Brianem przynieśli drzewko z wyżyn i stało teraz ustrojone światełkami i świątecznymi ozdobami. Breen z wymiany z Aisling przyniosła cztery skarpety z kolorowej włóczki i zawiesiła je na gzymsie kominka.

Kiedy Keegan zauważył, że bożonarodzeniowe skarpety są dla dzieci, Breen stanowczo oznajmiła, że w święta wszyscy są dziećmi.

W chacie pachniało sosnowymi igłami i wypiekami Marco.

Jak zauważyła Breen, w Talamh wszystko wyglądało mniej więcej tak samo; były migoczące światełka, ustrojone choinki, skarpety wywieszzone z nadzieją na prezenty. Zgodnie z tradycją wróżek gałązki zdobiły miniaturowe dzwoneczki, a z kolei elfy gromadziły owoce i orzechy na ucztę dla leśnych zwierząt.

Po okresie żałoby nastał czas radości. Breen spędzała go pracowicie: pisząc, trenując, praktykując magię. Dużo uwagi poświęcała prezentom; kupowała je, przynosiła z handlu wymiennego w Talamh, robiła je sama w pracowni Marg.

I nagle powróciły sny, spadły na nią jak grom z jasnego nieba, były jak uderzenie mroku w jasność.

Zobaczyła Yseult w jej izbie. Poruszała się wolno, a ciemnorude włosy wiedźmy były poprzetykane pasmami siwizny. Nawet we śnie Breen poczuła satysfakcję. To przez nią tamta posiwała.

Nawet we śnie Breen czuła ukłucia czarnej magii, słyszała syk dwugłowego węża, gdy wiedźma wyciskała z niego jad i szara trucizna, gęsta jak śluz, kapała do miski. Kiedy skończyła, włożyła węża do koszyka z dwoma dygoczącymi z przerażenia myszami. Kąsał je, a one piszczały. A na koniec pożarł myszy.

– Odpocznij teraz, mój kochany.

Yseult przeszła przez izbę oświetloną setką świec i stanęła przed rzędem klatek. Breen zobaczyła małe sarenki, młode króliki, koźleta, jagnięta i... ku swemu przerażeniu, dziecko. Najwyżej trzyletnie, oceniła, gdy wiedźma wyjęła chłopczyka z klatki.

Nie płakał, nie wrywał się, tylko patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Zakłęła go, domyśliła się Breen. Serce jej zamarło, gdy Yseult sięgnęła po athame.

Pociągnęła nożem po wnętrzu dłoni chłopczyka. Między bliźniami po wcześniejszych nacięciach otworzyła się głęboka rana. Krew kapała do miski. Potem obróciła chłopca tak, aby do miski trafiły łyzy. Umieściła dziecko z powrotem w klatce, jakby wkładała tam słoń z ziołami.

Później wybrała ptaka, rozplatała go, wyjęła serce i wrzuciła do miski.

Dołożyła pozostałe składniki: belladonnę, czarne kryształy, tojad oraz trzy małe, ostre jak brzytwa kły.

Podniosła ramiona i wtedy Breen usłyszała, jak Yseult krzyknęła z bólu. Błada jak płótno, zgięła się wpół i z trudem chwyciła oddech.

Wreszcie się wyprostowała, a jej oczy zrobiły się czarne jak onyksy.

– Zapłacisz mi, będziesz płacić bez końca, ty skundlona dziwko!

Teraz z już kamienną twarzą ponownie uniosła ramiona.

– Bogowie mroku i przekłęci, usłyszcie mnie! Dajcie mi, służebnicy Odrana, waszą siłę. Niech spłynie na mnie wasza moc, mroczna i straszna. Dla niej ten napar. Tym napojem, który dziś sporządzę, uderzę w niecną córkę syna boga.

– Krew i łyzy dziecka człowieka, serce wróbla schwytanego w dziczy, zęby szczenięcia demona rozszarpia ciało, czarne kryształy przyćmią światło. Zioła odbiorą oddech i posła ją na krawędź śmierci. Mleko dwugłowego węża przyniesie sen, a moje zaklęcie głęboki ból.

– Płon ogniu, nieś się dymie wysoko. Bulgocz naparze, wrzyj, mieszaj się i mać. Zgaśnie w niej całe światło. Taki będzie jej koniec.

Kiedy stała w zasnutym dymem izbie, siwizna zniknęła. A ból, który wcześniej wykrzywił jej twarz, zmienił się w moc.

– Dla chwały Odrana i w imię Odrana dokonuje się klątwa, niech będzie przeklęta córka syna boga. Jej koniec poprowadzi nas do zwycięstwa. Niech tak się stanie.

Dym rzedniał, a osłabiona Yseult stała oparta dłonią o stół roboczy i tylko jej oczy błyszczały ożywione okrutną radością.

– Co za potworny smród!

Wiedźma odwróciła się gwałtownie w stronę głosu i podniosła rękę.

– Nie podchodź, trzymaj się z daleka od dymu.

W drzwiach stała Shana, wystrojona w połyskliwą złotą suknię. Srebrzystoblond włosy utrefione w spiralnie zwinięte loki opadały jej na plecy. W odsłoniętych uszach migotały ogromne rubiny.

– Chodzę, gdzie mi się podoba, wiedźmo. Uważaj na ton, bo możesz mieć do czynienia z Odranem. Znowu cię ukarze. Jesteś słaba, niewiele z ciebie pożytku. – Z uśmiechem na twarzy bawiła się lokiem, nawijając go na palec. – Wymyśli dla ciebie tortury, jeżeli go o to poproszę. Zawiodłaś go. Ja nie.

Zbliżyła się o krok i Yseult, żeby ją zatrzymać, popchnęła powietrze. Rozwścieczona Shana syknęła jak wąż.

– Jak śmiesz?

– Śmiem chronić dziecko w tobie. Dziecko Odrana. Dym jest trujący, tobie może nie zaszkodzi, ale dziecku na pewno. W nim płynie ta sama krew co w Breen O’Ceallaigh.

Teraz Yseult się uśmiechała.

– Odran nie będzie z ciebie zadowolony, jeśli coś stanie się temu dziecku.

Shana wrzuciła ramionami, ale jednak się cofnęła.

– Zawsze możemy zrobić następne. W przeciwieństwie do ciebie jestem płodna.

– Ty naiwne stworzenie. Dałam mu troje, troje, które wysączył dla zdobycia mocy. To samo robi z tym w tobie. Dzięki ich mocy, ich krwi przedarł się przez portal, żeby zapłodnić Mairghread, i znowu

się przedrze po córkę. Rok po roku przecieram mu szlak.

– I rok po roku go zawodzisz. – Shana machnęła lekceważąco upierścienioną dłonią. – A ja go nie rozczaruję i będę rządzić u jego boku, gdy obróci Talamh w zgliszcza. Ale teraz mam zadanie dla ciebie. Nie chcę wyglądać grubo i niezdarnie, kiedy rośnie we mnie syn Odrana. Użyj zaklęcia na zachowanie urody.

– To będzie tylko iluzja. Z krzywdą dla dziecka.

– No to zrób to! – warknęła Shana. – I pospiesz się.

– W takim razie jutro. Przyjdź do mnie jutro.

– Ty przyjdiesz do mnie. Jestem małżonką władcy. A ty tylko jego wiedźmą.

– Jak sobie życzysz.

Gdy tylko Shana odeszła, przymilny uśmiech zniknął z twarzy Yseult.

– Mogę znaleźć Odranowi z tuzin takich jak ty, niewdzięcznico. Przysięgam, że z pierwszym oddechem dziecka wydasz ostatnie tchnienie.

Ponownie izbę wypełnił dym. I Breen się obudziła.

W blasku kominka zobaczyła siedzącego przy niej Keegana. Fąfel obserwował ją wsparty przednimi łapami na łóżku.

– Powiedz mi.

– Daj mi ochłonać.

– Nie wydawałaś się roztrzęsiona, bo gdyby tak było, próbowałbym cię obudzić albo do ciebie dołączyć. To był wizjonerski sen.

– Tak, ale potrzebuję jeszcze minutę. Wiem, że nie umknie mi z pamięci cały ten mrok, zło i okrucieństwo, ale może coś przeoczyłam.

– Proszę. – Wyciągnęła rękę. Ułamek sekundy później znalazła się w niej szklanka z wodą. – Napij się, odczekaj chwilę.

– Dzięki. – Usiadła, przytknęła szklankę do ust. Gdy zadrzała, Keegan machnięciem dłoni rozpalił mocniej ogień w kominku.

– Widziałam Yseult, chyba w jej pracowni. Jeszcze nie doszła do siebie i to mnie ucieszyło. I pomyśleć, że zaledwie rok temu nie czułabym satysfakcji, widząc, jak ktoś, ktokolwiek cierpi.

– Rok temu nie miałaś pojęcia o istnieniu takich postaci jak Yseult.

– To prawda. – I ta prawda zagłuszyła w niej choćby śladowe wyrzuty sumienia. – Ona jest prawie tak podła jak Odran, a może nawet gorsza od niego. Przyszła na świat w jasności, zdobywała wiedzę w świetle i rozmyślnie przeszła na stronę mroku. Ona robiła napar–truciznę. Dla mnie.

– Chcesz powiedzieć, że specjalnie dla ciebie?

– Tak. – Upiła parę łyków wody. – Specjalnie dla mnie. Rok temu nikt nie próbował mnie zabić, a przynajmniej ja absolutnie nie miałam o tym pojęcia. To druga sprawa.

– Widziałaś, z czego sporządzała truciznę?

– Myślę, że tak. Wycisnęła jad z jednego z tych strasznych węży.

– Węża Snu?

– Tak. I Boże, Keeganie, ona ma tam klatki. Trzyma w nich młode zwierzęta. Właściwie oseski. I dziecko. Ludzkie dziecko. – Zaczęła bezgłośnie płakać, łyzy kapały jej na policzki. – To był chłopczyk, dwu-, a może trzyletni – mówiła cicho. – Zupełnie osłupiały. Nacięła mu skórę, widziałam szramy w miejscach, gdzie robiła to samo wcześniej. Najpierw do jadu dodała jego krew, potem łyzy. Przyniosła wróbla, jeszcze pisklę. Rozpłatała go, wyjęła serce.

Breen otarła łyzy wierzchem dłoni i opowiedziała resztę.

– Jakie słowa wymawiała. Słyszałaś?

– Wszystko słyszałam. To było jak oglądanie sztuki na scenie ze środkowego miejsca w pierwszym rzędzie.

Wstał, podszedł do biurka i zabrał stamtąd jeden z notatników Breen oraz długopis.

– Zapisz wszystko tak, jak zapamiętałaś.

– Po co? To była czarna magia, my nigdy byśmy...

– Nie bądź niemądra. Te wszystkie szczegóły przydadzą się do zaklęcia blokującego dostęp. Wiemy, co zrobiła, i możemy temu przeciwdziałać.

– Och, coś jak antidotum.

– Antidota stosuje się po. My... – Szukał słowa, niecierpliwie machając rękami w powietrzu. – Immunizacja. Rozumiesz? Stworzymy zaklęcie, które uodparnia na tę truciznę.

– Super, to genialne. I pocieszające. – Zaczęła pisać. – Nie zobaczyła mnie, ani nie wyczuła.

Wiem na pewno. Być może dlatego, że jeszcze nie do końca odzyskała moc. Podczas rzucania zaklęcia przybyło jej siły, ale potem z powrotem osłabła. Ona nie robi tego dla Odrana. Chce się na mnie odegrać.

– No to się rozczaruje.

Breen spojrzała na Keegana, opuściła wzrok na kartkę i uśmiechnęła się.

– To jej prywatna zemsta. I nie chodzi wyłącznie o mnie... – zamilkła i z powrotem podniosła na niego oczy. – Kiedy skończyła robić truciznę, przyszła Shana. Keeganie, ona nosi dziecko Odrana.

– Żal mi go.

– Nie wydajesz się zaskoczony – zdziwiła się. – Jak to?

– Myślałaś, że Odran kazał Yseult ściągnąć Shanę do szorowania podłóg i mieszania w garnkach?

– Nie, ale sądziłam, że chodziło mu o to, co ona wie. Ojciec Shany zasiadał w Radzie, sypiała z tobą. Wiedziała... wie... o różnych sprawach.

– Tak, oczywiście na tym też mu zależało. Nie zapominaj, że ona jest młoda, śliczna i niewątpliwie dojrzała do zapłodnienia. Urodzi mu półboga.

– I ty wiesz, po co? Nie muszę ci mówić, że on wysysa własne dzieci, niemowlęta. Poświęca je, morduje, dla utrzymania własnej potęgi. Yseult dała mu troje. Wiedziałeś o tym?

– Ile akurat miał z Yseult, nie wiedziałem, ale to logiczne, że musiała mu udowodnić, że jest przydatna. – Ponieważ Keegan uznał sprawę snu za zamkniętą, wstał i wciągnął spodnie. – Od czasu do czasu wysyłam szpiegów do świata Odrana, tak samo robił twój ojciec i ci, którzy przewodzą przed nim.

Przegarnął włosy palcami, po czym włożył koszulę.

– Uważasz, że nie znajdziemy sposobu, żeby uratować tych niewinnych?

– To niemowlęta, Keeganie. Musi być jakiś sposób. Wykorzystuje niewinne istoty do wzmocnienia swojej potęgi i ich krwią osłabia pieczęcie portalu. Nie wolno zapomnieć, że to są małe dzieci.

– *Taoiseach*, który przewodził przed twoim ojcem, stracił trzech wojowników podczas misji ratunkowej. Dwóm pozostałym, rannym, udało się przenieść troje niemowląt przez wodospad. Nie przeżyły w naszym świecie nawet godziny.

– Odran po narodzeniu piętnuje je zaklęciem – wyjaśnił Keegan – Dlatego nie wytrzymują przenosin. I albo giną z jego ręki, albo umierają tutaj. Niemniej Eian podjął próbę w swoim czasie. Mielśmy zapobiec napiętnowaniu, zdejmując zaklęcie przed przenosinami dziecka. Wysłał czarownicę udającą nianię i kiedy ona zaczęła zdejmować zaklęcie, dziecko umarło na jej rękach. Rowan, ta czarownica, zasiada w Radzie i nadal nie może mówić o tamtej chwili i swojej rozpacz.

Breen zmusiła się do wyjścia z łóżka, chociaż po tym wszystkim, co zobaczyła i usłyszała, czuła się chora na ciele i duszy.

– On popełnił błąd z moim ojcem. Nie odcisnął piętna na swoim synu, nie widział takiej potrzeby. Im dłużej skutecznie udawał męża i ojca, tym większe miał szanse na poczęcie z babcią następnego potomka – kolejnego naczynia, z którego mógłby pić.

– Dobrze rozumujesz. Więcej tego błędu nie popełni.

– Dlaczego mnie nie napiętnował, kiedy zamknął mnie w szklanej klatce?

Keegan popukał ją palcem w skroń.

– Rusz głową, kobieto. Nie pochodzisz z jego nasienia.

– Rozumiem, samo pokrewieństwo to za mało. Nie możesz uratować tych dzieci i wiem, jak to ci ciąży.

– Sądzimy, że jego śmierć przełamie zaklęcie i usunie piętno. Ale będziemy to wiedzieć, dopiero kiedy się upewnimy.

– Shanie to nie przeszkadza. – Breen wzięła wstążkę i związała włosy w koński ogon. – Myślę, że chociaż Yseult dobrowolnie poświęciła swoje dzieci, coś jednak czuła, jak się domyślam. Nie wahała się zapłacić takiej ceny, ale musiało ją to dużo kosztować. Shana nie ma skrupułów. – Pochwyciła w lustrze spojrzenie Keegana. – Cięża gwarantuje jej status, ona napawa się swoją pozycją. Dziecko tyle tylko dla niej znaczy. Powiedziała, że zawsze może mieć następne. Dla niej najważniejszy jest wygląd. Nakazała Yseult stworzyć iluzję, żeby, jak to ujęła, nie wyglądać grubo.

– Tak, to do niej podobne.

– Chełpiła się, że uśmierciła Lorena. Nie myśl, że mówię to wszystko, żeby wbić ci szpilkę za to, że byłeś z nią w związku.

Pokręcił głową i na moment delikatnie oparł dłoń na jej ramieniu.

– Zależało mi na niej. Nie ukrywam, seks miał tu duże znaczenie, ale zależało mi na niej czy raczej na osobie, jaką grała. Widziałem jej wady, tak przynajmniej sądziłem. I tu, niestety, się myliłem, bo to nie były zwykłe przywary, tylko podłe cechy charakteru. Żałuję, że w porę tego nie zobaczyłem.

– Trudno coś wyraźnie widzieć, kiedy seks i uroda przyćmiewają obraz. Coś w niej pękło i i te ciemne rysy jej charakteru ukryte pod wdziękiem i urodą kazały jej zabić kogoś, kto był dla ciebie ważny. Gdyby przekonała cię do ślubu...

Roześmiał się krótkim ostrym warknięciem.

– Do tego, zapewniam cię, nigdy by nie doszło. Podobała mi się, tylko tyle i aż tyle.

Odwróciła się do niego od lustra, bo to, co usłyszała, wydało jej się istotne.

– Ona uważała inaczej. Chciałam tylko powiedzieć, że gdyby udało jej się zdobyć władzę, na pewno by jej nadużywała. Absolutnie nie wygrałbyś z nią, Keeganie.

Zamyślił się nad jej słowami, przypinając miecz.

– Masz rację, a to tylko dowodzi, że kobiety pozostają dla nas cholerną tajemnicą. – Podeszedł do niej, ujął w dłonie jej twarz i pocałował ją w usta.

– Wczesny start w nowy dzień dla nas obojga. Zastanawiam się, czy znajdziesz chwilę na zrobienie śniadania, bo mnie to kiepsko wychodzi.

– Mężczyzn natomiast cholernie łatwo przejrzeć.

– Szczerza prawda. Zapewnijcie nam jedzenie, seks i kufel piwa, a będziemy szczęśliwi.

– Gdyby to była prawda... Ale mogę zrobić jajecnicę, zanim pójdę poćwiczyć.

– Będę wdzięczny. – Wziął kartkę, na której spisała czary Yseult, i schował ją do kieszeni. –

Myślę, że moja wdzięczność nie miałaby granic, gdybyś podpatrzyła, jak Marco robi te naleśniki z jagodami.

Zerknęła na niego, gdy wychodzili z sypialni.

– Nie kuś losu, bo nie byłbyś szczęśliwy, gdybyś żuł coś, co przypomina starą gumę.

– Przyniosę jajka.

Usmażyła taką porcję jajecznicy, że wystarczyło jej dla Briana, który akurat przyleciał, i nawet udało się jej odpowiednio usmażyć bekon. Zadowolona z siebie, wyszła z kawą na zewnątrz, żeby popatrzeć, jak Fąfel tapla się w zatoce pod błędnymi gwiazdami.

Tamten sen zostawił po sobie niepokój, ale to tylko ją wzmocniło. Niewykryta przez Yseult, oglądała go z uwagą i zdobyła istotne informacje. Może znowu coś takiego się uda, tylko najpierw musi się przygotować, żeby móc obserwować, nasłuchiwać i się uczyć.

Przeniknie przez Yseult, zdecydowała. W tej chwili wiedźma jest słabym ogniwem.

Chcesz mnie otruć, tak? Otruć, a potem taką bezradną i pokonaną rzucić Odranowi do stóp? Wykorzystując do tego krew dziecka?

Ty nędzna, nikczemna zdrajczyni, jeszcze zobaczymy, kto komu i za co zapłaci.

O brzasku usłyszała pierwsze trele skowronka. Oddech parował, zamarznęta ziemia chrzęściła pod butami.

Gdy sięgała do klamki, akurat z domu wyszli Brian z Keeganem.

– Szybko się uwinęliście ze śniadaniem – zauważyła.

– Łatwo wchodziło.

– Ponieważ to była moja kolej – odezwał się Brian. – Podwójne dzięki.

– Rodzina Moreny przylatuje dziś ze Stolicy. Moja matka i Minga zabierają się razem z nimi.

– Miło będzie znowu ich wszystkich zobaczyć.

Keegan omiótł wzrokiem jaśniejący horyzont.

– Taa. – Kiwnął głową. – Trzymaj przy sobie Marco i psa, dopóki nie stworzymy odporności.

– Dobrze. Będę u babci, porozmawiam z nią o tym.

– Ja teraz do niej idę. Nie – sprzeciwił się, zanim zdążyła otworzyć usta. – Przekazałaś nam to, co potrzebne. Teraz zajmij się swoimi sprawami, a potem przyjdź. Być może Marg będzie potrzebowała pomocy mojej matki. – Nachylił się i ją pocałował. – I nie spóźnij się na trening.

Gdy skręcili w stronę lasu, Fąfel pogonił za nimi, rozpryskując fontanny wody.

– Dzisiaj dobrze pilnuj swojej pani – nakazał mu Keegan i energicznie go pogładził, żeby osuszyć sierść.

– Mogę zostać – zaproponował Brian, gdy wchodził do lasu. – Albo kogoś przysłać.

– Nie, to tylko by ją wkurzyło. Jest rozważna, poradzi sobie. Ale poślę sokoła do matki, poproszę, żeby niezwłocznie przyleciała ze smoczym jeźdźcem. Im prędzej zneutralizujemy działanie tej trucizny, tym lepiej.

– Nikt ani nic nie przecisnie się przez portale.

Keegan pokręcił głową.

– Pozostają portale do innych światów. Jeżeli Yseult zechce się przedrzeć albo przysłać skryto-

bójcę, znajdzie sposób. To może zająć jej trochę czasu, ale na pewno się uda.

– Przecież Breen mówiła, że Yseult jest osłabiona.

– To prawda. Rzucanie zaklęcia wzmocniło ją tylko na jakiś czas. Na jej miejscu wykorzystałbym to, co ma w sobie, do otwarcia okna. Stworzenie takiego czasowego portalu wymaga mocy i siły, ale skupiłbym się właśnie na przejściu do któregoś z niestrzeżonych światów. I posłałbym tam skrytobójcę z trucizną, który mógłby swobodnie przemieszczać się między światami.

– Niemniej ten ktoś i tak musiałby niespostrzeżenie przejść przez nasze warty.

– Mógłby spróbować dopaść Breen po tej stronie. Co prawda Marg otoczyła chatę i okolicę silnym ochronnym zaklęciem, ale mógłby podjąć taką próbę. Po tej stronie najskuteczniejsi byliby hybrydzi. Sowa zakradająca się pod osłoną ciemności, pies przyczajony pod śniegiem na północy.

– Tak właśnie to zrobię, a przynajmniej spróbuję.

Doszli do drzewa. Keegan podciągnął się na konar.

– A może zabójca jest już w Talamh, a Yseult musi tylko znaleźć sposób na przekazanie trucizny.

– Niestety, są tacy wśród nas.

Obaj przeszli przez drzewo do Talamh.

– Na pewno znajdzie się chętny. – Keegan rozejrzał się po dolinie, zieleniach i złocie budzących się w miękkim świetle brzasku. – Ale my sprawimy, że będą gorzko tego żałowali, zanim z nimi skończymy.

Rozdział 5

Keegan poszedł najpierw do Harkena. Zastał go w kuchni, siedzącego już w roboczym ubraniu nad filiżankę czarnej jak smoła herbaty, która zapewne zwałaby z nóg jego medalową krowę.

– Ha, w sam raz na poranne dojenie.

– Nie, dzięki. Muszę porozmawiać z Marg, ale najpierw chciałem zajrzeć do ciebie.

– Kłopoty?

– Mogą się pojawić. Breen miała sen. Widziała w nim, jak Yseult warzy eliksir i układa zaklęcie.

Breen twierdzi, że wiedźma nadal jest osłabiona.

– Lepsza byłaby martwa – podsumował Harken i wypił parę łyków herbaty.

– Przysięgam na honor naszego ojca, że ten dzień nadejdzie. Breen spisała, z czego Yseult robiła eliksir i co przy tym mówiła – powiedział Keegan i podał kartkę Harkenowi.

Ten odstawił filiżankę. Kiedy czytał, jego twarz tężała z gniewu, niebieskie oczy robiły się zimne jak lód.

– Ona lubi się znęcać nad dziećmi jak zła czarownica z bajek.

– Archetyp, prawda? Może ona i jej podobne stanowią pierwowzór w tych historiach.

– Uprawia czarną magię, najczarniejszą z możliwych.

– Bracie, sam to widzę.

– Potrzebna tarcza obronna. Taka chroniąca wewnątrz i wokół. Aisling powinna...

– Wiem, że to zabobony – uciął Keegan. – Ale nie chcę czegoś tak ciemnego wokół niej, gdy jest tak blisko rozwiązania.

– Zabobony czy nie, masz rację. Myślę o tynkturze oraz ochronnym zaklęciu. O słowach chroniących w środku i na zewnątrz. Breen jest silniejsza od Yseult, dlatego ta wiedźma stworzyła zaklęcie, które ma podstępnie uderzyć z potworną siłą.

– Gorzej niż zabić. Szykuje dla Breen wypełnioną cierpieniem żywą śmierć, aby Odran mógł wysssać z niej krew. A ból? To już zemsta Yseult.

– Ma gotowy plan.

– Tak, i myślę, że wkrótce zechce wprowadzić go w czyn. Kiedy najlepiej uderzyć jak nie w czasie radości? Przesilenie zimowe, Yul, ślub, narodziny.

– Shana nosi dziecko Odrana – rzucił Keegan i zabrał kartkę.

Gniew przygaśł na twarzy Harkena.

– Och, żal mi go. Ale jej nie. Nie umiem w sobie wykrzesać nawet odrobiny współczucia dla niej. Próbowала rzucić urok na ciebie, skrzywdziła przyjaciółkę. Usiłowała odebrać życie Breen, o mało nie uśmierciła małego chłopca. Zabiła mężczyznę, który ją kochał. To były jej własne wybory.

– To prawda i zapłaci za nie wysoką cenę. A teraz musimy skupić się na najważniejszym. Poślę sokoła do matki z prośbą, żeby przyleciała pomóc nam tworzyć tarcze.

– Ja się tym zajmę. Amisz jest niedaleko. Morena jeszcze śpi, ale on da mi się przywołać i zanieś wiadomość.

– Dobrze. A ja porozmawiam z Marg. Wrócę najszybciej, jak się da.

Po wyjściu Keegana, Harken usiadł i napisał wiadomość. Z filiżanką zimnawej herbaty poszedł zawołać jastrzębia i dopiero potem zabrał się do porannego dojenia.

Keegan spędził godzinę na poufnej rozmowie z Marg, po czym przywołał Crogę i poleciał na wymianę barterową do Trolli po specyfiki potrzebne Marg do sporządzenia zaklęcia gwarantującego odporność.

Kiedy wrócił, Marg z Tarryn siedziały w kuchni i omawiały szczegóły.

– Szybko przyleciałaś.

– Rzeczywiście. – Tarryn nadstawiła policzek do powitalnego pocałunku. – I wyznam, że prawie zapomniałam, jak ekscytujące jest latanie na smoku. Masz wszystko, o co prosiła Marg?

– Tak. Trolle nie chcieli niczego w zamian.

Tarryn z uśmiechem niedowierzania wyprostowała się na krześle.

– Trolle odmówili wymiany?

– Tak. Sul się nie zgodziła. Bezpieczeństwo Córkę Fey nie ma ceny.

– Breen zrobiła na nich wrażenie. – Marg się uśmiechnęła. – A co słychać u Sul?

– Mówi, że wszystko dobrze i rzeczywiście na to wygląda. – Jest już wysoko... – Wyciągnął ręce i splótł je na wysokości brzucha. – Pytała, kiedy Breen znajdzie czas, żeby ją odwiedzić.

– Znajdzie – orzekła Marg. – Na razie Breen będzie nam potrzebna.

– W czym miałyby pomóc?

– Większa moc – wyjaśniła Tarryn. – Więcej światła. Harken i ty też się przydadcie. I jeszcze dwie osoby, które sam wyznaczysz. Tylko nie Aisling.

– Nie Aisling, absolutnie nie. A kiedy się zbierzemy, w siedmioro udamy się w ruiny, gdzie błąkają się uwięzione duchy. Czas je uwolnić, odesłać do światła albo ciemności.

– Nie takiego powrotu do domu chciałem dla ciebie.

– Ale jestem w domu. – Wyciągnęła rękę i uściśniła dłoń Keegana. – A kiedy z tym się uporamy, czeka nas wyłącznie radość.

– Kiedy i gdzie chcecie zwołać kowen?

– Musi być jeszcze jasno, a więc najlepiej godzinę przed zachodem słońca. – Marg spojrzała na Tarryn, a ona przytaknęła głową. – Wiem, że trenujesz z nią o tej porze, ale to najlepszy czas.

– Nadrobi zaległości.

– Na pewno, a ty tego dopilnujesz. Tarryn, co myślisz o tym, żeby spotkać się nad zatoką?

– Tak, zdecydowanie na dworze z elementem wody, światłem, ziemią pod stopami, powietrzem wokół i ogniem, który rozpalimy. Pójdę teraz do Aisling, zobaczyć dzieciaczki. – Poklepała Marg po dłoni i podniosła się z krzesła. – Wrócę pomóc ci w przygotowaniach. I nie martw się, dopilnujemy, aby twoja dziewczynka była bezpieczna.

– Wiem, znam cię.

– Keeganie, odprowadź mnie, a potem zajmiesz się swoimi obowiązkami.

Pomógł jej włożyć okrycie i przy okazji zgarnął herbatnik z patery.

– Pogodny dzień – ucieszyła się Tarryn, gdy wyszli na zewnątrz. – Zimny, rześki i bezchmurny, taki jak powinien być. Nie zapytam cię o weselne plany, bo pewnie nie masz o nich pojęcia.

– Coś tam wiem.

– No to opowiedz swojej mamie – rzuciła i wzięła go pod ramię.

– Harken cały dzień i pół nocy chodzi rozśpiewany jak ptak. A Morena, która nigdy nie poświęcała zbyt wiele uwagi swojemu wyglądowi, zastanawia się nad butami, fryzurą i takimi tam rzeczami. Bez przerwy muszę tego wysłuchiwać, kiedy znajdę się u nich. Marco ma zająć się muzyką i jedzeniem.

– On zadomowił się w dolinie.

– Dobry człowiek z tego Marco. A jak rodzina Moreny?

– To wesele jest darem bogów. Mówię ci. Są w żałobie, ale ten związek napełnia ich serca radością. I moje też, bo wiem, że mój chłopiec żeni się z kobietą, którą kocha i którą ja też darzę miłością, podobnie jak ty.

– Zawsze była dla mnie jak siostra, a teraz oficjalnie nią zostanie. Cieszę się, mammo, że tak szybko tu dotarłaś. Muszę cię zapytać, czy na pewno chcesz w tym uczestniczyć? Duchy cały czas błąkają się i jęczą w tamtym przeklętym miejscu.

– W Samhain mogłyby błąkać się między nami i niejednego z nas pozbawić życia, gdyby Breen w tamten dzień nie udała się na grób ojca i tam tego nie poczuła. Owszem, zasklepiliśmy ruiny, ale pieczęć długo nie wytrzyma. Chciałem zająć się tym w przesilenie zimowe, no ale będzie wesele. Więc zrobimy, co mamy zrobić i załatwimy sprawę. Chyba że uważasz inaczej, *taoiseachu*.

– Nie. Najlepiej z tym nie zwlekać. Masz rację. A teraz muszę cię zostawić. – Pocałował matkę w oba policzki, a jakby to mu nie wystarczyło, jeszcze przytulił ją do siebie. – Najpierw wyznaczę tych dwoje, a potem zajmę tym, co mam w planie.

Przywołał Crogę i odleciał, bo zamierzał sprawdzić, co słychać na Dalekim Zachodzie.

Tarryn skręciła na farmę. Na widok starszego wnuka kłusującego na urodzinowym koniu na padoku przystanęła z rękami wspartymi na biodrach i szerokim uśmiechem na twarzy.

Dobrze się trzyma w siodle, oceniła, swobodnie. Och, i jest jej dziewczynka, obserwuje go, z jedną dłonią na oczekiwanym dziecku i drugą na ramieniu młodszego synka.

Finian zauważył ją z siodła i machał do niej jak szalony.

– Babciu, babciu! Popatrz na mnie! Babciu!

Och tak, patrzę, patrzę, odparła w myślach.

Kavan z radosnym okrzykiem wywinął się spod ręki Aisling. Biegając, rozwinął małe skrzydełka i oderwał się od ziemi.

Jak one szybko rosną, pomyślała Tarryn, przyciskając dłoń do ust. Jak szybko.

Otworzyła ramiona, by malec mógł w nie wlecieć.

Aisling stała nieruchomo, łzy ciurkiem płynęły jej z oczu.

– Pierwszy raz oderwał się od ziemi. Naprawdę wzleciał. Och, mammo, to jego pierwszy lot.

– Ale nie ostatni. – Tarryn obsypywała buzię chłopca pocałunkami, niosąc go w stronę padoku. – Nie twój ostatni, ani ostatni kłus twojego braciszka. To dla was dopiero początek, moi słodcy chłopcy. Przysięgam na wszystkich bogów, że zapewnimy wam bezpieczną przyszłość.

*

Kiedy Breen z Marco i Fąflem przeszli do Talamh, od razu zobaczyli przybyłych. Konie i smoki, wróżki i jeźdźców ze Stolicy. Przypomniała sobie tamten pierwszy raz, gdy ujrzała podobną kawalkadę i swoje zdenerwowanie przed spotkaniem z matką Keegana i całą resztą.

Teraz było inaczej, już rozpoznawała twarze.

Patrzyła, jak Tarryn przytrzymuje za uzdę konia Mingi, pomagając jej zsiąść, i jak Flynn zsadza z grzbietu smoka owdowiałą synową i wnuka.

– Hej, jest Hugh. – Marco uniósł dłoń w powitalnym geście. – Ciekawe, jak jego żona radzi sobie na północy.

– Idź go zapytać.

– Poczekam, aż te wypasione smoki odejdą na bok.

– Tchórz.

– Niech ci będzie.

Roześmiana, zostawiła Marco, przeszła przez murek i skierowała się do Sinead.

– Witaj w dolinie! – powiedziała, zamykając ją w objęciach.

– Stęskniliśmy się za tobą, choć niedawno wyjechałaś. I popatrz na nią. – Sinead uściskała stojącą obok Morenę. – Już promienieje jak panna młoda, a przecież dopiero nią będzie.

– Mamo.

– A co, mówię nieprawdę? A oto i szczęśliwy pan młody. – Wyciągnęła ramiona do Harkena.

– Najszczęśliwszy, jakiego nosi ziemia – zgodził się z nią. – Witam, matko. Pewnie podróż musiała zmęczyć Noreen. W domu czeka herbata i wszystkie pokoje są przygotowane, gdybyś chciała zabrać ją i małeństwo do środka i pomóc im się ulokować.

– Masz dobre serce i rozum. Tak zrobię. Ta dziewczyna to dla mnie skarb. – Po tych słowach oczy Sinead zasnuły się łzami.

Harken ponownie ją pocałował.

– I dla nas wszystkich, tak jak i ty. – dokończył.

– Pójdę z tobą – zaproponowała Breen.

– Szczerze mówiąc, jesteś potrzebna w innym miejscu. Ale myślę, że możemy poprosić Marco. – Harken obejrzał się, skinął na Marco, uśmiechnął się półgębkiem i wzruszył ramionami. – Nadal trzyma się z daleka od smoków, co? W takim razie ja pójdę do niego. Moreno, pomożesz rodzinie się rozlokować?

– Naturalnie. Mamy ochotę urządzić ucztę wieczorem – opowiadała, prowadząc Sinead pod łokieć. – Jednak to zależy od Marco.

Flynn podszedł do Breen i uściskał ją na przywitanie. Dołączyli do nich Seamus, Maura i dzieci. Kiedy się z nimi witała, zauważyła Harkena i Marco pogrążonych w rozmowie. Chwilę później Marco, nie zważając na obecność smoków, przeszedł przez niski kamienny murek.

– Namówiliśmy Marco, żeby przygotował któreś ze swoich słynnych dań. – Harken przyjaźnie klepnął go w ramię. – Finola już spieszy z pomocą. A Sinead też chętnie zajrzy do kuchni.

– Marco nigdy nie potrzeba namawiać do gotowania – zauważyła Breen, ale wyczuła, że nie tylko o to chodzi. – Co się dzieje?

– Potrzebują ciebie gdzie indziej. Aha, oto i moja matka.

– Breen Siobhan i ty, Marco, jak miło was widzieć. Słyszałam, że wieczorem czekają nas kulinarne rozkosze.

Marco, niezmiennie zauroczony Tarryn, ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

– Jesteś taka piękna – stwierdził.

– Och, jasne. Chciałabym, żebyś zamieszkał w zamku, mógłbyś wtedy codziennie mi to powtarzać. Później sobie pogawędzimy, teraz jestem potrzebna gdzie indziej.

– Coś się kroi – mruknęła Breen.

– Rzeczywiście. Chodź! – Tarryn poklepała Breen po plecach, a potem pogłaskała Fąfla. – Zbierajmy się.

– Chciałabym wiedzieć, o co chodzi.

– Czas na magię – wyjaśniła Tarryn, kiedy smoki, wachlując skrzydłami, wzbiły się pod niebo. –

Jasną i świetlistą. Twój sen, moja kochana. Pracowałyśmy nad nim z Marg, teraz musimy tylko pokrzyżować szyki Yseult.

Breen spojrzała w dół. Marco nie ruszył się z miejsca i odprowadzał ją wzrokiem.

– Nie chciałaś, żeby Marco poleciał ze mną.

– Naturalnie byłby mile widziany, jak wszędzie w Talamh. Jednak bardziej przyda się na farmie, zajmie czymś Sinead i resztę rodziny.

– Morena wie – dodał Harken. – Co do reszty, to uznaliśmy, że nie ma sensu wprowadzać ich w sytuację. Niech chwilowo odpoczną od problemów.

– No jasne, racja. Noreen wygląda na zmęczoną. Do czego mnie potrzebujecie?

– Będzie nas siedmioro – zaczęła Tarryn i objasniła plan.

Przed zakrętem do chaty Marg, Breen się zatrzymała.

– Chcecie załatwić obie sprawy naraz, jedną po drugiej? Odporność dla mnie, tarczę czy jakkolwiek to nazwiecie oraz opróżnienie i konsekrację dawnego Domu Modlitewnego Świętobliwych?

Tarryn z władczym wyrazem twarzy uniosła brew.

– Uważasz, że sobie nie poradzimy?

– To... trudne zaklęcia. Według mnie to może poczekać. Jestem ostrożna, zresztą już raz ją pokonałam, więc...

– Nie, i w tej chwili mówię do ciebie jako matka *taoiseacha* i jego prawa ręka. Ten wizjonerski sen był ostrzeżeniem, a ostrzeżenia wymagają natychmiastowej reakcji. Wiele ryzykujesz, wypełniając swoje zadanie i akceptując przeznaczenie, a my mamy obowiązek chronić cię najlepiej jak umiemy.

– Prosiłam o drugie zaklęcie, ponieważ zebrani będziemy silniejsi. Musimy przywołać moce i je utrzymać. Prosiłam, bo Yseult w przesilenie może spróbować wprowadzić w czyn to, czego nie udało się jej dokonać w Samhain. Mój syn będzie miał ślub, córkę czeka poród i żadna mroczna wiedźma tego nie zakłóci. Nie pozwolę na to.

Harken cmoknął matkę w czubek głowy.

– Lepiej odpuścić, *deirfiur*. Kiedy moja matka mówi, że na coś nie pozwoli, to koniec dyskusji.

I Breen odpuściła.

Słońce jeszcze świeciło, gdy przenieśli się spod chaty Marg nad zatokę. Breen teraz już rozumiała zaklęcie i swoją w nim rolę. Ufała, że kowen wybrany przez Tarryn i Keegana utrzyma moc.

Na pożółkłej łące zauważyła dzieci, które w myślach nazywała Gangiem Sześciorga. Bawiły się w jakąś grę, która polegała na odbijaniu kijami czerwonej piłki. Widziała, jak łania z kosmatym jelonkiem zniknęła między drzewami. Na stoku góry grupa Trolli szła po skalnej półce, wracając do obozowiska po fedrowaniu. Na drzewach otaczających pobliską chatę połyskiwały kryształowe kulki i dzwonki; znak że nadchodzi Yul.

Życie toczy się zwykłym trybem w to pogodne grudniowe popołudnie, pomyślała Breen.

Jednakże to, co oni będą robić na plaży przy zakolu zatoki, nie będzie zwyczajne.

Marg z włosami wzburzonymi przez wiatr stanęła obok Breen i czekała.

– To dla ciebie – Tarryn zwróciła się do Marg, a Keegan przytaknął ruchem głowy.

– To dla ciebie.

Marg skinęła głową i wysunęła się krok do przodu.

– Dziękuję wam za użyczenie waszej mocy i wiary, dziękuję za światło, które uderzy w mrok. Ta oto Córka Fey jest droga nam wszystkim, a mnie szczególnie, bo jest córką mojego syna. Jestem wam wdzięczna, wdzięczna wszystkim tutaj stojącym.

Do przodu wysunął się Rowan ze Stolicy.

– Jest nas siedmioro i jesteśmy jednością.

Wszyscy, idąc w jego ślady, wysuwali się i powtarzali te same słowa. A potem na łupkowej plaży ustawili świece na linii okręgu.

Rozpięli magiczny krąg, wzywając Strażników Wschodu, Zachodu, Północy i Południa. Gdy duchy strażników czterech żywiołów trafiły do kręgu, świece zapłonęły. Breen poczuła w sobie i wokół siebie pierwsze pulsowanie mocy.

Keegan umieścił kamień w samym środku kręgu.

– Oto kamień wydobyty z głębokich jaskiń, święty dla plemienia Trolli. Dar siły.

Tarryn postawiła na nim miedziany tygiel.

– Oto tygiel wykuty przez ich plemię do doniosłych rytuałów. Dar przeznaczenia.

Harken na kamieniu obok tygla rozsypał białe kryształy i garść pyłu wróżki.

– Oto pył i kryształy ofiarowane przez Sidhe, dar światła.

– Oto gałąź sosny i żołędzie od plemienia Elfów z Cichego Lasu. – Rowan położył je na kamieniu. – To jest dar życia.

– Oto pióra i futro dane przez plemię Hybrydów. Dar ducha.

– Oto trzy muszle i trzy ukryte w nich perły, cenne dla plemienia Syren. – Tarryn położyła darowiznę. – Dar ducha.

Ponownie do kręgu wszedł Keegan i dodał czerwony kamień.

– Oto serce smoka, umieszczone tutaj ręką jeźdźca smoków. Dar lojalności.

– A oto – zaczęli razem wszyscy siedmioro – my należący do Widzących ofiarujemy świętą i cenną moc łączenia. Dar jedności.

Gdy Breen wysunęła się do przodu, czuła na skórze i pod nią pulsowanie tego, co wzbierało w kręgu.

– Jestem Córką Fey, Córką człowieka, Córką bogów. Jestem z Talamh, jestem mostem do świata poza nim. Jestem dzieckiem i służebnicą światła. Oto pod tym światłem proszę o ochronę przed czarną magią przeciwko mnie tworzoną przez tych, którzy dopuszczają się deprawacji rzemiosła i daru. Nie proszę o życie dla siebie, lecz dla wszystkich, abym mogła dać odpór siłom ciemności i przynieść pokój światom. Jeżeli takie jest moje zadanie, mój cel, moje przeznaczenie, ja jedna z siedmiu, łączę siedmiu w jedność do stworzenia zaklęcia.

Kiedy mówiła, kamień pod tygłem się rozżarzył.

Zerwał się wiatr, powietrze wokół niej zawirowało, ale kamień i świece płonęły jasno.

– Bogowie światła – odezwała się Marg – bądźcie świadkami naszej wiary, jednego z siedmiu, siedmiu w jedności, że to, co tu robimy, nie może być zniweczone.

– Nie przez magię zrodzoną w mroku. – Tarryn bez wahania wyjęła z płomieni jeden z darów i przełożyła go do tygla.

– Nie przez tych, co noszą piętno Odrana – odezwał się Keegan, idąc w ślady Tarryn.

Każde z nich po kolei powtarzało te same słowa i sięgało do ognia.

Breen wyciągnęła ręce do ognia, a gdy gorący i mocny przepłynął przez nią, miała wrażenie, że sama zmieniła się w płomień.

Nie czuła bólu, tylko gorejącą w niej moc.

– Ziemio, powietrze, ogniu, wodo przybywajcie chronić i osłaniać waszą pokorną córkę. Mieszajcie się i wrzycie, aby wyczarować puklerz przeciwko truciznie ukazanej mi we śnie. W tym miejscu, o tej godzinie składam wam wszystkim wyznanie wiary. Bronimy światła; walczymy z mrokiem. Jeden z siedmiu, siedmiu w jedności, plemię za plemieniem, dopóki się nie dokona.

– Cały Talamh do was woła. Niech z waszej woli tak się stanie.

Rozległ się trzask pioruna. Płomienie, sunąc po jej ramionach, owijały ją złotem, czerwienią i błękitem. Ich żar był jak objęcia, ich moc pozbawiła ją tchu.

Tysiące głosów śpiewały w jej uszach. Potem głosy umilkły, kamień z powrotem był kamieniem. Ale moc nadal w niej pulsowała.

Keegan wziął czarę, przechylił tygiel i nalał do niej zielonego płynu w osobliwym odcieniu wody w jeziorze i rzece przy wodospadzie.

– Pij, Cóрко. To też jest wiara.

Wzięła czarę i wypila jej zawartość, nie odrywając oczu od Keegana.

– Oto wola bogów – odezwała się Marg. – Oto dokonało się zaklęcie i nie będzie złamane.

– A więc zamknijmy ten krąg i przenieśmy powstałą tu moc do nowego kręgu. – Tarryn położyła dłoń na ramieniu Breen. – Poradziłaś sobie lepiej niż dobrze.

– To niesamowite. – Nie czuła się jak jedna z siedmiu, lecz jak jedna ze wszystkich, ze wszystkiego. – Słońce zachodzi.

– Trochę to trwało.

– Straciłam poczucie czasu. – Przeciągnęła dłonią po włosach i dopiero teraz poczuła, że wysunęły się spod frotki.

– Podobają mi się rozpuszczone. – Keegan wziął ją za rękę. – Chodź, przywołaj smoka. Lecimy dokończyć dzieło. Jaki miał smak? Ten eliksir?

– Smakował jak moc. Właściwie trudno to nazwać smakiem, ale...

– Tyle wystarczy mi za odpowiedź.

Moc jej nie opuszczała, kiedy leciała z plaży nad zatoką do ruin. Piętrzyły się szare, spękane i na swój sposób dziwnie piękne w poświęceniu półksiężyców. Lustrzane księżycy płynęły po nieboskłonie, a przebudzone gwiazdy rzucały białe, twarde światło na kamienie nagrobne, kwiaty, wysokie trawy na

cmentarzu, na skalny krąg na wzgórzu i wysoką okrągłą wieżę.

Miejsce, gdzie Świętobliwi przeciągnięci przez fanatyzm na stronę mroku gnębili, torturowali i składali ofiary z Fey.

Breen stała na wzniesieniu odwrócona twarzą do ruin, które swego czasu zasklepiły z Tarryn magią, ich krwią i krwią z łapy Fąfla, bo do zaklęcia potrzebowały krwi trojga.

Fąfel, stojąc przy niej, wydał ciche ostrzegawcze warknięcie. Chciała go uspokoić, a gdy pogładziła go po łbie, poczuła, że on drży.

– Kiedyś święte miejsce – odezwała się Tarryn. – Dawno, dawno temu. Owo miejsce modlitwy i dobrych uczynków, w którym rozum panował pospołu ze współczuciem, opanowały fanatyzm i okrucieństwo inspirowane przez fałszywą wiarę i fałszywych bogów.

– W imię fałszywej wiary i mrocznego boga czarna magia nadała kształt duchom ociekającym krwią, aby zdławiły światło. Nigdy więcej – Marg zastąpiła Tarryn – tak powiedzieli Fey dawno temu. Nigdy więcej, mówi siedmiu tego wieczoru.

– To miejsce znowu będzie świętym – zadeklarował Keegan z dłonią wspartą na jelcu miecza. – Zostawimy te ruiny, oczyścimy je, oczyścimy ziemię pod nimi i powietrze wokół nich. Niech, jak zostało zapisane, stoją tutaj jako przypomnienie zepsucia w mroku. Tak powiada siedmiu w ten wieczór.

– Uwolnimy zamknięte w nich duchy – odezwał się Harken, stojący z drugiego boku matki. – Wyślemy je w światło albo w mrok, zgodnie z życiem, jakie prowadziły. Tak mówi siedmiu w ten wieczór.

– I z tym niewinnym sercem, którego krew połączyła się z moją i krwią matki *taoiseacha*, czyniąc go świadkiem aktu pieczętowania, przybyliśmy złamać pieczęć. Tak mówi siedmiu w ten wieczór.

Breen ostatni raz pogładziła Fąfla i poleciła mu stanąć ze wszystkimi do rozpięcia kręgu.

Słyszała ich. Słyszała jęki i zawodzenie torturowanych, wycie i ryki oprawców. Wszyscy zamknięci w środku, szturmowali i napierali na pieczęć.

Siedmiu stanęło wewnątrz kręgu, złączyło dłonie, połączyło głosy i moc.

Gdy przemówiła, czuła w sobie wibrowanie mocy.

– Przybyliśmy w ten wieczór ze światłem i oto rozlewa się ono, sięgając nieżywych. Mroczne duchy uwięzione w środku, zbieracie żniwo ciemności, którą wybraliście. Wasze grzechy są wielkie, wasz los przesądzony.

– Niewinne dusze, nadchodzi koniec waszych cierpień, siedmiu posyła w światło wszystkich torturowanych i zgładzonych. W ten wieczór ze światłem kończy się wasza niedola.

I światło mocne jak blask w południe rozlało się po wzniesieniu, pokryło ziemię i kamienie.

Oddychało i śpiewało, a wtórował mu kamienny krąg na wysokim wzgórzu.

Wiatr targnął peleryną Marg, gdy przemówiła głosem mocnym i czystym.

– Co magia zamknęła, teraz niech otworzy. Niech pęknie pieczęć i zgodnie z naszą wolą oswoodzi wszystkie dusze, pośle je w światło lub ogień.

Gdy stare podwoje rozwarły się z hukiem, zadrżała ziemia i krzyki wypełniły powietrze, Keegan wyciągnął miecz.

– Ja *taoiseach* wzywam was na Osąd. Wychodźcie po pokój lub karę. – Uderzył klingą o kamienie i Defensor zapłonął płomieniem czerwonym jak krew. – Uwalniamy was z tego świata. Z naszej woli niech tak się stanie.

Wychynęły z ruin i te piękne, i ohydne. Białe i ciemne kształty. Białe wzniosły się w górę. Breen czuła ich wielką ulgę, wręcz radość, gdy szybowały do skalnego kręgu na wzgórzu. Ciemne pełzły z wrzaskiem i piskiem, zmieniały się w ogień, potem w popiół i wreszcie w nicość.

Skalny krąg na wysokim wzgórzu śpiewał powitalną pieśń, pod wzgórzem palił się ogień. Keegan z uniesionym płonącym mieczem stał nieruchomo jak posąg.

I nagle zapadła martwa cisza.

– Oto się dokonało – oznajmił, chowając miecz do pochwy.

Rytuały oczyszczające i uświęcające zajęły im wiele czasu, ale Breen po szaleńczym przyplwywie mocy to działanie wydawało się lekkie i kojące.

Po raz pierwszy weszła w ruiny z grubymi murami, filarami, grobami, kręconymi schodami i ołtarzami.

– Nadal wyczuwam te dusze.

– To tylko echa – uspokoił ją Keegan. – Wspomnienia, nic więcej. To, co błąkało się tutaj, zarówno jasne jak i mroczne, zniknęło, ale mury stoją i stać będą. Nie zapomnimy.

– Widziałam... niektóre duchy szybujące do skalnego kręgu były bardzo małe, Keeganie. To

dzieci. I chyba dostrzegłam też kształt kobiety z niemowlęciem na rękach. Co sprawia, że ktoś torturuje i zabija dzieci?

– Wszystko bierze początek z mocy – odpowiedział po prostu. – Zarówno dobro, jak i zło. Oni teraz odpoczywają w pokoju, bo my mieliśmy moc. Nie zapominaj o tym.

Jak mogłaby zapomnieć, skoro ta moc w niej żyła?

– Dajcie mi jeszcze chwilę. Mój ojciec...

Odchodząc, zauważyła, że trawa i kwiaty znowu pachną, a powietrze jest krystalicznie czyste. Z Fąblem u nogi stanęła nad grobem ojca.

– Czy wierzyłeś, że kiedyś znajdę się tutaj i pomogę to zrobić? Chciałabym, żebyś o tym wiedział. Na pewno byłeś tam i witałeś uwolnionych. Czułam to, czułam twoją obecność.

Zobaczyła Marg. Szła do niej po trawie, klucząc między nagrobkami. Zaczekała na nią.

– Babciu, czułaś, że on jest z nami?

– Tak, czułam. I czułam, że jest dumny z ciebie, tak samo jak ja, *mo stor*.

– Nigdy nie uczestniczyłam w czymś tak doniosłym. Ten wieczór przepęlnia dobroć, miłość i troska. Wiem, że do walki musimy używać mieczy i strzał, że nie unikniemy przemocy, ale w końcu dobro zwycięży. Być może brzmi to naiwnie, choć w tej chwili mocno w to wierzę.

– Tak się stanie. Wróc teraz na farmę, zjedz posiłek, który przygotował Marco. Na pewno ugotował coś pysznego.

– A ty nie dołączysz do nas?

– Wracam do chaty, do Sedrica. Usiądziemy przy kominku ze szklaneczką whiskey. Chcę ten wieczór spędzić z moim mężczyzną, czuć jego bliskość, cieszyć się nią.

– W takich razie jutro zobaczę was oboje.

– Świetliste błogosławieństwo, Breen Siobhan.

– Świetliste błogosławieństwo, babciu – powiedziała wnuczka na pożegnanie, gdy smok Marg ślizgiem opuścił się na drogę.

Odwróciła się i patrzyła na Keegana, który zbliżał się do niej długimi krokami.

Nie była pewna, czy może go nazwać swoim mężczyzną, ale chciała z nim spędzić ten wieczór, czuć jego bliskość, cieszyć się nią.

Rozdział 6

Dzień zimowego przesilenia wstał bezchmurny i chłodny. W Chacie Fey Marco, ranny ptaszek, krzątał się w kuchni, przygotowując coś, co nazwał Ekstrawaganckim Późnym Śniadaniem w Dniu Ślubu.

Breen wołała nie płatać mu się pod nogami. Jednak tym razem zamiast porannej gimnastyki rzucała się w wir domowych porządków.

Czekali na gości. Panna młoda, jej matka, babka, szwagierki, przyszła teściowa, Marg i Minga przyjdą do nich na późne śniadanie, połączone z układaniem włosów, strojeniem się, degustacją wina i dopinaniem ostatnich szczegółów związanych z tym wyjątkowym dniem.

Breen zależało, żeby chata lśniła czystością, na podwórku panował porządek i żeby wszędzie było mnóstwo kwiatów. Jeszcze nigdy nie przyjmowali u siebie tylu osób naraz i przyznawała uczciwie, że wizyta gości ze Stolicy budziła jej zdenerwowanie.

W dniu ślubu najstarszej przyjaciółki, w chacie podarowanej przez Marg wszystko musi wypaść idealnie.

Marco, jedyny mężczyzna, zapewne miał podobne odczucia co do śniadania, bo od wielu godzin uwijał się w kuchni w towarzystwie Fąfla.

Tylko na moment oderwał się od płyty i wysunął nos z drzwi kuchni, żeby rzucić okiem na nakryty stół.

– O rany, Breen, zupełnie jak zdjęcie w Magazynie Marthy Stewart!

Cofnęła się i omiotła wzrokiem dekorację na środku stołu – kulisty wazon z przezroczystego szkła na kryształowej podstawce z kompozycją kwiatów i ziół, starannie porozstawiane światełka, kieliszki do szampana i szklanki do wody oraz tęczowe serwetki z wielkim trudem poskładane artystycznie na śnieżnobiałych talerzach.

– Nie przesadziłam?

– Dziewczyno, to wesele. Nie ma mowy o przesadzie w takim dniu. – Wynurzył się z kuchni i zerknął do salonu. – Super!

– Nie przegiełam? Nie za dużo kwiatów? Nie poniosło mnie z tymi bukietami?

– Jest jak w ogrodzie. I, rany, wszystko lśni. Ogień w kominku się pali, świece płoną, wszędzie kwiaty, poduchy spulchnione. Choinka się mieni. Szał, dziewczyno. A ja mam zaszczyt być częścią tego szalu. – Otoczył ją ramieniem. – I skończyliśmy w samą porę, bo oto nadchodzą nasze panie. Lecę nalewać koktajle. Zrobiłem mimozy.

Breen wyszła im na spotkanie. Tarryn przystanęła i objęła wzrokiem chatę.

– Naprawdę urokliwa. A twój ogród! Grudzień, a tu wszystko jeszcze kwitnie.

– Masz stąd piękny widok, prawda? – Sinead splotła dłonie i popatrzyła na zatokę. – Śliczny widok w śliczny dzień. Och, jest i słodki pies. – Nachyliła się i cmoknęła Fąfla w nos, a on z radości w szaleńczym tempie pomachał ogonem.

– Wchodźcie, wchodźcie, witamy.

Weszły, rozmawiając z ożywieniem. Ich radosne głosy wypełniły dom.

– Mimozy dla miłych pań – obwieścił Marco. – A dla pań przy nadziei weselny specjał.

– Wypijmy za pannę młodą – zaproponowała Tarryn.

– Pozwólcie, że ja wzniosę pierwszy toast. – Morena uniosła kieliszek. – Za rodzinę i najlepszych przyjaciół. Takiej rodziny i takich przyjaciół każdy powinien sobie życzyć. Dziękuję, że urządziliście dla mnie ten dzień. On na zawsze pozostanie w mojej pamięci. *Slainte!*

Sączyły drinki, rozmawiały, a potem przeniosły suknie, dodatki i biżuterię do sypialni, specjalnie przygotowanej przez Breen, i położyły na łóżku śpiące niemowlę.

– Noreen, jaka ona śliczna.

– Mój słodki aniołek. – Noreen odeszła od łóżka i odwróciła się do Breen. – Brenna ma oczy ojca. Widzę go w nich i to mi niesie pociechę. Bardzo za nim tęsknię, brakuje mi go każdego dnia, ale czuję ulgę, widząc go w jej oczach. A dzisiaj przynoszę jego radość ze szczęścia siostry. – Rozejrzała się. – To miłe, że udostępniłaś nam pokój, w którym piszesz swoje historie.

– To nasze pierwsze prawdziwe przyjęcie. Mam nadzieję, że apetyt ci służy.

– Nawet gdybym nie miała apetytu, zgłodniałabym przez te wszystkie cudowne zapachy.

– Chodźmy, siadajmy do stołu.

Na stół wjechały frittaty z dynią i kandyzowanym bekonem, małe lukrowane drożdżówki z jagodami i kremem, zapiekane francuskie tosty z owocami i mnóstwo różnych przekąsek.

– Jak ja teraz się zmieszczę w suknię ślubną – sapnęła Morena. – Marco, jesteś kuchennym czarodziejem.

– Tak, rzeczywiście, a czarodzieje nie myją naczyń. – Finola pogroziła mu palcem. – Jest nas tyle, że szybko się z tym uwiniemy. Kucharz i panna młoda mają wolne.

– Jestem za. – Morena uniosła kieliszek.

– Jeżeli tak uważacie, zajmę się włosami Moreny.

– Och, już czas? Jasne, poproszę. Marco, zrób mnie na bóstwo.

– Żaden problem, skoro już nim jesteś.

W odpowiedzi na ten komplement rozległ się entuzjastyczny szmer aprobaty.

Z sypialni doszło popłakiwanie niemowlęcia, ale Maura dała znak Noreen, żeby nie wstawała. Sama podniosła się od stołu. Stała wysoka i śniada z warkoczykiem wojownika zwisającym z krótko obciętych, gładko zaczesanych włosów i puginałem u pasa.

– Przyniosę ci ją. Tylko najpierw ją poprzytulam.

– Pewnie ma mokro.

– Pamiętam jeszcze, jak zmienić pieluszkę.

– No i mnie uprzedziła. – Sinead pokręciła głową. – Ja bym ją najpierw przewinęła, a potem przytuliła. A teraz Aisling dotrzymasz Noreen towarzystwa. Idźcie obie posiedzieć przy kominku z moją cudowną wnuczką, a my w tym czasie posprzątamy.

Jako kobiety przywykłe do takich zadań, szybko uporały się z myciem półmisków, miseczek, talerzy, garnków i patelni. Breen nastawiła muzykę, żeby cicho towarzyszyła ich rozmowom, no i śmiechom, gdy Finola z Marg dały krótki pokaz irlandzkiego stepu.

– Nie wiedziałam, że znacie ten taniec. Musicie mnie nauczyć.

– Na pewno nauczymy. Wyglądasz na taką szczęśliwą, jak nasza panna młoda.

– Dla mnie to nowa sytuacja. Nigdy nie przeżyłam czegoś tak sympatycznego. – Wstawiając butelkę szampana do wiaderka z lodem, Breen rozejrzała się po pokoju. – Mamy przyjaciół w Filadelfii, ale... nigdy u mnie w domu nie zebrała się grupa kobiet, które tak bardzo się lubią. I te wszystkie kwiaty, świece, choinka, dziecko karmione przy kominku. A na górze mój przyjaciel czesze moją przyjaciółkę na jej ślub.

– Morena nigdy nie zapomni, że poświęciliście jej czas, organizując to przyjęcie – odezwała się Tarryn. – A teraz – zaklaskała – moje panie, bierzemy się do dzieła. Musimy zająć się naszym wyglądem.

Breen słyszała śmiechy, gdy prowadziła do sypialni matkę i babkę panny młodej oraz matkę pana młodego.

Morena siedziała na wysokim stole, odwrócona plecami do lustra, a Marco, stojąc za nią zaplatał jej pszeniczo jasne włosy w cienkie warkoczki i przetykał je wąską srebrną wstążką z miniaturowymi dzwoneczkami.

– O Boże.

– Jest tak dobrze czy aż tak źle? On nie pozwala mi zobaczyć.

– Jest świetnie – zapewniła ją Breen, a Sinead, udając, że mdleje, powachlowała dłonią przed twarzą.

– Moja dziewczynka! – zawołała jej matka. – Znowu mam łzy w oczach. Wyglądasz jak z obrazka, kochanie. Rano Minga uczesała mnie i Tarryn. Przyznam, Marco, że trochę się obawiałam, że sobie z tym nie poradzisz. A tu proszę, robisz z mojej dziewczynki najpiękniejszą pannę młodą we wszystkich światach.

– Mamo.

– Ach, pozwól mi dziś ronić łzy i paplać. Tarryn, chodź, pomaluj mnie trochę, proszę. To mnie powstrzyma od płaczu.

Minga podeszła do Breen z kasetką.

– Uczeszę cię, Breen, jeśli chcesz.

– Och, cudownie. Nigdy nie wiem, co zrobić z włosami.

– Jak na taką, co nie wie, całkiem dobrze sobie radzisz. Masz jakiś pomysł?

– Nie, w ogóle.

– W takim razie pokaż mi swoją suknię i jeżeli mi ufasz, odpowiednio zajmę się twoją głową.

Minga ułożyła swoje włosy w swobodnie opadające loki, więc Breen bez obawy oddała się w jej ręce. Potem to, co działo się w sypialni, zapamiętała jako jeden wielki zamęt. Fryzury, kasetki z cieniami do powiek, akcesoria do makijażu, rozbieranie się bez oporów przy ciągle pracującym Marco.

Minga zajęła się włosami Breen. Spięła je z tyłu głowy dwiema klamrami w kształcie kwiatów,

zostawiając kilka wijących się pasem wzdłuż twarzy, po czym odpłynęła ze swoją kasetką, żeby nadawać ostatnie upiększające szlify wszystkim chętnym.

Marco wreszcie się cofał z głośnym westchnieniem.

– No dobrze, teraz możesz się zobaczyć. Chciałbym, żebyś była zadowolona. Masz strasznie gęste włosy, dziewczyno.

– W końcu! – Morena obróciła się na stołku i z wrażenia przycisnęła dłonie do policzków. – O bogowie, o rany, Marco!

– Tak dobrze czy aż tak źle?

Mnóstwo warkoczyków poprzeplatanych błyszczącą wstążeczką spływało jej na plecy. Układając się w warstwy, wyglądały jak kaskada w słońcu.

– Dokładnie tak, jak chciałam. Nie, o wiele ładniej. – Podskoczyła, uściskała go, a potem zakręciła się w koło. – Popatrzcie, jak mogę nimi zarzucić! Wielkie dzięki. Po tysiącokroć dziękuję. Mam coś dla ciebie, proszę. – Wyjęła z kieszeni małe pudzderko. – Prezent od panny młodej. Mam nadzieję, że ci się spodoba i będziesz go nosił.

– To... harfa! Taką prawdziwą dostałem od Breen. Zobacz, zupełnie jak mój tatuaż. Przypinka w kształcie harfy. Moreno, nie trzeba było – a diabli z tym! – bardzo się cieszę. Zbieram się, pójdę się przebrać i wtedy przypnę harfę.

Rozejrzał się i zatrzymał wzrok na Breen. Stała w aksamitnej sukni w głębokim odcieniu fioletu, sięgającej niemal do kostek, ze skrzącymi się dołem i szerokimi mankietami.

– Oho, już przebrałaś się w tę wytworną toaletę. Wszystkie macie piękne kreacje. Teraz muszę się skupić na sobie, a czasu zostało niewiele.

Wyszedł szybko, a Morena wyjęła drugie pudzderko.

– Prezent od panny młodej. – Podała je Breen. – Z serdecznym podziękowaniem za ten dzień w twoim domu, spędzony z tyloma bliskimi mi osobami.

Breen zobaczyła w środku okrągły medalion z wygrawerowanym smokiem.

– Piękny.

– Pomyślałam, że możesz go nosić razem na łańcuszku z sygnetem twojego ojca ze smoczym sercem. Jesteś jeźdźcem.

– Och tak. – Rozpięła łańcuszek i dołożyła medalion. – Noszę smocze serce z dumą. Tak będzie też z twoim prezentem.

– Zanim wszystkie zaczniemy znowu chlipać – interweniowała Tarryn – przebierzmy pannę młodą w ślubną suknię.

Nie obyło się bez łez, gdy pomagały Morenie się przebrać, a jeszcze więcej ich popłynęło, kiedy Sinead nałożyła córce na głowę wianek z kwiatów, który uplotły z Finolą.

Popłakiwały jeszcze i wdychały, sprowadzając pannę młodą na parter. Fąfel w obroży z kwiatów na jej widok z aprobatą machnął ogonem.

W Talamh zdjęcia nie wychodziły, toteż Breen wyprowadziła je na taras, ustawiła tablet na stole i korzystając z magii oraz techniki, zrobiła grupowe zdjęcie dla upamiętnienia tej chwili. Oczywiście nie zabrakło na nim Fąfla.

Grupą przeszły przez las w stronę Talamh.

– A teraz Breen postoi tu z tobą. – Sinead pogładziła Morenę po policzku. – Musimy się upewnić, że Harken czeka tam, gdzie powinien. Ma ciebie zobaczyć, dopiero gdy razem z tatą odprowadzimy cię do niego. Skarbie, tak bardzo cię kocham.

– Ja też ciebie kocham.

Kiedy przeszły przez drzewo, Fąfel zadarł łeb i popatrzył na Breen.

– Idź z babcią i Marco. My niedługo dołączymy.

– To się naprawdę dzieje. Jeszcze chwila i wezmę ślub.

– Denerwujesz się?

– Ani trochę. Och, chodźmy już, Breen. Nie mogę się doczekać.

– Dwie minuty. Obiecałam twojej mamie, że tak odpowiem, kiedy stwierdziła, że powiesz to, co właśnie powiedziałaś.

– Dobrze mnie zna. Czy ci wspominałam, że na Yul Harken dostanie ode mnie w prezencie szczeniaka? Spaniela wodnego jak Fąfel. Ale nie psa, tylko suczkę ze słodkimi oczami. Z miotu od kuzynki jego matki.

– Nie, nic nie mówiłaś. Harken będzie zachwycony.

– Na pewno. Tyle się teraz dzieje, że zapomniałam ci o tym powiedzieć. O bogowie, minęły już te

dwie minuty?

- Prawie. Jest w tobie tyle światła, aż dziw, że cały las nie świeci.
- Rozsadza mnie światło.
- No dobrze. Ruszamy, tylko powoli.

Breen uprzedzono, czego ma się spodziewać, lecz to, co zobaczyła, pozbawiło ją tchu.

Kolumnada z białych świec wysokich jak mężczyźni wyznaczała ścieżkę wokół domu, całą wysypaną kwiatami. Na tle wieczornego nieba, na którym ciemny błękit mieszał się z różową poświatą, wirowały wróżki i sypały migotliwy pył. Kiedy Morena rozwinęła skrzydła i pofrunęła do rodziców, smoki wzbiły się w górę i wydały odgłos podobny do trąbienia.

Flynn pocałował córkę w policzki, Sinead podała jej bukiet z kwiatów i ziół. I znowu matka chlipała.

– Świetliste błogosławieństwo, sestro – pozdrowiła ją Breen, a gdy przeszła na ścieżkę, zabrzmiała muzyka. Dźwięki fletów i harf wypełniły powietrze, pył wróżek oprószył jej włosy.

Na końcu ścieżki, na granicy pól opasanych wzgórzami i wysokich gór z czapami śniegu na szczytach czekał Harken w asyście Keegana i matki. Mężczyźni mieli na sobie skórzane kaftany włożone na odświętne białe koszule, Tarryn była ubrana w miękką szatę w kolorze matowego srebra.

Gdy Breen uśmiechnęła się do Harkena, który na moment nie odrywał oczu od idącej za nią dziewczyny, uderzyła ją myśl, że zawsze widywała go wyłącznie w roboczym ubraniu.

Zatrzymała się obok Keegana. Tarryn, stojąca z jego drugiego boku, na moment wzięła obu synów za ręce.

- Jestem matką Harkena i witam cię, Moreno, jako swoją córkę.
- Jesteśmy matką i ojcem Moreny i witamy cię, Harkenie, jako naszego syna.
- Przychodzę do was z miłością, matko, ojcze, żono. – Harken wyciągnął dłoń do Moreny.
- Przychodzę do was z miłością, matko, mężu.

Morena ujęła dłoń Harkena, przeszli pod pergolę ustrojoną kwiatami i stanęli twarzą do siebie.

– No to jedziemy – mruknęła Morena. Harken, śmiejąc się, przygarnął ją do siebie i pocałował.

– Zostawcie to na później!

– Pilnuj swojego nosa, Seamus! – rzuciła Morena do brata, nie odrywając oczu od Harkena.

– Czy ofiarujesz mi jakieś słowa, Harkenie?

– Tak, a razem z nimi daję ci to. – Wyjął obrączkę z kieszeni. – Oto obrączka, kółko, które nie ma ani początku, ani końca. Moreno, czy przyjmiesz ją ode mnie i mnie razem z nią? Kocham cię całe życie i przyrzekam tutaj, przy wszystkich, kochać cię do końca życia i poza nim. Jesteś wszystkim, czego pragnę we wszystkich światach i obiecuję cenić cię, taką jaką jesteś, zarówno w jasne dni, jak i ciemne noce. Ofiaruję ci wszystko, czym jestem i czym będę, i pragnę, abys ty dała mi siebie, wszystko, czym jesteś i czym będziesz. Bądź moja, tak jak ja jestem twój.

– Biorę ciebie i tę obrączkę. O rany, jesteś w tym lepszy, mnie wyleciało z głowy wszystko, co ćwiczyłam, żeby ci powiedzieć.

Odczekała, aż umilkną śmiechy, i wyjęła obrączkę schowaną w bukiecie.

– No dobrze. Oto obrączka, kółko, które nie ma ani początku, ani końca. Harkenie, czy przyjmiesz ją ode mnie i mnie razem z nią? Kocham cię, odkąd sięgam pamięcią. Przyznam, że czasami mnie to nie cieszyło. Nie wiem, dlaczego, bo nigdy nie czułam się taka szczęśliwa jak w tej chwili. Byłeś wobec mnie bardzo cierpliwy, a to tylko pogłębiało moją miłość do ciebie. Przyrzekam ci to wszystko, co ty przyrzekłeś mnie. Nie obiecuję, że zawsze będę gotować, bo tobie to lepiej wychodzi, ale będę razem z tobą pracować na farmie i o nią dbać.

– To korzystniejszy układ dla nas obojga – podsumował pan młody.

– Na pewno. Obiecuję, że postaram się nie nadużywać twojej cierpliwości, a jeśli tak się zdarzy, pamiętaj, Harkenie, że cię kocham i będę kochać, cokolwiek nas czeka. Jesteś wszystkim, czego pragnę, i ofiaruję ci wszystko, czym jestem i czym będę, i biorę ciebie, jeżeli tego chcesz. Bądź moim, tak jak ja jestem twoja.

– Biorę cię, Moreno.

Keegan wszedł pod pergolę i owinał białym sznurem ich złączone dłonie.

– Bracie, sestro, jesteście połączeni jako mąż i żona. Oto symbol przysięgi miłości i jedności. Świetliste błogosławieństwo dla was i tych, którzy narodzą się z tego związku.

Państwo młodzi pocałowali się przy wiwatach wszystkich zebranych, a potem pocałowali się raz jeszcze, odwrócili się do gości i podnieśli złączone dłonie.

– Jestem jego żoną.

– Jestem jej mężem.

Morena śmiała się radośnie, gdy Harken wziął ją na ręce i zakręcił się z nią w koło.

Rozpoczęła się uczta, zagrała muzyka, szklanice uniosły się w toaście. Pochodnie i świece paliły się jasnym płomieniem w ten wieczór przed najdłuższą nocą w roku.

Breen patrzyła, jak Morena z Harkenem tańczą swój pierwszy taniec. Powoli dołączały się do nich kolejne pary. Część gości siedziała przy stołach ustawionych wokół ogniska, ale większość zniknęła w domu, żeby napić się whiskey przy kominka czy uśpić dziecko.

Kiedy dwa księżycy zaczęły swoją podróż po niebie, zrobiło się cicho.

– Tylko mi nie mów, że mamy wygłosić mowy. – Breen, nieco spanikowana, chwyciła Keegana za ramię. – Nikt mi nie wspominał o mowach.

– Nie. Spójrz. – Gestem ręki wskazał na zachód.

Na Dalekim Zachodzie rozkwitło białe, chłodne światło i rozlało się po niebie.

– Taniec Płetwy – przypomniała sobie.

– Tak. Ja ci mówiłem, księżycy oddają swoje światło kamieniom, żeby uczcić zimowe przesilenie i najdłuższą noc w roku. A teraz się wsłuchaj.

Usłyszała w ciszy dochodzący z oddali cichy śpiew kamieni. Ta pieśń, jakby niesiona na anielskich skrzydłach, rozlała się po całym Talamh razem ze światłem. Kamienie śpiewały o pokoju i nadziei.

Marco podszedł do niej i poszukał jej dłoni. Spojrzała na niego, zobaczyła jego oczy wilgotne ze wzruszenia i poczuła, jak łzy spływają jej po policzkach.

To dlatego, pomyślała przejęta, dlatego walczymy. Aby dwoje ludzi mogło przysiąc sobie miłość i cieszyć się nią. I dla światła, dla pieśni, dla cudu, dla piękna.

A ona była tego częścią, częścią cudu i pieśni.

Płonęło ognisko nocy przesilenia, pochodnie i świece paliły się jasnym płomieniem. Na moment schwytyany w czasie cały Talamh stał się jednością. Światło na zachodzie powoli zgasło i umilkła pieśń.

– W tę najdłuższą noc obraca się koło czasu. – Keegan popatrzył na nią. – Twoją pierwszą noc zimowego przesilenia w Talamh.

– Tak, moją pierwszą. Tutaj. A co teraz?

– Teraz? Hmm, będziemy tańczyć.

Ponownie zagrała muzyka i Breen tańczyła bez wytchnienia. Patrzyła z zachwytem na babcię i Sedrica poruszających się z werwą w stepie irlandzkim. Napiła się wina i chyba dlatego zgodziła się zaśpiewać parę piosenek w duecie z Marco. Później znowu tańczyła z małym Kavanem. Posadziła go sobie na biodrze, a on uszczęśliwiony popiskiwał do muzyki.

Fąfel zabawiał dzieciaki, tańcząc na tylnych łapach, i w nagrodę zebrał więcej kąsków, niż jeden pies może spałaszować.

Przed świtem Breen przysiadła się do Aisling na ławce przy ognisku.

– Moje pierwsze wesele w Talamh. Nie sądzę, aby kolejne, o ile się nadarzy, zapadło mi w pamięć tak jak to. Zawsze jest tyle szczęścia i zabawy?

– No wiesz, ślub to złożenie przysięgi, a zabawa stanowi oprawę. Natomiast małżeństwo wymaga pracy. I Harken, i Morena będą nad nim pracować. Owszem, czasem się pokłócą, tak jak wszyscy, potem będą się kochać i znowu się posprzeczą. Na pewno będą nad sobą pracować.

Uśmiechając się, pogładziła się kolistym ruchem po wypiętym brzuchu.

– Zrobisz coś dla mnie?

– Jasne.

– Przyprowadziłabyś Mahona? Tańczy jak szalony z Miną i całą resztą. I ściągnij też moją matkę.

– Dobrze. Dzieje się coś złego?

– Złego? Nie. Nadszedł czas.

– Czas na... Och. Siedź, nie ruszaj się, już lecę...

– Poczekaj. – Aisling podniosła rękę. – Przeczekaj ze mną ten raz. Przytrzymaj mnie, kiedy wezmę cię za rękę. Uważaj.

Nie od razu zrozumiała, trochę się spóźniła, ale kiedy nadszedł skurcz, instynktownie usztyniła się i podparła Aisling, gdy ona mocno ścisnęła jej dłoń, głośno oddychając.

– Ty rodzisz. Jak często masz... nie wiem, po co pytam, przecież się nie znam. Idę po Mahona.

– Jeszcze chwilę. Spokojnie, na razie nic się nie dzieje. Chcę też Marg, będzie asystować mi przy porodzie.

– Przyrowadzę ich.

– I poproś Keegana, żeby dopilnował chłopców, dobrze? Minie godzina, albo i dwie, zanim uda

się ich zagonić do łóżek.

– Zajmiemy się nimi. Nie przejmuj się, o nic się nie martw.

– Och, wcale się nie martwię. – Aisling zaśmiała się, odrzucając włosy do tyłu. – W końcu to mój trzeci raz. Wiem, jak to wygląda.

Breen, przejęta za nie obie, zerwała się z ławki i klucząc między tańczącymi, podbiegła do Mahona.

– Aisling. Aisling mówi, że czas. Będzie rodzić.

– Już? – Twarz mu się rozświetliła. – Przyprawdzą jej matkę i Marg.

– Nie, idź do Aisling. Sama je zawołam i zajmę się chłopcami. Idź już, idź.

– Dzięki za wszystko.

Gdy odszedł, puściła się biegiem z Fąflem podskakującym u jej nóg.

Dostrzegła Tarryn idącą z dwoma dzbankami wina.

– Aisling, dziecko. Mówi, że czas.

– Och, tak? Akurat dziś, cudownie. O, Mahon leci z nią na rękach do chaty. Weźmiesz te dzbanki, żebym mogła do niej pójść?

– Tak, tak. I poszukam Marg, no i zajmiemy się chłopcami. Naprawdę powinnaś tam iść szybko.

Ona ma skurcze.

– No cóż, jedyny sposób na urodzenie dziecka. – Rozejrzała się wokół z cichym westchnieniem. –

Początek nowego życia. Harken i Morena zaczynają swoje razem, dziecko przychodzi na świat. Jakie wspaniałe przesilenie. – Podała wino Breen i odeszła.

Breen, przyciskając dzbanki do siebie, spojrzała na Fąfla.

– Poszukaj babci – poleciła mu. – Znajdź ją dla mnie.

Dostrzegła Keegana. Stał z kuflem piwa w grupie mężczyzn. Ruszyła prosto do niego.

– Twoja siostra rodzi.

– Już? – Odebrał od niej dzbanki. – Tyle się dzieje u O’Broinów w tę noc.

– Już albo za chwilę. Muszę poszukać Marg i mamy się zająć chłopcami. – Przeszył ją dreszcz paniki. – Nie mam pojęcia, gdzie oni są!

– Kręcą się gdzieś tutaj – oznajmił spokojnie Keegan. – Finian wziął Liama i kilku chłopców do stajni, żeby pochwalić się swoim koniem, a Kavan... – zamilkł i rozejrzał się wokół. – Aha, jest, siedzi u Sedrica na kolanach z kawałkiem ciasta.

– Dzięki Bogu. Muszę znaleźć babcię. Miej na nich oko, Keeganie.

Kiedy odeszła, pokręcił głową i przyłożył kufel do ust.

Fąfel, wyraźnie zadowolony z siebie, przytruchtał do niej, prowadząc Marg.

– Aisling.

– Tak, czekałam, kiedy da mi znać.

– Mahon zabrał ją do domu. Tarryn już do nich dołączyła.

– Też to zrobię. Zawiadomisz Sedrica? Gdyby chciał iść do domu, powiedz mu, żeby na mnie nie czekał, wróć, kiedy będę mogła.

Breen, rozglądając się nerwowo, podeszła do Sedrica.

– Gdzie Kavan? Chwilę temu widziałam go tutaj.

– Zostawił mnie dla tej ładnej blondynki. – Kiwnięciem głową wskazał Kavana, który trzepocząc skrzydełkami, tańczył z panną młodą.

– Uff, w porządku. Aisling rodzi, babcia jest u niej.

– Dziecko w przesilenie. To przynosi szczęście.

Wpatrywała się w niego zdziwiona.

– Wszyscy podchodźcie do tego tak spokojnie.

– Fey żyją zgodnie z naturą, a w końcu poród jest naturalną rzeczą.

– Mówisz jak typowy mężczyzna.

Wstał i śmiejąc się, pocałował ją w policzek.

– Pewnie masz rację, ale to jest naturalna sprawa. – Położył dłoń na jej ramieniu i obejrzał się na dom. Okna były rozjarzone, nad kominem wił się dym. – To, co się tam odbywa, przynosi życie, światło i obietnicę. Ten trud, bo poród jest trudem, wieńczy radość. A teraz wypiję jeszcze jeden kufelek piwa za zdrowie państwa młodych i będę się zbierał do domu. Napijesz się ze mną?

– Nie, dzięki. Muszę pilnować Kavana i Finiana.

– Ładnie z twojej strony. Chłopcy nie są kłopotliwi. Tylko nie daj się młodszemu naciągnąć na kolejny kawałek ciasta. Ani chybi jutro rozbolałby go brzuch.

– Koniec z ciastem. Odnotowałam. Kurde, znowu go gdzieś niesie. Fąfel idź za nim, pilnuj go.
– Mab tu się kręci, czuwa nad nimi – przypomniał jej, kiedy Fąfel pobiegł za Kavanem. – Ta wilczarka to świetna niania. Nie przejmuj się tak. – Poklepał ją po ramieniu i odszedł.
Zanim zdążyła udać się na poszukiwania – naprawdę musiała sprawdzić, gdzie podział się Finian – Morena zastąpiła jej drogę.
– A ty, co? Dlaczego nie tańczysz na moim weselu?
– Tańczyłam, ale Aisling rodzi, a ja usiłuję pilnować chłopców i ...
– Rodzi, naprawdę? Słyszałeś, Harken? – Przywołała go kiwnięciem ręką. – Twoja siostra... nasza siostra – poprawiła się – kradnie nam show. Właśnie rodzi.
– Aisling nikt nie prześcignie.
– Muszę pozbierać chłopców, żeby mieć ich na oku.
– Dobrze się bawią – uspokoił ją. – Zobacz, Finian wychodzi z Liamem ze stajni, a Liam ma posłuch u maluchów. Kavan pada z nóg, ale jeszcze walczy. Zobaczysz, że za godzinę zaśnie u kogoś na kolanach.
– Pozwól, że przyniosę ci kieliszek wina.
– Dopiero kiedy obu będę mieć w zasięgu wzroku.
Zostawiła ich i chwilę później dosłownie wpadła na Marco.
– Czas na kolejną piosenkę – oznajmił. – Proszą nas.
– Nie mogę. Usiłuję pilnować dzieciaków Aisling, bo ona rodzi.
– Dobra, potem... Co?! Poród? Teraz?
– No wreszcie! – Breen wyrzuciła ręce w górę. – Normalna reakcja. Staram się nie denerwować, bo tu wszyscy są jakoś cholernie spokojni, a mnie przez to jeszcze trudniej się opanować.
– Powinniśmy coś zrobić? Czy ktoś gotuje wodę?
– Nie wiem. Babcia jest przy niej. – O dziwo, reakcja Marco ją uspokoiła. Babcia, Tarryn i Mahon, oni wszyscy są w domu. Będzie dobrze. – Westchnęła. – A mnie przypadło w udziale pilnowanie chłopców i... uff, widzę Finiana. Keegan niesie go na barana. A teraz podniósł Kavana. Nareszcie mam ich w kupie. Muszę się nimi zająć.
– Idę powiedzieć Brianowi. Będziemy wysyłać pozytywne vibracje. To pomaga, no nie?
– Uhm, jasne.
Podeszła do Keegana.
– Nie są ani trochę zmęczeni – oznajmił, gdy głowa Kavana opadła mu na ramię, a Finian na siłę starał się utrzymać otwarte oczy.
– Nie jesteśmy!
– Widzę. – Odebrała Kavana i posadziła go sobie na ramionach.
– Mama mówiła, że możemy zostać tak długo, jak chcemy, bo my wszyscy się pobraliśmy. A teraz dziecko się urodzi.
– Skąd o tym wiesz? – spytał Keegan.
– Bo wiem. – Powieki mu opadły i oparł policzek na głowie Keegana. – Przed północą. I ja mogę zostać, żeby je przywitać.
– Tylko odprowadzimy was do domu – obiecał Keegan, zdjął go z ramion i niósł teraz na rękach.
– Nie wiem, ile zostało do północy, ale on nie wytrzyma. Już zasnął.
– Mniej więcej godzina. Przywita je rano.
Wnieśli chłopców do domu, Keegan zaprowadził ją do sypialni chłopców. Ułożyli ich w łóżkach.
– Zdejmę im kurtki i buty. – Keegan się wyprostował. – A ty może daj znać Aisling, że już ich położyliśmy.
– Dobrze. Czy mamy przy nich zostać?
– Nie ma potrzeby. Śpią jak zabici. Ale niech ona i Mahon wiedzą, że dzieciaki bezpiecznie leżą w łóżkach.
Wyszła z sypialni i wąskim korytarzem skierowała się w stronę głośów. Zobaczyła ogień płonący w kominku. Zatrzymała się w drzwiach i patrzyła oniemiała.
Aisling z oczami szklanymi z wysiłku i bólu siedziała naga na łóżku. Mahon stał za jej plecami, Marg kuciała między nogami zgiętymi w kolanach, a Tarryn trzymała ją za rękę.
– Dobrze – odezwała się Marg. – A teraz, dziewczyno, przyj.
Aisling nabrała powietrza i parła.
– Tak jest, brawo. – Tarryn przycisnęła usta do dłoni Aisling.
– Jeszcze trochę, naprawdę niewiele brakuje. Dobrze, a teraz odpocznij i oddychaj.

Kiedy Aisling zamknęła oczy i oparła się o Mahona, Tarryn przetarła rękami jej spoconą twarz. Breen chciała się wycofać, ale Tarryn na nią skinęła.

– Nie, chodź, weź ją za drugą rękę. Już jest blisko.

– Chwała bogom – mruknął Mahon i pocałował żonę w ramię. – Jesteś wojowniczką, kochanie.

Aisling chwyciła dłoń Breen.

– Nic nie rób, nie uśmierzaj bólu, rozumiesz? Muszę sama. To mój ból. Wytęzę siły. Marg, teraz muszę przeć!

– Dobrze. No dawaj! Jeszcze, o tak – Marg pochwaliła rodzącą, gdy ta parła z zaciśniętymi zębami. – A teraz pooddychaj, odczekaj. Następnym razem wyjdzie główka.

W tej samej chwili Keegan pojawił się w drzwiach.

– Nie – mruknął i szybko się wycofał.

– Typowe. – Aisling oparła się o Mahona. – O bogowie, idzie kolejny skurcz.

Breen patrzyła oszołomiona, jak wysuwa się główka z gęstymi czarnymi włoskami i twarzą z zamkniętymi powiekami.

– Teraz oddychaj! Odpocznij, poczekaj.

– Popatrz na tę buzię. Widzisz, Aisling?

– Wykapany Mahon, ma nawet jego włosy. Bogowie, reszta chce wyjść, już!

– Wypchnij swoje maleństwo na świat, na światło, matko.

Aisling parła, a Marg położyła dłonie na główce i delikatnie ją obróciła. Kiedy pojawiły się ramionka i tors, nowe życie się rozkrzyczało.

– Nawet nie poczeka z powiadomieniem świata.

Dziecko z jedną drżącą piąstką wśliznęło się w ręce Marg, w światło.

– Śliczny, zdrowy synek – ogłosiła, wycierając buzię maleństwa i całując ją. – Z płucami jak miechy.

– Moim przeznaczeniem jest rodzenie chłopców – powiedziała Aisling. – Ślicznych chłopczyków. Mahon, nasz syn.

A on ze łzami wzruszenia w oczach przytulił policzek do policzka Aisling.

– Wojownik. Moje kochanie, moje serce, moje życie. Dziękuję za naszego syna.

Przykucnięta Marg otarła czoło wierzchem dłoni.

– Tarryn, ty przetniesz pępowinę.

– Tak. Z tym rodzisz się z miłości i jesteś witany z radością. – Światłem przecięła pępowinę, uniosła noworodka, dotknęła ustami do jego czółka i dopiero wtedy włożyła go w otwarte ramiona Aisling.

– Czekaliśmy na ciebie, mój skarbie, moje kochanie. – Pocałowała noworodka i podała go ojcu, aby mógł zrobić to samo. – Nareszcie jesteś z nami. Na imię masz Kelly.

Uśmiechnęła się do Breen, patrząc na nią wilgotnymi, zamglonymi oczami.

– Na cześć tego, który zastąpił mi ojca, gdy mój poszedł do bogów. Breen, pocałujesz go na powitanie?

– Witaj w Talamh i we wszystkich światach, Kelly.

Dlatego walczyliśmy, pomyślała, nachylając się, by dotknąć wargami delikatnego policzka.

Dlatego walczyliśmy i wygramy.

Rozdział 7

Breen zachwyił sposób, w jaki Fey obchodzili Boże Narodzenie. W Talamh to był czas radości, zacieśniania więzi, wspólnych spotkań, wzajemnego obdarowywania się prezentami i – jak zawsze – światła.

W wigilię świąt od świtu po zmierzch świeciły się drzewka zarówno w domach, jak i na zewnątrz. Krewni i przyjaciele wymieniali się prezentami, a skarpety dla maluchów puchły od słodyczy.

O zachodzie słońca wielu Fey spotykało się w dolinie na wspólne świętowanie przy grzańcu. Dołączało do nich po jednym przedstawicielu z każdego plemienia, aby przy śpiewach wspólnie zapalić świeciła na Powitalnym Drzewie.

Naturalnie w te pierwsze święta w Talamh i Irlandii Breen nie mogła pominąć rodziny po drugiej stronie oceanu.

W Chacie Fey Breen z Marco siedzieli na tle choinki i rozmawiali z Sally i Derrickiem na ekranie laptopa. Ci w Filadelfii mieli na głowach mieniące się czapki Świętego Mikołaja. Choinka za ich plecami – jedna z sześciu porozstawianych w domu – świeciła i migotała od samego dołu po czubek w kształcie dyskotekowej kuli. Razem wznosili toasty przez dzielące ich tysiące kilometrów.

– Tęsknimy za wami. – Marco przyciągnął Breen bliżej do siebie. – Pierwsze święta na milion lat, których nie spędzamy w U Sally.

– Złóżcie wszystkim życzenia od nas – dodała Breen. – I przyslijcie zdjęcia!

– Przyślemy – obiecał Sally. – Bardzo nam się podobały tamte z zdjęcia z imprezy dla panny młodej w twoim blogu. I koniecznie powiedz babci, żeby podzieliła się nami swoim sekretem młodości. Bezapelacyjnie wymiata w Konkursie na Olśniewającą Babcie.

– Przekażę jej, co powiedziałaś. Zobaczmy się z nią na... zapalaniu świątecznych świeciłek. – Uznała, że to najlepsze wytłumaczenie. – Taka tutejsza tradycja.

– Jak idzie książka, Breen? – zapytał Derrick. – Ta twoja epicka powieść fantasy. Wiesz, że uwielbiam fantastykę.

– Chyba nieźle. Mam taką nadzieję.

– Jej agentka chce zobaczyć finalną wersję kilku rozdziałów – poinformował ich Marco.

Breen szturchnęła go łokciem w bok.

– Jeszcze nie skończyłam.

– Mnie też nie pozwala ich przeczytać – poskarżył się.

– Bo nie są gotowe. Marco pisze muzykę, ale żadnego kawałka nigdzie nie wysłał.

– Trafiony. – Wzruszył ramionami. – Bo jeszcze niegotowe.

– Te nasze dzieciaki. – Sally obejrzał się na Derricka z teatralnym westchnieniem.

Spędzili uroczą godzinę na pogaduszkach i otwieraniu prezentów.

Marco pokazał się w skórzanym trenczu w kolorze czekolady.

– O rany! Szałowy.

– Breen mówiła, że zapatrzyłeś się na Keegana.

– A jak. Dzisiaj śpię w tym płaszczu.

– Cholernie seksy – ocenił Sally. – Założę się, że ten twój artysta tak samo pomyśli.

– Nie mogę się doczekać, kiedy mnie w nim zobaczy.

– Oszalałam na punkcie tych butów! – Breen okręciła się, demonstrując czarne skórzane kozaki sięgające powyżej kolan ze sznurówką na boku, pod którą ukryty był zamek. – Kapitalne. Czuje się w nich jak generał.

– Niezwykle seksowny generał – skomentował Derrick. – Sally, popatrz tylko na naszą dziewczynkę. Dojrzała, zrobiła się z niej niezła laska.

– Dziewczyno. – Marco otoczył ją ramieniem w talii i zapozował jak do zdjęcia. – Wieczorem zrobimy furorę w tych rzeczach.

– No pewnie. – Z powrotem klapnęła na kanapę. – A teraz wasza kolej. Od nas obojga dla was obu.

– Nie mogę się doczekać. – Derrick szarpnięciem rozdarł ozdobny papier.

Sally się skrzywił.

– Wiesz co, ty mnie dobijasz. Włożyli tyle trudu, żeby to pięknie zapakować, a ty się zachowujesz jak trzylatek.

– W Boże Narodzenie wszyscy jesteśmy trzylatkami.

Breen się roześmiała.

– Też tak mówię. Mamy nadzieję, że spodoba się wam zawartość.

Otworzyli masywny pojemnik transportowy. Wyjęli szkatułkę z cedrowego drewna wypolerowanego do lustrzanego połysku, z błyszczącymi miedzianymi zawiasami i ozdobnym zamkiem. Żłobienia misternych wzorów na wieczku, ich inicjały i symbol nieskończoności na środku były wypełnione miedzią.

Ten symbol Sally i Derrick kazali sobie wygrawerować na ślubnych obrączkach.

– Cudna. – Sally powiódł opuszką palca po ich imionach. – Jaki kunszt... po prostu piękna.

– Sedric – wspominałam wam o nim – pomógł nam ją zaprojektować, a zrobił ją Seamus, rzemieślnik o złotych rękach. To szkatułka wspomnień – dodała Breen. – Jest jeszcze niespodzianka. Podnieście wieczko.

Otworzyli szkatułkę i popłynęła melodia.

– To piosenka z naszego ślubu. – Sally zaśmiał się wzruszony. – Stary przebój Sonny i Cher. – Odwrócił się do Derricka i go pocałował. – *I got you, babe.*

– *I got you, babe.*

– Muszę go albo porządnie upić, albo zagrać tę piosenkę, żeby zechciał zaśpiewać ze mną w duecie.

– Mam głos jak puzon. – Derrick odchrząknął. – Bezcenny prezent, dzieciaki. Naprawdę bezcenny.

– Jest coś jeszcze. To Marco gra tę piosenkę.

– No nie! Dziecko, to niesamowite. Jak ty to zrobiłeś? – chciał wiedzieć Sally.

– Nazwijmy to magią.

Bo rzeczywiście użyli magii.

*

Magiczny wieczór, pomyślała Breen, gdy z Marco i Fąflem szli do Talamh.

Marco się uparł, żeby włożyć Fąfłowi czapkę Świętego Mikołaja, i ku jej zaskoczeniu pies wydawał się zachwycony.

Kiedy przeszli na drugą stronę, zobaczyli, że ludzie już wylegli z domów. Zbierali się na drodze, na polu, siadali na niskich murkach.

Niektórzy muzykowali, inni rozdawali kubki z cydrowym grzańcem. Morena uściskała ich na powitanie i zagwizdała z uznaniem.

– Ha, proszę, proszę, wszyscy troje świetnie wyglądacie. A twój kapelusz jest najbardziej świąteczny.

Skinęła głową Fąfłowi i pies natychmiast pobiegł się bawić z gromadą dzieci.

– Jaki płaszcz. – Poglądziła skórzany trencz. – A miękki jak pupa niemowlaka. Ale przyznam, że najbardziej zazdroszczę Breen tych butów.

– Dobrze cię rozumiem. Wesołych Świąt ... albo Błogosławieństwa Nocy Świąteł.

– Może być jedno i drugie. Nalejcie sobie grzańca, niedługo zajdzie słońce.

– Najpierw chcę zobaczyć maluszka.

Breen lawirowała w tłumie, zadowolona, że wiele z tych osób pamięta z imienia i rozpoznaje sporo twarzy. Wypatrzyła Aisling w towarzystwie Tarryn z niemowlęciem w ramionach.

– Błogosławieństwo Nocy Świąteł dla ciebie, Breen Siobhan, i Wesołych Świąt. Widzę życzenie w twoich oczach – powiedziała Aisling, podając jej noworodka.

– Dzięki. – Przytuliła niemowlę, wciągając wraz z oddechem jego zapach. – Ty naprawdę wyglądasz jak twój tata. Kiedy urosną ci skrzydła zielone jak tamte wzgorza, polecisz nad ziemią i morzem, śpiewając głośno radosną pieśń.

Zamrugnęła i podniosła oczy na kobiety.

– Przepraszam. Ja...

– Nie, nie, z chęcią tego słuchałam. Widziałam w nim światło Sidhe, ale reszta mi umknęła. A więc będzie muzykalny. – Aisling opuszką palca pogładziła synka po policzku. – Cieszę się.

– Dobra, a teraz daj mi go. – Dołączyła do nich Finola w wiśniowym płaszczu i kozaczkach w tym samym odcieniu czerwieni. – Muszę ćwiczyć. Mam nadzieję, że Morena i Harken nie każą mi tak długo czekać na wnuka jak na ślub. Ach, noworodki mają magiczny zapach.

– Jego bracia mówią coś zupełnie innego przy zmianie pieluszki. – Aisling, rozglądając się, zobaczyła chłopców z pilnującą ich Mab. – Aha, widzę, że Bridgie dorwała Marg i pewnie zdręcza ją narzekaniem. Breen, idź ratować babcię – możesz powiedzieć, że jest mi potrzebna. Młode mamy mają swoje

humory.

– Tak zrobię.

Idąc, wymieniała pozdrowienia z mijanymi ludźmi. Czowała, jak ogarnia ją podniecenie na widok zachodzącego słońca i gęstniejącego mroku. Wkrótce, myślała, drzewa rozjarzą się światłkami i radosne głosy wypełnią chłodne czyste powietrze.

– Wesołych Świąt, Breen Siobhan.

Przystanąła i uśmiechnęła się. Kobieta była młoda, ładna, miała jasnobrązowe włosy zaplecione w gruby warkocz. Jej twarz była Breen znajoma, ale imienia nie kojarzyła.

– Tak się pozdrawia po twojej stronie.

– Tak, rzeczywiście po drugiej stronie – odparła Breen, bo obie strony były jej bliskie. – I Błogosławieństwo Nocy Świąteł dla ciebie.

– Jestem Cait, Caitlyn Connelly, z chaty w pobliżu ruin.

Teraz ją skojarzyła.

– Och tak, widziałam, jak tam chodziłaś, kiedy poszłam na grób ojca.

– Ja też cię widziałam. Napijesz się grzańca? Słońce niedługo zajdzie.

– Z chęcią.

– W takim razie wznieś toast za Talamh w ten radosny wieczór.

Breen niemal dotknęła ustami kubka i wtedy to zobaczyła, poczuła, poznała. Gdy przechyliła kubek, wyczuła i wiedziała jeszcze więcej.

To były czas i miejsce sprawdzianu wiary.

Pijąc, patrzyła, jak bezwzględny uśmiech rozjaśnia oczy Cait.

Wypiła zawartość do ostatniej kropli i opuściła rękę z kubkiem.

– Wybrałaś taką noc do swoich nikczemnych poczynań, w miejscu, gdzie tyle ludzi zgromadziło się w pokoju i przyjaźni. Gdzie bawią się dzieci. Chcesz tym spowodować moją śmierć, która nie jest śmiercią?

– Nadejdzie w bólach i nikt cię nie uratuje.

Fąfel, warcząc, natychmiast znalazł się przy Breen, a ona nie odrywała wzroku od oczu Cait.

– Nie nadejdzie, a ciebie czeka Osąd za skalenie wrodzonych przymiotów. Stój! – Wyciągnęła ramię, posyłając moc, której siły nawet się nie domyślała, i unieruchomiła Elfkę, zanim ta zdążyła zbiec.

Oczy Cait zapłonęły z wściekłości.

– Dlaczego nie padłaś?

– Bo moje światło dławi mrok Yseult i zawsze tak będzie. Zdradziłaś swój lud, Cait Connelly.

– Odran jest moim i wszystkich bogiem. Odbierze ci moc, którą masz po nim, i spali ten i wszystkie światy do jałowej ziemi.

Ludzie zaczęli szeptać, niektórzy zaczęli podchodzić bliżej.

Oddech Breen się rwał. Nie spłyciła go trucizna, tylko gniew i smutek. W tę noc światła i dobra Odran rzucił swój cień.

– Nie podchodźcie, proszę. Trzymajcie dzieci z daleka i sprowadźcie *taoiseacha*.

– Jestem. – Keegan stanął obok Breen. – Co się dzieje?

– Trucizna Yseult. Ta tutaj jest od Odrana.

– Zostałaś stworzona dla niego. Przez niego – wysyczała Cait. – I dostanie cię.

– Znam cię – odezwał się Keegan. – A teraz widzę i poznaję naprawdę.

– Odran, bóg mroku, bóg wszystkich, wysyła ją do cna, a kiedy Talamh obróci się w popiół, nasyci ziemię twoją krwią.

– Zaśnij – rozkazał i kobieta osunęła się na ziemię. – Musisz ją uwolnić, żeby mogli ją wynieść – przypomniał Breen. – Gestem ręki przywołał dwóch mężczyzn z warkoczykami wojowników, a sam pochylił się nad Cait i wyjął fiołkę z jej kieszeni. – Taki drobiazg – mruknął, prostując się. – Kubek też wezmę – zwrócił się do Breen.

– Zabierzcie tę kobietę i dobrze pilnujcie, bo na rozkaz Odrana miała odurzyć córkę Eiana usypiającą tynkturą.

Po tych słowach pomruki zebranych zastąpiły okrzyki gniewu i niedowierzania.

– Po obrzędzie – mówił dalej – wsadźcie ją na smoka i odstawcie do Stolicy, niech tam czeka na Osąd. I zabierzcie ze sobą fiołkę i kubek.

Wziął Breen za rękę.

– Zostanie osądzona zgodnie z naszym prawem – zwrócił się do tłumu, podnosząc głos. – Ale nie w tę noc. Ten mroczny czyn nie przyćmi światła ani nie uciszy dzwonów. – Gestem ręki wskazał słońce

chylące się ku zachodowi. – Talamh będzie świecić w tę Noc Świąteł. – Chodź ze mną – szepnął do Breen. – Gdzie jest mój siostrzeniec? – zawołał. – Gdzie jest Finian, syn Mahona i Aisling?

– Tutaj jestem. – Malec patrzył na Keegana szeroko otwartymi oczami, gdy ten zbliżał się do niego przez rozstępujący się tłum.

– Oto dziecko Fey, syn Talamh. – Posadził sobie chłopca na ramionach. – Podnieście dzieci, żeby widziały naszą jasność. Niech zobaczą, jak syn Talamh posyła pierwsze światło do Powitalnego Drzewa.

Finian nachylił się do ucha Keegana.

– Próbowałem tylko ze świeczką z pomocą mamy i to zaledwie kilka razy – wyszeptał.

– Pamiętaj, że posyłasz światło, nie płomień. Ono jest w tobie, jasne jak dzień. A jeżeli potrzebujesz pomocy, dostaniesz ją. Poślij światło, chłopcze, ale tylko jedno.

Finian wyprostował się, obejrzał na rodzinę, a potem skierował wzrok na Powitalne Drzewo.

– Ja... posyłam światło w tę noc, żeby jasno świeciło...

– Na wszystko, co dobre i sprawiedliwe – odpowiedział Keegan.

– Na wszystko, co dobre i sprawiedliwe.

Finian wyciągnął trochę drżącą rękę w stronę drzewa. Białe światelko zamigotało na zwisającej gałęzi, powoli się rozjarzyło i zaświeciło pełnym blaskiem.

– Pamiętasz resztę? – zapytał go Keegan.

– Chyba tak, ale...

– Mów ze mną, Finianie, mów głośno, tak żeby wszyscy cię słyszeli.

Teraz recytowali już razem.

– Wszyscy, którzy stoją na tej ziemi, każdy syn i córka, wszyscy którzy pływają w tych wodach, wszyscy, którzy latają pod niebem, ślą światło w tę noc. Niech każde drzewo świeci twoją i moją radością, aż wstanie słońce i dopełni się noc.

Drzewo zapłonęło światłem, a wraz z nim lasy, ogrody, samotnie rosnące na polach kasztanowce i dęby.

Poniosły się głosy w pieśni sławiącej pokój, radość i jedność.

Breen pomyślała, że nigdzie, w żadnym ze światów nie ma drugiego tak czystego i pięknego miejsca jak Talamh w wigilię Bożego Narodzenia.

– *Maith thu*. – Keegan zszedł z ramion i wzburzył mu czuprynę. – Dobra robota! – pochwalił. Zasłużyłeś na lot na smoku.

– Teraz? – W pierwszej chwili Finian chciał odłożyć lot na później, ale szybko przemyślał sprawę. – Jeżeli teraz, to Kavan też poleci.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Przywołaj swojego smoka – poprosił Breen. – Weźmiesz Kavana.

– Ja... mam...?

– Biegnij po brata. – Postawił chłopca na ziemi. – Niech zobaczą nas oboje – zwrócił się do Breen. – I światło, które rozproszymy na niebie. Niech Odran i Yseult poczują i zobaczą, że przegrali. To będzie nasz dar dla Talamh i kopniak Odranowi w jaja.

Z Fąflem i Kavanem poleciała na Lonarchu, trzymając się blisko Crogi. Malec, popiskując i gaworząc, wymachiwał rączkami i posyłał w powietrze deszcz pyłu wrózek.

Kiedy Keegan machnął ramieniem, biała tęcza wykwitła na niebie. Breen powtórzyła po nim ten gest. Na dole, pod nimi, w Talamh pulsował rój światel.

*

Incydent z Caitlyn Connelly zniechęcił Breen do grzańca i w czasie wymiany prezentów u nich w chacie trzymała się wina. Co prawda już wcześniej miała okazję oglądać szkice Briana świadczące o jego talencie, jednak na widok obrazu przedstawiającego zatokę o świcie, którą dostała od niego w prezencie, zapało jej dech.

– Piękny, te kolory, te mgły. Jest nawet Fąfel pluskający się w wodzie.

– Zdaje się, że świt to twoja ulubiona pora dnia, dlatego chciałem podarować ci ten uwieczniony na płótnie moment w podziękę za to, że otworzyłaś przede mną swój dom.

– To jest również dom Marco. Ale taki prezent? – Spojrzała na niego i Marco przytulonych do siebie na dużym fotelu przy kominku. Zupełnie jak dzieci, pomyślała. Jak kochankowie. – Będę egoistką – zdecydowała. – Powieszę go w tamtym pokoju, gdzie piszę. Dla nieustannej inspiracji.

Wstała z fotela, podeszła do Briana, pocałowała go i dopiero wtedy wręczyła mu paczkę.

– A to dla ciebie. Po twoim prezencie mój może wydać się aluzjny.

Zdjął opakowanie. W środku była kasetka malarska z farbami, ołówkami, kredami, szkicownikiem i dwoma małymi płótnami.

– Wspaniałe.

– Pomyślałam, że może chciałbyś mieć zapas tych rzeczy w naszej chacie.

– Cudne, szczerze.

Wróciła, wzięła następną paczkę i podeszła z nią do Keegana.

– Wesołych Świąt.

– Dzięki. – Ściągnął wstążkę i rozerwał ozdobny papier, tak jak wcześniej Derrick.

Z wielkim staraniem zrobiła skórzaną opaskę z centralnie umieszczonym smokiem w locie, magicznie wyrzeźbionym w labradorycie.

– Wiem, że w sumie nie nosisz...

– Będę nosił – wszedł jej w słowo. – To Croga.

– Sedric i babcia mi pomagali.

– Duże podobieństwo, ten prezent wiele dla mnie znaczy. – Założył opaskę, dla bezpieczeństwa zawiązał rzemyki. – Croga też będzie zadowolony. – A to dla ciebie. – Wyciągnął z za choinki długi parciany worek. – Kiepsko wychodzi mi pakowanie.

– Przynajmniej będę miała ładną torbę. – Rozwiązała sznurek i wyjęła miecz w pochwie.

– Wysokie miejsce w rankingu najbardziej niezwykłych prezentów świątecznych. – Marco zachichotał i pociągnął lyk grzańca.

Rozbawiona Breen pogładziła grawerunek na pochwie.

– Piękny, a jaki skomplikowany ornament.

– Mnie też pomagali Brian i Sedric. Masz tu symbole Fey, wszystkich plemion, człowieka i bogini.

– I bliźniacze księżycy Talamh. – Pogładziła je palcem. – Och, jest i trójlistna koniczyna, symbolizująca Irlandię. – Zachwycona, oglądała symbole. – Marco, zobacz, Dzwon Wolności z Filadelfii, nawet ma to słynne pęknięcie.

– Okej, punkt za dzwon.

– A tu masz jabłko – pokazał Keegan. – Ponieważ wydawnictwo jest w Nowym Jorku, no i smoka, bo na nim latasz. Musisz mieć własny miecz, a nie pożyczony. Według tradycji miecz przechodzi z pokolenia na pokolenie, ale tamten po twoim ojcu jest dla ciebie za ciężki. Ten został wykuty specjalnie dla ciebie, uwzględniając poręczność, zasięg i wzrost.

Chwyciła za rękojeść i poczuła różnicę. Miecz był nieco krótszy od tego, którym trenowała, a wyjęty z pochwy okazał się też lżejszy.

– Uważaj, dziewczyno, bo jeszcze komuś wydłubiesz tym oko.

Ale ona zapatrzyła się na klingę i wyryte tam słowo.

Misneach.

– Dziękuję. – Wsunęła miecz do pochwy i pocałowała Keegana. – To dla mnie wiele znaczy.

Gdy później dogasał ogień w kominku, poszli na górę. Breen usiadła, żeby zdjąć kozaki.

– Sprytnie, nie? – skomentował Keegan, patrząc jak ona rozpiną ukryty zamek. – Łatwo je włożyć i zdjąć. Są... prowokujące.

Spojrzała na niego.

– Czyżby?

– Dobrze wiesz. Aż się człowiek zastanawia, jak byś w nich wyglądała, mając na sobie niewiele więcej.

– Według Marco najlepiej do nich pasuje obszerna męska koszula. Może któregoś dnia przymierzę jedną z twoich.

– Chętnie to zobaczę. – Podeszedł do okna, wrócił z powrotem. – Breen, wiem, jaki ważny jest dla ciebie pierwszy dzień Świąt, ale muszę udać się do Stolicy i zwołać Osąd nad tą kobietą. Nie mogę z tym zwlekać.

– Och. Jasne, masz rację. Rano wyruszamy.

– Nie ma potrzeby, żebyś jechała. Mamy fiolkę, kubek, obciążające ją słowa. I na pewno ich się nie wyprze, bo była z siebie dumna.

– Prawda? – mruknęła Breen.

– Dlaczego wypiął truczynę? Po co ryzykowałeś, skoro wiedziałeś?

– Miałam moment zawahania. – Wstała i odstawiła buty. – Ale zrozumiałam, że muszę zaufać. Tobie, Marg, kowenowi, magii i światłu. Musiałam uwierzyć, że tym, co jest we mnie, mogę pokonać

Yseult. Uwierzyć w to, kim się stałam. I wybrałam.

– Ja bym cię powstrzymał i nie byłoby w tym nic złego. I zrobiłbym tak znowu, gdyby przytrafiła się podobna sytuacja.

– Jeżeli nie będzie we mnie wiary, nie dam rady wypełnić roli, jaka jest mi pisana, w walce z Odranem o Talamh i całą resztę.

– Masz rację, niemniej...

– Starasz się powiedzieć, że nie chcesz, abym z tobą jutro pojechała, bo według ciebie jestem tu bardziej bezpieczna?

– Nie, nie o to chodzi. Jeżeli okaże się, że jednak jesteś potrzebna, wyślę sokoła i dołączysz do mnie. Ta Cait ma rodzinę i wiem, że kto się o nią starał, to teraz ma złamane serce. Nie rozumiem, czym Odran ją przekonał. Nigdy tak do końca nie wiadomo, ilu jeszcze naszych uda mu się przeciągnąć na swoją stronę.

Widziała, że się tym gryzł. Bolała go ta strata, zastanawiał się, jak naprawić szkodę.

– Skażesz ją na banicję i ten wyrok będzie ci ciężki.

– Jej siostra, Janna, nosiła warkocz wojownika i przyleciała w dolinę walczyć w Bitwie o Czarny Portal. Zginęła tam. Teraz jej rodzina straciła drugą córkę przez Odrana. Możliwe, że na jednej siostrze ciąży odpowiedzialność za śmierć tej drugiej. Ile Janna powiedziała Cait w siostrzanych rozmowach o patrolach, strategiach, planach? Ile z tego Cait przekazała Odranowi i czy przypadkiem nie przyczyniła się do śmierci własnej siostry? – Pokręcił głową. – Nie, ten wyrok nie będzie mi ciężki.

Wiedziała, że będzie, mimo że mówił inaczej.

– Czy jej rodzina pojedzie do Stolicy na Osąd?

– Zanim zabrano ją na wschód, pozwoliłem im tutaj z nią się zobaczyć i porozmawiać. W tej chwili Aisling potrzebuje pomocy naszej matki, a matka też chce posiedzieć z Aisling i wnukami. Będę musiał zostać w Stolicy przynajmniej do końca roku.

– Masz swoje obowiązki, Keeganie, rozumiem to. Chcesz już wyjechać?

– Chcę spędzić z tobą tę noc, przynajmniej to, co z niej zostało. Chcę się z tobą kochać. – Ściągnął z niej sweter i odrzucił go na bok. – Chcę czuć cię pod sobą, nad sobą i przy sobie.

Wplótł palce w jej włosy.

– Lubię, jak masz je rozpuszczone. Podoba mi się, że jest ich tak dużo i że trudno je okiełznać.

Pomyślała o tamtych godzinach spędzanych na prostowaniu włosów, na maskowaniu płomiennej czerwieni brązową farbą, bo matka ją przekonywała, że nie powinna się wyróżniać. Najlepiej, aby pozostawała niewidzialna.

Nigdy więcej.

Oplotła go w pasie nogami, jej usta stopiły się z jego wargami.

– Chcę cię nade mną i pode mną. Chcę cię w sobie. Noc jest jeszcze długa. – Skubała wargami jego szyję. – Wykorzystajmy to, co z niej zostało.

Chwyliła go za włosy i przyciągnęła jego usta do swoich.

Wzbięła w nim głód, eksplodowało pożądanie. Jej smak, nagle taki oszałamiający, mocny, szczodry, potęgował żądę.

W ostatnim przeblasku myśli rozebrał ją, a potem siebie. Przy palącym dotyku skóry do skóry poderwał ją za biodra, przygniótł do ściany i w nią wszedł. Przyspieszony oddech kobiety rozpałał w nim ogień i zanurzał się coraz głębiej w jej wnętrze.

Nie odrywał wzroku od szarych oczu Breen, widział, jak ciemnieją, jak odbija się w nich każdy dreszcz rozkoszy. Jej nogi, aksamitne więzy, coraz mocniej zaciskały się na nim, jej biodra coraz gwałtowniej obijały się o niego.

Wirowało wokół nich gorące powietrze. Żar w kominku rozbłysł i buchnął płomieniem.

Zapłonęły wszystkie świece w sypialni.

Oddychając, oddychała nim. A on wypełniał ją palącym, podniecającym pragnieniem. Niebezpiecznym.

Poddała się temu pragnieniu, wychodziła naprzeciw jego ruchom, chłonęła elektryzujące wrażenia.

Ogarnął ją ogień, przeszył płomień. On stłumił okrzyk, który wydała, swoimi ustami. Jej ciało drżało i słabło, a on zanurzał się w nią raz za razem aż do spazmu finału.

Czuła, że ma mięśnie zmienione w wodę, ale trwała owinięta na nim. Zastanawiała się, czy we wszystkich światach słyszą dudnienie jej serca.

Łapczywie chwytając powietrze, dostrzegła Fafla na posłaniu przy kominku. Leżał zwinięty

w kłębek, taktownie odwrócony tyłem.

– Zapaliliśmy świece, ogień w kominku huczy. I chyba zawstydziliśmy psa.

– Lubię patrzeć na ciebie w blasku kominka, w świetle świec. A pies? Pies będzie musiał nauczyć się z tym żyć. – Keegan wtulił twarz w jej włosy. – Zdecydowanie nie taki był plan.

– Miałeś plan?

– Miało być czule i nieśpiesznie. Uwiodłaś mnie, a więc to twoja wina.

Och, jak bardzo jej się podobała myśl, że go uwiodła.

– Mamy jeszcze szmat nocy przed sobą. Możesz wprowadzić w życie swój plan.

Obrócił ją tak, aby na nią patrzeć.

– Wiem, skąd przyszedłeś, ale często się zastanawiam, jaki zakręt na ścieżce skierował cię do mnie.

– Często się zastanawiam, jak znalazłeś się na mojej ścieżce. Potem stwierdzam, że nie muszę tego wiedzieć, bo tak jest mi dobrze.

– Jest mi lepiej, niż sądziłem, że może być, i nadal mnie to dziwi. A ponieważ wygląda na to, że jesteśmy na tej samej ścieżce, pozwól, że wprowadzę cię w mój plan.

Rozdział 8

Keegan potrzebował czasu na myślenie i chciał poczuć pod sobą konia, więc pojechał do Stolicy na swoim Merlinie. Wyruszył przed świtem, zanim nawet Harken zajął się obrządkiem. Z Crogą nad głową galopował w chłodnym nocnym powietrzu.

Samotność i szybka jazda, tego potrzebował. Jedynym odgłosem był stukot kopyt ogiera na bityj drodze. Cisza sprzyjała myśleniu.

Odran znalazł sposób, żeby przemyścić tynkturę Yseult do Talamh i przekazać ją swojej stronnicze. Portale, chociaż pilnie strzeżone, pozostawały słabymi punktami. Odran mógł posłać kruka albo duchowe zwierzę jakiegoś hybryda. Sama Yseult mogła rzucić urok na strażników i uspić ich czujność na czas potrzebny do przeszliżnięcia się przez portal.

Talamhijczycy potrafili powstrzymać armię, ale samotny szpieg czy dywersant stanowił inny rodzaj wyzwania. Przecież on też wysyłał szpiegów do świata Odrana. To Talamhijczycy osłabili siły Odrana w Bitwie o Czarny Portal, ale całkowite zwycięstwo nad światem mroku nadal pozostawało niepewne. I jak pokazuje historia, pozostanie niepewne aż do śmierci Odrana.

Samo osłabienie Odrana nie wystarczało i przynosiło jedynie wytchnienie od wojny. Ona będzie się toczyć, dopóki nie nadejdzie koniec Odrana.

Tylko Breen mogła go unicestwić.

Defensor, miecz *taoiseachów*, mimo swoich magicznych właściwości, nie mógł zadać śmiertelnego ciosu, przynajmniej nie z jego ręki. Bogowie świadkami, że Eian władał nim po mistrzowsku, a jednak przegrał i zapłacił za to życiem.

Od wieków we wszystkich pieśniach i opowieściach sławiono Córkę Fey.

*

Keegan poprzysiął sobie, że w niej się nie zakocha, a jednak się zakochał i teraz bał się o nią. Strach mąci wzrok, kiedy powinien pozostać ostry. Wprawia serce w drżenie, gdy ono ma być spokojne. Zaćmiewa umysł, podczas gdy potrzebna jest jasność myślenia.

Pędził galopem aż do czasu, gdy brzask nieśmiało rozjaśnił niebo na wschodzie, a odległość dzieląca go od niej, od świata po drugiej stronie, a nawet od doliny pozwalała mu uładzić myśli i patrzeć na wszystko z dystansu.

Zwolnił do truchtu. Wstawał dzień. Jarzyły się światła w oknach chat i zagród. Zwierzęta budziły się na pastwiskach. Ptaki ćwierkaniem witały świt.

Pierwsze promienie słońca odbijały się w śnieżnych czapach wysokich gór. Mgły unoszące się znad strumieni otulały lasy szarym welonem. Jeleń z wieńcem o sześciu odnogach w płowej zimowej sukni wyłonił się z mgły, uniósł łeb i powąchał powietrze. Gdy przeszedł przez strumień, dołączyło do niego niewielkie stado i po chwili bezszelestnie zniknęło za zasłoną mgły.

Pod niebem krążyła para jastrzębi i nawołując się, wypatrywała zdobyczy na śniadanie. Rudy lis wracał przez pole z nocnych łowów do swojej nory w lesie.

Keegan te widoki często nazywał w myślach małą magią, tak istotną dla życia, pełnego życia, jak oddychanie.

Mały, na wpół śpiący chłopiec dreptał za ojcem do obory, zapewne będą oporządzać bydło. Kobieta otulona niebieską chustą, z pustym koszem na jajka przewieszonym przez ramię, rzucała ziarno kurom. Wypuszczony ze stajni bułany źrebak hasał na polu z wręcz zaraźliwą wesołością.

Keegan poczuł zapach torfowego dymu, doszedł go kobiecy głos nieco fałszywie nuący piosenkę przy domowej krzątaninie, słyszał porykiwanie krów, szum wiatru.

Dobrze zrobił, pomyślał. Z grzbietu Crogi patrzył na Talamh z góry. Jadąc na Merlinie, był jego częścią. Potrzebował tego, aby zawsze pamiętać, że niezależnie od obaw, miał obowiązek bronić tej ziemi i walczyć za nią.

Nachylił się i pogładził Merlina po dobrze umięśnionej szyi.

– Gotowy?

Koń w odpowiedzi przeszedł w kłus.

*

Nie posłał wcześniej sokoła, do Stolicy wjechał bez eskorty, a jednak mieszkańcy wychodzili na próg. Na powitanie dotykali palcami daszka czapki albo machali do niego.

Dzieci do końca roku miały ferie i biegały na dworze. Gdy przejeżdżał obok studni, kobiety, które

przyszły tam po wodę i na pogaduszki, milkły i na chwilę nieruchomiały.

Zauważył Brana, siostrzeńca Moreny. Chłopak biegł mu na spotkanie. Przejechał most i zwolnił do stępa.

– Mówili, że przyjedziesz, tylko nie wiedzieli, czy dziś. Jak zobaczyłem Crogę, wyszedłem poczekać na dworze.

– Na mnie czy na mojego smoka?

Bran spuścił głowę, ale nie mógł ukryć szerokiego uśmiechu.

– Na ciebie, na niego i też na twojego konia, skoro na nim przyjechałeś. Mogę go wziąć do stajni i porządnie wyczyścić zgrzeblem, bo ma za sobą długą drogę.

– Teraz?

– Pewnie. – Podekscytowany, biegł truchtem przy koniu. – Napoję go i w ogóle nim się zajmę.

– A co ma być w zamian za usługę?

– Za taką usługę dla *taoiseacha* nic nie chcę. – A jednak z nadzieją podniósł oczy na Keegana. –

Merlin jest zgrzany.

– Obaj się zgrzaliśmy, chociaż powietrze zimne.

Zsiadł i podał wodze chłopcu.

– Zajmij się nim i pamiętaj, że zasłużył na marchewkę. Przejedziesz się na Crodze, jeśli rodzice pozwolą.

– Pozwolą!

– Zapewne, ale i tak musisz ich zapytać. Bran, co słyhać w domu, co u ciebie?

Bran pogładził Merlina po chrapach.

– Mój wujek był odważny i dobry. Wiem, że on jest w świetle. Ale... brakuje mi jego śmiechu.

– Mnie też. – Keegan położył dłoń na głowie chłopca. – Nam wszystkim.

– Jest nam smutno i czasami aż ściska mnie w dołku, gdy pomyślę, że nigdy go nie zobaczę.

Mama mówi, że gdy popatrzę na gwiazdy, jedna się będzie wyróżniać. Ta jego. Wiem, to tylko taka legenda, ale...

– Jest w niej piękno i prawda, bo kiedy patrzysz na tę gwiazdę, myślisz o nim. To czyni legendę prawdziwą. Croga przyleci do ciebie, gdy go zawołasz.

Oczy Brana zrobiły się ogromne jak spodki.

– Gdy go zawołam?

– Będzie wiedział, bo mu powiem. Zadbaj o mojego konia, zapytaj rodziców, a smok przyleci na twoje wezwanie.

– Zatoszczę się o Merlina. Obiecuję! – Ruszył w stronę stajni, przystanął i szeroko uśmiechnięty wrócił do Keegana. – Teraz nie chodzimy do szkoły i rano ćwiczyłem z mamą. Mocno trenowałem, *taoiseachu*, i będę gotowy stanąć do walki z Odranem i wszystkimi mrocznymi siłami, jeżeli zaatakują Talamh.

– Bogowie – mruknął Keegan, gdy Bran oddalił się z Merlinem. – Błagam was, wszystkie boginie i bogowie, sprawcie, żeby on nigdy nie musiał walczyć.

Minął fontannę i stanął przed zamkiem z chorągwią powiewającą na wietrze. I jak zawsze, wchodząc w jego bramę, starał się walczyć z wrażeniem utraty wolności.

Skierował się prosto do swoich komnat, żeby się umyć i przebrać przed spotkaniem z członkami Rady i wszystkimi, którzy przyjdą z prośbami, skargami, nadziejami i pomysłami. Zanim jeszcze wczorajszy dzień dobiegł końca, po posiłku zjedzonym z rodziną Moreny – teraz też jego rodziną – wiedział, że będzie musiał zostać w zamku przez kilka dni.

Matka chciała spędzić trochę czasu z Aisling i dziećmi, co słusznie jej się należało.

Gdy nie było Tarryn, Keegan musiał wysiadywać na zebraniach Rady, podejmować codzienne decyzje i przejmować wszystkie rutynowe obowiązki, które zazwyczaj zostawiał o wiele sprawniejszej i zdecydowanie bardziej cierplivej matce. Nie zgodził się posłać po Mahona, świeżo upieczonego ojca, bo on też chciał spędzić parę dni w domu, więc musiał go zastąpić na naradach z wojownikami oraz z uczonymi w Komnacie Map.

W swojej prywatnej pracowni układał zaklęcia, mieszał eliksiry, wypatrywał zwiastunów, które pomogą zapewnić bezpieczeństwo Talamh, jego mieszkańcom oraz innym światom.

Na Osąd wyznaczył ostatni dzień roku.

– Sala pełna – doniósł Flynn – tak jak się spodziewaliśmy. Wielu z przybyłych liczy, że zobaczą Breen i będą świadkami podobnej sytuacji jak w przypadku Osądu Torica od Świętobliwych.

– To się rozczarują. Ona nie jest tutaj potrzebna – stwierdził Keegan podobnie jak wcześniej. –

Byłeś świadkiem zajścia z Caitlyn, a nikt nie wątpi w twoją prawdomówność. Ściągnąłem również innych, którzy to widzieli. Poza tym, Flynn, podejrzewam, że ona nie będzie się wypierać. Chełpi się tym, co zrobiła.

– Wyznam, że z nią rozmawiałem. Rzeczywiście, nie mylisz się. Jednak ludziom będzie żal, że nie zobaczą Breen w akcji. Ze wstydem przyznaję, że też trochę żałuję. Ona jest niesamowita, ta Breen.

– Ano jest. – W ostatnich dniach usilnie się starał o niej nie myśleć, ale nie bardzo mu to wychodziło.

Podniósł buławę.

– Przyprawdźcie oskarżoną. Niech wszyscy usłyszą jej słowa.

Tak jak mówił Flynn, sala była wypełniona po brzegi. Przyszli i starzy, i młodzi. Po wejściu Keegana natychmiast ucichł szmer ożywionych rozmów.

Kiedy zasiadł na Krześle Sprawiedliwego, poczuł ciężar odpowiedzialności spoczywający na jego barkach. Niezależnie od targających nim emocji, od trawiącego go gniewu, musiał zachować zimną krew i jasny umysł.

Tutaj obowiązywały rozwaga i bezstronność.

Gdy Flynn wprowadził Caitlyn, w sali odezwały się gniewne pomruki.

Taka młoda, myślał Keegan. Ładna, młoda, z dobrej rodziny. Niech go bogowie mają w opiece. Ta dziewczyna zdaje się cieszyć, że przyciąga uwagę!

Co ją skłoniło do tak nikczemnego czynu?

Zastanawiał się, czy Cait, obdarzona elfimi cechami, będzie próbowała je wykorzystać do ucieczki, ale patrząc na jej zadowoloną minę, doszedł do wniosku, że nie.

– Caitlyn Connelly, jesteś oskarżona o spiskowanie z Odranem i dopuszczenie się zdrady Talamh i wszystkich jego mieszkańców. Jesteś oskarżona o złamanie praw obowiązujących cię z urodzenia i prawa Talamh. Jesteś oskarżona o próbę otrucia Breen O’Ceallaigh tynkturą sporządzoną za pomocą czarnej magii, co miało tę kobietę doprowadzić na krawędź śmierci. Miałas dostarczyć Breen O’Ceallaigh Odranowi, aby mógł ją unicestwić. Co powiesz na swoją obronę?

– Jestem służebnicą Odrana Wspaniałego. – Twarz dziewczyny płonęła jak w gorączce. – Jego wola jest prawem. Nie ma praw nad jego prawem, innej drogi poza jego drogą.

Obecna na sali matka Cait przycisnęła twarz do ramienia męża. Łkanie wstrząsało jej ramionami.

– Dlaczego nie próbujesz odeprzeć tych zarzutów?

– Po co? Dla mnie jesteś nikim z tą swoją śmieszoną buławą i kiepskim mieczem. Odran jedną myślą może cię spalić na popiół.

– Jak dotąd nie spalił.

– Wszystko w swoim czasie – wysyczała z jadowitym uśmiechem.

– Skoro przyznajesz się do wszystkich zarzutów, wysłuchajmy zeznań świadków. Flynnie Mac an Ghaill, chcesz przemówić?

– Tak. W noc przed Yule, kiedy mnóstwo ludzi zebrało się w dolinie na śpiewanie razem i celebrację wspólnoty, byłem świadkiem, jak ta kobieta podała Breen O’Ceallaigh kubek z cydrem na znak przyjaźni. Widziałem, jak ty, *taoiseachu*, widząc wahanie Breen, szybko do nich podszedłeś. Tak jak wszyscy słyszałem pretensje oskarżonej, gdy jej ofiara nie upadła, i jak wszyscy widziałem zaskoczenie i gniew Cait, bo światło Breen okazało się silniejsze od magii tynktury w kubku.

– To вина wiedźmy, nie moja! Jej zaklęcia okazały się za słabe!

– O kim mówisz? – Keegan zwrócił się do Cait.

– O Yseult! Zawiodła i słono za to zapłaci. Ja zrobiłam swoje, to ona zawiodła! Tak powiem Odranowi.

– Skąd wiesz, że to Yseult sporządziła tynkturę?

– Ha, przysłała mi ją. – Cait z pogardą potrząsnęła głową. – Kruk ją przemycił przez portal, a Odran przemówił do mnie we śnie i obiecał, że za wykonanie tego zadania dostanę, co tylko sobie zażyczę.

– Skąd wiesz, że to był Odran, a nie senna mara? Wiesz, jak on wygląda, znasz jego głos?

Cait zrobiła zniecierpliwioną minę i podparła się pod boki.

– Oczywiście, przecież stałam przed nim. W jego świetle, w czarnym zamku, który błyszczy jak klejnot. Na jego życzenie grzmot rozdziera niebo, a morze wrze, gdy ma taki kaprys.

– Który to był portal i jak przez niego przeszłaś?

Westchnęła znudzona.

– Te wasze straże i ich ciasne umysły. Torian mnie przeprowadził.

– Nakop ziemniaków, zbierz kapustę – recytowała śpiewnie, zerkając z drwiną na swoją rodzinę.
– Nakarm kury. Wiecznie to samo. Kiedyś przyszedł do mnie Torian i powiedział, że można mieć więcej z życia. I przeleciał ze mną przez wszystkie portale po kolei, żeby to udowodnić. Potem zawiózł mnie do Odrana, a on mnie pobłogosławił i obiecał, że kiedy obejmie rządy, niczego mi nie zabraknie i wyjdę za Toriana, a nie za jakiegoś ciemięgę z Talamh. A ty go zabiłeś!

– Kogo zabiłem?

– Toriana, ty bydlaku! Kiedy nadleciał taki silny i odważny i porwał tę skundloną czarownicę znad grobu tego słabeusza, jej ojca. Ona umiała tylko drzeć się i wierzgać. Uciąłeś mu głowę, a ja cię przeklęłam. Twój smok spalił Toriana na popiół i jego też przeklęłam. A teraz przeklinam cię w dwójnasób...

Ciemny elf, skojarzył Keegan, ten, z którym walczył w tamten dzień, gdy poznał Breen.

– Byłaś z Torianem, gdy zobaczył Breen przy grobie ojca?

– Byłam. I dostalibyśmy nagrodę za jej porwanie. Torian powinien cię wtedy zabić i byłoby po kłopotach. A teraz pomściłabym Toriana i służyłabym Odranowi, ale magia Yseult okazała się za słaba. Przrzekłam to Torianowi, obiecałam Odranowi i przysięgam, że zapłacisz mi za jego śmierć, Keeganie O'Broin. Gorzko zapłacisz.

Obróciła się przodem do rodziny i wszystkich zebranych w sali.

– Zostaniecie niewolnikami, będą was składać w ofierze. A ja zatańczę do muzyki waszych jęków.

– Wystarczy, *taoiseachu*. – Matka Cait osunęła się na kolana. – Błagam, dosyć.

– Tak, wystarczy. Caitlyn Connelly, pograżyły cię własne słowa i dobrowolnie dokonane czyny. Zawiodłaś święte zaufanie. Złamałaś święte prawa.

– Pluj na wasze prawa. – I rzeczywiście splunęła Keeganowi pod nogi, budząc pomruk oburzenia wśród zebranych.

– Skazuję cię na banicję do Świata Mroku. Pozostaniesz tam zamknięta do końca swoich dni. Oto mój Osąd.

Opuścił buławę.

– Zdradziłaś swoją rodzinę, która cię kochała i dbała o ciebie. Jedynym uczuciem, jakie we mnie budzisz, jest litość. Zabierzcie ją do dolmenu.

Po raz drugi opuścił buławę i wstał.

– Zamykam Osąd.

– Będziesz się wykrwawiał i płonął żywcem! – krzyczała Cait, gdy Flynn wyciągał ją z sali. – Odran wysączy Córkę Fey do cna i przejmie władzę!

Keegan, ignorując te histeryczne groźby, podszedł do matki Cait i podniósł ją z kolan.

– Nie ma w tym twojej winy ani winy waszej rodziny.

– To moje dziecko.

– Już nie, przykro mi, *Mathair*. On odebrał ci dziecko i rękę honorem, że przyjdzie mu za to zapłacić. Proszę, żebyś nie szła do dolmenu, tylko wraz z rodziną udała się do domu. Wróc w dolinę, odwiedzę cię najszybciej, jak będę mógł.

– Zbłądziła. – Pani Connelly zaniósła się płaczem. – Zbłądziła.

– Tak, zbłądziła. Wraz z tobą przeżywam twoją stratę. – Dał znak dwóm jeźdźcom smoków. – Zabierzcie ich do domu. Dopilnujcie, żeby bezpiecznie wrócili.

Keegan postanowił, że porozmawia z matką przez lustro, na pewno będzie chciała podnieść tę rodzinę na duchu.

Wrócił jeszcze do krzesła. Odczekał, stojąc, aż rodzina wyjdzie z sali.

– Nie ma w tym ich winy – powtórzył do pozostałych. – Wieczorem zapalcie świece za cierpiących, których serca krwawią. A teraz wróćcie do swoich rodzin, do bliskich tych, podziękujcie im za to, że was kochają. Osąd zakończony.

Spełnił swój obowiązek, wysłał tę butną dziewczynę do świata ciemności i grozy. Przywołał Crogę i wznosił się na smoku wysoko ponad chmury, gdzie nie widział niczego poza chłodnym błękitem i warstwą bieli pod sobą i gdzie mógł po prostu być sobą.

Chciał zostać wojownikiem, myślał, wdrażał się w rzemiosło wojenne z dumą i determinacją. Mógł też z dumą pracować na farmie razem z Harkenem, ale robiłby to z mniejszym zapalem niż brat.

Dostał od losu miecz i buławę, wraz ze wszystkim, co symbolizują, i będzie je nosił aż do śmierci. Jednak zdarzały się takie dni, kiedy marzył o prostszym życiu.

Najchętniej poleciałby teraz na zachód, w dolinę, do domu i – nie ukrywał – do Breen. Z rozkoszą

wtuliłby się w nią i zapomniał o wszystkim na jedną błogą godzinę.

Leciał w chłodnym, krystalicznym powietrzu i w ciszy usłyszał jej głos czysty jak dźwięk dzwonu.

Obowiązek stał się twoim i moim wyborem. Ale jestem tutaj i zaczekam na ciebie. To też jest wybór, lecz nie obowiązek. Kocham cię. To budzi mój strach, a jednocześnie daje mi siłę. Tak czy owak, kocham cię. Jestem więc tutaj i zaczekam.

– Bogowie, ona do mnie teraz przemawia, mówi do mnie te słowa. A może to tylko wytwór mojego umysłu.

– Na dół, Croga. Jeszcze nie koniec obowiązków na dziś.

*

Uczta i obchody zamykające stary rok i witające nowy też należały do obowiązków. Nie mógł się od nich uchylić.

Siedział przy długim stole na przodzie komnaty bankietowej. Jadł, pił i prowadził rozmowy, których treść zapominał po pięciu minutach. Tańczył z obowiązku.

Kiara, córka Mingi, wyciągnęła do niego dłoń.

– Śliczna jak zawsze.

Uśmiechnęła się i nieznacznie potrząsnęła głową, wprawiając w ruch kaskadę czarnych loków i wplecionych w nie aksamitnych wstążek.

– W rewanżu za ten komplement chcę, żebyś zamiast poprosić mnie do tańca, wyszedł ze mną na świeże powietrze.

– W takim razie jestem ci dłużny tuzin komplementów.

– Obiecałam Aidenowi, że pomogę ci wyrwać się stąd na chwilę.

– Jesteś z nim szczęśliwa? – zapytał Keegan, kiedy wyszli na taras odświętnie udekorowany kolorowymi światłami.

– Bardzo. Myślałam, że tylko z nim poflirtuję, a tymczasem on zdobył moje serce. A ja jego. – Zapatrzyła się na złote płomienie ogniska. – Teraz na wszystko patrzę inaczej. Wiem, czym jest miłość. Wcześniej chyba nie rozumiałam, co znaczy kochać naprawdę. Pomyślałam... wiesz, ja byłam na Osądzie.

– Tak.

– I pomyślałam, kiedy patrzyłam na Cait, słuchałam tego, co mówi, że ona... jest jak Shana. Całe życie wydawało mi się, że znam Shanę, kochałam ją jak siostrę. Wierzyłam, że ona czuje to samo. Ale ona nigdy nie kochała mnie naprawdę. Ta dziewczyna na Osądzie w ogóle nie czuła miłości do rodziny.

– Odran ją zdeprawował.

– Tak, ale czy nie jest tak, że ona musiała mieć w sobie coś takiego jak Shana, coś, co otworzyło mu drogę do niej?

– Być może. Kiara, nie jesteśmy wszyscy ulepiani z tej samej gliny.

– Kiedyś wierzyłam, że jesteśmy tacy sami, znaczy w środku. Pewnie, że jedni częściej płaczą, inni więcej się śmieją albo są gadatliwi. Ja jestem gadułą.

Pocałował ją w kostki dłoni.

– Wcale nie.

Zaśmiała się rozbawiona.

– Myślałam, że wszyscy mamy dobre serca i dusze. Wszyscy Fey jesteśmy po prostu dobrzy z natury. A teraz rozumiałam, że wcale tak nie musi być. A tamte słowa, które skierowałeś do rodziny Cait, do mnie też przemówiły.

– Do ciebie?

– O tym, że oni nie ponoszą winy. Ja czułam się winna w związku z Shaną, bo nieraz jej pomagałam w różnych kłamstewkach. Wydawały się takie niegroźne. Bawiły nas. W rzeczywistości jednak wcale nie były nieszkodliwe. A Shana jest groźna.

– Nie powinnaś się obwiniać.

– Nie. Dzisiaj to rozumiałam. Rodzice Shany też nie są niczemu winni. Na pewno ją rozpieszczali, ale robili to z miłości. Ona nigdy nie była moją przyjaciółką, taką od serca. Po prostu byłam jej potrzebna.

Odwróciła się do niego i wzięła go za rękę.

– Keeganie, proszę cię, bądź ostrożny i czujny. Ona cię skrzywdzi, jeżeli tylko pojawi się możliwość. Przede wszystkim ciebie. Zrobi, co w jej mocy, żeby wyrządzić krzywdę tobie, Breen, twojej rodzi-

nie. Uderzy w to, co kochasz. Późno to zrozumiałam, choć teraz wyraźnie to widzę.

– Ze mną było podobnie. Kiara, powiem ci to samo – bądź ostrożna i czujna.

– Będę. Czy moja mama niedługo wróci?

– Za kilka dni będzie w domu. Obiecuję.

– Tęsknimy za nią z tatą. No cóż, długo cię tu przetrzymałam. Pozdrowisz ode mnie Breen, gdy ją zobaczysz?

– Naturalnie. Wiem, że dolina nie jest twoim domem, ale zawsze jesteś tam mile widziana.

Pocałował ją, a ona uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– A teraz czas na tańce. Twoja ładna czerwona suknia została uszyta specjalnie na ten cel.

– To prawda. I zbliża się północ, lepiej pójdę poszukać Aideny. Szczęśliwego Nowego Roku, *taoiseachu*.

– Nawzajem.

On jednak, zamiast wrócić do środka, wolał postać przy ognisku. Śpiewy i odgłosy uczyty niosły się ponad trzaskiem ognia. Tak powinno być, pomyślał.

Zanim dołączył do biesiadników, jak należało, spędził samotnie ostatnie chwile odchodzącego roku.

Na czarnym niebie gwiazdy świeciły zimnym blaskiem, błyszcząły dwa księżycy i oddawały swoje światło Talamh. Fale z pluskiem uderzały o brzeg; morze śpiewało swoją pieśń. Złote płomienie strzelały w górę, żar mienił się rubinowo jak smocze serce.

Zamyślony, zapatrzył się w ogień i wtedy ją zobaczył. Miała szmaragdową suknię, odsłaniającą nogi o skórze połyskliwej niczym pył wróżki i złote pantofle na obcasach cienkich jak szpilki.

Nigdy nie widział jej w czymś tak... prowokującym.

Śpiewała z Marco i... ach, z Harkenem. Nie słyszał ich, ale poznał po jej jaśniejącej twarzy, że piosenka musiała być wesoła. Rozpuszczone włosy opadały jej swobodnie na ramiona burzą wijących się pasem.

Zobaczył siostrę tańczącą z Mahonem i roześmianą matkę.

Wyobraził sobie muzykę rozbrzmiewającą na farmie, tupot nóg i głośnie śpiewy, które mogły zważyć dawno zapomniane duchy na wspólne świętowanie.

Ten widok rozgrzał go jak ogień. A jednocześnie zabolął, bo budził tęsknotę za domem, za rodziną i za kobietą w mieniącej się szmaragdowej sukni. A jednak patrzył i uśmiechał się, dzieląc z nimi te radosne chwile.

Piosenka się skończyła, wraz z nią dobiegł końca ten rok. Wyobraził sobie wiwaty przetaczające się echem przez dolinę, tak samo grzmiące w Stolicy na powitanie narodzin nowego roku.

W tej samej chwili ona podniosła oczy i go zobaczyła. Przez dym i płomienie ich spojrzenia się spotkały. Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu, uśmiechu przeznaczonym dla niego. Przytknęła dwa palce do warg i wyciągnęła je ku niemu. Odwzajemnił ten gest, on, który nigdy nie był sentymentalny.

Niebo eksplodowało feerią światła; to wróżki zrzuciły deszcz świetlistych promieni. W zamku, we wsi pod zamkiem i w całym Talamh rozdzwoniły się dzwony.

Ale on widział tylko ją.

Marco uniosł ją nad podłogę i pocałował, wykręcając z nią piruet.

Wizja rozwiała się w dymie.

Postać jeszcze chwilę, po czym odwrócił się i ruszył do sali balowej. Jeszcze jeden czy dwa obowiązkowe toasty, jeden może dwa tańce, postanowił, a potem wymknie się do ciszy swoich komnat.

Seamus, brat poległego Phelina, wyszedł mu na spotkanie z kuflem piwa.

– Dzięki ci za piwo, ale powiedz dlaczego w takiej chwili nie całujesz swojej żony?

– Już to zrobiłem i starannie się przyłożyłem, a ona teraz tańczy z moim ojcem. Szczęśliwego nowego roku, *taoiseachu*.

– Szczęśliwego nowego roku.

– Szukają cię tam, w środku.

– No tak. – Keegan pociągnął spory łyk piwa. – Oczywiście.

– Posłuchaj, wzniosłem toast za *taoiseacha*, a teraz mówię do przyjaciela. Wróć do domu, Keeganie.

– Tak ci śpieszno mnie się pozbyć?

– Powiem ci tak, mój przyjacielu na całe życie; zrobiłeś tu wszystko, co miałeś do zrobienia i nadejdzie czas, gdy będziesz musiał zrobić więcej. A teraz wróć w dolinę, na farmę, do rodziny, do swojej kobiety. Będziemy czuwać w Stolicy dla ciebie i dla Talamh.

– Wiem, że tak będzie. – Wyszczył kilka łyków piwa. – Ona nie całkiem jest moja.

Seamus pokręcił głową i na chwilę przytknął kufel do ust.

– *Mo dhearthair*, możesz tak mówić i nawet po części w to wierzyć, lecz prawda pozostaje prawdą. Mówię ci, wykorzystaj czas, który teraz masz. Poświęcałeś go nam i nieraz go jeszcze będziesz poświęcał. Kiedy straciliśmy naszego Phelina, niech bogowie go mają w opiece, wspierałeś nas, pomagałeś nam z całego serca.

– On był moim przyjacielem na całe życie, tak samo jak ty.

– Wiem. Dałeś z siebie wszystko, czego od ciebie oczekiwano. Stanęliśmy do walki, walczyliśmy i wygraliśmy. I znowu staniemy. Ten dzisiejszy Osąd. Cholernie ciężki obowiązek i godnie z niego się wywiązałeś. I na tym koniec, Keeganie. Czy to dom widziałeś w ognisku?

– Tak, ale muszę tu zostać jeszcze dzień lub dwa. A może i trzy. Poświęcić je na cholerne zebrania i pieprzoną dyplomację. Poza tym całym gównem, chcę naradzić się z tobą, twoim ojcem i paroma innymi wojownikami, których znam i darzę zaufaniem. Musimy porozmawiać o tym, co usłyszeliśmy od tej zdrajczynie podczas Osądu. Trzeba dobrze to rozważyć. – Obejrzał się na ognisko. – Pewnie są inni, podobni do niej, o słabym umyśle, chciwym sercu czy mrocznej duszy. Seamusie, musimy ich wyeliminować, chociaż, bogowie to wiedzą, nie cieszy mnie wysyłanie złych ludzi do świata wiecznego mroku.

Obaj zamilkli. Seamus pierwszy przerwał ciszę.

– Tamtego dnia wskoczyłem do jeziora razem z tobą i zazdrościłem ci, och, jak zazdrościłem, gdy podjąłeś miecz. Błyszczał tak pięknie w porannym słońcu. Ale kierowała mną naiwność młodego wieku. – Położył dłoń na ramieniu Keegana. – Teraz, bogowie mi świadkami, nie zazdrościsz ci ani miecza, ani buławy. Wyrwiemy to zło z korzeniami, *taoiseachu*, a skazując zdrajców na Osądzie, z honorem opuścisz buławę.

– Rodziny będą cierpieć, tak jak cierpią bliscy Shany czy tej Cait.

– Owszem, ale wina leży po stronie tych, którzy zdradzają rodzinę i Fey.

– To prawda. W takim razie spotkamy się. Nie jutro, bo wielu będzie mieć ciężkie głowy i wyrzuty sumienia, że przesadzili w tę noc. Ech, chyba im trochę zazdrościsz – wyznał z westchnieniem.

– Sam chętnie porządnie bym się napił.

– Powiedz słowo – Seamus ponownie klepnął go w ramię – a z ochotą dotrzymam ci towarzystwa.

– Nie dziś – odparł ze śmiechem. – Oprócz wielu spraw czekają mnie obowiązki Pierwszego Dnia. Ale możesz być pewien, że wkrótce ci o tym przypomnę. A teraz ze dwa tańce, zanim dyskretnie się wymknę.

– Bridie Mag Aoidh aż się pali, by z tobą zatańczyć.

– To ta, co ma marchewkowe włosy i dziwacznie chichocze?

– Nie, myślisz o jej siostrze, Maveen. Bridie ma blond włosy i głos jak papier ścierny.

– O bogowie! I stopy długie jak łodzie, a porusza nimi jak wiosłami.

Seamus jeszcze raz klepnął Keegana w ramię.

– Doprawdy, ani trochę ci nie zazdrościsz.

Rozdział 9

Styczeń przyniósł zimne wilgotne wiatry. Breen, ciepło otulona, spędzała poranki nowego roku w swoim pokoju. Uzupełniała blog i dzieliła czas pomiędzy pisanie drugiej części przygód Fąfla i powieści fantasy dla dorosłych. Była pewna – co bardzo ją cieszyło – że zdąży dokończyć książkę o Fąflu do wiosny. Za każdym razem, gdy zabierała się do powieści fantasy, miała już gotową wizję i tkwiła zatoniona w fabule do czasu, gdy musiała się przebrać i ruszać do Talamh.

Popołudnia wypełniały jej praktykowanie magii, treningi, loty na Lonarchu i jazda na niezawodnym Boyu. Wieczory spędzała w chacie z Marco i często też z Brianem. Czasami na godzinę lub dwie zamykała się w swoim pokoju i jeszcze trochę pracowała w towarzystwie Fąfla śpiącego przy kominku.

Nie czuła się samotna w długie zimowe noce, niemniej chętniej widziałaby Keegana w swoim łóżku. Miała czas dla siebie. Wykorzystywała go na wizyty u Aisling i chłopców, spotkania z Finolą i Seamusem oraz spacer z Moreną połączone z oblatywaniem jastrzębia.

Myślała o przyszłości i odkładając na bok myśli o Odranie, zastanawiała się, jak potem, po wszystkim może wyglądać jej życie. Po wszystkim.

Pod koniec pierwszego tygodnia nowego roku wybrała się z Marg, Tarryn i Mingą do ruin.

Echa, echa zostały, pomyślała, ale mrok zniknął.

– Te ruiny zostaną – mówiła Tarryn. – Szczególne miejsce pamięci. Myślę, że to, o czym zapominamy, często powraca. Pamiętajmy więc, co robiono tutaj w imię wiary, i nie pozwólmy, żeby historia kiedykolwiek się powtórzyła. – Chodziła wśród ruin w butach z cholewami. Włosy jakby dotknięte słońcem miała zebrane w zwykły koński ogon. – Teraz ludzie liczniej będą przychodzić w to miejsce i pamiętać.

– W moim świecie historia przemawia. – Minga w szerokich powiewających spodniach przechadzała się wzdłuż kolumnady. – Mówi o czasach, gdy rządzących i rządzonych dzielił kolor skóry.

Powiodła palcami po złocistej skórze na dłoni.

– Ten kolor pozwalał studiować, rozwijać się, mieć ziemię i gromadzić bogactwa. Ci o innym kolorze skóry pracowali na roli i płacili daninę rządzącym. Zajmowali się rzemiosłem i budownictwem. Harowali jak niewolnicy. I tak działo się przez wieki zgodnie z prawem i obyczajem.

Weszła na zakręt kamiennych schodów i zapatrzyła się w przestrzeń między kolumnami.

– Potem wielu o innym kolorze skóry powiedziało: nie, dość tego. Przez Largus przetoczyły się wojny, polała się krew. Czerwona, taka sama pod każdą skórą. I wtedy prawo oraz zwyczaje zostały zmienione. Jedni wyciągnęli z tego lekcję i zapamiętali, drudzy nigdy nie będą pamiętać.

Zeszła ze schodów.

– Według mnie w każdym ze światów są tacy, którzy wyciągają lekcje z takich tragedii, pamiętają i stają przeciwko tym bez pamięci – zakończyła.

– I dlatego, *mo dheirfiur*, zasiadasz w Radzie. – Tarryn wzięła Mingę za rękę i obejrzała się na Breen. – A ty, co tutaj czujesz?

– Smutek unoszący się nad tym miejscem wielkiej krzywdy, ale powietrze jest czyste. I czuję... ulgę, że to zbrodnicze działanie dobiegło końca.

– Duchy, które uwolniliśmy – dodała Marg – do światła i do mroku, są w trakcie podróży. I tak powinno być. A kiedy nadejdzie ich czas, będą świeże i nowe, bo ta podróż daje im więcej wyborów.

Uśmiechnęła się, pokiwała głową, wzięła za rękę Mingę i Breen, a Tarryn ujęła jej drugą dłoń.

– To było słuszne szlachetne działanie. Działanie światła. Sprawiedliwości stało się zadość. Błogosławieństwo dla wszystkich – dodała Marg – w tej nowej podróży w nowy rok.

Fąfel pobiegł przodem, a kobiety szły razem, trzymając się za ręce.

Breen była zaskoczona, że go nie wyczuła, że nie przewidziała. Keegan siedział na potężnym czarnym ogierze, szczypiącym wysoką trawę na cmentarzu.

Serce podskoczyło jej z radości i może to niemądre, ale dzień natychmiast wydał się jaśniejszy. Keegan zsiadł z Merlina, zostawił go, aby paść się razem z pozostałymi końmi, potem pochylił się i pogładził Fąfla.

Kiedy szedł między kamieniami, wiatr rozwiewał mu włosy i targał połami kurtki.

Najpierw, tak jak należy, przywitał się z matką pocałunkiem, gdy przelotnie wsunęła się w jego objęcia.

– Witaj w domu, *mo chroi*. Szybko przyjechałeś.

– Drogi na zachód są suche i twarde.

Pocałował Marg i Mingę i stanął przed Breen.

– Och, bogowie. – Tarryn wzniosła oczy do nieba. – Pocałuj wreszcie dziewczynę, ty jełopie.
– Tak zrobię.

Wziął ją w ramiona i poderwał z ziemi. Poczula się jak bohaterka romansów, które kiedyś czytywała. Wirował z nią w objęciach, nie odrywając warg od jej ust.

– No, tak jak trzeba – pochwaliła go matka. – A ciebie, Breen, muszę pożegnać. Do następnego spotkania. – Ujęła w dłonie jej twarz i delikatnie pocałowała w zaczerwienione policzki.

– Wyjeżdżasz?

– Już czas.

– Deaglan i Bria czekają na farmie ze smokami i będą cię eskortować. – Otoczył matkę ramieniem. – Aisling mnie przeklnie za to, że cię porywam.

– Ona wie, że tak musi być. Do następnej wizyty zostają nam ogień i zwierciadło.

– Bezpiecznej podróży dla ciebie i Mingi – odezwała się Breen. – Mingo, pozdrów ode mnie

Kiare.

– Dziękuję, na pewno pozdrowię.

– Odprowadzę was. – Marg uściśnęła dłoń Breen. – Do zobaczenia jutro.

Została z Keeganem. Patrzyła, jak wszystkie trzy wsiadają na konie i ruszają galopem w nadętych wiatrem pelerynach.

Fąfel pobiegł kawałek za nimi, szczerząc się na pożegnanie, i wrócił do Breen.

– Nie wiedziałam, że przyjedziesz ani że one wyjeżdżają.

– Liczyłem, że wrócę wczoraj albo nawet przedwczoraj, ale musiałem zostać dłużej. Pojawiły się... pewne okoliczności.

– Nie musisz nic wyjaśniać.

Westchnął sfrustrowany.

– Jak mam to wyczuć? – Popukał się palcem w skroń. – Skąd mam wiedzieć, co wyjaśniać, a czego nie?

Skwitowała to pytanie uśmiechem.

– Może wystarczy, jeśli powiem, że się cieszę, że jesteś. I możesz mnie jeszcze raz pocałować.

– Nie omieszkam.

Znowu ją podniósł, ona oplótła ramionami jego szyję i ich wargi złączyły się w pocałunku.

Potem trwali chwilę z czołem przytulonym do czoła.

– Spędziłaś trochę czasu przy grobie ojca?

– Tak, zanim wszystkie weszłyśmy w ruiny. Jest spokój, Keeganie. Smutno tam, ale spokojnie.

– Wracamy czy chcesz jeszcze pójść na cmentarz?

– Nie dziś. – Obejrzał się na chatę za drogą i pasem pól.

– No tak, Connelly. Musisz do nich zajrzeć.

– Byłem tam, zanim do was dołączyłem. Od nich się dowiedziałem, że poszłaś z moją matką. Są mi wdzięczni, tak samo jak ja im.

Wyprostował się.

– Przejdziemy się może kawałek? Zbyt długo dzisiaj siedziałem w siodle.

– Pewnie. – Pogłaskała Fąfla po łbie. – Oboje chętnie się przejdziemy.

Poszli po konie i prowadząc je za wodze, oddalili się od ruin.

– Widziałam cię w wigilię nowego roku. Dokładnie o północy.

– Tak. Wyszedłem postać chwilę przy ognisku i ty tam byłaś. Chyba dobrze się bawiliście.

– Oj, tak.

– Twoja suknia w tamtą noc. Wcześniej nigdy cię w niej nie widziałem.

– Pożegnalny prezent od Sally i Derricka przed naszym pierwszym lotem do Irlandii. Marco nalegał, absolutnie nie przyjął odmowy. „Dziewczyno, kiedy jak nie w taką noc, ubierzesz się w tę zabójczą kieckę”. – Zadarła głowę. – Podobała ci się?

– Owszem. A jeszcze bardziej osoba, która ją miała na sobie.

– Świętowanie w Stolicy musiało być cudowne.

Wzruszył ramionami, podniósł patyk i rzucił go daleko Fąflowi.

– Dla większości to dobra zabawa. Jasne, tańczyłem więcej, niż miałem ochotę, piłem mniej, niż bym chciał. Kiara przesyła ci pozdrowienia.

– Co u niej?

– Wszystko dobrze. Szczerze mówiąc, myliłem się co do niej, tak jak co do Shany. Być może właśnie przez Shanę. Uważałem ją za słodką, głupiutką dzierlatkę. Owszem, jest słodka, ale na pewno nie

głupia. Jest bystra. I pełna życia.

Oczami duszy zobaczył ją tańczącą w ładnej czerwonej sukni, z wstążkami we włosach. Jest pełna życia, pomyślał, i zaskakująco silna.

– Rana po ciosie zadany przez Shanę zasklepiła się i uczyniła ją silniejszą.

Znowu rzucił patyk Fąflowi i przez chwilę szedł w milczeniu.

– Kiedy wyjechałem, myślałem, że zostanę tam kilka dni, najwyżej tydzień. Wrócę tutaj, spędzę trochę czasu w domu i polecę z powrotem, żeby matka mogła posiedzieć z Aisling i dziećmi. Ale...

– Okoliczności.

– Tak. Powiem ci o nich. Nie będę się zagłębiał, jedynie powiem.

– Dobrze.

– Niektóre sprawy są po prostu... mało istotne, ale koniecznie trzeba je załatwić. Cholerna polityka i dyplomacja.

Tym razem mocno się zamachnął i rzucił patyk bardzo daleko, jakby odrzucał politykę i dyplomację.

– Moja matka działa taktownie i z wyczuciem. Ja się muszę namęczyć, żeby jej dorównać. Nie ma potrzeby na ten temat mówić. Tak jest i już. Do tego dochodzą spotkania z uczonymi, wojownikami i strategami, bo stale trzeba przygotowywać i ulepszać taktykę. No i jeszcze Osąd. O Osądzie ci opowiem, bo powinnaś wiedzieć.

– Nie zaprzeczała ani nie błagała o łaskę.

Rzucił jej spojrzenie spod ściągniętych brwi.

– Już wiesz?

– Widziałam to w niej w tamten wieczór. Zjadła jak Toric. Może nie była aż tak agresywna, ale zdecydowanie zawzięta.

– Właściwie ją oceniłaś. I była dumna z tego, co zrobiła. Bezwstydnie okazywała pogardę rodzinie. Właściwie całemu Talamh. Oczywiście najbardziej cierpiała rodzina. Dosłownie słyszałem, jak jej matce pękło serce.

Breen wzięła go za rękę, a Fąfel z patykiem w zębach szedł teraz równo z nimi.

– I właśnie przez tę swoją dumę i, jak powiedziałaś, zawziętość, a także pogardę dużo nam powiedziała. Dobrowolnie, a myślałem, że trzeba to będzie wyciągać z niej siłą. Yseult przysłała truciznę przez kruka, a więc musimy być szczególnie czujni.

– Jak Odran ją zwerbował? – zastanawiała się Breen. – Jak przeciągnął na swoją stronę? Skąd wiedział, że uda mu się ją przekabacić?

– Podejrzewam, że Yseult w różnych przebraniach przekrada się na tę stronę od lat. Działają też zwiadowcy i szpiedzy. Nikt o złych zamiarach nie przejdzie przez Powitalne Drzewo, ale to jedyny taki portal odporny na zniszczenie. Oczywiście używamy ochrony – tłumaczył – jednak magia, skupienie i cel z czasem słabną. To trochę przypomina erozję linii brzegowej pod wpływem działania fal morskich.

– Jak wyrwa pod wodospadem.

– Tak. Właśnie taką drogę wybierają, żeby wyławiać zagubionych, nieszczęśliwych, rozgniewanych i tylko bogowie wiedzą, kogo jeszcze. Ta dziewczyna oznajmiła, że była w świecie Odrana.

– On ją ściągnął?

– Tak z dumą twierdziła, a więc to musi być prawda. Zwabił ją obietnicą bogactwa i zdobycia kochanka. Miał nim być tamten czarny elf, który próbował cię porwać, gdy przyszłyście z Marg na grób twojego ojca.

– To... – Dreszcz przebiegł jej po plecach na owo wspomnienie. Wtedy coś poderwało ją z ziemi i niosło w powietrzu. A potem tamten szok na widok Keegana nadlatującego na smoku z obnażonym mieczem. Upadek na ziemię. Odcięta głowa tocząca się po trawie.

– To było wiele miesięcy temu – wyszeptwała.

– Niewątpliwie musiała dłużej z nimi spiskować.

– Zabiłaś elfa. Moja wina, twoja wina – podsumowała. – Płonęła w niej chęć zemsty. Dała znać Odranowi, a więc wiedział, gdzie będę, i przysłał Yseult. Ale...

Przystanąła i odwróciła się do niego.

– Na pewno jest więcej takich jak ona i tamten elf w Samhain, więcej tych pokroju Torica i jego Świętobliwych.

– Masz rację. Dlatego tak długo to trwało. Teraz skupiamy się wyszukiwaniu tych, co zdradzają swoje plemię, swoją rodzinę. A kiedy ich wytropimy, albo ich wykorzystamy, albo skażemy na banicję.

– Według mnie przydałoby się w kontrwywiadzie. Moglibyście podawać im fałszywe informacje,

takie, które chcielibyście, żeby trafiły do Odrana.

– Tak. – Nadal idąc, spojrział na nią z uznaniem. – Szybko na to wpadłaś, oszczędziłaś mi wyjaśnień.

– Co za ohyda – mruknęła. – Ta świadomość, że ludzie, których przysięgałeś bronić, za których walczyłeś, a mój i twój ojciec oddali życie, dopuszczają się zdrady i przechodzą na stronę beznadziejnego boga, który bez mrugnięcia okiem poderżnie im gardła, składając w ofierze. Dlaczego to robią?

Rozzłoszczona wyrzuciła ręce w górę. Z sykiem sypnęły z nich iskry.

– Może chcą więcej władzy, niż mają? Więcej bogactw, chociaż żyją w miejscu podobnym do raju? A może pociąga ich okrucieństwo wiary wyznawanej przez Odrana?

– Masz rację, że to cię oburza – odezwał się Keegan po chwili.

– Cholernie oburza. Fey są hojni, pogodni i nastawieni pokojowo. Wiem, bo czuję to w sobie. Mam cechy Fey. Jesteśmy odważni i lojalni. Owszem, mamy wady jak wszyscy... ale żeby wybrać tamto zakazane miejsce zamiast tego?

Westchnęła.

– Niektórzy uczą się i zapamiętują – przypomniała słowa Mingi. – Inni nigdy nie będą pamiętać.

– Trafiłaś... – Uniósł dłoń i szukając słowa, nerwowo poruszał palcami.

– W sedno – podpowiedziała.

– No właśnie. Nawet bogowie popełniają błędy, a ten popełnił go, werbując Cait. Wybrał kobietę, której gniew odebrał rozum. Znajdziemy innych, podobnych do niej. – Posłał Breen długie, zdziwione spojrzenie. – Wiesz, nie rozumiem. Idę z tobą i nie jestem zirytowany rozmową. Breen Siobhan, przez większość czasu jesteś bardzo rozsądną osobą.

– Przez większość czasu?

– Większość – powtórzył. – Widok was wszystkich w ognisku poprawił mi humor. A twój w szczególności. Nie słyszałem, co śpiewaliście, ale wiem, że to była pogodna piosenka. A ty widziałas mnie wcześniej?

– W wigilię Nowego Roku?

– Po Osądzie, gdy posłałem tę dziewczynę do Świata Mroku i zamknąłem ją tam na zawsze. Leciąłem na Crodze ponad chmurami. Widziałas mnie? Mówiłaś coś do mnie?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Słyszałem cię. Mówiłaś to samo, co w jeziorze przed wielu laty. Słyszałem twój głos, ale cię nie widziałem.

– I co mówiłam?

– Mówiłaś... – zawahał się, stał się jeszcze bardziej powściągliwy niż zazwyczaj. – Mówiłaś, że dla takich jak my częstym wyborem jest obowiązek. To były słowa, które chciałem usłyszeć w tamtym czasie i miejscu. A może to była gra wyobraźni?

– Ty zawsze wybierzesz obowiązek. Taki już jesteś.

– A ty?

– Myślę... mam nadzieję, że taka się stałam. Co jeszcze mówiłam?

Wzruszył ramionami. Wiedział, że uchyla się od odpowiedzi, jednak uznał, że jak na siebie był bardzo wylewny.

– Powiedziałaś to, co potrzebowałem usłyszeć. A teraz wsiądźmy na konie. Zobaczymy, jak sobie radzisz w galopie.

Bardzo dobrze sobie poradziła, a on, jak zwykle, oszczędnie gospodarował pochwałami.

Breen znalazła Morenę z synkami Aisling. Uczyła ich polować z jastrzębiami, a Darling, nowa suczka Harkena, naprzykrzała się Mab, która zносиła jej zaczepki z istic stoickim spokojem.

– Witaj w domu – zwróciła się Morena do Keegana. – Twój brat coś tam robi w stodole, a Mahon jest na patrolu. Staram się, żeby Aisling złapała oddech z maleństwem, a sama świetnie się bawię z chłopcami.

Pochyliła się, pogłaskała Fąfla, a on natychmiast pognał bawić się ze szczeniakiem.

– Trzymam się z daleka od roboty w stodole – wyznała im – i pilnuję Darling, która przeważnie nie odstępuje Harkena na krok. Odprowadziliśmy Tarryn i Mingę. A potem? Marco porwał moją babcię, Marg i Sedrica. Urządzają konkurs cukierniczy po drugiej stronie. Mnie nie zaprosili.

– W takim razie ja cię zapraszam na ocenę wyników.

– Zaproszenie przyjęte.

– Pewnie nie pomyśli o przygotowaniu posiłku, skoro jest zajęty pieczeniem – spekulował Keegan.

- On zawsze pamięta o posiłkach. Przed przyjściem tutaj zostawił garnek z czymś na kuchence.
- Już nie mogę się doczekać, oczywiście, o ile zostanę zaproszony.
- Brakowało mi ciebie – powiedziała krótko Breen.
- Dobrze – odpowiedział tak samo lakonicznie i odszedł.
- Teraz Fąfel ma dwie przyjaciółki – zauważyła Breen.
- Ta Darling to wulkan energii. Taki kochany wulkan, że nawet jestem prawie gotowa wybaczyć jej wygryzienie dziury w skarpetce z mojej najlepszej pary. I być może odpuszczę Harkenowi uwagę, że nie wygryzłaby jej, gdybym nie zostawiła skarpet na podłodze. Czego bym nie zrobiła, gdybym nie rozbraiała się w pośpiechu, żeby się z nim migdalić.

– Czyli życie małżeńskie kwitnie.

– Cieszę się każdą chwilą, taka prawda. Doskonale, Fin! Świetnie sobie poradziłeś. A teraz ustąp bratu.

Breen patrzyła, jak Fin pomaga młodszemu bratu nałożyć rękawicę. Zachwycony Kavan dreptał w miejscu, trzepocząc małymi skrzydełkami. A Fąfel, nie mniej zachwycony, tarzał się w trawie z niemordowanym szczeniakiem.

Po prostu sielanka, pomyślała, patrząc, jak malec, ciągle podrygując, uniósł w górę rękę w rękawicy. Jastrząb opadł pionowo w dół, składając skrzydła przy lądowaniu. Ramię Kavana nieco się ugięło pod ciężarem ptaka, ale utrzymał go i dumny odwrócił się do Moreny z uśmiechem, który mógłby rozjażać świat.

– Brawo, mały, naprawdę dałeś radę.

– Amisz dobrze się bawi.

Morena kiwnęła głową.

– Dobrze odczytujesz jego emocje, rzeczywiście jest zadowolony. Popatrz na to. – Wskazała Kavana, który bez zachęty uniósł ramię i posłał jastrzębia, odbiegł od brata, odbił się od ziemi i wisząc w powietrzu, wyciągnął ramię do jastrzębia.

– A tego jeszcze go nie uczyłam – zdziwiła się Morena, gdy Amisz usiadł na rękawicy. – I nawet nie próbowałabym go uczyć przez jakiś rok, a może dłużej.

– Ma wrodzony dar. – Breen, patrząc na tę scenę, zobaczyła inną. – Obaj odlecą któregoś dnia. Kavan na skrzydłach, a Finian na swoim smoku, obaj z sokołami na ramieniu, potomkami twojego Amisza.

– Widzisz to? Wiesz?

– Bardzo wyraźnie widziałam przez moment. – Przez moment, kiedy mocniej zabiło jej serce. – Nic im nie mów. Myślę... Myślę, że pewne rzeczy powinny działać się w swoim czasie.

– W takim razie nie powiem. – Zsunęła czapkę na tył głowy i przyglądała się chłopcom. – Jednak wiedząc o tym, poświęcę więcej czasu na przygotowanie ich do tego, co ma nadejść.

– Breen Siobhan.

Odwróciła się i bardziej dzięki szczęściu niż umiejętnościom złapała miecz rzucony przez Keegana.

– Broń się – rozkazał i zabił ją, zanim zdążyła przyjąć właściwą postawę.

– To ja już lepiej sobie pójdę – stwierdziła Morena.

– Nie byłam na to przygotowana.

– No i dlatego nie żyjesz, zawsze musisz być czujna. Podnieś miecz, kobieto. Broń się.

Tym razem klinga uderzyła o klingę, zgrzyt stali poniósł się w zimowym powietrzu.

Keegan był nieugięty, a wyczarowane przez niego fantomy wrogów bezwzględne. Mroczne wróżki, demoniczne psy, oszalałe elfy atakowały ją raz za razem.

To przednie widowisko wywabiło Harkena ze stodoły. Stał teraz z Moreną, Finianem, z Darling – wreszcie ulokowaną między jego stopami, i z Kavanem na biodrze.

Gdy pot już zalewał oczy Breen, nadleciał Mahon i dołączył do widzów. Entuzjastyczne okrzyki obserwatorów zagrzewających ją do walki na niewiele się zdały.

Straciła rachubę, ile razy zginęła.

Walczyła mieczem i magią, zadawała ciosy pięściami i kopała. Co prawda miecze nie raniły, kły i pazury nie rozdzierały skóry, ale trafienia cholernie piekły.

Gdy zapadł zmierzch, była cała obolała.

Stała, ciężko dysząc, z mieczem w opuszczonej ręce. Zapewne teraz nie zdołałaby unieść garści piór.

– Wyszłaś z wprawy – stwierdził Keegan, chowając miecz do pochwy.

– Ćwiczę każdego cholernego dnia.
– Z tymi tutaj. – Gestem ręki wskazał stojącą na uboczu gromadkę. – Za łagodnie cię traktują, to widać na pierwszy rzut oka.
– Za każdym razem wysyłałeś na nią po pięć zjaw! – zawołała Aisling. Ona też wyszła popatrzeć z niemowlęciem śpiącym w chuście.
– Ona jest cenną zdobyczą, tak czy nie? Jeżeli będą mieli okazję ją oddzielić czy otoczyć, na pewno to zrobią. Cackanie się nie rozwija umiejętności.
– Cackanie się, jasna dupa – oburzył się Harken. – Ona ciężko trenowała.
– Nie dość ciężko. Jutro pójdzie jej lepiej.
– Ach, do diabła z tym i tobą, Keeganie. Wejdz do domu, Breen. Ogrzej się przy kominku, a ja ci przygotuję coś, co złagodzi ból.
– Dzięki, ale nic mi nie jest. – Duma nie pozwalała jej „cackać się ze sobą”. – Muszę wracać do domu.

– Dobrze sobie poradziłaś z hybrydem niedźwiedzia i z tamtym demonem z kłami.
– Dziękuję, Mahon. – Wycelowała miecz w Keegana. – Dobranoc wszystkim. Fąfel, idziemy. Wyszła na drogę i modliła się w duchu, aby udało się jej przejść przez niski murek bez głośnych jęków.

Keegan ją dogonił i po prostu ją nad nim przeniósł.
– Już czas, żebyś trenowała własnym mieczem. W Talamh powinnaś chodzić z nim przy pasie.
– Nie jestem wojowniczką. – Z zaciśniętymi zębami wspięła się po stopniach prowadzących do drzewa. – Nie muszę paradować z mieczem.
Przeszli na drugą stronę i trafili na mżawkę.
– Mamy tu ukrywających się wrogów, Breen. Chodzenie z bronią nie jest żadnym paradowaniem.
– Jestem uzbrojona. – Machnęła ręką i na dłoni rozbłysła ognista kula. Zgasiła ją, zaciskając palce. – Cały czas.

– Bardzo dobrze, ale miecz daje dodatkową ochronę. – Zatrzymał się i w półmroku położył dłonie na jej ramionach. – Dałem ci miecz, bo na to zasłużyłaś. To nie jest błaża rzecz w naszej tradycji. Płatnerz go wykuł specjalnie dla ciebie.
– Doceniam to, ale...
– Nie rozumiesz. Nie dałbym ci go, gdybyś na niego nie zasługiwała. To byłaby profanacja miecza, która przyniosłaby ujmę nam obojgu. Wprawiasz się, oczywiście nigdy nie będziesz nim władać po mistrzowsku, ale się starasz. W bitwie wykazałaś się odwagą. No więc nie, nie jesteś wojowniczką, przynajmniej nie z wyboru, ale stajesz do walki, trenujesz, dając z siebie wszystko. Zasłużyłaś na miecz zrobiony specjalnie dla ciebie z wyrytymi twoimi znakami. I proszę, noś go.

Jego słowa uśmierzały ból, łagodziły zranioną dumę i czający się gniew.
– Oni się ze mną nie cackali. Nie są tak nieugięci jak ty. Jednak na pewno nie traktowali mnie ulgowo.

– Inaczej to widzimy. Przyznam też, że Mahon miał rację. Całkiem dobrze poradziłaś sobie z hybrydami.

Spojrzała mu prosto w oczy, a Fąfel, kręcąc łbem, zerkał czujnie to na nią, to na niego.
– Mówisz tak, bo liczysz na kolację i seks.
– Oczywiście, że chcę jedno i drugie i zamierzam to dostać. Ale całkiem dobrze poradziłaś sobie z hybrydami.

W końcu zdecydowała się nosić miecz.
– Tylko nie mam go do czego przypasać.
– Jutro przyniosę pas. Sam go dla ciebie zrobię. – Zsunął dłonie na jej biodra. – Znam wymiary.
Szła teraz już w nieco lepszym nastroju. A kiedy zaczęła rzucać przed siebie światełka, Fąfel szczerzył radośnie i puścił się za nimi biegiem.

Plamy światła zatańczyły na ścieżce, usłyszeli zbliżające się głosy.
– Fajny chłopak, tak, mądry piesek – doszedł ją głos Marg. – A gdzie masz naszą dziewczynkę?
Breen patrzyła, jak jakieś postacie stopniowo wynurzają się z mgły w obrysie migotliwych światełek.

Fąfel kroczył dumnie obok Marg i roześmianej Finoli. Sedric trzymał się nieco za nimi. Wszyscy troje nieśli kosze. Powietrze wypełnił kuszący zapach ich zawartości.

Breen pomyślała, że ta trójka przypomina beztroskich nastolatków zmierzających na imprezę.
– Ominęła was świetna zabawa – odezwała się Finola.

O ile się nie mylę, z dużą ilością wina, dopowiedziała w myślach Breen.

– Kto wygrał? – zapytała.

– Zdecydowaliśmy się na remis – odpowiedział z powagą Sedric. – Po długiej dyskusji połączonej z degustacją.

– Taką solidną degustacją, że chyba darujemy sobie kolację. – Marg podniosła koszyk. – A zostało tego tyle, że wystarczy na zaspokojenie apetytu na słodczyce połowy doliny.

– Sam chętnie bym podegustował.

– Spokojnie, znajdziesz mnóstwo słodkości w chacie. – Finola postukała Keegana palcem w pierś.

– Po drodze podrzucimy trochę tego na farmę dla Aisling i chłopców.

– Jeszcze masz tutaj mąkę. – Keegan pocałował ją w policzek.

– Och, ty spryciarzu. – Śmiejąc się, sięgnęła do kosza. – Jeden herbatnik i na tym koniec.

– Lepiej zostaw sobie miejsce – poradził Sedric – bo Marco ugotował garnek czegoś, co nazywa pozole. Też spróbowaliśmy.

– Pikantne. – Finola znacząco poruszyła brwiami. – Jak sam kucharz. Niosę porcję dla Seamusa. On lubi ostre jedzenie.

– A do tego pikantnego i słodkiego wypiliśmy z antałek wina. – Marg oparła głowę na ramieniu Sedrica. – Świetnie się bawiliśmy. A teraz uciekajcie do domu z tej mżawki i też dobrze się bawcie.

Kiedy się rozstali, Keegan jeszcze obejrzał się za nimi.

– Są podcięci i dobrze im z tym.

– Podcięci?

– Trochę sobie popili. – Odgryzł kęs herbatnika. – A pieką jak bogowie.

Podsunał jej herbatnik, ale ona pokręciła głową.

– Nie, poczekam. Najpierw zjem pozole Marco, a dopiero potem słodkie.

– Co to takiego?

– Pychota – zapewniła go.

Już w drzwiach chaty uderzyły ich smakowite zapachy i Keegan wiedział, że Breen miała rację.

– Hej, Marco, czuję, że znowu nas zaskocysz.

– Witajcie, witajcie! – Marco wynurzył się z kuchni ze ścierką do naczyń przerzuconą przez ramię i zamknął Keegana w mocnym uścisku.

– Chłopie, jestem mokry.

– Zdejmij kurtkę. Ty też, Breen. Wino czy piwo?

– Cokolwiek, co jest pod ręką.

– Na początek wino, które dobrze pasuje do pozole. Mam nadzieję, że jesteście głodni.

– Nawet gdybym nie był, to zgłodniałbym na widok tych wspianiałości. Ach, jest i szarlotka!

– Na grubym cieście z porzeczkami. Chciałem też spróbować zrobić flan, ale zabrakło czasu przez pozole. Wolałem nie konkurować z Sedrikiem w pieczeniu kruchych ciasteczek. Jego są najlepsze. Zostało ich trochę, mamy też kawałek toru Finoli, babeczki z żurawiną Marg i różne pyszności. Jezu, co za dzień!

Ani na moment nie zamykały mu się usta, kiedy napełniał kieliszki winem, a Breen w tym czasie podgrzała pozole i nalala wody do psiej miski.

– Będziemy urządzać takie konkursy co miesiąc, za każdym razem u kogoś innego. U babci, u Finoli, tutaj.

Keegan skosztował wino.

– To wino Sidhe – stwierdził.

– Finola je przyniosła, powiedziała, że pasuje do wszystkiego.

– Ma rację. Nie ma lepszego wina w całym Talamh.

– Żebyś wiedział. Wypiliśmy dwie butelki w trakcie pieczenia. Czuję, jakby rosły mi skrzydła.

W życiu tak dobrze się nie bawiłem.

Gdy mężczyźni sączyli wino i rozmawiali, Breen nakryła do stołu. Zerknęła na Keegana, który oparty o blat kuchenny, słuchał rozbawiony sprawozdania Marco z konkursu cukierniczego. I tak jak po południu to sobie wyobrażała, dom wypełniała muzyka.

Zapaliła świece, a Fąfel ułożył się przy kominku na drzemkę.

Zjedzą razem kolację, potem rzucą się na szarlotkę. Keegan po powrocie ze zwiadu znajdzie się w jej łóżku. Brian będzie dzielił łóżko z Marco.

Tak jak Morena cieszyła się każdą chwilą.

Rozdział 10

Pięć dni z rzędu padał deszcz po obu stronach portalu. Na zmianę siąpiło i lało. Drogi rozmiękły, łożwiane niebo odbijało się w szarych wodach zatoki.

I tylko zieleń błyszczała jak oszlifowane szmaragdy.

Keegan dzień w dzień objeżdżał albo oblatywał Talamh od zachodu po wschód. Przez resztę czasu pomagał Harkenowi na farmie i codziennie konsultował się z matką przez zwierciadło.

Cały czas trwało polowanie na szpiegów Odrana.

Breen najchętniej siedziałaby w przytulnej chacie, pisząc, słuchając muzyki Marco, delektując się jego kulinarną magią i zapachami płynącymi z kuchni, ale Keegan zmuszał ją do codziennych treningów.

Wieczór w wieczór wracała do chaty przemoknięta, ubłocona i obolała. Już prawie przywykła do miecza wiszącego u pasa.

W pierwszy dzień, gdy trochę błękitu przedarło się przez bure chmury, przeszła ze swojego gabinetu do królestwa Marco.

Wyjęła colę z lodówki, wypuściła Fąfla, żeby pohasał nad zatoką, i usiadła przy stole. Marco podniósł znacząco palec, by dała mu chwilę.

– Jeszcze minutę. A tak nawiasem mówiąc, sporo wejść dziś rano na twoim blogu.

Milcząc, patrzyła, jak Marco pracuje w skupieniu.

Z długimi dreadami związanymi nad karkiem, w czerwonym swetrze zrobionym przez Finolę i w czarnych wysokich butach wystukiwał stopą rytm jakiejś grającej mu w głowie melodii i śmigał palcami po klawiaturze.

– No, mamy to. Dzienna porcja postów do mediów społecznościowych odfajkowana. Tak sobie myślę, że któregoś dnia moglibyśmy przyprowadzić tu Darling. Zrobiłbym jej kilka fotek z Fąflem, bo idę o zakład, że prędzej czy później suczka pojawi się w którejś z przygód Fąfla.

– Znasz mnie jak nikt, a to jest świetny pomysł. Nie poradziłabym sobie bez ciebie, Marco Polo.

– Ech tam, sama pisałaś książki i prowadziła blog, dziewczyno. – Podniósł do ust wysoką szklankę z wodą sodową. – Chociaż na pewno nie byłabyś taką gwiazdą na Twitterze.

– Zaczyniesz pisać książkę kucharską.

– Ja mam napisać książkę kucharską?

– Czytasz komentarze na blogu i prośby o przepisy, kiedy wspominam, że coś ugotowałeś albo upiekłeś. Chętnie pomogę, oczywiście nie w gotowaniu czy pieczeniu, ale przy redagowaniu tekstu i robieniu zdjęć. Już spytałam moją agentkę, co ona o tym myśli.

– Rany, Jezu, Breen. – Podrapał się po policzku. – Ty wiesz, jak ja gotuję. Posmakuję, dodam tego i owego, popatrzę, powącham. Wszystko na żywioł.

– I właśnie tak masz to robić, a Carla ze mną się zgadza. Nie chcę, żebyś traktował to jako pracę, jeszcze jeden obowiązek. Uważam też, że mógłbyś przy tym dobrze się bawić. Po prostu to przemyśl.

– Pewnie mogę o tym pomyśleć, ale...

– Żadnych ale. Zastanów się nad tym. Aha, i jeszcze kilka spraw, o ile znajdziesz czas.

– Niedługo musimy wyruszyć na drugą stronę.

– Wiem, ale najpierw te sprawy. Liczę, że złożę w wydawnictwie drugą część przygód Fąfla za jakieś sześć może osiem tygodni. Może. Na pewno. Mam nadzieję.

– Świetnie.

– I chyba z grubsza mam pomysł... na trzecią. I rzeczywiście, wprowadzę tam Darling.

– Wiedziałem! – Podekscytowany, uniósł ramiona. – Musisz koniecznie dać mi przeczytać, zanim skończysz. Mogę przemyścić kilka sygnałów do bloga. Nic wielkiego, bo na razie interesuje nas promocja pierwszej części i dopiero kiedy ona ukaże się drukiem, zajmiemy się promowaniem tej drugiej.

– Mówisz jak rasowy wydawca.

– Podoba mi się to. Nigdy nie myślałem o takim sposobie na zarabianie pieniędzy, ale to mi się podoba.

– Widzę i dobrze, bo z tym łączy się kolejna sprawa. Myślę, mam nadzieję, że może uda nam się na początku kwietnia wyrwać się stąd na kilka dni. Zrobilibyśmy Sally niespodziankę na urodziny.

Otworzył szeroko oczy.

– Polecimy do Filadelfii?

– Tak, na początek. Żeby zobaczyć się z Sally i Derrickiem. A ja spotkam się z matką.

Wziął ją za rękę.

– Pójdę do niej razem z tobą.

– Nie. Poradzę sobie. Będę gotowa do tej rozmowy. Potem pojedziemy pociągiem do Nowego Jorku.

Tym razem otworzył usta ze zdziwienia i wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Co? Do Nowego Jorku? Jaja sobie ze mnie robisz?

– Czas, żebyś osobiście poznał ludzi, z którymi współpracujesz, a oni poznali ciebie. No i jeżeli do tego czasu będziesz miał przygotowany zarys twojej fantastycznej, jedynej w swoim rodzaju książki kucharskiej...

– Do kwietnia. – Zerwał się z krzesła i krążył po kuchni. – Przerażasz mnie.

– Jeżeli – powtórzyła z naciskiem. – Moglibyśmy otworzyć portal do mieszkania i w ten sposób się przenieść. Tym bardziej że Keegan posłał tam jedną Fey. I chcę ją poznać. To zaoszczędzi nam czasu i korowodów. Jeden dzień spędzimy z Sally i Derrickiem, a drugi w Nowym Jorku. Wszystko zależy od...

– Tego, czy będzie wojna, czy pokój.

– Nie ruszę się stąd nawet na dwa dni, jeżeli będę tutaj potrzebna. Tobie pierwszemu mówię o wyjeździe. Muszę też porozmawiać z Keeganem i babcią. Na razie chciałam poznać twoje zdanie. A ty na pewno będziesz chciał pogadać z Brianem.

– Jasne, jasne. Wszystko trzeba ustalić.

– Na razie jest spokojnie, ale nie wiadomo, jak długo tak będzie. Zapewne najlepiej by było, abyśmy teraz pojechali, ale dla mnie to chyba niewłaściwy czas. Nie wiem, czy to tylko takie moje wrażenie, czy tak czuję, bo najpierw chcę skończyć książkę.

– Pojedziemy, kiedy rzucisz hasło. Brian nie będzie miał nic przeciwko temu. Każdy ma swoją pracę, no nie? Ten wyjazd wynika z twoich i moich obowiązków. A teraz mam pytanie.

– Jest jeszcze jedna sprawa.

– Najpierw ja. Co z dużą książką? Kiedy zamierzasz ją wysłać?

– Jeszcze nie jest gotowa.

– Słyszę to już od jakiegoś czasu. – Podniósł rękę, żeby mu nie przerywała. – I oboje dobrze wiemy, że Carlee delikatnie daje ci do zrozumienia, że czeka na kilka rozdziałów. Kiedy zamierzasz je wysłać? Czas na twój ruch, skarbie.

Teraz ona zerwała się z krzesła i krążyła wokół stołu.

– Cholernie się denerwuję, Marco. Nie sądziłam, że będę aż tak to przeżywać. Nie przejmuję się drugą częścią o Faflu, bo to już temat oswojony i naprawdę pisanie sprawia mi przyjemność. Ale tamta powieść... nawet jeszcze nie mam tytułu.

– A jaki teraz przychodzi ci na myśl?

– Ha, w tym tygodniu to: Magia mroku i światła. Chociaż może...

– Mocny. Zostaw go. I daj mi kawałek przeczytać. Pierwszy rozdział. Nie, pierwsze dwa. Daj mi je do przeczytania wieczorem.

– Nie są... – Sapnęła, gdy wycelował w nią palec. – Daj mi jeszcze dwa tygodnie. Po dwóch tygodniach dostaniesz te dwa rozdziały.

Podniósł się, wyciągnął rękę i zgiął mały palec.

– Przysięgnij na paluszek.

– Cholera! – wysyczała, ale splotła mały palec z jego palcem. – Dwa tygodnie.

– Przysięga zaklepana i przypieczętowana. A teraz zbierajmy się. Może w Talamh też się wypogodziło. Zabezpiecz urokiem to mięso z warzywami, dobra?

– Robisz gulasz z warzywami? Pachnie super. Jest jeszcze jedna rzecz.

Przypasała miecz, nadal czując się z tym dziwnie, chwyciła kurtkę i szalik.

– Jest cieplej – zauważyła, gdy wyszli z domu. – Jeszcze zima, ale robi się cieplej. – Fafl przybiegł do nich w podskokach. Osuszyła go, wyprostowała się i stała chwilę zapatrzona na zatokę.

– Woda już nie jest szara, tylko bładoniebieska i wszystko pachnie tak świeżo.

Gdy ruszyli w stronę lasu, wzięła go pod rękę

– Czy rozmawialiście z Brianem o tym, co potem? Po tym wszystkim? – zapytała, ściskając jego dłoń.

– Tak. Będziemy razem. Gdziekolwiek i myślę, że raczej tutaj. Nie po drugiej stronie. W Talamh nie umiałbym mieszkać. Muszę mieć szybki internet, porządną kabinę z prysznicem, z którego leci gorąca woda. Chcę zmywarkę. No i ty tutaj jesteś. I wiem, że zostaniesz. Mam rację? Wiedziałem, jak tylko pierwszy raz zobaczyłaś chatę. Popłakałaś się. Popłakałaś się, bo to było dokładnie to, czego chciałaś.

– Zgadza się.

– W Filadelfii mamy Sally, Derricka i moją siostrę. Możemy ich odwiedzać. Reszta rodziny... muszę się pogodzić, że nie mam co liczyć na ich akceptację. No i nigdy nie zaakceptowałyby Briana. Rozmawialiśmy już, żeby poszukać jakiegoś miejsca po tej stronie, blisko ciebie i blisko Talamh, gdzie jest tyle osób, na których mi zależy.

– Byłbyś szczęśliwy tutaj, w Irlandii?

– Pokochałem to miejsce, gdy tylko je zobaczyłem. Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że tu zamieszkać, ale też nie myślałem, że spotkam Briana. On jest dla mnie całym światem, tak jak ja dla niego.

– Marco, to się czuje i wie, wystarczy na was popatrzeć.

– Miłość od pierwszego wejrzenia. – Westchnął wzruszony. – Nie wierzyłem, że ona istnieje do czasu, kiedy mnie to spotkało. A jeżeli chodzi o praktyczną stronę, mogę pracować, gdzie chcę, pod warunkiem, że mam internet.

Mocno uścisnął jej rękę.

– Jednakże aż do po wszystkim będę z tobą, dziewczyno.

– Wiem i kocham cię. A jeżeli jesteś przekonany co do reszty, pomyślałam, że zapytam babcię, czy mogłaby powiększyć chatę.

– Breen.

– Posłuchaj. Obaj potrzebujecie przestrzeni dla siebie. I myślę, że jeszcze lepiej byłoby wznieść drugą chatę. Dla ciebie i Briana. Miejsca wystarczy. Zostalibyśmy sąsiadami.

– Sąsiadami – powtórzył cicho.

– Mógłbyś mieć własnego konia po tamtej stronie. Harken trzymałby go dla ciebie na farmie. Wiem, że się zgodzi. Kochasz jazdę i miałbyś swojego konia pod wierzch. Sam zaprojektowałbyś kuchnię i królewski prysznic. A także pokój muzyczny, w którym mógłbyś komponować i grać.

Przystanął i otoczył ją ramionami.

– Kocham cię, Breen.

– Ja też cię kocham. Proszę, powiedz: tak. Jeżeli zamierzasz tu zostać, bądź blisko mnie i blisko Talamh.

– Nie mogę nic powiedzieć, dopóki nie porozmawiam z Brianem, ale niczego więcej nie mógłbym pragnąć. Chyba zaraz się popłaczę.

– Ja też niczego więcej nie pragnę. – Pocałowała go w wilgotny policzek. – Przejdziemy przez to, Marco. Wytrwamy do po wszystkim i spełnimy nasze marzenia.

*

Zobaczyli Marg i Sedrica na podwórku przed kuchnią. Oboje byli ubrani w swetry i spodnie. Włosy Sedrica połyskiwały srebrzyście, Marg włożyła wełnianą czapkę na zwiniętą w koczek burzę ognistorudych loków. Kiedy do nich podeszli, Breen zobaczyła ogromny gar zawieszony nad ogniskiem i stół z górą jabłek, które oboje z Sedrikiem kroili w kostkę.

– Och, dzień dobry, Breen. *Mo stor*, przynieś z kuchni smakołyk dla naszego chłopaka, bo mam brudne ręce.

– Mus jabłkowy? – zapytał Marco, kiedy Breen poszła po psi herbatnik.

– Wino z jabłek – wyjaśnił Sedric. – Mój kuzyn przyniósł jabłka na wymianę i musimy je wykorzystać.

– Tak? – Marco zajął do gara i zobaczył tam coś, co wyglądało na czystą wodę. – Jak je robicie? Przecież nie możecie tych jabłek ugotować.

– To bardziej skomplikowane i akurat dobry czas na taką robotę, bo wreszcie przestał padać deszcz.

Breen przyniosła psi herbatnik. Fąfel uznał, że najlepiej będzie go schrupać pod stołem przy nogach Marg.

– Mogę wam pomóc?

– Już prawie kończymy, ale towarzystwo jest mile widziane.

Marco przeszedł wzdłuż stołu do następnego garnka z kranikiem na dole.

– To fermentator, tak?

– Rzeczywiście. Aleś ty bystry.

– Wrzucimy jabłka do tego oto worka – wyjaśniał Sedric – i dobrze go zawiążemy. Najpierw wykorzystamy wrzątek, a potem schłodzimy całość zimną wodą. I zostawimy worek do czasu, gdy zadziała nauka.

– Oprócz nauki i odrobiny magii konieczna jest cierpliwość. Dobre wino wymaga czasu. Kiedy zawiązali worek, Sedric przeniósł go do fermentatora.

– Poszukam rękawic. I przeleję wodę z tego gara. Pewnie jest ciężki.

– Nie ma potrzeby. Marco, cofnij się trochę – mówiąc to, Marg wyciągnęła ręce w stronę gara. Strumień wrzącej wody uniósł się łukiem w górę i opadł do fermentatora.

– Mógłbyś przynieść wiadro wody ze studni – Sedric zwrócił się do Marco. – W ten sposób będziesz miał udział w produkcji wina.

– A jak Marco już przyniesie wodę, udamy się do pracowni, a panowie zajmą się sobą.

– Najpierw chciałabym z wami o czymś porozmawiać – powiedziała Breen. – Tylko muszę otrząsnąć się z szoku na widok Marco czerpiącego wodę ze studni. Niech ćwicz – stwierdziła rozbawiona. – Bo zapewne to nie jest ostatni raz. Otóż on zamierza zostać w Irlandii. Porozmawia o tym z Brianem i potem, jak ja to mówię, po wszystkim, zamieszkają w Irlandii, żeby Brian mógł bez kłopotu przemieszczać się tam i z powrotem.

– Och, bardzo się cieszę, nawet nie wiesz, jak bardzo. Mieliśmy taką nadzieję, prawda? – Marg uściśnęła dłoń Sedrica.

– Tak jest. A teraz, sąsiedzie, wlewaj powoli – instruował Sedric, kiwając głową, kiedy Marco dodawał wody z wiadra. – Tyle wystarczy.

– Zamierzałem wybrać się na przejażdżkę. Mogę wrócić za godzinę i zobaczyć, co dalej będzie się działo?

– Sam też chętnie się przejadę. Chodźmy, potem zajmiemy się resztą.

– Cudownie, że będziecie razem, ty i Brian. – Marg ujęła w dłonie twarz Marco. – Cieszę się, że będę mogła cię często widywać i że najlepszy przyjaciel Breen zamieszka po sąsiedzku.

– Chciałabym, żebyśmy mieszkali jak najbliżej siebie. Czy nie będziecie mieć nic przeciwko temu, aby chata dla Marco i Briana stanęła nad zatoką w pobliżu Fey Cottage?

– Nigdy nie słyszałam o lepszym pomysle. A ty, Sedricu?

– Nie przypominam sobie.

– To twoja ziemia, *mo stor*, i możesz z nią robić, co chcesz – dodała babcia.

– Gdyby nie wy, nie miałabym ani ziemi, ani chaty.

– Och, z jaką radością przystąpimy do pracy – dom blisko przyjaciół i sąsiadów, a jednocześnie w takiej odległości, żeby zapewnić wszystkim prywatność. Zaangażujmy w to Seamusa, on się zna na takiej robocie. Marco, porozmawiaj z nim o tym, co ty i Brian chcielibyście mieć w swoim domu, i możesz mi wierzyć, Finola też podsunie mnóstwo pomysłów. Tak było w przypadku Chaty Fey.

– Oczywiście, mówimy tylko o sugestiach. I to trafionych – zaznaczył stanowczo Sedric. – Na pewno kuchnia będzie sercem domu. Tobie przyda się miejsce do muzykowania, a Brian musi mieć pracownię. A dalej się zobaczy.

– No nie, znowu się rozbeczałem. – Marco wytarł oczy. – Muszę coś powiedzieć, zanim zacznę bełkotać. – W Filadelfii moją rodziną są Sally i Derrick, bo ta... prawdziwa, z wyjątkiem siostry... oni... jestem gejem i to im nie pasuje.

– Bardzo mi ich żal – mruknęła Marg. – Mam nadzieję, że któregoś dnia otworzą się zamki na ich sercach.

– Nie liczylibym na to. Ale ja tutaj znalazłem rodzinę. Oboje jesteście rodziną Breen, ale także moją. Przynajmniej ja tak czuję. Szczerze was kocham.

– I jesteś kochany. Chodź tu, słodki chłopcze. – Marg zagarnęła go w ramiona. – *Garmhac*. Wnuk. Jesteś naszym wnukiem. No a teraz idź z twoim dziadkiem na farmę po konie, planowaliście przejażdżkę.

– Tak. Wygląda na to, że mamy kolejny udany dzień.

– Owszem. I postaramy się mieć ich jak najwięcej.

Breen odprowadziła ich wzrokiem.

– To, co zrobiliście, bardzo wiele znaczy i dla niego, i dla mnie.

– Miłość nic nie kosztuje. Nie rozumiem tych, co jej nie czują, nie chcą jej dawać ani brać. My mamy jej w sobie aż nadto do obdzielania, prawda, piesku? – Marg zwróciła do Fafla, gdy otarł się o jej nogi.

– Chcę o czymś jeszcze z tobą porozmawiać – zaczęła Breen, kiedy szły przez las do pracowni. – Myślałam, żeby zniknąć z Marco na parę dni, może w kwietniu. Spędzić jeden dzień w Filadelfii i jeden w Nowym Jorku.

– Zobaczyć się z duchową matką i pozalać interesy?

– Tak. Nie pojedę, jeżeli będę tutaj potrzebna, gdyby zaczęły się jakieś niepokoje. Wiem przecież, co jest najważniejsze.

– Twoja rodzina po tamtej stronie i twoje interesy też są ważne i oczywiście powinnaś pojechać. Czemu chcesz czekać aż do wiosny?

– Urodziny Sally, no i książka. Chcę dokończyć drugą część przygód Fąfla.

Na dźwięk swojego imienia pies zamachał ogonem i pobiegł popluskać się w strumyku.

– Rozumiem. Chciałabym podać mu prezent, jak tam będziesz jechała. On darzył cię miłością, kiedy mnie nie było to dane. – Marg swoim zwyczajem przystanęła na mostku. – A teraz powiedz mi, co widzisz.

– Drzewa odpoczywają przed wiosną, tak samo ziemia. I... cztery łanie z trzema jelonkami – to roczniaki – czekają, aż Fąfel wejdzie do pracowni i wtedy przyjdą się napić. Smok z jeźdźcem lecą z Dalekiego Zachodu na wschód. A Lonarch jest z twoją Dilis nad jeziorem. I jest...

Wstrzymała oddech.

– Babciu. – Breen chwyciła Marg za rękę. – Odran. Krew. Czarna magia. Nie widzę, gdzie, tylko wyczuwam. Jest głęboko i ciemno. To nie wodospad. Nie widzę.

– Czy on cię wyczuł?

– Mnie... nie.

– Trzymaj zasłonę zamkniętą, *mo stor*.

– Jest ciężko. On jest teraz silniejszy. Czuję jego gniew. On karmi się tym gniewem jak krwią.

– Cofnij się dalej od niego. Wycofaj się.

– Muszę zobaczyć.

– Cofnij się i patrz. Jestem przy tobie. Zasłona jest przed nim zamknięta. Cofnij się i uważnie patrz.

Czuła, jak światło Marg wzmacnia jej własne. Nagle Fąfel znalazł się przy jej nogach. Czuła ich oboje, widziała siebie z nimi jak w lustrze. Kusiło ją, żeby postąpić krok w przód, ale posłusznie się cofnęła. I przez cienką, choć wytrzymałą zasłonę go zobaczyła.

Odran stał nagi w kręgu czarnych świec. Na piersi, nieco powyżej serca, miał niewielką bliznę. Powietrze wypełniał dym i monotony śpiew. Przebijał się przez niego huk wzburzonych fal uderzających o skały. Na kamiennym ołtarzu leżała ofiara, naga jak jej bóg. Ciało miała wymazane krwią.

Breen czuła, że ofiary nie paraliżuje strach, ona wręcz płonęła z podniecenia.

On przygniótł ją sobą, a wtedy śpiewy stały się głębsze i mroczniejsze. Wszedł w nią tak brutalnie, że dłoń Breen zadrżała w dłoni Marg.

– Bądź silna – usłyszała w głowie głos babci. – I nie zdradz się.

Zobaczyła przez niego coś, co wyglądało na szpony. Szpony rwały ciało wróżki. Krew spływała na kamienie. Z gardła ofiary wydarł się krzyk; nie bólu, lecz euforii.

Kiedy skończył, leżała wpatrzona w jego płonące czerwono oczy.

– Oddaję się dla twojej chwały, Odranie, Bogu Jedyny. Oddaję moje ciało, moje życie, moją duszę.

– Biorę je.

Przejechał szponem po szyi uszczęśliwionej wróżki i pił jej krew, a śpiewy przeszły w ogłuszające skandowanie.

I wtedy Breen dostrzegła Shanę. Stała na zewnątrz kręgu w złotej sukni, obwieszona klejnotami i klaskała.

I zobaczyła coś jeszcze, coś, co przyprawiło ją o mdłości.

Zasłona zadrżała.

– Dość! – zareagowała ostro Marg. – Utrzymaj ją. Wycofaj się. Wystarczy.

– Nie widzę. Wszystko zniknęło. Muszę usiąść.

– Wejdzmy do środka. Jesteś lodowata i biała. Oprzyj się o mnie.

Machnięciem dłonią otworzyła drzwi pracowni. Machnęła jeszcze raz i zapłonął ogień w kominku.

– Usiądź. – Podprowadziła Breen do krzesła. – Przygotuję eliksir, który cię rozgrzeje i uspokoi.

– Widziałaś? O Boże, widziałaś? Byłaś ze mną. Ty i Fąfel byliście tam ze mną. Widziałam was.

– Widziałam co nieco poprzez ciebie, ale chyba nie wszystko. No, siadaj tutaj, przy kominku.

Cała się trzęsiesz.

Marg otuliła Breen szalem, a Fąfel położył łeb na jej kolanach.

– Nic mi nie jest. – A jednak ziąb przenikał ją aż do kości. – Tylko tego było... za dużo. Babciu,

mogłam przejść przez zasłonę. Myślę, że mogłam przez nią przejść i położyć kres temu, co tam się działo.

– Przejdź tam, gdzie nie mogłam za tobą podążyć? Sama jedna przeciwko wielu? Nie przerwałaś tego, *mo stor*. Proszę, pij. – Marg podsunęła jej kubek, który ogrzewała dłońmi.

– Na koniec zobaczyłam Shanę. Widziałaś ją?

– Nie. Zasłona się przeredzała, musiałam ją utrzymać dla ciebie. Co z nią?

– Ona ma w sobie coś dziwnego, babciu. Co on w nią włożył, dziecko? To jest mroczne jak on, szalone jak ona i nie rośnie. Nie wiem, to coś jest jakieś niekształtne. Nie wiem.

– Ona sama dokonała wyboru, Breen.

– Tak, to prawda. – Dziewczyna piła powoli eliksir i czuła, jak opuszcza ją chłód. – A widziałaś tę Sidhe na ołtarzu?

– Tak.

– Ona chciała, żeby on z nią to robił. Czuła się zaszczycona, była podekscytowana. Widziałaś, kim się stał, kiedy był na niej i w niej?

– Wiem, kim jest.

– Nie, nie. Widziałaś jego oczy, szpony?

Marg wstrzymała oddech.

– Tego nie widziałam.

– Babciu, Odran nie jest tylko bogiem. On ma w sobie demona. Widziałam to, czułam. – Podniosła przestraszone oczy na Marg. – Jeżeli w nim jest demon, to we mnie też.

– Jesteś pewna?

– Tak. Och, babciu, a jeżeli ta część mnie się przebudzi?

– Nie bądź niemądra. – Ta błyskawiczna odpowiedź Marg odebrała Breen mowę. – Mylisz się, jeżeli sądzisz, że wszystkie demony są mroczne i złe. To kwestia wyboru. Wiele wybiera mrok, ale ty nigdy tego nie zrobiłaś i nie zrobisz.

– Widziałaś o tym, powiedz, wiedziałaś?

– Nie, dotąd nie wiedziałam, i sądzę, że strach sprawia, że głęboko to ukrywasz. Pozwól, że coś ci powiem. To prawda, którą mówię z miłości. Wszystko, co jest w tobie, czyni cię silniejszą. Czyni cię kimś więcej. I pamiętaj, że odziedziczyłaś demoniczność po ojcu. Czy miała ona wpływ na to, kim był?

– Nie. Myślisz, że on wiedział?

– Sądzę, że nie. I ty też nie wiedziałabyś, gdybyś nie zobaczyła tam tego. I teraz już wiemy. Otworzysz się przede mną, pozwolisz mi w siebie wejrzeć? Posłałabym po Harkena, bo on ma większą wprawę, ale jesteś z mojej krwi, więc to powinno wystarczyć.

Chłód zmienił się w lodowate zimno, wnętrzości Breen ściał mróz.

– Powiedz mi, jeżeli to jest zło. Będziemy musiały znaleźć sposób, żeby je wykorzenić.

– Podaj mi dłonie. – Marg odebrała od niej kubek i odstawiła go na bok. – Podaj je i otwórz się.

– Najpierw przyrzeknij.

– Masz moje słowo. Nigdy cię nie okłamię.

Breen oparła dłonie na dłoniach Marg.

– Chyba musisz mi pomóc. Nie wiem, czy sobie poradzę.

– Na pewno sobie poradzisz, ale cię wesprę. Skup się na mnie. Patrz tylko na mnie, tak jak ja patrzę tylko na ciebie. Otwórz się przed tą, która cię kocha. Aha, właśnie tak. Dobrze.

Breen czuła, jak odpływa niesiona głosem Marg.

– Moje kochanie, moja miłości. Jakie w tobie jest światło! Tyle światła! Siła, odwaga, ciągle taka świeża i stale rosnąca moc, a jakie serce! Jest w nim żar.

– Jest zło? Powiedz.

– Wszędzie jedynie jasność i światło. Nie ma w tobie niczego, co mogłoby budzić twój lęk. Tak samo jak w tym wpatrzonym w ciebie z miłością psiaku nie budzi lęku fakt, że pochodzi od demonicznego psa.

– Och, zapomniałam. Zupełnie zapomniałam. – W przypiływie ulgi Breen pochyliła się i uściskała Fafla. – Mój wodny demon. Zapomniałam. Mamy jeszcze więcej wspólnego ze sobą.

– Należy mu się za to jeszcze jeden herbatnik. – Marg podniosła się i poszła po słój, a Fafla z radości machnął ogonem.

– Musisz o wszystkim opowiedzieć Keeganowi. To bardzo cenna wiedza. A teraz zajmijmy się białą magią, żeby zrównoważyć tę czarną.

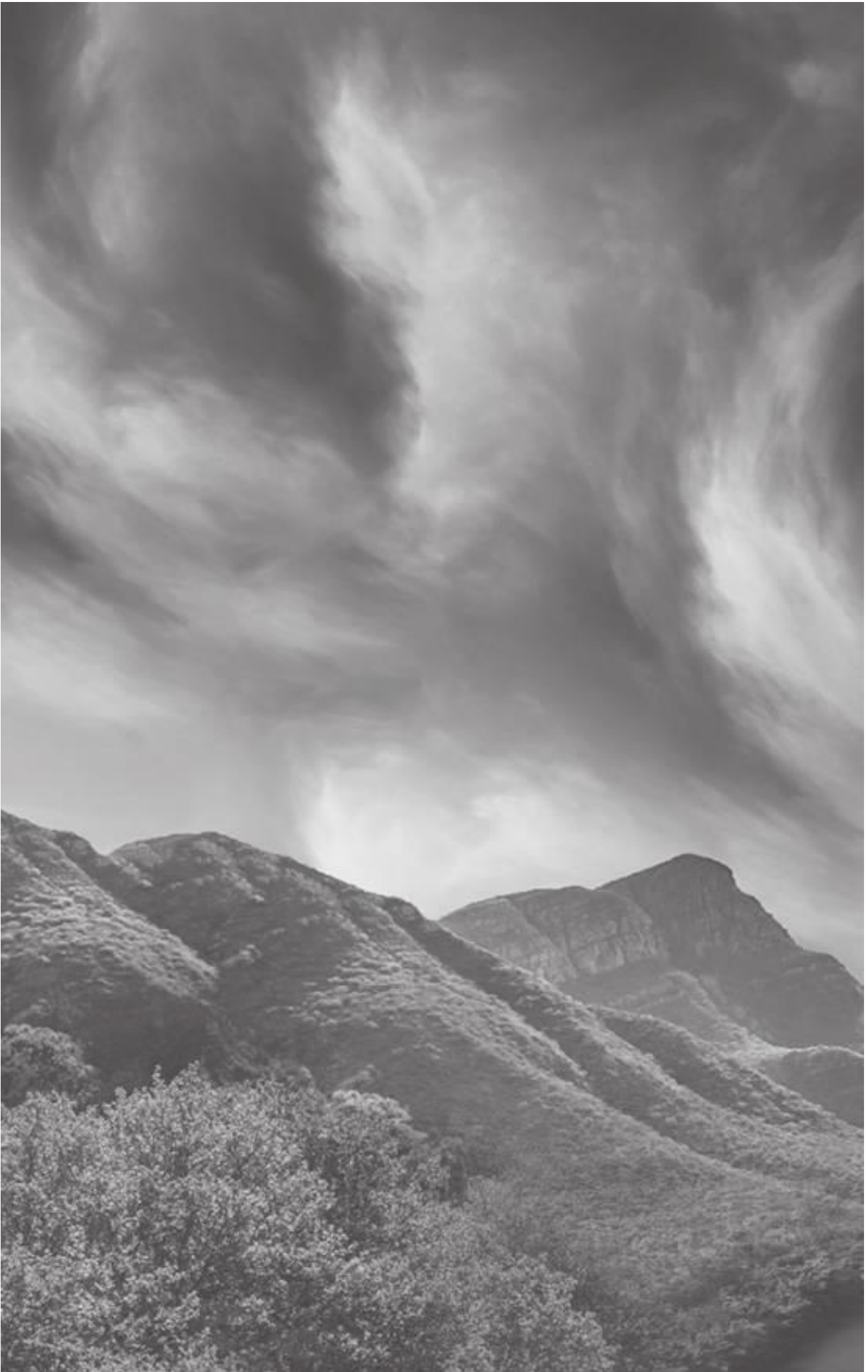
Breen podniosła się z krzesła. Pokiwała głową z entuzjazmem.

– Tak. Muszę się wdrażać. Obawiam się, że ten błogi spokój długo nie potrwa.

– Posłuchaj mnie, mój najdroższy skarbie. Dziecko mojego dziecka, światło mojego serca. Posłuchaj i uwierz. On nie jest dla ciebie godnym przeciwnikiem. Wiem to całą sobą, wszystkim, czym jestem.

– Chcę ci wierzyć. – Breen odetchnęła z ulgą, nadal trochę oszołomiona. – Zajmijmy się tym. Wzbudźmy jasność.

Fąfel pierwszy ją wzbudził, tańcząc na tylnych łapach z nadzieją na kolejny smakołyk.



CZEŚĆ DRUGA

Życie

*Życie to czysty płomień,
a my żyjemy dzięki niewidzialnemu słońcu w nas.*

Sir Thomas Browne

*Bądź tym, kim jesteś, i stań się tym,
kim potrafisz się stać.
To jedyny cel życia.*

Robert Louis Stevenson

Rozdział 11

Po pożegnaniu się z babcią Breen przywołała smoka i razem z Fąflem poleciała na zachód, nad morze. Już się uspokoiła – Marg tego dopilnowała – ale potrzebowała przestrzeni, bliskości Lonarcha i beztroskiej radości Fąfla. Zawróciła wysoko nad wzgórzami i obozowiskiem Trolli. Pod wpływem impulsu skierowała Lonarcha w dół i wylądowała tuż nad obozowiskiem.

Dzieci porzuciły zabawę, dorośli podnieśli się od ognisk i przerwali pracę.

Zamiast od razu zsiąść ze smoka i pozwolić Fąflowi zbiec ze wzgórza, zadbała o etykietę.

– Pozdrowienia dla wszystkich. Dzisiaj nie przyleciałam na barter, ale mam nadzieję, że przyjmiecie mnie życzliwie.

Patrzyła, jak wysoka Sul z ramionami jak tarany i wydatnym brzuchem, ubrana w koszulę i spodnie ze zgrzebnego płótna, podnosi się od ogniska.

– Jesteś tu mile widziana, Córko O’Ceallaigha, Córko Fey, Wojowniczo w Bitwie o Czarny Portal. – Przechyliła głowę z rozkołysanym warkoczem plemiennym. – Witam ciebie i twojego psa. Słyszeliśmy opowieści o Fąflu Odważnym i Wiernym.

– Dziękuję. – Breen zsiadła z Lonarcha i nakazała Fąflowi trzymać się przy nodze, zgodnie z tutejszym zwyczajem.

– Pozdrowienia dla ciebie, Sul, Matko Trolli, dla Logi i wszystkich waszych krewnych.

Idąc przez obozowisko ku kamiennym chatom, spojrzała na Fąfla.

– On chciałby się przywitać z waszymi dziećmi. Wolno im go dotykać i prosimy o pozwolenie mu na to samo.

– Ma je.

Sul wyciągnęła rękę i uściśniła ramię Breen.

– Loga jest w kopalni. Mogę posłać po niego, jeśli chcesz z nim mówić.

Dzieci, zarówno te małe, jak i nieco starsze, otoczyły Fąfla kołem. Głaskały go i śmiały się uszczęśliwione.

– Przyleciałam zobaczyć się z tobą przede wszystkim. Zobaczyć, co u ciebie słychać. Proszę, przekaz Lodze moje podziękowania. Wiem, że on i inni członkowie plemienia pojawili się na polu bitwy i walczyli, kiedy byli tam bardzo potrzebni.

– Podziękowania są zbędne. Jesteśmy z Talamh. Wino dla córki! – Sul rzuciła polecenie tubalnym głosem, a Breen, znając zasady, usiadła na ziemi przed jej chatą. – Miło, że poświęciłaś czas na wizytę u mnie.

– Widzę, że rana dobrze się zagoiła.

– Z twoją pomocą.

Breen przyjęła kubek z winem.

– A poza tym, jak się czujesz?

– Jestem silna i zdrowa, tak samo jak ten dar, dziecko, chociaż ono nieco mnie ogranicza. Masz pozwolenie na badanie.

– Dziękuję. – Breen położyła dłoń na brzuchu Sul. Zamknęła oczy, westchnęła. – Silne, zdrowe i pełne światła. Czuję wewnętrzną potrzebę, żeby zobaczyć silne, zdrowe, pełne światła dziecko rosnące w swojej matce. – Obejrzała się na Fąfla, niezmordowanie aportującego patyki, które dzieci na zmianę, powiedzmy, że mu rzucały. – I zobaczyć te młode szczęśliwe twarze. Nie zabawię długo. Czekają mnie obowiązki. Następnym razem przywiozę słodycze na wymianę.

– Zawsze jesteś tu mile widziana. – Sul uśmiechnęła się. – I twoje słodycze.

Wizyta w obozowisku podniosła Breen na duchu. Przyleciała na farmę dobrą godzinę wcześniej, niż zakładała.

Od razu rzuciły się jej w oczy tarcze porozstawiane pod lasem spory kawałek za domem. A więc Keegan zaplanował strzelanie z łuku, które nieco lepiej znosiła niż fechtunek, pomyślała. Natomiast lądując, jakoś nie zwróciła uwagi na panującą wszędzie pustkę.

Ani Harken, ani Morena nie pracowali w polu. Dzieci się nie bawiły, nie widziała Keegana.

Zsiadła, pogładziła Lonarcha po łuskach i stała chwilę, nasłuchując. Konie szczypały trawę, ale padok był pusty. Kiedy lepiej się wsłuchiwała, doszło ją pobekiwanie owiec, muczenie krów, pochrząkiwanie świń i gdakanie kur.

Przypomniał jej się tamten dzień, kiedy pierwszy raz weszła do Talamh. Nie, poprawiła się, ona się tutaj wturlała. Wtedy też było tak cicho, ale gdzieś z daleka niosła się piosenka śpiewana przez Harkena idącego za pługiem.

Zaledwie niecały rok, pomyślała, a wydaje się wiecznością. Miała wrażenie, jakby życie, jakie wiodła w Filadelfii, w ogóle nie istniało. Nieważne, co się z nim stanie, nie tęskniła za nim, ale to ono utorowało jej drogę do tego, czego szukała; tak też zatytułowała swój blog.

Odnalazła siebie.

– I znacznie więcej – wyszeptała z jedną ręką opartą na kosmatym czubie Fąfla, a drugą na gładkich łuskach smoka.

Na moment przytuliła policzek do wygiętej szyi Lonarcha. Czują, że on teraz poleci do Smoczego Gniazda na szczycie góry. Ale wróci z powrotem, gdy tylko go wezwie.

– Gdybyśmy mogli, polecilibyśmy z tobą – powiedziała, cofając się.

Lonarch obejrzał się i popatrzył jej w oczy bursztynowymi oczami. Potem wzniosł się w górę, mieniając się czerwono na tle niebieskiego nieba, i po chwili zniknął za warstwą chmur.

Gdy odwróciła się w stronę domu, Fąfel puścił się biegiem do stajni, wrócił do niej i kursował pomiędzy nią i stajnią.

– Aha, rozumiem, są w stajni.

Przeszła po gęstej, sprężystej trawie, ciągle mokrej po deszczach.

Wrota stajni były otwarte, ze środka dochodził śpiew.

To Harken, pomyślała, on często śpiewa przy pracy. Jednak zanim doszła do otwartych wrót, rozpoznała głos Keegana. Śpiewał jakąś liryczną piosenkę po talamhasku.

Nozdrza Breen wypełnił zapach siana, nawozu, końskiego potu i skóry. Wyczuła zadowolenie ciężarnej Eryn, na wpół drzemiącej w boksie najbliższej wejścia. Czują pogodny nastrój Merlina stojącego dwa boksy dalej. I spryt dwóch stajennych kotów, które przyczajone czekały na mysz. Prędzej czy później którąś skusi ziarno rozsypane na polepie.

Ku jej rozczerowaniu śpiew się urwał, gdy Fąfel wpadł do stajni.

– Przyszedłeś z wizytą? – Keegan przywitał go z rzadką u niego wesołością. – W samą porę, bo dopiero wróciliśmy z długiej i ciężkiej wyprawy.

Stał na szeroko rozstawionych nogach i czyścił zgrzeblem bok Merlina. Zmierzwił wiatrem włosy opadały mężczyźnie na kark poniżej kołnierza. Buty i spodnie miał ubłocone, ochlapana błotem kurtka wisiała przerzucona przez otwarte drzwi boksu.

Wygląda na szczęśliwego, pomyślała Breen. Nie przeszkadza mu błoto, a praca go cieszy.

– I widzę, że przyprowadziłeś swoją panią. Jesteś trochę za wcześnie – rzucił do Breen.

Zaraz zepsuje mu ten radosny nastrój, pomyślała, ale postanowiła z tym poczekać kilka minut.

– O czym była ta piosenka?

– O sercu złamanym przez jasnowłosą dziewczynę. Powinnaś się uczyć języka. Marg ci pomoże, mnie nie starczyłoby cierpliwości.

– Trochę już umiem. *Brisfaidh me di magairl*.

Przerwał pracę, oparł się o bok Merlina. Usta mu lekko zadrżały.

– Ciekawe, co takiego ostatnio ci zrobiłem, że chcesz mi urwać jaja? Co prawda masz kiepską wymowę, ale sens się zachował.

– Morena mnie nauczyła. Przydaje się.

– Podobno ma się opanowany język, gdy umie się w nim przeklinać. Widzę, że masz ochotę na marchewkę? – zwrócił się do Merlina. Wyjął marchew z kosza i podsunął koniowi pod pysk. – Zasłużyłeś na drzemkę.

Ściągnął kurtkę z drzwi i cofnął się do boksu, a wtedy Fąfel ruszył w pościg za uciekającymi kotami.

– Pożałujesz tego, *mo chara*, gdy nadziejesz się na ich pazury! – zawołał Keegan.

– *Mo chara*. Mój przyjacielu. Jednak załapałam trochę słów poza przekleństwami. – Rozbawił ją widok myszy, która dobrała się do ziarna.

– Gdzie jeździłeś?

– Tu, tam i z powrotem. – Włożył ubłoconą kurtkę i zamknął boks. – Zajrzałem do środkowego rejonu Talamh, żeby przyjrzeć się szpiegowi, którego wytropiliśmy w przytulnej chacie nad strumieniem.

Chwyła go za ramię.

– Znaleźliście szpiega? Naprawdę?

– Zapewniam cię, że widziałem go na własne oczy oraz kapliczkę, którą w ukryciu wzniosł dla Odrana. On pochodzi z drugiej strony, to twój krajan. Przybył tu z Alabamy jakieś dwanaście lat temu. Kiedyś miał kobietę, Elfkę o imieniu Minia. Zakochała się w nim, on przyjechał tutaj za nią i był przez naszych mile widziany.

Zatrzymał się przy Eryn, popatrzył jej w oczy, pogładził ją po chrapach, wyjął jabłko ze skrzynki i przekroił je na pół.

– Mówiono mi, że mieli dwoje dzieci. Ona je zabrała i odeszła od niego, bo zrobił się gburowaty i leniwy. – Dał połowę jabłka Erin, a drugą podsunął Breen. Gdy ona pokręciła głową, sam ugryzł jabłko i ruszył do wrót. – Nie kontaktował się z sąsiadami i chyba samotny i zgorzkniały zwrócił się ku Odranowi.

– Jak go znaleźliście?

Keegan podparł wrota stajni.

– To Uwin, ojciec Shany, powiedział jednemu ze zwiadowców, że warto mu się przyjrzeć. Mieliśmy więc na niego oko i rzeczywiście podpatrzyliśmy, jak wysyła kruka. Potem inny kruk przyleciał do niego. Odran korzysta z kruków, my używamy jastrzębi.

– Tak, wiem.

– Jaki los bywa czasem przewrotny. Gdyby Uwin nie był taki ufny i pobłażliwy i nie opowiadał Shanie o tym, co dzieje się na Radzie, ona nie byłaby przydatna dla Odrana. I gdyby nie spróbowała zrobić tobie i mnie tego, co planowała, nie odesłałbym Uwina ze Stolicy, a moja matka nie szukałaby dla niego lokum. Jak się okazało ten szpieg, który zainteresował Uwina, mieszka z nim po sąsiedzku.

– Odstawisz go do Stolicy?

– Tak.

– Banicja?

– Możliwe.

– Jaki jeszcze może zapaść wyrok?

– Jeżeli jednoznacznie i bez cienia wątpliwości zostanie mu udowodniona zdrada, skończy w Świecie Mroku. Musimy jeszcze sprawdzić, czy nie dopuszczał się przemocy, i być może jedynie zaklęciem pozbawimy go pamięci i odeślemy do Alabamy.

– Tak jak było w moim przypadku.

Odwrócił się do niej.

– Może podobnie, ale ten człowiek nigdy nie odnajdzie drogi powrotnej. Niezależnie od Osądu Talamh będzie przed nim zamknięty. Kiedy rozpadło się jego małżeństwo, mógł wrócić do swojego świata, tymczasem on podjął działanie, które może doprowadzić do śmierci własnych dzieci. Żona go opuściła i zabrała dzieci. To samo w sobie jest poważną sprawą.

– Rozwód. Pierwszy, o jakim tutaj słyszę.

– To niezupełnie tak. – Ściągnął brwi, wzruszył ramionami. – Nie ma pozwów, rozpraw i podobnych korowodów. To osobista, prywatna sprawa, sprawa serca. Fey nie składają przysięgi lekkomyślnie i nie rozstają się pochopnie. Rozmawiałem z Minią i chociaż jej miłość do niego wygasła, płakała z żalu nad ojcem ich dzieci. Płakała, chociaż, jak powiedziała, a co inni poświadczili, on od czterech lat nie chce widywać się z synem i z córką.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Jutro i kilka dni posiedzę w Stolicy, bo mogą się zgłosić kolejni świadkowie. – Spojrzał na nią.

– Nie muszę ci tego tłumaczyć.

– Nie, nie musisz.

– W takim razie przynies łuk i kołczan, zobaczymy, czy i jak blisko tarczy uda ci się trafić.

– Keeganie, przyleciałam wcześniej nie bez powodu.

– Rozumiem, że chcesz więcej ćwiczyć.

– Nie, nie o to chodzi. Miałam wizję. Widziałam Odrana, w jego świecie. Muszę ci powiedzieć. Ja... Nie.

– Nie powiesz mi?

– Muszę o tym powiadomić całą radę. Tę, którą stworzyłeś tutaj. Nazwałeś ją Radą w Dolinie. Nie wiem, gdzie wszyscy się podziewają.

– Harken z Moreną przekładają torf. Mahon jest na patrolu. Aisling pewnie siedzi w domu, a chłopcy kręcili się na podwórku, kiedy przyjechałem. Gdybyś mi powiedziała, mógłbym...

– Będzie mi łatwiej powiedzieć to wszystkim jednocześnie. Mogę ściągnąć babcię i Sedrica.

Przyglądał się jej bacznie intensywnie zielonymi oczami.

– W takim razie to coś ważnego?

– Tak. Naprawdę myślę, że to istotne.

– W takim razie idź po Marg i Sedrica, ja przywołam Crogę i ściągnę resztę.

Trochę to trwało, zanim wszyscy zgromadzili się wokół dużego stołu na farmie. Marco wrócił

z przejażdżki, licząc, że trafi na trening, więc zajął chłopców zabawą i dokazywaniem z psami. Aisling ułożyła niemowlę do snu w salonie.

– Wszyscy nanieśliście mi błota, drodzy panowie. – Kobieta stanęła w kuchni i podparła się pod boki. – I ty też, Moreno. Nawet mój trzylatek wie, że przed wejściem należy wytrzeć buty.

– Później posprzątam. Jasny gwint, siadaj, Aisling. – Keegan szarpnięciem odsunął dla niej krzesło. – Mamy ważniejsze sprawy niż odrobina błota.

Splotła ramiona, spiorunowała go wzrokiem, ale usiadła.

– Breen, wyjaśnij, dlaczego nas zwołałaś.

– Dobrze. – Złączyła dłonie pod stołem. – Miałam wizję.

Opowiedziała im wszystko ze szczegółami, widząc tę scenę tak samo wyraźnie, jakby rozgrywała się przed jej oczami.

– Na pewno zechcesz powiadomić Radę w Stolicy – na koniec zwróciła się do Keegana.

– Naturalnie.

– Chcę o coś poprosić, nim skończymy. Wiem, że nie powinniśmy z nikim rozmawiać o tym, o czym tu mówimy, ale jednak chciałabym powiadomić Marco. Czuję się nie w porządku, przemilczając to przed nim.

– Chcę coś dodać – Morena pierwsza się odezwała. – W Radzie w Stolicy mamy Mingę. Ona nie jest z Fey i nie urodziła się w Talamh, a jest godna zaufania. Marco też dowiódł, że można mu zaufać, więc zasługuje, żeby mu o tym powiedzieć.

– Tak jest. – Harken skinął głową na zgodę i reszta poszła w jego ślady.

– Jestem wam wdzięczna. Nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia o demonie w nim, we mnie. Babcia twierdzi, że nie ma we mnie mroku, że nie wszystkie demony muszą być złe. Ja na tym się nie znam, ale babcia to sprawdziła. Harken, możesz teraz we mnie wejrzeć, żeby wszyscy byli pewni.

– Nie ma powodu wątpić w słowa Marg czy twoje – uspokoił ją Harken. – Nie musisz tego robić.

– Dość tych bzdur. – Aisling przechyliła się i wzięła Breen za rękę. – Temat zamknięty.

– Ty jesteś *taoiseachem* i odpowiadasz za wszystkich.

Keegan uniósł dłoń.

– Słyszałaś moją siostrę? Według ciebie wyglądam na jakiegoś fiksata?

– Nie wiem, co to.

– Jeden stopień wyżej nad idiotą – odpowiedziała Morena. – I szczerze mówiąc, wszyscy wiemy, że czasami bywa fiksatem, lecz nie tym razem. Zresztą zostawmy to i przejdźmy do sedna. Nigdy nie słyszałam, żeby on miał w sobie demona.

– To wiele wyjaśnia, nieprawdaż? – Keegan, mówiąc, nie odrywał wzroku od Breen. – Nie jest tak, że bóg nie może przejść na mroczną stronę. Inni też się sprzeniewierzyli, ale Odran jest z nich najgorszy. A nie został zgładzony za swoje czyny, tylko wyrzucony.

– Demoniczna krew – zauważył Mahon. – Czyli nie był do końca jednym z nich. Nie zasługiwał na godną śmierć. Gorszą karą od śmierci stały się wzgarda i odtrącenie.

– I tak rosły w nim gniew, gorycz, głód władzy i chęć zemsty. – Marg podniosła kubek i zapatrzyła się w herbatę. – Zapragnął rządzić wszystkimi światami i może któregoś dnia wypowiedzieć wojnę tym bogom, którzy go zlekceważyli i poniżyli.

– Ale są jeszcze inni półbogowie? – chciała wiedzieć Breen.

– Jest ich całe mnóstwo – odpowiedział pogodnie Harken. – O ile podania i pieśni mówią prawdę. Widzisz, Odran naruszył prawa i zerwał pokój zawarty pomiędzy bogami i Fey. Składał ofiary krwi z Fey, ludzi i bogów, żeby karmić się mrokiem i hodować go w sobie.

– Chciał wynieść się ponad innych bogów – podsumował Keegan – i rządzić wszystkim światami, łącznie ze światem bogów. Być może ze wstydu ukrył tę część siebie. A może nie chciał, żeby jego wyznawcy wiedzieli, że nie jest czystej krwi.

– I jedno, i drugie brzmi prawdopodobnie. A ty widziałaś w nim demona? – Morena, zamyślona, zwróciła się do Breen. – Widziałaś, jak wyglądał, gdy uprawiał seks z ofiarą.

– Tak. Jego dłonie zmieniły się w szpony. Wbił je w nią, a ona krwawiła. Oczy mu poczerwieniały, zęby stały się dłuższe, spiczaste. – Zamknęła oczy, żeby przywołać szczegóły. – To nie był gwałt. Ona mu sprzyjała i myślę, że... wszystko widziała i czuła, ale nie była przerażona, podobnie jak tamci, którzy na to patrzyli. Co więcej... – Skupiła się na przywołanej scenie. – Oni byli jak pijani czy odurzeni. Dym, krew, jej krzyki, ich monotony śpiew. To zakrawało na szaleństwo. A kiedy on ją zabił, rozorał szyję ofiary i sycił się jej krwią jak zwierzę, oni w kółko skandowali jego imię.

– A ona klaskała jak na przedstawieniu.

– Ona? – podchwycił Keegan.

– Shana. Keeganie, to co w niej rośnie, jest jakieś dziwne. Zdeformowane, wynaturzone i takie mroczne. Nie ma w tym niewinności.

– Przykro mi, ale w przeciwieństwie do niej, to coś nie miało wyboru.

– Odran był taki zadowolony, kiedy urodził się Eian. – Marg odstawiła kubek. – Ciekawe, ile takich wynaturzeń próbował powołać na świat przed Eianem i po nim. – Odwróciła się do Breen. – To życie, które stworzył ze mną i planował je zniszczyć, ono, *mo stor*, doprowadzi do jego końca.

– Po powrocie do Stolicy zwrócę się do Rady i do uczonych. Zobaczymy, czy ktoś z nich słyszał choćby najmniejsze pogłoski o demonicznym pierwiastku Odrana i podpowie, jak można to wykorzystać.

– Dorcas, Stara Matka.

Keegan posłał Marg zbolące spojrzenie.

– O bogowie, Marg. Ona potrafi zagadać człowieka na śmieć, pojąc go przy tym herbatą z derenia aż do ścierpięcia zębów.

– To prawda. I jedno, i drugie mnie spotkało, ale nikt nie potrafi tak się poruszać w odmętach czasu jak Matka Dorcas.

– A miałem nadzieję, że się od niej uwolnię, umieszczając ją razem z jej stadem kotów w tamtej uroczej chatynce. Ale masz rację. Trudno, porozmawiam z nią. Trzeba przyznać, że nikt nie wie tyle, co ona.

Na myśl o wizycie u Dorcas potarł nerwowo twarz.

– No dobrze. Wiemy więcej, niż wiedzieliśmy, i jeszcze więcej się dowiemy. Twierdzisz, że to nie działa się przy portalu w wodospadzie?

– Nie, zdecydowanie nie tam. Ale nie umiem powiedzieć, gdzie. Było ciemno, bo on sprowadził ciemności. Wiem, bo to się stało, kiedy patrzyłam. Widziałam kilka drzew, słyszałam morze. Ogień, dym, ołtarz... z czarnego kamienia, krąg z czarnych świec.

Skupiona pochyliła głowę, zmrużyła oczy.

– Ten dym. Było coś dziwnego w tym dymie. Przypominał mgłę, mgłę Yseult. Czułam ten specyficzny zapach. Babciu, wcześniej o tym nie pomyślałam, skupiłam się na tym, co widziałam. Jak mogło mi to umknąć? Czułam taką... słodką woń. Trochę podobną do zapachu przejrzałych owoców, ale nie do końca. Teraz przypominała mi się ta mgła. Wcześniej tego nie skojarzyłam.

– A więc ona pozostaje dla niego niezbędna – podsumowała Marg. – Potrzebuje magii Yseult do wprowadzania ich w ten stan.

– To ona sprawia, że ofiary tak ochoczo mu się oddają – dokończył Keegan.

– Nie wystarczy mu, że ci fanatycy dobrowolnie za nim poszli. Jego własna moc to za mało. Nadal potrzebuje swojej wiedzy.

– Nieważne, ilu Widzących przeciągnął na swoją stronę, ona i tak ma największą władzę – zauważyła Morena.

– Zawiodła go, a jednak jej nie zabił. Bo jej potrzebuje – stwierdziła Breen. – Nadal jest mu niezbędna.

– A ona żarliwie mu służy, stara się spełniać jego pragnienia. Ale ponownie go zawiedzie – oświadczył Keegan z niezachwianą pewnością. – Jej koniec nastąpi wraz z jego końcem, o ile nie wcześniej.

Spojrzał w okno i machnięciem dłoni zapalił świece, bo już zapadał zmierzch.

– Za późno na trening, a skoro już tu wszyscy jesteśmy, opowiem o szpiegu, którego złapaliśmy w środkowym Talamh.

Kiedy skończył, podniósł się od stołu.

– Mam nadzieję, że Marco pomyślał o ciepłej kolacji.

– Zdradzę ci, że coś zaplanował, ale tym razem sama z nim przejdę na drugą stronę i po drodze wprowadzę go w sytuację.

– W takim razie zaczekam na Briana. Niedługo powinien się zjawić.

– Dzięki.

– Muszę wrócić do Stolicy, zająć się szpiegiem i Osądem. Tarcze zostawię. Harkenie, liczę, że ty albo Morena poćwiczycie jutro z Breen.

– Zajmę się tym – obiecała Morena. – I namówię Marco. Nie zaszkodzi, żeby nieco się podszkolił w strzelaniu z łuku. Pozdrów moją rodzinę, jeśli się z nimi zobaczysz.

– Naturalnie. Podejrzewam, że posiedzę tam kilka dni. Może nie aż tak długo jak ostatnim razem.

– Mówiąc to, patrzył na Breen. – Jednak kilka dni mnie nie będzie.

– Zabierz ze sobą Mahona. – Aisling machnęła ręką. – Wiem, że się starałeś, aby w ostatnich tygodniach był ze mną w domu, i jestem ci za to wdzięczna. My tutaj dobrze sobie radzimy, a lepiej miej go przy sobie w tej sytuacji.

– Aisling ma rację. Ja też tak uważam – odezwał się Mahon.

– Nie będę ukrywał, że możesz się przydać. W takim razie ruszamy o świcie. Trzy albo cztery dni – zwrócił się do Aisling. – Nie dłużej.

– Przyniosę Kelly’ego. Breen, jak już uwolnisz Marco od tych łobuziaków, powiedz im, że idziemy po nich z tatą. Bezpiecznej drogi dla ciebie.

Podeszła do Keegana i pocałowała go w policzek.

– Dziękuję wam wszystkim za poświęcony czas. – Breen położyła dłoń na ramieniu Marg. – Do zobaczenia jutro.

Wzięła kurtkę i wyszła na dwór. Marco z Kavanem na barana wykonywał jakieś dziwaczne kroki do zwariowanej melodii, którą Finian wygrywał na harmonijce, prezencie od niego na urodziny.

Czy Marco i Brian zostaną kiedyś rodziną, zastanawiała się Breen. Znajdą dziecko, które potrzebuje miłości i rodzinnego ciepła? Miała taką nadzieję.

– Marco, czas wracać do domu.

– Ale on uczy mnie grać!

– Ćwicz dalej. – Marco wzburzył czuprynę Finiana, po czym zestawił Kavana na ziemię. –

Wkrótce kolejna lekcja. Masz talent, dzieciaku.

– Tak jest, sama słyszałam. Mama z tatą idą po was. A my wrócimy jutro.

– Napiszę nową piosenkę.

– Już nie mogę się doczekać. Chodź, Fąfel.

Pies obiegł chłopców w koło, przewrócił Darling, kilka razy z uwielbieniem liznął Mab i puścił się biegiem przed nimi.

– Oni są niezmordowani – zauważył Marco. – I dzieciaki, i psy. To kosztuje mnóstwo energii. Będę dzisiaj spać jak kamień. Hej, a Keegan nie idzie?

– Później do nas dołączy. – Przeszli przez łąkę i drogę, przecięli pole po drugiej stronie drogi i dotarli do stopni, gdzie już czekał na nich Fąfel. – Nie zapytasz, o czym rozmawialiśmy?

– Domyślam się, że to jakieś supertajne sprawy.

Gdy przeszli z jednego świata do drugiego, wzięła go za rękę.

– Tym razem nie aż tak bardzo i powiem ci, że złapali jednego ze szpiegów Odrana i wzięli go na Osąd.

– Poważnie? Szybko go dorwali, no nie?

– Podejrzewam, że to jeden z wielu. Bawił w środkowej części Talamh, blisko miejsca, gdzie teraz mieszkają rodzice Shany. Jej ojciec go namierzył. Marco, ten facet jest stąd. Lata temu przyleciał z Ameryki, został mile przyjęty i tak się odwdzieczył.

Opowiedziała mu całą historię ze szczegółami.

– Miał dzieci i wszystko. – Marco z ubolewaniem pokręcił głową. – Wiesz, jeżeli ktoś jest podły z natury, nieważne, gdzie zaczyna. Ważne, gdzie skończy.

– Na pewno nie zostanie w Talamh. Keegan na kilka dni musi wrócić na wschód. Ale jest jeszcze coś i to mi trudniej przejdzie przez usta.

– Tak trudno, że będziesz musiała przepłukać je winem?

– O kurczę, przydałoby się. Po południu, kiedy zostałam z babcią, miałam wizję.

– Coś strasznego? Dobrze się czujesz?

– Była straszna, ale nic mi nie jest.

Kiedy wyszli z lasu przystanęła i objęła wzrokiem chatę. Swoją chatę.

– Niedługo będziecie musieli z Brianem wybrać sobie miejsce.

– Jeszcze z nim o tym nie rozmawiałem. Keegan się zgadza?

– Nie miałam okazji mu o tym powiedzieć, ani jemu, ani całej reszcie. Wieczorem im obu powiemy. Ale wracając do wizji.

Zaczęła, kiedy dochodzili do chaty, mówiła, gdy rozpalala w kominku, a Marco nalewał im wina, a skończyła przy kominku z kieliszkiem wina.

– Czyli on nie jest jedynie wcieleniem zła – doszedł do wniosku Marco. – To popapwany skurwysyn. Mówisz, że ssał krew z jej szyi? Jak wampir?

– Coś w tym rodzaju. On jej nie ugryzł, nie użył kłów. Rozorał jej szyję pazurem i pił jak... ze źródła.

– Nie tak jak bóg wampirów, co w sumie nie ma sensu, bo musiałby być martwy, a on przecież żyje. Dobrze myślę?

– No tak, jest żywy. Ale ma w sobie demona, Marco. A to znaczy, że ja też go mam.

– No jasne, już kumam. Są różne rodzaje demonów. Kiedyś sądziłem, że one należą do literatury rozrywkowej, natomiast teraz tak sobie myślę, że skądś musiały tam się wziąć. A więc demon, który mieszka w nim, lubi pić krew. Ten w tobie nie?

– No coś ty! Fuj!

– Ja tylko mówię – Marco gestykułował energicznie ręką z kieliszkiem – przecież wiem, że ty nie tkniesz nawet krwistego befsztyka. Nie mówiąc już o tatarze.

– Bo to wstrętne.

– Nie masz racji, ale ja staram się powiedzieć, że demon w nim chce tego i potrzebuje, a twój nie. On to zwyczajnie lubi. – Marco podniósł palec. – Cała psychika Odrana tym się karmi. A wiesz, co powiedział Spike.

– Ten Spike z *Postrachu wampirów*?

Zmierzył ją śmiertelnie poważnym spojrzeniem.

– Jest tylko jeden Spike, dziewczyno. Krew jest życiem. Zawsze chodzi o krew, musi być krew i takie tam. Wiesz, dlaczego?

– Ponieważ Spike jest wampirem?

– I tak, i nie. Odran, pijąc krew, odbiera komuś życie. To jego chore zachowanie, jego moc, no i wiesz, rytuał. A do tego niezłe widowisko. Pieprzone przedstawienie dla gawiedzi.

Wpatrywała się w niego przez chwilę.

– Jasna dupa, Marco Olsen. – Wyprostowała się. – Rzeczywiście. Dokładnie tak jest. On zaspokaja swoje potrzeby, a robi tę ohydną rzecz otwarcie, na oczach swoich wyznawców, bo tak utrzymuje ich lojalność, budzi podziw i ekscytację.

– I jak powiedziałaś, skrzętnie ukrywa demona, żeby widzieli w nim wyłącznie boga. Niektórzy członkowie jego sekty to też demony i gdyby pokazał, że jest jednym z nich...

– Straciłby poważanie. – Trzepnęła go w ramię. – Bingo.

Wyprostował się z zadowoloną miną.

– Główka pracuje.

– Przyznaję. Jak to możliwe, że ani trochę cię nie poruszyła wiadomość, że mam w sobie jakiegoś demona?

– Być może dlatego, że wskoczyłem z tobą do innego świata albo dlatego, że jestem zakochany do szaleństwa w facecie, który rozwija skrzydła i lata na pieprzonym smoku, czy może dlatego, że rozpałaś ogień bez zapalki. A przede wszystkim... – Odwrócił się, ujął ją za podbródek i skierował ku sobie jej twarz. – Kto zna cię lepiej ode mnie?

– Nikt w żadnym ze światów.

– Moja najlepsza przyjaciółka jest demoniczną czarownicą. Albo raczej czarownicą z domieszką demona, bo ma w sobie więcej z czarownicy.

– Płynie w niej też krew Sidhe i ludzka – podpowiedziała.

– Dużo tego w jednym pakiecie. – Poklepał się po kolanie. Fąfel natychmiast znalazł się przy nim i położył mu łeb na nodze. – I na dodatek ma jedyne w swoim rodzaju demonicznego psa.

– Który przez całą rozmowę czekał cierpliwie na kolację. Czas się nim zająć i nakryć do stołu.

– Świetnie. Chcę zrobić wytrawne kruche paluszki do pieczenia. – Podnieśli się równocześnie, a Fąfel, wyczuwając, co się wydarzy, pobiegł do kuchni i usiadł nad miską.

– Jaki zgrany z nas zespół – zauważyła Breen.

– Zawsze był i będzie.

Rozdział 12

Odprowadziła Keegana przed świtem i postąpiła na dworze, patrząc, jak Fafel bierze pierwszą kąpiel, a niebo rozjaśnia się na wschodzie. Wyobraziła sobie Keegana lecącego na smoku ku słońcu.

Będzie za nim tęsknić, ale przynajmniej strzelanie z łuku pod okiem wyrozumiałej Moreny będzie o wiele przyjemniejsze.

Stała w płaszczu narzuconym na pizamę i sączyła kawę, kiedy pierwsze promienie słońca prześwietlały pasma mgły unoszące się spiralnie znad zatoki.

Obejrzała się, słysząc skrzypnięcie drzwi, i zobaczyła Briana. Gdy rankiem przecinały się ich drogi, zawsze przynosił jej grzanekę.

– Dziękuję.

– Przez następnych kilka dni będę wylatywał na poranny dyżur. Możesz poświęcić mi chwilę?

– Jasne.

– Wczoraj wieczorem odebrało mi mowę. Nadal szukam słów. Ta propozycja z chatą.

Zaniepokoiła się.

– Nie chcesz?

– Chcę – odparł pospiesznie. – Obaj chcemy. To nam rozwiązuje wszystkie problemy. Nie wiem, jak ci dziękować. Zrobiłaś to dla niego.

– Nie tylko dla niego, dla ciebie, ale także dla siebie. Przede wszystkim dla siebie.

– Wiem. – Westchnął głęboko, a jego oddech rozwiął mgłę. – I dlatego ten dar jest jeszcze cenniejszy. – Nie umiem znaleźć słów.

– Myślę, że już wszystko powiedziałeś. – Ten dzień zaczął się dla niej tak miło. – Wszyscy będziemy żyć w dwóch światach. Takie dziwne balansowanie. A jednocześnie możemy czerpać to, co najlepsze z obu światów. Potem, po wszystkim.

– Wszędzie pojechalibyśmy za Marco. A to, że możemy być akurat tutaj to kolejny dar. Wybierzemy się do mojej rodziny. Oczywiście oni już znają go z opowiadań. Powiedziałem im, że znalazłem swoją drugą połowę, i chcą go poznać osobiście. A potem poproszę Marco, żeby się ze mną związał na stałe.

Breen uniosła w górę obie ręce.

– Zaczekaj! Chcesz z nim się pobrać? O mój Boże! O Boże! – Dwukrotnie obróciła się wokół własnej osi, rozchlapując resztkę kawy. – Teraz ja nie mogę znaleźć słów. Och, tak, tak!

Brian uśmiechnął się uszczęśliwiony.

– A więc nie masz nic przeciwko temu. Bałem się, że pomyślisz, że to za szybko się dzieje.

– Ach tam, do diabła z tym! Nie mogę mu o tym powiedzieć, prawda? Kurczę pieczone, nie wolno mi zepsuć tak ważnej chwili. Daj mi sekundę. – Wcisnęła mu do ręki prawie pusty kubek i znowu okręciła się kilka razy. – Tajemnica ukryta. – Udała, że zaszuwa zamek na ustach. – W sejfie. Nie piszę ani słowa. Przysięgam na paluszek, a jeśli wolisz z ręką na sercu.

– Zależało mi na twojej aprobacie, bo należysz do rodziny.

– Złoto zaplombowane, opieczetowane, sprawa zamknięta. Masz moją wielką aprobatę. Owinięta w prezentowy papier, obwiązana błyszczącą wstążką z wielką kokardą. Ale... co z Sally, Derrickiem i siostrą Marco? Na pewno zechcą być na weselu.

– Myślę, że musimy to odłożyć na „po wszystkim”, jak ty to nazywasz. Tak będzie najlepiej. Złożymy śluby i w Talamh, i w tym świecie.

– Marco będzie mieć dwa wesela?!

Zarzuciła Brianowi ramiona na szyję, potem cofnęła się i zatańczyła w miejscu.

– Super, to wisienka na torcie. Nikt bardziej od Marco nie zasługuje na podwójne wesele. Cholera, dlaczego nigdy nie nauczyłam się robić gwiazdy? Właśnie w tej chwili robię w myślach perfekcyjną gwiazdę.

– Uwielbiam cię, Breen Siobhan – wyszeptał Brian.

– Podwójne wesele dla Marco! A w międzyczasie złożycie przysięgę. Wiem, ile to znaczy dla Fey. I zapewniam cię, że to ma ogromne znaczenie dla Marco.

– A ty, Breen Siobhan, znowu jesteś mostem, tym razem dla nas obu.

– A jak! Jestem taka szczęśliwa. – Rozpromieniona, powachlowała się dłońmi. – Kurczę, muszę ochłonić, Marco nie może mnie takiej zobaczyć. Przecież nie powiem mu, że jestem w euforii, bo pisanie książki świetnie mi idzie. Obiecuję, że szybko to załatwicie, bo inaczej eksploduję.

– Muszę poprosić *taoiseacha* o wyznaczenie daty. Marco nie chce polecieć na moim smoku. Próbowałam go przekonać i usłyszałam... – Brian przechylił głowę na bok i z udawanym amerykańskim

akcentem zacytował: – Chłopie! Kocham cię jak cholera, ale ten numer nie przejdzie. Nie ma mowy.

Breen parsknęła śmiechem.

– Idealnie ci to wyszło.

– I chcę, żeby wszystko idealnie szło nadal. Ale wiesz, jeden dzień jazdy w tamtą stronę, jeden z powrotem, dwa dni u mnie w domu. Martwi nas, że tak długo będziesz sama.

– Chłopie! – Tym razem ona go rozśmieszyła. – Zeszłego lata prawie cały czas byłam sama i jakoś sobie radziłam. Wybierzcie się jak najszybciej.

Przycisnęła palce do wilgotnych oczu.

– Brianie, znamy się z Marco od dziecka. To romantyk do szpiku kości. Zawsze pragnął jedynie kochać i być kochany. I teraz ma ciebie. Jedźcie jak najszybciej.

– Porozmawiam z Keeganem po jego powrocie ze Stolicy. Teraz muszę lecieć na patrol.

– Sprawileś, że zaczęłam ten ranek od fajerwerków. I tak jest najlepiej. – Odebrała od niego kubek. – Do zobaczenia. I... – Raz jeszcze zasunęła wyimaginowany zamek na ustach.

Potem przywołała Fąfla i wróciła do porannych zajęć.

*

Nie puściła pary z ust, chociaż wymagało to dużo siły woli. Pomagało skupienie się na pracy. Teraz, gdy Keegan siedział w Stolicy, dołożyła parę godzin pisania wieczorem.

Kiedy Mahon po trzech dniach wrócił do domu sam, z trudem tłumila zniecierpliwienie. Im prędzej Keegan pojawi się w dolinie, tym prędzej Brian poprosi go o wyznaczenie daty. A wtedy ona wreszcie będzie mogła rozsunąć ten zamek na ustach i złożyć im gratulacje.

Następne trzy dni wypełniły jej obowiązki.

Seamus pokazał, jak siał warzywa na podwyższonych grządkach, żeby wiosną mieć nowalijki, Morena dawała jej lekcje polowania z jastrzębiem, od których Marco skwapliwie się uchylał, i sumiennie uczyła się magicznego rzemiosła pod czujnym okiem Marg.

Nie przejmowała się brakiem kolejnych wizji. Tak długo jak zasłona i granice pozostaną mocne, będzie mogła się rozwijać, gromadzić moc i wyostrzać zmysły.

W jedno popołudnie, gdy niebo się przetarło i na dworze było ciepło, wybrała się z Marco na przejażdżkę. On tym razem jechał na ładnej młodej srokatej klaczce o biało-czarnym umaszczeniu i rączym chodzie, który, według Marco, świadczył o energii i werwie.

Harken nazwał ją Alainn, czyli piękna, i rzeczywiście to imię do niej pasowało

– I ona dobrze o tym wie. A teraz na pewno myśli, że z tobą w siodle jeszcze piękniej się prezentuje.

– Poważnie? Tak uważasz? – Zadarł podbródek i przybrał dumną pozę. – Czy wyglądamy godnie?

– Och, tak. Pasuje do ciebie wielkością i jeżeli będziesz rozumiał, czego ona od ciebie oczekuje, spełni twoje oczekiwania.

– Kto nie chciałby zadowolić takiej ładnej dziewczyny? – Nachylił się pogładził klacz po szyi. – Zaczynam poważnie myśleć o własnym koniu i Harken powiedział, żebym pojeździł na niej parę dni i sprawdził, czy do siebie pasujemy. Już czuję, że tak jest, a skoro do siebie pasujemy, muszę pomyśleć o barterze. Tylko nie wiem, co mógłbym dać Harkenowi za nią w zamian.

– Chyba żartujesz. Po pierwsze, mógłbyś mu pomóc na farmie. Nie znam się na pracach polowych, ale wiem, że niedługo zacznie się wiosenne sadzenie warzyw. Po drugie, mógłbyś zrewanżować się jedzeniem. Przeważnie gotuje Harken, Morena zmienia go w kilka wieczorów w tygodniu. Powiedzmy, że gotowałbyś więcej niż zwykle i dołożył do tego wypieki?

– Już robię coś takiego. Jesteśmy przyjaciółmi, no i wiesz, będziemy sąsiadami.

– No i właśnie tak to działa.

Już po uszy zakochany w klaczy, znowu pogładził ją po szyi.

– Jakie to cholernie proste. Pamiętasz, Breen, jak wiecznie się martwiliśmy, czy wystarczy nam pieniędzy do następnej wypłaty? Tak było każdego miesiąca. A teraz możemy mieć to, co chcemy, jeżeli będziemy dzielić się tym, co mamy, i robić to, co kochamy.

– Nie miałeś jeszcze do czynienia z Trollami – powiedziała ze śmiechem. Spojrzała w górę i zobaczyła kilku górników, którzy wyszli na przerwę i odpoczywali na skalnej półce. – Tamci dopiero stawiają twarde warunki przy wymianie.

– Zawsze mogę upiec więcej ciastek. Słuchaj, a może skęcimy do wodospadu? Pojechałem tam kiedyś z Brianem i chętnie bym znowu go zobaczył.

– Wodospad czy Briana?

– Najlepiej i wodospad, i Briana. Nigdy nie widziałem prawdziwego wodospadu przed przylotem do Irlandii. A ten jest niesamowity.

– Jest wyjątkowy.

Wyczuł wahanie w jej głosie.

– Opuśćmy, jeżeli to miejsce budzi w tobie negatywne emocje.

– Nie. Tak – przyznała się. – Budzi we mnie różne emocje. Musimy tam pojechać. Powinnam raczej mieć odwagę i stawić czoło emocjom niż przed nimi uciekać.

– Zawsze ją miałaś. – Poklepał się palcami po nadgarstku, w miejscu, gdzie Breen zrobiła sobie tatuaż. – Musiałaś ją tylko w sobie odnaleźć.

Odwaga, pomyślała. Codziennie musiała sobie przypominać, że trzeba ją mieć. Rzuciła Fąłowi porozumiewawcze spojrzenie.

A on natychmiast puścił się biegiem przed siebie.

– A co powiesz na to, żebyśmy sprawdzili, jak twoja ładna dziewczyna poradzi sobie w wyścigu z Boyem?

Zanim Marco zdążył odpowiedzieć, spięła Boya do galopu.

To się nie mieści w głowie, pomyślała. Ona i Marco pędzą konno, wiatr chłodzi im twarze, ostre słońce rozgrzewa ziemię zmrożoną po zimie.

Zobaczyła, jak Fąfel biegnie na skróty i znika w lesie. Usłyszała krakanie i za chwilę dwie wrony wyfrunęły spomiędzy drzew. We dwójkę raźniej.

Dojechali do zakrętu niemal łeb w łeb.

– Miałaś przewagę na starcie.

– Zwolniliśmy z Boyem, żeby dać wam fory.

– Może. – Marco znowu pogłodził Alaina, a Breen widziała miłość w tym geście. – Moja dziewczyna naprawdę dużo potrafi.

– Ona lubi jabłka.

– Tak? To je dostanie.

Jechali między drzewami, które stopniowo zmieniały wygląd. Jaskrawe światło stawało się coraz bardziej zielone i miękkie, a pnie i kamienie obrosnięte mchem zdawały się w nim pulsować.

Powietrze wypełniał huk wodospadu, rzeka zielona jak światło wiła się z szumem wody.

– Dziwne miejsce, ale malownicze. – Oczarowany Marco z szeroko otwartymi oczami rozglądał się dokoła. – Budzi emocje, ale ja lubię taki dreszczyk, kiedy oglądam dobry film grozy.

To nie był film, pomyślała. W tej rzece Odran trzymał ją w szklanej klatce. Yseult zwabiła ją tutaj narkotyczną mgłą.

A jednak to tu pierwszy raz zobaczyła we śnie Lonarcha i uczestniczyła, chociaż niechętnie, w pieczętowaniu rozszczelnionego portalu pod wodospadem.

Trudno było odmówić uroku temu miejscu ze światłem przesianym przez baldachim drzew, z leżącymi tu i ówdzie omszałymi kłodami i pniem przerzuconym nad wodą jak kładka.

Elfy i reszta tutejszych mieszkańców mogła przechodzić po tym naturalnym moście z brzegu na brzeg. Gęste gałęzie drzew zapewniały schronienie wiewiórkom i ptakom. Jelenie i sarny przychodziły tutaj pić wodę, a lisy i sowy polować.

Teraz Breen czuła je wszystkie, czuła bicie ich serc, tak samo jak czuła bicie serca ziemi, rzeki i drzew.

Wszystko połączone, wszystko częścią całości, jak ona.

I kwitnie tutaj magia.

Sarna wyłoniła się spoza drzew i przybrała kobiecą postać.

– Dobrego dnia dla ciebie, Breen O’Ceallaigh, i dla ciebie, Marco!

– Hej, Mary Kate! Przestraszyłaś mnie.

Dziewczyna odrzuciła do tyłu warkocze w kolorze kory dębu, z których jeden, warkocz wojownika, sięgał poniżej ramienia i posłała Marco pogodny uśmiech.

– Och, skarbie. Jestem Mary Kate na dwóch albo czterech nogach. Twój pies, Breen, już tutaj jest, więc wiedzieliśmy, że przyjdiesz. Pływa teraz wokół wodospadu jak ryba.

– Czyli jest spokojnie?

– Och tak. Długi cichy dzień i miło was tu widzieć. Pójdę przodem, dam znać Brianowi i reszcie, że się zbliżacie.

Z powrotem stała się sarną z taką łatwością, z jaką zmienia się buty na wygodniejsze, i zniknęła za drzewami.

– Nigdy do tego nie przywyknę. – Marco pokręcił głową. – Za każdym razem przeżywam szok.

– To dobrze – orzekła Breen – że coś jeszcze cię zaskakuje. Ruszaj przodem, masz okazję spędzić trochę czasu z Brianem. – Zsiadła z konia. – Ja chętnie pospaceruję.

– Jesteś pewna? Jeżeli masz złe wspomnienia...

– One wcale nie są złe. Mam ochotę się przejść. Nie tylko jedna Mary Kate patroluje lasy – uspokajała go.

– Skoro musisz, ale trzymaj się rzeki. Gdybyś chciała rozejrzeć się gdzieś dalej, zawołaj mnie, pójdziemy razem.

– Będę się trzymać brzegu rzeki.

Kiedy odszedł, Breen przystanęła, nasłuchując.

Huk spadającej wody, plusk kaskady o powierzchnię rzeki. Łopot ptasich skrzydeł w powietrzu, tupot bosych stóp Elfów patrolujących las.

Prowadząc Boya za uzdę, szła wolnym krokiem wzdłuż krętego koryta rzeki, wiedzona niezrozumiałym przeczuciem.

Czas na bycie sam na sam ze sobą, na odczuwanie, na skupienie.

Samotność w pulsującym wokół niej życiu wyostroiła jej uwagę. Pewnie dlatego dostrzegła, jak coś zamigotało w zielonej wodzie.

Podeszła bliżej i zobaczyła złoty łańcuch z krwistoczerwonym kamieniem. Teraz sobie przypomniała; tak, widziała go w snach, nim jeszcze przyjechała do Irlandii i przeszła do Talamh.

A potem... na portrecie babki w Dzień Osądu. Babcia nosiła ten klejnot, który zdawał się ją przyzywać, połyskując w przejrzystej zielonej wodzie.

Miała babcię o niego zapytać. Dlaczego tego nie zrobiła?

Zapomniała.

Uklękła i wyciągnęła rękę. Klejnot wydawał się leżeć tak blisko, a jednak pozostawał poza zasięgiem jej palców.

Jakim cudem tu się znalazł, błyszczący i migoczący na dnie, skoro widziała go na szyi babki na tym portrecie?

Czyżby Marg go zgubiła?

Musi go dosięgnąć, wyjąć z wody, oddać babci. Jest cenny. Wiedziała, że jest bardzo cenny i ważny.

Wychyliła jeszcze bardziej, sięgnęła dalej i pośliznęła się na grząskim brzegu. Czym prędzej się cofnęła, żeby nie wpaść do wody.

Nie, nie wejdzie do rzeki, nie tutaj, absolutnie nie tutaj, kiedy nikogo nie ma przy niej. To w tym miejscu poraniła sobie dłonie do krwi, gdy przerażona tłukła pięściami w szklaną ścianę klatki i wzywała ojca.

Z sercem walącym jak młot wyciągnęła trzęsącą się rękę. Usiłowała się skupić, wola i mocą przyciągnąć wisior do siebie, podnieść go, wydobyć z wody. Ale on tylko mienił się, błyszczał i czekał.

– Pójdę po Marco. On ma dłuższe ręce.

Odczołgała się i podniosła z ziemi. Prowadząc konia za wodze, zawróciła w stronę wodospadu.

Teraz słyszała głosy i czuła radość Fafla, gdy jakaś dobra dusza rzuciła mu kawałek sera.

Spieniona woda, kotłując się, spadała z wielkiej wysokości i ginęła w powolnym nurcie zielonej rzeki. Chochliki fruwały ponad płycizną z barwnymi otoczkami. Strażnicy trzymali wartę po obu stronach grzmiącego wodospadu i wzdłuż brzegów rzeki.

Marco siedział na zwałonym pniu, gawędził z Brianem i Mary Kate, a ładna klaczka skubała trawę.

Gdy już miała go zawołać, poprosić, żeby poszedł z nią nad tamto zakole, gdzie leżał wisior, coś przyciągnęło jej uwagę. Nad wodospadem mignął jakiś cień. Jakby ściana wody na moment się rozdzieliła. Potem cień stał się czarnym ptakiem i poszybował wysoko nad nimi.

– Brian! – krzyknęła, wskazując palcem kruka.

Zadarł głowę, spojrział tam, gdzie pokazała, i zerwał się na równe nogi.

– Duncan!

Na drugim brzegu młody chłopak z bujną czupryną w kolorze słomy i warkoczykiem wojownika skrzyżował ramiona na piersi.

Moment później już był jastrzębiem.

– Leć za nim, ale go nie zatrzymuj.

– Nie widziałem. – Speszony Elf tłumaczył się przed Brianem. – Przysięgam na bogów, nie odry-

wałem oczu od wodospadu. Tak samo Gwain, a stał obok mnie.

– Nie zauważyłem. – Brian skierował spojrzenie na zbliżającą się Breen. – Kiedy krzyknęłaś i pokazałaś na niebo, z początku nic nie widziałem, tylko chmury i czubki drzew. A dopiero po chwili ptaka. On przeleciał przez wodospad?

– Był jak cień, ledwo widoczna zmarszczka na samym szczycie. Myślę, że to... Muszę przyjrzeć się z bliska.

– Głazy są mokre i śliskie. Jeżeli mi zaufasz, zaniosę cię tam.

– Ufam ci. Ale myślę, że muszę... – Zaciśnęła powieki. – Muszę sama to załatwić. Jeden na jeden, mrok przeciwko światłu. Moc przeciw mocy. Moja i jej.

Mówiąc to, zaczęła odrywać się od ziemi. Powoli, walcząc ze strachem przed upadkiem, uniosła się z metr nad ziemię.

Marco zerwał się z pnia.

– O rany, o cholera! Brian, leć za nią! Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby coś takiego robiła.

Wznosiła się stopniowo, czując, jak coś w niej wzbierało, dudniąc niczym strumień wody bijący o wodę.

Rozpylona mgła moczyła jej twarz, wnikała w ubranie. Przepływała przez nią potężna moc, jej grzmienie zagłuszało huk wodospadu.

– Zaledwie zmarszczka, ledwie rysa, otwiera się i zamyka, zamyka i otwiera. – Zawisła w powietrzu sześć metrów nad rzeką, jej oczy, teraz szeroko otwarte, stały się ciemne i skupione. – Swoją magią, czarną i przekłętą, otwiera ryse ptasim pazurem, pazurem zamyka. Małe, zacienione draśnięcie, zacienione i niewidoczne. Widzę mgłę. Jest cienka, ale wystarczy, żeby przesłonić ryse. Ja widzę, widzę, widzę. A ona nie, jeszcze nie.

– Ja tego nie widzę – odezwał się Brian gdzieś z tyłu za nią.

– Widzę, widzę, widzę. Światło w mroku. Jej mroku. Mroku Odrana. Mogę zamknąć ryse, tak jak zamykam pięść. – Uniosła rękę i zaciśnęła dłoń w pięść, a Brian był gotów przysiąc, że usłyszał trzask.

Breen uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały ciemne i niezgłębione.

– Dziw się, więdźmo, dziw, że twoja magia zawiodła. Rysa została zamknięta, twój pazur jej nie otworzy. Dziw się i drzyj. Drzyj przed dniem, kiedy cię zniszczy. *Ar shaol m'athar, swear me e.*

Brian zobaczył, jak oczy uciekają jej do tyłu, a głowa zwisa bezwładnie i natychmiast ją pochwycił.

– Nie pozwól mi wpaść do wody.

– Trzymam cię. – Z Breen w ramionach zleciał na brzeg. – Przyniescie wody!

– Nic mi nie jest. Trochę zakręciło mi się w głowie i straciłam koncentrację.

– Masz, napij się. – Marco przytknął jej do ust bukłak z wodą. – W tej chwili jesteś najbledszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem. I kurde, jak mogłaś zapomnieć mi powiedzieć, że umiesz latać?

– Nie umiem. Nie umiałam. Dotąd udało mi się wznieść tylko kilkanaście centymetrów nad ziemię. Pamiętasz wtedy, u babci?

– Diabli, tym razem to było o wiele więcej niż kilkanaście centymetrów. Śmiertelnie mnie przerażałaś, dziewczyno. I tego chłopaka też.

Objął Fąfla ramieniem, a ją mocno przytulił.

– Wyczułam ją tam, w górze. Musiałam znaleźć się blisko. – Dopiero teraz zobaczyła, że Brian nadal ją trzyma. Położyła mu dłoń na piersi. – Nic mi nie jest. Szczerze. Naprawdę dziękuję, że nie pozwoliłeś mi spaść.

– Pamiętasz? – Ostrożnie postawił ją na ziemi.

– Taak. Musiałam mocno się skupić. Czułam więcej, znaczy więcej, niż teraz czuję. Wniknęłam w jej zakłęcie. Wiedziałam, że mogę je przełamać. Zamknąć szczelinę.

– I zrobiłaś to tak. – Brian wziął jej dłoń i zwinął ją w pięść. – A w słowach, które mówiłaś, była moc i jakby muzyka. Promieniałaś niczym słońce, tylko oczy miałaś ciemne jak księżycy w nowiu. A kiedy się uśmiechnęłaś...

– Uśmiechnęłam się? Tego nie pamiętam.

– Uśmiechnęłaś się jak wojownik po wygranej bitwie. I mówiłaś po talamhasku.

– Naprawdę? – Odgarnęła włosy z czoła. – Znam kilka słów.

– *Ar shaol m'athar, swear me e.*

– Tych akurat nie znam. Co to znaczy?

– Najpierw w swoim języku powiedziałaś, że ją, znaczy więdźmę, zniszczysz, a wraz z nią jej boga. Później dodałaś tamte słowa w talamhaskim: „Przysięgam na życie mojego ojca”.

– Nie pamiętam, ale pewnie tak pomyślałam.
– Nie wątpię.
– Teraz zamierzam cię zabrać do domu. Dziś nie ma mowy o żadnych kretyńskich treningach. – Marco otoczył ją ramieniem. – Umoszczę cię przy kominku i nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów.
– Lepiej go posłuchaj – poradził Brian.
– Duncan wraca. – Popatrzyła w górę, trzymając się Marco, z drugą ręką opartą na grzbiecie Fąfla.

Jastrząb przeleciał między drzewami, sfrunął nad rzekę i opadł na ziemię już jako człowiek.
– Poleciałem za krukiem do obozowiska Trolli i przyczałem się za chatą, gdzie dostarczył zwój. Chata należy do niejakiego Thara. Brianie, kruk oprócz zwoju dał mu nóż. Widziałem na ostrzu elfie symbole. Thar przeczytał polecenie na głos, jakby chciał nauczyć się go na pamięć. Ma ugodzić nożem Logę z Trolli i zostawić nóż w jego ciele. A potem ogłosić, że widział uciekającego Elfa, który napadł na Logę. Ma być nim Argo z doliny.

– Mara, wezwij smoka i leć z wiadomością do *taoiseacha*. Powiedz mu, że natychmiast udaję się do obozowiska Trolli.

– Lecę z tobą – zdecydowała Breen, nim Marco zdążył zaprotestować. – Oni mnie znają, ufają mi. Sul mnie wysłucha, a w tej sytuacji to może okazać się bardzo istotne.

– Muszę uwięzić jednego z ich plemienia, rzeczywiście obecność Breen może pomóc – przyznał Brian. – Będę jej strzegł jak oka w głowie, nie martw się, Marco – dodał.

– Niech to szlag! Dobra, niech będzie. Czekam na was na farmie. Zabieram Fąfla i konie.

– Odwiozę ją bezpiecznie z powrotem. – Brian odwrócił się do Marco i go pocałował.

– Oboje macie wrócić cali i zdrowi.

– Mam do kogo wrócić – powiedział Brian, podniósł Breen i wzbił się w powietrze.

– Wiem, że jesteś wojownikiem i prawą ręką Keegana, ale muszę cię prosić, żebyś mi zostawił rozmowę z Trollami, przynajmniej na początku – uprzedziła go Breen.

– Dobrze, ale jeżeli ten Thar spróbuje cię zaatakować, powstrzymam go, jeżeli rzuci się do ucieczki, powstrzymam go. Jeżeli któryś z Trolli będzie protestował, powstrzymam go.

– Musimy ich poprosić o pozwolenie na...

– Nie ma czasu na konwenanse – stwierdził ponuro Brian. – Muszą się z tym pogodzić.

Wlecieli prosto w środek do obozowiska. Trolle podnieśli się od ognisk. Dzieci przerwały zabawę, dorośli to, co akurat robili. Wszyscy z niechęcią patrzyli na przybyłych.

– Przepraszamy za najście – zaczęła Breen. – Musimy jak najszybciej zobaczyć się z Logą. To naprawdę pilne.

Sul wyszła na ścieżkę, która, jak Breen zapamiętała, prowadziła do stajni i dalej do jaskiń.

Zatrzymała się i podparta pod boki, rzuciła twarde spojrzenie Breen.

– To nie jest należyte powitanie.

– To naprawdę pilne – powtórzyła. – Proszę, powiedz, gdzie znajdę Logę. Jego życie jest zagrożone.

– Czemu mówisz takie rzeczy? Widziałam go niecałe dziesięć minut temu. Akurat skończył handlować.

– Gdzie jest Troll o imieniu Thar? – odezwał się Brian.

– A co cię to obchodzi, Sidhe? ^P_{SEP} Planuje zabić Logę, daję słowo honoru, Sul. Odran przesłał mu przez kruka rozkaz i nóż z elfimi symbolami.

– Nazywasz mojego syna mordercą. – Jakaś kobieta wysunęła się do przodu. – Łżesz. Nie jesteście tu dłużej mile widziani.

– Ja tu decyduję, kto jest albo nie jest mile widziany – uciszyła ją Sul. – Gdzie Thar? Poszukajcie go i skończmy z tym.

– Poszedł w stronę jaskiń! – zawołał jakiś chłopiec.

– Widziałabym go – stwierdziła Sul.

– Mówię ci, matko, widziałem, jak tam szedł chwilę przed ich najściem.

– Loga jest w jaskiniach? Może zdążył z nich wyjść. – Sul skinieniem głowy dała znak Breen i puściła się biegiem.

Poruszała się bardzo żwawo jak na taką potężną kobietę w zaawansowanej ciąży. Jednak Breen była szybsza i wyprzedziła ją z Brianem lecącym nad ich głowami. Na alarmujący sygnał rogu reszta Trolli ruszyła za nimi.

Breen za zakrętem ścieżki zobaczyła, jak śniady Troll z szopą zmierzwionych czerwonych wło-

sów rzuca się na Logę i wbija mu nóż w bok.

Ciągle biegnąc, cisnęła strumień mocy w napastnika. Troll się zatoczył, Brian opadł na niego i podrywając go z ziemi, wytrącił mu nóż z dłoni.

Z boku Logi sączyła się krew. Gdy Breen znalazła się przy nim, natychmiast przyłożyła mu dłoń do rany. Nad ich głowami Thar miotał przekleństwa, a półprzytomny Loga wpatrywał się w Breen szklanymi z bólu i szoku oczami.

– Nie dałem ci przyzwolenia – wykrztusił.

– Ojczy Trolli, proszę, daj mi je.

– To... tylko zadrapanie.

– Przyzwól, a zagoję to zadrapanie i uspokoję własne nerwy.

– Przyzwól. – Sul opadała na kolana przy Lodze, wzięła jego dłoń i przycisnęła do swojego brzucha. – Ty uparty stary głupcze. Poczuj to życie, które wierzga we mnie i daj jej przyzwolenie.

– Daję, żeby uspokoić nerwy tej niewiasty – wybełkotał i zemdlał.

– Puszczaj mnie, Sidhe! Ten skurwiel jest w zмовie z tym mordercą Elfem, który napadł na Logę! – wyrzaskiwał Thar. – Pozwolił mu uciec!

Za ich plecami wielu Trolli napięło łuki.

– On kłamie. – Breen rzuciła szybkie spojrzenie Sul. – Widziałam, jak ugodził go nożem. Przysięgam.

– Ja nie widziałam. Ulecz mojego chłopca.

Odwróciła się do tych szykujących się do ataku, gotowa stawić im czoło.

– Wstrzymać się, wszyscy! Córka O’Ceallaigha oskarża Thara o zdradę!

– Ona kłamie! Kłamie! Przedkładasz słowa tej obcej, tego ludzkiego nasienia nad moje? Mówię ci, to Elf Argo zabił Logę. Został jego nóż umazany krwią.

– On żyje! – Głos Breen poniósł się ponad krzykiem Thara i gniewnymi pomrukami Trolli. – Nie umrze!

Wykrzyczała swój gniew i strach.

To nie było draśnięcie. Na szczęście rana nie okazała się aż tak groźna, jak się obawiała. Była jednak głęboka i Loga już zdążył stracić dużo krwi.

Walka, żeby zasklepić mięśnie i zatamować upływ krwi, kosztowała ją sporo wysiłku i cierpienia. Loga wiercił się pod jej dłońmi, walcząc z bólem i żarem, który w niego wtłaczała.

– Sprawiasz mu ból – warknęła Sul.

– Przepraszam, przepraszam. – Breen, speszona, cofnęła dłonie. – Gdybyś posłała po Aisling albo moją babcię...

– Nie oszczędzaj mu bólu, jeśli to ma ocalić mu życie. Rób, co należy. – Zamknęła ramię Breen w żelaznym uścisku. – I przestań się bawić.

– Nie warcz na nią, kobieto – wycharczał Loga. Oczy miał zamknięte, oddychał płytko. – To tylko draśnięcie.

– Zamknij się. – Łza stoczyła się po okrągłej twarzy Sul. – Będę warczeć na każdego, kto na to zasłużył.

– Zamyka się. Muszę... Powoli się zasklepia. Nie jestem w tym taka dobra jak... Jezu, mięśnie są naruszone.

– Czy ja wybrałam słabeusza na partnera? Na ojca moich dzieci?

– Kto tu kogo wybrał? – Loga uniósł powieki i spojrzał w oczy Sul. – Dość już tego zamieszania.

– Jeszcze minutę. Jeśli przestanę działać, rana na powrót się otworzy. Jesteś silny. To, co dla innych byłoby śmiertelną raną, dla ciebie jest zaledwie skaleczeniem. Niemniej nóż narobił szkód i straciłeś dużo krwi. Sul, potrzebny mi eliksir i balsam na ranę. Nie mam nic przy sobie.

– Mamy lekarstwa. Powiedz tylko, jakie chcesz.

– Odsuńcie się, dosyć tego. Myślicie, że będę bez końca tak leżał? – Loga odepchnął kobiety i dźwignął się z ziemi.

Był błydy, stracił sporo krwi, ale trzymał się pewnie na nogach. Zadarł głowę i wbił wzrok w Briana i Thara.

– Sprowadź go na dół, Sidhe.

– Zabieram go do Stolicy na Osąd. Tak mówi prawo, prawo ustanowione dla wszystkich Fey.

– Myślisz, że nie znam prawa? – Rozejrzał się po twarzach Trolli, tych, co przybiegli ze wsi, i tych, co zwabieni alarmem wylegli z kopalni. – Znamy prawo i przestrzegamy go. A wy wszyscy odłóżcie broń. Co za banda kretyńców! On stanie na Osądzie, nikt nie śmie się temu sprzeciwić. Ale najpierw

z nim sobie pogadam. To moje prawo.

– Zgadza się.

Brian opuścił się na ziemię, nadal mocno trzymając Thara.

– Napadłeś na mnie z nożem, Thar? Ty, który siedziałeś przy moim ognisku, ty, z którym dzieliłem się chlebem i napitkiem? Podniosłeś rękę na swojego ojca?

– Nie na swojego. Mój ojciec zginął, poszedł walczyć za tą, tutaj. – Thar splunął pod nogi Breen.

– Twój ojciec był wojownikiem, dzielnym i honorowym. – Sul obejrzała się na kobiety i ruchem głowy dała znak, żeby zajęły się zapłakaną matką Thara. – Zhańbiłeś jego pamięć i przyniosłeś wstyd tej, która cię urodziła.

– Loga jest nikim, a wszyscy, którzy go słuchacie, i wspaniałe *taoiseacha*, jesteście miernotami. Co z tego mamy poza kamiennymi chatami i katorżniczą pracą w jaskiniach i kopalniach? Kiedy Odran tu przybędzie, a przybędzie na pewno, ja poprowadzę silnych, a słabi będą błagać o litość.

– Weź go na Osąd i przekaz *taoiseachowi*, że ja też się na nim pojawię. Thar nie należy już do naszego plemienia. Niezależnie od Osądu zostaje wyrzucony z naszego obozowiska i plemienia. Od dziś go nie znamy.

– Tak zrobię. Przywołam mojego smoka i zabiorę go. Breen...

– Leć. Ja wrócę na Lonarchu. Muszę przygotować eliksir i balsam. Zawołam Lonarcha, jak tylko skończę.

– Ona jest tutaj pod moją ochroną – oznajmił Loga. – Tutaj i w całym Talamh.

Skępowali Thara i kiedy Heros opadł na ziemię, Brian odleciał z więźniem.

– Powiem Marco, że niedługo wrócisz! – zawołał jeszcze, skręcając na wschód.

– Przejdiesz teraz do jaskiń – zwrócił się do niej Loga. – Wybierz zapłatę za zagojenie mojej rany.

– Nie wezmę zapłaty. Pomogłam przyjacielowi. Nie chcę zapłaty ani nic innego w zamian za uratowanie przyjaciela.

Zmrużył oczy i wpatrywał się w nią z uwagą. Bała się, że być może go uraziła, a naprawdę się przestraszyła, gdy Loga wyjął nóż.

– Podaś mi dłoń?

Bijąc się z myślami, wyciągnęła rękę. Loga przeciął skórę na wewnętrznej stronie swojej dłoni, a potem zrobił to samo z jej dłonią i złączył ich ręce w takim silnym uścisku, że aż drgnęła z bólu.

– Od tej chwili łączą nas więzy krwi. Wy wszyscy jesteście świadkami. Od dziś Córka O’Ceallaigha należy do plemienia. Jest Córką Trolli i zawsze może zjawiać się tutaj bez pozwolenia. Oto moja decyzja.

– To dla mnie zaszczyt.

– I słusznie. – Uśmiechnął się do niej z przekorą. – A teraz dokończ to, co tam robiłaś, żeby uspokoić nerwy, i napij się piwa. Och, prawda, przecież ty wolisz wino. Przynieście mi tu wino.

Podawała mu eliksir i wymieszała balsam. Kiedy przywołała Lonarcha, podeszła do niej młoda kobieta.

– Jestem Narl, najstarsza córka Logi i Sul.

– Masz oczy swojej matki.

Narl podała jej wąską opaskę z młotkowanego złota wysadzaną smoczymi sercami.

– Oto dar od wszystkich dzieci Logi i Sul oraz tych, co przyjdą na świat, a także dzieci ich dzieci.

To nie zapłata ani należność. To dar wdzięczności.

– Jest piękna.

– Noś ją w czasie bitwy, dobrze? – Nałożyła opaskę na głowę Breen. – Będzie cię chronić i ostrzegać, że ta, która ją nosi, chociaż nie ma warkocza wojownika, jest nieustraszona, bo płynie w niej krew Trolli.

Narl z lekkim ukłonem cofnęła się o krok.

– Teraz jesteśmy siostrami. W walce bądź niepokonana i nieulekła.

– To cenny dar i będę go nosić z dumą. Dumą Trolli – dodała, wywołując uśmiech na twarzy Narl.

Rozdział 13

Wracała na farmę z zamkniętymi oczami, na wpół leżąc na szyi Lonarcha. Opuścił ją stres, wszystkie mięśnie się rozluźniły, wszelkie myśli rozmyły.

To była najpoważniejsza próba uzdrawiania, jakiej podjęła się do tej pory. Ta wizyta w obozowisku Trolli wykończyła ją i fizycznie, i psychicznie. Zmyła z rąk krew Logi – rana mocno krwawiła – ale nadal miała w nozdrzach jej zapach.

Przelecieli przez chmurę, a ona nawet nie drgnęła, gdy uderzył ją podmuch wilgotnego wiatru. Pewnie bywała w życiu bardziej zmęczona, jednak w tej chwili nie potrafiła przypomnieć sobie, kiedy się czuła aż tak wydrenowana z energii.

Wierząc Lonarchowi, że nie pozwoli jej spaść, leżała, drzemiąc, aż poczuła, że opuszczają się na ziemię.

Gdy ześliznęła się z grzbietu smoka, Marco z Moreną i Fąflem przy nodze natychmiast wybiegli z domu.

– Brian przeleciał nad farmą jak błyskawica i tylko krzyknął nam z góry, że niedługo wrócisz. Dziewczyno, to było kupę czasu temu, już mieliśmy wysłać grupę poszukiwawczą.

Język miała zdrętwiała, ledwo mogła nim poruszać.

– Trochę to zajęło.

– Hej, masz koronę Wonder Woman, znaczy tiarę – poprawił się.

– Z symbolami Trolli – dodała zafascynowana Morena. – Tylko członkowie ich plemienia mają prawo je nosić.

– Od teraz jestem honorową Trollką. – Trochę zakręciło się jej w głowie, kiedy się nachyliła, żeby pogłaskać skomlącego Fąfla.

– Z chęcią poznam tę historię, ale widzę – Morena podtrzymała ją za łokieć – że padasz z nóg. Wejdź do środka i odpocznij. Zrobimy ci coś do jedzenia, zaparzemy herbatę.

– Szczerze mówiąc, chcę jak najszybciej znaleźć się w domu i na chwilę się wyciągnąć na łóżku. Za dużo się działo.

– To widać. Marco, zaprowadź ją do chaty i zmusz ją, żeby coś zjadła. Chcesz, żebym ci pomogła?

– Nie, dzięki. – Marco objął Breen w pasie. – Damy radę, prawda, Fąfel? Moreno, od czasu do czasu zamieszaj potrawkę, a nim siądziecie z Harkenem do kolacji, dopraw ją tak, jak ci mówiłem.

– Odwaliłeś całą robotę, a ja tylko tyle potrafię zrobić. A ty, Breen, porządnie odpocznij. Jutro porozmawiamy.

– Jutro.

Fąfel zamiast, jak miał w zwyczaju, puścić się biegiem, nie odstępował Breen na krok, gdy przechodzili przez Powitalne Drzewo. Marco wniósł ją po stopniach, podsadził na skały i gałąź, a po irlandzkiej stronie podtrzymywał ją przez całą drogę do chaty.

– Brian powiedział, że uratowałaś życie Lodze. On jest wodzem Trolli, tak?

– Tak, ale nie wiem, czy aż uratowałam mu życie. Był ranny i wymagał opieki. Loga jest niesamowicie silny. Musiał cierpieć jak diabli, Marco, ale on nawet nie drgnął.

– Ty też trochę cierpiałaś. Znaczy czułaś ból, no nie? Bo zdaje się, tak działa to uzdrawianie?

– Byłam przerażona. Wszędzie tyle krwi. Całe ręce miałam we krwi – wymruczała, opierając się na nim. – I bałam się, że mogę nie sprostać. Ta historia z wodospadem nadwątlila moje siły. Ale...

– Stałaś na wysokości zadania.

– Niewiele brakowało, a byśmy się spóźnili. Gdyby Brian nie leciał tak szybko, Thar pewnie zdążyłby ugodzić Logę jeszcze raz i zostawiłby go tam, żeby się wykrwawił. A wtedy Trolle mogliby uwierzyć w jego kłamstwo.

– Na szczęście, tak się nie stało. Dzięki tobie i Brianowi. A co z tamtym Elfem? Dlaczego akurat jemu Odran chciał przypisać to morderstwo?

Breen szła w chłodnym powietrzu, słuchała szumu strumienia i miała wrażenie, że to wszystko jej się śni.

– Kilka dni wcześniej doszło do kłótni między Argo i Logą podczas barteru. Poleciały przekleństwa, padło kilka ciosów. Podobno czasami tak się zdarza i oczywiście obaj szybko puścili to w niepamięć. Argo idealnie pasował na kozła ofiarnego. Według Sul, a ja z nią się zgadzam, Thar prawdopodobnie przesłał Odranowi wiadomość o tamtej kłótni przez kruka. Szczęśliwie pokrzyżowaliśmy im szyki.

– Taak, to prawda. – Już blisko do domu, powtarzał w myślach co chwilę. Starał się, by jego głos brzmiał beztrzesko, chociaż bardzo go martwił stan Breen. – No i dostałaś koronę Trolli.

- Mam ją nakładać na bitwy, żeby pokazać waleczność Trolli.
- Uhm. – Kiedy wyszli z lasu, wziął ją na ręce i niósł przez resztę drogi.
- Po prostu muszę się zdrzemnąć.
- I zaraz to zrobisz.

Wniósł ją do chaty i ułożył na kanapie w salonie, żeby obaj z Fąflem mogli mieć na nią oko. Kiedy przykucnął przy kominku, torf natychmiast zajął się ogniem.

Uśmiechnęła się.

- Nadal to mam – wymruczała. Zamknęła oczy i momentalnie zasnęła.
- Taak, moja Breen, nadal to masz.

Podłożył jej poduszkę pod głowę, ostrożnie zdjął tiarę i otulił ją pledem.

Fąfel zajął pozycję przy kanapie.

– Dobry chłopak. Posiedź przy niej, a ja zajmę się gotowaniem, żeby zjadła coś porządnego, jak się obudzi.

Postał nad nią przez chwilę, odgarnął pasmo włosów z twarzy.

- Ta cała magia coś ci daje, choć niewątpliwie również odbiera.

*

Kiedy Breen się obudziła, ogień potrzaskiwał w kominku, lampy rzucały przytulne światło, drżały płomyki świec. Cicho grała muzyka taka kojąca jak światło tych lamp. Jakiś cudowny aromat, zmieszany z zapachem woskowych świec i palącego się torfu, przypomniał jej, że od śniadania nie miała nic w ustach.

Znalazła przy szyi małą pluszową owieczkę, ostatnio ukochaną przytulankę Fąfla.

Marco z głową w aureoli światła lampy czytał książkę w fotelu z nogami opartymi na stoliku kawowym.

Fąfel, zwinięty w kłębek, drzemał przy kominku, ale gdy otworzyła oczy, natychmiast podniósł łeb. Merdając ogonem, w dwóch susach znalazł się przy niej i polizał ją po twarzy.

Usiadła i przeciągnęła się, po czym pogładziła psa.

- Jak długo spałam?

Marco podniósł komórkę ze stolika i sprawdził czas.

- Bite cztery.

- Cztery godziny? Ładna drzemka.

– Potrzebowałam tego. Martwiliśmy się o ciebie, dziewczyno. Morena z Harkenem zajrzeli tutaj z godzinę po tym, jak zasnęłaś, chcieli sprawdzić, czy wszystko w porządku, i Harken stwierdził, że sen jest najlepszym lekarstwem. Pewnie miał rację, bo znowu jesteś tą Breen z różaną cerą.

– Przykro mi, że was zmartwiłam, ale szczerze, teraz czuję się bosko i jestem głodna jak wilk. Co tak pachnie, że zmienia chatę w niebo?

– Wołowina po burgundzku w stylu Marco. Niedługo powinna być gotowa. Pomyślałem, że dobrze ci robi czerwone mięso. Ponieważ Brian raczej nie da rady wrócić wieczorem, jesteśmy tylko ty, ja i nasz przyjaciel.

– Zostań – nakazał, celując palcem w nią, a nie w psa, i zniknął w kuchni. Wrócił z czymś, co Breen rozpoznała jako deskę jego ulubionych przekąsek. Po drodze otworzył drzwi wejściowe i rzucił Fąfłowi kawałek kielbasy.

– Nie ruszył się od ciebie na krok, jak spałaś – powiedział Breen. – Dopiero kiedy usiadłem tutaj z książką, pobiegł na górę po owieczkę i położył ją na poduszce.

- Najlepszy pies w całej historii psiego gatunku.

- A ja mam najlepszych przyjaciół w całej historii przyjaźni.

– Zostań – powtórzył i poszedł po wino i kieliszki. – Będziemy tu siedzieć i pić wino, dopóki część tego nie zniknie z deski. W tym czasie dojdzie mięso, a ty mi opowiesz, co tam się działo u Trolli.

Wzięła tartinkę i całą wsunęła do ust.

– Uhhh, pycha. Zaczniemy od tego, że dobrze, że był tam ze mną Brian. Nie wiem, jak bym sobie poradziła bez niego. A Thar? Bardzo przypominał tamtą Cait Connelly. Też taki rozgoryczony.

Podniosła kieliszek i sącząc wino, zdawała mu relację.

*

W Stolicy Keegan spożywał posiłek z Brianem w jego kwaterze.

- Dzięki tobie mam wymówkę i zamiast ucztować w sali bankietowej mogę w spokoju zjeść kola-

cję. Nawet jeżeli sprowadzenie tego Trolła oznacza przesunięcie powrotu w dolinę o dzień lub dwa.

– Przykro mi.

– Będziesz świadkiem na Osądzie, lecz musimy się wstrzymać do przybycia Logi. Myślisz, że wydobrzeł na tyle, żeby udać się w podróż?

– Kiedy wyjeżdżałem, już stał na nogach i wydawał się w niezłej formie. Ta rana, którą zadał mu skrytobójca Odrana, zanim Breen zdążyła go powstrzymać, raczej nie mogła spowodować śmierci. Dziewczyna zrobiła to w pięknym stylu, posyłając go jakieś półtora metra w powietrze. Dzięki temu mogłem go szybko pochwycić i przytrzymać.

Popił piwem kęs combra jagniętego.

– Wiesz, Keeganie, ona miała rację, twierdząc, że Trolle jej zaufają. Gdyby Sul jej nie uwierzył, pewnie Breen musiałaby uciekać przed gradem trollowych strzał.

– Ojciec Thara walczył razem z Eianem w bitwie z Odranem i obaj wtedy ponieśli śmierć. Kojarzę go, chociaż nigdy go nie poznałem bliżej. I pamiętam, że Thar też przyszedł nad jezioro i wskoczył do wody w tamten dzień, kiedy podjąłem miecz.

– A teraz liczył, że ci go odbierze.

Keegan uniósł kąciki ust, chociaż wcale nie było mu do śmiechu.

– No cóż, pozostaje mu jedynie nadzieja. Jest tylko jeden Osąd za próbę pozbawienia życia. Ty, Loga i inni, których on wyznaczy, będziecie świadkami. Thar też złoży zeznanie.

– Dotąd znaleźliśmy już troje zdrajców, właściwe czworo z tamtym w Samhain. Był jeszcze Toric i jemu podobni. Ciekawe, ilu takich jak oni żyje wśród nas?

– Mam nadzieję, że niezbyt wielu. Wspomniałeś, że kruk przedostał się przez portal.

– Przyleciałem do Stolicy prosto z obozowiska Trolli – przypomniał mu Brian. – Żebyś jak najszybciej usłyszał o zamachu na życie Logi. To Breen zobaczyła kruka, a Duncan poleciał za nim i namierzył Thara.

– Jak to możliwe, że nikt poza nią go nie dostrzegł?

– Breen wspomniała o Yseult.

Podczas gdy Brian opisywał sytuację, Keegan wstał od stołu i nerwowo krążył po kwaterze, potem otworzył drzwi, żeby wpuścić świeże powietrze, i z powrotem usiadł.

– Nigdy nie widziałem, żeby ktoś zrobił to, co ona. Mówię o kimś bez skrzydeł – uściślił Brian. –

A ty potrafisz coś takiego?

– Nigdy nie próbowałem. Przy odpowiednim skupieniu w miarę łatwo można się unieść kilka, może kilkanaście centymetrów nad ziemię. W tym wypadku to było coś więcej. Musiała zjednoczyć się z żywiołem. Z powietrzem. Sam zamiar to za mało. Zaważyły moc i wola.

– Keeganie, żałuj, że nie słyszałeś, jak ona przemówiła do Yseult. Była w tym moc, wola i zamiar. Jednocześnie w niej i jakby poza nią, jeśli to, co mówię ma sens.

On już wcześniej to u niej widział.

– Jak najbardziej ma sens.

– A tamte ostatnie słowa, po talamhasku? Naprawdę mną wstrząsnęły. I wyznam ci, że gdyby były skierowane do mnie, naprawdę obleciałby mnie strach.

Misneach, pomyślał Keegan. Czyli odwaga i duch. I jednego, i drugiego Breen nie brakuje.

– A rysa już jest zasklepiona. Sprawdźmy inne portale, czy nie ma w nich takich pęknięć jak tamto, które ona dostrzegła. Takich, które otwierają się i zamykają.

– Nawet gdy byłem obok niej, w powietrzu, nie widziałem tego, co ona.

– To działanie magii Yseult, lecz dzięki tej dzisiejszej sytuacji zostałem zawczasu ostrzeżony. Jeżeli znajdziemy pęknięcia, nie będziemy ich pieczętować. – Patrząc na Briana, pytająco uniósł brew, a przyjaciel w odpowiedzi pokiwał głową. – W takim razie myślisz tak samo jak ja.

– Jeżeli je zasklepimy, kruk się nie przedostanie i nie namierzemy zdrajców, tak jak dzisiaj zrobił to Duncan.

– Tak jest. – Keegan wypił kilka łyków piwa. – Moglibyśmy ukrócić przesyłanie wiadomości – spekulował – ale wtedy trudniej byłoby namierzyć szpiegów czy zapobiec takim sytuacjom jak ten dzisiejszy zamach na Logę. Odran wyraźnie liczy, że uda mu się nastawić ludzi przeciwko sobie. A to mi mówi, że on wcale nie jest taki pewien, że nas pokona, jeżeli będziemy trzymać się razem.

– Staniemy razem przeciwko niemu.

– Tak będzie. – Keegan uniósł kufel w geście toastu. – Za jednego i wszystkich.

Późną nocą Keegan krążył po swoich komnatach. Najchętniej przywołałby Crogę i wyrwał się choć na trochę z zamku. Ale wiedział, że gdyby znalazł się na grzbiecie Crogi, natychmiast skierowałby

go na zachód.

Poleciałby w dolinę. Do niej.

Pragnął tego bardziej, niż umiał wyrazić to w słowach, ale uderzyła go myśl, że gdyby tak zrobił, postąpiłby tak samo samo jak w przeszłości z Shaną. Nie, nie poleci do Breen na godzinę czy dwie, żeby z nią się przespać i poczuć jej ciało pod sobą czy obok siebie we śnie. Ona znaczyła dla niego o wiele więcej, więc on musi zwalczyć chęć.

Krażył po komnatach jak lew zamknięty w klatce. Starał się skupić myśli na zebraniu Rady, które zwołał na rano, na Osądzie, z którym musi poczekać do przyjazdu Logi, na planie patroli, treningów i całej lawinie czekających go zadań.

W pewnej chwili z czystej ciekawości przystanął, zamknął oczy i wprowadził się w płytki trans, potrzebny do autolewitacji. Skupienie skierowane do środka wydostało się na zewnątrz.

Był powietrzem; powietrze było nim.

Wyzwolił przepływ gorąca do środka i zimna na zewnątrz.

Do wewnątrz, na zewnątrz, dokoła i pod spód.

Poczuł, że uniósł się parę centymetrów. Wyciągnął ramiona, otworzył dłonie, rozpostarł palce.

Kolejnych parę centymetrów i jeszcze kilka z głębokim oddechem.

Otworzył oczy i zobaczył, że jest na wysokości świeczników na gzymsie kominka. Skupił się i uniósł jeszcze kilka centymetrów.

Chociaż zachował klarowność myślenia, jego serce niebezpiecznie przyspieszyło, a oddech się skrócił, jak przy wtaczaniu głazu na strome zbocze wzgórza. Zmuszał się, by utrzymać koncentrację, z wysiłku pot spływał mu po plecach. Jednak rozproszył się i runął mniej więcej półtora metra w dół. Spadając, ugiął kolana i przykucnięty, poczekał, aż wyrówna oddech.

– W cholere z tym. Za duże ryzyko. Będziemy ćwiczyć aż do skutku. To może się okazać przydatne.

Nalał do kufła wody zamiast piwa i łączywie ją pił.

W żyłach Breen płynęła krew Sidhe, myślał, ale przecież w jego też. Następnym razem spróbuje skupić energię w tej właśnie części swojej istoty.

Rozebrał się i wyciągnął na łożu, zapatrzony na fresk Talamh na sklepieniu.

Znalazł dolinę i tęsknota za tym miejsce sprawiła mu wręcz fizyczny ból. Prześliznął się spojrzeniem po ścieżce do Powitalnego Drzewa namalowanej w pełnym rozkwicie lata.

Wyobraził sobie, że nią idzie i wchodzi do jej chaty. Czy ona teraz śpi? Na pewno, skoro pies leży zwinięty w kłębek przy kominku i pora już późna.

Zobaczył ją, jak śpi z płomiennymi włosami rozrzuconymi na poduszce, a poświata księżycy wślizguje się przez okno i pieści jej twarz.

Widząc ją w myślach, odpłynął.

I nagle była. Nie leżała u siebie w sypialni, tylko stała nad jego łożem.

– Ja śnię – odezwała się. – A ty?

– Nie spałem. Myślałem o tobie.

– Ja śpię i śnię o tobie. Jestem tutaj?

Usiadł. Stała nad nim we flanelowej piżamie, bo tak lubiła spać. To zdecydowanie nie był wymarzony strój.

Pragnął jej tak, jak pragnął następnego łyku powietrza.

– Jestem tutaj? – upewniła się. Wyciągnęła rękę i położyła mu na piersi. – Czuję cię. Czuję bicie twojego serca. A jednak jestem tutaj. Czujesz mój dotyk?

– Tak. – Nakrył dłonią jej rękę. – Jeżeli to nasz sen, nie zmarnujmy go. Tęskniłem za tobą, Breen Siobhan.

Przyklękła przy łożu i oplótła ramionami jego szyję.

– Pokaż mi, co możemy zrobić w snach.

Jej usta stopiły się z jego wargami, w poszukiwaniu ciepła, smaku i oczekiwanej obietnicy. Ten pocałunek, ten sen trwał nieprzerwanie. Przytuleni do siebie, ciało przy ciele, delektowali się bliskością. Żar płonął w kominku, dwa księżyce rozpraszały mrok.

Szepcząc do niej, zdjął jej górę piżamy, teraz skóra dotykała do skóry, ciepłe ciało do ciepłego ciała. Gładził ją po wygiętych plecach, chłonał zapach jej włosów. Wszystko takie prawdziwe, wszystko jego.

Wodził wargami po jej twarzy, szyi, ramionach, spił westchnienie, gdy ich usta na powrót się spotykały.

Jej piersi, takie krągłe i jędrne w dłoniach. Ciche westchnienia rozkoszy pod jego dotykiem. Słodczych warg muskających jego usta.

Wszystko jego.

Podniosła się i lekkim pchnięciem ułożyła go na plecach. Opadła na muskularne ciało wojownika. Wyrzeźbione mięśnie, siła, zapach skóry, to wszystko ją podniecało. Czowała bicie jego serca w swoim. Uniosła się i przycisnęła usta do miejsca, gdzie ono biło.

Teraz ona, zanurzona we śnie, niespiesznie pieściła go dłońmi i ustami.

Szerokie ramiona, napięte mięśnie, zdecydowany podbródek z szorstkim zarostem. Skóra zaskakująco gładka na tak twardym, bezwzględnie zdyscyplinowanym ciele.

Wszystko jej.

Poczuła w sercu przyspieszone bicie jego serca. Dotyk męskich dłoni koił, a zarazem podniecał. Całe ciało czuło, jak bardzo on jej pragnął, a jednak czekał na nią i nic nie było bardziej podniecające.

Niewiele myśląc, zsunęła spodnie, podniosła się i usiadła na nim okrakiem. Widziała jego oczy w poświęcie księżyców, widziała, jak na nią patrzył. Tylko na nią. Podniósł ręce do jej piersi, do serca. Z drżącym oddechem, z rozmyślną powolnością wzięła go w siebie, drżąc na całym ciele.

Znieruchomiała, wstrzymywała ich oboje, żeby stworzyć napięcie.

On czekał.

Zaczęła poruszać się płynnie jak woda, przejmując nad nim kontrolę. Jego ciało płonęło, krew wrzała. Napawał oczy widokiem jej wzburzonych włosów połyskujących w poświęcie z kominka, jej oczu teraz pociemniałych, wpatrzonych w jego oczy.

Uniosła ramiona, odrzuciła głowę do tyłu i opadła na niego z całą mocą. Światło płonęło wokół niej, sen w śnie. Stopiony z nią w jedność, odczuwał jej rozkosz, tak samo jak swoją. Wychodził na spotkanie każdego ruchu, razem z nią zmierzając ku spełnieniu.

Kiedy powiodła dłońmi po swoim ciele, uniósł się i przywarł do jej ust w żarliwym pocałunku.

W odpowiedzi zarzuciła mu ramiona na szyję i nie przestając poruszać biodrami, ujeżdżała go coraz mocniej i głębiej. Jakieś szalone słowa wyrwały się z jego ust, słowa, których ona nie знаła, a jego zamroczony umysł ledwo je rozpoznawał. Po uniesieniach finału, opadła na niego i leżała wtulona w jego objęcia.

– Wiem, że musimy się obudzić – wyszeptwała z westchnieniem. – Chociaż wolałabym nie.

Znowu zanurzył dłonie w jej włosy. Oto spokój, pomyślał, spokój, którym go obdarowała.

– Czy ten sen sprowadziłaś zaklęciem?

– Nie. – Uniosła głowę. – Nie zrobiłabym...

– To dobrze. Myślałem o tobie, tak jak mówiłem. Byłem myślami przy tobie.

– Myślałam, że może przylecisz na kilka godzin, żeby...

– Cię wziąć? Tak jak robiłem z Shaną? Nie. – Nawijał pukle jej włosów na palce, rozplątywał i znowu nawijał. – Nie jesteś Shaną. Jesteś zupełnie kimś innym.

Przechyliła głowę.

– To najbardziej romantyczna rzecz, jaką od ciebie usłyszałam.

– W takim razie masz bardzo dziwne spojrzenie na to, co romantyczne.

– Możliwe. – Obejrzała się na kominek. – Słyszałeś?

– Co?

– Ja... Och, to Fąfel. – Odwróciła się z powrotem do niego. – Wracaj szybko.

– Zaczekaj.

Już jej nie było. Został z dogasającym żarem w kominku i freskiem Talamh nad głową.

*

Osąd trwał dwa dni. Keegan przez dwa dni słuchał gniewnych i chłodnych zeznań Logi oraz zapalczywych i pełnych goryczy słów niedoszłego skrytobójcy Thara.

Po dwóch dniach opuścił buławę i skazał Thara na banicję.

Kiedy portal do Świata Mroku został otwarty i po wykonaniu wyroku z powrotem zamknięty, Keegan spotkał się z Logą na wsi w gospodzie Pod Uśmiechniętym Kotem.

– Już wymieniałem towar za piwo, pij więc do woli.

Keegan usiadł przy masywnym, odrapanym stole, gdzie kufel już czekał na niego.

– Dziękuję ci. Mam nadzieję, że piwo splucze smak Osądu z mojego gardła.

– Widzi mi się, że ciężki los wybrałaś, podejmując miecz. – Loga przytknęła kufel do ust.

Przyszedł w wypolerowanym, niepowgniatanym hełmie i napiersniku, żeby okazać szacunek dla

wagi tego dnia. Szeroką, pobrużdżoną twarz znaczyły cienie pod oczami.

– Znałem Thara od urodzenia. Kiedyś myślałem, że on z moją Narl złoży przysięgę, ale ona miała oko na Neilla. Narl i Neill?, zażartowałem. – Przewrócił przy tym podkrążonymi oczami, prowokując Keegana do śmiechu.

– Tymczasem Neill okazał się dobrym partnerem dla Narl i jest dobrym ojcem dla dzieci. I bogowie wiedzą, tak jak ja teraz wiem, że Thar złamałby serce mojej córce, tak jak złamał swojej matce.

– Nie pojawiła się na Osądzie.

– Ano nie. Sul mówi, że tamta płacze całymi nocami, a za dnia nie wymawia jego imienia. To się działo pod moim nosem, żaliła się Sul, a ja nic nie dostrzegłam. Jednak teraz, gdy patrzę wstecz, och tak, wyraźnie widzę, co w nim siedziało.

– Ta dziewczyna, Caitlyn Connelly, mieszkała z rodzicami, bratem i siostrą. I nie w obozowisku, ale w jednej chacie. Był też mężczyzna, który ją kochał. Nikt nie widział, co w niej siedziało. Tacy potrafią bardzo dobrze ukrywać prawdę.

– Jak myślisz, ilu jeszcze takich może być? Każdy Troll w Talamh będzie ci pomagał ich wynajdywać.

– Nie umiem powiedzieć. – Ktoś zaczął grać melodię na fujarce, ktoś klaskał do rytmu. – Oto twarda prawda.

– Gdyby nie Córka O’Ceallaigha, nie wiedzielibyśmy o Tharze, a ja byłbym martwy. Ona jest kluczem, nie ma co do tego wątpliwości. Nie przyjęła zapłaty za zagojenie rany. Jestem jej dłużnikiem – zadumał się. – Nie przywykłem do tego. – Wzruszył potężnymi ramionami i napił się piwa. – Sul mówi, że jeżeli urodzi dziewczynkę, da jej na imię Breen. Po kłótni z kobietą ma się większy ból głowy niż po całonocnym picciu piwa. A pokłóć się z ciężarną, to tak ci skopie jaja, że aż zsinieją.

– Mam siostrę, wiem coś o tym. Sul dobrze się czuje? Nie przyjechała z tobą.

– Jest za wysoko w ciąży na taką długą podróż. Miała przyjechać, a ja wolałem się nie sprzeciwiać, by nie mieć sinych jaj. Ale potem to przemyślała, bo jest rozsądną kobietą. Dla świętego spokoju, żeby przestała mi suszyć głowę, musiałem zabrać ze sobą trzech Trolli. Zresztą dobrze mieć towarzystwo w podróży.

– Ty i twoi towarzysze zjecie dziś ze mną kolację i do wyjazdu zatrzymacie się w zamku – zdecydował Keegan.

– Kolację zjemy, ale nie jesteśmy przyzwyczajeni do spania w zamku. Rozbijemy obóz na polu i ruszymy w podróż o brzasku – odparł Loga i rozejrzał się wokół. Teraz do fujarki dołączyła mandolina, a w powietrzu unosił się zapach przyprawionego mięsiwa i świeżego chleba.

– Minęło parę ładnych lat, odkąd ostatni raz byłem w Stolicy – ciągnął gość. – Za nisko położona jak na mój gust i za dużo tutaj ludzi, ale w tej gospodzie podają przednie piwo. To nie był mój pierwszy Osąd, chociaż pierwszy raz widziałem ciebie dzierżącego buławę. Dobrze się spisałeś. Twój tatko, którego oczywiście znałem, porządnie cię wychował. Kavan O’Broin potrafił i zagrać melodię, i władać mieczem.

– To prawda.

– Zamówmy jeszcze jedną kolejkę. – Loga dał znak barmanowi. – I wzniesmy toast za jego pamięć.

Rozdział 14

Najpierw padał deszcz, a potem niebo się roz pogodziło. Breen wracała z Fąflem od Marg na farmę.

Rano pożegnała Marco i Briana. Pojechali na spotkanie z rodziną.

– Powinni już być na miejscu albo lada moment tam dotrą – opowiadała Fąfłowi. – Marco był taki przejęty! Nie zliczę, ile razy się przebierał i zmieniał zdanie, co ze sobą zabierze. A dzisiaj wieczorem, najdalej jutro Brian się zdeklaruje.

Fąfel entuzjastycznie zamachał ogonem i wprawił całe ciało w ruch.

– No, ja tak samo myślę! Ale musimy trzymać buzię na kłódkę, prawda? Jak obiecałam. Na szczęście niedługo. Wygląda na to, że dzisiejszy wieczór spędzimy sami. – Pochyliła się i zmierzwiła mu kosmaty czub. – Co powiesz na popcorn i film? Usiądziemy sobie wygodnie i...

Zamilkła, gdy Fąfel w podskokach obiegnął ją w koło i z radosnym szczeknięciem puścił się biegiem w stronę farmy.

Domyśliła się, że zobaczył chłopców Aisling na łące. I rzeczywiście tam byli. Ale był tam też Keegan.

I jak zauważyła, zdążył już poustawiać tarcze strzeleckie.

Harken wyszedł ze stodoły ze szczeniakiem kręcącym się przy nogach.

Darling i Fąfel popędzili ku sobie, jakby od ostatniego spotkania dzieliły ich całe tygodnie, nie zaledwie godziny. Po chwili chłopcy dołączyli do baraszkujących psów. Keegan stał na łące i czekał na nią.

– Ledwo wrócił, a już cię goni do roboty – zauważył Harken, mijając się z Breen na ścieżce.

– Widzę. Kiedy przyleciał?

– Niecałą godzinę temu. Jest wykończony. W życiu do tego się nie przyzna, ale ja widzę. Okaż cierpliwość, bo zmęczony, łatwo wybucha.

– No cóż.

– Będę się trzymał od was z daleka. – Poklepał ją po ramieniu. – Dzisiaj Morena pomaga Finoli i Seamusowi w gospodarstwie. Finola się ulitowała i przysłała pieczonego kurczaka i coś tam jeszcze. – Mam więc wymówkę, że muszę posprzątać w domu. – Starł płamę ze smaru na spodniach.

– Powodzenia.

– Dzięki.

Pomachała do chłopców, idąc do Keegana.

– Spóźniłaś się – usłyszała zamiast przywitania.

– Brian sądził, że wrócisz jutro albo pojutrze, więc planowałam pod okiem Aisling doskonalić moje umiejętności uzdrowicielskie.

– Wystarczyło ci ich na zasklepienie rany Logi.

– Nie wiem, czy dałabym radę, gdyby tych ran było więcej, zresztą ten Troll jest tak silny jak medalowy byk Harkena.

– Na razie musi ci wystarczyć to, co umiesz, Aisling może poczekać do jutra. Natomiast słabo ci wychodzi strzelanie z łuku.

Jest zmęczony, powiedziała sobie. Widziała to tak samo wyraźnie jak Harken.

– Skąd wiesz, że nadal słabo strzelam? Nie było cię tutaj cały tydzień.

– Dobrze. W takim razie chętnie popatrzę. – Wręczył jej kołczan, a gdy go przewiesiła przez ramię, podał łuk. – Miałem obowiązki. – Rozdrażniony, jak Harken uprzedził, wepchnął ręce w kieszenie kurtki. – Gdybym mógł, szybciej bym przyleciał.

– Wiem.

Gdy sięgała strzałę, ujął jej głowę w dłonie i pocałował ją w usta. A potem z uwagą popatrzył jej w oczy.

– Byłaś tam czy tylko mi się śniło?

– Byłam.

Oparł czoło o jej czoło.

– Dobrze. – Odsunął się od niej. – To dobrze. A teraz pokaż, co potrafisz.

Nałożyła strzałę na cięciwę, przyjęła postawę i powoli płynnie naciągnęła łuk. Wypuszczona strzała otarła się o brzeg tarczy.

– W imię wszystkich słodkich bogiń, przecież masz oczy. Użyj ich.

– Nic się nie dzieje z moimi oczami. A ty... mi zasłaniasz. – Machnięciem ręki pokazała, że ma

odsunąć się na bok. Spróbowała ponownie i trafiła w drugi kraniec tarczy.

– Widziałem, jak ośmioletnia dziewczynka robi to lepiej. Trzymaj ramię nieruchomo, kobieto, dostosuj postawę.

– Trzymaj ramię, dostosuj postawę – burknęła.

Przecież za nim tęskniła, upomniała siebie w myślach. Chciała, żeby wrócił.

Wypuściła kolejnych sześć strzał i dwukrotnie trafiła gdzieś pomiędzy środkiem tarczy i jej brzegiem.

– Oszczędź sobie komentarzy – warknęła. – Z Moreną lepiej mi idzie. Sam ją zapytaj. To ty jesteś problemem.

– Ja jestem problemem, tak?

– Stoisz i gapisz się na mnie ze złością.

– Jasne, ten, który na ciebie się rzuci, wykończy cię najbardziej uprzejmym uśmiechem.

Nie potrzebuję pieprzonego łuku i strzały do powstrzymania napastnika, pomyślała. Znała inne sposoby.

Dla uspokojenia kilka razy głęboko odetchnęła i założyła kolejną strzałę. Myślała o jej grocie, myślała o środku tarczy.

Trafiła w sam środek.

Posłała zadowolone spojrzenie skrzywionemu Keeganowi.

– No i co, *mo chara*?

– Każdemu może się udać przy odrobinie szczęścia. Zrób tak samo jeszcze raz.

Strzeliła drugi raz i trzeci, bezbłędnie trafiając w dziesiątkę.

Zadowolona z siebie, już miała sięgnąć po następną strzałę, gdy Keegan przytrzymał jej rękę.

– Używasz mocy.

– I co z tego? Nie wiem, czemu wcześniej na to nie wpadłam. Mogłeś mi podpowiedzieć.

– Ja nigdy... Tak się nie robi. To...

– Co? Oszustwo? Może na polowaniu czy w czasie zawodów to nie jest w porządku. Ale na wojnie wszystkie chwytaki dozwolone. Dlaczego w obronie siebie czy kogoś nie miałabym wykorzystać tego, co mam?

Widziała, że zbiła go z tropu.

– Tak się nie robi – powtórzył.

– Nie jesteś Mandalorianem z *Gwiezdnych Wojen*. To przynosi skutek.

Stanęła bokiem do kolejnej tarczy, wyjęła strzałę z kołczanu. Wyciągnęła ramię ze strzałą i puściła ją w środek tarczy, nie biorąc łuku do ręki.

Chłopcy wiwatowali za jej plecami. Odwróciła się po łuk i zobaczyła, że Harken wyszedł z chaty i uśmiechnięty, stał z synkami.

– Nie nauczysz się – upierał się Keegan – jeżeli będziesz polegać na magii.

– Będę więc ćwiczyć bez niej, ale wiem, co zrobić w razie potrzeby. Czasami, *taoiseachu*, trzeba iść na skróty.

Do jednej tarczy strzelała z pomocą magii, do drugiej bez. I rzeczywiście pod koniec treningu już lepiej jej szło bez czarów. No powiedzmy, trochę lepiej. A z czarami? Stwierdziła, że Hawkeye z drużyny Avengersów wysiada przy niej.

– Masz szczęście – oznajmiła Keeganowi, gdy o zmierzchu ruszyli do chaty.

– W jakim sensie?

– Wczoraj wieczorem Marco zrobił jambalayę i trochę zostało na dziś.

– Jeszcze tego nie jadłem. Dobre to?

– Pychota. Cieszę się, że dałeś Brianowi wolne, żeby mógł przedstawić Marco rodzinie.

– Należało mu się. Myślę, że oni się zdeklarują.

O mało nie potknęła się o gałąź, przechodząc do Irlandii.

– Czemu tak uważasz?

– To oczywiste, skoro Brian zabiera go do swojej rodziny. Poza tym chodził zdenerwowany, a zazwyczaj Brian to oaza spokoju. Więc prawdopodobnie dojdzie do deklaracji.

– Dzięki Bogu. Chyba nie muszę dłużej trzymać tego w tajemnicy, jeżeli ty aż tyle wiesz.

– Czego trzymać?

– On poprosił mnie o akceptację. Znaczący, Brian. To było takie słodkie! – wspominając tamtą chwilę, przycisnęła dłoń do serca. – Obiecałam, że nikomu nie powiem. Naprawdę wolałabym strzelać z łuku sześć godzin ciurkiem niż dłużej nosić się z tą tajemnicą. On się Marco oświadczy. Może nawet

dzisiaj wieczorem. I będziemy mieć dwa wesela.

Podeksycytowana, wzięła Keegana pod rękę, a Fąfel bez przerwy odbiegał od nich i wracał z powrotem.

– Jedno tutaj, w Talamh. A drugie w Filadelfii, na które zaproszą Sally, Derricka i siostrę Marco.

– A rodziców?

– Nie. Z nimi jest problem. Zamierzam ich zapytać. Nic nie powiem Marco, ale chcę porozmawiać z jego matką. Jednak raczej się nie pojawią.

– Mają uprzedzenia.

– Mniejsza z tym. Urządzimy wesele w U Sally. Wiem, na czym Marco zależy. Przyjdą wszyscy, którzy go kochają. Och, będzie cudownie. Też przyjedziesz, prawda? Ze względu na nich obu?

Zawahał się.

– Potem je zrobimy – nie ustępowała – kiedy będzie po wszystkim. Obojętnie, ile czasu przyjdzie na to czekać, wesele będzie po wszystkim.

– Chciałbym na nim być.

– I taka odpowiedź na razie wystarczy.

– Pewnie poczynisz pewne plany, jak polecisz tam wiosną.

– Bez dwóch zdań. – Wyszli z lasu i Fąfel pobiegł prosto do zatoki. – Doceniam, że się zgadzasz na ten wyjazd.

– Masz tam rodzinę i swoją pracę.

– Tak, ale nie polecę, jeżeli będę tutaj potrzebna.

– Już to mówiłaś.

Po wejściu do chaty powiesił kurtkę na wieszaku.

– Możemy napić się wina albo piwa, jeśli wolisz, a ja w tym czasie odgrzeję jambalaye.

Poderwał ją z podłogi.

– Kolacja może poczekać. Rozpal ogień, *mo bandia*. Tutaj. – Przystanął przy kanapie w salonie. –

Dalej nie idziemy.

– Jestem za.

– Chciałem szybciej wrócić.

– Wiem.

To wyznanie jej wystarczyło, gdy układał ją na kanapie, tylko tyle chciała wiedzieć.

*

W nocy Marco z Brianem siedzieli na wzgórzu i owinięci pledem sączyli musujące wino Sidhe. W kręgu z kamieni paliło się ognisko, a ułożone blisko siebie dwa półksiężyce, jakby próbując stopić się w kulę, konkurowały z poświatą gwiazd i blaskiem ognia.

Piknik o północy, powiedział Brian, i Marco pomyślał, że zawsze może się zdarzyć jakiś pierwszy raz.

– Bardzo podoba mi się twoja rodzina.

– Oni już cię pokochali.

– Na pewno bardzo kochają ciebie. I sprawili, że poczułem się u was jak w domu. Po dwóch minutach zapomniałem o stresie. A po dziesięciu miałem wrażenie, że znam twoich rodziców całe życie.

Obrócił się do Briana i musnął wargami jego usta.

– A ty ich oczarowałeś i z miejsca kupiłeś. Tacie powiedziałaś, że teraz widzisz, po kim mam urodę, a mamie, że już wiesz, po kim odziedziczyłem rozum. To było sprytne posunięcie.

– Nietrudne, bo powiedziałem prawdę.

Przechylił głowę do Briana i patrzył, jak para z ich oddechów łączy się i rozplywa w powietrzu.

– A teraz siedzę tu z tobą na pikniku o północy, pod niebem z dwoma księżycami, usianym gwiazdami. Patrzę z góry na miejsce, gdzie się urodziłeś i dorastałeś. Widzę jabłoń, na którą się wdrapywałeś, a potem objadałeś się jabłkami aż do bólu brzucha.

– Och, ta moja mama i jej opowieści.

Marco, szczęśliwy jak nigdy, przytulił się do Briana.

– Nie mogę się doczekać, aby więcej ich usłyszeć, tak samo jak nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie poznasz Sally i Derricka osobiście, zamiast tylko widywać ich na FaceTimie. Pokochają cię, Brianie, tak jak ja. Oni i Breen są moją prawdziwą rodziną. I jeszcze moja siostra.

– Będą opowieści?

– Jeszcze ile.

– To ważne, żeby poznać rodzinę, wrosnąć w nią i tworzyć wspólną historię. Byłem szczęśliwy, gdy zobaczyłem uśmiech w oczach matki, kiedy cię przedstawiłem. Później popatrzyła na mnie i powiedziała: „No tak, to jasne, rozumiem, dlaczego się w nim zakochałeś”.

– Ona już wiedziała, dlaczego cię kocham.

– Oczywiście. Jak można mnie nie kochać? – Marco, śmiejąc się, nalał im obu wina.

– To ważne, żeby założyć własną rodzinę. Znaleźć kogoś, zakochać się i pragnąć z tym kimś związać swoje życie na zawsze. I tak twoja rodzina staje się częścią całości i pisze swoją historię.

Brian uniósł dłoń Marco do ust.

– Stwórz ze mną rodzinę, Marco, bądź ze mną częścią całości, piszmy naszą historię.

Marco zapało dech i cały świat znieruchomiał. Noc, powietrze, ten świat i wszystkie światy poza nim.

– Czy ty prosisz... chcesz, żebyśmy się pobrali?

– Tak, i w tej chwili całe moje zdenerwowanie wydaje się absurdalne, bo ta prośba jest najprostszą z prośb we wszystkich światach.

Brian odwrócił dłoń Marco i przycisnął usta do jej wnętrza.

– Przrzekam cię kochać, wspierać i budować z tobą życie pełne radości. Wiem, że może trochę szybko, ale...

– Nie, wcale. Brianie Kelly, mój wojownik Sidhe, mój kochanku, przyjacielu. Mam wrażenie, że czekałem na ciebie całe życie, i w tamten wieczór, gdy staliśmy razem nad zatoką, doznałem olśnienia. Jesteś tym jedynym i zawsze nim będziesz.

– A więc tak? Zgadzasz się? – upewniał się Brian, wodząc ustami po twarzy Marco.

– To ja ciebie zamierzałem poprosić. O rany, obejmij mnie na chwilę. Cały się trzęsę. Po spotkaniu z twoją rodziną chciałem naradzić się z Breen.

Zamknął oczy, bezpieczny w objęciach Briana.

– Wiesz, ona jest moją Gwiazdą Polarną. Zastanawiałem się, jak cię poprosić, sprawić, aby ta chwila była wyjątkowa.

Brian wypuścił Marco z objęć i ujął w dłoń jego twarz.

– Poprosiłbyś mnie? – W jego pięknych oczach ujrzał cały swój świat, całe swoje życie.

– Zawsze marzyłem, żeby ktoś pokochał mnie tak jak ty, zawsze pragnąłem kochać tak, jak ja kocham ciebie. Chciałem cię poprosić, żebyśmy się pobrali, ale mnie ubiegłeś.

– Powtórz za mną: ja, Brian, składam ci przysięgę.

– Ja, Brian, składam ci przysięgę.

– A teraz moja kolej. Ja, Marco, składam ci przysięgę.

Przypieczętowali obietnicę pocałunkiem, tym pełnym miłości krokiem we wspólną przyszłość.

– Znalazłem cię – wyszeptał Marco. – Znalazłem. Musiałem tylko przejść do innego świata, żeby cię znaleźć.

*

Popołudnie przyniosło kolejny deszcz. Breen zamknęła laptop i wyszła z gabinetu. Wypuściła Fąfla na dwór, bo niezależnie od pogody pies musiał się wybiegać i przeszła do pustej kuchni po colę.

Będzie musiała na nowo do tego przywyknąć, uświadomiła sobie. Do ciszy i samotności. Nie zobaczy Marco pracującego przy stole ani krzątającego się w kuchni.

On niedługo będzie miał własną kuchnię i swój stół do pracy. Chciała tego dla niego, chciała, żeby stworzył dom z kimś, kogo kocha.

Podeszła do drzwi i patrzyła, jak Fąfel i ciężkie krople deszczu burzą taflę wody. Uwielbiała patrzeć na zatokę i w słońcu, i w deszczu, i przy każdej pogodzie.

Widziała ją latem, jesienią, a teraz w zimie. To kwestia zaledwie kilku tygodni, gdy w tym miejscu będzie oglądać ją wiosną.

Nie ma sensu poganiać czasu, pomyślała. Wiosną przejdzie przez portal, tym razem do Filadelfii. Choć bardzo chciała zobaczyć Sally i Derricka, nadejście wiosny oznaczało konieczność zmierzenia się z matką.

A także stawienia czoła twardej prawdzie, że nie może już dłużej zwlekać z wysłaniem książki... Spodoba się albo nie, stwierdziła. Tak czy owak, ona ją napisała, a nigdy nie sądziła, że porwie się na coś takiego. Jeżeli się nie spodoba, spróbujesz ją poprawić, powiedziała sobie.

– Tak jak poprawiłam swoją samoocenę. – Odwróciła dłoń nadgarstkiem do góry.

– *Misneach*, i nigdy o tym nie zapominaj.

Miała swoje życie i tutaj, i w Talamh. W obu miejscach czuła się spełniona i szczęśliwa. I zamierza dalej tak żyć, realizować plany i być szczęśliwa.

Musi jedynie doprowadzić do klęski jednego boga.

*

W następnym popołudniu nadal padał deszcz. Zajęła się gotowaniem, skrupulatnie trzymając się przepisów Marco. Przynajmniej opisał dokładnie co, ile i z czym wymieszać, żeby zrobić ciasto na włoski chleb. Bardziej problematycznie przedstawiała się sytuacja z czerwonym sosem do lasagne, które zamierzała zrobić na powitalną kolację.

– Setki razy widziałam, jak go robi – powiedziała do Fąfla, który z zaciekawieniem przyglądał się, jak jego pani sieka zioła. – Przecież nie mogę dopuścić, żeby po powrocie z zaręczyn – a wiem, że wróci zaręczony – zabierał się do szykowania kolacji.

Dodała zioła do garnka, zamieszała, opierając się pokusie, żeby wykorzystać zaklęcie do sosu Marco.

– Właściwie to nie byłoby oszustwo, ale coś mogłoby pójść nie tak.

Zdjęła ściereczkę z ciasta na chleb, które uformowała w dwa zgrabne kuliste bochenki i zostawiła do wyrośnięcia.

Zobaczyła, że zwały się w spuchniętą, popękaną na wierzchu kluchę.

– Cholera, cholera, cholera! Dlaczego? Dobra, zaraz to naprawimy.

Zaczęła rozdzielać ciasto palcami i już widziała, jak bochenki zapadają się niczym balony, z których zeszło powietrze.

– To nie jest oszustwo – stwierdziła i trzymając dłonie nad niekształtną masą, powoli, ostrożnie uformowała bochenki. – Odwaliłam całą robotę i nie szłam na skróty, nie ma więc w tym żadnego szachrajstwa.

Ułożyła bochenki na blasze i wsunęła ją do piekarnika, nad foremką z parującą wodą. Nie wiedziała, po co ta woda, ale tak było w przepisie Marco.

Ustawiła minutnik.

– No, mam nadzieję, że wyjdzie. A teraz posprzątam.

Kurczę, co za bałagan. Gdy uporała się z naczyniami i wyjęła chleb – wyglądał całkiem dobrze – westchnęła z ulgą.

– To wyczerpujące! Jak on może kochać tę robotę? Spadamy stąd, Fąfel.

Włożyła kurtkę przeciwdeszczową, nasunęła kaptur na głowę. Po kulinarnych emocjach w nagrzejnej kuchni chłód i wilgoć wydawały się jej błogosławieństwem. Deszcz, o ile w Talamh padało, może opóźnić powrót Marco.

Dokładnie w chwili, gdy to pomyślała, zobaczyła go, jak zbliża się ścieżką.

– Marco Polo! – Oboje z Fąflem podbiegli do niego. Breen rzuciła mu się na szyję, a Fąfel obskakiwał go dookoła.

– Myślałam, że z powodu deszczu pojawisz się dopiero za kilka godzin.

– W Talamh świeci słońce, a tutaj naprawdę leje. – Uściskał ją mocno i wypuścił z objęć.

Kiedy zobaczyła jego oczy błyszczące z radości, zaczęła podskakiwać jak Fąfel.

– No mów, opowiadaj.

– Brian mi zdradził, że cię uprzedził. A ty mi nawet nie pisnęłaś słowem.

– Nawet nie wiesz, jak mnie to męczyło. No więc teraz mów, opowiadaj. Jak to było, gdzie, kiedy?

– Nie chcesz wiedzieć, czy powiedziałem: tak?

– Jakbyś mógł coś innego powiedzieć.

– Poczekaj, wrzucę torbę do domu i wrócę do ciebie.

Machnęła ręką i torba zniknęła.

– Zrobione. Jest w twoim pokoju. Opowiadaj, bo pękam z ciekawości.

– Piknik o północy.

– O rany! No nie! – Akcentowała każdą sylabę, uderzając się dłonią w pierś na wysokości serca.

Opowiedział wszystko po drodze, a łzy wzruszenia kapały jej z oczu jak deszcz.

– To wszystko takie piękne, romantyczne, wręcz idealne. A więc ty i Brian.

– Jego matka płakała jak ty. Takie same łzy szczęścia. Oni są super, Breen. Ja też trochę się popłakałam, gdy powiedziała, że mam na nią mówić mama. Jeżeli chcę.

– Już ją kocham.

– Brian mówił, że podszeptęłaś mu, że chciałbym dwa wesela, jedno tutaj i jedno w U Sally. Jak ty dobrze mnie znasz.

– Nikt nie zna cię lepiej ode mnie.

– Myślmy, żeby to tutaj urządzić we wrześniu, mniej więcej w rocznicę naszego poznania.

– Romans się rozwija.

– Jego mama chce wesela z rozmachem.

– Mówiłam, że już ją Kocham.

– O rany, ja też! Według tego, co mówiła, to będzie taka feta jak u Moreny i Harkena. Wielkie wesele w stylu Fey.

– A jeżeli chodzi o imprezę w U Sally, zobaczymy, czy urządzimy ją przed czy po wszystkim. Raczej potem, prawda? Brian nie powinien stąd się ruszać, dopóki nie będzie po wszystkim. Może więc w listopadzie czy nawet w styczniu.

– Wiesz, wcześniej myślałam, że dostałam od życia więcej, niż mi się należało. Że ono jest teraz takie dobre i ciekawe i najlepiej, żeby tak trwało. A teraz? Chcę, żeby nabrało rozpędu i już było po wszystkim.

– Breen, nieważne kiedy.

Marco, zdając relację, cały promieniał i Breen, gdy patrzyła na niego, znowu uroniła parę łez.

– Złożyliśmy sobie przysięgę, a Brian poprosił brata, żeby mu świadkował na ślubie w Talamh, no i chce poprosić Keegana, żeby przyjechał i był jego świadkiem w U Sally. Ty będziesz moim świadkiem na obu ślubach, prawda?

Odwrociła się do niego i uściśkała go ze łzami w oczach, nie czując, że niedługo przemoknie do suchej nitki.

– Zbierajmy się stąd. – Musnął ustami jej włosy. – Chodźmy na słońce. A po powrocie pogadamy na FaceTimie z Sally i Derrickiem.

– Och tak!

– Chcę w miarę wcześniej wrócić – zastrzegł, kiedy weszli na gałąź. – Może pomożesz mi przy wymianie czegoś na rybę. Usmażyłbym ją do frytek.

– Nie ma potrzeby. Zadałam o kolację.

Zaskoczony, obejrzał się na nią i ledwo zauważył, że już wyszli z deszczu na słońce.

– No coś ty?

– Lasagne prawie gotowe i upiekłam chleb.

– No nie, teraz ja się rozplaczę.

– Kto wie, czy nie popłaczesz się, jak będziesz jadł. Pamiętaj, jeżeli nie będzie ci coś smakowało, to skłam.

Wzięła go za rękę i razem zeszli po stopniach. Fąfel już czekał na nich przy murku.

– Jaki piękny dzień! Cudownie piękny, idealny dzień. Chodźmy podzielić się wiadomością.

Nawet myśl o treningu nie mogła zepsuć jej humoru, kiedy po świętowaniu u Marg i praktykowaniu magii szła na tortury, które Keegan niewątpliwie dla niej zaplanował.

Marco na pewno dobrze teraz się bawi na farmie albo u Finoli. A w domu, kiedy Brian do nich dołączy, też uczczą to wydarzenie.

– Naprawdę dobry dzień, Fąfel. Zupełnie jak początek nowego rozdziału w książce, gdy nie możesz się doczekać, żeby zobaczyć, co będzie dalej. Już widzę minę Sally, gdy mu o tym powiemy.

Zaprzątnięta tymi myślami, szła beztrosko przed siebie.

Nagle tuż przed nią, dosłownie kilka kroków przed nią, szara chmura przetoczyła się nad drogą i przybrała kształt mrocznej wróżki ze skrzydłami o czarnych obwódkach.

Breen, rozpoznawszy zjawę, przeklęła Keegana pod nosem i wyciągnęła miecz.

– Breen Siobhan O’Ceallaigh, przysyła mnie Odran, bóg wszystkich.

– No, akurat.

Fąfel przy jej nogach warknął ostrzegawczo.

– On widzi przez moje oczy, przemawia przez moje usta.

– Sprytnie – mruknęła Breen. – Cholernie sprytnie to wymyśliłeś, *taoiseachu*.

Zamiast natrzeć na zjawę mieczem, cisnęła w nią strumieniem mocy, jednak to nie uciszyło głosu. Głosu należącego do Odrana.

– Niewiele piasku zostało w twojej klepsydrze. Kiedy przesypie się ostatnie ziarnko, ta ziemia spleonie i zaleje się krwią. Mam ci to zademonstrować na twoim głupim psie?

– Nie! Siad! – Fąfel, zaskoczony jej ostrym tonem, łomotnął zadem o ziemię i Breen błyskawicz-

nie zasłoniła go sobą.

- Nie waż się go tknąć.
- Oszczędzę go i garstkę waszych, których wybierzesz, jeżeli teraz pójdziesz ze mną.
- Nikogo ani niczego nie oszczędzisz. Siejesz wyłącznie śmierć. A ja nigdy za tobą nie pójde.
- Czas wyboru się kurczy, ubywa piasku w klepsydrze. Przejdź przez portal w Drzewie z Węży.

Otwórz go i przejdź, zanim księżyc się dopełni, albo ta ziemia będzie płonąć i spłynie krwią. Żywe pochodnie, ociekając krwią, będą przeklinać twoje imię. Przybądź i zajmij miejsce u mojego boku, droga wnuczko. Będziesz mnie karmić swoją mocą i żyć w chwale za ten dar. Odmówisz, a zabiorę ci wszystko, czym jesteś, i pozwolę ci pożyć tylko tyle, żebyś mogła zobaczyć, jak umierają tak cenne dla ciebie światy.

Czuła strach, nie mogła zaprzeczyć. Ale ten strach nie budził w niej tchórzostwa.

– Grozisz mi poprzez zjawę, iluzję. Brakuje ci mocy, cuchnie tu desperacją. Oto moja odpowiedź.

Natarła na zjawę i stal zadzwoniła o stal. Widziała wściekłość we wpatrzonych w nią oczach, oczach Odrana, wściekłość i coś na kształt satysfakcji.

Nie zdążyła się zasłonić i ostrze trafiło ją w ramię, przecięło skórę. Z bólu i zaskoczenia krzyk wyrwał się z jej ust. Odskoczyła do tyłu. Najeżony Fąfel, już nieposłuszny, rzucił się na zjawę i przeleciał przez nią na wskroś.

– Krwawisz. Moja siła jest wielka, a twoja mizerna. A teraz patrz, jak twój kundel zdycha za ciebie.

– Nie.

Fąfel ponownie zaatakował, a kiedy zjawa uniosła miecz, Breen z piekielną mocą omiotła ją ogniem, który w niej wybuchł z bliźniaczych iskier strachu i gniewu.

Zjawa płonęła, a ona osunęła się na kolana na ziemię poplamioną jej własną krwią.

– Wybieraj! – Grzmiący głos zatrzęsł ziemią pod nią. – Życie lub śmierć.

A potem został tylko tłący się popiół.

– Nie podchodź tam! Uważaj!

Fąfel, skomląc, podczołgał się do niej i trącił ją nosem, gdy klęczała z dłonią przyciśniętą do rany.

– Sól, potrzebna sól. Myśli mi się rwą. Pewnie jestem w szoku. Muszę się podnieść, koniecznie muszę wstać. Nie wolno mi zemdleć. Trzeba zamknąć ranę. Nie mogę myśleć.

Usłyszała tętent kopyt. Spróbowała dźwignąć się z ziemi.

Broń się, zadźwięczało jej w głowie.

Zobaczyła Keegana pędzącego na Merlinie na oklep.

– Sól – powtórzyła i z powrotem opadła na kolana.

Keegan w biegu zeskoczył z konia i ukucnął przy niej.

– Sól. Posyp popiół solą.

– Ty krwawisz. Bogowie, to głęboka rana. Nie ruszaj się, pozwól, że z grubszą ją opatrzę.

– Myślałam... Jezu, ale piecze!

– Wiem, wiem. Muszę zatamować krwawienie. Resztę zostawimy Aisling. Siedź spokojnie, bohaterko, daj mi zająć się raną.

Zamknęła oczy.

– Myślałam, że to fantom nasłany przez ciebie – mówiła, zaciskając zęby – że to taki podstęp w ramach treningu. Byłam wściekła. Już dość, skończ, bo to boli bardziej niż rana.

– Już prawie skończyłem.

– Koniecznie zasypmy popiół solą. Ktoś może w to wejść. Jakies dziecko...

– Zajmiemy się tym. Oho, jest już Harken.

– Skąd wiedzieliście? Skąd wiedzieliście, że was potrzebuję?

– Ten cholerny skurwiel tak wrzeszczał, że mógłby zbudzić umarłego. Zobacz, Marg i Sedric nadejżdżają razem na Igraine. Harken! Leć po sól do zasypiania tego cuchnącego popiołu. Musimy go stąd zabrać i zakopać w Jaskiniach Goryczy.

– Najpierw muszę obejrzeć Breen.

Tak jak wcześniej Keegan, zeskoczył z konia i delikatnie obejrzał zranione ramię.

– I jak? – Keegan spojrzął na niego z niepokojem.

Harken kiwnął głową.

– Dobrze sobie poradziłeś, a teraz się odsuń, zrób miejsce dla Marg.

– *Mo stor, mo stor.* – Marg uklękła przy Breen.

– Nic się nie stało. – Jest lepiej, pomyślała, bo już nie piecze. Ale ramię pulsowało.

– Osobiście wyślę go za to do piekła. To robota Odrana?
– Niezupełnie.
– Zatomowałam krwawienie, ale tu potrzeba czegoś więcej.
– Tak, tak, to bardzo dobrze, a resztą zajmijmy się z Aisling.
– Sól, Harkenie, i daj Aisling znać, że jej potrzebujemy.
– Podniosę cię. Nie, skarbie, nie próbuj sama wstawać. – Sedric podniósł ją i trzymał w ramionach. – Zostanę i popilnuję, żeby nikt tu się nie zbliżał do czasu, aż przyniesiecie sól. Pocałował Breen, po czym posadził ją na ogiera przed Keeganem.
– Jesteś teraz w dobrych rękach. Wszystko będzie dobrze.
– Fąfel.
– Będziemy tuż za wami – obiecała Marg i wsiadła na Igraine.
– Trzymam cię. – Keegan ruszył z kopyta, a Breen żołądek podszedł do gardła.
– Myślałam, że ty nasłałeś tę zjawę.
– Już mówiłaś, świetny pomysł, co?
– Potem już wiedziałam. Ona zamierzała zabić Fąfla, żeby mnie zranić.
– Zapewne, przeliczyłyby się. To wyjątkowy pies.
Głowa Breen opadła mu na pierś.
– Ona mówiła, że Odran patrzy przez jej oczy, przemawia przez jej usta. Rzeczywiście tak było.
– Silna magia, skoro coś takiego stało się możliwe, i do tego to cięcie mieczem.
– Co się stało? Słyszałem... – Marco pogładził Breen po twarzy, kiedy Keegan zatrzymał konia. – Nie wiedziałem, gdzie jej szukać.
– Weź ją na ręce, bracie. Jest ranna, ale już nie krwawi. Zanieś ją do domu, a Marg i Aisling zajmą się resztą.
– Tak jest, jasne. Wszystko będzie dobrze, kochana. Marco jest przy tobie.
– Wnieś ją i ułóż na kanapie! – Aisling z drzwi chaty rzucała rozkazy. – I weź ode mnie dziecko. Wepchnęła kwilącego Kelly Marco w ramiona, wyjęła klamrę z kieszeni i spięła włosy w koński ogon.
– On marudzi, pochodź z nim, pohošťaj go. Jest głodny, ale będzie musiał trochę poczekać. No, to teraz zdejmijmy kurtkę, ściągniemy sweter i zobaczymy, jak to wygląda.
– Keegan, eliksir. W niebieskiej butelce, tej pękatej z żółtym korkiem. Siedem kropli na dwa palce whiskey.
– Nie lubię whiskey.
– Lubisz czy nie, wypijesz. No, jest Marg. Słuchaj, rozcieńcz eliksir, bo Keegan jeszcze coś spieprzy.
– Niczego nie spieprzę.
– Przytrzymaj jej rękę, jeżeli chcesz do czegoś się przydać. Marco, rzuć okiem na chłopców i przypomnij im, że dla własnego dobra mają zostać na podwórku.
– Chciałabym umieć tak rządzić jak ty. – Breen posłała jej słaby uśmiech i zamknęła oczy – Generał Hannigan.
Podniosła drugą rękę Breen.
– Trzeba sobie radzić, gdy jest się otoczonym przez samych mężczyzn. Keegan, przynieś świecę.
– To jak, mam ją trzymać za rękę czy iść po świecę?
– Jedno i drugie! Breen, patrz na świecę, na płomień. Wpatruj się w światło. Może trochę boleć.
– Już boli.
– Będzie bardziej. Patrz na świecę. Wpatruj się w światło. Zobacz je, poczuj. Wejdz w ciepło światła, ono łagodzi, leczy.
Czuła ból, ale jakby przez sen. Do głosu Aisling dołączył głos babci, oba kojące jak płomień świecy. Powoli, łagodnie zaczęła odpyływać.
Raz, drugi i trzeci wstrzymała oddech, gdy ból na moment się nasilił.
– Wypij to, dziewczyno. Wypij do ostatniej kropli.
– Pali w mnie gardle. Elikvir jest gorzki.
– Ano jest – zgodziła się z nią Aisling i wierzchem zakrwawionej dłoni odgarnęła włosy z czoła. – Jednak działa. A teraz chwilę poleż.
Spojrzała na twarz Aisling, przeniosła spojrzenie na Marg. Obie były spocone z wysiłku.
– To, co robiłyście, bolało. Ale wy też cierpiałyście, biorąc na siebie mój ból.
– Uzdrawianie jest darem – powiedziała różnym tonem Aisling, prostując się. – Za to ma swoją

cenę. Cenę, którą płaci się dobrowolnie.

– Muszę zająć się moim koniem – oznajmił Keegan i wyszedł.

– Jest wkurzony – zauważyła Aisling.

– Wiem, że jest zły na mnie, ale...

– Nie na ciebie. – Aisling pacnęła ją w głowę, tak jak czasem karciała którego z synków. – Nie bądź niemądra. Och, Kelly. Marco, podaj mi go.

Rozchyliła koszulę i przystawiła głodnego malca do piersi.

– Kiedy nieco odpoczniesz, a Keeganowi przejdzie złość, wszyscy się napijemy czegoś, już bez goryczy, a ty opowiesz, co tam, do diabła, się wydarzyło.

Rozdział 15

Morena przyleciała na farmę akurat w chwili, gdy Marco wyszedł na podwórko rzucić okiem na chłopców. Uspokojona, że Breen jest w dobrych rękach, poleciała pomóc Harkenowi załatwić sprawę popiołu.

Finola i Seamus też przybiegli. Wyglądało na to, że połowa mieszkańców doliny, a kto wie, czy nie więcej, była gotowa bronić kogoś czy czegoś, jeśli zajdzie konieczność.

Breen siedziała przy dużym stole otoczona bliskimi. Rana została zagojona, nawet nie było blizny, jednak Aisling ją uprzedziła, że dzień lub dwa może czuć pulsowanie w tym miejscu.

Większość z nich popijała whiskey albo herbatę z solidną porcją whiskey. Ona z radością przyjęła kieliszek wina i sącząc je powoli, zdawała im relację.

– Odważnie z jego strony – skomentował Sedric. – Odważnie, ale bez wyobraźni.

– On jest odważny, a wyobraźni rzeczywiście mu brak. Od tych, co dla niego szpiegują, wiedział o zjawach na treningach – dodała Marg. – Dlatego wysłał swoją. Chciał być przebiegły. To cynik.

– I taki będzie z tobą się targował – prychnęła Morena. – Zrób to, a ja zrobię to czy owo. Gdyby mógł sam sobie pomóc, już dawno by to zrobił.

– Chciał mnie przestraszyć i skrzywdzić. I to mu się udało. On chyba naprawdę wierzy, że sobie mnie zjedna, jeżeli nie groźbami, to obietnicami.

– Wielu dało się skusić.

Breen spojrzała na Keegana.

– Mógł mnie zabić... chyba... ale on nie chce mnie martwej. Do czasu, kiedy weźmie to, czego ode mnie chce. Nie mógł mnie porwać czy coś w tym rodzaju. Nie przez zjawę. Wiem, że nie walczyłam mieczem tak dobrze, jak powinnam, bo chyba nie do końca wierzyłam, że jej miecz mnie dosięgnie.

– Każdą broń należy w walce traktować z szacunkiem.

– Tak, ja już się tego nauczyłam. On nie. Jest na to zbyt pewny siebie. Kiedy byłam nauczycielką, miewałam takich uczniów. Trudno wymagać, aby ktoś uczył się na błędach czy przejmował się słabymi ocenami, jeśli wcześniej nie zapłacił wysokiej ceny za brak przygotowania do lekcji.

– Aroganckie szczeniaki – podsumował Marco. – Ale on nie jest smarkaczem.

– A jednak odkąd istnieje, zawsze sięga po to samo i za każdym razem przegrywa.

– Definicja obłądu. – Marco wzruszył ramionami. – Już wcześniej mówiłem, że to psychol.

– Nigdy dotąd jego celem nie był ktoś tak cenny jak ty. – Keegan, siedząc u szczytu stołu, obracał w dłoniach kubek z whiskey. – Jesteś dla nas kluczem, a więc również dla niego, i on to wie. Dokonał wyboru, co prawda fałszywego, niemniej wybrał. I dzisiaj przelał twoją krew, żeby ci pokazać, ile możesz zapłacić, jeżeli nie zgodzisz się na jego propozycję.

– On jest zakłamanym – odezwał się cicho Harken. – Ta propozycja to kolejne łgarstwo.

– Nie jestem wojownikiem – odezwał się Seamus, wiodąc spojrzeniem po ich twarzach. Włosy sterczały mu we wszystkie strony, bo zanim usiadł przy stole, zdjął roboczą czapkę. – Nie myślę strategicznie jak większość z was. Ale zastanawia mnie jedna rzecz. Dlaczego Odran posłużył się mrocznym Sidhe, bo tak mówiłaś, Breen, skarbie? Czemu nie stworzył iluzji samego siebie? Czy taka zjawia nie byłaby potężniejsza i nie budziłaby większego strachu?

– Dobre pytanie, nieprawdaż? – Mahon odwrócił się od okna, przez które obserwował bawiących się chłopców i psy.

– Ciekawe, czy ktoś z większą wiedzą w tej kwestii zna na nie odpowiedź.

– To nadal jest poza jego zasięgiem – wyjaśniła krótko Marg. – Jego i Yseult. Siedzi w swoim czarnym zamku i nie może tu się przedostać. I wydaje mi się – postawiłaś trafne pytanie, Seamusie – że ta zjawia nie była zwykłym upiorem.

– Nie kapuję. – Marco z rezygnacją zwiesił ramiona. – W ogóle niewiele rozumiem z tego wszystkiego. Breen już doszła do siebie, więc jeśli chcecie, mogę iść popilnować dzieciaków.

– Nic się nie dzieje. – Mahon ostatni raz zerknął przez okno i wrócił do stołu. – Bawią się z Mab, Fałsem i tym zwariowanym szczeniakiem. Liam ich pilnuje, to rozsądny młodzieniec. Możesz spokojnie zostać przy stole, Marco.

– To coś nasłane na Breen zostało zasypane solą i zakopane – przypomniała Morena. – Jestem z Sidhe i wystarczająco dużo o nich wiem, aby podejrzewać, że to, co zaatakowało Breen, miało dużą moc i – że tak powiem – skoncentrowaną. Breen to zniszczyła i w rezultacie zmiażdżyła moc. Czy w miarę dobrze to ujęłam?

– Owszem. – Keegan nadal bawił się kubkiem. – Odran nie ma takiej mocy, przynajmniej na

razie, żeby tu przejść. Zależało mu, aby przemycić broń, którą można uszkodzić ciało do krwi. I rzeczywiście to mu się udało. Zwykła zjawą nie jest w stanie tego zrobić.

– Teraz ja nic rozumiem, bo przecież mnie zraniła. – Breen przycisnęła dłoń do zagojonej rany.

– W takim razie bardziej przykładaj się do nauki.

Dotknął ją tymi słowami. Zanim zdążyła mu się zrewanżować, Harken stanął w jej obronie.

– Breen ćwicz od kilku miesięcy, nie od lat. To wymagało połączenia dwóch bytów – zastanawiał się na głos. – Przynajmniej ja tak to widzę. Ta Sidhe, z którą miałaś do czynienia, była prawdziwa, ale przeszła ze świata Odrana. Potrzebne jest silne zaklęcie, krwawe zaklęcie, aby utworzyć zjawę w takiej postaci, a to jest możliwe tylko wtedy, gdy Sidhe urodziła się tutaj. Wtedy ona staje się narzędziem, którym Odran się posługuje.

– A miecz? – zapytała Finola i żeby się uspokoić, położyła dłoń na dłoni Marg. Ta z kolei ją odwróciła i spłótła razem ich palce.

– Również musiał pochodzić stąd – orzekła. – Jakies inne zaklęcie dało mu moc ranienia. Nadal iluzja, ale taka, która może zabić. To była dla ciebie wiadomość, *mo stor*, i zarazem lekcja.

– Wiadomość odebrana, lekcja odrobiona – rzuciła Breen. – Fąfel przeskoczył przez zjawę, próbując mnie bronić. Jednak kiedy ruszyłam na nią z mieczem, zablokowała cios. Słyszałam uderzenie stali o stal. A gdy mnie skaleczyła, użyłam ognia i ją spaliłam. Jak... – Nagle ją olśniło. – W świecie Odrana ta Sidhe była z krwi i kości. Zabiłam ją. Spaliłam żywcem. Ja...

– W końcu zrobiłaś to, co powinnaś zrobić na samym początku – podsumował Keegan obojętnym tonem. – Użyć mocy i miecza przeciwko wrogowi, który posługiwał się i jednym, i drugim.

– Zależało mu na twojej krwi – stwierdził spokojnie Sedric. – Odran wiedział, że jeżeli użyjesz swojej mocy, zjawą, czyli jego narzędzie, spłonie. Dla niego czyjeś życie nie ma znaczenia.

– Chciał ci się przyjrzeć i ocenić twoje możliwości – dodał Keegan. – A oprócz tego przesłać wiadomość i dać ci lekcję. Nie zdobył twojej krwi, ponieważ zakrwawiony miecz spalił się z ręką, która go trzymała. Musi być rozczarowany.

– Moja krew. Już rozumiem. Potrzebował jej do zaklęcia, żeby chociaż trochę zwiększyć swoją moc. Był gotowy na wszystko, żeby to osiągnąć. I dobrze, niech mnie obserwuje, ocenia. To działa w obie strony. Ja też go widziałam.

– Zjawą mogła uderzyć w Fąfla, kiedy rzucił się na nią, a właściwie przez nią przeleciał. A nie zrobiła tego, ponieważ Fąfel ją zaskoczył. Była skupiona na mnie. To ja miałam stanąć przeciwko niej i walczyć na miecze, bo wiedziała, że jest w tym lepsza ode mnie. Chciała mojej krwi. Potrzebowała jej, pożądała.

– Mogę zadać jeszcze jedno pytanie? Skąd Odran wiedział, gdzie i kiedy w ciebie uderzyć? – odezwał się Seamus.

– Chętnie bym widział takich jak ty, zadających dobre pytania w Stolicy na Radzie.

Seamus się roześmiał.

– O nie, ani Stolica, ani Rada nie są dla mnie, a nawet i dla ciebie, chłopcze. Po prostu jestem z tych dociekliwych.

– Rutyna – wtrącił Marco. A gdy wszystkie oczy skierowały się na niego, wzruszył ramionami. – Właśnie tak policjanci prowadzą śledztwo. No wiecie, ona biega tą trasą każdego ranka, a on wyprowadza psa wokół tego bloku każdego wieczoru około siódmej. Złoczyńca znał ich rutynowe czynności. Breen zazwyczaj mniej więcej o tej porze wraca na farmę od babci, prawda?

– Tak jest – przyznał Keegan. – I codziennie mniej więcej o tym samym czasie przechodzi z tobą i psem na naszą stronę. I treningi – dodał – też mają stałe pory. Więc ta napaść nie wymagała większych przygotowań, wszystko podane jak na tacy. To wiele wyjaśnia. A my z kolei musimy sporo rzeczy zmienić. W niektóre dni najpierw będziemy trenować, inne zaczniesz od wizyty u babci. Koniec z rutyną.

– Złamiemy schemat. No dobrze, ale chyba wszyscy się zgodzimy, że dzisiejszy wyczyn Odrana wiele go kosztował. Chyba więcej do tego się nie posunie – powiedziała Breen.

– Zawsze znajdzie narzędzie, dobrowolnie czy nie – ostudziła jej optymizm Marg. – Lepiej zachować ostrożność.

– W takim razie jutro zaczynamy od treningu – zdecydował Keegan. – A potem odprowadzę ją do ciebie – zwrócił się do Marg i wstał od stołu. – Pójdziemy już na drugą stronę. Zapada zmrok i zanosi się na deszcz.

Oczywiście miał rację co do deszczu. Zerwał się wiatr i pierwsze krople spadły, gdy Breen wyszła na dwór.

Patrzyła, jak Aisling z Mahonem zaganiają dzieci do domu, a Liam zaczyna biec na dwóch

nogach i już po chwili pędzi na czterech.

Babcia zręcznie jak nastolatka wsiadła na swoją klaczkę, a Sedric zmienił się w kota i wskoczył na siodło za nią.

– Moreno, zajmiemy się kolacją, a tata pomoże Harkenowi przy dojeniu. Przed nami mokra noc. –

Finola zagarnęła Breen w objęcia. – Uważaj na siebie, kochanie – szepnęła jej do ucha.

– Obiecuję.

Z Marco i Keeganem po bokach szła w coraz większym deszczu, myśląc o tym, że wcześniej w takim samym deszczu przechodziła przez drzewo na tę stronę i w Talamh przywitało ją świeże powietrze. Chłodne i wilgotne, ale przynajmniej deszcz nie padał na głowę.

Szła w milczeniu, chociaż tyle słów cisnęło jej się na usta.

– Breen, skarbie, dobrze się czujesz? – Marco wziął ją za rękę.

– Tak – uspokoiła go, chociaż, jak uprzedziła Aisling, ramię trochę pulsowało.

– Wystraszyłem się.

– Ja też. Ale Sidhe spalił się na popiół, ona czy zjawa i narzędzie Odrana. Przestań się zmartwiać, bo dziś wieczorem świętujemy. – Rzuciła przed siebie wiązki światła. – Nie zaglądasz do kuchni, idziesz prosto na górę, bierzesz prysznic, przecież wiem, że marzysz o tym, odkąd przyjechałeś. Potem się rozpakujesz, bo nie lubisz pogniecionych rzeczy, i kiedy Brian wróci do domu, zjemy kolację, którą tym razem ja przygotowuję.

Kiedy wyszli z lasu, spojrzała na Fąfla, który jej nie odstępował, zamiast, jak miał w zwyczaju, natychmiast pobiec do zatoki.

– I ty też już przestań się martwić. Leć popływać. No już.

Odbiegł, ale jeszcze kilka razy się obejrzał, zanim wskoczył do wody.

– Coś dobrze pachnie – zaczął Marco zaraz po wejściu do chaty.

– Nie. – Zastąpiła mu drogę, krzyżując ramiona. – Trzymaj się z daleka od kuchni.

– Ja tylko...

– Nie ma mowy. Zasuważ na górę.

– Despotka. – Posłał niespokojne spojrzenie na kuchnię, ale posłusznie wszedł na schody.

– A ty napal w kominku – poleciała Keeganowi, zdejmując kurtkę, którą babcia oczyściła z krwi i zreperowała. – Później mi wytłumaczysz, dlaczego uznałeś za stosowne na mnie naskoczyć.

Wmaszerowała do kuchni. Keegan machnięciem nadgarstka zapalił ogień i poszedł za nią.

– Co znaczy „naskoczyłem”?

– Że w końcu zrobiłam to, co powinnam już na samym początku. Przecież się starałam. – Sięgnęła po garnek, z impetem postawiła go w zlewku i nalała wody do ugotowania makaronu.

– Nieprawda i dlatego cię poharatał. – Niezbyt delikatnie przejechał palcem po jej ręce od łokcia prawie do ramienia.

– Walczyłam, spaliłam kogoś żywcem. Co jeszcze, do diabła, miałam zrobić?

– Bronić się za wszelką cenę. – Wziął otwartą butelkę wina – tego, którego użyła do sosu – i nalał do kieliszka po sam brzeg, a dla siebie sięgnął po piwo.

– Powiedz, jak to możliwe, że z bitwy, gdzie walczący po obu stronach padali jak muchy, ty wyszłaś zaledwie z zadrapaniem. Dzisiaj miałaś tylko jednego przeciwnika i twoja krew wsiąkała w ziemię.

– On był bogiem, do pioruna! – Chwyciła kieliszek i duszkiem wypijała wino.

– Ty też.

– To nie to samo i dobrze o tym wiesz! We mnie wszystko jest wymieszane.

– Bałaś się go.

– Masz rację, bałam się.

– To nie powód do wstydu. Ale zamiast działać, skupiłaś się na strachu, obawach, wątpliwościach.

– Działałam.

– Nie wykorzystałaś tego, co jest w tobie. Twojego najgroźniejszego oręża. Co mi powiedziałaś, kiedy trafiałaś z łuku w sam środek tarczy?

– A co ty mi wtedy powiedziałaś? – odwarknęła.

– Przyznaję, myliłem się. I uważam, że wina, przynajmniej jej część za to, co dzisiaj się stało, spada na mnie.

Zbił ją z tropu.

– Niby jak?

– Odpowiadam za twoje szkolenie, a jednak znalazłem cię krwawiącą na ziemi. To, co wysłali, nie powinno było cię skrzywdzić, nie w ten sposób, a jednak... Czyli słabo wykonuję swoje zadanie.

– Bzdura. – Chciała wyjąć garnek ze zlewu, ale on przesunął ją na bok i sam go podniósł.

– Co z nim zrobić?

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Zgadnij.

Wzruszył ramionami i postawił go na kuchence. Ona, tak jak zawsze robił Marco, dodała sól i włączyła palnik.

Przycisnęła palce do powiek i wysączyła resztkę wina.

– Gdybyś intensywniej mnie trenował, każdy dzień kończyłabym posiniaczona od stóp do głów. Nie, to nie tak. Kończyłam cała poobijana. Teraz dzięki tym treningom udaje mi się unikać urazów. Naprawdę jest lepiej, Keeganie. I powiem ci, że zgłębiam magię tak samo intensywnie jak trenuję.

– Zapewne nie jest ci łatwo.

– Zapewne? – Westchnęła kolejny raz i zamieszała sos. Pachniał cholernie apetycznie. – Za mało wiem o czarnej magii, będę musiała poświęcić więcej czasu na poznanie jej tajników.

– Przykro mi, że tak powiedziałem. Byłem wkurzony na to, co się stało.

Obeszła go, żeby sięgnąć po ser do farszu.

– Powiem ci, że po części miałaś rację.

Wysączył powoli długi łyk piwa.

– Nie, nieprawda.

– Byłam myślami przy Marco i Brianie, dzień zapowiadał się cudownie. Nie mogę cały czas żyć w napięciu. Nikt nie może. Nawet ty. Ale... – Odwróciła się do niego. – Za długo się zastanawiałam. Kiedy zobaczyłam tamte oczy, usłyszałam głos... zawahałam się, a powinnam natychmiast zareagować. Pomyślałam: zjawa. Przecież to coś tak naprawdę nic nie może mi zrobić.

– Mówiłaś, że załoniłaś sobą psa. A więc jednak zareagowałaś.

– Tak, odruchowo. Instynkt i szok skłoniły mnie do użycia mocy, dopiero gdy zostałam ranna. Nie zwiódły mnie kłamstwa, choć iluzja tak. No cóż, to była cholernie sprytna sztuczka. Dałam się nabrać.

– Odran wymyśli inne fortele, będzie szukał nowych sposobów.

– Ja go widziałam. Widziałam i wyczuwałam pewien rodzaj desperacji, a także dumę, chciwość i pragnienie. On nie wie, co ja widzę. Tak jak mówiłaś, on traktuje mnie jako nagrodę, klucz do władzy, której tak pragnie. Jednak nie widzi mnie na tyle, żeby poznać moje słabości. Tak jak Fafel.

Czuła, że pies czeka za drzwiami, więc otworzyła je machnięciem dłoni.

– Wytrzymaj go, proszę. On wie, że go kocham, ale nie rozumie miłości – ciągnęła dalej. – Według niego to słabość, którą może wykorzystywać.

Keegan wysuszył psa i napełnił jego miski.

Breen wrzuciła płaty lasagne do wrzątku.

– Ale to nie tylko słabość – dodała. – To także siła, powód. Jeżeli dzisiaj popełniłam błąd, no cóż, jestem również człowiekiem. I musisz się z tym pogodzić.

– Ten ludzki pierwiastek w tobie czyni cię tym, kim jesteś. To nie wada, ale zaleta. Twoja moc. Kolejny dar.

Stanął za nią i położył dłonie na jej ramionach.

– Breen, miałem ręce w twojej krwi. Może za dużo o tym myślałem.

– Mogłabym powiedzieć, że wszystko dobre, co się dobrze kończy, ale to jeszcze nie koniec.

– Na dziś tak. – Obrócił ją ku sobie. – Odpocznij chwilę, napij się wina, powiedz, jak ci pomóc w tym, co właściwie teraz robisz.

– Wiesz, jak zrobić lasagne?

– Nie, ale chętnie jem.

– No to witaj w klubie. Pomieszać wodę, żeby płaty makaronu się nie posklejały. – Kiedy pokręcił palcem nad garnkiem, przewróciła oczami. – No nie tak. A właściwie czemu by nie? Możesz zrobić sałatkę.

– Mogę już teraz?

– Będę ci dyktować. Akurat sałatkę umiem normalnie zrobić. Ta kolacja musi się udać. – Poszła po cedzak i naczynie żaroodporne. – A potem bezterminowo oddaję kuchnię we władanie Marco.

Kiedy Marco zszedł na dół, miała wszystko dopięte na ostatni guzik.

– Nie wchodzi. – Wycelowwała w niego palec.

– Chce tylko wypić kieliszek wina w oczekiwaniu na wystawną kolację.
– Keegan ci poda. Trzymaj się z daleka od kuchni.
– Pachnie wybornie. – Nadal kręcił się po jadalni. – Brian wrócił! – zawołał rozpromieniony, zanim Breen zdążyła na niego fuknąć.

Patrzyła, jak świeżo zaręczona para wita się gorącym pocałunkiem.

– Breen gotuje.

– Widzę. – Brian z uśmiechem zbliżył się do niej. – Widzę. Na pewno dobrze się czujesz?

– Myślisz, że jest ze mną źle, bo gotuję?

– Nie w tym rzecz. Wieść o ataku Odrana szeroko się rozeszła. Rana się zagoiła?

– Tak, dziękuję.

– Słyszeliśmy, jak pomstuje. Aż dziw, że jego wrzaski nie dotarły na Daleką Północ. Nie mogłem opuścić mojej pozycji, ale wysłałem Duncana. Wrócił z relacją o tym, że ranna spaliłaś zjawę na popiół i pokonałaś boga, a on jak niepyszny wrócił do siebie, i jeszcze mu zagroziłaś, że przy następnym spotkaniu jego też obrócisz w pył.

– To niedokładnie tak...

– Mara napisała *Balladę o Breen i Zjawie*.

Nie miała pewności, czy ten odgłos, który Keegan wydał z siebie, nie był przypadkiem ironicznym prychnięciem.

– Ja w sumie nie zrobiłam...

– Ależ zrobiłaś. – Keegan nalał wszystkim wina. – Albo byłaś blisko. A Fey potrzebują ballad i opowieści. W takim razie wznoszę toast za Breen Siobhan, za jej zwycięstwo w walce i, miejmy nadzieję, w kuchni.

– Ha! – Breen, w myślach trzymając kciuki za swoje dzieło, wyjęła lasagne z piekarnika.

– Wygląda....

– Idealnie – dokończył Marco z podziwem.

– Gdyby kiepsko wyglądały, miałam w planie kolację przy świecach. – Wzięła do ręki długi nóż.

– Nie – powstrzymał ją Marco. – Musi chwilę odstać, bo inaczej się rozleci.

– Och! No tak. Zapomniałam. W takim razie poczekajmy i zacznijmy od sałatki.

– Ja ją zrobiłem. I oczekuję wyrazów uznania. – Keegan wniósł miskę z sałatką na stół. – Siadajmy. Wzniesiemy toast. Za przyjaźń, za mężczyzn, którzy cieszą się moim szacunkiem i przyjaźnią. Niech otacza was radość, zadowolenie zawsze będzie z wami, a bogowie niech obdarzą was łaskami teraz i w przyszłości.

– I znowu mam mokre oczy. Ten toast, ta kolacja, a przede wszystkim otoczenie przyjaciół tak wiele znaczą. – Marco uniósł kieliszek. – Na zdrowie.

Breen nie obawiała się o sałatkę, bo to nie było prawdziwe gotowanie, ale wstrzymała oddech, gdy Marco skosztował chleb.

– Dziewczyno, gdzie ty się ukrywałaś? – Popatrzył na nią, mrużąc oczy.

– Udał się. – Wreszcie sama odważyła się odgryźć kęs. – Wyszedł! Dlaczego musiał rosnąć aż trzy razy? Nie wystarczyłoby raz?

– Chemia. To naprawdę słodkie, że zrobiliście to wszystko dla mnie i Briana.

– Nie co dzień mój najlepszy przyjaciel i kuzyn deklarują sobie miłość.

Breen czekał teraz najtrudniejszy test. Wstała od stołu i wniosła lasagne.

– Brianie, a jak twoja rodzina – zagadnął go Keegan. – Cieszą się twoim szczęściem?

– Ach, są bardzo szczęśliwi. Zakochali się w Marco tak jak ja.

– Z wzajemnością. Rany, a te historie, które jego mama mi opowiadała.

– No nie, znowu zaczynasz.

– Już milczę.

Roześmiani, wbili widelce w lasagne.

– Naprawdę dobre, Breen. Poważnie.

Zadowolona, przyjęła ten komplement skinieniem głową.

– Nie dorasta do twojego poziomu. Ale nieźle. Niespalone i nie muszę wyciągać pizzy z zamrażalnika.

– Według mnie Marco uprawia w kuchni własną magię. – Keegan nałożył sobie kolejną porcję. – Ale gdybym wcześniej nie poznał jego lasagne, powiedziałbym, że ta wersja jest najlepsza, jaką kiedykolwiek jadłem.

– Sprawiał mi radość tym komplementem.

– Jedzenie jest dowodem miłości. – Brian uniósł kieliszek. – Rozkoszuję się każdym przyrządzonym przez ciebie daniem.

– Teraz to już naprawdę się rozpłaczę.

Rozdział 16

Trenowała, uczyła się i ćwiczyła przez cały zimny i deszczowy luty. Keegan, zgodnie z danym słowem, zmienił jej rozkład dnia, ale pozostał nieugięty.

W lesie staczała walki ze zjawami, tonąc w błocie klejącym się do butów. Strzelała z łuku z grzbietu smoka, konno walczyła na miecze i pokonywała całe kilometry w pełnym rynsztunku; z kołczanem, łukiem i mieczem.

Któregoś razu Keegan zabrał ją pod skaliste wzgórze na północy doliny.

– Wchodź. – Wskazał szczyt.

– Mam się wdrapać na tę cholerną górę? Nie wiem, jak się wspinać po skałach. Nie mam uprząży.

– Tam u góry przyczaili się wrogowie. Trzymają zakładników, małe dzieci – wyjaśnił, a ona prze-wróciła oczami. – Będziesz tu stać i zostawisz te dzieci ich własnemu losowi? Jeżeli nie dostaniesz się na górę i nie rozprawisz się z wrogami, one zostaną złożone w ofierze.

– Co za bezsens! Dlaczego nie mogę przywołać smoka, polecieć tam i z góry zgotować im piekło?

– Ponieważ nie taki jest cel tego szkolenia. Masz sama dotrzeć na szczyt, używając tego, co masz.

– A jeśli spadnę i się roztrzaskam?

Wzruszył ramionami.

– To nie spadaj.

– Nie spadaj – mruknęła. – No jasne. Dlaczego sama na to nie wpadłam.

Zaczęła szukać oparcia dla rąk, a potem dla stóp. Przez kwadrans, już z otartymi palcami, wspięła się nie więcej niż na metr.

– Zanim tam dotrzesz, zdążą upiec i zjeść te dzieci. A kwilące niemowlęta zostawią na deser.

– Och, zamknij się!

Wspinała się mężnie. Gdy stopa osunęła jej ze skalnego występu, pisnęła z przerażenia.

– Już cię namierzyl. Zaraz posypie się grad strzał i przylecą Elfy z mieczami, żeby odrąbać ci ręce.

Na chwilę przycisnęła policzek do zimnej skały i głęboko oddychała. Potem, zaciskając zęby, pokonała kolejny metr. Pot spływał jej po plecach, po twarzy i zalewał oczy. Dłonie też zwilgotniały. Syknęła z bólu, gdy krew pojawiła się na otartych palcach.

Nie powinna się zgodzić, myślała. Nie mógł jej zmusić. A jednak jak zwykle się podporządkowała. A teraz utknęła na zboczu cholernego wzgórza. Gdy spojrzała w dół, jak jaszczurka przyłgnęła do skał z sercem dudniącym w uszach w jakimś obłądnym rytmie.

Jeżeli spadnie, może się nie roztrzaska, bo nie jest znowu aż tak wysoko, ale na pewno coś sobie złamie.

Zapewne kark.

– Może te dzieci są rozwydrzone, a niemowlęta paskudne. Może one są jak tamten smarkacz, którego miałam kiedyś w klasie. Trevor Kuhn. Cholerny mały...

Kawałek skały, którego się chwyciła, odpadł od ściany, a ona razem z nim.

Spadała, czując panikę i opór powietrza. I wtedy zawisła, bo schwyciła się powietrza jak wcześniej skał.

– No, właśnie tak.

Ku jej zdumieniu po chwili Keegan wzniósł się na jej wysokość.

– Ty... też to potrafisz?

– Cały czas ćwiczę.

– Dlaczego nie powiedziałeś, że tak możemy to zrobić?

– Powiedziałem: wejdź na szczyt przy wykorzystaniu tego, co masz – przypomniał jej. – Wybrałaś trudniejszy sposób i może takie ćwiczenie wyjdzie ci na dobre. Niemniej, kiedy się ześliznęłaś, przypomniałaś sobie, czym dysponujesz.

– Palce mi krwawią, dwukrotnie stłukłam sobie łokieć.

– Wszystko się zagoi. Zawisłaś i narzekasz, a tam dzieci wołają o pomoc.

Spojrzała w górę.

– Naprawdę jeszcze kawał drogi. Nigdy aż tak wysoko się nie wzniosłam.

– Ja też nie, ale spróbujmy razem.

Wyciągnął ręce i pochwycił jej dłonie.

– To naprawdę kosztuje sporo energii.

– Rzeczywiście, ale będzie lżej, gdy wciągnąwszy powietrze, poprosisz, żeby cię unosiło.

Wznosili się razem, mijając po drodze muflony z ręcznie lawirujące na skalnych półkach, gniazda jastrzębi i orłów. Breen zobaczyła ciasną niszę i zastanawiała się, czyje to mogło być legowisko, i poczuła dziwny dreszczyk emocji, gdy przenikali przez cienkie chmury. Wreszcie opuścili się na płasko ścięty szczyt. Ilość kozich odchodów wskazywała, że muflony bywały tu częstymi gośćmi.

– Jak wysoko jesteśmy? – chciała wiedzieć Breen. – Z piętnaście metrów nad ziemią?

– Prawie dwadzieścia jeden. Myślę, że nieźle jak na pierwszy raz.

– Nie czuję się tak osłabiona jak po tamtej historii przy wodospadzie. Być może wtedy przyczyniły się okoliczności.

Zobaczyłam coś... w wodzie, w rzece. Coś, czego nie mogłam osiągnąć, a teraz z kolei odnaleźć w pamięci.

Odsunęła tę myśl.

– A jednak się zmęczyłam. Spokojnie mogłabym tu się zdrzemnąć, mimo tych pięknych widoków.

– Bądź czujna. Broń się – ostrzegł ją.

Później uderzyła ją myśl, że jest jak pies Pawłowa. Keegan powiedział „broń się” i natychmiast wyciągnęła miecz. I doszła do wniosku, że właśnie o to chodziło.

W tej chwili nie miała czasu myśleć o czymkolwiek skupiona na walce ze zjawami. Ciemnymi elfami, hybrydą pod postacią pumy, dwoma demonicznymi psami i wiedźmą miotającą ogniem.

Zaskoczyło ją, że ona i Keegan walczą ustawieni do siebie plecami.

– Dotarliśmy tu razem – oznajmił – i razem walczymy. W czasie bitwy wiesz, z kim walczysz ramię w ramię i przeciwko komu. Unik! – warknął, błyskawicznie się wybił, przeokołkował nad jej głową i lądując na nogach, jednym cięciem powalił dwie ostatnie zjawy.

– No, załatwione.

W odpowiedzi wyciągnęła się na skałach i zamknęła oczy.

– Leżysz na kozich odchodach.

– Mam to w nosie. Wszystko mnie boli. Palce pieką, płuca płoną. Powiedziałeś, że załatwione, a więc biedne niewinne dzieci i słodkie bobaski zostały ocalone. Zamierzam tu poleżeć kilka minut.

Przykucnął przy niej.

– A co, jeżeli pozostali wrogowie kryją się za tamtymi skałami?

– Zajmiesz się nimi. A teraz mi powiedz, jak sprowadzimy te zmyślane dzieci z góry.

– To bardziej wzgórze niż góra. Zawołamy smoki i one odtransportują je bezpiecznie do domów.

– Dobrze. Wyobraź sobie, że tym ja się zajmę, a ty niedobitkami.

Otworzyła oczy, popatrzyła na niego. Wydawał się trochę zaspany, a może to było tylko jej pobożne życzenie.

– Powiedz, że na dzisiaj trening skończony.

– Hmm, musimy jeszcze znaleźć się na dole, wrócić konno w dolinę. I wtedy będzie koniec.

– Alleluja. Chcę wziąć najdłuższy prysznic w życiu, wypić galon wina i pochłonąć ten stek, który Marco zabejcował.

– No to wstawaj. – Nachylił się, podał jej rękę i pomógł jej się podnieść. – Dobrze sobie radziłaś. Jest poprawa. Niewielka, jeśli chodzi o walkę mieczem, ale ogólnie jest lepiej.

– Staram się mniej myśleć, a więcej działać. Nigdy nie będę wojowniczką.

– Wojownik ćwiczy. Wojownik walczy, ryzykuje życie, broniąc i chroniąc innych. Robisz to i będziesz robić. Jeżeli chcesz, możesz nosić warkocz wojownika.

Wpatrywała się w niego oszołomiona i podniecona. Zaskoczył ją. Poczowała dreszcz podniecenia i pozwoliła mu przebiec po ciele, po czym odwróciła się i popatrzyła na rozciągający się pod nimi Talamh. Na wzniesienia i doliny, na brązy, zielenie, złoto i błękity.

Breen Siobhan Kelly, pomyślała. Wojowniczką ludu Fey.

– Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek coś takiego od ciebie usłyszę.

– Kiedy zaczynaliśmy, nie sądziłem, że kiedykolwiek wyjdę z taką propozycją. Jednak trenujesz z godnym podziwu uporem przez te wszystkie miesiące. Gdy ponosisz porażkę, próbujesz od nowa. Narzekasz, co oczywiste, ale nie rezygnujesz. Walczyłaś, krwawiłaś, a jednak chwyciłaś za miecz. Czy nie tak właśnie postępuje wojownik?

– Zaskoczyłeś mnie i jestem... zaszczyczona. Ale nie, nie chcę nosić warkocza. Potem, jak będzie po wszystkim, mam nadzieję, że powieszę ten miecz na jakimś honorowym miejscu. A wojownik tak nie postępuje.

– Twój wybór.

– Jesteś rozczarowany.

– Nie, nie, zapewniam cię, że nie. Chodź. – Ujął jej dłonie, pocałunkami zagoił palce. – Zejdziemy tak, jak weszliśmy.

– Mówiłeś, że się wprawiasz. – Bez obaw podeszła do krawędzi i zeszła z niej razem z nim. – A wcześniej nie lewitowałeś.

– Mogłem się unieść kilka centymetrów. Jednak zastanowiły mnie twoje słowa. We mnie też płynie krew wszystkich Fey. Wezwałem więc Sidhe i Widzących, bo oni we mnie dominują.

Zlatywali przez chmury, utrzymywani przez powietrze.

– Z początku odrywałem się od ziemi zaledwie kilka centymetrów i przyznam, że to było wyczerpujące. Później więcej i już tak się nie męczyłem. Podoba mi się ta umiejętność i pewnie nigdy nie wpadłbym na to, że mogę ją rozwijać, gdyby nie twoje słowa.

– Mnie też podoba się lewitowanie – przyznała, gdy wreszcie dotknęli stopami ziemi. – Ale wolę latać na smoku albo chodzić po ziemi. Podejrzewam, że zaczniesz wykorzystywać możliwości pochodzące od innych plemion.

– No cóż. – Spojrzał na las na zachodzie i puścił się biegiem.

Po paru sekundach zniknął jej z oczu między drzewami i moment później już był z powrotem przy niej.

Roześmiała się zaskoczona.

– Szybko!

– Nie jest to jeszcze elfia łączość, ale biegam już dwa razy szybciej. Ty też jesteś szybka, ale nie aż tak – dodał, kiedy szli do koni. – Szybka i wytrzymała. Dzięki temu skakaniu w kółko co rano i temu, co dostałaś od losu.

– Masz na myśli trening cardio i nie nazwałabym tego skakaniem w kółko.

– Ciekawie wyglądasz, jak to robisz w tym obcisłym skąpym stroju. Niemniej to bardzo pożyteczne ćwiczenia.

Rozbawiona wsiadła na konia.

– A możesz stać się drzewem... albo, co chyba jeszcze trudniejsze, wtopić się w nie?

– Nie próbowałem. Ale umiem się w nie wczuć, podobnie jak w kamień czy ziemię. Wcześniej tego nie potrafiłem albo zwyczajnie nigdy o tym nie pomyślałem.

– Jesteś hybrydem?

– Nie, to moja jedyna postać.

– Udana.

Uśmiechnął się rozbawiony.

– Jestem zjednoczony ze smokiem, tak samo jak ty. A teraz widzę, że ćwicząc i wkładając w to odpowiedni wysiłek, mogę przyzywać inne smoki, nie tylko Crogę. Z nim jest inaczej.

– Z Crogą to intymny związek serc i umysłów.

– To prawda. Mogę przywoływać smoki, które nie są z nikim związane, i one przylecą. Podejrzewam, że mam w sobie domieszkę krwi hybrydów. Nie mogę przybierać jak oni różnych postaci, choć w pewnym sensie zaliczam się do nich. Jestem ci wdzięczny, że podsunęłaś mi tę myśl.

– Chciałbym zobaczyć, jak wzywasz smoki.

– Pokażę ci, jak znajdziemy na to czas.

– Bardzo chętnie. Zostaje jeszcze Troll i Tryton.

– Co do Trytona, lepiej się wstrzymać ze sprawdzaniem, aż woda będzie cieplejsza. Poza tym wolę zachować nogi. A jeśli chodzi o krew Trolli, z niej chyba pochodzi siła. Jeżeli się skupię, mogę dźwigać i przenosić spore ciężary. Na dodatek... – Zerknął na nią, gdy wyjeżdżali z lasu na drogę. – Mówi się, że Trolle są niezmordowanymi kochankami. Tak szybko odzyskują siły, że nawet nie dostrzegają przerwy pomiędzy kolejnymi razami.

– Naprawdę?

– Krążą takie legendy i sprośne przyśpiewki. Ale może to tylko przechwałki. Myślę, że należałoby to wkrótce sprawdzić.

– Słusznie. A ja jako osoba lojalna wobec Fey powinnam cię wesprzeć.

– Będę wdzięczny. Wolałbym jednak, żebyś najpierw się wykąpała, *mo bandia*, bo zalatuje od ciebie kożą.

Powąchała się, skrzywiła, parsknęła śmiechem i puściła konia galopem.

Jeżeli liczyła, że szybka jazda na farmę usunie częściowo zapach, Morena pozbawiła ją złudzeń.

– Cuchniesz jak ten pasterz kóz, Finnegan, który przeważnie nie pamięta, że należy się umyć.

– Wejdę pod prysznic jak najszybciej. Gdzie Fąfel? Pewnie z Marco, bo zostawiłam ich razem.
– I razem przed chwilą poszli na drugą stronę. Chodziło o jakieś ziemniaki, a Keegan uprzedził, że wróciście dzisiaj później, bo mieliście trenować poza doliną.

Morena wyjęła z kieszeni hak do usuwania kamieni z kopyt i zaczęła czyścić kopyto Boya, gdy Breen zdejmowała mu siodło.

– Kazał mi ratować wymyślone dzieci z rąk wrogów, którzy mieli je upiec i zjeść.

– Wątpię, czy tym przeklętym łotrom chciałoby się je piec.

Kiedy czyściła konia, Breen opisała jej przebieg treningu.

– Rzeczywiście musiałaś być wykończona, skoro położyłaś się na kozim łajnie. Niesamowite, że oboje unieśliście się w powietrze. Umiesz tylko lewitować pionowo? A możesz przenosić się do przodu i do tyłu?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Unoszenie się w górę kosztuje dużo wysiłku. Z jakiegoś powodu powrót jest łatwiejszy.

– Mnie się wydaje, że mogłabyś, i to byłoby prawie jak fruwanie. Kiedy byliśmy małe, zazdrościłaś mi skrzydeł. – Morena energicznymi ruchami czyściła konia zgrzebłem. – Mogłam cię unieść ciut nad ziemię i bardzo to lubiłaś. Mama zrobiła ci takie dopinane skrzydła z drutu i...

– Z jaskrawozielonego materiału – przypomniała sobie Breen – Z niebieską obwódka. Jak u motyla. Biegałam po polu i udawałam, że z tobą latam.

– A potem Phelin... – Morena urwała i przytuliła policzek do szyi Boya.

– On lubił się droczyć – powiedziała cicho Breen.

– Oj tak. Ale nie chciał cię doprowadzić do płaczu, śmiejąc się z twoich sztucznych skrzydeł.

– Myślał, że się wścieknę i mu przyłożę, ale gdy zobaczył, że się popłakałam, wziął mnie na ręce i latał ze mną w koło. Powiedział, że mianuje mnie honorową Sidhe. I będzie mnie zabierał na latanie, kiedy tylko zechcę.

– Miłe wspomnienie. – Morena pokiwała głową i wróciła do czyszczenia Boya. – Miłe, bo on był miły. Ciągłe go wspominam, a potem smutek przechodzi. Wczoraj natknęłam się na babcię płaczącą w objęciach dziadka. Przy okazji wiosennych porządków znalazła rysunek, który zrobił dla niej w dzieciństwie. – Odłożyła zgrzebło z westchnieniem. – Zostało nam po nim tyle dobrych wspomnień.

Breen obeszła konia.

– Śmierzę kozim łajnem, ale i tak cię przytulę.

Morena odwzajemniła uścisk.

– Fakt, strasznie capisz.

– Pewnie z kozimi bobkami wymieszał się zapach potu.

– Idź, weź prysznic, ja dam Boyowi obrok. Zajmę się Merlinem! – zawołała do Keegana.

– Będzie czekał na marchewkę.

– Jakbym o tym nie wiedziała. – Kiedy Keegan podprowadził Merlina, podrapała go między uszami. – A jutrzejszy trening?

– Zaczynamy z samego rana.

– No, jakby inaczej – mruknęła Breen.

– A więc do jutra. Chodźcie, chłopaczki, kolacja na was czeka.

Konie poszły za Moreną do stajni tak samo chętnie jak krowy za Harkenem do obory na wieczorne dojenie.

– Mógłbyś zostać i pomóc Harkenowi. Ja spokojnie wrócę sama.

– Rano je wydoiłem, a potem zjadłem trochę kluchowatej owsianki Moreny. Harkenowi wyraźnie smakowała. Nie mam pojęcia, jak to możliwe. – Wzruszył ramionami. – To musi być miłość.

– Chciałam cię zapytać, czy mogłabym, a może powinnam dać coś Harkenowi w zamian za Boya. Zgodziłby się na barter za konia, miejsce w stajni i paszę?

– Chcesz Boya na własność, nie tylko do treningów?

– Przywykliśmy do siebie. Lubimy się i rozumiemy. Mogę go pożyczać, jeśli Harken nie zgodzi się na wymianę, ale...

– Wybrał Boya, bo uznał, że to odpowiedni koń dla ciebie i dał ci go w prezencie.

– Wiem, ale chciałabym mu się zrewanżować. Tylko nie bardzo wiem, jak.

– Szczerze mówiąc, przydałaby mu się nowa uprzęż dla konia pociągowego. Wciąż lata i reperuje tę starą.

– Gdzie coś takiego znajdziesz?

Akurat przeszli do Irlandii.

– Jutro w ramach ćwiczeń odwiedzimy Elfa, który zajmuje się robieniem takich rzeczy.

– Dobrze, a co z paszą i resztą?

– Nic za to nie będzie chciał. Jesteś dla Moreny jak siostra, a więc również dla niego. Uprząż przyjmie i będzie jej używał. Uzna, że to coś więcej niż zwykła wymiana. Wkrótce zaczną się zasiewy.

– Też będziesz siał?

– Jeżeli czas pozwoli. Niedługo muszę udać się do Stolicy na parę dni, o ile nie zatrzymają mnie jakieś niespodziewane okoliczności. Będę kursował między doliną i Stolicą. Mogłabyś tam raz ze mną się wybrać. Niech mieszkańcy Stolicy cię zobaczą.

– Zgoda.

– Wiem, że masz w planach własną podróż, może więc wcześniej pojedziemy tam na dzień lub dwa.

– Będziesz prowadził Osąd?

– W drobnych sprawach. Na razie nie znaleźliśmy nowych szpiegów Odrana. Nadzieja w bogach, że więcej ich już nie ma. – Z ponurą miną wsadził ręce do kieszeni. – W tym roku wydałem więcej wyroków banicji, niż we wszystkich poprzednich latach mojego zasiadania na Krześle Sprawiedliwego. I wcale nie sprawia mi to satysfakcji.

– Byłabym zdziwiona, gdyby było inaczej.

Kiedy wyszli z lasu, drzwi chaty się otwały i Fąfel wybiegł im na spotkanie. Witał się z nimi, jakby nie widzieli się od miesięcy, a nie zaledwie kilka godzin.

– Mój słodki chłopak. Byłeś grzeczny przy Marco?

– Tak grzeczny jak tylko można! – zawołał Marco. – Ziemniaki siedzą w piekarniku, będą grilowane szparagi od Seamusa i steki, gdy wróci Brian. Chodźcie... Jezu i wszyscy święci, co tak cuchnie?

– Koza, a raczej to, co z niej wypada. Idę prosto na górę wziąć prysznic.

– Bardzo dobrze. Tylko najpierw poproszę tamte dwa rozdziały.

– Co?

Zastąpił jej drogę.

– Minęły ponad dwa tygodnie, ale dałem ci trochę luzu, uwzględniając atak boga psychologa i zmianę treningów. Złożyłaś przysięgę na mały palec i chcę moje rozdziały. Dziś wieczorem zamierzam je przeczytać.

– Wołałabym...

Zrobił śmiertelnie poważną minę.

– Przysięga na paluszek, dziewczyno.

– Cholera. – Z ociąganiem przeszła do gabinetu.

– Chodzi o jej książkę? – zainteresował się Keegan. – Co to za przysięga na palec? Ja też chcę przeczytać.

– Nie – zaprotestowała stanowczo, wychodząc z gabinetu z pendrive'em.

– Czemu on może, a ja nie?

– Bo dałam mu się podpuścić. – Trzymała pendrive poza zasięgiem przyjaciela. – A teraz, Marco Polo, ty przysięgnij, że przeczytasz tylko tyle, na ile się umówiliśmy. Jest tam tego więcej, ale zatrzymujesz się na końcu drugiego rozdziału.

– Tak jest, Breen.

– Przysięga na paluszek.

– Już dobrze, dobrze. – Połączył zgięty mały palcem z jej palcem i szybko zabrał pendrive.

– To przysięga? – Keegan splótł swoje małe palce. – O co w tym chodzi?

– O co? O honor i zaufanie. Dwa rozdziały i na tym koniec. I nie czytasz ich, gdy jestem w pobliżu. Nie wytrzymałabym nerwowo.

Po tych słowach skierowała się prosto na schody z kręcącym się przy nogach Fąflem.

– Dlaczego od niej zalatuje kozimi odchodami – bo to są kozie bobki, prawda? Chyba pierwszy raz w życiu coś takiego wahałem.

– Powiem ci, gdy ją przekonam, żeby pozwoliła mi przeczytać to samo co tobie.

– No to życzę powodzenia.

Breen ściągnęła ubranie, myśląc wyłącznie o gorącej wodzie i perfumowanym mydle.

Gdy zdążyła wejść pod bicz gorącej wody, szklane drzwi się rozsunęły.

– A ty co? – spytała, gdy Keegan wszedł do kabiny.

– Też mam ochotę na prysznic. – Przyłgnął do jej pleców i wodził dłońmi po jej ramionach. – I na ciebie. Cudna ta gorąca woda i ty. – Przycisnął usta do jej ramienia. – Chcę z tobą złożyć przysięgę na

mały palec.

– Nie – zaprotestowała rozbawiona. – Nie i nie.

– Nie ufasz mi i według ciebie nie mam honoru.

Odwróciła się do niego w zaparowanej kabinie i pod strumieniem wody odgarnęła mokre włosy do tyłu.

– W pełni ci ufam i nie znam nikogo bardziej honorowego od ciebie. Ale nadal się nie zgadzam.

– A dlaczego zgodziłaś się dać te dwa rozdziały Marco?

– Bo mnie podszedł i spleliśmy palce, zanim zdążyłam się wycofać z obietnicy. Liczyłam, że tamta rozmowa wyleciała mu z głowy.

– W takim razie teraz ja cię podejść. – Nabrał na dłonie trochę żelu, który zrobiła pod okiem Marg. – A potem złożymy przysięgę na paluszek.

– Nie – powtórzyła.

Jednak na resztę zgodziła się bez protestów.

*

Obudziła się, gdy ogień w kominku palił się niskim płomieniem, a ogon Fąfla miarowo stukał o podłogę – znak, że czas wstać i wejść w nowy dzień.

Podniosła się zadowolona i wypoczęta. Seks pod prysznicem, wyborna kolacja, do której nie przyłożyła ręki, relaksacyjna muzyka i dobrze przespana noc. Czego więcej można chcieć?

Włożyła buty z cholewami, a Fąfel nerwowo kręcił się przy łóżku.

– Idziemy, idziemy – powiedziała i chwyciła szlafrok.

Zeszła na dół i z przyzwyczajenia skierowała się prosto do drzwi. Fąfel wybiegł na dwór w pierwszym bladym świetle dnia i popędził do zatoki, a ona wróciła do kuchni po kawę. Po drodze podkręciła ogień w kominku i żar strzelił płomieniem.

Rozespana, wyszła z kawą na zewnątrz. Czyżby powietrze naprawdę pachniało zapowiedzią wiosny? Może to tylko jej pobożne życzenie, ale nawet ono dobrze działało na nastrój.

Potem zerknie na grządki, sprawdzi, czy wzeszły jej zasiewy, i zacznie planować rabatę kwiatową, o której rozmawiała z Seamusem, no i niewielki warzywnik. Może to przesada, bo zawsze mogła dostać wszystko, co potrzebowała, na farmie albo od babci, ale Marco na pewno cieszyłby się z własnych pomidorów i papryki.

No i miałby zabawę.

To snucie planów na życie, jakie chciałaby prowadzić, sprawiało jej wielką frajdę.

Fąfel pluskał się wodzie, ona sączyła kawę, a słońce budząc się, srebrzyło mgły znad zatoki i przetykało je różem.

Świt zawsze wprawiał ją w dobry nastrój. Niósł ze sobą obietnice i możliwości.

Wyobraziła sobie, jak po drugiej stronie Harken zaczyna prace gospodarskie. A może to Keegan przycupnięty na trójnogim stołeczku doi dziś krowy.

Dużo by dała, żeby to zobaczyć.

Wkrótce po obu stronach rodzice będą budzić dzieci do szkoły. Wszyscy zaczną się ubierać. Rodziny siadają do śniadania.

Wszędzie wszystko wygląda mniej więcej tak samo, pomyślała, a ona, należąc do obu światów, ma swoje obowiązki i przyjemności po każdej ze stron. Fąfel przybiegł do niej, przykucnęła, osuszyła go i objęła, razem z nim ciesząc się tym początkiem dnia.

– Czas na gimnastykę. Ty już poćwiczyłeś, prawda? Teraz kolej na mnie, musimy się zbierać. Oczywiście najpierw dam ci śniadanie – obiecała i cmoknęła go w słodką mordkę.

Weszła do środka i o mało się nie potknęła na widok Marco siedzącego z laptopem przy kominku.

– Jezu! Ale mnie wystraszyłeś! Co tu robisz o świcie?

– Czytam.

– No tak – przypomniała sobie i wyszła do kuchni nakarmić psa.

Miała chęć na więcej kawy i stwierdziła, że nie ma mowy, aby grzanka zmieściła się w jej ściśniętym z nerwów żołądku.

– Idę na górę się przebrać i poćwiczyć.

Marco spojrział na nią znad laptopa i poklepał kanapę obok siebie.

– Usiądź.

– O Boże. Jest aż tak kiepsko? Nie myślałam, że będzie tak źle.

– Przestań. Siadaj.

Usiadła i obejmując się ramionami, przypomniała sobie, że przecież prosiła o szczerość.

– Może początek jest za bardzo rozwlekły. Albo skrótowy. Mogłam...

– Przeszaj – powtórzył. Odstawił laptop, wziął do ręki kubek z kawą. – Dwukrotnie przeczytałem te dwa krótkie rozdziały, na które mam twoją zgodę. Przejrzę je jeszcze raz. Musisz pozwolić mi przeczytać więcej.

– Jeżeli dwa pierwsze są do niczego...

– Czy ja coś takiego powiedziałem? Nie zachowuj się niczym dawna Breen. – Postukał ją palcem w czoło. – Wstałem o tak nieludzkiej porze, bo chcę przeczytać więcej. Bo wciągnęły mnie te dwa pierwsze rozdziały. Bo to jest dobre, Breen. Cholernie dobre. – I ugryz się w język – ostrzegł ją – nim powiesz coś tak głupiego jak to, że może tak mówię, bo cię kocham.

– No bo mnie kochasz.

– Tak i dlatego, gdyby to nie było dobre, powiedziałbym na przykład... – Zastanawiał się chwilę, pocierając opuszką kocią brodkę. – Już wiem. Taak, niezłe, ale musisz to jeszcze podszlifować, sprawić, żeby błyszczało. Szukałbym słów zachęty, no nie? Ale nie muszę, bo to naprawdę błyszczy.

– Serio?

– Popatrz mi w twarz.

Ściągnął brwi, wysunął podbródek, zacisnął usta.

– To jest twoja strasznie poważna twarz?

– Tak jest. Przystojna, ale poważna jak cholera. Musisz mi dać więcej do przeczytania.

– Jeżeli rzeczywiście chcesz kolejny rozdział...

– Uhm. – Pokręcił palcem w powietrzu. – Trzy, czyli w sumie pięć. Tak będzie fair. Miałbym wtedy lepszy pogląd na świat, który tam budujesz. To nie jest Talamh. Owszem, widzę pewne podobieństwa, ale ten twój świat jest większy, ma inne kraje, kontynenty, morza i całą resztę. Pięć rozdziałów pomoże mi lepiej zorientować się w tym świecie, a postaci... wiem, że ich będzie przybywać.

– Trzy więcej. – Odetchnęła z ulgą. – Ale jeżeli coś nie będzie stykać, koniecznie mi powiedz. A teraz chcę coś w zamian. Poproszę o trzy przepisy do twojej książki kucharskiej. Napisz je po swojemu i daj mi przeczytać.

– Czekają gotowe.

– Dodaj tam coś osobistego, wykorzystaj swój urok. Niech będą w takim gawędziarskim stylu, rozumiesz, o co mi chodzi? Jeżeli to nie zagra, uczciwie ci powiem.

Bez słowa zgiął mały palec.

Breen wstała z kanapy.

– Pójdę wskoczyć w strój do fitnessu. Naprawdę muszę poćwiczyć.

Kiedy zeszła na parter, podniósł palec do ust, na znak, żeby się nie odzywała.

– Tylko mnie nie rozpraszaaj.

Wybrała jeden z bardziej intensywnych zestawów ćwiczeń. Wydawało jej się jednak, że nie do końca wypociała niepokój, więc dołożyła jeszcze pół godziny jogi.

Do kuchni zwabił ją zapach bekonu.

– Ponieważ wstałem bladym świtem, zrobię ci porządne śniadanie, zanim znikniesz w tej swojej jaskini pisarki.

Marco nakładał na talerze plastry smażonego bekonu, omlet z serem i ociekającą miodem połowę ugotowanej gruszki. Patrzyła, jak on się krząta, i walczyła z chęcią nerwowego wykręcania palców. Postawił talerze na stole, obrócił się i objął ją w pół.

– Czy to ma osłodzić gorycz porażki?

– Breen, jestem z ciebie dumny. Kiedy mi dałaś do przeczytania *Magiczne przygody Fafla*, śmiałem się na głos. Miałem przed oczami tego psa, zanim jeszcze go zobaczyłem. A to? To zupełnie inna historia. Tutaj jest wielowątkowa fabuła, rozbudowane tło. Carlee złamie mi serce, jeżeli tego nie przyjmie.

Przyciągnął ją do siebie.

– Masz to coś, dziewczyno. Czymkolwiek jest owo coś, potrzebne do pisania, ty je masz. Chcę całość.

– Marco...

– Może nie wszystko od razu, ale dzień w dzień będę cię nękał o kolejne fragmenty. A teraz mnie posłuchaj.

– Słucham.

– Posłuchaj i zaufaj mi. Kto cię namówił do prowadzenia bloga?

- Ty.
- Kto kazał ci się na tyłku i skupić się na tym, co zawsze chciałaś robić, czyli napisaniu powieści?
- Ty.
- Kto twierdzi, że powinnaś wysłać Carlee tamtych pięć rozdziałów?
- Och, Marco, jeszcze ich nie doszlifowałam...
- Stoisz przede mną i mówisz mi, że to, co właśnie przeczytałem, jest niedopracowane?
- Miałam jeszcze raz przejrzeć całość, kiedy dokonczę korektę tego, co ostatnio napisałam. – Już zapomniała, że ma nie wykręcać palców.
- A kto zna cię tak dobrze i wie, że wcale nie o to chodzi? Ty po prostu boisz się to wysłać. Ciężko westchnęła.
- Ty. Chciałam odczekać kilka tygodni.
- Nic z tego. Zrobisz to teraz. Od razu. – Przybrał tę swoją minę poważną jak cholera, czym ją zmusił do słabego uśmiechu. – I pospiesz się, bo śniadanie wystygnie.
- Jeżeli to wyślę, ty siądziesz do układania przepisów.
- A nie przysiągłem na palec? Idź, zrób, co do ciebie należy, a ja po śniadaniu zajmę się moją działką.

Rozdział 17

Mijał drugi dzień bez odpowiedzi Carlee i żeby się nie zadręczać, wypełniała czas po brzegi najróżniejszymi zajęciami.

Ale i tak się zadręczała.

Pomagała Marco przy redagowaniu przepisów, wprowadzała drobne, kosmetyczne wręcz zmiany. Jeżeli chodziło o gotowanie, mówienie o gotowaniu i pisanie, zdecydowanie do niego należało owo nieuchwytnie coś.

Kiedy zadzwoniła komórka i wyświetlił się nowojorski numer, przeszła do gabinetu, zostawiając Marco nad domową pizzą, którą właśnie kończyli robić.

Byli teraz tylko we dwoje. Keegan pojechał do Stolicy i zabrał ze sobą Briana.

Gdy wróciła do kuchni, Marco akurat wkładał pizzę do piekarnika.

– Powinna być dobra.

– To dzwoniła Carlee.

Znieruchomiał.

– I?

– Podoba się jej. Ha! Co za ulga! Podoba się.

– Bo ona nie jest głupia. – Rozpostarł ręce i wziął Breen w ramiona.

– Za wcześnie na świętowanie. No, może trochę – poprawiła się.

– Na to nigdy nie jest za wcześnie. Proponuję wino Sidhe zamiast tego ze sklepu.

– Nie, nie, zostanmy przy tym kupnym. Powiedziała, że chciałyby to przesłać mojej redaktorce, wydawcy i że to taki tekst, który się nie starzeje. No i chce zobaczyć streszczenie reszty.

– Zrobisz to bez problemu. Posłuchaj, jeżeli chcesz wziąć pizzę do gabinetu i popracować...

– Nie. Ty, ja, Fąfel, pizza, wino i film. Taki był plan i tego właśnie chcę. Poprosiłam Carlee, żeby mi dała ze dwa tygodnie.

– Och, dziewczyno.

– Nie, nie i nie. W dwa tygodnie dopieszczę resztę i wyślę jej całość. Potrzebuję tego czasu, chcę mieć czyste sumienie, że zrobiłam wszystko, co mogłam.

Uśmiechnął się i kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Moja dziewczyna. To ma sens. A wieczorem dasz mi do przeczytania kolejnych pięć rozdziałów, żeby w łóżku nie doskwierała mi samotność.

– Słuchaj, ja naprawdę muszę napić się wina.

– Mówisz i masz. – Uśmiechnął się do niej. – Ależ jestem z ciebie dumny.

– Ja też. Aha i powiedziałam Carlee, że za dwa tygodnie wyślesz jej zestaw przepisów, żeby mniej więcej się zorientowała, jak widzisz tę książkę kucharską.

– Och, dziewczyno – powtórzył.

Breen podsunęła mu pod nos zgięty mały palec.

*

Wreszcie, po dwóch tygodniach siedzenia nad książką, przeszła do Talamh popracować nad magią i potrenować. Jeżeli miała żyć w dwóch światach, w obu musiała rozwijać umiejętności.

Pod koniec drugiego tygodnia sprezentowała uprząż Harkenowi. Oglądał ją z takim zachwytem, z jakim ktoś inny patrzył na cenny klejnot.

– Och, bardzo dobra. Doskonała – ocenił, gładząc skórę.

– Tak jak on. – Breen przytuliła policzek do pyska Boya. – Liczyłam, że dostanę ją, zanim rozpoczniesz orkę, ale rzemieślnik okazał się wielkim pedantem.

– Oj tak, on rzeczywiście jest bardzo staranny. A tej uprzęży będą kiedyś używać moje dzieci, a po nich jeszcze ich dzieci. O widzę, że kazałaś wytłoczyć na skórze nazwisko naszej rodziny.

– Pomyśl Keegana.

– Twój podarunek wiele dla mnie znaczy. – Zsunął czapkę na tył głowy i popatrzył na Breen. – Ty wiesz, że Boy jest twój, odkąd pierwszy raz na niego wsiadłaś.

– Nie nazwałabym tego wsiadaniem. Za pierwszym razem raczej się na niego wdrapałam, chociaż natychmiast poczułam się z nim związana. Dziękuję, Harkenie, że mi to powiedziałeś. Nie mogę go jutro zabrać ze sobą, ale nie będzie mnie tylko dzień czy dwa.

– Zajmiemy się nim. Baw się dobrze w Stolicy i ciesz się lotem. Wiosna nadchodzi – zauważył, wodząc wzrokiem po polach. – Wszystko zacznie rozkwitać.

*

Można się zdać na intuicję farmera, pomyślała, kiedy rankiem wyruszyli. Powietrze, zdecydowanie łagodniejsze niż w czasie ich ostatniej podróży, zapowiadało nadejście wiosny.

Breen leciała na Lonarchu z Fąflem, a wiatr czesał mu czub. Z jednego boku miała Keegana na Crodze, a z drugiego Mahona na skrzydłach.

Pod nimi na dole farmerzy szli za pługami, szykując żyzną brunatną glebę pod zasiewy i uprawy. Ona również zajmie się swoim ogrodem po powrocie. Ciepłe już powietrze ogrzewało ziemię, szykując ją do przebudzenia.

Znajdzie czas na ogród, myślała, a teraz, kiedy wysłała wydruk oraz próbki książki kucharskiej Marco do Nowego Jorku, chciała popracować nad kontynuacją przegód Fąfla.

Celowo wysłała wszystko późnym wieczorem, bo z powodu różnicy czasu przesyłka znajdzie się w Nowym Jorku nazajutrz rano. Namęczyła się i powiedziała sobie, że na jakiś czas odsunie na bok wszelkie myśli o książce. Nie brakowało jej pracy w Talamh, nie wiedziała też, czy przypadkiem w Stolicy nie spadną na nią jakieś obowiązki.

Kiedy Croga nad pofałdowaną zielenią środkowej części Talamh skręcił na północ, zerknęła na Keegana, ale on akurat w skupieniu naprowadzał smoka na jakiś cel.

– On chce zatrzymać się przy tutejszym portalu, dokonać inspekcji, spotkać się ze strażami – wyjaśnił jej Mahon. – Dobrze, żeby ci tutaj zobaczyli *taoiseacha*, no i poznali ciebie.

– Och.

Na lot ubrała się w sweter, kurtkę i legginsy, włożyła buty z cholewami. To nie był strój, w którym chciała być widziana. Co prawda związała włosy, ale wiatr i tak już zdążył je potargać.

Keegan posadził smoka na polu podzielonym szpalerem drzew. Na ich długich gołych gałęziach zielonkawa mgiełka zapowiadała pojawienie się liści.

Stało ich troje, z mieczami u boku i jeden z kołczanem na ramieniu. Breen rozpoznała w nich Sidhe, Hybryda i Elfa.

– Witamy, *taoiseachu*. – Sidhe, szczupła kobieta z burzą włosów w kolorze plastra miodu i warokczem wojowniczką wysunęła się do przodu. – Witamy was, Mahonie i Córko. U nas spokojnie.

– To dobrze. – Keegan powiódł spojrzeniem po linii drzew.

– Wyglądamy kruków i wszelkiego ptactwa, ale od ostatniego razu niebo pozostaje czyste.

– Wiem, że jesteście czujni – powiedział Keegan, po czym odwrócił się do Breen, unosząc brwi.

Czyżby powinna coś teraz powiedzieć?

– Ummm, Talamh i wszystkie światy są wam wdzięczne za waszą służbę.

– Służymy z dumą.

– Lisbet, a co tam słyhać u twojego brata? – zapytał Mahon z lekkim uśmiechem.

– Wędruje od gospody do gospody z pieśniami i harfą, szczęśliwy jak knur w czasie rui.

Keegan rozmawiał przez chwilę z całą trójką i ponownie zwrócił się do Breen.

– Widzisz jakiś cień?

No tak, teraz robi jej sprawdzian na oczach strażników, pomyślała. Ale zdenerwowanie natychmiast minęło, gdy się skupiła.

Czuła portal, czuła pieczęć, szczelną i zabezpieczoną silnym zaklęciem. A kiedy jeszcze uważniej spojrzała i otworzyła się, zobaczyła nikły cień.

– Tam – wskazała nagą gałąź na górze. – Ślad rozorany szponami kruka, wiadomość poniesiona, ślad szponami zatarty. Nie większy niż moja pięść, szczelnie zamknięty. Krwi i mocy wymaga otwarcie, żądana w zamian zapłata nigdy nie nadeszła. Krew, zawsze ją mają do przelania, stójcie więc na straży Talamh i wszystkich światów.

– Będziemy – odpowiedziała cicho Lisbet. – Wspięłam się na drzewo, tam, gdzie przeleciał kruk, i stojąc na gałęzi, widziałam słaby cień zaledwie o piędź od miejsca, które ty widzisz z ziemi.

Następnie polecili na północ, gdzie zima nadal mocno trzymała. Keegan powtórzył tę samą procedurę ze strażnikami, tym razem na zaśnieżonym wzgórzu.

Breen dostrzegła cień między wzgórzami.

Na każdym portalu widziała drapiący, skrobiący cień.

– Nie znam się na strategii wojennej i taktyce. – Odwróciła się do Keegana, gdy dosiadła Lonarcha i Fąfel wskoczył za nią na smoczy grzbiet. – Wiem tylko, że wyłobienie tych szczelin w portalach wymaga ogromnego wysiłku. Podobnie otwieranie ich i zamykanie, gdy kruk już wyleci. Czy nie wystarczyłaby jedna szczelina, powiedzmy, dwie? Może lot do celu i powrót zajęłyby więcej czasu, ale kruk

i tak doleciałby tam, gdzie ma trafić.

– Bardzo dobrze się znam na strategii i taktyce. – Obejrzał się na nią, gdy wznosili się w górę. – Przede wszystkim, jak się żłobi taką śladową szczelinę? To powolny proces, który wymaga ostrożności. A tam, gdzie każdy portal się otwiera, czy przy którymś z nich nie znajdą się stronnicy, chętni do pomocy?

– No tak, rozumiem, ale...

– Przechodzimy na drugą stronę, żeby handlować i podróżować, chociaż w ostatnich miesiącach nie jest to już takie proste. Na miejscu Odrana wykorzystałbym czas, który ma, a ma go nieskończenie dużo, na przemyślenie wszystkiego, zaplanowanie, wykorzystanie magii. Tak, byłbym dobrym szpiegiem, gdyby na szpiegowaniu się kończyło. – Jadąc z wiatrem, wpatrywał się przed siebie na wschód.

– Zadaję więc sobie dokładnie to samo pytanie, które ty zadałaś.

– I jaka jest odpowiedź?

– Jeżeli wiesz, jak zrobić szczelinę wielkości, jak powiedziałaś, twojej pięści, z czasem, gdy odwołasz się do krwawej magii, dojdiesz do tego, jak tę szczelinę powiększyć do takich rozmiarów, aby mogła przejść przez nią cała armia, tak jak to było na Południu i przy Drzewie z Węży.

– Czyli przedrzeć się przez wszystkie portale jednocześnie?

– Ja tak bym postąpił, gdybym miał nieskończenie dużo czasu i bez skrupułów przelewałbym krew.

– A ty co zrobisz?

– To, co należy zrobić. Stolica – rzucił, gestem ręki wskazując zabudowania na horyzoncie. – Później o tym porozmawiamy.

Kamienny zamek, potężny i wniosły, stał na wzgórzu, nad nim powiewała na wietrze chorągiew z czerwonym smokiem na białym polu. Za zamkiem fale wzburzonego morza rozbijały się o skały i cofały, by po chwili uderzyć ponownie.

Na podzamczu i na wsi po drugiej stronie rzeki, której brzegi były spięte mostami, tętniło życie.

Kiedy Breen stąd wyjeżdżała, zostawiła ziemię poczerniałą po bitwie. Teraz ziemia była soczysto zielona albo brunatna i spulchniona po orce. Dym wił się z kominów chat, sklepów i karczm, unosił się nad farmami. Po drugiej stronie zamku ciągnęły się lasy. To tam rozpoczęła się bitwa.

Posadzili smoki na łące w miejscu, gdzie Breen stanęła do walki z Yseult, pokonała ją i zraniła, ale zaślepiona gniewem, nie zdołała wiedźmy zabić. Teraz już wiedziała, że wtedy bardziej pragnęła cierpienia niż śmierci Yseult. Z powodu jej gniewu wiedźma Odrana, posługując się zaklęciami i intrygami, będzie nadal zbierała śmiertelne żniwo.

Woda biła w fontannie i z szumem spadała w dół. Tutaj kwiaty już rosły bujnie, chociaż nadal panował ziąb.

Fąfel spojrział tęsknie na rzekę, w której uwielbiał pływać, ale karnie trzymał się nogi Breen w drodze do masywnych zamkowych odrzwi. Stała w nich Minga w brązowych legginsach i białej tunice ściągniętej miedzianym pasem.

– Witaj, *taoiseachu*. Witajcie, Breen i Mahonie. – Ujęła dłonie dziewczyny i pocałowała ją w oba policzki. – Powietrze nadal chłodne. Przyda się ogień w kominkach. Ciebie też witam. – Nachyliła się nad Fąflem i pogłaskała go po grzbiecie. – Tarryn rozstrzyga jakiś drobny spór, ale niedługo powinna być wolna. Wasze komnaty czekają gotowe.

Kiedy z nimi rozmawiała, młody Elf podbiegł po bagaż Breen i zniknął z nim na głównych schodach.

– Muszę załatwić kilka spraw i do pierwszej potrzebuję Mahona. Kolację zjemy z matką – zwrócił się Keegan do Breen. – Dzięki bogom mamy przed sobą spokojny wieczór.

– Dobrze. Masz dla mnie jakieś zadania?

– Zapewne coś się znajdzie. Trzymaj się blisko, żebym w razie potrzeby nie musiał cię szukać, Mahonie.

– On nie z tych, co marnują czas – zauważyła Minga z uśmiechem, kiedy mężczyźni odeszli. – Chodź, zaprowadzę cię na górę. Napijesz się herbaty i rozpakujesz. A dla ciebie na pewno znajdzie się herbatnik. – Na słowo „herbatnik” Fąfel stuknął ogonem w posadzkę.

– A jak tam Aisling i chłopcy? Wiem, że Tarryn liczy dni do chwili, kiedy będzie mogła ich zobaczyć.

– Doskonale. Morena uczy ich sokołnictwa. Oczywiście, poza Kellym, który z dnia na dzień robi się coraz słodszy.

Szły na górę imponującymi schodami, ozdobą holu, które, jak Breen wiedziała, w czasie bitwy

obronnej przekształcono w wysoką kamienną platformę.

– A co słyhać u twojej rodziny?

– Wszystko dobrze – odparła Minga. – Przełom zimy i wiosny to spokojny czas. Na razie nic się nie dzieje. A jak Marco? Wyznam, że wszyscy, a najbardziej kuchnia, są rozczarowani, że nie zabrał się z tobą.

– Zaręczył się.

– Och, słyślałam. Z Brianem Kelly. To bardzo porządny młodzieniec. Musimy to uczcić, kiedy znowu się tu pokaże.

Minęły skrzydło, w którym umieszczono Breen i Marco podczas ich pierwszej wizyty, i skierowały się do komnat *taoiseacha*.

– Brigid pytała, czy tym razem też może zająć się tobą. Miałam wrażenie, że byłaś z jej pomocy zadowolona.

– Och tak. Bardzo chętnie znowu ją zobaczę.

Minga otworzyła drzwi.

– Widzę, że napaliła już w kominku i zadbała o poczęstunek. No i proszę, masz gościa.

– Nie mogłam się doczekać. – Kiara ze śmiechem podbiegła uściskać Breen. – Widziałam smoki i natychmiast przyszłam. Chyba nie masz mi tego za złe?

Dziewczyna odziedziczyła karnację po matce. Miała złocistą cerę i gęste czarne włosy. Jednak w przeciwieństwie do opanowanej, pełnej godności Mingi Kiare cechowała zaraźliwa wesołość.

– Za złe? Nawet nie wiesz, jak się cieszę.

– W takim razie was zostawię. Tylko nie zanudź Breen na śmierć swoją paplaniną, Kiaro.

– Och, mam tyle do opowiadania! – Ciągłe się śmiejąc, przykucnęła przy Fąflu i objęła go za szyję. – Jak ty urosłeś. Ale mordkę masz tak samo słodką jak zawsze. Jestem w stroju roboczym, bo opiekowałam się maluchami i nie zdążyłam się przebrać.

Na ten roboczy, w mniemaniu Kiary, strój składały się śliwowofioletowe spodnie, trzewiki w takim samym odcieniu i powiewna lawendowa koszula. Z jej uszu zwisały złote kolczyki w kształcie kropli.

– Świetnie wyglądasz. – To była szczerza prawda. – I bardzo podoba mi się twoja fryzura.

– Naprawdę? – Dotknęła mnóstwa cienkich warkoczyków zebranych razem na czubku głowy i opadających swobodnie na ramiona. – Chciałam wypróbować coś nowego.

– Jest fantastyczna. Chodź, napijemy się herbaty i opowiesz, co tutaj słyhać.

Ani w zamku, ani w całej wsi nie było nikogo, kto znał tyle plotek co córka Mingi.

W ciągu kilku minut wyrzuciła z siebie potok informacji, a Breen, nie przestając się śmiać, zdążyła zapomnieć o zmęczeniu po podróży. Fąfel, syty po obiecany herbatniku, drzemał zwinięty przy kominku.

– No, a teraz twoja kolej. Chcę usłyszeć wszystko o Marco i Brianie. Kto komu się oświadczył, jeżeli tak to się odbywa, jak i kiedy się wydarzyło. Wiesz?

– Jasne. Brian go poprosił, choć Marco zamierzał zrobić to samo. Brian zawiózł go do swojego domu, żeby poznał jego z rodzinę.

– Naturalnie z miejsca go tam polubili. Nie znam rodziny Briana, ale on sam jest w porządku, pewnie więc rodzina też taka musi być.

– Owszem. A sympatia okazała się wzajemna. I wtedy Brian oświadczył się Marco.

– O rany, nie mów mi, że zrobił to w obecności rodziny! – Kiara, podskakując na krześle, wyrzuciła ręce w górę. – To ładne, ale nie ma w tym nawet krzty romantyzmu.

– Nie, nie zrobił tego przy rodzinie. Byli tylko we dwóch. Na pikniku o północy.

– Och! – Kiara opadła na oparcie, przyciskając dłonie do serca. – Chyba się rozpłaczę. Pogratuluj im obu ode mnie i powiedz Marco, że jeżeli nie zaprosi mnie na wesele, wyleję przez niego morze łez.

– Powiem, ale pod warunkiem, że obiecasz mnie uczesać na tę okazję.

– Już mnie ręce swędzą, żeby zająć się twoimi włosami, a więc nie ma łatwiejszej obietnicy.

A teraz muszę iść, bo przyrzekłam, że nie zostanę długo, a już się zasiedziałam. Ale zanim wyjdę, chcę ci coś dać.

Zniknęła w sypialni i wróciła stamtąd z dużym pudłem.

– Mam nadzieję, że ten prezent sprawi ci radość.

– Prezent?

– Otworzysz teraz? Zabijało mnie czekanie, kiedy będę mogła ci go dać.

Breen rozwiązała błyszczącą wstążkę, rozerwała złoty papier i podniosła wieko.

W środku na warstwie bibułki leżała poskładana skóra w kolorze miedzianego pasa Mingi.

– O Boże!

– Wyjmij! Przymierz! Och, nie mogę się doczekać!

Nie mogła dłużej wytrzymać, toteż sama szybko wyjęła z pudła sięgający do kolan trencz i podciągnęła Breen z krzesła.

– Musi pasować, bo jak nie, to tak kopnę Daryna w tyłek, że wyląduje na jednym z księżyców. Och, jest akurat! Pasuje idealnie. Leć, obejrzyj się w lustrze. Ten kolor przy twoich włosach? Super. Właśnie tego chciałam dla ciebie i mam nadzieję, że ty dla siebie też właśnie coś takiego chciałaś.

Breen, oszołomiona, stanęła przed lustrem. Trencz sięgał jej nieco powyżej kolan, był uszyty z niewiarygodnie miękkiej skóry, miał cięte głębokie kieszenie i podszewkę z jedwabiu w kolorze starego złota.

– Kiara...

– To trencz do jazdy na smoku. Okręć się, obróć, zobacz, jak zwęża się w talii. Bardzo kobiecy krój, ładnie podkreśla figurę.

– Jest przepiękny, ale, Kiara...

– Zrobiłaś coś więcej, niż tylko uratowałaś mi życie. – Znikło podekscytowanie w jej głosie. –

Dzięki tobie się zmieniłam. – Kiara mówiła teraz wyważonym tonem swojej matki. – Pokazałaś mi, że w prawdziwej przyjaźni nie ma miejsca na kłamstwa, wykorzystywanie, szantaż emocjonalny i manipulację uczuciami. Gdyby nie ty, no i Fąfel, być może umarłabym tamtego dnia i zostawiła pograżoną w rozpacz rodzinę. Co więcej, umarłabym oszukana przez osobę, której ufałam. Zależało mi na niej i wierzyłam, że jej na mnie również zależy.

– Proszę, Breen, noś go. Będę dumna, widząc, jak chodzisz w płaszczu, do którego przyłożyłam rękę. Oczywiście uszył go Daryn, ale to ja wymyśliłam, jak ma wyglądać, i bez przerwy suszyłam mu głowę.

– W życiu nie miałam takiego pięknego płaszcza i nie myślałam, że kiedyś będę mieć.

– Poważnie?

– Naprawdę. Dziękuję. – Wsunęła się w otwarte ramiona Kiary. – Dziękuję za niesamowity prezent. I za to, że ty pierwsza okazałaś mi przyjaźń, kiedy czułam się w Stolicy tak samotna i zupełnie nie na miejscu.

Gdy została sama, chciała z szacunkiem odwiesić trencz do szafy i wtedy odkryła, że szybki Elf zdążył już porozwieszać i poukładać rzeczy, które spakowała na podróż.

– Wiesz co, Fąfel – cofnęła się od szafy – weźmy ten piękny trencz na przechadzkę. I tak, możesz popływać. Tylko nie za długo – zastrzegła.

Wyszli na przedzamcze, popatrzyli na tych, co nadal trenowali poniżej, na łące. Kusilo ją trochę, żeby tam zejść i sprawdzić portale, ale Keegan prosił, żeby się nie oddalała.

Skręciła więc na most i pozwoliła uszczęśliwionemu psu skoczyć z niego do wody.

Keegan znalazł ją akurat, gdy Fąfel wdrapywał się na brzeg.

– To wszystko trwało dłużej, niż miałem nadzieję, ale zazwyczaj tak jest. Chodź, musimy... – urwał, zmarszczył brwi. Przejechał palcem po trenczu. – Skąd go masz? Byłaś we wsi? Dlaczego większość kobiet musi zaczynać i kończyć dzień na zakupach?

– Wiesz, niektórzy mężczyźni zapewne zaczęliby od: „Breen, wyglądasz szalowo w tym płaszczu”. Nie, nie zaczęłam i nie skończę dnia na zakupach. Dostałam ten trencz od Kiary. Zaskakujący, hojny i przemyślany prezent.

– Miała dobry pomysł. Pasuje ci.

– Pasuje – powtórzyła, wznosząc oczy do nieba.

– Mówię, że ten płaszcz świetnie wygląda na tobie, ale to tylko rzecz, a więc swój doskonały wygląd zawdzięcza temu, kto go nosi.

– Dobra, powiedzmy, że wybrnąłeś. Dokąd idziemy? – zapytała, podążając za nim.

– Nie należysz do Rady i w pewnym sensie jesteś tutaj nieoficjalnie. Czas, żebyś poznała członków Rady.

– Teraz? – Nagle ogarnęło ją zdenerwowanie. – Ale czy już ich nie poznałam?

– Nie znasz jeszcze Neo z Syrenoludzi, Nili, Elfki, która weszła na miejsce Uwina, Seana z Hybrydów i Buka z Trolli. Zaprosiłem ich do sali Rady i tam oficjalnie was sobie przedstawię, bo matka nalega, że tak to powinno się odbyć, a potem będzie mały poczęstunek i okazja do niezobowiązujących rozmów. Dzięki temu mogę przesunąć cholerne zebranie Rady na jutro rano.

– A więc użyłeś mnie jako pretekstu, żeby się wymigać od nudnego zebrania.

- Nie wymigam się. To taki mały unik. Zresztą czas, żebyś ich wszystkich poznała, a oni ciebie.
- Dobrze. W takim razie pójdę się przebrać.
- Po co? Dobrze wyglądasz. Masz ten szalowy płaszcz, no nie?
- Tak, ale...

– Napijesz się herbaty, porozmawiasz z nimi, niech mają okazję spędzić trochę czasu z Córką Fey, gdy ona nie rzuca na kolana zdrajcy na Osądzie czy rusza z mieczem do walki.

Pierwszy raz znalazła się w sali Rady. Ogień buzował w kominku. Przy długim stole stał rząd krzeseł z wysokimi oparciami.

Ci, którzy je zajmowali, doradzali *taoiseachowi*.

Zróznicowana grupa, pomyślała. Oprócz przedstawicieli wszystkich plemion do Rady należała Minga oraz Tarryn, matka Keegana, a zarazem jego prawa ręka.

– Przedstawiam wam Breen Siobham O’Ceallaigh. Córkę O’Ceallaigha. Córkę Fey.

Tarryn, w dopasowanych spodniach wsuniętych w botki, w koszuli i kamizelce, z włosami rozjaśnionymi słońcem zaplecionymi w gruby warkocz, przeszła przez całą salę, wzięła Breen za rękę i pocałowała ją w policzek.

– Witaj z powrotem w naszych progach. Przepraszam, że nie wysłałam ci na spotkanie. – Przechyliła się, pocałowała ją w drugi policzek. – Masz na sobie prezent od Kiary – szepnęła jej do ucha. – Sprawiałaś radość Mindze. – Cofnęła się i podprowadziła Breen do stołu. – Flynnna znasz, oczywiście. Flynn z Sidhe.

– Czerwony króliczek. – Flynn wziął Breen w objęcia, łagodząc tym nieformalnym gestem jej zdenerwowanie. Potem odsunął się i oficjalnie podał jej rękę, chociaż w jego oczach nadal tliły się wesołe ogniki. – Sidhe witają Córkę.

– Cóрка dziękuje Sidhe i... przysięga lojalność.

Widziała, jak po tej odpowiedzi Tarryn z uznaniem skinęła głową.

– Neo z Syrenoludzi.

Podszedł do niej, bo na łodzi poruszał się na nogach.

– Syrenoludzie witają Córkę.

Gdy przywitała się z przedstawicielami wszystkich plemion, Minga wzięła ją za rękę.

– Talamh, który okazał mi gościnność, wita Córkę.

– Dziękuję Talamh, że pozwolił mi na powrót do domu i przyrzekam lojalność.

Breen miała wrażenie, że poradziła sobie z prowadzeniem rozmów, które polegały głównie na wymianie uprzejmości, a Tarryn, czuwając nad nią dyskretnie, niby mimochodem wtrącała zdanie czy dwa, gdy uznała to za konieczne.

– Jutro rano widzimy się na zebraniu Rady – ogłosił Keegan. – Dziękuję wszystkim.

Breen odczekała, aż znajdą się poza zasięgiem ich słuchu.

– Raczej nie byłeś bardzo rozmowny – zauważyła.

– Wszyscy zdążyli wcześniej usłyszeć, co mam do powiedzenia, zgadza się? To ciebie chcieli zobaczyć, z tobą porozmawiać, no i są zadowoleni. A teraz, dzięki bogom, zjemy w spokoju kolację i wreszcie będę mógł napić się piwa.

– Muszę się przebrać.

– Wy kobiety macie jakąś obsesję z tym wiecznym przebieraniem się. Ubierać się po to, żeby po chwili tę rzecz zdjąć i włożyć coś innego?

– Jeżeli mamy się do kolacji z twoją matką...

– To rodzinny posiłek. Możesz tak iść.

– Nie potrzebuję płaszcza na kolacji.

Rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie.

– No to go zdejmiesz.

– Ty natomiast nigdy niczego nie zmieniasz – wymamrotała, gdy szybkim krokiem pokonał zakręt schodów, niemal ciągnąc ją za sobą.

– Codziennie zmieniam ubranie. – Obejrzał się na nią. – Aha, już wiem, o co ci chodzi. Czemu się nie zmieniam, skoro... Nie, to nieprawda. Wyjaśniam ci o wiele więcej niż kiedyś, czyli jednak jest zmiana.

– Nie zająknęłaś się, że będziemy zatrzymywać się po drodze i że czekają mnie spotkania z wartownikami. Ani też nie raczyłeś wspomnieć o prezentacji przed członkami Rady. Mogłeś dać mi znać wcześniej. Uprzedzić mnie.

– Po co? Lepiej sobie radzisz, gdy nie masz czasu myśleć i się denerwować.

Milczała, bo nie mogła odmówić mu racji.

– I w obu wypadkach bardzo dobrze sobie poradziłaś. A teraz możesz mówić, ile chcesz, albo jeśli wolisz, milczeć, bo będziemy w rodzinnym gronie. – Skręcił za sklepieniem przejściem. – Założę się o worek kamieni Trolli, że matka się nie przebrała.

Rozdział 18

Breen nie nazwałaby tej komnaty przytulną, ale w przeciwieństwie do ogromnej sali bankietowej to pomieszczenie nie przytłaczało wielkością.

Ogień trzaskał w kominku, dziesiątki świec rzucały nastrojowe światło. Na końcu stołu, który mógł spokojnie pomieścić piętnaście osób, stały cztery nakrycia. Wszystko tutaj lśniło; porcelana, krzesła, pięknie rzeźbiony bufet, posadzka. W powietrzu unosił się zapach pomarańczy i wanilii.

Keegan skierował się prostu do bufetu, nalał wina do kieliszka i napełnił kufel piwem.

– Obojgu nam się należy – powiedział, podając kieliszek Breen.

Przechadzała się z kieliszkiem po komnacie, podziwiając witraże z latającymi smokami w dwóch lukowych oknach oraz misterne krajobrazowe gobeliny przedstawiające morze, wzgórza, wsie i farmy.

– Po jednym od każdego plemienia w Talamh – wyjaśnił. – Wiszą tutaj, odkąd stoją te mury.

– A wyglądają, jakby utkano je wczoraj. Kolory są takie wyraźne. Ciekawe, czy akurat tutaj jadłam posiłki, gdy w dzieciństwie przyjechałam na Osąd?

– Nie. Twoja matka tego nie chciała. Twój ojciec oddał tę komnatę mojej rodzinie na kilka dni. To był ładny gest z jego strony, byliśmy wtedy w żałobie, a to miejsce zapewniało nam ciepło i prywatność. Może wcześniej tutaj jadałaś, ale nie powiem ci tego.

– Możliwe. Co prawda sala nie wydaje mi się znajoma, jednak potrafię wyobrazić sobie tutaj mojego tatę z babcią, gdy była *taoiseachem*. No i później, kiedy sam podjął miecz. A także z twoim ojcem, bo oni byli dla siebie jak bracia.

– Tak, to prawda.

Do komnaty weszła Tarryn wsparta na ramieniu Mahona. Breen zauważyła, że gdyby się założyli o jej ubranie, zakład wygrałby Keegan.

– Ach, jak dobrze znaleźć się tutaj po tych korowodach. Breen, wspaniale sobie poradziłaś. Neo, zazwyczaj taki nieufny i sceptyczny, był tobą zachwycony. I powiem ci, że ten trencz zrobił swoje. Dodał ci powagi.

Keegan ze zdecydowanie złośliwym uśmiechem podniósł kufel do ust.

– Mamo, co ci podać?

– Tak jak Breen napiję się wina. A Mahon zapewne wybierze kufel.

– Jak ty dobrze mnie znasz.

– Żebyś wiedział. Siadajmy, niech już wniosą jedzenie, bo umieram z głodu. Marzyłam o herbach, słuchając pyskówki dwóch głupich kobiet kłócących się o owcze runo, która jeszcze jest na owcach. Mają podzielić się po połowie i niech się cieszą. – Usiadła i uśmiechnęła się do Keegana. – Sprawa zamknięta.

– Masz nieskończone pokłady cierpliwości, mądrość wszystkich sów w całym Talamh.

– Karmi mnie tymi słodkimi słówkami, żeby sam nie musiał słuchać tych głupot.

– Ojoj, wysłuchuję ich mnóstwo – odparł Keegan i gdy matka usiadła, postawił przed nią kieliszek z winem.

– Chodź, Breen, siadaj koło mnie i opowiadaj, co tam słychać w dolinie – poprosiła.

Kolacja upływała w miłej, swobodnej atmosferze. Rozmawiali o sprawach rodzinnych i opowiadali anegdoty, jedli pieczone kurczaki z ziemniakami i świeżymi warzywami z farmy Seamusa.

Zrelaksowana Breen sączyła wino, czując ogarniającą ją senność.

Kiedy posprzątało talerze po kolacji i na stół wjechała patera z ciastkami z kremem, Keegan poprawił się na krześle.

– Przykro mi, że muszę w tej chwili o tym z wami rozmawiać, ale pewne sprawy wymagają omówienia przed jutrzejszą Radą.

– Siedzimy tu razem nie tylko dlatego, że jesteśmy rodziną – przypomniała mu matka. – Nam wszystkim leży na sercu dobro Fey, Talamh i innych światów. Nie uciekamy od rozmów o poważnych sprawach.

– W takim razie powiem wam, że na wszystkich portalach Talamh, poza Powitalnym Drzewem i Drzewem z Węży, zarysowuje się cień, szczelina wyryta przez Odrana i Yseult za pomocą jakiejś ich czarnej magii. Co do tych dwóch drzew też nie jestem pewien, dopóki Breen ich nie sprawdzi.

– Powitalne Drzewo?

Zbył jej zdziwienie wzruszeniem ramion.

– Nie widzę sposobu, żeby mogli przez nie się przedrzeć. Zakłęcie, które je chroni, jest starsze od Talamh. Czy on potrafi je złamać? Myślę, że potrzebuje większej mocy niż ta, którą w tej chwili dyspo-

nuje. Większej niż wasza czy czyjakolwiek.

– Dochodzi też kwestia logistyki – wtrącił Mahon. – To zakłęcie jest poza jego zasięgiem. Musiałyby zgromadzić potężne siły w Talamh, żeby przełamać wszystkie zabezpieczenia. Jeśli chodzi o Drzewo z Węży, to już raz tamtędy się przedostał.

– Obecnie pieczęć jest tam mocniejsza. – Tarryn wstała i marszcząc brwi, naląła im herbaty. – A co z portalem do Świata Mroku?

– Chcę, żeby Breen również na ten portal rzuciła okiem. Co prawda banici są bezsilni, lecz na miejscu Odrana właśnie tam bym napierał i to zdecydowanie. Poszukałbym sposobu, żeby uwolnić tych, którzy złamali święte prawa, odebrali komuś życie, byli jego zausznikami. Oni chętnie powiększyliby jego oddziały.

– O tym wszystkim będę mówił na jutrzejszym posiedzeniu Rady. I Jeszcze jedna sprawa – dodał. – Po co trwonić tyle krwi i mocy – uniósł wysoko jedną rękę – na zdobycie garstki szpiegów przekazujących mu informacje? – Drugą nisko opuścił dla zademonstrowania braku równowagi. – Gdzie sens, żeby płacić aż tyle za tak niewiele? Jednak jeżeli celem jest poszerzenie tych szczelin, żeby przedrzeć się przez nie wszystkie jednocześnie, to wtedy...? – Odwrócił obie dłonie wnętrzem do góry. – Niewielka cena za zaatakowanie Talamh ze wszystkich stron. Myślę, że wykonanie szczeliny na Południu oraz w Drzewie z Węży to preludium przed właściwą akcją.

– Czy to, co mówisz o sile, koordynacji, liczebności – Tarryn położyła dłoń na jego ramieniu – jest aktualne?

– Nie mam pojęcia, ale wiem, że on bez wahania przeleje morze krwi, żeby spróbować. Ilu skuszonych wizją bogactw i żądzą mordu pójdzie za nim? Ilu ma prawdziwych wyznawców takich jak Toric i jemu podobni? Mówię, że musimy tak działać, jakby w każdej chwili chciał i mógł nas zaatakować. Fey nie mogą dać się zaskoczyć.

– To oczywiste, że będziemy walczyć do ostatniej kropli krwi. Jak według ciebie powinny wyglądać przygotowania? – zapytał Mahon.

– Będziemy działać strategicznie. – Keegan zerknął na Breen. – Tak jak na Południu, chociaż tam niewiele brakowało, abyśmy się spóźnili. Będziemy zmieniać miejsca ćwiczeń, do każdego portalu będziemy delegować doświadczonych wojowników, żeby ci świeżo upieczeni szybko się przy nich szkolili.

– Keeganie, chyba nie myślisz o wysyłaniu dzieci na front?

– Mamo. – Popatrzył na nią z wyrzutem. – Pozabijałyby ich albo zgotowałyby im straszny los. Tym za młodym na walkę mieczem czy strzelanie z łuku lub na to za starym pozostaje moc. Taka moc skrzy się w Finianie, synku Aisling. I dobrze, żeby się nauczył jej używać. Przykro mi z tego powodu. Wołałbym, aby...

– Nie, nie musisz się tłumaczyć. Naturalnie, masz rację. Z całego serca pragnę, aby nadszedł taki dzień, żeby dzieci były dziećmi i nie słyszały o wojnie. A co z tymi, którzy już nie mogą walczyć?

– Przygotujemy dla nich schronienia, możliwie najbezpieczniejsze, i postawimy strażę. Spędziłem wiele cholernych godzin w Komnacie Map, analizując, gdzie i jak najlepiej je rozmieścić.

– A co, jeśli... – odezwała się Breen. – Z góry zastrzegam, że nie mam o tym wszystkim pojęcia, choć rozumiem, że liczysz się z atakiem z zaskoczenia, tak jak to przewidziałeś na Południu?

– To nam dają przewagę, gdy on uważa, że ma ją nad nami.

– Jednak kiedy zaczniesz przenosić oddziały i zmieniać miejsca ćwiczeń, jego szpiedzy czy zwiadowcy na pewno mu o tym doniosą, prawda?

– To dobre pytanie, jak na kogoś, kto twierdzi, że nie ma pojęcia o taktyce i strategii. Widzisz, ważne, aby unikać rutyny. Ciągła zmiana zasad działania, przenoszenie niektórych ludzi bliżej domu, a innych, takich, którym przyda się większa dyscyplina, dalej od rodzinnych stron. Należy zabezpieczyć też obszary, gdzie nie ma w pobliżu oddziałów i możliwości szkolenia. Zapewnić wsparcie handlu i pomoc w wiosennych zasiewach oraz opiece nad zwierzętami.

– To coś w rodzaju rotacji.

– Tak, można tak to ująć.

Wstał i wyciągnął przed siebie obie ręce. Na ścianie był fresk podobny do tego na sklepieniu w jego sypialni.

– To mapa Talamh z zaznaczonymi portalami. Tutaj mamy nieużytki, ziemia leży odłogiem i my to wykorzystamy. Natomiast w tej wiosce przydałyby się pomoc przy kryciu dachów lub naprawie murów, w zależności od potrzeby. Będziemy tam ćwiczyć, a w wolnym czasie pomagać mieszkańcom. Te lasy tutaj, tutaj i tutaj – kto zauważy, gdy więcej ludzi rozbije tam obozowiska czy będzie polować?

– Świeże oddziały na Południe. – Mahon pokiwał głową, studiując mapę Keegana. – To priorytet. Podobnie jak Daleka Północ, gdzie klimat jest zdecydowanie ostrzejszy. Niektórym z naszych przyda się pobyt w nieco twardszych warunkach.

– To także szansa dla tych, którzy rzadko oddalają się od domu – dodała Tarryn. – Niech zobaczą trochę świata. Przy ciągłej rotacji łatwiej ukryć zwiększoną liczbę oddziałów.

– Zastanawiam się, czy...

– Och, mówże kobieto – burknął niecierpliwie Keegan, gdy Breen się zawahała.

– Wiem, że to może brzmieć niepoważnie, ale gdybyś zaplanował... ogłosił popisy, konkursy? Strzelanie z łuku, wyścigi, jazda konna i tym podobne rzeczy? – Przyszły jej na myśl renesansowe jarmarki. – Rękodzieło, pokazy rzemiosła, gry dla dzieci, muzyka. Rywalizacja. Nagrody za sukcesy. Kiedy uczyłam w szkole, dzieci zwykle chętniej pracowały, jeżeli wiedziały, że dostaną coś w zamian lub będą mogły się pochwalić. Wszystko będzie wyglądało tak, jakby nic szczególnego się nie działo. Ot, ludzie organizują targi i dobrze się bawią.

– Nic nie wiesz o taktyce, prawda? To jest genialne. Jedzenie, muzyka – spekulował Keegan. – Konkursy, popisy żonglerów i takie tam. Że niby wszyscy jesteśmy jak barany prowadzone na rzeź, tak? W Stolicy, w środkowej części kraju, na Dalekiej Północy, w dolinie, na Południu, na Dalekim Zachodzie, w obozach Trolli, Elfów i tak dalej, i tak dalej.

– A my dopilnujemy, żeby on zobaczył – odpowiedział Mahon – jak Fey niefrasobliwie się bawią na drodze do zagłady.

– Zatrzymaliśmy go na Południu i tutaj – dodała Tarryn, patrząc na fresk. – Czyli Córka jest bezpieczna. Wraz z nadejściem wiosny zajmują nas prace polowe, zasiewy, sadzenie. Oczywiście, ćwiczymy jak zawsze, ale wierzymy w pokój.

– A latem pojawiają się plony i cieszy obfitość – kontynuował Keegan. – Więc świętujemy, nagradzamy utalentowanych, tańczymy do dźwięków fujarek. Akurat wtedy mija rok od powrotu Córki. Urządzamy festyny w całym Talamh, aby uczcić rocznicę powrotu Córki.

– Ale, Keeganie...

– To dobra taktyka. – Nie dał Breen dojść do słowa i kontynuował podniecony. – Czy ja, *taoiseach*, nie chciałbym uczcić takiego roku? To dowód pewności siebie. Czy Talamh, po cierpieniu i żałobie, nie zasługuje na czas tańców i zabawy? Jeżeli Odran zaatakuję wcześniej, będziemy gotowi. Ale jeśli będzie zwlekał, a ja na jego miejscu poczekałbym z atakiem, aż zapanuje tu ogólna radość, to, na wszystkich bogów, w czasie letniego przesilenia, gdy światło należy do nas, nastąpi jego koniec.

*

O brzasku poszła z Keeganem i Fałem do lasu, gdzie wcześniej walczyła i, zakrwawiona, zabijała i gdzie tyłu Fey straciło życie. Okazało się, że zapamiętała drogę, że znalazłaby ją nawet po ciemku.

Fałel nie dokazywał ani się nie oddalał, czuła, że jemu ten las też utkwiał w pamięci. Kiedy zatrzymała się przed drzewem, które nie było drzewem, pies stanął przy niej spięty i czujny.

– Teraz nie ma czego tu się obawiać – zaczął Keegan, ale ona potrząsnęła głową.

– Nieprawda. On jest blisko, niemal słyszę jego oddech.

Keegan wziął ją za rękę.

– Nie daj się wciągnąć jak ostatnim razem. Trzymam cię. Jesteś bezpieczna.

– Dzieliłiśmy wizję tamtej strony, jego strony. Jak on wtedy napierał. To było wiosną albo wczesnym latem.

– Pamiętam.

– Czyżby zapowiedź? Nie wiem. Jednak Odran działa, Keeganie, i nawet gdzieś blisko. To miejsce jest jak wodospad w dolinie. Dla niego to klucz. Siedlisko mocy. On zaczął w dolinie. Tam został poczęty mój ojciec, ja się urodziłam. Ty przyszedłeś na świat.

– Nie widzę cienia. Patrę za każdym razem, gdy przyjeżdżam na wschód i nic nie widzę.

– Ja go wyczuwam. To miejsce, tak jak wodospad, prowadzi bezpośrednio do niego. On nie musi przechodzić przez inne światy, inne portale, aby dotrzeć do tych dwóch miejsc. Morze krwi, jak powiedziałeś – wyszeptwała. – Użyj każdej kropli, żeby znowu otworzyć ten portal.

– Dobrze. W takim razie przygotujemy się. Musisz tak samo sprawdzić portal do Świata Mroku. Ja tam niczego nie widzę ani nie wyczuwam.

– Ale coś tam czujesz? – zapytała, gdy zaczął ją prowadzić.

– Rozpacz, wściekłość, rozgoryczenie, żądzę krwi. I nienawiść. Ci, co tam są uwięzieni, niczego więcej nie czują.

Las wokół nich był taki piękny. Krył w sobie tyle obietnic. Powietrze miało zapach świerkowych igieł. Pączki na gałęziach, jeszcze ciasno zamknięte, nadal spały. Tutaj światło i cień razem tańczyły. Myszołów czerwonoskrzydły przeciął tę grę światła w pościgu za zdobyczą.

Kiedy dotarli do portalu i kamienia, który go oznaczał, przebiegł ją dreszcz. Chłodne powietrze stało się lodowate i ostre, światło przygasło do wirujących cieni. W nich poczuła to wszystko, co powiedział Keegan. I nic więcej.

– Nie podchodź. Stój tutaj. – Przycisnął dłoń do jej serca. – Nie możesz przejąć ich bólu. I pamiętaj, że każdy z nich poderżnąłby ci gardło, gdyby mógł wydostać się stąd.

– Ilu ich jest?

– Nawet gdyby był jeden, to i tak za dużo, a jest ich wielu. Odsuń się, *mo bandia*.

– Oni zabijają się nawzajem dla zabawy.

– Wiem.

– Nigdy nie ujrzą światła. – Cofnęła się. – On też o tym wie. Karmi się ich gniewem i strachem. Wykorzystuje tych o słabszych umysłach. Sączy im do uszu na zmianę obietnice i groźby. Wielb mnie, ukorz się, a dam ci okazję do zemsty.

– Breen.

Widział, jak jej oczy pociemniały, a głos nabrał głębi. Chciał ją odciągnąć, ale strząsnęła jego rękę.

– On na swój sposób tam rządzi. Z daleka, ze swojego zamku. Upaja się ich cierpieniem, pyszni się tym, że wielu wciąż przed nim klęka. Tylko przed nim. Szepty i groźby. Szepty i obietnice w czasie ich niespokojnego snu i gniewnego czuwania. Zabij pierwszego, którego zobaczysz, i jego krwią wysmaruj kamienie. Któregoś dnia, tych, co na to zasłużą, wyprowadzę na wolność, żeby mogli gwałcić, mordować i podpalać wszystkie światy. Poznacie moją wielkość i będziecie się kapać we krwi.

– Chwalcie moje imię! – krzyknęła. – Bo jestem Odranem, bogiem wszystkich i wszystkiego.

Osunęła się na kolana bez tchu. Fąfel, dygocząc, przywarł do niej. Wskazała palcem w górę.

– Cień. Tam jest cień.

– Chodźmy stąd.

– Nic mi nie jest. Keeganie, on rządzi w Świecie Mroku. Więcej go nie otwieraj. Jemu na tym zależy. Kiedy to robisz, szczelina się rozszerza. Ci, których wytropiłeś i wysłałeś tam po Osądzie, mu sprzyjają. On wykorzystuje ten rytuał do powiększania szczeliny.

– W takim razie nie będę tego robił. – Uklęknął przy niej i objął dłońmi jej twarz. – Jesteś zimna jak lód. Zbierajmy się stąd.

– Muszę... – Obejrzała się na kamień. – To potępieńcy. Niektórzy tracą rozum, inni trwają w szaleństwie. Jednak żaden z nich nie czuje skruchy. Czy to właściwe słowo? Ani jeden nie żałuje. Dopóki istnieje Odran, nie otwieraj więcej Świata Mroku. On wykorzysta i ich, i to miejsce.

– Masz na to moje słowo. Na bogów, odejźmy stąd.

Podniósł ją z kolan i na wpół niosąc, wyprowadził z polany.

– On chyba mnie nie słyszał przez ich wrzaski i przekleństwa. Ha, one są dla niego jak muzyka. Zwolnijmy. Naprawdę nic mi nie jest. Tam było tak zimno i przytłaczająco. Ale nic mi się nie stało. Nam nic się nie stało.

Przystanąła i żeby się rozgrzać, zanurzyła dłonie w sierści Fąfla. Podniosła oczy na Keegana.

– Rzadko dochodzi do banicji, choć wiem, że w ostatnim czasie było ich sporo, ale w całej historii nieczęsto się zdarzały.

– To prawda.

– A każde takie zesłanie sprawia mu radość. Marco ma rację, mówiąc, że to szaleniec. Jest wcieleństwem zła i zła w innych go upaja. Oba portale w tych lasach prowadzą do mroku i oba należą bardziej do niego niż do nas.

– Potem, kiedy będzie po wszystkim, te lasy zostaną oczyszczone i poświęcone. A Drzewo z Węży zniszczymy.

– Myślę, że nie powinieneś go niszczyć. Ja... ono znowu rozkwitnie, Keeganie. Gdy światło pokona mrok, ono pokryje się kwieciami. I urodzi owoce. *Realta milis*.

Stał i popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Skąd to znasz?

– Nie mam pojęcia. To bardzo słodki owoc i niebieski jak niebo, prawda? Ma kształt gruszki, a kiedy dojrzeje, u podstawy pojawia się biała gwiazdka. Czy on naprawdę istnieje?

– Dotąd sądziłem, że nie. Owszem, pojawia się w mitach. To owoc bogów. Nie ma takiego

drzewa w Talamh.

– Może będzie.

– Może. Jedno wiem na pewno; po wszystkim będę się modlił do bogów, abym nie musiał już nigdy wysyłać nikogo do Świata Mroku. Teraz, jeżeli tak nakazuje Osąd, wyrok musi być wykonany.

Roztarł jej dłonie, żeby je rozgrzać.

– To cię dużo kosztowało. Wybacz mi. Ale dzięki tobie mogę więcej informacji przekazać Radzie.

Przełożył zebranie na popołudnie.

– Nie rób tego. Ja naprawdę dobrze się czuję. Nie zwlekaj z tym, co zaplanowałeś.

Kiedy wyszli z lasu, spojrzła na plac ćwiczebny.

– Keeganie, przecież to młodziki. Prawie dzieci.

– Będziemy ich chronić, Breen. Jednak jeżeli front się załamie, chcę, żeby młodzi umieli sami się obronić. Spójrz tam, tylko popatrz.

Obrócił ją twarzą do wioski u stóp wzgórza.

– Tu widać życie, może zbyt bujne jak na mój gust. Za duży tłok. Ale ludzie tutaj nie krzywdzą się nawzajem. Owszem, na pewno zdarzają się utarczki, ale nikt nikomu nie robi krzywdy. Oni tworzą, budują, hodują. Zobacz w tamtej kobiecie idącej na targ rośnie nowe życie, a drugie już urodzone trzyma ją za rękę.

– Widzisz wozy zładowane towarami na barter. Otwierają się stragany i sklepy. Swetry, szale, rzeczy tak proste jak ciepłe skarpety oraz wyrafinowane jak tamten kryształowy wazon mienią się kolorami. Z komina szkoły leci dym. Ci, którzy tam uczą, ogrzewają ją dla dzieci, które niedługo przyjdą i będą żałować, że zamiast hasać na dworze muszą ślepczyć nad książkami. Przy studni też toczy się życie; kobiety czerpią wodę i radość z plotkowania.

Widziała to wszystko tak jak on i wiedziała, że niezależnie od tego, co mówił o tłoku, kochał to miejsce i darzył szacunkiem. Odchylił jej głowę, żeby popatrzyła w górę.

– Zobacz, smoki i ich jeźdźcy na niebie otwartym dla wszystkich i każdego, kto lata. Ono jest tak samo moje, jak i twoje, Breen. Nie pozwolimy Odranowi tego wszystkiego nam odebrać. Nie stracimy tego.

– Sprawiasz, że głęboko w to wierzę.

– I powinnaś. Jesteś kluczem, mostem i przede wszystkim należysz do Fey.

Nie spuszczał z niej zielonych oczu jeszcze bardziej zielonych od otaczających ich wzgórz.

– To twoje życie. Oprócz mocy, którą masz, i obowiązku, który z niej wynika, jest spacer nad rzeką, plotki przy studni, jazda na dobrym koniu. To dobrze przeżywane życie, cokolwiek ono ze sobą niesie.

Kochała go i wiedziała, że to wszystko, co powiedział, było tylko jednym z powodów, dla których darzyła go miłością.

– Wybrany i dobrze wybierający – odezwała się, ujmując w dłonie jego twarz. – *Taoiseachu*, idź na zebranie. Mamy świat do ocalenia i życie do przeżycia.

– Odszukam cię, jak skończymy. Mam nadzieję, że jutro wrócimy do domu.

Kiedy odszedł, chwilę spacerowała po wzgórzach, wczuwając się w toczące się wokół życie. Przystanęła na moście, pozwoliła Fąłlowi popluskąć się w rzece, a potem razem z nim przeszła do wioski.

Może dla Keegana była zbyt ludna i tętniąca życiem, dla niej miała swój urok. Napawała oczy bogactwem kolorów, cieszył ją gwar mieszających się głosów. Zauważyła Kiarę z małym dzieckiem na biodrze i koszykiem przewieszonym przez ramię. Pomachała do niej i skrzyła w jej stronę.

– Jaka śliczna dziewczynka.

– A to jest Fi, najmłodsza córeczka Katie. Obiecałam jej, że wracając do maluchów, zabiorę ją ze sobą. Mam jeszcze chwilę, jeżeli więc idziesz na zakupy, chętnie ci potowarzyszę.

– Właściwie... chciałabym cię o coś poprosić.

– Jasne, nie ma sprawy.

– Mogłabyś na godzinę wziąć Fąfla, żeby pobawił się z dziećmi i psami?

– Wszyscy będziemy zachwyceni. A gdzie się wybierasz?

– Mam nadzieję, że wiesz, jak trafić do chaty Dorcas, Starej Matki?

– Pewnie, że wiem, ale na bogów, Breen, ona zagada cię na śmierć. I trzyma mnóstwo kotów.

U niej w domu poruszasz jak w futrzanej rzece.

– Dlatego chciałabym, żebyś wzięła Fąfla. Chcę ją o coś zapytać.

– Jeżeli ona nie zna odpowiedzi, to nikt inny na pewno jej nie zna. Mimo wszystko serdecznie ci współczuję z powodu tej wizyty. Widzisz tę drogę, wzdłuż straganów, która dalej biegnie w lewo? Idź nią

i zaraz za żółtą chatą skręć w prawo na ścieżkę. Dojdiesz nią do lasu, a gdy na rozwidleniu ruszysz w lewo, zobaczysz chatę Dorcas. Stoi otoczona drzewami, robi wrażenie przytulnej i ma czerwone drzwi. Na pewno snuje się tam z pół tuzina kotów. Aż dziw, że przy takim zwierzyńcu ogród jest zadbane.

– Dzięki. Fąfel, pójdiesz teraz z Kiarą, pobawisz się z dziećmi. Niedługo po ciebie przyjdę.

– Zobaczysz, jeżeli nie uda ci się uciec, przytrzyma cię do przyszłego roku. Poczęstuje cię herbatą i herbatnikami! – zawołała za oddalającą się Breen. – Jedno i drugie okropne!

Nie będzie tak źle, pomyślała. No i ma przyjemny spacer. Wiedziała od Keegana, że kiedyś rozmawiał z Dorcas i straszliwie się umęczył. Staruszka nie słyszała o demonie w Odranie, ale obiecała przewertować swoje księgi i tam poszukać odpowiedzi.

Może coś znalazła. Może podsunie pomysł na nowy sposób walki z Odraniem.

W najgorszym wypadku spędzę godzinę, pomyślała Breen, słuchając gadaniny bardzo wiekowej kobiety, otoczona stadem kotów.

Lubiła koty.

Spodobała jej się żółta chata z młodą kobietą w niebieskiej sukni na ganku i barwnymi szalami suszącymi się na sznurze. Podobała się pofałdowana łąka, na której krępy szary osioł zdawał się pilnować owiec zbitych w stado podobne do wełnistej chmury.

Zgodnie ze wskazówkami Kiary weszła na leśną ścieżkę. Dochodziło południe i światło mocniej przesączało się przez gałęzie drzew.

Wcześniej Keegan zwrócił jej uwagę na życie tętniące we wsi, a teraz ona wyczuwała takie samo bujne życie w lesie. Śpi lis, brązowy królik drapie się po uchu tylną łapką, czmycha mysz, pasą się dwa jelenie, puchacz drzemie w kryjówce na drzewie.

Wysłuchana w mowę lasu, doszła do rozwidlenia. W wąskim strumyku wijącym się wzdłuż drogi woda z pluskiem obmywała otoczaki wygładzone przez niekończący się przepływ wody.

Nad jej głową przeleciał smok z szeroko rozłożonymi skrzydłami, jego łuski błyszcząły jak ametysty. Osłaniał sobą młodego smoka. Jeszcze nieopierzony maluch prawdopodobnie odbywał swój pierwszy lot.

Nie słyszała treli ptaków, ale czuła, że siedzą przycupnięte na gałęziach i krążą ponad drzewami. Wiewiórka przebiegła z żółędziem ukrytym w pyszczku. Pewnie ucieka przed kotem, pomyślała. Nie, dwoma kotami, poprawiła się.

Czterema. Zobaczyła cztery koty, jak tylko wyszła z lasu prosto na ścieżkę przed jaskrawoczerwonymi drzwiami. Trzy inne drzemały zwinięte w kłębek na małym ganku. Jeden siedział nieruchomo na brzegu strzechy niczym gargulec.

Kobieta w długiej szarej sukni przepasanej białym fartuchem, z wyblakłym niebieskim szalem narzuconym na ramiona czerpała wodę ze studni.

Splątane włosy, szare jak suknia, sięgały jej poniżej pasa. Kiedy wyciągała wiadro ze studni, na patykowatych ramionach wyraźnie zaznaczyły się mięśnie. Wokół jej nóg wiło się kolejnych kilka kotów. Buty miała ze spiczastymi noskami, natomiast obcasy przypominały masywne kopyta tamtego osła na łące. Na widok Breen uniosła podbródek, tak samo spiczasty jak czubki butów. W pomarszczonej jak pognieciony papier twarzy o cerze w kolorze żółędzi błyszcząły niebieskie oczy.

Breen uderzyła myśl, że ma przed sobą gotową historię, którą być może kiedyś wykorzysta. Do jakiegoś zwrotu akcji w tradycyjnej baśni. Wiedźma otoczona kotami w leśnej chatce. Zaklęta czy rzucająca zaklęcia? To coś do przemyślenia na później.

Skrzekliwy głos Dorcas wypełnił chłodne powietrze.

– A oto i Córka O’Ceallaigha, dobrego, godnego człowieka, bo taki był. Niech bogowie czuwają nad nim w jego podróży.

Głos, chociaż starczy, miała tak samo magnetyczny jak oczy.

– Bez wątpienia jesteś podobna do niego i Mairghread. Dawno Marg nie widziałam. Mam nadzieję, że ona i Sedric, jej kot, są w dobrym zdrowiu

– Tak, obojgu zdrowie dopisuje. Dziękuję, Stara Matko. Proszę mi pozwolić zanieść to wiadro.

– Och, chętnie, bo masz młodsze ramiona od moich. Czajnik z wrzątkiem czeka na kuchni. Rano świerzbiły mnie palce, a potem przewróciła się miotła. Ktoś przyjdzie w gości, zapowiedziałam tym oto moim przyjaciółom. No i mam świeże herbatniki do herbaty.

Dorcas szła między kotami, a one, mrucząc, ocierały się o jej nogi. Kiedy Breen ruszyła za nią z wiadrem, bardzo uważała, by nie nadepnąć któremuś na ogon. Dorcas przystanąła na progu i trzy razy zapukała knykciami w drzwi.

– Trzykrotne pukanie na gościa witanie.

– Och, dziękuję.
Breen, omijając koty, przeszła przez czerwone drzwi.

Rozdział 19

Chata z ciasnymi pomieszczeniami i niewielkimi meblami skojarzyła się Breen z domkiem dla lalek, a właściwie z powodu panującego wewnątrz półmroku z domem laleczki Chucky z horroru. Nie wiele światła wpadało przez okna obwieszane suszącymi się ziołami. Na wąskich parapetach tłoczyły się książki, kawałki drewna, kamienie i oczywiście koty.

Wszędzie koty. Wylegiwały się na krzesłach niczym żywe pokrycia, spały zwinięte na poduszkach, ocierały się o nogi chybotliwych krzesel. Dwa, szczególnie dostojne, siedziały nieruchomo niczym posągi na masywnym, misternie pomalowanym gzysie kominka nad buchającym ogniem, pośród tuzina w połowie wypalonych świec oraz leżących tam książek. Breen była zaskoczona, że przy takiej liczbie kotów w chacie nie ma zaduchu. W powietrzu unosił się jedynie zapach ziół, woskowych świec i kurzu, zmieszany z aromatem kwiatów pomarańczy, bo na półce z książkami stała doniczka z mniej więcej trzydziestocentymetrowym bujnie kwitnącym drzewkiem pomarańczowym.

– Postaw tutaj to wiadro. – Dorcas, lawirując między kotami, przeszła do pomieszczenia kuchennego z rozgrzaną do czerwoności płytą żeliwnej kuchni.

– Czyż nie upiekłam rano herbatników dla gości? Oczywiście nie wiedziałam, że odwiedzi mnie Córka O’Ceallaigha. Usiądź, proszę, napijemy się herbaty i porozmawiamy.

Gdzie mam usiąść, zdążyła pomyśleć Breen, zanim Dorcas pogroziła palcem kotu leżącemu na jednym z małych drewnianych krzesel. Rude, przegowane kocisko zsunęło się z gracją na podłogę.

Kiedy Breen usiadła, kot wskoczył jej na kolana, pokręcił się przez chwilę i zwinięty w kłębek, z powrotem zapadł w sen.

– To Rory, jest bardzo łowny, ale najchętniej przesypiałby całe dnie i noce. Koty to dobre towarzystwo – ciągnęła, odmierzając coś ze słoja do pękatego brązowego imbryka i zalewając to wrzątkiem. – Z wiekiem doszłam do wniosku, że one mają więcej rozumu od co poniektórych chodzących na dwóch nogach.

Z innego słoja wyjęła herbatniki, prawie w kolorze imbryka. Gdy układała je na ciemnozielonym talerzu, stukały jak kamienie.

– Ty zdaje się masz psa? Spaniela wodnego. Przynajmniej tak słyszałam.

– Tak, ja...

– Psy to też dobre towarzystwo, tylko brakuje im niezależności. I nie są przebiegłe. A ja podziwiam przebiegłość. Ty też nie jesteś zbyt przebiegła. Ucz się jej od kotów, bo to cenna cecha.

Dorcas przeniosła ze stołu na podłogę chwiejącą się stertę książek z siedzącym na wierzchu kotem i postawiła na blacie talerz z herbatnikami.

– Młody Keegan niedawno był u mnie.

– Tak. On...

– Demon mieszka w bogu, ponoć ty mu tak mówiłaś. Tak samo jest i w tobie. To ci da pewną przebiegłość, jeśli zajdzie potrzeba.

Nalała herbaty do dwóch czerwonych filiżanek i przyniosła je na stół.

– Dziękuję. Zastanawia mnie...

– Powiedziałaś młodemu Keeganowi – przystojny z niego chłop, a swego czasu znałam wielu przystojniaków. Między innymi twojego ojca. A jaki on miał głos ten Eian! Podobno też jesteś muzykalna. Podziwiam dobre głosy. Koty ciągle mi śpiewają. Hej, Mary, zanuć nam coś.

Lśniaca czarna kotka uniosła łepkę znad poduszki i zaśpiewała. Raczej zamiauczała, ale Breen musiała przyznać, że zabrzmiało to melodyjnie i przyjemnie dla ucha.

Roześmiała się, a Dorcas w szerokim uśmiechu odsłoniła komplet zdrowych zębów.

– Kiedy gram na akordeonie – a to początek i koniec moich muzycznych talentów – one wszystkie biorą się do śpiewania. Poczęstuj się herbatnikiem, Córko, i pamiętaj o herbacie. Chcesz usłyszeć to, czego młody Keegan miał nadzieję się dowiedzieć.

– Mówił, że nie wiesz na pewno, ale spróbujesz to sprawdzić. Widziałam...

– Tak, tak, zobaczyłaś w nim demona podczas mrocznego rytuału składania ofiary krwi. Odran też jest przystojny – widywałam go, gdy Marg była *taoiseachem*. Jednakże w tym przypadku powab jest kłamstwem. Nie maską, bo maski służą do sztuczek i prostych oszustw. Jego powab, jak wszystko w nim, jest mistyfikacją. On kryje w sobie bestię.

Krtań Breen zacisnął nerwowy skurcz.

– Demona?

– Ach, martwisz się, że w tobie też jest demon, mrok, okrutna istota, żądza krwi. Dziecko,

demony nie są tak proste. Nic, co żyje, proste nie jest. Miałaś krew na tych ładnych dłoniach zarówno przy uzdrawianiu, jak i podczas bitwy. Myślałaś, żeby jej spróbować? Budziła w tobie głód?

– Nie. – Zszokowana pytaniem i... przebiegłym wyrazem oczu Dorcas, machinalnie podniosła herbatnik do ust. Był twardy jak żwir i w smaku przypominał trociny.

– Nie miałaś ochoty nawet jej spróbować czy choćby polizać?

– Nie.

– No właśnie. Twoje ja nie jest żadne krwi. Odran zawsze jej pożądał, jeszcze przed demonem. To pragnienie mocy, która przychodzi wyłącznie poprzez rozlewanie i konsumowanie krwi.

– Przed demonem? Nie rozumiem.

Breen wypięła łyk herbaty, żeby spłukać trociny, które utknęły jej w gardle. Teraz dla odmiany miała w ustach smak liści namoczonych w mętnej wodzie.

– Czy nie zrobiłam tego, o co prosił Keegan? Nawet gdyby nie był przystojny, nie był *taoise-achem*, sprawdziłabym to z czystej ciekawości. Jestem uczoną od pierwszego nabranego oddechu i będę nią do ostatniego. Nie żeby tak mi się do tego spieszyło – dodała i ze smakiem przeżuwała herbatnik.

– Znalazłaś coś, Stara Matko?

– A tak, i to dopiero dziś rano, po tym, jak miotła się przewróciła. Zabrałam się do robienia herbatników dla gości, którzy przyjdą, i cały czas przy tym myślałam, czy przypadkiem nie było czegoś o tym dawno temu. Jakiejś opowieści. Historii w starej księdze pełnej klechd. Mitów z mglistej przeszłości o herosach i czarnych charakterach. Palce mnie świerzbiły i coś męczyło. Być może, myślałam, jak to często bywa, niektóre z tych podań mają w sobie ziarno prawdy.

Sączyła herbatę rozparta na krześle.

– Skoro sama przyszłaś mnie zapytać, nie mam po co słać wiadomości do przystojnego, młodego Keegana. I chociaż miło cię gościć, Córko, trochę mi żal, że on nie przyjdzie na moje herbatniczki. Nadal jestem kobietą i serce mam młode jak wiosna. Sypiasz z nim, co?

– Ja... Tak.

– Ach, zazdrościsz ci, bo wyczuwam w nim gorącą krew, do tego przystojny i ciało ma gibkie. Pamiętam, bardzo dobrze pamiętam, jak to jest kochać się z takim żarliwym młodzianem. W dawnych czasach któryś z pradziadów Keegana był moim kochankiem.

– Och, jego pradiadek?

– Nie całkiem. Nie umiem powiedzieć, ile razy „pra”, no chyba, że zacznę odliczać wstecz, a takie odliczanie przygnębia. Tak, on miał gorącą krew i spędziliśmy ze sobą jedną noc. Jedną długą, wyczerpującą noc. – Zaśmiała się skrzekliwie. – Miał na imię Owain, o ile mnie pamięć nie myli, i dał mi różę, zanim wrócił z powrotem w dolinę. Herbaty?

– Nie, dziękuję. Mówiłaś coś o demonie. W Odranie?

– Błędym świtem, gdy słońce ledwo wzeszło, świerzbiły mnie palce i przewróciła się miotła. I kiedy zagniałałam ciasto na herbatniki dla gościa, który miał przyjść, coś zaświtało mi w głowie. Zastanów się Dorcas, nakazałam sobie. Czy ty czasem o tym nie czytałaś? Dawno temu, w dzieciństwie? No więc biorę się do przeglądania najstarszych moich książek, bo wszystkie księgi w wielkiej bibliotece zamkowej już zdążyłam przewertować. I natrafiam na książkę napisaną w starym języku dawno temu przez kogoś, kto przyszedł na świat przede mną. – Dolała sobie herbaty. – Tak więc, Córko, usiądź wygodnie, jedz herbatnik, a ja ci opowiem o bogu i o demonie, który się w nim zakochał.

Breen posłusznie przeżuła z trudem kęs herbatnika.

– Bardzo dawno temu, zanim powstał Talamh, a światy bogów, ludzi i Fey współistniały w pokoju, gdy we wszystkich światach kwitła magia, w świecie bogów pojawił się jeden taki, który uważał się za lepszego od innych i zapragnął rządzić wszystkim światami. Został spłodzony z chuci, bez uczucia, bez miłości, a urodziła go kobieta o sercu zimnym i twardym jak kamień ze starożytnego ludu bogini Danu. Pokochała to swoje dziecko, tylko dla niego miała miękkie serce, otaczała je zbytkiem i karmiła opowieściami o jego wielkości i przeznaczeniu do panowania.

Dorcas zrobiła przerwę na siorbnięcie herbaty.

– Dziecko karmione mlekiem bezwzględnej matki stawalo się dumne i zuchwałe. Sama powiedz, czy nie tacy właśnie bywają bogowie? I chociaż matka je kochała, rozpieszczała i psuła, spełniając każde jego życzenie, jemu wciąż było za mało. Ona miała wobec niego wielkie plany, jego zaś nużyło jej oddanie. Nie czuł miłości do tej, która nosiła go w łonie i wydała na świat. Była w nim tylko żądza władzy i krwi. Ona, żeby zadowolić syna, w sekrecie składała ofiary z żywych, łamiąc wszelkie prawa bogów, ludzi i Fey. A on, chociaż karmił się ich krwią, pozostawał nienasycony.

Odran, pomyślała Breen, ale się nie odezwała.

– Wtedy pojawiła się kobieta demon, na swój sposób powabna. Młoda i dumna z tego, że mogła przybierać każdą postać, jaką chciała. Legenda głosi, że nie było w niej zła. Prowadziła beztrudne życie, nikomu nie robiąc krzywdy. Matka boga ją wytropiła, ujrzała w niej moc i zwróciła uwagę syna na tę dziewczinę, czystą, potężną i młodą. Bóg udał się do świata demonów, uwodził ją, kusił. Ona go pokochała, ale nie chciała opuścić swojej rodziny. I wtedy on porwał ją siłą i z pomocą matki przywiązał płaczącą do ołtarza i tak zrodził się mroczny rytuał.

Dorcias znowu zrobiła przerwę na parę łyków herbaty.

– Zdaje się, że widziałaś tamten rytuał. – Wycelowowała w Breen spiczasty podbródek. – W tamtej wizji boga i demona w nim.

– On zgwałcił tę dziewczynę demona, zabił ją, wypił jej krew?

– Tak, zrobił to wszystko, gdy płakała zrozpaczona, błagała o litość, wzywała swoją rodzinę, walczyła o życie. Aż w końcu ucichła, bo on ją pochłoniął. Rozumiesz? Jej krew, ciało, kości, jej istotę. Nic z niej nie zostało. A jego matka, widząc to wszystko, patrząc, jak on, niczym zwierzę, pożera ciało i kości dziewczyny, rozumiała, niestety za późno, kogo urodziła i wychowała. Błagała go, żeby przestał. Wtedy zgładził własną matkę i wypił jej krew rozlaną na ołtarzu. Sycąc się krwią rodzonej matki, żywiąc się ciałem demona, zaspokoił tym rytuałem trawiącą go żądzę, a uczując poza wszelkimi prawami, wchłoniął w siebie demona i po części nim się stał. Krew w jego krwi, kość w jego kości, ciało w jego ciele.

Breen poczuła w sobie ciarki, bo miała przed oczami tę scenę. Widziała ją bardzo wyraźnie.

– Wierzysz w to?

– Powiem ci, że tak, a teraz, Córko, słuchaj dalej. Jej krzyki niesły się daleko i szeroko. Bogowie przedarli się przez mur wzniesiony zaklęciem i trafili do sekretnego rytualnego miejsca. Znaleźli martwą matkę, boga bestię i prostą suknię, którą on zdarł z ciała tamtej młodej dziewczyny.

Legenda mówi, że zgładzili go w miejscu, gdzie czynił zło. Wymierzili boską sprawiedliwość gromem i ogniem. Ale ja w to nie wierzę. W znanych mi podaniach o Odranie jest mowa o tym, że bogowie go wypędzili, gdy odkryli, że łamie wszelkie prawa i krwawymi ofiarami wzmacnia swoją moc. Że nigdy nienasycony pije krew, a niektórzy mówią, że zjada ciała Fey, ludzi i mieszkańców innych światów. To jest, myślę, prawdziwe zakończenie tamtej pierwszej historii, którą ci opowiedziałam. Nigdzie nie ma mowy o tym, że Odran pośród przodków miał demona.

– Mówisz, że dziewczyna demon była niewinna, młoda i dobra. To, co ja w nim widziałam...

Dorcias pomachała kościstym palcem.

– Widziałaś jego zepsucie, jego wybór, zło wyrządzone drugiemu dla samej radości. Widziałaś bestię, jaką sam z siebie uczynił. I chociaż go wypędzili, Córko, to, co się stało, doprowadziło do pierwszych pęknięć w światach i utraty zaufania w tamtych czasach jedności. To wszystko, co wiem. Tak samo jak wiem, że dopóki Odran nie zostanie zgładzony, żaden świat nie jest bezpieczny przed jego żądzą. On łaknie ciebie, Córko.

– Wiem.

– A wiesz, jak go unicestwić?

– Ja... A ty wiesz?

– Wiem tyle, że w pieśniach i opowieściach jest mowa o tobie. Jego koniec nadejdzie z ręki Córki. Taka jest nadzieja. Czyn musi pochodzić od ciebie, od ciebie dla ciebie. Bóg zabija boga i być może demon w końcu uwolni demona. – Uśmiechnęła się. – Poczęstuj się herbatniczką.

– Dziękuję, Matko, ale powinnam wracać. Muszę przekazać Keeganowi, co usłyszałam od ciebie.

– W takim razie weź tę książkę. – Podniosła się, przeszła między kotami, które obsiadły ją kołem jak dzieci słuchające bajki. – A jeżeli *taoiseach* nie umie czytać w języku przodków, niech się wstydzi. Ona ma do mnie wrócić – zastrzegła, wyciągając ze stosu cienką książkę w podniszczonej oprawie z brązowej skóry. – Dopilnuj tego.

– Obiecuję.

Dorcias nakryła kościstymi palcami dłoń Breen.

– Moje oczy nadal widzą i widzą ciebie wyraźnie. Nie dziewczica, ale wystarczająco niewinna. Wykorzystaj to, kim jesteś, użyj tego, co masz. Zaufaj, że zostałaś wyposażona we wszelkie przymioty. Jemu pozostał tylko mrok i ci, którzy w nim się poruszają. Ty masz mrok i światło i one ci służą.

– Dziękuję, Matko. Będę strzec książki jak oka w głowie.

– Wiem.

Wyszła na błogi chłód i ściskając książkę, ruszyła ścieżką.

– I pamiętaj, kochaj się żarliwie, Córko!

Obejrzała się rozbawiona. Dorcas stała w drzwiach z jednym kotem na ramieniu i kilkoma wija-

cymi się wokół jej nóg.

– Postaram się! – odkrzyknęła.

Dostała książkę, wracała do zamku z historią i mnóstwem wrażeń. Zanim zdążyła pomyśleć o Fąflu, zobaczyła go, jak razem z Kiarą, Sinead i jeszcze jedną opiekunką oraz kilkoma psami pilnuje gromady dzieci, które bawiły się na trawniku w grę podobną do *Chodzi lisek koło drogi*.

Pies natychmiast przybiegł do niej. Nawet nie zdążyła go zawołać. Okrążył ją i stanął jak wryty z szeroko otwartymi oczami, po czym z wielkim zainteresowaniem obwąchał jej buty i spodnie.

– Koty – wyjaśniła. – Domyślam się, że sam zgadłeś. Nawet w snach nie widziałeś tyłu kotów naraz. – Nachyliła się i porządnie go wygłaskała. – Ale ty zawsze będziesz moją pierwszą miłością.

Podeszła do niej Sinead.

– Jaki dziś ładny dzień. I jak cudownie widzieć tyle szczęśliwych maluchów.

– Czy one się bawią w *Chodzi lisek koło drogi*?

– Tak! Pamiętam, jak ty, Morena i reszta dzieci też w to się bawiliście.

– Kiedy ją goniłam, otwierała skrzydła i latała.

– Tak było. I to mi przypomina, że coś dla ciebie mam. Znajdziesz czas, żeby zajrzeć do moich komnat?

– Naturalnie. – Ale tylko na chwilę, dodała w myślach, przyciskając do siebie książkę.

– Szukałaś samotności, żeby w spokoju poczytać?

– Ach, masz na myśli tę starą książkę? Nie. Muszę zanieść ją Keeganowi. Właśnie wracam od Dorcas. To jej własność.

– Od Dorcas? Czy katowała cię herbatą i herbatnikami, kiedy siedziałaś otoczona kotami?

– Nie rozumiem, dlaczego nazywacie ten płyn herbatą, a to coś herbatnikami. Cóż, właśnie tak było.

– O ile wiem, Keegan jest teraz u Seamusa i Flynn, masz więc czas na filiżankę porządnej herbaty i prawdziwe herbatniki, żeby zabić smak poczęstunku Dorcas.

– Nie odmówię. Ale powiem ci, Sinead, że jestem nią zafascynowana. Nią i jej kotami. – Obejrzała się, idąc. Fąfel cały czas ją obwąchiwał. – Widzę, że mój pies ma podobne wrażenie.

– Uczona Dorcas to niewyczerpane źródło informacji, lecz przysięgam, wolę nie być poinformowana i unikać jej herbaty i herbatników. Jeżeli jeszcze kiedyś się do niej wybierzesz – ciągnęła Sinead, gdy weszły do zamku i wspinały się po schodach – weź ze sobą butelkę wina oraz coś słodkiego – herbatniki, pierniczki, jakieś drobne ciasteczka. Ona będzie zadowolona i oczywiście będzie jej wypadało ciebie nimi poczęstować.

– Czemu na to nie wpadłam?

– Lata temu nauczyłam się tego na bolesnym błędzie. Słyszałam, że prawdopodobnie jutro wracacie w dolinę. – Sinead wzięła Breen pod rękę. – Cieszę się, że mogę ci ukraść trochę czasu.

– To nie kradzież, bo bardzo chętnie go z tobą spędzę.

Weszły do uroczego salonu Sinead. Trudno o większy kontrast niż to miejsce i chata Dorcas, pomyślała Breen.

Mięsiste tkaniny, stonowane kolory, puszyste poduszki. I nigdzie ani jednego kota. Trzy wazon z kwiatami, w oknach zawieszono kryształ, które rozszczepiają światło w tęczę.

– Siadaj, zaraz przyniosę nam herbatniki i herbatę z miodem.

Breen, pamiętając, że Sinead uwielbia pełnić rolę gospodyni, usiadła na sofie, a Fąfel nadal nie odrywał nosa od jej nóg.

– Jak tutaj elegancko. Wszędzie widać twój styl.

Po tym komplementach na policzki Sinead wypłynął rumieniec zadowolenia.

– Flynn twierdzi, że gdybym mogła, układałabym poduszki warstwami – zażartowała, otwierając puszkę z herbatą. – I wcale się nie myli.

Blond włosy jakby muśnięte słońcem miała zebrane w gruby warkocz przepleciony różową wstążką. Suknia w kolorze pudrowego różu sięgała nieco powyżej kostek, ukazując pantofle w tym samym odcieniu co wstążka. W uszach nosiła kryształowe kolczyki, które migotały jak tamte kryształy na oknie.

– Zawsze chodziłaś najładniej ubrana. Pamiętam, że cię prosiłam, żebyś czesała mi włosy. Moja matka nigdy nie miała do tego ręki i jeżeli babci nie było w pobliżu, biegłam do ciebie. Gdy ty mnie uczesałaś, czułam się taka ładna.

– Uwielbiałam zabawy z twoimi włosami. Tą burzą ognistorudych loków poskręcanych w pierścionki. Moja jedyna córka ma włosy proste jak druty. – Przyniosła herbatę i umościła się na poduszce. –

Coraz więcej pamiętasz, prawda?

– Zupełnie jakbym nigdy niczego nie zapomniała. Bardzo wyraźnie widzę wspomnienia z dzieciństwa. Wyraźniej, niż mogłoby się wydawać, bo przecież miałam zaledwie trzy lata, kiedy stąd wyjechałam.

– Myślę, że takie zatarte wspomnienia z czasem powracają jeszcze silniejsze. Twojemu tacie było bardzo przykro, że musiał pozbawić cię wspomnień. Zrobił to, skarbie, żebyś nie cierpiała.

– Tak, wiem. Uhm, pycha. Twoje herbatniki zawsze były najlepsze.

– Nie mam takich, jakie dajecie Fąflowi, ale chyba jeden z tych mu nie zaszkodzi, jak myślisz?

– Będzie zachwycony.

– W takim razie odpoczywajcie, a ja przyniosę to, co dla ciebie zachowałam.

Jest szczęśliwa, pomyślała Breen. W tej komnacie panowała taka optymistyczna atmosfera. Pocięsała ją, że Sinead odnalazła pogodę ducha po bolesnej stracie syna.

– Akurat rano rozmawiałam z Moreną przez zwierciadło i powiedziała mi, że je pamiętasz.

Breen zobaczyła w jej rękach małe skrzydełka. Jaskrawozielone z niebieskim brzegiem. Jak u motyla.

– Och, moje skrzydła! Zatrzymałaś je!

– Pewnie. Tak je lubiłaś, a nie mogłaś ich zabrać ze sobą na drugą stronę. Pomyślałam, że może kiedyś będziesz chciała je wziąć. Taki drobiazg z czasów dzieciństwa.

– To wcale nie jest drobiazg. – Breen objęła skrzydełka dłońmi i przebudzone wspomnienia wypełniły jej umysł i serce.

– Oczywiście teraz ci nie pasują, ale może kiedyś będziesz miała taką małą dziewczynkę.

– Pamiętam, jak pierwszy raz mi je założyłaś. Powiedziałaś, że udawanie jest tak samo dobre jak działanie, a czasami nawet lepsze, bo w wyobraźni można robić, co chcesz, i być kimkolwiek zamarzysz. I miałaś rację.

Podniosła się i zamknęła Sinead w objęciach.

– Mam matkę w Filadelfii. On ma na imię Sally.

– Słyszałam o nim i bardzo się cieszę.

– W dolinie mam babcię. A tutaj ciebie. Nic się nie zmieniło od czasów, gdy tak bardzo cię potrzebowałam. Ile kobiet może powiedzieć, że ma trzy matki?

– Moja słodka dziewczynka. Wzruszyłam się do łez.

– Te skrzydełka będą takim moim skarbem. Po powrocie w dolinę zapytam Seamusa, czy może mi zrobić gablotkę. Powieszę je na ścianie w chacie.

– Wiesz, one są zrobione z kawałka starego materiału i zdążyły wyblaknąć.

– Nie, one są zrobione z miłości i dla mnie są w takim żywym kolorze jak słońce.

*

Spędziła jeszcze godzinę u Sinead, a potem poszła z książką i skrzydłami do komnat Keegana. Zdążyła ostrożnie odłożyć je na stół i już miała otworzyć książkę, by wreszcie zaspokoić ciekawość, gdy pojawił się Keegan.

– Właśnie cię szukałem – zaczął.

– Byłam u Sinead. Powiedziała, że poszedłeś do Seamusa i Flynn.

– Rzeczywiście zjrzałem do nich po ciągnącym się bez końca zebraniu Rady. Skoro cię znalazłem, mogę splukać zmęczenie piwem. Ty pewnie masz ochotę na wino?

Nie miała pojęcia, która mogła być godzina, ale uznała, że to bez znaczenia.

– Z chęcią. Usiądźmy na minutę i...

– Nie ma na to czasu. Choćby się waliło i paliło, jutro stąd znikamy, a zostało jeszcze tyle cholernych roboty, że uporanie się z nią wypełni mi resztę dnia i kawałek nocy.

– Daj mi minutę, a zobaczysz, że zechcesz dłużej tutaj zostać. Byłam dziś u Dorcas.

– Uczonej Dorcas? Po jakiego diabła skazałaś się na takie tortury? Chciałaś odpokutować za jakieś ciężkie grzechy?

– Przestań. Nie było aż tak źle. Tylko ta jej herbata i herbatniki rzeczywiście są okropne.

– Wyrazy współczucia. Ale sama tego chciałaś, no nie? Mówiłem ci, że ona nic nie pamięta o demonie w Odranie, a jeśli coś jej się przypomni, obiecała, dać mi znać.

– I coś się przypomniało.

Natychmiast opuściło go rozbawienie.

– W takim razie dlaczego po mnie nie posłała? – warknął niecierpliwie.

– Akurat dziś rano zaświerzbily ją palce i przewróciła się miotła.

– Na gości.

– Przeczując, że ktoś przyjdzie, upiekła niezjadliwe herbatniki i przypomniała sobie starą opowieść z książki dla dzieci. – Breen pokazała mu cienką książeczkę. – To pożyczka – zaznaczyła. – Kazała mi przyrzec, że do niej wróci. Jest napisana w jakimś starym języku, jak miemam, poprzedzającym talamhaski.

– Tak jest.

Ze zmarszczonym czołem, nie pamiętając już o piwie, przerzucał stronę po stronie.

– Bajki dla dzieci – orzekł.

– O ile, według ciebie, gwałt, morderstwo i picie krwi to odpowiednie tematy dla milusińskich.

Ponownie rozbawiony, podniósł oczy znad książki.

– A jak myślisz, skąd biorą się tematy baśni, które czytacie dzieciom po drugiej stronie?

– Racja – mruknęła. Nalała mu piwa, a sobie wina. – Umiesz to przeczytać?

– Taak, umiem i przeczytam, chociaż dorobię się przy tym bólu głowy. Powiedziała ci, co z tego zapamiętała?

– Wszystko.

– W takim razie przedłużę minutę na tyle, żeby poznać tę historię. Oczywiście sam też ją przeczytam, ale strasznie się przy tym umęczę. – Wziął kufel do ręki. – A więc siadaj i opowiadaj.

Kiedy przekazywała mu najdokładniej, jak umiała, to, co usłyszała od Dorcas, przechadzał się po komnacie z kuflem w dłoni. Fąfel przyglądał mu się przez chwilę, po czym znudzony wyciągnął się przy kominku na drzemkę.

Keegan nie wtrącał się, nie zadawał pytań. Milczał, nawet kiedy robiła przerwę na łyk wina czy pozbieranie myśli.

– Przed wyjściem dała mi tę książkę i powiedziała, że masz ją przeczytać.

– Tak, koniecznie. Ciekawe, dlaczego, o ile wiem, nikt nie zna tej historii?

– Mam wrażenie, że znalazła się tylko w tej jednej książce i nigdy nie była przekazywana z pokolenia na pokolenie, tak jak to jest z bajkami, które rodzice opowiadają dzieciom. Może dlatego zaginęła w pomroce dziejów.

Potrząsnął głową.

– Brzmi prawdziwie. Natomiast istnieje kilka wersji podań o matce Odrana. Według jednej została siłą porwana przez chutliwego boga, według innej podała bogu usypiający eliksir i ukradła mu nasienie, żeby począć dziecko. Są też jeszcze inne, ale żadna z nich nie wydaje się bliska prawdy.

– W tej historii syn na koniec morduje matkę.

– I zobacz, jaki idealny temat na bajkę dla dzieci. Za złe czyny kara jest okrutna i ostateczna. Żadne tam półśrodki. Jednak on nie został zgładzony, prawda? Wgnano go, skazano na banicję, pozbawiono luksusów, tak uwielbianych przez bogów. Może niedokładnie tak jest w tej książce, ale sedno – brak serca – brzmi bardzo prawdziwie. Pożarcie demona, a na dodatek dziewicy.

– Zawsze musi być dziewica.

– Kwestia czystości, bardzo niesprawiedliwa. Porwania, gwałty, morderstwa, bogowie są znani z takich czynów. A tu masz jeszcze kanibalizm. I to wszystko dla władzy?

Pokręcił głową, podszedł do okna i wrócił z powrotem.

– Nie, to przekracza wszelkie granice, tego nie można zaakceptować, usprawiedliwić czy ukarać w jakimś mniejszym stopniu. I dotyczy to zarówno bogów, jak i wszelkich innych istot.

– No dobrze, w takim razie, dlaczego pozostali bogowie go nie powstrzymają? Czemu jeszcze tego nie zrobili?

– Zostawili to nam. – Wzruszył ramionami, jakby to było coś oczywistego. – Oni wydali na niego wyrok w swojej sprawie. A teraz my musimy go osądzić za zbrodnie przeciwko reszcie. Dzisiaj te światy istnieją osobno. Dorcas może mieć rację, że to był początek rozłamu. Może bogowie z jakichś sobie tylko znanych powodów zgładzą go dopiero, kiedy nas zniszczy. Ty jesteś kluczem, tyle wiemy.

– To jest strasznie krótkowzroczne myślenie.

– Albo przebiegłe dalekowzrocznie.

Już miała otworzyć usta, ale się rozmyśliła.

Albo przebiegłe, zadzwoniły jej w uszach słowa Starej Matki.

– Przeczytam tę historię, jak uporam się z tym, co mam do zrobienia. I wyślę do niej umyślnego z książką, biedak będzie skazany na męki.

– Ona i twój dziad przeżyli przygodę.

– Jaką?

– Romantyczną, on był jej kochankiem przez jedną noc.

Keegan zrobił szczerze przerażoną minę.

– Mój dziadek?

– Właściwie przed słowem „dziad” było kilka „pra”. To chodziło zapewne o antenata twojego dziadka ileś pokoleń wstecz. Prapradziad. Zdaje się, że miał na imię Owain. Był bardzo jurny.

Keegan przycisnął opuszki palców do powiek.

– Błagam na wszystkich bogów i boginie, oszczędź mi szczegółów.

Parsknęła śmiechem.

– Dorcas uważa, że jesteś przystojny i też na pewno jurny.

– O słodcy bogowie.

– Trochę mi zazdrości i każe nam żarliwie się kochać.

Popatrzył na nią oniemiały.

– Udam, że tego nie słyszałem – wykrztusił. – I już mnie nie ma.

Wymaszerował z komnaty tak samo szybko, jak do niej wszedł. Breen uśmiechnęła się pod nosem. Nie podejrzewała, że tak łatwo można go speszyć.

Rozdział 20

Rodzinny posiłek upływał w poważnej atmosferze.

– W książce dla dzieci – zaczęła zamyślona Tarryn, wpatrując się w kieliszek z winem. – O ile mi wiadomo, w żadnej innej nie ma o tym nawet wzmianki. Napisana w prastarym języku. A jednak, Keeganie, tak samo jak ty, uważam, że to brzmi prawdopodobnie. Bardzo prawdopodobnie.

– Zgadzam się z wami – przytaknął Mahon. – Jest mnóstwo opowieści o bogach skaczących sobie do gardeł, walczących z Fey, z ludźmi, z mieszkańcami innych światów. Ale zabijanie zazwyczaj odbywa się pod pretekstem wojny albo ma niby służyć wymierzaniu sprawiedliwości.

– Moim zdaniem on, składając krwawe ofiary i dopuszczając się kanibalizmu, przekroczył granicę – odezwała się Breen. – To wystarczyło, żeby go usunąć.

– Tak głosi wieść – zgodziła się z nią Tarryn – ale sama widziałaś w nim demona. I mówiłaś, a Marg to potwierdza, że on ma tutaj znamię. – Dotknęła palcem do piersi na wysokości serca. – Tego nie chce albo nie może ukryć.

– Według mnie raczej nie może. On jest próżny – zauważył Keegan. – Znamię, blizna? To niedoskonałość. Podejrzewam, że bogowie nie tylko go wyrzucili, ale jeszcze nazaczyli. Ma nosić piętno demona, bestii.

– Co nam to mówi? Otóż to świadczy o jego słabości. – Tarryn w zamyśleniu podniosła kieliszek.

– Ani jego moc, ani Yseult nie wystarczają na ukrycie piętna. Keeganie, przeczytałaś to podanie?

– Tak, dokładnie to samo usłyszałem od Breen, a ona od Dorcas.

– Przeczytam je, zanim zwrócicie książkę Starej Matce.

– Jest napisane w języku pratalamhaskim.

– A kto nauczył cię pierwszych słów w tymże języku? – Uniosła wysoko brwi. – Przeczytam je bez problemu. Powiesz o tym Radzie?

– Nie widzę wyjścia i zamierzam to zrobić z samego rana. Najpóźniej w południe wracamy na zachód.

– Przyniosę książkę na Radę i sama bezpiecznie oddam ją Dorcas.

– Mamo, wystarczy ci przedzianie się przez ten archaiczny tekst. Prześlę Dorcas książkę przez umyślnego.

– Osobiście ją odniosę – ucięła dyskusję. – I wezmę ze sobą kosz ze słodyczami oraz butelkę dobrego wina.

– To samo poradziła mi Sinead.

Tarryn zachichotała, odwracając się do Breen.

– Obie na to wpadłyśmy po mordędzie z jej herbatnikami. Keeganie, ona będzie zadowolona, że prawa ręka *taoiseacha* składa jej wizytę. Dobrze zrobiłaś, Breen, że do niej poszłaś.

– Opłaciło się ze względu na tę historię. Ta kobieta jest naprawdę fascynująca. – Nie mogła się powstrzymać i streściła im seksualne dywagacje Dorcas.

– Musiałaś? – syknął Keegan, gdy jego matka pokładała się ze śmiechu. – Słyszałaś o tym? – zwrócił się do Tarryn.

– Jak mogłam słyszeć, skoro to było przed moimi narodzinami. Jeśli dobrze kojarzę, zarówno po mojej jak i twojego taty stronie było ze trzech Owainów. Dlatego nie umiem powiedzieć, który z naszych przodków zafundował jej tamtą ognistą noc. To musiało się wydarzyć jakieś stulecie temu, o ile nie dawniej?

– Ile ona ma lat? – zaciekawiła się Breen.

– Och, od niej się tego nie dowiesz, ale tak z grubsza licząc, jest mniej więcej w połowie drugiej setki. Postanowiła nie mieć dzieci – opowiadała Tarryn, a Breen jeszcze nie otrząsnęła się z wrażenia, że była na herbatce u kogoś, kto liczy sobie ze sto, sto pięćdziesiąt lat, a może i więcej. – Wołała swoje studia i koty. Wiadomo, że brała sobie kochanków, i bardzo możliwe, że któryś z nich mógł być naszym krewnym.

– Zostawił jej różę na pożegnanie.

– Bardzo to romantyczne. – Tarryn dźgnęła Keegana palcem w ramię. – Ucz się.

– Przrzekam, że jeżeli spędzę ognistą noc z Uczoną Dorcas, nie zapomnę zostawić jej róży.

– Chyba wam powiem... wyznam... Nie, poinformuję – zdecydował Mahon. – Mówi się w mojej rodzinie, że mój dziadek, kiedy był młody i niedoświadczony w... zabiegach miłosnych, jak to się określa w eleganckim towarzystwie, spędził trzy noce z Uczoną Dorcas. Miała wtedy tyle lat, że spokojnie mogłaby być jego babką. Podobno wzięła go na kochanka, żeby udzielić mu lekcji, jak zadowolić

kobietę. Słyszałem też od babci, że Dorcas okazała się dobrą nauczycielką.

– A czy te lekcje zostały przekazane jego synom i synom jego synów?

Mahon uśmiechnął się do teściowej.

– Uważam, że popełniłbym wielką niedyskrecję, gdybym powiedział coś ponad to, że staram się, aby twoja córka była zadowolona.

– W takim razie proponuję wznieść toast za Uczoną Dorcas, jej długie życie, głęboką wiedzę i cenne lekcje.

*

Wyruszyli w dolinę po dwunastej w południe i lecieli w siąpiącym deszczu. Niebo nad całym Talamh było zaciągnięte. Wszędzie albo mżyło, albo lało.

Pod nimi, na drogach rozmiękłych po wiosennych roztopach i zmienionych w błotną breję przez deszcz, oddziały prowadzone przez szkoleniowców przemieszczały się na wyznaczone place ćwiczebne.

Breen czekała na deszczu, wdzięczna Kiarze za trencz, gdy Keegan patrolował portale i sprawdzał, czy nie powiększyły się na nich cienie szczelin.

Z coraz większym uznaniem myślała o jego decyzji o ustanowieniu nowych linii obrony.

Gdy zbliżali się do doliny, słońce przebiło się przez chmury i mieniło się w ciągle padającym deszczu. Nad wzgórzami, łąkami i świeżo zaoranymi brunatnymi polami rozpostarła się wspaniała tęcza.

Breen widziała w tym powitalny znak.

Gdy tylko smoki siadły na ziemi, Morena wyszła im na spotkanie.

– Witajcie w domu, podróżnicy. – Stanęła w bramie przemoknięta do suchej nitki. – Jeszcze chwilę temu lało jak z cebra. Przywieźliście słońce. Ten farmer, za którego wyszłam, zażyczył sobie, żebym w tej ulewie rozrzuciła nawóz. Cała przesiąkłam tym smrodem.

– Zapach wiosny – stwierdził Keegan.

– Dla farmera i jego brata. Pamiątka ze Stolicy? – Obróciła się do Breen i pomacała trencz. –

W życiu piękniejszego nie widziałam.

– Prezent od Kiary.

– Oj tak, ona ma oko. Mahonie, coś mi się wydaje, że twoje dwa starsze smyki lada moment się obudzą i wybiegną na dwór.

– W takim razie, Keeganie, jeżeli mnie nie potrzebujesz, pójdę do mojej rodziny.

– Do jutra rana jesteś wolny. Opowiedz Aisling jako członkini rady doliny, czego się dowiedzieliśmy i co robimy.

– Dobrze. A więc do zobaczenia rano.

– O co chodzi? – zapytała Morena, kiedy Mahon odleciał do swojej chaty.

– Powiem tobie i Harkenowi, ale najpierw muszę znaleźć kawałek suchego miejsca i napić się piwa.

– Mam ściągnąć Marg i Sedrica? – zapytała Breen.

– Oni są u mojej babci razem z Marco – wyjaśniła Morena – na kolejnej imprezce połączonej z pieczeniem. Ponieważ dziś na mnie spada przygotowanie kolacji, będę wdzięczna za cokolwiek, co ze sobą przyniosą.

– Dzień ma się ku końcowi – wtrącił Keegan. – Jutro od rana czeka mnie dużo spraw, dlatego jeszcze dzisiaj powinniśmy poćwiczyć.

– Dobrze. Muszę porozmawiać z Seamusem. Wiesz, Moreno, twoja mama dała mi tamte skrzydełka. Chciałabym, żeby Seamus zrobił dla nich taką gablotkę, w której mogłabym powiesić je na ścianie.

– Och, jak mama zobaczy te skrzydełka w gablotce, popłacze się ze wzruszenia. A Seamus akurat powinien być u ciebie. Chciał coś tam porobić w ogrodzie.

– Świetnie. Chodź, Fąfel, pójdziemy go poszukać. Miłego gotowania!

– Łatwo ci mówić. Marco ponoć trzyma dla was w piekarniku jakieś pyszności. A ja najpierw przez pół dnia rozrzuciłam gnój, a teraz jeszcze mam gotować.

– Wyszłaś za farmera.

– No. Gdzie ja miałam głowę? – Śmiejąc się, zarzuciła wilgotnymi włosami. – Keeganie, pójdę po Harkena i napijemy się piwa w jakimś suchym miejscu.

– Przyjdę, jak załatwię to, co mam do załatwienia. – Keegan obejrzał się na Powitalne Drzewo. Fąfel już tam czekał. – Prawdopodobnie Marco zjawi się w chacie przede mną. Możesz mu wszystko opowiedzieć.

– Dobrze, będę lepiej się czuła, nie mając przed nim tajemnic.

Przygarnął ją do siebie, pocałował i ku jej zaskoczeniu, wodząc dłońmi po jej ciele, rozgrzał ją i wysuszył na niej ubranie.

– Po co masz chodzić mokra – rzucił i odszedł.

Zdarzają mu się takie drobne gesty, pomyślała, przechodząc przez drogę. Tylko trzeba być czujnym, żeby je zauważać.

Przeszła do Irlandii. Tutaj słońce świeciło. Co prawda powietrze nie pachniało nawozem, ale wszędzie było widać zapowiedź wiosny. Wystarczyły cztery dni, aby na drzewach nabrzmiały pączki liści, a niektóre nawet częściowo się rozwinęły.

Pomyślała, że czas zasiać to, co zaplanowała, i urządzić mały warzywnik na kawałku ziemi pomiędzy jej chatą i działką pod dom Marco i Briana.

Fąfel, nadal mokry po deszczu, wskoczył do strumyka, wdrapał się na brzeg, obejrzał się na nią i wybiegł z lasu.

Usłyszała jego radosne szczekanie i głos Seamusa.

– Dobry piesek. Popatrz tutaj i zapamiętaj, że w tym miejscu nie wolno ci biegać i kopać dziur.

Gdy wyszła z lasu, Seamus wyprostował się i czekał na nią w czapce na bakier, podparty pod boki dłońmi w roboczych rękawicach. Stał na brzegu schludnego kwadratu przekopanej ziemi pomiędzy szerokim trawnikiem obramowanym żywopłotem z fuksji i łąką.

Kiedy szybkim krokiem podeszła do niego, jej nozdrza wypełnił ostry zapach świeżego nawozu.

Wiosna.

– Och, Seamusie – zaczęła zaskoczona. – Ale zrobiłeś mi niespodziankę!

Skierował na nią pogodne niebieskie oczy.

– Chyba nie zabronisz mi tej przyjemności. Ja tutaj odpoczywam, bo w mojej chacie roi się od piekarzy. – Poklepał ją po ramieniu. – Spójrz no tutaj. W ostatnich dniach naradzaliśmy się we trójkę – ja, Marco i Brian i uznaliśmy, że można wyciąć część żywopłotu w tamtym miejscu i zrobić coś w rodzaju bramy, takiej altany otwartej na obie chaty. Żywopłot wam wszystkim zapewnia prywatność, a oni mieliby ładny widok na zatokę i wzgórze. No i chciałaś mieć warzywnik. Moglibyście dzielić się pracą i plonami. Oni przystali na ten pomysł, licząc, że tobie też się spodoba.

– Bardzo mi się podoba. Jest idealny. Dokładnie w tym miejscu chciałam założyć ogródek. Tylko my nigdy nie hodowaliśmy warzyw. Ani Marco, ani ja nie mamy o tym pojęcia.

– Tak jak chciałaś, dostaniesz ode mnie sadzonki pomidorów i papryki. Możemy posadzić ziemniaki i kapustę. Posiać fasolkę szparagową i marchew. Oczywiście wszystkiego po trochu.

– Pokażesz mi, co i jak? Nauczysz mnie?

– Z chęcią. Ale zapewniam cię, że wiesz o tym więcej, niż ci się wydaje. Masz tę wiedzę w sobie. Chodź, zerknijemy na twoje szczepki. Zaczynają rosnąć. Czas je zahartować. Już jest po przymrozkach – mówiąc to, spojrzął na niebo. – Możesz mi wierzyć.

– Naprawdę wierzę.

Pokazał jej rząd skrzynek z ziemią i młode rośliny posadzone wzdłuż ściany chaty.

– Mają tu ciepło przy murze i są osłonięte od wiatru. Potem wsadzisz je do doniczek albo gdzie zechcesz.

Czas uroczo płynął na rozmowie o ogrodnictwie, a Fąfel pluskał się w zatoce.

– Tyle dla mnie zrobiłeś, a ja chciałabym cię poprosić o jeszcze jedną rzecz.

– Śmiało.

Wyjęła z torby pieczolowicie zawinięte skrzydełka.

– Ach, pamiętam je. Biegałaś z nimi przypiętymi do pleców.

– Też pamiętam. Byłam z nich taka dumna. Chciałabym je oprawić i powiesić na ścianie w chacie. To takie miłe wspomnienie.

– Wspomnienia są bardzo ważne. Pewnie myślisz o gablotce, żeby można je było ładnie rozłożyć, zamiast rozpląszczone oprawić w ramy.

– No właśnie. Pomyślałam, że ty na pewno będziesz wiedział, jaka duża ma być ta gablota i z jakiego drewna.

– A praca nad nią obudzi dobre wspomnienia i u mnie, i u Finoli.

Wziął od niej zawinięte skrzydła, zdjął rękawice, otarł dłonie z drobinek piasku.

Po odejściu Seamusa Breen zawołała Fąfla do chaty. Już w progu domu głęboko wciągnęła powietrze pachnące tym, co Marco trzymał w piekarniku.

Zapaliła ogień w kominku, powiesiła swój nowy trencz i westchnęła zadowolona.

– Wiesz co, chłopaku. Zrobimy tak; tobie po tej długiej podróży należy się miska, a mnie gorący

prysznic. Potem, jeśli dalej będziemy mieć dom tylko dla siebie, spróbuję trochę popisać.

Długo stała pod prysznicem, potem nałożyła śladowy makijaż, związała włosy i stwierdziła, że tyle zabiegów kosmetycznych wystarczy na dziś.

Na dole wyjęła colę z lodówki, a ponieważ nadal byli z Fąflem sami, przeniosła się do gabinetu.

– Czas na dalszy ciąg twoich przygód – poinformowała Fąfla i włączyła komputer. Przez następną godzinę spisywała sceny, które wymyśliła w wolnym czasie w Stolicy.

Dobra zabawa, odpowiednio dawkowany dramatyzm i sporo wygłupów.

Dzwonek telefonu wyrwał ją ze środka historii. Rozkojarzona, przez chwilę wpatrywała się w komórkę podłączoną do ładowarki, jakby miała przed sobą jakieś dziwne, nieznane urządzenie.

Właściwie prawie tak było.

Odczytała nazwisko oraz numer na wyświetlaczu i jeszcze przez moment się wahała. Jak mogło wylecieć jej z głowy, że wysłała Carlee plik z książką? Potarła tatuaż na nadgarstku i odebrała telefon.

– Halo?

– Breen. Tu Carlee. Mam nadzieję, że złapałam cię między pracą i kolacją.

– Rzeczywiście. – Pomijając fakt, że zamierzała pracować tak długo, dopóki będzie w chacie sama. – Jak się masz?

– Doskonale. Masz chwilę, żeby porozmawiać o *Magii*?

*

Gdy Marco wszedł do chaty, a dokładniej, dumnie wkroczył, z pudłem słodko pachnącym wanilią, znalazł ją przy stole z kieliszkiem wina w dłoni.

– Hej, dziewczyno. Witaj w domu! Musisz mi opowiedzieć, jak tam było. Tylko najpierw sprawdź, co tam słychać z moją pieczenią. Szynka wieprzowa szpikowana czosnkiem i rozmarynem.

– Jest co opowiadać.

– No, myślę! A ja świetnie się bawiłem. Impreza z wypiekami u Finoli. Przyniosłem ciastka cytrynowe Sedrica i mnóstwo różnych pyszności. Marg coś tam zaczarowała, żeby mięso odpowiednio powoli dochodziło, no i rzeczywiście pachnie tak jak powinno.

– A może nalałabyś mi tego, co pijesz, i przeniesiemy się do salonu?

– Oczywiście. Marco...

– O kurczę! Skąd masz ten trencz? Jasna dupa. – Podbiegł do wieszaka. – Jest fantastyczny. Jak to możliwe, że go wybrałaś beze mnie?

– Dostałam od Kiary.

– No, chyba że tak. Ona zna się na modzie i ma świetny gust. Wstawaj! Włóż go. Pokaż się.

– Czy mógłbyś najpierw usiąść?

– O rany, stało się coś?

– Nie, nic złego się nie dzieje. – Przeniosła się na kanapę. – Mam ci dużo do opowiadania, ale zacznę od końca, ponieważ w tej najświeższej sprawie chcę się z tobą poradzić. Chodź tu z kieliszkiem i siadaj, bo muszę to wszystko poukładać sobie w głowie.

Gładząc Fąfla, który wskoczył za nią na kanapę, czekała, aż Marco wróci z winem i usiądzie z jej drugiego boku.

– No to opowiadaj swojemu Marco.

– Dobra, w takim razie od końca. Akurat przed chwilą zadzwoniła Carlee.

– Szybko przeczytała – bardzo dobrze. No to słucham.

– Jak mówiłam, będzie od końca – zaznaczyła. – Ostatnią rzeczą, o której rozmawialiśmy, były twoje przepisy. Podoba się jej gawędziarski sposób, w jaki je podajesz, no i ten podkład muzyczny.

– Dużo w tym twojej zasługi.

– Nie, ja ci tylko trochę pomogłam, ale to twoje przepisy, twoja muzyka, twój styl. W każdym razie przekazała je innej agentce z ich zespołu, Yvonne Kramer, bo ona prowadziła trzy dobrze przyjęte książki kucharskie i sama też gotuje. Carlee powiedziała, że Yvonne wypróbowała twoje spaghetti z klopsikami. Zachwyciła się. Potem upiekła twoją szarlotkę. To samo. Yvonne chce z tobą się spotkać, gdy będziemy w Nowym Jorku.

– O kurczę! – Zszokowany, z otwartymi ustami, wytrzeszczył na nią oczy.

– Nie żartujesz?

– O kurczę, nie żartuję. Myślę, Marco, że już masz agentkę, która życzy sobie zobaczyć więcej twoich przepisów.

Zerwał się z kanapy i krążył po salonie.

– Nigdy nie sądziłem, że kogoś, no wiesz, może to zainteresować.

– Marco, tylko mi nie mów, że nie chcesz tego pociągnąć.

Staął i wskazał palcem na siebie.

– Czy wyglądam na głupka?

– Nie. – Roześmiana, wstała z kanapy i podbiegła go uściskać.

– Muszę pokombinować, co jej wysłać. Mój mózg – wydał dźwięk naśladujący śpięcie. – Druciki mi się przegrzały. Ja nie wiem... Po prostu nie mam pojęcia, jak to działa.

– Yvonne wie. Zawsze mi mówisz: zaufaj Carlee. To ja ci teraz powiem to samo: zaufaj Yvonne. Mam jej telefon i prosiła, żebyś jutro do niej zadzwonił.

– Dobra, super. Muszę usiąść. Kurczę, książka kucharska – powtórzył. – To jak kopniak na zachętę? Muszę się z tym oswoić i potraktować jak dobrą zabawę. Tak właśnie zrobię.

– Zawsze dobrze się bawisz, gotując.

– Już się oswajam – oznajmił. – A druga sprawa od końca?

– Proszę bardzo. Głęboki oddech i... Carlee podoba się moja książka. Moja książka!

– A nie mówiłem! – Szturchnął ją w ramię. – Nie mówiłem?

– Naprawdę jej się podoba, Marco. Powiedziała, że na pewno ją sprzeda.

– A jak! To czemu siedzisz zamiast tańczyć?

– Staram się z tym oswoić. Carlee mówi, że nie musimy jej proponować mojemu wydawcy, bo to nie jest powieść dla dzieci jak przygody Fąfla, ale uważa, że tak byłoby najlepiej. Że to właściwy ruch, bo wiesz, liczą się dobre relacje. A ty miałeś inny pomysł?

– Mój mózg się tak samo lasuje jak twój.

– Nie, zdaję się na nią, a poza tym naprawdę polubiłam moją redaktorkę i wiesz, ona zna tam wszystkich ludzi, a ja... Marco, jej naprawdę spodobała się ta książka. Chce mojej zgody, żeby ją przesłać do wydawnictwa. Powiedziałam „tak”.

– Bo nie jesteś głupia.

– Mam ten sam problem z mózgiem co ty. Druciki się przegrzały. Nie mogę połączyć myśli.

– Pozwól, że pomyślę za ciebie. – Odchylił głowę i podniósł w górę palec. – O już. Mam. Co powiesz na: „Napisałam cholernie dobrą książkę”. „Dwie” – poprawił się. – „Dwie dobre na dwie”.

– Ona jej jeszcze nie sprzedała, niech więc nas za bardzo nie ponosi. Owszem, spodobała się. Nawet porozmawialiśmy chwilę o fabule i wiem, co ją tam ujęło. Marco, pomyśl tylko, jeszcze rok temu to było marzenie. Marzenie, które zaczęło przybierać realny kształt, gdy dowiedziałam się o pieniądzech przysyłanych przez ojca i babcię. Kiedy zapytałeś mnie, czego bym chciała, a ja powiedziałam, że chciałabym pojechać tutaj, do Irlandii. To wszystko dzieje się tak szybko, zdecydowanie za szybko.

– Czyżby, moja Breen? – Z kieliszkiem w jednej dłoni, drugą przygładził włosy. – Według mnie myśl o napisaniu książki od dłuższego czasu siedziała ci w głowie. Potrzebowałaś czegoś, co ją uwolni. Wiesz, to jak odkorkowanie butelki. A reszta poszła już gładko.

– Marco, ja wyraźnie widziałam tamten świat, o którym pisałam. Tak, wiem, on bardzo przypomina Talamh. Być może nosiłam w sobie ukryte gdzieś głęboko wspomnienia czy pragnienia. I to wszystko ze mnie wypłynęło. Nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek uda mi się jeszcze osiągnąć coś podobnego, ale...

– Przestań. Serio. Czy nie napisałaś tutaj książki o najwspanialszym psie?

Fąfel w odpowiedzi plasnął ogonem o kanapę.

– No tak.

– Pisziesz kolejną?

– Tak, i całkiem dobrze mi idzie.

– Prawie dzień w dzień prowadzisz ciekawy i popularny blog?

Głośno wypuściła powietrze z płuc.

– Naprawdę potrzebowałam cię w domu.

– Zatańczymy?

– Nie chcę tańczyć, dopóki nie wiemy, czy się sprzeda. Naprawdę sprzeda. Wtedy uczymy wariackimi wygibasami moją powieść i twoją niezmierną książkę kucharską.

– Dobra, żadnych wygłupów. Wstrzymamy się na razie z tańcem.

– Naprawdę potrzebowałam cię w domu – powtórzyła. – Znowu mogę swobodnie oddychać...

Kiedy wróciłam, znalazłam tutaj Seamusa. Zakłada nam ogródek warzywny.

– Coś ty?! Poważnie? – Zerwał się z kanapy i popędził do okna. – O rany! Seamus jest wielki!

– Będziemy mieć własne warzywa, a pomysł, żeby zrobić prześwit w fuksjach na wysokości

waszego przyszłego domu jest wprost idealny. Kiedy zobaczyłam tę chatę, od razu wiedziałam, że zawsze coś takiego chciałam mieć. Ale całej reszty nie umiałam sobie wyobrazić.

Wstając z kanapy, wyrzuciła ramiona w górę i dołączyła do Marco przy oknie.

– Ty masz Briana, a ja ciebie tuż za żywopłotem. Mam swoje książki i tego naprawdę wyjątkowego psa. A także Talamh, babcię, i przyjaciół. Marco, mam swoje miejsce, rodzinę, cel. Ale czasami, tak jak dziś w trakcie rozmowy z Carlee, to wszystko mnie oszałamia, zwała z nóg i nie pozwala zebrać myśli. I zaczynam kombinować: czy to dzieje się naprawdę? A może to tylko jakiś zwariowany sen. Albo śpiączka?

– Ja też jestem w śpiączce? Bo też mam wszystko, czego kiedykolwiek chciałem, co więcej, śnię razem z tobą.

– No cóż, jeżeli jesteśmy w jakiejś wspólnej śpiączce, to po prostu w niej zostaniemy. – Wreszcie się uśmiechając, trąciła kieliszkiem o jego kieliszek. – Opowiem ci jeszcze o Dorcas, ona ma ponad sto pięćdziesiąt lat i...

– Przestań.

– Przynajmniej ma tyle według Tarryn. Och, Marco, jak ja lubię mamę Keegana. Nawet gdyby, no wiesz... między nami nie wyszło, i tak będę ją lubić. Po prostu. – Wzięła go za rękę i zaprowadziła z powrotem na kanapę. – A więc, Uczona Dorcas. Ma milion kotów. Dobrze, przesadziłam, ale założę się, że jest ich ze sto. A mieszka w takiej chatce z upiornej bajki w lesie za wsią pod Stolicą.

– Jest z tych dobrych czy z tych złych?

– Z dobrych. Dziwna, ale dobra. Szanowana uczona. Tarryn sobie o niej przypomniała, gdy dyskutowaliśmy o wymieszaniu demona z bogiem w Odranie.

– Jasne, pamiętam. Keegan wtrącił coś o kiepskich ciasteczkach.

– Gorzej niż kiepskich. Smakują jak trociny, a jej herbata przypomina smołę. Czekałam, kiedy laleczka Chucky wyskoczy z któregoś z ciemnych kątów.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– I ona jest z tych dobrych?

– Mimo tego wszystkiego, co ci powiedziałam, to bardzo interesująca postać. Wyobraź sobie, że w jednej z książek z dzieciństwa znalazła ważną historię.

– Znaczący: w takiej sprzed stu pięćdziesięciu lat.

– Mniej więcej. Powiem ci, co od niej usłyszałam, i dlaczego ona, Keegan i wszyscy, którzy poznali tę historię, są przekonani, że dotyczy Odrana i wyjaśnia, skąd w nim wziął się demon.

W połowie opowieści Marco podniósł rękę i poszedł do kuchni po butelkę wina.

Kiedy skończyła, ponownie zniknął w kuchni, tym razem, żeby wyjąć pieczeń z piekarnika, bo mięso powinno pooddychać.

– Nie chcę przez tę opowieść stracić apetytu na naprawdę dobrą kolację, którą akurat robię. Nie sądzisz, że ta cała historia o skonsumowaniu dziewczyny demona to jakaś metafora?

– Przykro mi, ale wygląda na to, że dokładnie tak to się odbyło. Dziewczyna demon, oczywiście dziewczyna, która może przybierać dowolną postać. A Odran chciał powiększyć swoją moc, dodając demoniczny element do tego, czym dysponował z natury. Nie wiem, czy wtedy po raz pierwszy dopuścił się kanibalizmu, ale wątpię, aby ta ofiara była ostatnia.

– Czyli on jest takim Hannibalem Lecterem pośród bogów?

– No, nie wiem, Marco. Wątpię, czy popił ją chianti jak Lecter.

– Ale ten demon w nim jest zły.

– Dlatego, że on go skorumpował, sam będąc wcieleniem zła.

– A to znamię, skaza, cokolwiek to jest?

– Możliwe, że to droga wejścia i wyjścia. Słabość.

– Wyjścia dla kogo? – podchwycił z niedowierzaniem. – Dla demona? Teraz masz złego demona wewnątrz i na zewnątrz złego boga. I nic tego nie zmieni.

– A gdyby uwolnić tego demona, czy on nadal byłby zły? Nie wiem tego, Marco.

Przycisnęła palce do powiek. Zaczęli od rozmowy o książkach kucharskich i wydawnictwach, a doszli do spekulacji o demonach.

– Zastanawiam się, czy to może być z nim tak jak z uwolnieniem duchów uwięzionych w ruinach. I nie dowiem się tego, dopóki... nie zrobię tego, co mam zrobić, jakakolwiek ma być moja rola. – Przegarnęła włosy dłonią. – Z tego wszystkiego zapomniałam ci powiedzieć o próbach powiększania rys na portalach po stronie Odrana.

– Tak jak wtedy w wodospadzie?

– Mniej więcej. Z wyjątkiem Drzewa Powitalnego, bo tam nie dadzą rady zrobić wyłomu. I Keegan... Poczekaj, on właśnie wchodzi. Niech sam cię wprowadzi w zawilosci taktyki wojennej.

– Dobrze. Jeżeli on wrócił, to Brian też niedługo powinien się zjawić. – Marco wstał z kanapy. – Powiedz mu o książce.

– Jeszcze nie jest sprzedana. A ty mu powiedz o swojej książce kucharskiej.

– Jeszcze nie jest napisana, a co za tym idzie sprzedana. – Wycelował w nią palec. – Ale o tym rozmawiamy. To dobra wiadomość, więc nią się dzielimy. Dzieje się tyle dziwacznych rzeczy, dlaczego nie podzielić się tym, co dobre?

– Zgoda. – Marco prędzej czy później i tak znalazłby jakiś sposób, żeby ją przekonać, pomyślała. – Powiem mu.

– O czym? – podchwycił Keegan. – Mam nadzieję, że przynajmniej częściowo będzie o tym, co Marco przygotował na kolację, bo umieram z głodu. Brian dołączy do nas lada chwila, ja w tym czasie się umyję.

– Masz szczęście. – Marco przełożył pieczeń na półmisek i zaczął ją otaczać ziemniakami, marchewkami, kawałkami selera naciowego i plasterkami cebuli nasiąkniętymi aromatycznym sosem.

– Och, to wygląda naprawdę niesamowicie. – Keegan szorował ręce nad zlewem. – Gdyby mi nie powiedziano, że Seamus zaczął zakładać ogród, i tak bym to wyczuł. Więc o warzywniaku nie musicie mi mówić. Macie jeszcze coś w zanadru?

– Agentka Breen zakochała się w jej książce – poinformował go Marco, a Breen przewróciła oczami. – W tej nowej, którą dopiero co dostała – wyjaśnił.

– Aha. – Keegan, wycierając ręce, obejrzał się na Breen. – Nie wiedziałas, że tak będzie?

– Nie mogłam wiedzieć, dopóki...

– Byłaś z powieści zadowolona?

– Tak, naturalnie, ale...

– Dałaś ją Marco do przeczytania i on obiektywnie stwierdził, że jest dobra. Chyba niepotrzebnie się martwisz, ale kobiety tak mają.

– Czyżby?

Odpowiedział wzruszeniem ramion.

– Teraz nie masz już argumentów i pozwolisz mi ją przeczytać. Ale nie na tej waszej maszynie. Wolę papier.

– Nie mam...

– Ja ci ją z przyjemnością wydrukuję. – Marco zaniósł półmisek na stół i posłał Breen szeroki zadowolony uśmiech.

Odwzajemniła mu się równie szerokim i promiennym uśmiechem.

– A Marco pisze książkę kucharską i jest umówiony z agentką w Nowym Jorku, która chce go reprezentować.

– Świetnie, Marco. To piękne, że chcesz się dzielić z innymi swoim talentem kulinarnym.

– Muszę jeszcze to wszystko przemyśleć. Do tego czasu... – Twarz mu się rozjaśniła na widok Briana wchodzącego do domu. – Siadajmy do stołu.



CZĘŚĆ TRZECIA

Misneach

*Nie przysięga czyni człowieka wiarygodnym,
a człowiek przysięgę.*

Ajschylos

*Odwaga nie jest po prostu jedną z cnót,
ale formą każdej cnoty w chwili próby,
czyli w momencie najwyższej rzeczywistości.*

C.S. Lewis

Rozdział 21

Rano nie zaskoczył jej widok Keegana wpatrującego się w ekspres do kawy. Przeważnie kiedy schodziła do kuchni, jego już nie było, ale czasami później zaczynał dzień.

– Chcesz kawy?

– Nie znoszę tej maszyny, ale kawa mi się przyda.

– Zaraz zrobię. – Wypuściła Fąfla na dwór i zaparzyła kawę. – Nie wybierasz się na poranne dojeżdżanie?

– Wieczorem wydoilem krowy i czekają mnie inne obowiązki.

– Kiepsko spałeś?

– Dobrze, tylko krótko. Po naszym... ognistym kochaniu... – Breen prychnęła śmiechem – ty natychmiast zasnąłeś i spałeś jak kamień, pomyślałem więc, że przeczytam kawałek twojej książki, dzięki nie tyle twojej, co Marco uprzejmości.

– Hmm... – Podała mu kubek z kawą.

– Czytałem dłużej, niż zamierzałem. Miałem przedsmak, kiedy zobaczyłem kilka pozostawionych przez ciebie luźnych kartek, ale tym razem mogłem zacząć od początku. I czytając, zobaczyłem Talamh, tak plastycznie oddany w wyrazistej kolorystyce.

– Nie spiesząc się z odpowiedzią, wysączyła kilka łyków kawy.

– Zaczęłam to pisać, zanim zobaczyłam Talamh. Zanim wróciłam. Zanim go sobie przypomniałam. Wtedy napisałam początek.

– Twoje serce go pamiętało.

Popatrzyła na niego z uwagą.

– Myślę, że mogło tak być.

– Ta kobieta, którą umieściłaś w centrum wydarzeń, jak mi się zdaje, główna postać powieści, to nie ty.

– Nie? – Zaintrygowana, pozwoliła, by to pytanie zawisło w próżni. Podeszła do drzwi. Musiała odetchnąć porannym powietrzem, popatrzeć na zatokę, mgły i łagodne budzenie się brzasku.

– Nie jest tobą. Pomyślałem, czemu nie, przecież mogłabyś być, ale to nie ty.

Wyszedł za nią na dwór. Słońce dopiero wstawalo, mgły snuły się nad wodą jak cienie.

– Ona ma silniejszą wolę, niż ty miałaś wtedy, na początku. To buntowniczką. Chyba jest młodsza od ciebie, jeszcze się kształtuje. Szuka, tak samo jak ty wtedy, ale już zna swoją moc. A może tylko ją sobie uświadamia, wyczuwa. Jej mentor nie przypomina ani Marg, ani mnie. To ktoś wiekowy i cyniczny. On mi się podoba.

– Dlaczego?

– Ponieważ dużo widział i bardzo dużo wie. To ciekawe, że on nie uczy jej dlatego, że chce. On widzi w niej siebie, przy niej czuje, co stracił i kim jeszcze może się stać.

Wysączyła łyk kawy.

– Ważne, że tak ich oboje odbierasz.

– Nie jestem idiotą. To wynika z tekstu.

– Właśnie taki był zamiar.

– I się udało. Przestań się martwić. To zaczyna być irytujące.

Zaśmiała się.

– Bo widzisz; dla ciebie istnieją mrok i światło, dobro i zło, to, co jest i czego nie ma. Moje działania w powieści są subiektywne. Dla mnie to bardzo ważne, że podobał ci się tekst, który przeczytałeś.

Poruszał głową w różne strony, żeby rozluźnić spięte mięśnie.

– Przyjdzie mi za to czytanie słono zapłacić, bo prawie nie zmrużyłem oka. Masz talent, Breen, taka prawda. Szanuj go, pielęgnowaj i rozwijaj tak, jak magię.

Wypiła łyk kawy.

– Pracuję nad tym.

– Niedługo polecisz do Filadelfii i Nowego Jorku.

– Tak. Jeśli mi nie powiesz, że jestem tutaj potrzebna.

– Myślę, że możesz spokojnie lecieć, w razie czego zdążysz wrócić. Spotkaj się z rodziną, dopilnuj swoich spraw i wróć.

– Pewnie nie mógłbyś z nami polecieć.

– Nie, przykro mi.

– Nie przejmuj się. Ja to rozumiem.

– Naprawdę żałuję. Polubiłem twojego Sally, jego bar, muzykę. Mają tam dobre piwo. Gdybym mógł się urwać choćby na dzień, na pewno bym to zrobił.

Patrzyła, jak Fąfel wychodzi z zatoki i otrząsa się na brzegu, rozpylając w powietrzu krople wody.

– Polubił cię.

– Wiem, że Brian bardzo chciałby poznać rodzinę Marco. Sally i jego partnera.

– Derricka.

– Właśnie. – Odwrócił się do niej. – Chciałbym mu dać wolne, ale nie mogę, bo to nie jest dobry czas.

– To zrozumiałe. Zamierzam zobaczyć się z matką.

Milczał przez chwilę, zapatrzony na unoszące się nad wodą mgły.

– Tym bardziej mi przykro, że nie mogę być tam z tobą.

Wzruszył ją szczerzy żal w jego głosie. Zawsze tak na nią działała jego skrzętnie skrywana wrażliwość.

– Nie, muszę sama to załatwić i raz na zawsze zamknąć temat.

– Skorzystaj z portalu, który zrobiłem do twojego mieszkania. Meabh zostawi go otwarty na jakiś czas.

– To niekonieczne. Zarezerwowałam nam hotel, a rano pojedziemy pociągiem do Nowego Jorku.

– Tak czy owak, zostawi go dla was. A wrócić możecie przez portal w Nowym Jorku.

– Co? Poczekaj. W Nowym Jorku jest portal?

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– To ważne miasto w tamtym świecie. Kiedy zdecydujecie się na powrót, Sedric będzie waszym przewodnikiem. Ma ten dar, może was przeprowadzić przez Powitalne Drzewo. Nie wiedziałas o tym?

– Może dlatego, że nikt mi nie powiedział.

Sapnął zniecierpliwiony i dopił kawę.

– No to ci mówię. Kiedy wszystko załatwicie, trzymajcie się Sedrica.

– Świetnie. W takim razie mogę odwołać rezerwację biletów na pociąg z Nowego Jorku do Filadelfii.

– Myślę o tym, żeby na stałe otworzyć portal do Filadelfii, żebyś mogła tam się przenosić, kiedy chcesz. Ale najpierw, niestety, muszę uzgodnić wszystko z Radą.

Aha, znowu. Ukrywana wrażliwość, pomyślała.

– To miłe z twojej strony. – Objęła go.

– Ekonomiczne. – Odwzajemnił jej uścisk. – Czas na mnie. Dzień ucieka.

– A Brian?

– Ma wolny dzień, wieczorem zaczyna wartę. Breen. – Ujął w dłonie jej twarz. – Porozmawiaj z Marg i Sedrikiem. Ja mam mnóstwo zajęć.

– Tak. Dzisiaj się z nimi zobaczę i opowiem, czego się dowiedzieliśmy.

– Dobrze. Nie musisz im opowiadać o moim przodku i Dorcas.

Uśmiechnęła się i zalotnie zatrzepotała rękami.

– Może nie muszę, ale nie odpuszczę sobie takiej pikantnej historii.

– Diabli tam! – Pocałował ją mimo wszystko. I bez słowa energicznym krokiem ruszył w stronę lasu.

Może właśnie dlatego się w nim zakochała, pomyślała. Był taki... konkretny i nieskomplikowany. Światło w przeciwieństwie do mroku, Dobro przeciwko złu.

Dopiała kawę, z pustym kubkiem w drugiej ręce, który Keegan, gdy odchodził, wcisnął jej w dłoń.

I z Fąflem przy nodze oglądała wschód słońca.

*

Gdy uporała się z z robotą w domu, razem z Marco i Fąflem przeszła z jednego pogodnego dnia w drugi. Niebo w Talamh było błękitne i prawie bezchmurne, pola mieniły się w słońcu.

– To tak wygląda, jakbyśmy mieli półtora dnia. – Zadowolony Marco założył okulary przeciwsłoneczne. – Jest prawie ciepło. A takich widoków nie ogląda się co dzień, no chyba, że jest się nami.

Morena, fruując nad świeżo zaoranym polem, coś siała, a Harken zasypywał bruzdy. Na zagonie obok zieleniły się sadzonki wyhodowane w szklarni.

– Mają pracowity poranek.

– Może im pomogę, kiedy ty będziesz u babci. Poduczę się, co i jak, zanim zaczniemy uprawiać własne poletko. Ten smrodek nadal się trzyma w powietrzu – zauważył. – Chyba trzeba do tego przywyk-

nać.

W oddali Aisling z niemowlęciem w chuście na plecach pracowała w ogrodzie razem z synami.

– Myślę, że jej bardziej przyda się pomoc. Ci dwoje tutaj złapali rytm.

– Racja.

Przeszli przez drogę i Fałel rozszczękał się na powitanie. Odpowiedziało mu machanie rąk i okrzyki niesione przez wiatr.

– Teraz ja, Marco, zmieniam się w farmera. Do zobaczenia później.

– I będzie dobrze się bawił – rzuciła Breen do Fałla, przeskakując przez kamienny murek. – Kto by pomyślał?

Szła drogą, tu i ówdzie trafiając na oznaki wiosny – zieloną mgiełkę na gałęziach drzew, kępki odważnych dzikich kwiatów, pławiące się w słońcu.

– Fałel, niedługo zaliczymy cztery pory roku tutaj. Mniej więcej rok temu moje życie się zmieniło. I Marco również, jak się okazuje. Ciągłe pamiętam tamte jazdy autobusem do mieszkania matki i absurdalną rutynę, którą mi narzuciła. Wyjmij listy ze skrzynki, pootwieraj wszystkie okna, podlej cholerne kwiaty. Wtedy pierwszy raz zobaczyłam Sedrica. Ale mnie przestraszył. Boże, jaka ja wtedy byłam nieszczęśliwa.

Idąc, pogłaskała Fałla po kosmatym czubie.

– Prawdę mówiąc, chyba nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo byłam nieszczęśliwa, dopóki nie uwolniłam się od rutyny. Dopóki nie odnalazłam siebie. I, oczywiście, ciebie.

Pies przytaknął jej machnięciem ogonem, a ona szeroko rozłożyła ramiona, jakby chciała zagarnąć w nie wszystko, co miała, co czuła i znała.

– Marco miał rację. Trafiło się nam dzisiaj jakby półtora dnia.

Skręciła na ścieżkę do Marg i przypomniała sobie, jak pierwszy raz tędy szła. Nadal trochę oszłamiona po niezdarnym przecięnięciu się przez portal, w pogoni za Fałlem, wtedy jeszcze szczeniakiem.

I tamten szok i zdenerwowanie, kiedy zobaczyła babcię w otwartych drzwiach i ją rozpoznała.

Teraz też drzwi były gościnnie otwarte. Zachwycony Fałel puścił się biegiem, gotów do powitań. A Marg wyszła na próg.

Piękne włosy miała zebrane w kok. Strój złożony ze zwykłych spodni i powyciąganego swetra wskazywał, że oderwała się od pracy albo w domu, albo w ogrodzie.

– Pogodny dzień, wprost idealny do grzebania w ziemi! – zawołała Marg. – Właśnie przyszliśmy do domu na herbatę, a tu ty się zjawiasz prosto ze Stolicy.

– I przynoszę wiadomości dla was obojga.

– Wchodź, siadaj. Zostało mnóstwo ciasteczek po wczorajszym pieczeniu. Dla ciebie też coś się znajdzie. – Pochyliła się i pogładziła Fałla. – Zawsze coś dla ciebie mam. Ładnie ci w tym trenczu.

– Wiedziałaś o prezencie od Kiary?

– Radziła się mnie. – Uściskała Breen na powitanie i pocałowała ją w policzki. – Wyglądasz tak pogodnie jak ten dzień.

– Po drodze myślałam o tym, że tutaj wiosna wcześniej przychodzi, zdecydowanie wcześniej, niż przywykłam. I że widziałam wszystkie cztery pory roku w Talamh i Irlandii. Dużo rzeczy zobaczyłam po raz pierwszy, babciu, i stąd mój pogodny nastrój.

Przeszła do kuchni, gdzie Sedric w workowatych spodniach nalewał herbatę. Uściskała go tak samo serdecznie, jak wcześniej przywitała ją Marg. Sedric pachniał ziemią i zielenią.

– Pierwszy raz zobaczyłam ciebie w autobusie. Wydałeś mi się znajomy, a może to było jakieś przecucie. W każdym razie twój widok obudził we mnie niepokój. Ty wywołałeś przeciąg, który otworzył drzwi szafki i rozrzucił dokumenty. Dzięki temu dowiedziałam się o pieniądzach od ojca i babci. W tamtej chwili zmieniło się moje życie.

– To nie była wyłącznie kwestia pieniędzy.

– One pomogły. Jezu, a ja z Marco miesiąc w miesiąc ledwo wiązaliśmy koniec z końcem. Ale masz rację, dowiedziałam się, że tata mnie nie zostawił. Gdyby nie ten niespodziewany przyływ gotówki, nie przyleciałabym do Irlandii. Gdyby nie pobyt w Irlandii, nie przesłabym na tę stronę. I stąd bierze się mój pogodny nastrój, chociaż przyznam, że przychodzę do was z ponurą historią. Opowiedziała mi ją Uczona Dorcas.

– Byłaś u Dorcas? Sedricu, podaj ciasteczka i nalej dziewczynie herbaty, żeby spłukała smak po tamtej wizycie.

Breen usiadła, nie oferując pomocy, bo wiedziała, że oni oboje lubią się krzątać.

W przytulnej kuchni, gdzie rześkie powietrze wpadało przez otwarte okna, a ogień w kominku

zapewniał ciepło, szczegółowo opowiedziała im historię przekazaną przez Dorcas.

– To dziwne, ale nigdy o tym nie słyszałam, A ty, Sedricu?

– Ja tak. Jednak dopiero teraz, kiedy to usłyszałem, zaczynam ją sobie przypominać. – Jego srebrzyste włosy zaśniły, gdy opuścił głowę i zapatrzył się na dłonie. – Dawno temu, gdy byłem mały, straszono nas, dzieci, taką opowieścią, żebyśmy byli grzeczni i nie oddalali się od domu. Później nigdy nie wracałem do niej myślami.

– To była ta sama opowieść? – spytała Marg.

– Nie do końca. Mówiła o Odranie, bo już w czasach mojego dzieciństwa jego imię budziło strach. Ale, o ile pamiętam, nie było tam słowa o demonie w Odranie. Opowiadał ją nam, dzieciom, wędrowny Stary Ojciec. Według tego, co mówił, Odrana za sprawą czarnej magii urodziła kobieta, która bardzo pragnęła mieć syna. I tak jak w opowieści Dorcas, psuła go, rozpieszczała, wmawiała mu, że jest wyjątkowy, a on dorastał dumny i nienasycony i już w łonie matki skażony mrokiem.

– W tej historii też pojawia się demon. Zły demon, który pokazał Odranowi, że picie ciepłej krwi daje moc, a zjedanie świeżego mięsa sprawia przyjemność. Stary Ojciec mówił, że najbardziej smakuje mu młode mięso, dlatego czyha na dzieci, które oddalają się od domu albo nie słuchają mamy. I tak Odran rok po roku w sekrecie raczył się ciepłą krwią i świeżym mięsem do czasu, gdy bogowie dowiedzieli się o tym od młodej wiedźmy, której udało się wyrwać z jego łap. Wtedy zesłali go na banicję, a zrozpaczona matka rzuciła się w pogoń za nim i roztrzaskała o skały w Mrocznym Morzu.

Cień uśmiechu pojawił się na twarzy Sedrica.

– Co noc śniły mi się koszmary, a moja mama mnie uspokajała, tłumaczyła, że to bajdy wymyślone do straszenia dzieci. Uwierzyłem jej, a teraz widzę, że jednak było tam ziarno prawdy.

– Posuwanie się do kanibalizmu – mówiła z namysłem Marg – dla zdobywania mocy? Bogowie bywają zimni i kapryśni, ale tego nie mogli wybaczyć. W tamtym czasie zaufanie między światami zostało nadszarpnięte. Jak to możliwe, że oni, zamiast zgładzić drania, skazali go na banicję, zostawili przy życiu? Niełatwo jest odbudować zaufanie. To był początek końca jedności światów.

– To samo powiedziała Dorcas, a Keegan z nią się zgadza.

– Demon w nim czyni go półbogiem – zauważył Sedric. – Tak jak ciebie, Breen. On może o tym nie wiedzieć, bo ta historia jest mało znana. Jego moce zostały osłabione przez to, co w siebie przyjął. Niezwiększone, jak tego pragnął, ale osłabione.

– Więc jesteśmy na mniej więcej tym samym poziomie?

Marg pokręciła głową.

– Nie. Ty jesteś światłem, on mrokiem. Mrok może stłumić światło, przyćmić, a nawet zgasić na jakiś czas. Jednak ono zawsze odnajdzie drogę. I on się ciebie boi, bo dobrze o tym wie. – Marg podeszła do okna i zapatrzyła się przed siebie. – Teraz widzę, że czerpanie mocy z mojego chłopczyka, mojego słodkiego maleństwa, go nie zaspokajało. Strach pomyśleć, co zrobiłby z moim synem, gdybym nie obudziła się tamtej nocy.

– Na szczęście się obudziłaś. – Sedric wstał od stołu, podszedł do niej i ją objął. – Wysłałaś Odrana z powrotem do świata mroku i Eian wyrósł na silnego mężczyznę. A teraz siedzi tutaj jego jeszcze silniejsze dziecko.

– Babciu, skoro wiemy o jego słabości, znajdziemy sposób, żeby ją wykorzystać. Ale to nie wszystko.

Kiedy opowiadała im o nowej strategii Keegana, planie kamuflażu przygotowań poprzez urządzenie festynów, o wykorzystaniu letniego przesilenia, oboje wrócili do stołu.

– Wtedy jest najdłuższy dzień – zauważyła Marg. – Najsilniejsze światło. On to wie tak samo jak my, więc pułapka musi być starannie obmyślona.

– Moja droga Marg, on uważa nas za głupich i słabych. Takie myślenie świadczy o jego tępcocie. Zawsze w całym Talamh świętujemy przesilenie, ale tym razem mamy tu Breen. – Sedric z błyskiem w oku poklepał ją po ręce. – Mija rok, okazja do świętowania rocznicy. Myślę, że on nie oprze się pokusie.

– Breen ma być i przynętą i kluczem? – Marg zreflektowała się, gdy tylko to pytanie padło z jej ust. – Wybacz mi, Sedricu. – Chwyciła go za rękę. – Wiem, że oddałbyś za nią życie. Przemawia przeze mnie babcina słabość.

– Nie. – Pocałował ją w dłoń zamkniętą na jego rękę. – Siła.

– Babciu, trzeba położyć temu kres. On musi zniknąć i może to będzie dobry sposób albo przynajmniej właściwy czas. A jeżeli on napadnie na nas przez wszystkie portale naraz, co wtedy? – Wyciągnęła rękę i nakryła ich splecione dłonie. – Jeżeli możecie czegoś jeszcze mnie nauczyć, koniecznie to zróbcie.

– Dobrze, tak trzeba, masz rację. Zawsze coś się znajdzie. Jeżeli ta historia o dziewczynie demonie jest prawdziwa, pojawiają się nowe możliwości. Skupimy się na nich.

– Poszukam Keegana. – Sedric wstał od stołu. – Może mu się do czegoś przydam.

– Zawsze jesteś potrzebny, *mo chroi*. Uważaj na siebie. – Marg podniosła się z krzesła i go pocałowała.

Kiedy zniknął, poklepała Breen po dłoni.

– W takim razie idziemy do pracowni. Mam pewne rzeczy, które być może przybliżą nam te nowe możliwości.

Gdy zbliżały się do mostka, Fąfel spojrzął na Breen z nadzieją.

– Biegnij się popluskąć.

Podczas gdy pies buszował w wodzie, trzymała Marg pod rękę.

– Nie martw się, babciu. Szkoda takiego ładnego dnia. Znajdziemy sposób – stwierdziła stanowczo. – Mam też dobre wiadomości, prawdopodobnie dobre. Pamiętasz, że Marco zaczął pisać książkę kucharską? To właściwie więcej niż zwykły poradnik, bo do każdego przepisu jest dołączona jakaś anegdota, dowcip, a nawet muzyka. Zainteresowała się nią nowojorska agencja.

– To rzeczywiście wspaniała wiadomość!

– Oj, tak. A mojej agentce spodobała się powieść i uważa, że sprzedaje ją bez problemu...

– Och! Tyle czasu tutaj jesteś i dopiero teraz mi o tym mówisz!

– To nie jest aż takie ważne jak...

– Do licha! – Marg przystanęła i zagarnęła Breen w ramiona. – To jest bardzo ważne. To życie, jego jasna strona. Moja wnuczka jest pisarką, a nasz Marco znanym kucharzem. Jestem z was bardzo dumna.

Trzymała Breen w objęciach, a Fąfel, szczekając, wykręcił piruet i wyrzucił wysoko bryzgi wody. Breen ze śmiechem spojrzała w dół. I zobaczyła.

– Jest tam. W wodzie.

Co takiego?

– O tam. Nie widzisz?

– Widzę psa, kamieniste dno i pływające rybki.

– Medalion. Serce smoka na złotym łańcuchu. Pięknie się mieni. Widziałam go wcześniej, ale ciągle zapominałam cię zapytać. Naprawdę go nie widzisz?

– Nie. – Głos Marg stał się cichy i matowy. – Nie widzę go.

– Ja... Jest na twoim portrecie w Sali Sprawiedliwości, babciu. Nosiłaś go. Ale ja już wcześniej go widziałam.

Breen potarła skronie i usiłowała się skupić.

– Miałam sen. Teraz go pamiętam. Przed przylotem do Irlandii przyśniło mi się, że idę w zielonym świetle, widzę wodospad, rzekę, mech. Dookoła jest tak pięknie. Naszyjnik leży w wodzie. Chcę go wyciągnąć. Przecież do kogoś należy. Ale nie sięgam tak daleko i... potykam się. Odran trzyma mnie tam w szklanej klatce. Tonę, nie mogę wydobyć się na powierzchnię i... w tym momencie Marco mnie zbudził. – Odwróciła się do Marg. – On mi się przyśnił.

– Nigdy o tym nie wspominałaś.

– Zapominałam. To bardzo dziwne. – Nawet teraz, gdy próbowała sobie przypomnieć, rozboleła ją głowa. – I później, już tutaj, ten sen się powtórzył. Zobaczyłam naszyjnik w rzece przy wodospadzie. Nie mogłam go dosięgnąć, brzeg był śliski, bałam się, że wpadnę do wody.

Obrazy wirowały jej przed oczami, niejasne, niespójne.

– Ale... widziałam go również na jawie. Tamtego dnia, kiedy dostrzegłam rysy na portalach, poszłam z Marco nad wodospad. Znowu zobaczyłam medalion w wodzie. I też leżał poza zasięgiem mojej ręki. A przecież ty go nosiłaś. Jest na portrecie. Jest twój.

– Od jakiegoś czasu go nie mam. Widzisz go tutaj, w strumieniu?

– Tak. Ja... – Jednak gdy ponownie spojrzała w dół, zobaczyła jedynie psa. – Widziałam go, ale... Co to znaczy? Zgubiłaś go? Został skradziony?

– Nie. – Marg odwróciła się, odeszła kilka kroków i przycisnęła dłonie do twarzy. – Nigdy nie ustają w żądaniach.

– Kto taki?

– Bogowie, przeznaczenie, moce poza nami. Zawsze chcą więcej. Myślałam – miałam nadzieję – że to, co zostało dane, ich nasyci, a teraz żądają tej ostatniej rzeczy. Chcą mieć wszystko.

– Nie rozumiem.

Marg odwróciła się do Breen, a znużenie niczym ciężka peleryna przygięło jej ramiona.

– Idź na farmę po swojego konia, *mo stor*. Ja osiodłam Igraine. Pojedziemy tam, gdzie widziałaś medalion we śnie i na jawie. Nieważne, czy go zobaczymy, czy nie, wszystko ci wyjaśnię. Potrzebuję trochę czasu, muszę dojść do siebie, a potem porozmawiamy.

– Dobrze. Szybko wróć. Fąfel, zostajesz z babcią.

Biegła gnana ciekawością i niepokojem o Marg. Zziajana, zwolniła dopiero przed farmą, żeby trochę ochłonać, zanim ją tam zobaczą.

– Babcia ma ochotę na przejażdżkę! – zawołała do Moreny. – Osiodłam Boya.

– Ratuj mnie! – Morena, śmiejąc się, błagalnie złożyła dłonie. – Weź mnie ze sobą.

– Już kończymy – rzucił Harken i pociągnięciem za daszek czapki nasunął ją Morenie na oczy. – Jeszcze godzina i będzie wolna. Znajdzie was.

Breen zawołała Boya. Rozkojarzona, starała się skupić przy nakładaniu siodła i uzdy. Energicznie pomachała w kierunku pola i dała Boyowi sygnał do galopowania.

Babcia z Fąflem czekali na nią na zakręcie.

Marg zdążyła wyjaśnić psu, dokąd się udają, żeby mógł dołączyć do nich, gdy będzie biegł.

– Zacznę ci opowiadać po drodze.

Przejechały z pół kilometra i dopiero Marg ponownie się odezwała.

– Otóż on nie ma nazwy, a przynajmniej ja jej nie znam, chociaż niektórzy nazywają go Opoką Przeznaczenia, a inni Łańcuchem Powinności. Wykuto go ze złota wykopanego w tych wzgórzach, a kamień pochodził ze Smoczego Gniazda. To prawdziwe serce smoka, wielkiego smoka – niektórzy mówią, że pierwszego z rodu – po śmierci zakłute w kamień. Podobno jest starsze od Talamh. To dar bogów, który ma przypieczętować porozumienie między naszymi światami po upadku Odrana.

– On ma moc.

– Ogromną i jest bezcenny. Z szacunku dla daru Fey zamknęli go w szklanej szkatule, ale Odran, zawistny jak zawsze, uderzył w nią ze swojego świata. Szkło pękło i medalion zniknął. Przynajmniej tak sądzono.

– A ty go odnalazłaś.

– Nie byłam pierwsza. Bogów rozsierdziła strata i chociaż winę za nią ponosił Odran, byli źli na Fey. Po okresie niepokojów ponownie doszło do zawarcia porozumienia.

I wtedy kowen Widzących rzucił zakłęcie, które miało pomóc odnaleźć naszyjnik, jednak już nie wolno go było zamykać w szkle. Ustalono, że ten, kto go znajdzie i wyciągnie z wody na powierzchnię, ma prawo go nosić pod warunkiem, że złoży przyrzeczenie.

– Co przyrzeknie?

Skręciły do lasu, gdzie światło kładło się na ziemię, a ona wyglądała jak dywan z mchu.

– Lojalność wobec Talamh i Fey, szacunek dla wszystkich światów i obowiązujących tam praw. Obronę Talamh i Fey w latach tłustych i chudych, jeżeli takie nadejdą. – Na moment zamknęła oczy. – I gotowość oddania życia za Talamh i Fey w chwili próby.

– W chwili próby?

– Nie na polu bitwy, rozumiesz? Tylko w chwili wyboru. Jedno życie za wszystkie, jedno światło za wszystkie światła. Znajdujesz naszyjnik, bierzesz go, nosisz i składasz przyrzeczenie, a jeżeli je złamiesz, zostajesz pozbawiona wszelkiej mocy i wszystkich twoich darów. Owszem, możesz wybrać życie jako cenniejsze, ale tracisz wszystko, czym byłaś.

– Złożyłaś przysięgę.

– Tak i jej dochowałam. Byłam gotowa oddać życie. Walczyłam w bitwie, przelewałam krew, nie żałowałam własnej, broniąc Fey i inne światy. Gdyby nadeszła chwila próby, nie zawahałabym się. Jednakże to nie wystarczyło, ciągle było za mało. Zabrali cię ode mnie, mimo że nadal dotrzymałam przyrzeczenia.

Marg zsiadła z Igraine i przytuliła twarz do jej szyi.

– A potem straciłam syna. Mojego drogiego chłopca. Ostatni raz miałam na sobie naszyjnik w tamtym dniu, kiedy Keegan wyciągnął miecz z jeziora. Założyłam go, żeby uhonorować następnego *taoiseacha*. Po przekazaniu mu buławy poleciałam w nocy nad morze na Dalekim Zachodzie i wrzuciłam go do wody. – Wyprostowała się. – Zrobiłam to z żalu za odebraniem życia. Wrzucając go do morza, wierzyłam, że całe wieki miną, nim naszyjnik ponownie się komuś ukaże. Nigdy nie sądziłam, że to będzieś ty.

– Wrzuciłaś go do morza, a tymczasem on jest tutaj. – Breen wskazała naszyjnik połyskujący w przejrzystej zielonej wodzie.

– Nie widzę go. Nie jest dla mnie. Był dla mnie, dziewczyny młodszej od ciebie, chodzącej po innym lesie. Ona zobaczyła go w strumieniu, w którym dzisiaj pluskał się twój pies. Zobaczyła i zrozumiała. Złożyła przysięgę i jeszcze tego samego dnia weszła ze wszystkimi do jeziora i wzięła miecz. Mówi się, że ten naszyjnik przynosi zmianę, że ukazuje się w czasie wielkich zmian.

Zamknęła w dłoniach ręce Breen.

– Możesz go zostawić tam, gdzie jest. To nie przynosi ujmy. Żyjemy zgodnie z naszym wyborem. Gdybym mogła, sięgnęłabym po niego i znowu go nosiła. Ja swoje życie przeżyłam, twoje dopiero się zaczyna.

– Ono się zaczęło. Naprawdę zaczęło. Moje prawdziwe życie trwa niecały rok. Walczyłam, babciu. Przełałam krew i oddałam własną. Ale... to było w ferworze bitwy. Zabij, bo inaczej zginiesz. Przyrzekłam obronić Talamh, zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby pokonać Odrana i zapewnić pokój. Czy to za mało?

– Medalion może poczekać na kogoś innego.

Breen potrząsnęła głową.

– Zanim tu wróciłam, naszyjnik pojawiał się w moich snach i budził we mnie lęk przed śmiercią. Czy ja go widziałam w dzieciństwie? Opowiadałaś mi legendę o nim?

– Nosилаm go w czasie bitew i ceremonii. Nie piekłam w nim pierniczek dla wnuczki, ani nie opowiadałam jej takich historii.

– To moje życie i jeżeli nie zgodzę się go oddać, kiedy padnie takie żądanie, wszystko stracę. To, kim jestem. Nie pragnę śmierci. Chcę żyć, pisać i cieszyć się. Chcę mieć dzieci i patrzeć, jak rosną. Nie mogę się cofnąć, stać kimś, kto nic nie znaczy.

– Nigdy do tego nie dojdzie, *mo stor*, zawsze wiele znaczyłaś.

Kiedy Marg uścisnęła jej dłonie, Breen poczuła strach. Swoją i babki.

– Zostaw go w wodzie, niczego przez to nie stracisz.

– Należy do mnie – szepnęła Breen. – Jeżeli wcześniej tego nie czułam, teraz to wiem. Jest częścią tego, kim jestem, przypomina, dlaczego tu jestem i co mam zrobić. On i to wszystko, co się z nim wiąże, budziło we mnie lęk, dlatego zamiast po niego sięgnąć, wycofywałam się.

Obróciła się wokół własnej osi.

– Odran zamknął mnie w klatce w tej wodzie. Chciał zabrać wszystko, czym jestem, i dlatego na wiele lat pozbawiono mnie świadomości samej siebie. A teraz naszyjnik przychodzi do mnie. Babciu, ty wiesz, dlaczego. Sama dokonałaś wyboru, złożyłaś przysięgę, kiedy, jak mówiłaś, byłaś młodsza ode mnie. Wtedy całe życie było przed tobą. Ale ty go podniosłaś, bo jesteś, kim jesteś. Znasz swoją wartość.

Kiedy Breen zesza na brzeg wpatrzona w naszyjnik, nawet łomot wodospadu nie mógł zagłuszyć dudnienia jej serca. Wybór, myślała. Wybór. Nawet gdyby przyszło mi oddać życie, przeżyłam niesamowity rok.

Brodząc w wodzie, za plecami słyszała popiskiwanie Fąfla i szloch Marg. Pochyliła się, zamknęła dłoń na złotym łańcuchu i podniosła naszyjnik z dna.

– Ślubuję lojalność wobec Talamh i Fey oraz szacunek dla wszystkich światów i obowiązujących tam praw. Będę opoką dla Fey w latach tłustych i chudych, jeżeli takie nadejdą. Ślubuję oddać życie za Talamh i Fey w chwili próby. Jedno życie za wszystkie, jedno światło za wszystkie światła. – Ściskając klejnot w lekko drżących dłoniach, uniosła naszyjnik ku niebu, a potem założyła na szyję. – Jeżeli złamię którekolwiek z tych przyrzeczeń, spotka mnie zasłużona utrata mocy i wszystkich moich darów.

Błyskawica rozdarła czyste błękitne niebo, grzmot przetoczył się z ogłuszającym łoskotem.

I zapadła cisza. Breen wyszła z wody i objęła rozszlochaną Marg.

– Babciu, nie płacz. On jest mój. Czekał na mnie, odkąd kamień oprawiony w złoto zawisł na łańcuchu. Położę kres wszystkim nieszczęściom spowodowanym przez chciwość i żądzę Odrana.

Wóz albo przewóz, dodała w myślach.

Rozdział 22

Wyjechały z zielonego miękkiego światła na jasny dzień.

– Zboczmy na grób twojego ojca. Chciałabym zatrzymać się tam na chwilę, *mo stor*.

– Tak. Ja też tego chcę.

Breen pozwoliła Fałlowi wracać na skróty, a on zamiast natychmiast się oddalić, dotrzymywał tempa koniom, cały czas biegnąc blisko.

Czuła wagę naszyjnika, nie tylko ciężar złota i kamienia, ale również jego symboliki i złożonej przez siebie przysięgi. Czy oswoi się z tym, tak jak przywykła – no, prawie przywykła – do całej reszty?

Wystawiła twarz na wiatr. Dzisiaj, myślała, powietrze niesie z sobą wiele obietnic, a ziemia też je oferuje, odsłaniając kępy białych gwiazdzistych kwiatków przy drodze i jaskrów na łąkach. Na wzgórzach głęboka zieleń sosen mieszała się z seledynem nieśmiałych młodych roślin.

Na pewno na zawsze zachowa w pamięci ten dzień; te widoki i wszystko, co się wydarzyło.

Objęła wzrokiem ruiny na wzgórzu, oczyszczone już z mroku, i kilka czarnogłowych owiec szczypiących trawę w pobliżu rumowiska. Wcześniej zwierzęta tutaj się nie zapuszczały. Ciekawe, czy przyszły tu z tamtej łąki za drogą, gdzie rodzina straciła młodą dziewczynę przez jej naiwność.

Zsiadła z Boya i przywiązała oba konie, po czym dołączyła do babki przy grobie.

Kwiaty, które latem zasadziły z miłości, wspierając się magią, kwitły bujnie. Wiedziała, że tak już zawsze będzie. Kolorowy dywan pokrywał grób człowieka, którego krótkie życie zostanie zapamiętane na wieki.

– Eian jest bardzo dumny z ciebie. Czuję to, stojąc tutaj. Czuję jego miłość i dumę. Kiedy miałś zaledwie kilka godzin, a twoja matka odpoczywała po porodzie, zobaczyłam go z tobą na rękach. I chociaż spałaś zadowolona w jego ramionach, on tobie śpiewał. Zachowałam to wspomnienie syna i jego córki, razem w jasności. Ten obraz nadal jest wyraźny w mojej głowie, a w uszach mam tamten czysty dźwięczny głos.

– Babciu, co on mi śpiewał?

– Bardzo starą, wzruszającą balladę o pokoju i pięknie. O Talamh i świetle płynącym z miłości.

– Kiedyś mnie jej nauczysz?

– Tak. – Wzięła Breen za rękę. – Dałam ci łzy, podczas gdy powinnam dać ci siłę.

– Babciu, nikt nie nauczył mnie tak wiele o sile co ty. Obserwowałaś mnie, kiedy dorastałam. Wtedy nie byłam silna.

– Silniejsza, niż myślisz.

– Poddawałam się i ustępowałam. Nigdy się nie postawiłam, nie sprzeciwiłam. Zapomniałam, nie umiałam. Ty mi przypominałaś i dałaś narzędzia. A ten ostatni rok? Jest dla mnie wszystkim. Już postanowiłam, że będę walczyć, nie poddam się. – Zamknęła dłoń na klejnocie. – A to kolejny krok.

– Taki ciężar spada na twoje ramiona – szepnęła Marg. – Wiem coś o tym.

– A więc musisz wiedzieć i wierzyć, że go udźwignę. Babciu, powiedziałaś, że wrzuciłaś naszyjnik do morza.

– Tak zrobiłam.

– A jednak nie utraciłaś swojej mocy, swojego daru.

– Nigdy nie złamałam przysięgi i nie złamię. Walczyłam i będę walczyć i umrę bez sprzeciwu, jeżeli będzie potrzeba. Oni odebrali mi syna, a przecież mogli wziąć mnie. Jego dziecko wywiezione na drugą stronę wiodło smutne życie. Och, nie, nie powinnam zakładać tego symbolu. Z drugiej strony gdybym wiedziała, że on trafi do ciebie, niech przeklęci będą bogowie, a powinnam to przewidzieć, nosiłabym go do końca moich dni.

– Miał na koniec trafić do mnie, prawda? – Breen to czuła, była tego pewna, kiedy stojąc na brzegu, patrzyła na wisior pod wodą. – Miał w końcu trafić do mnie ze wszystkim, co się z nim wiąże, co sobą symbolizuje.

– Teraz myślę, że tak miało się stać. Bogowie są bezwzględni, gdy tkają swoje lepkie sieci.

– Babciu, mam w sobie wolę życia i będę o nie walczyła. Nie złamię przysięgi, będę walczyła o życie do chwili wyboru, jeżeli ta chwila nadejdzie.

Breen przywołała Fafla zmęczonego truchtaniem i posadziła go przed sobą na Boyu. Pies był marcotny, kiedy więc Marg pojechała do siebie, jego pani zatrzymała się przy zatoce, żeby poprawić mu humor.

Dwie syreny siedziały na skałach i rozczesywały włosy, a z pół tuzina syreniątek pluskało się w wodzie.

– Biegnij do nich. One chcą się z tobą bawić, a ja z przyjemnością popatrzę. – Nachyliła się i widząc jego zasmucone oczy, cmoknęła go w czoło. – Potrzeba nam trochę radości. Rozerwijmy się. Naprawdę tego chcę.

Fąfel wbiegł do wody, ochoczo witany przez małe syrenki.

Zauroczona tą sceną, stała oparta o Boya, gdy koń chłodził się bryzą od zatoki.

– Córko! – zawołała jedna z syren, ta z włosami w kolorze złota i miedzi, kierując na Breen przepaściste, ciemnozielone oczy. – Podejdiesz bliżej?

Breen zeszła na brzeg, po czym pod wpływem impulsu ściągnęła buty i weszła na płyciznę.

– Jestem Alana, mama Ali i reszty tego drobiazgu – przedstawiła się Syrena. – Ala czasami prze-myka się na drugą stronę, żeby pobawić się z tym miłym psem w twojej zatoce.

– Naprawdę? Nigdy jej tam nie widziałam. Nie wiedziałam, że to w ogóle możliwe.

– Ona jest bardzo ostrożna i nieśmiała. Ale przy tym miłym psie nabiera odwagi. – Alana się uśmiechnęła. – W morzu też otwiera się portal. Pilnujemy go dla Talamh i innych światów. Moja siostra Lyra dziwi się, dlaczego do nas nie podpłyniesz.

– Nie mam odpowiedniego stroju. No i dla mnie woda jest za zimna. Za to z przyjemnością popatrzę na wasze maluchy bawiące się w wodzie.

– One są bardzo ciebie ciekawe – odezwała się Lyra, która cały czas rozczesywała czarne jak heban włosy białym błyszczącym grzebieniem. – Wszyscy jesteśmy ciekawi. Wymieniłam się towarami z twoim przyjacielem, człowiekiem.

– Z Marco.

– Aha. Jest bardzo przystojny jak na człowieka. Rozśmieszał maluchy żartami. On się trzyma z niebieskookim Sidhe, który też jest bardzo przystojny.

– Z Brianem. Tak, oni się zdeklarowali.

– Życzę im szczęśliwego życia. Ja od dawna z nikim nie jestem związana. Mój partner, potężny wojownik, poszedł w Głębinę w czasie bitwy na Południu.

– Wyrazy współczucia z powodu twojej wielkiej straty.

– Lyra mówi ci o tym – wtrąciła Alana – bo widzi, że masz Opokę Przeznaczenia. Przyrzekłaś oddać życie za Talamh. Jedno życie za wszystkie, jedno światło za wszystkie światła.

– Tak, złożyłam przysięgę.

Alana zsunęła bransoletkę z nadgarstka.

– Wysyłamy ją do ciebie.

Ku zaskoczeniu Breen bransoletka i grzebień Lyry podpłynęły do niej, unosząc się na wodzie. Grzebień z macicy perłowej był inkrustowany małymi kamykami. Bransoletka składała się z wypolerowanych jasnoróżowych kamieni poprzeplatanych idealnie białymi perłami.

– Piękne. Nie mam przy sobie nic na wymianę.

– Nosisz naszyjnik i złożyłaś przysięgę. To podziękowanie. Żyjemy w cieniu Odrana. Nasze dzieci żyją w jego cieniu. Przyrzekłaś, że jeśli zajdzie taka potrzeba, oddasz życie, żeby rozproszyć jego cień. Jesteś Córką Fey, ale żyłaś po drugiej stronie. Wybrałaś i szanujemy twój wybór.

– Będę bardzo dbała o wasze dary – zapewniła Breen syreny.

Fąfel wyszedł z wody, jakby rozumiał, że czas się zbierać. Wysuszyła go, sama wytarła nogi i włożyła buty.

– Alano, powiedz Ali, że jest mile widziana w zatoce po mojej stronie.

– Córka Fey może liczyć na naszą gościnność i ochronę na morzu przez całe życie.

Kiedy zbliżali się do farmy, Breen pomyślała, że przynajmniej na kilka minut zapomniała o ciąży naszyjnika.

Keegan już na nią czekał.

– Zrobiło się późno, bardzo późno. Marco poszedł na dru...

Urwał, kiedy zsiadła z konia.

– Przepraszam. Niespodziewane okoliczności.

Wyciągnął rękę i zamknął kamień w dłoni.

– Marg ci dała?

– Nie, ale wyjaśniła jego znaczenie, gdy zaprowadziłam ją tam, gdzie go wcześniej widziałam.

Pierwszy raz pokazał mi się we śnie.

– Zdejmij go. Daj mi.

Cofnęła się urażona poleceniem i gniewnym tonem.

– Jestem *taoiseachem*. Złożyłem przysięgę, to oczywiste, że powinien być mój.

– *Taoiseach*, jak sam mówiłeś, nie jest królem. Wyłowiłam go z rzeki, tam, gdzie kiedyś Odran zamknął mnie w szklanej klatce. Sięgnęłam po niego z wyboru, tak jak ty z wyboru podjąłeś miecz. Złożyłam przysięgę, podobnie jak ty ją złożyłeś. Czyżbyś mnie tak nisko cenił, oczekując, że złamię przyrzeczenie?

Odszedł od niej zamaszystym krokiem i zacisnął dłonie na barierce ogrodzenia padoku.

– Wiedziałem, od samego początku wiedziałem. A jednak. A jednak. – Odwrócił się. – Nie chciałem tego dla ciebie. Byłaś nierozważna. Powinnaś najpierw ze mną porozmawiać. Powinnaś powiedzieć mi, że zobaczyłaś go w wodzie.

– Zapominałam. Wciąż mi to umykało. Myślę, że się bałam, może więc stąd te luki w pamięci. A jednak sobie przypomniałam i wybrałam. Nie zrobiłam tego pochopnie, Keeganie. Myślę, że... nieuchronnie.

– Bzdura. Nic takie nie jest.

– Czy na pewno? Popatrz na mnie, Keeganie. – Rozłożyła ramiona. – Gdy rok temu wiosna zawiatała do Talamh, wciąż byłam nieszczęśliwa, bałam się sięgnąć po to, czego naprawdę chciałam. Zaledwie kilka kroków dzieliło mnie od zmiany, a jednak... Pomogłeś mi się przebudzić. Właśnie tutaj, na tym przeklętym, głupim placu ćwiczebnym. Pomogłeś mi stać się tym, kim teraz jestem. Po drodze podejmowałam kolejne decyzje, a dziś dokonałam ostatecznego wyboru.

– On należy do mnie, Keeganie. Nawet gdybym go zdjęła i oddała w twoje w ręce, wciąż byłby mój, tak jak przysięga.

Patrzył na nią gniewnie płonącymi oczami.

– Zagrzebałbym go na dnie morze. Los nami miota w różne strony.

– Możliwe. A może to po prostu życie, jego rozdroża. Gdy tutaj przybyłam, wiedziałeś, że może nie uda mi się przeżyć. Wytrenowałeś mnie, abym walczyła, ryzykowałeś, nawet wiedząc, że odpowiedzią może być śmierć.

– To było coś innego.

– Dlaczego?

– Bo tak. – Chwycił ją za ramiona i gdy czekała na potok przekleństw, przyciągnął ją do siebie i zamknął w uścisku. – Nie widzisz, że to pozostawia mnie bez wyboru? Jeżeli Odran jakimś sposobem pozbawi cię życia, co mi zostanie?

– Talamh. Keeganie, ja nie poddam się tak po prostu. Proszę, nie rezygnuj ze mnie.

Wtulił twarz w jej włosy.

– Jeśli zginiesz, będę bardzo wkurzony.

– Dobrze. Zrobię wszystko, żebyś nie musiał bardzo się wkurzyć. Naszyjnik ma swój ciężar, Keeganie, ale ma też moc. Nauczę się jej używać.

Odsunął się.

– Zrobiło się późno, dzisiaj już nie poćwiczymy. Za to jutro czeka cię ciężki trening.

Kiedy Keegan prowadził Boya do bramy padoku, natknął się Harkena idącego z wiadrem do studni.

Widziała wyraźnie wymianę spojrzeń między braćmi. Harken postawił wiadro.

– Zajmę się Boyem – powiedział. Jednak najpierw podszedł do Breen. Ujął w dłonie jej twarz i pocałował ją w policzek. – Nic nie jest tak zapisane, żeby nie można było tego zmienić. Kto wie to lepiej od ciebie?

– Chodź. – Keegan wziął ją za rękę. – Może dla odmiany dotrzemy na drugą stronę przed zmrokiem.

Z Fąblem truchtającym przed nimi przeszli przez drogę. Breen obejrzała się na Harkena i podniosła wzrok na Keegana.

– Powiedz mi, bo dopiero teraz o tym pomyślałam. Czy ktokolwiek, kto nosił naszyjnik, żył długo i szczęśliwie?

– Marg żyje i jaka sama widzisz, ma się dobrze.

– Ale straciła syna. Nie uciekaj od tematu.

– Z pieśni i podań wiem tylko o dwóch przypadkach złamania przysięgi. Ci ludzie, pozbawieni mocy i swoich darów, ogołoceni z honoru, gaśli w oczach. Inni, jak Marg, przeżyli, ale stracili kogoś, kto był dla nich ważniejszy od życia. A pozostali polegli.

– Czyli śmierć, hańba lub utrata ukochanej osoby – podsumowała. Przeszła do Irlandii i usiadła na grubym konarze wygiętym ku ziemi. – Daj mi chwilę.

– Harken powiedział prawdę.

– Dobrze, później się tym zajmiemy. Jednakże nikt, kto wcześniej nosił naszyjnik, nie miał w żyłach boskiej krwi? To powinno dać mi przewagę.

Przesunął się, żeby usiąść obok niej, ale powstrzymała go gestem dłoni.

– Nie. Nie chcę, nie próbuj mnie pocieszać. Są dwie możliwości – mam na myśli te dwie najbardziej oczywiste. Pierwsza to ta cała historia od upadku Odrana aż po teraźniejszość, gdy babcia daje się zwieść Odranowi, rodzi mojego ojca i odkrywa prawdziwe oblicze Odrana. Potem matka trafia do pubu w Doolin, akurat kiedy muzykuje tam mój ojciec razem z twoim, Moreny i ich przyjaciółmi. Matka podąża za ojcem do Talamh i ma mnie. Po latach ja wchodzę do tego samego pubu. To początek mojej nowej drogi. Zaczynam o sobie decydować i dokonuję wyborów. Czyli wszystko jest jedną długą historią, która sprowadza się do tego, że poświęcam życie, aby zakończyć panowanie Odrana, przynieść pokój Talamh i ocalić światy.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości.

W gardle jej zaschło, przełykanie śliny sprawiało ból, ale starała się myśleć chłodno i logicznie.

– Też tego nie chcę, jednak wiele razy słyszałam, że bogowie są wyrachowani i cyniczni. Drugi scenariusz, który zdecydowanie bardziej mi odpowiada, zawiera to wszystko, co właśnie powiedziałam, ale różni się zakończeniem. Mam przewagę z racji domieszki boskiej krwi oraz żyjącego we mnie demona. Gdy wykorzystam to, kim jestem, oraz moc naszyjnika, zgładzę Odrana i przeżyję. Wystarczy już poświęceń i strat, jego czas właśnie dobiega końca.

– Ta wersja o wiele bardziej mi się podoba.

– Mnie również. – Poglądziła Fafla i odsunęła go, żeby wstać. – Nigdy nie myślałam o tatuażu. To nie dla mnie, przynajmniej nie dla tamtej Breen, jaką wtedy byłam. A jednak weszłam do salonu tatuażu i dałam zrobić sobie to. – Odwróciła nadgarstek wewnętrzną stroną do góry. – Dlaczego wybrałam *misneach*, czemu zdecydowałam się na irlandzkie – i jak się okazuje, talamhaskie – słowo na odwagę? Może jakaś częśćka mnie wiedziała, że będę jej potrzebowała, aby to skończyć.

– Będziesz chroniona.

Kiwnęła głową.

– Jesteś gotów walczyć w mojej obronie? – spytała, kiedy ruszyli w drogę.

– Oczywiście.

– Umrzeć za mnie i Talamh?

– Jestem *taoiseachem*...

– Odpowiedź byłaby taka sama, bez względu na to, czy podjąłeś miecz, czy nie. Liczy się to, jaki jesteś. Rozumiem, że byłbyś gotów zginąć, żeby obronić mnie i Talamh.

– Tak.

– Dlatego nie żądaj ode mnie, żebym zrezygnowała z siebie. Może zabrzmiałoby to niemądrze, ale bardziej od śmierci boję się utraty tego, kim się stałam. Tylko nie mów nic Marco. Zmartwi się i...

Teraz z kolei Keegan się zatrzymał.

– Zamierzasz go okłamywać? Swojego najlepszego przyjaciela, brata?

– Przemilczanie nie jest kłamstwem. Nie chcę go dodatkowo stresować.

– Będziesz go chronić jak dziecko? On nie jest dzieckiem. To dorosły mężczyzna.

Widowała go rozgniewanego, ale nigdy aż tak. Tym razem nie krzyczał, wrzał z gniewu, spalającego go w środku.

– Keeganie, ja...

– Na bogów, traktuj go jak mężczyznę, z szacunkiem, na jaki zasługuje. Inaczej przyniesiesz wstyd i jemu, i sobie. Poniżasz go, a sama wiesz, jak to boli.

Wciągnęła drżący oddech, potarła twarz dłońmi.

– Masz rację. Wkurza mnie, że masz rację. Powiem, ale nie dziś, zgoda? Nie sądzę, abym dzisiaj zniosła więcej rozmów na ten temat. A... mam parę spraw, które powinnam omówić z ludźmi w Stanach, i muszę to wszystko przemyśleć, zadzwonić do kilku osób. Zapewne zostanie mi kilka maili do napisania, ale to mogę załatwić rano, zanim Marco wstanie. I wtedy mu powiem. Kiedy będziemy sami. Najlepiej, żebyśmy byli wtedy sami.

Zdjęła naszyjnik i wsunęła go do kieszeni trencza.

– Jutro mu powiem, przyrzekam. Wszystko mu opowiem, bo masz rację. Przemilczanie jest formą kłamstwa. Milcząc, zlekceważyłabym go. Nikt nie ma prawa traktować go protekcjonalnie, a ja przede wszystkim.

Odetchnęła z ulgą na widok chaty wyłaniającej się zza drzew.

– Bądź tak dobry i zajmij czymś Marco, gdy pójde na górę przedzwonić w parę miejsc.

– Do kogo będziesz dzwonić?

– Jeżeli mam się zdobyć na odwagę, żeby zrobić to, co mi sądzone, muszę zachować zdrowy rozsądek i na wszelki wypadek załatwić pewne sprawy. Mam dużo pieniędzy, mój ojciec i babcia mnie zabezpieczyli. Muszę zrobić pewne ustalenia – to są ważne rzeczy po tej stronie.

– Ustalaj sobie, co chcesz. Będziesz żyła, bo przecież nie chcesz mnie wkurzyć.

– To zdecydowanie najważniejszy powód, dla którego chcę przeżyć.

*

Wiedziała, że łatwo nie będzie. Jasne, że rozmowy z poprzedniego wieczoru – z maklerem, księgowym, prawnikiem – były dla niej trudne, bo nie miała pojęcia o finansach i to wszystko wydawało się jej bardzo skomplikowane. Jednak rozmowa z Marco będzie o wiele trudniejsza i bardziej skomplikowana.

Z samego rana przeczytała projekty dokumentów prawnych, naniosiła zmiany czy poprawki, dołączyła kilka uwag, odpowiedziała na pytania i odesłała pliki. Uznała, że jak na laika całkiem dobrze sobie radzi, ale podejrzewała, że załatwienie tych wszystkich formalności będzie wymagać dłuższej wymiany korespondencji.

To wszystko zajęło jej cały ranek. Kiedy usłyszała, że Marco schodzi do kuchni, odczekała chwilę, żeby mógł wypić kilka łyków porannej kawy.

Wreszcie zerknęła na słowo na nadgarstku i się wyprostowała.

– Mogę zająć ci chwilę?

Krzętał się na boso w kuchni w szortach i starej bluzie dresowej z obciętymi rękawami. Widziała harfę wytatuowaną na bicepsie. Dredy miał związane na czubku głowy.

– A może najpierw porządne śniadanie? Omlety ze szpinakiem i serem, do tego parę plastrów wyśmienitego irlandzkiego bekonu i kilka ziemniaków. Na deser świeże borówki amerykańskie.

Nie była pewna, czy da radę cokolwiek przełknąć, ale uznała, że zwłoka pozwoli jej kolejny raz ułożyć w głowie, jak mu to wszystko powiedzieć.

– Brzmi nieźle.

– Wrzucimy w siebie trochę paliwa i zabierzemy się do pracy.

W roli pomocnicy kucharza słuchała, jak Marco snuje plany podróży do Nowego Jorku i rozważa skomponowanie jednego czy dwóch przepisów do ewentualnej książki kucharskiej. Jest taki podekscytowany, myślała, patrząc, jak on się uwija. Nie może się doczekać spotkania twarzą twarz z ludźmi, z którymi wymienia maile, kontaktuje się przez telefon albo Zoom.

Nie wiedział, że kupiła bilety na musical – miejsca w pierwszym rzędzie na parterze – na wieczór w dniu przyjazdu. Trzymała tę niespodziankę w tajemnicy.

– Breen, denerwujesz się z powodu tego wyjazdu? Jesteś dziwnie cicha.

– Nie, nie denerwuję się. Może trochę w związku z książką. – To nie kłamstwo.

– Niepotrzebnie – zapewnił ją. – Odbijemy to sobie wycieczką po sklepach. Zakupy w Nowym Jorku. Minał prawie rok, odkąd ostatni raz któreś z nas wybrało się na porządne zakupy, a teraz przed nami Nowy Jork. Kupisz sobie jakiś elegancki ciuch na spotkania z tymi wszystkimi ludźmi.

– Mam odpowiedni strój.

– Ale nie nówkę. Marco rządzi. Kiedy tam dotrzemy w niedzielę po południu, sklepy będą jeszcze otwarte. Zrobimy rundkę.

Próbowała wykręcić się od biegania po butikach, co zapewniało temat przy śniadaniu. Pozmywała naczynia. To należało do niej, a on już otworzył laptop i skupił się na pracy.

Wypchnęła Fafla na dwór, chociaż wyraźnie widziała, że nie miał ochoty wyjść.

Położyła dłoń na ramieniu Marco.

– Muszę ci przeszkodzić. Coś ci pokażę i porozmawiamy.

Odsunął laptop.

– To brzmi bardzo poważnie.

– Wiem. Daj mi sekundę.

Wyszła do gabinetu po naszyjnik, który położyła obok kuli z labradorytu.

Marco w tym czasie zamknął laptop i przyniósł im colę. Na widok naszyjnika otworzył szeroko oczy.

– O kurde, Breen. O kurde, kurde. On jest... niesamowity. Wygląda na stary, zabytek pierwszej klasy.

– Jest bardzo stary.

– Twój?

– Taak. Mój.

– Założ go! Powiem ci, że z tym naszym naszyjnikiem twój czarny sweter wyglądałby jak kreacja na galę oskarową.

– Marco. – Nakryła dłonią jego rękę. – Muszę ci o nim opowiedzieć, czym jest, co sobą symbolizuje. Wysłuchaj mnie do końca i nie przerywaj.

Oczy mu pociemniały.

– Nie spodoba mi się to, tak?

– Po prostu mnie wysłuchaj. Pamiętasz, jak w dzień przed wylotem do Irlandii wróciłeś do domu i mnie obudziłeś?

– Trudno to zapomnieć. Myślałem, że dostałaś jakiegoś ataku czy coś w tym rodzaju.

– Właśnie wtedy widziałam go we śnie.

Opowiedziała mu wszystko, niczego nie przemilczając. Widziała, jak zмага się chęcią, żeby jej przerwać. Zaprotestowała. Nie umknęły jej emocje odbijające się na jego twarzy. Gniew, strach, bunt, smutek.

Kiedy skończyła, on wstał, okrążył stół, podszedł do drzwi i wpuścił do domu markotnego Fąfla, który cierpliwie czekał na progu. Marco skręcił do kuchni i wyjął smakołyk ze słoja.

– Jesteś najlepszym z psów. Nie przejmuj się.

Wrócił do Breen i popatrzył jej prosto w oczy.

– Mówiłaś, że mogłaś zostawić ten naszyjnik tam, w rzece.

– Tak, ale...

– Głupie gadanie. Nie mogłabyś. Nie ty, nie moja Breen. A to całe pieprzenie o wyborze? Nie zawsze się sprawdza. Czasami, przeważnie wszystko zależy od tego, kim się jest. Może się bałaś – kto by się nie bał? Ale kiedy przyszło co do czego, sięgnęłaś po niego i go nałożyłaś. I na pewno nie dlatego, że jest ładny.

– Marco...

– Możesz przez chwilę się nie odzywać? – Łzy mu się zakręciły w oczach, ale nie popłynęły. To złość je wycisnęła. – Wysłuchałem cię. I mam w dupie, co jest napisane albo nienapisane, co mówią czy czego nie mówią jacyś porąbani bogowie. Znam cię. Przez tyle lat żyłaś niedostrzegana, ale nigdy nikogo nie zawiodłaś. I tak było, zanim w ogóle poznałaś prawdę. Oni cię nie pokonają.

Fąfel z herbatnikiem w pysku stanął przy Marco, machając ogonem.

– Musisz przyjąć do wiadomości...

– Ni cholery, niczego nie muszę przyjmować do wiadomości i ty też nie. Jesteś niesamowicie potężną wiedźmą i wspaniałą osobą. A teraz posłuchaj mnie uważnie, dziewczyno, bardzo uważnie. Załatwisz tego psychoskurwiela, a potem odtańczymy zagrzebisty taniec na tym, co z niego zostanie. I będziemy żyć długo i szczęśliwie. Nie chodzi o to, że ja w to wierzę. Ja to *wiem*. I ty lepiej też traktuj to jako pewnik.

Westchnęła cicho.

– Wszystkiego mogłam się po tobie spodziewać, ale nie tego.

– Powiem ci, że to też głupie gadanie. Wierzę w ciebie, Breen. Po prostu w ciebie wierzę.

Potrzebowała chwili, żeby się uspokoić, w końcu się odezwała.

– Właśnie ty powiedziałeś to, co najbardziej pragnęłam usłyszeć od chwili, gdy wyciągnęłam naszyjnik z wody. Spokojnie. Wygramy to.

– Tak jest, kurwa!

– Dobrze, już dobrze. Zajmę ci jeszcze minutę, jest jeszcze kilka spraw. Wczoraj po powrocie do domu rozmawiałam z brokerem i paroma innymi osobami.

– Dlatego tak długo siedziałaś na piętrecie?

– Musiałam uporządkować pewne sprawy. Wszystkie pieniądze, Marco...

– Przestań, Breen.

– Nie, ty przestań. Myślę o tym, od kiedy dowiedziałam się tych wszystkich rzeczy o sobie. Testament to sprawa zdrowego rozsądku. Widzisz, niewiele wydałam z tego, co mam, przynajmniej odkąd jesteśmy tutaj. A teraz wpadła mi jeszcze zaliczka za drugą książkę z przygodami Fąfla. Wydaję ją na nasze bieżące potrzeby, ale jeżeli mi się poszczęści i sprzedam powieść...

– To nie jest kwestia szczęścia.

– Mniejsza o to. Będzie kolejna kasa, a potem honorarium za książkę o Fąflu.

Zamilkła dla złapania oddechu i przeczesła włosy palcami.

– Nie potrzebuję tych wszystkich pieniędzy. Zastanawiałam się nad tym i wczoraj postanowiłam zrobić z nich użytek. Myślę o przekazaniu jakiejś kwoty którejś z fundacji. Dlatego skontaktowałam się z ludźmi, którzy się na tym znają. Chcę też porozmawiać z Sally, bo on jest bystry i z sukcesem prowadzi interes. Czemu nic nie mówisz?

– Ponieważ słucham.

– Aha, dobrze. Więc początkowo myślałam o grantach, darowiznach czy jakkolwiek to nazwać dla początkujących pisarzy, ludzi, którzy tak kiedyś jak my ledwo wiążą koniec z końcem, próbując pisać. Potem uznałam, że to zawężone i egocentryczne podejście. A co z tymi, którzy chcą zostać muzykami, artystami, inżynierami, naukowcami? Może nie stać ich na studia albo pracują wieczorami w dwóch miejscach, tak jak ty. Dlatego przeznaczyłam pewną kwotę na założenie takiej fundacji, a zajmą się tym ludzie, którzy wiedzą, jak w tym się poruszać. No i jest Sally. Liczę na jego pomoc. Być może te pieniądze odmienią czyjeś życie na lepsze, tak jak to było w moim przypadku. I twoim też. Cokolwiek się wydarzy, chcę, żeby ten pomysł wypalił. – Zdobyła się na uśmiech. – Zostanie mi kasa na zakup kreacji w Nowym Jorku.

– Wydaje mi się, że nie obejdzie się bez strony internetowej.

– Tak, oni o tym wspominali, ale dopiero gdy fundacja zacznie działać i sprecyzujemy cel. Od tego wszystkiego zakręciło mi się w głowie.

– Uhm. Przydałaby się nazwa.

– Myślałam o *Odnaleźć Siebie*. Nie wiem, czy to zagra.

– Jasne. Wszystko gra. Moja Breen! Jesteś moją Breen. A to, co masz w głowie, to kolejny dowód, że wszystko musi ci się udać.

– Nie jesteś zły za testament? To tylko kwestia praktyczna.

– Ponieważ nie zginiesz, nie zamierzam się tym przejmować, jeśli ci to zapewni spokój ducha. A teraz go załóż. Chcę go zobaczyć na tobie. – Gdy założyła naszyjnik, przyglądał mu się z uwagą. – Kamień ma żywszą barwę.

– Naprawdę? – Spojrzała w dół, unosząc brwi.

– Rzeczywiście. Wcześniej tak nie błyszczał. Kolor nabrał intensywności.

– Może dlatego, że ja i ten miły pies przemówiliśmy ci do rozumu. Jesteś silna i taka zostaniesz. A skoro postanowiłaś rozdawać pieniądze, lepiej zabierzmy się do ich zarabiania. Zostało niewiele czasu, niedługo powinniśmy przejść na drugą stronę.

Podniosła się.

– Miałam ci nic nie mówić.

– Jak to? – zapytał zszokowany.

– Myliłam się. Oberwało mi się od Keegana, że chciałam to przed tobą przemilczeć. Teraz muszę przyznać mu rację.

Marco pogłodził się po koziej bródce.

– Będzie bolało, co?

– Oj tak, ale wiesz, co? Jestem wystarczająco silna, żeby to znieść.

Rozdział 23

To będzie jeden z tych chłodniejszych dni z przelotnymi opadami, pomyślała Breen. No i z treningiem od rana.

– Najpierw miecz, a potem łuk – zdecydował Keegan. – Morena, jak widzisz – gestem ręki wskazał tarczę, przy której stała razem z Marco – będzie z nim tak samo ćwiczyć, tylko w odwrotnej kolejności.

Gdy Breen usłyszała jakieś śmiechy, natychmiast poczuła się oszukana.

– Wygląda na to, że oni dobrze się bawią.

Keegan po swoim wzruszył ramionami.

– Ona jest szczęśliwa, że ją poprosiłem, aby poćwiczyła z Marco. Harken z Seamusem poszli na pastwisko strzyc owce.

Keegan oparł dłoń na rękojeści miecza.

– Najpierw ze mną, potem ze zjawami.

– Zaczekaj. Zanim zaczniemy moje codzienne tortury, chcę ci powiedzieć, że miałeś rację. Dobrze zrobiłam, że nie przemilczałam tej sprawy przed Marco.

Keegan zaczynał się niecierpliwić, ale ona zdążyła do tego przywyknąć.

– Dlaczego miałbym się mylić?

– Miałaś rację, a co więcej, Marco się nie zdenerwował, przynajmniej nie tak, jak się tego obawiałam. On się wkurzył, powiedział, że wszystko jest stekiem bzdur, i oczywiście ujął to w odpowiednich słowach. I wierzy, że skopię Odranowi tyłek.

– Ludzie, którzy mają niewielkie oczekiwania, są lekceważeni i mniej dostają od życia.

– To takie filozofowanie. Poprosił, żebym nałożyła naszyjnik, i gdy to zrobiłam, kamień pojaśniał. Czułam to. Wyraźnie to poczułam.

– Nie masz go teraz na sobie.

– To nie jest coś, co nakłada się na ćwiczenia.

– Jutro go nałóż i zobaczymy. A teraz przyjmij postawę.

Utrzymała przewagę przez pięć minut. Kiedy pierwszy raz ją uśmiercił, zebrała w sobie moc. Szczęk zderzającej się stali wypełniał jej uszy, dwukrotnie udało się jej go zranić. Zanim ponownie ją zabił.

– Zapomniałaś o nogach – wytknął jej. – Masz się ruszać jak w tańcu.

Gdy ją pouczał z opuszczoną klingą, wybiła się z półobrotu i niewiele brakowało, by jej stopa wylądowała na jego szczęce. Jednocześnie trafiła go mieczem.

– Zapomniałaś się zasłonić – stwierdziła zadowolona.

– Dobra robota.

Cofnął się i wyczarował zjawę. W tej samej chwili, gdy ją pokonała, nasłał na nią kolejne dwie. Gdy walczyła z nimi w ulewie, czując, jak ze zmęczenia drży jej ręka, a ramię omdlewa od ciężaru miecza, Keegan nasłał na nią jeszcze trzy.

Zasapana, niemal ślaniając się na nogach, poczuła piekące ukłucie w ramię.

– Spalcie się, skurwiele! – wrzasnęła.

Zjawy natychmiast stanęły w płomieniach. Breen, ciężko dysząc, osunęła się na kolana i wtedy z góry zaszarżował na nią demoniczny pies.

Fąfel z wyskoku wbił zęby w jego krtań. Keegan rzucił mu niechętnie spojrzenie.

– Ona miała nim się zająć.

Fąfel w odpowiedzi machnął ogonem, podszedł do Breen i polizał ją po twarzy.

– Zaczynamy.

– Czas na zmianę. – Obejmując Fąfla ramieniem, obejrzała się Morenę i Marco. Właśnie zrobili sobie przerwę. Siedzieli na ogrodzeniu padoku i chrupali herbatniki. Deszcz już przestał padać, zza warstwy chmur przezierало blade słońce.

– Zjadłabym herbatnik.

– Najpierw łuk. – Podał jej rękę i pomógł podnieść się z ziemi. – Dzisiaj zamiast strzelania do tarczy poćwiczysz na zjawach. To ruchomy cel, taki, który może się bronić.

Przemoknięta, osuszyła ubranie, a potem psa.

– I żadnej magii w pierwszej serii.

– Dlaczego? – Stłumiła jęknięcie.

– Dla sprawdzenia celności, refleksu, strategii.

– Hej, dziewczyno. Ale mi szło. – Marco zeskokzył z barierki. – Trzy trafienia w dziesiątkę. Morena dojadła herbatnik i dołączyła do niech.

– A gdy przeszliśmy do zjaw, jak chciał Keegan, Marco wykończył dwie z pięciu.

– Zdziwiasz mnie.

– Mam do tego dryg, dziewczyno. Keeganie, spróbowałibyśmy kiedyś z kuszą? Może się okaże, że jestem jak Daryl. No wiecie, Daryl z *Żywych trupów*.

– To jakaś opowieść? – zainteresowała się Morena.

– Nie, serial. Totalnie popapwany. Breen nie chciała go oglądać.

– Nie muszę patrzeć, jak zombie wykańczają ludzkość. Ale chętnie postrzelałabym z kuszy. Jak Buffy w *Postrachu wampirów*.

– Żeby walczyć z wampirami, musiała być tą Wybraną. Ich pogromczynią. – Morena pogładziła ją po ramieniu. – Jak nasza Breen.

– Wykaż się jak Marco i zobaczymy. Dostyc gadania, szkoda dnia.

Breen ruszyła za Keeganem. Nagle poczuła ukłucia na skórze, jakby ktoś wbijał w nią cienkie ostre igły.

– Zaczekaj. – Zachwiała się i na oślep machając rękami, próbowała uchwycić się ramienia Keegana. – Coś się dzieje. – Kiedy odwrócił się i zrobił krok w jej stronę, poczuła cios, silny jak uderzenie pięścią. – Coś jest tutaj.

Osunęłyby się na kolana, gdyby Keegan nie podtrzymał jej za ramiona. I wtedy kolejny cios bolesny jak pchnięcie nożem trafił ją w serce.

– Smoki! Oni zabijają smoki! Widzisz to? Widzisz?

– Tak, teraz widzę poprzez ciebie. *Nead na Dragain!* – krzyknął. – Ściągnijcie Harkena, zwołajcie jak najwięcej konnych i latających. Ścigają młodych.

– Lonarch – szepnęła przerażona, choć już wcześniej zawołała go w myślach i sercu.

Najpierw zobaczyła Crogę, złotą smugę sunącą z zachodu. Imadło, które dusiło Breen za gardło, rozluźniło uścisk dopiero, gdy zobaczyła, jak Lonarch przeleciał przez ołowiane chmury i opadł.

Fąfel z żądzą mordy w oczach pierwszy wskoczył mu na grzbiet. Wsiadła za nim bez protestu, bo wiedziała, że nic go nie powstrzyma. Dostrzegła Amisza. Śmignął obok niczym pocisk, gdy wzbili się pod niebo i skierowali się na wschód.

Oby tylko zdążyli na czas, myślała. Leciała z nagim mieczem w jednej ręce i różdżką w drugiej, pokładając całą wiarę w Lonarchu, bo Croga zniknął jej z oczu gdzieś w chmurach.

Otaczała ich szarość.

Serce jej zamarło na widok smoka, który wynurzył się z warstwy chmur. Pikował popalony i broczący krwią. Wiedziała, że jest martwy. Lonarch pod nią wydał wściekły ryk. Głosy wtórujących mu smoków przypominały grzmot.

Z zamkniętymi oczyma Breen uniosła w górę miecz i różdżkę.

– Rozstąpcie się. Macie rozstąpić się, przeredzić i przesunąć nad morze.

Chmury jedna po drugiej, warstwa po warstwie przetaczały się po niebie. Jednak w prześwicie zamiast błękitu ukazały się czerwień i czern. Ogień i dym unosiły się nad górą, gdzie gniazdowały smoki.

Ten widok przeraził Breen. Wydawało się, że cała góra stoi w ogniu. Dopiero po chwili zobaczyła, co naprawdę się działo. Mroczne wróżki wypuszczały płonące strzały. Dwie wiedźmy na skrzydłatych demonach miotały kulami ognia.

Keegan na Crodze ruszył prosto na napastników. Smoki gniazdujące na górze odpowiadały ogniem na ogień w obronie swoich małych.

Breen widziała, jak pada kolejny smok poraniony błyskawicami ostrymi jak grot. Czerwona krew tryskała spod osmalonych szafirowych łusek. Widziała, jak Keegan odcina głowę mrocznemu Sidhe.

Atakujący się rozproszyli, ale nadal dzieliła ją od nich zbyt duża odległość, by mogła użyć miecza. Wyobraziła sobie łuk i strzałę mocy. Wycelowała ją w krążącą wokół Keegana wiedźmę na skrzydłatym demonie, która próbowała zaatakować go od tyłu. Oboje błyskawicznie zmienili się w popiół, a ich krótki okrzyk bólu utonął w tumultach walki.

Lonarch z przeraźliwym rykiem zmienił innego napastnika w płonącą kulę.

Coraz więcej martwych napastników w dławiącym dymie spadało na ziemię.

Breen słyszała nawoływanie się smoków nadlatujących ze wschodu i podążających za nią z zachodu. Cały czas pilnowała Keegana, ale przeoczyła Sidhe Odrana, który przyczajony pod nimi, celował włócznią w brzuch Lonarcha. Na szczęście smok machnięciem ogonem podarł mu skrzydła, rozorał

ciało i cisnął nim o zbocze góry.

Partnerka Crogi, Banrion, z triumfalnym ryknięciem wdeptała go w skałę.

Lonarch wzbił się w górę i tam razem z Moreną i Harkenem na smoku osaczyli drugą wiedźmę na skrzydlatym demonie i stracili oboje na płaskowyżu, gdzie rzuciła się na nich zajadła smocza młodziź.

– Dwójka zbiegła! – zawołał Keegan, nadlatując na Crodze. – Masz ich śledzić z bezpiecznej odległości – rzucił do Harkena. – Zobacz, dokąd zmierzają, i ustal, jak udało im się prześliznąć przez strażę.

– Wyślij mnie. – Morena rozłożyła skrzydła. – Na pewno liczą się z pościgiem na smokach, a mnie nie zauważą. – Uniosła rękę i Amisz usiadł jej na rękawicy. – Te krwiożercze bestie nas nie namierzą.

– Masz rację. Leć.

– Uważaj na siebie. – Harken wychylił się ze smoczego grzbietu i dotknął jej dłoni. – I wróć do mnie.

– Nie wytropią nas – zapewniła go i poleciała na wschód.

Breen spojrzała w dół przez warstwę dymu. Dochodziły stamtąd płacz i rozpaczliwe jęki.

Krew, mnóstwo krwi, rozrzucone ciała. Popalone, zakrwawione, nieruchome. Niektóre niewiele większe od siedzącego za nią psa.

Skierowała Lonarcha na ziemię i zeskoczyła z jego grzbietu. Płacząc z żalu, uklękła przy jednym z drobnych ciał i nakryła je dłońmi.

Smok, z krwawiącymi ranami na szyi i oparzeniami w okolicy tylnej nogi, kulejąc i pojękując, wyczołgał się zza zasłony dymnej.

– Pozwól mi sobie pomóc. Daj mi przynajmniej spróbować. Proszę. Słyszę bicie serca, czuję ten ból. Pozwól mi spróbować.

Usiłowała zasklepić rany pod czujnym okiem wrzącej z gniewu matki. Trzy strzały utkwily w jego szyi, kiedy bawił się z rówieśnikami z gniazda. Osmalone zielone i niebieskie łuski były teraz czarne.

Przywołała wszystko, czym dysponowała. Może uda się jej uratować chociaż to jedno biedne stworzenie.

Przeszył ją ból, ostry i paraliżujący. Gorący prąd przebiegł po skórze, wnikając do kości. Ogarnięta żalem, posuwała się coraz głębiej, narażając się na niebezpieczeństwo. Chociaż jeden. Niech chociaż jeden przeżyje. Światło do światła, serce do serca, moc do mocy.

Poczuła, że malec się poruszył, zakwilił jak dziecko, które wzywa matkę.

– Zaczekaj, wstrzymaj się, proszę. – Nawet z zamkniętymi oczami czuła obecność zbliżającej się matki. – Jeszcze trochę. Jeszcze tylko trochę. Słyszę jego serce, teraz już mocno bije. Mam dłonie w jego krwi, ale w nim krew powoli się ogrzewa. Wiem, że to boli, wiem, ale już kończę.

Głowa opadła jej do tyłu, oddech przeszedł w przeciągłe westchnienie.

– Widzę cię, widzę smoku Comradai Finiana. Lecisz z nim na grzbiecie. Lecisz nad Talamh.

Uniosła powieki i popatrzyła mu w oczy.

– Znam cię. I znam twojego jeźdźca. Ale to przyszłość. A teraz przytul się do mamy.

Dźwignął się z ziemi. Matka owinęła go ogonem i spojrzała w oczy Breen. W tym spojrzeniu było widać jej serce. Breen podniosła się z ziemi wzmocniona. Jeżeli uratowała jedno życie, może uda się uratować ich więcej. I wtedy zobaczyła Marg z poranionym smoczkiem w ramionach.

– Babcu!

– Na szczęście sporo ich przeżyło. Keegan posłał po uzdrowicieli, ale to zadanie dla nas, bo oni mogą przybyć za późno. Rób, co możesz, *mo stor*. Rób wszystko, co się da.

Uzdrowiła jeszcze trzy małe smoki, brodząc we krwi i popiele. Krwawy pył oblepiał jej ubranie, czuła jego smak w ustach. Wiedziała, że Keegan i Harken razem z Marg robią, co w ich mocy. Kwilenie rannych smocząt i płacz zrozpaczonych dorosłych wypełniały jej uszy, rezonując w trzewiach.

Otarła twarz i znieruchomiała na widok smoczycy, która położyła u jej stóp drobne ciało. Było tak małe, zapewne pisklę, które dopiero zdążyło się wykluć. Wiedziała, że maleństwo jest martwe, zanim jeszcze wzięła je na ręce.

– Tak mi przykro. – Ze łzami w oczach przytuliła je do piersi i kołysała.

– No już, już. – Marg odebrała zwłoki od siedzącej na ziemi Breen i podała je smoczycy. – Och, matko, ja też straciłam dziecko. Znam twój ból. Dzielę go z tobą.

Gdy smoczycyca odeszła z martwym dzieckiem, Breen z trudem dźwignęła się z ziemi.

– Odpocznij chwilę – poradziła jej Marg.

– Miałam nadzieję ocalić jedno życie, ale udało się uratować wiele. Możemy zrobić jeszcze więcej. Dorosłe smoki nie pozwalają mi zająć się ich ranami, dopóki nie uzdrowimy wszystkich rannych młodych.

Zanim dołączyli do nich uzdrowiciele z miksturami, balsamami i swoją uzdrawiającą mocą, kobiety zdążyły opatrzyć wszystkie młode smoki, które zostały przy życiu. Breen z nieodstępującym jej Fąflem przysiadła na chwilę, żeby zebrać siły.

– Napij się. – Morena podeszła do niej z bukłakiem. – To woda ze Smoczego Stawu. Trochę się wzmocnisz.

Breen wpatrywała się w nią oszołomiona. Jej umysł był tak samo zamglony jak powietrze.

– Już jesteś?

– Od jakiejś godziny. Poleciałam Amiszowi ich pilnować i wróciłam, żeby przekazać informacje Keeganowi. Poleciał z Harkenem i całą grupą jeźdźców zrobić z nimi porządek.

– Moreno, jak oni się przedostali? Jakim cudem aż tylu tutaj przemknęło?

– Obozowali wysoko w górach w odpowiednio wyposażonych i dobrze zamaskowanych jaskiniach. Uważam, że ukrywali się tam od kilku miesięcy, jeśli nie dłużej. Nie przeszli przez strażę, już wcześniej zaszyli się w jaskiniach, a ich wiedźmy czarami zadbały o zabezpieczenia i – ten, no – kamuflaż. Na moje oko będzie ich tam dziesiątka z okładem, a ta dwójka, która zbiegła, zaprowadziła mnie prosto do obozowiska.

– Napij się, Breen, i powiem ci, że smoki nie będą miały nic przeciwko temu, abyś obmyła się w ich stawie.

Wzięła bukłak i długo piła.

– To może poczekać. Jest tylu rannych i okaleczonych.

– Mamy teraz więcej uzdrowicieli. Boleję nad tym, że nie udało się uratować wszystkich młodych.

Breen oparła czoło o jej ramię, a Morena ją przytuliła.

– Patrzałam na to wszystko z góry. Nigdy nie widziałam takich potworności. Niech te przeklęte dranie spotkają wieczne męczarnie. Niektóre z młodych to zaledwie pisklęta.

– Ile ich straciliśmy? Czy już wiadomo?

– Nie mam odwagi policzyć. Och, właśnie, Breen. Zginął Heros Briana.

– Nie, nie!

– Aisling tu jest, ona mi powiedziała. Brian poczuł, jak Heros gaśnie, bo jeździec i smok są ze sobą związani. Padł jako jeden z pierwszych nad gniazdem swojej partnerki, która wysiaduje pisklę. Oddał życie za wszystkich.

– Co teraz robi Brian? Och, Moreno. – Wcisnęła bukłak w dłonie przyjaciółki i wstała.

– Za to, co tu się stało, nie ma dostatecznie surowej kary.

Pokryta krwią, oblepiona popiołem, przeszła na środek płaskowyżu. Podniosła rękę, odczekała i zamknęła dłoń na łańcuchu naszyjnika. Kamień na jej brudnej koszuli błyszczał jak krwawoczerwone słońce.

– Odranie Przeklęty, usłysz mnie!

– *Mo stor.*

Zdecydowanym gestem ręki powstrzymała zbliżającą się Marg.

– Usłysz mnie i zapamiętaj. Usłysz i poczuj strach, kiedy stoję tu na tej spalonej ziemi nasiąkniętej krwią. Ziemi, gdzie magia istniała przed tobą i będzie istnieć długo po tobie. Usłysz mój głos, bo on stąd dochodzi do twojego świata.

Usłyszał. Czują to, widziała go. Z oczami czarnymi jak smolisty dym stał na stromym klifie w swoim mrocznym świecie. Wyciągnął ku niej rękę, jakby chciał ją przyciągnąć, i natychmiast cofnął jak oparzony.

– Poczuć mój gniew i wiedz, że cię zniszczę. Zażądam zapłaty za wszystkie twoje grzechy. A za to, czego tutaj się dopuściłeś, spłoniesz. Żadne ogniaste tchnienie smoka nie jest tak gorące jak płomień mojego gniewu, gdy skieruję go na ciebie.

Smoki gromadziły się wokół niej, podchodziły, wyciągały szyje i patrzyły.

– Usłysz mnie i wiedz. Usłysz i poczuć strach. Usłysz, jak w tym miejscu, w tej chwili, składam przysięgę.

– Nawet śmieć mi nie przeszkodzi zniszczyć ciebie i wszystkich, którzy za tobą stoją. Moje światło jaśnieje poza tym życiem, poza tym ciałem. Ono będzie jaśnieć, gdy twoje żarzące się, osmalone resztki zmienią się w proch.

Uśmiechnęła się, widząc, jak ziemia pod nim zadrżała, a bicze błyskawic – jej błyskawic – przecięły jego niebo.

– Zobacz mnie i wiedz. Zobacz i poczuj strach. Zobacz we mnie swój koniec. Przysięgam ci go. – Wyjęła nóż zza pasa, przeciągnęła ostrzem po wnętrzu dłoni i złożyła obie dłonie razem. – Przysięgam na smoczą i moją krew.

Uniosła wysoko zakrwawione ostrze. Smoki wyprostowały się i otoczyły ją morzem kolorów. Ich ryk żalu i gniewu przetoczył się po niebie jak grzmot.

Wytarła nóż o spodnie i schowała go do pochewki. Dopiero teraz Marg podeszła do niej. Wzięła jej rękę i zasklepiła przecięcie na dłoni.

– Prowokujesz go, Breen.

Twarz dziewczyny rozbliły tak samo jak kamień w wisiorze na szyi.

– Rzucam mu wyzwanie, babciu.

– Widzę. Chodź, zrobiłyśmy wszystko, co mogłyśmy. Niech inni to dokończą. Powinnaś już wracać.

– Nie wrócę, dopóki wszystkie rany nie zostaną wyleczone.

Zmierzch zdążył zapaść, zanim wróciła z Fąflem do chaty. Doszły ją słuchy, że Keegan zabrał z obozu wroga dwóch niedobitków i przetransportował ich do Stolicy. Nie umiała powiedzieć, co dalej będzie się działo. Zresztą w tej chwili myślała wyłącznie o prysznicu, długim i tak gorącym, jak tylko da radę wytrzymać.

– Pędź do zatoki. – Pochyliła się i pogładziła Fąfla. – Jesteś tak samo brudny jak ja. Wspaniale się zachowałeś. Pomagałeś uciszać przerażone smoczątka. Masz dobre serce. Biegnij popływać.

Akurat gdy odwróciła się w stronę chaty, Marco wyszedł przed drzwi.

– Breen.

Brudna czy nie, podbiegła do niego i mocno go objęła.

– Tak mi przykro. Już wrócił?

– Jest na górze. – Łzy Marco spływały jej na szyję. – Nie chce jeść. A ja nie umiem go pocieszyć. Jemu pękło serce, Breen. Wiedziałem, że jesteś cała i zdrowa, bo Morena do mnie zajrzała, żeby powiedzieć, co się dzieje. Ale Brian...

– Dla niego to jak utrata części siebie, kawałka serca. Nie umiem ci tego wytłumaczyć. Kiedy zobaczyłam tamten atak, potwornie się bałam o Lonarcha. Uspokoiliam się dopiero, gdy go wyczułam.

– Mogłabyś... Jezu, widzę, że jesteś wykończona, ale...

– Chcesz, żebym z nim porozmawiała. Jak jeździec z jeźdźcem. – Pokiwała głową. – Jasne. Nie ma sprawy. Fąfel jest głodny.

– Zajmę się nim. Brian bardzo cierpi.

– Wiem.

Poszła na górę, choć nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Cicho zapukała do drzwi i weszła za próg. Brian siedział po ciemku przy otwartym oknie.

– To ja. – Wsunęła się do środka, zamknęła drzwi. – Nie zostanę, jeżeli nie chcesz. Tak bardzo mi przykro. – Z wahaniem położyła mu dłoń na ramieniu.

Podniósł rękę i nakrył jej dłoń swoją.

– Czuję, że jest śmiertelnie ranny i część mnie umierała razem z nim. Wzniósł się nad gniazdo, wziął na siebie płonące strzały, był żywą tarczą chroniącą smoczęta. I zaczął spadać, bo jego wielkie serce przestało bić.

Milcząc, przytuliła policzek do czubka jego głowy.

– I wtedy moje serce się zatrzymało. Na moment. Jakbym umarł. Nie chciałem, żeby z powrotem zaczęło bić. A jednak... ruszyło. Myślę, że tak by się nie stało, gdybym nie nosił w nim Marco.

Obeszła krzesło i przykucnęła przed Brianem.

– Nie ma takich słów, które mogłyby przynieść ci pocieszenie. Wiem, bo moje i Lonarcha serca też są ze sobą związane. Możesz być dumny, że zginął podczas ocalania innych, ale duma nie złagodzi bólu. Twoje serce i Marco też są ze sobą związane, a jednak dzisiaj pękła częśćka twojego serca.

– Tak. – Ponownie wziął ją za rękę. – Marco stara się mnie pocieszyć, ale to pęknięcie nigdy się nie zblizni. Nie może.

– Nie, ale reszta twojego serca i całe serce Marco pozostaną silne.

– Jakie mamy straty?

– Nie wiem, ale zapewniam cię, że wiele z nich uratowaliśmy. Jedno, bardzo małe smoczętko było mocno poranione. Bałam się, że nie dam rady mu pomóc. A jednak się udało. I wiesz co, kiedy leczyłam

jego rany, dotarło do mnie, że już wcześniej widziałam go w mojej głowie. To smok Finiana, synka Mahona. W przyszłości będą razem latać.

– Naprawdę?

– Tak.

– A co z tymi, którzy dopuścili się tej zbrodni?

– Przeżyła dwójka. Keegan odstawił ich do Stolicy.

– Czeka ich Osąd. Może kiedyś uznam, że to wystarczy. Może. Jednak nie dziś. A Lonarch? Nie zapytałem o niego?

– Cały. Nic mu się nie stało. Jest...

– To ich krew? – Dotknął jej policzka. – Smocza?

Skinęła głową.

– Uzdrawianych – zaczęła i łzy popłynęły jej z oczu. – Mam nadzieję, że większość przeżyje.

– Co się dzieje? – Stał z jej twarzy łzy, krew i sadzę.

– Wybacz. Po prostu jestem zmęczona. Powinnam...

Pocieszającym gestem uściśnęła dłonie Breen, ale łzy nie przestały jej płynąć.

– Tak wiele ich było, Brianie. Tak wiele. Nie mogliśmy wszystkim pomóc. Trzymałam na rękach martwe małeństwo, jego matka patrzyła na mnie i nadzieja gasła w jej oczach. Lament na górze brzmiał jak pęknięcie tysięcy serc.

Brian zsunął się z krzesła, usiadł obok niej na podłodze i objęci razem płakali.

*

W Stolicy Keegan razem z matką, bratem, Mahonem i członkami Rady stali na klifie nad huczącym w dole morzem. Keegan od dwojga pojmanych Sidhe dowiedział się wszystkiego, co było mu potrzebne.

– Żyliście jak robactwo w jaskiniach naszego świata, świata, który zdradziliście. Prawie od roku, jak twierdzicie, okradaliście farmy i wioski. W bitwie, która w tym miejscu się rozegrała, walczyliście przeciwko własnemu ludowi, zabijaliście pobratymców, a potem z powrotem wpełziliście do jaskiń, żeby zaplanować to, co stało się dzisiaj. Dwadzieścia sześć smoków poniosło śmierć, z czego dwadzieścioro to ich młode.

– Na rozkaz Odrana, boga wszystkich – odezwała się Sidhe.

Keegan zerknął na nią, a ona w odpowiedzi wykrzywiła usta w pogardliwym uśmiechu. Wrzał z oburzenia, patrząc na jej warkocz wojowniczkki. Jak śmiała go nosić?

– On spali was wszystkich co do jednego, jak my dzisiaj spaliliśmy smoki. Oto dzień chwały! Nie do ciebie należy Osąd, *taoiseachu*, tylko do Odrana. Jakim prawem zasiadasz na Krześle Sprawiedliwego i udajesz, że masz nad kimkolwiek władzę?

– Przyznałaś się do popełnionych czynów, a właściwie chełpiłaś się nimi. Nie, to nie jest Osąd. Nie czeka cię Osąd według prawa Fey. Istnieje starsze prawo. Prawo Smoków.

Jej towarzysz otworzył szeroko oczy.

– Jesteśmy z Sidhe i domagamy się Osądu Fey. Wybieramy banicję do Świata Mroku.

– Należycie do Odrana i wyparliście się swojego plemienia. Już nie należycie do ludu Fey. Uderzyliście w smoki, to one wymierzą wam sprawiedliwość według swojego prawa. W ten sposób okażemy im szacunek.

Opuścił buławę.

– Wyrok zapadł.

Sidhe padł na kolana, błagając o litość, tymczasem jego niepokorna towarzyszka miotała przekleństwami drżącym z przerażenia głosem.

Do egzekucji smoki wyznaczyły partnerkę Herosa. Keegan ją rozpoznał, kiedy z łopotem skrzydeł zanurkowała w dół. Tarryn poszukała dłoni syna, a on uściśnął ją tylko raz, gdy smoczyca zionęła ogniem.

Wszystko działo się bardzo szybko. Ciało i krew błyskawicznie zmieniły się w popiół, co w oczach Keegana było aktem łaski. Smoczyca wydała z siebie nabrzmiąły cierpieniem skowyt, zatoczyła koło nad morzem i odleciała na zachód.

Po chwili ciężkiej ciszy Tarryn wysunęła się do przodu.

– Prawo Smoków, chociaż nie sięgam do niego pamięcią, jest święte. Dzisiaj dajemy tego dowód. Ogłaszam tygodniową żałobę w całym Talamh, nasza chorągiew zostanie opuszczona do połowy masztu na czternaście dni.

– Zasłużyli na taki koniec – orzekł Flynn, patrząc na garść poczerńiałego popiołu. – Mam nadzieję, że nigdy więcej nie będę musiał tego oglądać.

– Zabiorę prochy do Jaskini Goryczy.

– Nie. – Harken położył dłoń na ramieniu Keegana. – Ja tym się zajmę. Ty masz dosyć spraw na głowie. Chcę dziś się wyspać we własnym łóżku. Załatwię to i wrócę do domu, Ty jesteś tutaj potrzebny. A ja dopilnuję, aby wszyscy w dolinie dowiedzieli się o wyroku.

– W takim razie zgoda. Muszę załatwić kilka spraw. Poślę po wszystkich jeźdźców, którzy stracili smoki. Należy oficjalnie złożyć im kondolencje, okazać współczucie.

– Bezpiecznej drogi, kochanie. – Tarryn pocałowała Harkena w policzek. – Chodź, Keeganie, wejdźmy wszyscy do środka. Wzniesiemy puchary za pamięć poległych.

Keegan stał jeszcze przez chwilę zapatrzony na wzburzone morze, pociemniałe o zmierzchu.

Rozdział 24

W ostatni dzień żałoby wszyscy mieszkańcy Talamh wylegli na łąki, wzgórza, szczyty gór i wiejskie place. Rodziny, sąsiadów, wszystkie plemiona połączył jeden cel.

Oddanie hołdu poległym.

Smoki każdej wielkości, w każdym wieku i o każdym umaszczeniu sunęły pod błękitnym wiosennym niebem. Te, które latały od wieków razem z ledwo opierzonymi pisklętami, oddawały hołd zgodnie ze smoczą tradycją. W zupełnej ciszy krążyły wysoko pod niebem z północy na południe, z południa na północ, z zachodu na wschód, ze wschodu na zachód.

W takiej samej ciszy niżej nad ziemią leciała grupa jeźdźców. Była wśród nich Breen. Dla okazaniu szacunku założyła naszyjnik, tiarę podarowaną przez Trolli i bransoletkę od Syren.

Widziała Keegana na Crodze z buławą w ręce inkrustowaną błyszczącym smoczym sercem. I Briana, który odbywał tę ostatnią uroczystą podróż na grzbiecie partnerki Herosa.

Milczały ziemia i morze, jedynie wiatr burzył ciszę.

Cały Talamh oddawał cześć.

Uratowany przez nią mały smok, na którym w przyszłości będzie latał Finian, trzymał się blisko matki razem z ocalałymi rówieśnikami ze swojego gniazda.

W tej ostatniej podróży matki i ojcowie nieśli ciała zabitych dzieci, grupa smoków leciała w szyku liniowym, podtrzymując potężne zwłoki pobratymców. Niebo przesłaniały złoto, szkarłat, szafir, szmaragd, bursztyn i srebro. U boku smoczycy Marg leciał jej syn.

Breen czuła bicie serca Lonarcha jak własne, jak on czuł jej. I wiedziała, że to zjednoczenie im obojgu niesie ulgę.

Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, wszystkie smoki skierowały się na zachód, nad otwarte morze.

Polecimy, jak wytłumaczyła jej Marg, dalej, niż kiedykolwiek pływały statki i żeglowały łodzie. Polecimy nad kamienną wyspę Eile Dragain. W tym świętym miejscu, gdzie nigdy nie stanęła niczyja stopa, smoki złożą szczątki swoich zmarłych w wielkim ognisku, a wiatr poniesie ich prochy przez morze do miejsca spoczynku.

Morze pod nimi, jakby wymarłe, toczyło się w stronę odległego horyzontu. Niebo nad nim mieśniło się jak smocze łuski, a rozproszone na falach światło słońca kładło na niebieskiej wodzie drżące czerwone, złote i purpurowe smugi.

Wkrótce wyspa Elie Dragain wyłoniła się z rozkołysanego morza. Breen w pierwszej chwili wzięła ją za woal gęstej mgły. Okazało się, że to rozległa skalna wyspa z pionowo wznoszącymi się górami podobnymi do wież.

W morzu w bezpiecznej odległości od fal bijących o skalisty brzeg czekały Syreny.

Lonarch wraz z innymi smokami kołował nad wyspą, gdy żałobnicy składali ciała na skałach.

Jak ich dużo, pomyślała Breen, a niektóre takie małe. Zobaczyła zwłoki tamtego maleństwa, które trzymała na rękach i nie zdołała uratować. Zasmucona, razem z innymi jeźdźcami zrzuciła z góry kwiaty na ciała i skały.

Kiedy żałobnicy złożyli ostatnie zwłoki i dołączyli do krążących smoków, zaśpiewały syreny. Ich głosy niosły się pod niebo, a rozrzucone przez nie kwiaty unosiły się na atramentowo niebieskiej wodzie.

W końcu zgasł ostatni skrawek słońca i ucichła pieśń, a ze wszystkich smoczyczych gardel wydobył się ogłuszający ryk, który wprawił ziemię w drżenie.

Buchnął ogień.

Wysokie płomienie przyginane wiatrem zaczęły wić się po ziemi jak węże. Rozgrzane do czerwoności skały zdawały się płonąć. Smugi białego popiołu unosiły się w górę wraz z gorącym powietrzem i odpływały niesione wiatrem.

Gdy dopalił się ogień, rozwiały dym i popiół, zostały tylko szare skały i wysokie strome góry.

Smoki jeszcze trzykrotnie okrążyły wyspę i gdy pierwsze gwiazdy rozblęły na niebie, zawróciły do Talamh.

W końcu Lonarch opadł na drogę przy farmie. Wszędzie wokół panowała pełna szacunku cisza. Breen na chwilę wyciągnęła się na grzbiecie swojego smoka i gładziła go po łuskach. Gdy zsiadła, stanęła przed nim i popatrzyła mu w oczy.

– Daj mi znać, jak będziesz gotowy. Polecimy wtedy tam, gdzie będziesz chciał.

Lonarch obejrzał się na Fąfla, który siedział z Moreną na murku.

– Tak, oczywiście. On poleci z nami.

Cofnęła się, a Lonarch oderwał się od ziemi. Z łopotem rubinowych skrzydeł zniknął w ciemnościach nocy, kierując się do Smoczego Gniazda.

– Nigdy w życiu ani ja, ani nikt inny nie był świadkiem czegoś takiego.

Breen przytaknęła skinieniem głową i usiadła na murku z Moreną i Fałlem pomiędzy nimi.

– Babcia mówiła, że nie przypomina sobie takiego wydarzenia za swojego życia. Pochówek u smoków jest sprawą prywatną.

– No tak, ale oni nie zmarli z powodu podeszłego wieku, ani nie zginęli w walce. To była... brakuje mi na to słów. Pożegnanie mieli piękne.

– Tak. Całe niebo zdawało się płonąć. Ogień było widać z daleka i nawet maluchy milczały. – Zerknęła za siebie. – Harken chciał się przejść. Sam, a właściwie ze swoją drugą żoną, bo suczka nie odstępowała go na krok. Jego smok stracił towarzysza z gniazda i Harken to przeżywa. Ja tego tak nie odczuwam, dlatego wołał pójść sam.

Breen poszukała dłoni Moreny, żeby serdecznym uściskiem i ją, i siebie pocieszyć.

– To może nie być łatwe – powiedziała cicho – ale jesteśmy razem i wzajemnie będziemy się wspierać.

– Tak samo myślę. Och bogowie, Breen, to była piękna uroczystość, ale nie chciałabym, żeby kiedykolwiek się powtórzyła. Powiem ci, że Marco z Brianem przeszli na drugą stronę, i widziałam, jak Keegan leciał na Crodze na wschód. Może zostać u nas na kolacji.

– Harken będzie cię potrzebował, gdy wróci z przechadzki. Ja też mam ochotę się przejść. I Fałlowi, i mnie przyda się trochę ruchu.

– W takim razie zaczekam na niego w domu. Przecież jego czekanie na mnie trwało dłużej niż spacer.

Breen szła przez las, rzucając przed siebie światełka.

– Wiem, że chciałaś polecieć z nami – tłumaczyła Fałlowi. – Lonarch też by tego chciał, ale nie mogłam cię zabrać. Następnym razem polecimy we troje.

Na zawsze zostaną jej w pamięci wzruszające obrazy i emocje z tego dnia. Te wszystkie bijące serca i tamte, które już nigdy nie będą biły.

Wyszli z lasu i skręcili nad zatokę. Pozwoliła Fałlowi popływać, a sama usiadła na skale i zamyślona, patrzyła na gwiazdy i jasno świecący półksiężyc. Co jeszcze się wydarzy? Szkoda, że nie może tego zobaczyć. Szukała odpowiedzi w ogniu i w kuli z labradorytu, ale niczego tam nie zobaczyła. Za późno wyczuła atak, żeby uratować tych, których dziś odprowadzili na miejsce wiecznego spoczynku. Jak to możliwe, że jej moc i przeznaczenie nie pomogły w porę przewidzieć tego, co się wydarzy?

Wysuszyła Fałla po wyjściu z wody i jeszcze chwilę posiedziała z nim nad zatoką, patrząc na odbicie gwiazd na gładkiej wodzie.

Marco czekał na nią w chacie sam.

– Brian?

– Właśnie poszedł na górę. – Marco otworzył ramiona do powitalnego uścisku. – Pamiętasz tamto Odprowadzenie na zamku? Myślałem, że w życiu nie zobaczę czegoś bardziej doniosłego i chwytającego za serce. A dzisiaj tak się stało. – Z westchnieniem uwolnił ją z ramion. – Musisz coś zjeść.

– Poradzę sobie, a ty idź do Briana.

– Dobrze. To było dla niego ciężkie przeżycie. Dla niego, dla ciebie, dla wszystkich jeźdźców smoków. Ja to rozumiem. Ale chyba mu trochę ulżyło. Myślę, że pomógł mu ten dzień. Zjadł nieco i powiedział mi, że Heros odnalazł spokój, bo oddał życie w obronie innych.

Marco wsunął rękę do kieszeni.

– Powiedziałem mu, że zostanę z nim, a ty sama polecisz do Nowego Jorku.

– Możemy ten wyjazd przesunąć – zaczęła, ale przyjaciółka potrząsnęła przecząco głową.

– Nie zgodził się. Powiedział, że absolutnie nie. Nawet się zirytował. Mam lecieć z tobą i nie pieprzyć głupot. Przypomniał mi o Sally i prezencie urodzinowym. – Teraz Marco się uśmiechnął. – Wiesz, on naprawdę dochodzi do siebie, bo już się wkurza. Jest cholernie dumny ze swojego prezentu.

– Dobrze, że jest dumny, choć szkoda, że musi się wkurzać. Idź na górę. Wrzucimy z Fałlem coś na ruszt i wcześniej położymy się spać.

Zadowolona, że Marco jest na górze i nie może udzielić jej reprimendy za jedzenie przed komputerem, odpaliła laptop. Chciała na świeżo spisać wrażenie z tego dnia i swoje refleksje. Niestety, nic tych rzeczy nie mogła umieścić w blogu, ale być może wykorzysta je w książce.

Posprzątała kuchnię, potem jeszcze chwilę popracowała. Zrobiła szkic wpisu do bloga na następny dzień. Dzięki temu zaoszczędzi czas rano i będzie mogła skupić się na następnej części przygód

Fafla.

– Nagromadziło się zaległości – poskarżyła się psu, który właśnie układał się na drzemkę przy kominku. – Podejrzewam, że nie uporam się z tym do wyjazdu do Nowego Jorku. Nie powinnam myśleć o następnej powieści fantasy, jeżeli tej jeszcze nie sprzedałam. Jednak czuję ciśnienie. To chyba dobrze.

Zamknęła laptop, zabrała kulę z biurka. Lubiła ją ustawiać w sypialni obok zdjęcia ojca i kolegów z kapeli.

– Zrobiło się późno, ale raczej nie uda mi się zasnąć. – Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Fafla poszedł prosto na swoje legowisko z owieczką przytulanką.

Zapaliła dla niego ogień w kominku, zdjęła naszyjnik, tiarę i bransoletę, przebrała się w piżamę i sięgnęła po książkę ze starymi podaniami talamhijskimi, którą pożyczyła od babci.

Musiała więcej się dowiedzieć.

Liczyła, że znużenie czytaniem szybko dorówna fizycznemu zmęczeniu. Tymczasem te historie tak ją wciągnęły, że przewracała stronę za stroną.

Kiedy Fafla zadarł łeb z cichym szczeknięciem, błyskawicznie wyskoczyła z łóżka, chwyciła za miecz, a drugą rękę uniosła w górę, ściągając w nią moc.

To Keegan otworzył drzwi i wszedł do sypialni.

– Powinnaś już spać. Jest późno, jutro ćwiczymy.

Nie rozmawiała z nim od kilku dni, ale na widok jego zmęczonej twarzy nie potrafiła się na niego rozłościć.

– Nie spodziewałam się ciebie.

– Muszę odpocząć od Stolicy. – Nie podszedł do niej, tylko skierował się do okna i otworzył je, jakby chciał odetchnąć świeżym powietrzem. – Dzisiaj dobrze trzymałaś się na Lonarchu, córko smoków.

– Ja... Co?

– Tak cię teraz nazywają. Córka Fey, ludzi, bogów i od dzisiaj smoków. Nie było mnie przy tym, jak rzuciłaś wyzwanie Odranowi, nie słyszałem, jak składałaś przysięgę krwi na miejscu rzezi. Podobno ziemia zadrżała, a Odran się zatrzęsł. – Obejrzał się na nią. – Zadrżała? Zatrzęsł się?

– Tak.

– No to masz nowy przydomek.

– Kto go nadał? Ja...

– Smoki, oczywiście. Jak wiesz, mogę się z nimi porozumiewać, a one ze mną. Więc słysząc to, od razu wiedziałem, co należy dzisiaj zrobić.

Odpiął miecz i położył go obok jej miecza.

– Piękna uroczystość. Doniosła.

– Bardzo. A ty zadrwiłaś z Odrana. – Wyciągnął rękę, dotknął palcami jej włosów. – Nadal nie wiem, czy to była odwaga czy brak opamiętania.

W jednej chwili wszystko do niej wróciło: widoki, zapachy, emocje.

– Keeganie, byłam cała w ich krwi. Trzymałam na rękach martwe dziecko i patrzyłam, jak gaśnie nadzieja w oczach jego matki, bo nie mogłam mu pomóc. To było ponad moje siły. A co z jeńcami? Tym dwojgiem, których pojmałście?

Odwrócił się z powrotem do okna.

– Prawo Smoków.

– Nie wiem, co to jest.

– Działa szybko, okrutnie i definitywnie. Czy mogłem temu zapobiec? Nie wiem i nigdy się nie dowiem. Czy próbowałem? Miałbym wystawić na szwank łączące nas więzi, pozwolić na profanację pamięci zmarłych?

– Rzeź w imieniu Odrana. – W jego głosie pobrzmiwał gniew i obrzydzenie. – Bez żadnego powodu, tylko po to, aby osłabić morale Fey. Tych dziesięcioro desperatów czy kilku więcej, wliczając tych dwoje, przeciwko smoczemu ogniu i pazurom? Nie mieli szansy na wydostanie się z Talamh. Smoki wybiłyby ich co do nogi. Ci samobójcy uderzyli w młodych, bo to zawsze sprawia największy ból.

– Jakie jest to Prawo Smoków? – zapytała ponownie i serce podeszło jej do gardła, bo chyba się domyślała.

– Śmierć w ogniu miotanym przez smoki.

Wstrząśnięta, przysiadła na brzegu łóżka.

– Czy to przez moją prośbę, żebyś zasklepił portal dla skazanych na banicję? Jeżeli to moja...

– Nie, absolutnie nie. To prawo starsze od Talamh i naszych praw. Stało się.

Kolejny ciężar, który spadł na jego barki, pomyślała, wstając.

– Trzymałam na rękach maleńkie smoki, popalone, zakrwawione i wielu z nich nie byliśmy w stanie uratować. Brian oplakiwał Herosa w moich ramionach. Keeganie, to wszystko obciąża Odrana, nie ciebie.

– Ja trzymam buławę – odpowiedział po prostu. – Stało się. Patrzyłem na nich i nie mogłem uwierzyć, jak to możliwe, że do takich jak oni nie dociera, że Odranowi wcale na nich nie zależy. Ich los jest mu zupełnie obojętny. Posłał ich na pewną śmierć. Dla mnie to oczywiste. Tyle czasu gnieździli się w tych jaskiniach i w nagrodę spotkała ich śmierć.

– On nie wygra.

– I tego się trzymajmy. – Westchnął niemal z uśmiechem. – Córkę smoków.

Podeszła do niego, wzięła go za ręce, a on zamknął jej dłonie w mocnym uścisku.

– Powinieneś coś zjeść. Mogę ci podgrzać...

– Nie, nie, nie mam apetytu. Czuję ich płacz – mam ten dar – czuję, jak wszystkie smoki płaczą, gdy o zachodzie słońca składały na skałach ciała braci, sióstr, dzieci i przyjaciół. Ten odgłos na zawsze zostanie mi w głowie. Nie mam ochoty na jedzenie, ani nawet na piwo. Muszę się wyspać i chcę, żebyś była przy mnie.

– W takim razie chodź do łóżka.

Skinął głową i usiadł, żeby ściągnąć buty.

– Smok twojego ojca trzymał się obok Marg. Podobno od śmierci Eiana lata wyłącznie w nocy, a dnie spędza na Eile Dragain, czekając na swój koniec. Ale dzisiaj leciał w pełnym słońcu.

– Zauważyłam go i rozpoznałam. W moich wizjach latał na nim mój ojciec.

Obejrzała się na fotografię. Na stojącej obok kuli zawirowały jakieś obrazy.

– Keeganie, chodź, zobacz.

– Widzę zdjęcie naszych ojców, budzi miłe wspomnienia.

– Nie, nie, popatrz na kulę. Cienie się przesuwają, chmury rzedną. Widzisz?

Stał obok niej.

– Widzę jedynie kulę.

– Pojawia się ruch. Światło i ciemność. Głosy – przebijają się głosy. Ktoś krzyczy. Słyszysz?

Wziął ją za rękę i splótł palce z jej palcami. Teraz przez nią zobaczył w kuli z labradorytu to samo co ona.

Ogień huczał w kominku i rzucał czerwone światło na łożę ze złotymi kolumnkami i jedwabną pościelą. Świece porozstawiane w komnacie rozpraszały czerń nocy za oknem.

Szalało wzburzone morze, jego gwałtowne, gniewne odgłosy mieszały się z krzykiem i przekleństwami kobiety miotającej się na łożu.

Shana krzyczała, młóciła dłońmi powietrze, szarpała jedwabną pościel. Grymas wykrzywający twarz odbierał jej całą urodę.

– Wyjmijcie to ze mnie! Wyciągnijcie ze mnie to coś!

Kobieta z włosami spiętymi na czubku głowy i obrozą na szyi klęczała między jej nogami. Na twarzy miała krwawe ślady po paznokciach Shany.

– Jest źle ułożone.

Yseult z zimną, zaciętą twarzą obserwowała tę scenę.

– Jest za wcześnie. Dziecko musi jeszcze w niej zostać.

– Wody odeszły. Nie zatrzymam tego, co ma być. – Przez twarz akuszerki przebiegł skurcz bólu, kiedy zapulsował jedyny kamień na obroży. – Cokolwiek mi zrobisz i tak nie zatrzymam tego, co ma być. Mogę jedynie obrócić dziecko w jej łonie. Ono ją rani. Nie widzisz tego?

– Daj jej więcej opium – rozkazała Yseult trzęsącej się dziewczynie, która stała obok niej.

– Ostrożnie – akuszerka ostrzegła Shanę. – Pamiętaj, teraz nie wolno ci przeć. Pamiętaj. Ona będzie cierpieć – zwróciła się do Yseult.

– Rób, co masz robić.

– Zabiję cię! – Obolała i rozwścieczona Shana uderzyła służącą w twarz. Kubek wypadł z rąk kobiety, krew popłynęła z policzka rozciętego pierścionkiem. – Wszystkie was zabiję, a Odran zmiążdży wasze kości. Wyjmijcie to ze mnie!

– Przytrzymajcie panią – poleciała akuszerka. – Yseult, gdybyś uśmierzyła jej ból swoją mocą albo na moment ją uśpiła...

– Poród to ból i krew. Rób, co masz robić.

Z gardła Shany wydobył się potworny, zwierzęcy wręcz skowyt, gdy akuszerka wsunęła rękę, żeby przekręcić dziecko. Sama też krzyknęła, cofając poranioną dłoń.

– Ono... ma szpony. Rozrywa ją.

– Ty i ty, przytrzymajcie ją, słyszycie? A ty, idź i powiedz Odranowi, że jego dziecko się rodzi. – Yseult zbliżyła się do akuszerki i zacisnęła dłoń na jej szyi. – Sprowadź to dziecko na świat, bo inaczej zginiesz.

Wrzaski i jęki Shany wypełniały powietrze. Zmierzwiłone, poszarzałe od potu włosy okalały jej wykrzywioną z bólu twarz. Cztery służące musiały ją trzymać, gdy akuszerka próbowała obrócić dziecko. Shana z każdym oddechem miotała przekleństwa. Przeklinała służbę i to, co się miało urodzić.

– Obróciło się! – Akuszerka ze spoconą, wymazaną krwią twarzą nachyliła się nad Shaną.

– A teraz przyj! Przyj!

Shana odpowiedziała obłąkańczym śmiechem.

– Już nie żyjecie. Wszyscy jesteście martwi. Będę się kąpać w waszej krwi.

Ale w tej chwili to krew Shany wsiąkała w jedwab, gdy akuszerka usiłowała pomóc dziecku.

– Teraz przyj, przyj, kochana. Yseult, błagam, pomóż mi. Sama nie dam rady, a pani opadła z sił.

Yseult stanęła nad Shaną, popatrzyła w jej błyszczące ze złości oczy.

– Wypchnij to dziecko na świat – wysyczała, unosząc dłonie nad jej wydętym brzuchem. – Wprowadź je w życie.

Shana z zaciśniętymi zębami wsparła się na łokciach i z krzykiem zaczęła przeć.

– Jest główka. Teraz poczekaj. Yseult, powiedz pani, żeby się wstrzymała.

Spomiędzy ud Shany wysunęła się wymazana krwią głowa ze szparkami oczu pod opuchniętymi powiekami i wygiętymi ustami, z których sterczały kły.

– Bogowie, miejcie litość! – mruknęła akuszerka i natychmiast krzyknęła, bo przeszył ją ból zadany przez obrozę.

– Nie ma żadnych bogów poza Odranem – sarknęła Yseult. – A teraz wyjmij to dziecko.

Wyśliznęło się w zakrwawione ręce akuszerki. Drobne, poskręcane ciało wypełniło jej złożone dłonie. Z wykrzywionych ust wydobył się słaby płacz przypominający miauknięcie, poruszyły się palce zakończone szponami.

Z ust bladej jak śmierć Shany wydobył się dudniący śmiech tak samo szalony jak wyraz jej oczu.

– Oddycha – powiedziała akuszerka – ale obawiam się, że długo nie pożyje. Muszę przeciąć pępowinę, usunąć łożysko. Trzeba panią troskliwie się zająć, bo inaczej umrze.

– Daj mi dziecko.

Dłonie akuszerki zdrząły, gdy doszedł ją zza pleców głos Odrana. Trzęsącymi się rękami przecięła pępowinę i podała dziecko Odranowi.

Popatrzył na nie.

– Nie ma w nim siły. Tylko choroba, deformacja i śmierć. Możesz to zmienić?

Yseult podeszła do niego i w skupieniu przyglądała się dziecku w jego dłoniach.

– Nie przeżyje godziny, a ja nie mam takiej mocy.

– A co z nią?

– Nigdy już nie pocznie dziecka.

– Da się coś zrobić, żeby przeżyła?

Yseult obejrzała się na Shanę i akuszerkę.

– Straciła dużo krwi – tłumaczyła akuszerka. – A poród wyrządził ogromne szkody. Sama niewiele mogę zrobić. Panie, może uda się ją utrzymać przy życiu, ale... upłynie dużo czasu, zanim dojdzie do siebie. To będzie trudne.

– Chcę, żeby żyła, jakiś czas. Twoja w tym głowa.

Kiedy Odran odszedł od łoża, podbiegła do niego Yseult.

– Mój panie, mój władco, moje wszystko, jaki pożytek będziesz miał z niej jałowej i szalonej?

– Przyda się jej szaleństwo. Spraw, Yseult, żeby nabrała siły.

– Zrobię, co każesz, ale to może zająć tygodnie. Ona jest bliska śmierci.

– Ma nabrać siły i znajdź sposób na odesłanie jej z powrotem do Talamh.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, użyję wszystkich moich mocy, ale...

Chwyił ją za szyję, tak jak wcześniej ona akuszerkę. Na moment w jego szarych oczach zapłonęły czerwone błyski.

– Czy ty sprawiłaś, że rosło w niej to, co trzymam w ręce? Czy za twoją sprawą ona miała umrzeć przy porodzie?

– Panie, nigdy nie podniosłabym ręki na coś, co jest twoje. To ja ją do ciebie sprowadziłam. Użyję całej mocy, aby spełnić twoje życzenie. Zawsze będę tobie wiernie służyć. Tylko tobie.

– W takim razie ona ma odzyskać siły. Zabawiała mnie w ostatnich miesiącach i była przydatna. Dlatego spełnię jej największe życzenie. Ostatnie życzenie.

– Panie.

– Wróci i zabije tego, który nią wzgardził. Tego, który ją zdradził. Zabije *taoiseacha*. A po jego śmierci dziecko mojego dziecka przyjdzie do mnie.

Popatrzył na pokurcza w swojej dłoni.

– Krew ma ciemną, cienką, bez mocy.

Wrzucił noworodka w ogień w kominku i wyszedł odprowadzany chichotem Shany.

*

Breen, nie odrywając oczu od kuli, cofnęła się o krok, potem o jeszcze jeden i kolejne, aż dotarła do łóżka i powoli usiadła.

– O Boże! Boże! – Kiedy Fąfel oparł łapy na pościeli, wtuliła twarz w jego sierść. – On... on wrzucił go w ogień jak bryłkę torfu.

– Zostań z nią – powiedział Keegan do Fąfla i wyszedł, zostawiając ją roztrzęsioną, wtuloną w psa.

Po chwili wrócił z kieliszkiem wina i wcisnął go jej w dłoń.

– Whiskey lepiej działa, ale ty jej nie lubisz – skomentował i jakby na dowód pociągnął łyk whiskey ze szklanki w drugiej ręce.

– Widziałeś? Widziałeś to?

– Taak. Widziałem i słyszałem. Jak dotąd udawało mi się unikać widoku porodów, ale jeżeli tak to wygląda, to nie wiem, jak można zdecydować się na dziecko.

– Ja częściowo widziałam, jak Aisling rodziła Kelly’ego, i powiem ci, że wcale to tak nie wyglądało...

– Już wcześniej mówiłaś, że wszystko w Shanie jest złe, mroczne i zepsute.

– Tak.

– Miałeś rację, a sądząc z tego, co widzieliśmy, myślę, że to nie była pierwsza taka sytuacja.

Ciągle się trzęsła, serce jej kołatało.

– On je chciał wyłącznie ze względu na moc. Nie było w nim miłości.

Keegan usiadł obok niej.

– Odran nie darzy miłością nikogo i niczego oprócz władzy. Przecież wiesz.

– Wiem, ale zobaczyć go, jak... własne dziecko! – Wysączyła parę łyków trochę wina. – Musimy to przerwać, Keeganie. – Znowu popiła. – Tyle cierpienia, takie okrucieństwo. Ta akuszerka jest z Widzących. Porwali ją i trzymają jako niewolnicę. Jej ręce, widziałeś, co ono jej zrobiło? Jak oni ją traktują! To się musi skończyć.

– Shana. Myślisz, że przeżyje?

– Najwyraźniej tak sądzą. Ale chyba straciła za dużo krwi, ma zbyt bardzo poważne obrażenia, żeby uzdrowić ją światłem. Myślę, że Yseult użyje czarnej magii. O mój Boże, złożą kolejne ofiary. Po to, żeby cię zabić, Keeganie. Uzdrowią ją i przemycą tutaj, żeby cię zabiła. Nie możemy dopuścić, żeby się tutaj dostała.

Siedział zamyślony, na chłodno rozważając szanse.

– To nie będzie takie proste.

– Ona jest obłąkana, a po tych przejściach zapewne obłąd się pogłębił i nie wiadomo, czym ją będą faszzerować, żeby utrzymać przy życiu. Ma być silna, powiedział. Musisz uważać. Potrzebujesz ochrony. Odwołam wyjazd do Filadelfii i Nowego Jorku.

– Nie ma mowy.

Odwróciła się do niego.

– Myślisz, że wyjadę, kiedy on szykuje na ciebie obłąkaną zabójczynię?

– Myślę, że sam potrafię obronić się przed kimś takim jak Shana.

Chwyliła garście włosów, walcząc z chęcią ich wyrwania.

– Słyszałeś go? To jej największe życzenie i on ma rację. Jest bystry, wie, że ona niczego bardziej nie pragnie niż twojej śmierci.

– Podejrzewam, że ty też zajmujesz wysokie miejsce na jej liście.

Keegan, przywódca Fey, bez emocji oceniał swoją sytuację i możliwości wroga.

– W takim razie wszyscy będziemy uważać. Ona jest na tyle szalona, że nawet może uderzyć w niego, a potem spróbować dopaść ciebie. W każdym razie była mowa o tygodniach, a co tam widzia-

łem? Wcale nie jestem przekonany, że nawet z pomocą mrocznych i jasnych mocy uda się wtłoczyć siłę w jej ciało. Nie sądzisz, że widząc to wszystko, będziemy przygotowani, jeśli jednak ich plan się uda?

– Sądzę i dlatego zostaję.

– Wykluczone. Jestem *taoiseachem* i wojownikiem Widzących. Bardzo dobrze znam wroga, Breen Siobhan. Owszem, ona jest obłąkana, ale nie należy do wojowniczek. Jeżeli myślisz, że szalona elfka może mnie pokonać, to czuję się obrażony. Poza tym mamy trochę czasu. Przede wszystkim uprzedzimy kogo trzeba, że należy się liczyć z podstępym przejściem przez któryś z portali. Szkoda, że nie wiemy, gdzie podejmą próbę, dlatego musimy mieć oko na wszystkie.

Pogrążony w zadumie, z roztargnieniem cmoknął ją w czoło.

– Dopij wino i uspokój się.

– Jasna cholera, jestem spokojna.

– Fakt, już nie trzęsiesz się tak mocno i długo jak kiedyś.

– Nigdy się nie trzęsłam. Chcesz mnie wkurzyć, ale nie dam się sprowokować.

– Kłótnia o coś takiego to strata czasu, a musimy się wyspać. – Odstawił szklanke. – Zaufaj mi, poradzę sobie. Musisz mi zaufać.

– To nie tak, że ci nie ufam.

Pocałował ją, podniósł się z łóżka i zaczął ściągać ubranie.

– Masz prawo trochę się przejmować. Ale nie za bardzo, bo to godzi w moją dumę.

– Nie jesteś niezniszczalny, Keeganie.

– Wiedun, wojownik, jeździec smoka, *taoiseach* przeciwko jednej obłąkanej elfce, która w życiu nie stoczyła jednej walki?

– Zabiła Lorena.

– Bo zaślepiała go miłość do niej. Ja jej nie kocham. Wracaj na swoje legowisko – rzucił do Fafla.

– Twoja pani teraz należy do mnie.

Odebrał od niej nadal w połowie pełny kieliszek i odstawił go na stolik. Potem wziął ją na ręce i delikatnie ułożył na łóżku.

– Wiesz, co Han Solo powiedział do Luke'a Skywalker'a?

– Podobają mi się te historie. – Przygarnął ją do siebie. Leżała teraz z głową opartą na jego ramieniu. – Co masz na myśli? „Niech moc będzie z tobą”?

– Nie, chociaż to też możesz zapamiętać. Powiedział: „Nie bądź zarozumiały”.

Parsknął śmiechem i przetoczył się na nią.

– Traktuję to jako wyzwanie i dlatego muszę stanąć na wysokości zadania. Sen musi trochę poczekać.

Rozdział 25

Niepokój nie pomagał; w kolejnych dniach tlił się gdzieś pod powierzchnią, a kiedy wydostawał się na zewnątrz, Breen próbowała w kuli i ogniu zobaczyć coś więcej.

Rozkwitał kwiecień, a świat Odrana nadal pozostawał zaciemiony.

Pakowała się, cały czas uważając, żeby nie zabierać zbyt dużo rzeczy, bo przecież leci tylko na kilka dni. Jednak w tych dniach czekały ją impreza w barze U Sally, spotkanie w Nowym Jorku i... wizyta u matki.

– Nie mogę cię zabrać – tłumaczyła markotnemu Fąfłowi. – Ale wiesz, będzie ci dobrze u babci, no i masz do towarzystwa Briana i Keegana. Spędzisz trochę czasu na farmie z chłopcami, Mab i Darling. – Westchnęła na widok jego zwieszonoego łba. – To tylko trzy dni.

Keegan wszedł do sypialni, akurat gdy upychała do walizki jeszcze jedną rzecz.

Zaskoczona i speszona, szybko opuściła pokrywę.

– Sądziłam, że zobaczymy się po drugiej stronie.

– Marg rzuciła mi spojrzenie.

– Rzuciła spojrzenie?

– Takie, które mówiło, że mam znieść twoje bagaże. – Objął wzrokiem walizkę, torbę z laptopem i torbę na ramię. – Mówiłaś, na trzy dni. A nie na trzy tygodnie, miesiąc czy pół roku.

– Czekają mnie... różne wydarzenia. Wizyty, które wymagają odpowiedniego stroju. Założę się, że Marco spakował tyle samo rzeczy, o ile nie więcej, dlatego nie zaczynaj.

– On sam znieś swój bagaż, no chyba że wyręczy go Brian.

– Mogłam, no wiesz – znacząco machnęła ręką – to wszystko posłać.

– Mogłaś, ale jestem tutaj, a magia nie zawsze musi zastępować siłę mięśni. – Podniósł zamkniętą na zamek walizkę. – Która, jak widać, w tym wypadku się przyda. Napakowałeś kamieni na upominki?

Kiedy ma się ulubione ubrania, trudno zdecydować, które zostawić, a które zabrać, pomyślała.

Zaledwie rok temu spakowałyby się w samą torbę na ramię. Miała wszystkie ciuchy w nudnym beżowym kolorze. A więc ta walizka była dowodem pozytywnej zmiany.

– Jeżeli jesteś taki pomocny, weź prezent dla Sally.

Wsunął pod ramię pakunek w kolorowym papierze.

– Ładny prezent. Na pewno sprawi mu radość. Czy to już wszystko, czy jeszcze stoi gdzieś jakaś torba?

– Wszystko. Jeżeli będziesz marudził, poproszę Marg, żeby darowała sobie te wymowne spojrzenia.

– Nie miałbym nic przeciwko temu. Rzadko je rzuca, ale są porażające.

Rozbawiona, schodziła na parter z wlokącym się za nią Fąfłem.

W salonie Marco z Brianem żegnali się żarliwym pocałunkiem.

– On nie ma tyle bagażu co ty – zauważył Keegan.

– Bo wiozę prezent i... dziewczynskie drobiazgi.

– Gdybym to ja użył sformułowania „dziewczyńskie drobiazgi”, pewnie spotkałoby mnie kolejne porażające spojrzenie. Marco, jesteś gotowy?

– Tak. – Omiótł wzrokiem salon i kuchnię. – Pamiętajcie o zapiekance. Trzeba ją tylko podgrzać. Zamroziłem sos pomidorowy, gdybyście mieli ochotę na makaron. Gotujecie wodę i...

– Przestań się przejmować. Nie umrzemy z głodu. – Brian podniósł walizkę Marco. – Pewnie, że będę tęsknił za twoją kuchnią, a jeszcze bardziej za tobą.

Marco zarzucił na ramię torbę z laptopem i odebrał prezent od Keegana.

Kiedy wyszli na dwór, Breen ogarnęła spojrzeniem ich świeżo założony ogród. Równe rzędy pędów wschodzące na grządkach.

– Dorastałem na farmie, chyba umiem zadbać o taki splachetek ziemi przez kilka dni. – Keegan pokręcił głową, tocząc walizkę na kółkach w stronę lasu.

Wcześniej Breen porozwieszała na gałęziach dzwoneczki wietrzne, które zrobiła w pracowni babci. Pięknie wyglądały, ładnie dźwięczały i stanowiły dodatkową ochronę. Poruszone wiatrem podzwaniały, a w słońcu mieniły się kolorami. W nocy będą zaglądać tutaj chochliki, pomyślała, i go ostrzegą, jeśli będzie w chacie. Na farmie miał Morenę i Harkena. Do Stolicy jeździł albo latał z grupą wojowników.

Gdyby tylko mogła sprawdzić, czy Shana wyzdrowiała, zobaczyć, czy znaleźli sposób, jak ją tu przemieścić.

Masz nad nim czuwać, nakazała w myślach Fąflowi i pies natychmiast podniósł wysoko łeb. Pamiętaj. W miarę możliwości trzymaj się blisko niego, dobrze? Zrób to dla mnie.

Fąfel szedł teraz sprężystym krokiem, merdając ogonem. Już nie czuł się zostawiony sam sobie. Dostał zadanie. Miał czuwać i chronić.

– Róbcie zdjęcia, pooglądamy je razem po waszym powrocie – mówił Brian. – Z imprezy i z tamtego dużego miasta. A ty, Breen, wszystko opisuj, będziemy mogli to sobie poczytać na tej maszynie Marco, jak już wrócicie do domu.

Jak już wrócicie do domu, powtórzyła w myślach, kiedy zbliżali się do drzewa. Wyjeżdżali tylko na kilka dni, nie na zawsze i niedługo będą z powrotem w domu.

Kiedy przeszli przez drzewo prosto na kwietniową mżawkę, zobaczyła grupę powitalną – albo raczej pożegnalną. Babcie, Sedrica, Morenę, Harkena, Aisling i chłopców. Brakowało Mahona, bo był na patrolu.

Darling, dwa razy większa niż w Boże Narodzenie, radośnie doskoczyła do Fąfla.

– Są nasi podróżnicy. – Morena zwinnie usunęła się z drogi mocującym się psom.

Kavan wyciągnął ramiona do Breen, odstawiła więc torbę na ziemię i wzięła go na rękę.

– Chce jechać z wami – zauważyła Aisling.

– A nie byłoby fajnie? – Breen połaskotała go nosem po policzku. – Któregoś dnia pojedziemy razem.

Z Kavanem na biodrze uściskała Marg.

– Za trzy dni wracamy.

– Bawcie się dobrze i złożcie Sally życzenia urodzinowe od nas wszystkich.

– Złożę, złożymy. – Pocałowała Sedrica w policzek. – Do zobaczenia.

Postawiła Kavana na ziemię i zaczęła zbierać bagaże. Keegan porwał ją w ramiona i pocałował, budząc tymi czułościami chichot Finiana i radosne pokrzykiwanie Kavana.

– Będziesz za mną tęskniła, prawda?

– Może. Tak.

– To dobrze. Bo ja będę. Tyle bagaży. – Spojrzał znacząco na Sedrica, a on uśmiechnął się w odpowiedzi.

– To żaden problem. Weźcie się za rękę, tak będzie łatwiej.

– Mogliśmy polecieć samolotem. – Marco już ścisnął ją za rękę. – Na pewno wylądujemy w naszym starym mieszkaniu?

– Właśnie tam otworzyłem portal – przypomniał mu Keegan. – Meabh już tam nie ma, bo wie, że przylatujecie. Pamiętajcie, w którym miejscu macie portal w Nowym Jorku?

– Tak. – Breen przebiegły po skórze nerwowe ciarki. – Wszystko sobie zapisałam.

– W takim razie... – Keegan się cofnął i dołączył do Marg i Sedrica. – Pewnie dasz radę sam – zwrócił się do niego – ale służę pomocą.

– Chętnie ją przyjmę. Dzięki.

Obaj unieśli ręce, otwartymi dłońmi do góry.

– Co było otwarte, zostało zamknięte. Co jest zamknięte, otwiera się dla podróżujących do świata po drugiej stronie. Niech ich przejście będzie bezpieczne.

Świetlny krąg zawirował na drodze, podniósł się i rozprzestrzenił.

Kavan zapiszczał zachwycony, a Finian ze swojego miejsca u nóg matki pociemniałymi oczami wpatrywał się w świetlną obręcz. Dokłada swoją moc, zrozumiała Breen. Słodki, magiczny chłopak. Głęboko zaczerpnęła powietrza.

– No to jesteśmy gotowi.

– O kurde! – szepnął Marco i mocno ściskając dłoń Breen, razem z nią wszedł w krąg.

– Pa! Pa! – Breen usłyszała jeszcze głos Kavana.

A potem było już tylko światło, wiatr i dłoń Marco. Zaparło jej dech. Zabiło mocniej serce.

Ułamek sekundy później stanęła w ich dawnym mieszkaniu, a Marco wylądował obok niej na czworakach.

– Nic ci nie jest? Widzę, że nie. Tutaj jestem.

– Trochę kręci mi się w głowie, ale spoko.

– Jestem przy tobie. Zaraz wyjmę eliksir z torby.

– Muszę tylko złapać oddech. Słodki Jezu, jakie tempo. Było nie tak strasznie jak ostatnim razem, uff!

Ciągle sapiąc, usiadł na podłodze. Wodził nieco nieprzytomnym wzrokiem dokoła siebie.

- Naprawdę tutaj jesteśmy.
- Naprawdę. – Wygrzebała z torby buteleczkę z eliksirem. – Dwa łyki, a jeżeli dalej będzie ci kręcić się w głowie, popraw jeszcze jednym.
- Głowa jest w porządku, tylko ten cholerny pokój się obraca. – Wypił jeden łyk, potem drugi. – No, jakby lepiej. Błyskawiczna podróż, co? – Wysilił się na uśmiech, a ponieważ kolory powoli wracały na jego policzki, odpowiedziała mu uśmiechem.
- Jak to leciało w *Star Treku*? „Szybko się przenieśliśmy, Scotty”.
- Siedziała z nim na podłodze i rozglądała się po pokoju. Meabh dodała kilka drobiazgów, przestała niektóre meble, ale z grubsza wszystko wyglądało tak samo.
- Nostalgia. Tak, ogarnęła ją nostalgia. Tyle wspólnych z Marco wspomnień z tego miejsca. Jednak nie będzie za nim tęsknić. To już nie jest ich dom i nigdy nie będzie.
- Nasza chata dobrze wygląda.
- Tęskniłeś za nią?
- Zastanawiałem się, czy zatęsknię. No nie. Tylko dobrze ją znowu zobaczyć. To trochę jak... no wiesz, zachodzisz do swojej dawnej szkoły średniej, przypominasz sobie jakieś sytuacje, budzą się w tobie jakieś emocje. Albo dobre, albo nie. Tak czy owak już nie chcesz tam wracać.
- Chciałbyś coś stąd zabrać?
- Nie, wziąłem, a dokładniej Sedric zadbał o wszystko, co chciałem mieć. A ty?
- A ja myślę o stole, naszym stole w smoki. Dałeś go pomalować na moje urodziny. Zabierzemy go innym razem.
- Spędziliśmy przy nim dużo miłych chwil.
- Oj tak. – Podniosła się z podłogi i wyciągnęła do niego rękę. – Zdrowy i gotowy?
- Jasne.
- W takim razie idziemy się zameldować w naszym hotelu.
- To trochę dziwne i szpanerskie mieszkać w hotelu w Filadelfii.
- Możemy poszpanować przez te trzy dni. Jak już się zameldujemy, pójdę zobaczyć się z matką. Ale najpierw zajrzy do rodziców Marco.
- Powinienem pójść z tobą, dziewczyno. Pozwól mi...
- Muszę sama i chcę mieć to z głowy. Potem się wystroimy i zaskoczmy Sally. Marco, jak tylko to załatwię, cała reszta będzie optymistyczna, radosna i zabawna.
- Tylko nie jedź tym przeklętym autobusem.
- Zgoda. No to zameldujmy się w hotelu jak para turystów.
- *

Mnóstwo wspomnień przesunęło się jej przed oczami, gdy zapukała do drzwi państwa Olsenów. Przyjęcia w małym ogródku na tyłach domu, pani Olsen piekąca ciasto w swojskiej, nieskazitelnie czystej kuchni, muzyka gospel płynąca z odtwarzacza.

Mnóstwo dobrych wspomnień, poprawiła się. Musiała tylko wyprzeć z pamięci tamte łyzy Marco kapiące jej na ramię, kiedy rodzina odrzuciła go za to, kim jest.

Pani Olsen otworzyła drzwi i przybrała uprzejmy uśmiech. Potem zamrugnęła – Marco miał jej oczy – i złożyła razem dłonie.

– Breen! Boże drogi, Breen Kelly! Przysięgam, w pierwszej chwili cię nie poznałam. Ależ ty się zmieniłaś!

– Cieszę się, że panią widzę, pani Olsen.

– Dziecko! – Niska, przysadzista kobieta ze starannie ułożonymi włosami wzięła ją w ramiona. – Wchodź. Nie wiedziałam, że wróciłaś.

– Wpadłam tylko jeden na dzień.

Dom, tak jak zapamiętała, lśnił. Pani Olsen bardzo poważnie traktowała czystość i zasady moralne.

– Przylecieliśmy z Marco na urodziny Sally, a potem mamy spotkania w Nowym Jorku i zaraz wracamy do Irlandii.

Uśmiech pani Olsen nieco przygasł. Pokiwała głową.

– Światowcy z was. Siadaj, zaparzę nam kawy.

– Mogę pójść z panią do kuchni, tak jak dawniej? Zawsze lubiłam patrzeć, jak pani gotuje. Jestem pewna, że Marco odziedziczył talenty kulinarne po pani.

– Ależ chodź. Wczoraj upiekłam ciasto aniołkowe na białkach. Będziemy miały do kawy. Przyda-

łoby ci się odrobinę przytyć.

Ani razu nie wymówiła imienia syna, pomyślała Breen, i z żalu ścisnęło ją w gardle.

– A co u pani słyhać?

– Wszystko w najlepszym porządku. Usiądź przy kuchennym blacie jak za dawnych czasów. Spotkania w Nowym Jorku, powiadasz?

– Tak, z moją agentką i wydawczynią. A Marco spotyka się z ludźmi z reklamy, z którymi współpracuje. No i moja agentka jest bardzo zainteresowana jego pomysłem na książkę kucharską. Na pewno spisze z nim umowę na współpracę.

Pani Olsen postawiła filiżanki z kawą i zdjęła szklany klosz z talerza na ciasto.

– Jesteśmy tacy dumni, że mają wydać twoją książkę. Pisanie dla dzieci to piękna sprawa. Mój Boże, Breen, jak ty ładnie wyglądasz, no i wydorosłałaś. A co słyhać u twojej mamy?

– Dzisiaj się z nią zobaczę. Pani Olsem, tak naprawdę przyszedłam do pani porozmawiać o Marco.

– On jest w moich modlitwach, tak samo jak ty. – Przysunęła Breen talerzyk z kawałkiem ciasta.

– Marco pobiera się jesienią. – Powiedziała to bardzo szybko, bo z góry znała reakcję. – Z Briannem Kelly. Moim dalekim kuzynem i...

– Breen, Bóg nie dopuszcza takich aberracji. Potępia je. Serce mi pęka na myśl, że ten chłopiec odrzucił Słowo Boże, Prawo Boże i modłę się codziennie za jego duszę. On dokonał wyboru i modłę się, aby to przemyślał i odnalazł drogę do Boga.

Delikatnie poklepała Breen po dłoni.

– Jedz ciasto, kochana. Śmiało możesz nabrać trochę ciała.

– Muszę pani powiedzieć, że on jest bardzo szczęśliwy. Jest szczęśliwy z dobrym człowiekiem, który go kocha. Zbudują razem szczęśliwe życie. Chcę tylko, żeby pani wiedziała, że część jego serca zawsze będzie za panią tęsknić.

W oczach Annie Olsen widziała wyłącznie smutek.

– Życie w grzechu nie daje prawdziwego szczęścia, Breen. Martwię się, że on skazuje się na straszne cierpienie w Dniu Sądu Ostatecznego. – Łzy zalśniły w jej oczach, ale się nie stoczyły. – Nosiłam tego chłopca pod sercem i w sercu. Żyję zgodnie ze słowem bożym i tak go wychowywałam. Jednak zszedł na złą drogę. Dziś wieczorem będę za niego żarliwie się modlić.

– Przepraszam. Niepotrzebnie panią denerwuję. Powinam już iść. – Wstała. – Pani zawsze była dla mnie taka dobra i nigdy tego nie zapomnę. Marco ma złote serce i najłagodniejszy charakter ze wszystkich osób, jakie znam. I myślę, że właśnie to się liczy w życiu, cokolwiek po nim nastąpi.

Wyszła, zamknęła za sobą drzwi i chociaż do domu matki miała spory kawałek drogi, postanowiła iść pieszo, w nadziei, że to ją uspokoi.

Do matki Marco szła pełna nadziei. Ależ była naiwna!

Marco ma rodzinę, powiedziała sobie. Ma ją. Ma Sally i Derricka, wszystkich w Talamh. A teraz jeszcze Briana.

I wszyscy członkowie tej rodziny kochają go i akceptują nie pomimo tego, kim jest, ale za to, jaki jest. Uzmysłowała sobie, że musi o tym pamiętać, bo jej dotyczyło to samo.

Wiedziała, że matka jest w domu. Sprawdziła w kuli. Mogła nie widzieć Shany i Odrana w ich świecie, choć zobaczyła Jennifer w jej wymuskanym dwupoziomowym mieszkaniu w trakcie sobotniej rutyny.

Najpierw siłownia z osobistym trenerem, potem zakupy. W co czwartą sobotę wizyta w salonie. Włosy, paznokcie, kosmetyczka. Ale to nie przypada dziś – sprawdziła Breen, zanim zarezerwowała hotele i umówiła się na spotkania w Nowym Jorku.

W kwietniu jest za wcześnie na sadzenie kwiatów i wystawianie donic, ale Jennifer co najmniej przez godzinę będzie wietrzyć wszystkie pomieszczenia. Zrobi małą przepierkę, bo większość rzeczy oddaje do pralni, popłaci rachunki i sprawdzi finanse przez internet.

O mieszkanie dba firma sprzątająca, ale ona i tak wszędzie zajrzy, wszystko sprawdzi; wzruszy poduszki, powstawi do wazonów kupione rano kwiaty.

Niektórzy nazwaliby to snuciem się bez sensu, pomyślała Breen, stając przed domem. Jednak dla Jennifer Wilcox to była misja. Diabli tam, misja, jej prywatna religia, a przestrzegą jej nie mniej skrupulatnie niż Annie Olsen zasad wiary.

Wszystko doprowadzone do perfekcji – i tylko jedyne dziecko zdecydowanie nie osiągnęło odpowiedniego poziomu.

Później parę drinków, może z koleżanką, ale najpewniej siądzie przed komputerem. Awans na stanowisko dyrektora kreatywnej w dobrze prosperującej agencji reklamowej spowodował konieczność spę-

dzania dodatkowych godzin pracy w domu.

Jennifer Wilcox perfekcyjna pod każdym względem. Breen podeszła do drzwi, zapukała i cofnęła się na chodnik.

Tutaj nie będzie częstowania kawą i ciastem. A pod maską życzliwości czeka ją to samo co zawsze.

Urodziłam cię, wychowałam i nie akceptuję tego, kim i czym jesteś. O ile nie odrzucisz tego wszystkiego i nie podporządkujesz się moim zasadom, nie będziesz mile widziana w tym domu. Dopóki nie spełnisz moich oczekiwań, nie będę nawet wymawiać twojego imienia.

Nadal nosi włosy obcięte na wysokości podbródka i robi pasemka, zauważyła Breen, gdy matka otworzyła drzwi. To była sobotnia wersja matki – czarne dopasowane spodnie, jasnoniebieski sweter, baleryny, delikatny makijaż. Złote kolczyki na wkręty, cienki złoty łańcuszek z rzędem złotych kuleczek i... coś nowego – elegancki cyfrowy zegarek.

Breen nie umknął żaden szczegół, łącznie z wyrazem głębokiego zaskoczenia, który na moment pojawił się na twarzy matki.

– Breen. Nie wiedziałam, że jesteś w Filadelfii.

– Przejazdem. Sally ma urodziny.

– Aha. W takim razie wejdź, proszę.

– Nie. To kim i czym jestem, nie jest w tym domu mile widziane.

– Porozmawiamy o tym.

– Nie ma sensu o tym rozmawiać, skoro ty mnie takiej nie akceptujesz, a ja nie zamierzam nic zmienić. – Przechyliła głowę na bok, gdy zobaczyła, że matka zerka na sąsiedni dom.

– Boisz się, co sąsiedzi sobie pomyślą?

– Wyjechali na weekend. Nie zamierzam prowadzić tej rozmowy na dworze. – Nie zdążyła się cofnąć, gdy Breen strumieniem mocy zatrzasnęła drzwi.

– Nie masz wyboru, ale to nie potrwa długo.

– Nie życzę sobie takich rzeczy. Postawiłam sprawę jasno.

Głos jej drży, zauważyła Breen. Ze złości i ze strachu.

– Tak, postawiłaś sprawę jasno. Nie zgadzasz się z tym, kim jestem. Odpowiadała ci tamta dawna Breen, w której urabianie włożyłaś tyle wysiłku. A tymczasem stałam się kimś innym i jestem szczęśliwa. Przyszłam ci to powiedzieć. Jestem szczęśliwa. Moje życie nie jest idealne. Nigdy takie nie będzie, ale należy do mnie.

– Nieprawda. To oni nawkładali ci te rzeczy do głowy. A przecież ja cię wychowałam, dałam ci dom, poczucie stabilności, ukierunkowałam cię i pokazałam ci cel.

– Wszystko było twoje: i dom, i wersja stabilności. Ty wybrałaś mi kierunek i cel. A teraz ja wybieram. Niedługo wyjdzie moja książka. Jutro jadę do Nowego Jorku i sprzedam kolejną. Pisanie sprawia mi radość. To praca, która czasem bywa nużąca, jednak daje mi satysfakcję. Dzięki mojemu darowi czuję się szczęśliwa. Czasami nie jest mi łatwo, chociaż czerpię z niego radość. Mam własny kierunek i cel.

– To niebezpieczne fantazje.

– Nie do końca się mylisz, ale one są moje. Wiem, że ciężko pracowałaś, żeby zapewnić mi dom i dobre życie. W minionym roku dużo myślałam o tobie, o nas. Tak, wiem, dawałaś z siebie wszystko i na tym ustaleniu poprzestańmy.

– Otwórz te cholerne drzwi i wejdź do domu. Nie będę prowadzić tej bzdurnej rozmowy publicznie.

– Otworzę ci drzwi za minutę, ale nie wejdę do środka. – Ani dziś, ani nigdy, dodała w myślach.

– Kłamałaś przez te wszystkie lata i w rezultacie odebrałaś mi coś cennego. Wpędziłaś mnie w kompleksy, miałam niskie poczucie wartości i bardzo skromne oczekiwania. Czulałam się nieszczęśliwa. Musiałaś wiedzieć, mamo, jak bardzo byłam nieszczęśliwa.

– Byłaś bezpieczna, zdrowa, zapewniłam ci wykształcenie i miałaś dobry zawód.

– I borykałam się, bo starałam się wpasować w formę, w którą chciałaś mnie włożyć z powodu swoich uprzedzeń i obaw. Nigdy do niej nie pasowałam. Uwolniłam się z niej. Nie przyszło mi to łatwo, na szczęście się udało. A teraz dobrze się czuję w swojej skórze. Nie staram się, żebyś mnie zrozumiała, chociaż mi żal. Ja wiem, że się starałaś, i jestem ci wdzięczna. Jednakże okłamywanie mnie było błędem. Zlekceważyłaś moje dobro. Nie myślałam, że mogę być szczęśliwa, dopóki nie uwierzyłam, że mam prawo do szczęścia. Musiałaś ci to wszystko powiedzieć i więcej mnie nie zobaczysz. Raniłaś mnie swoim postępowaniem, ale ci wybaczam.

– Ty... nie zrobiłam nic poza...

– Wybaczam ci – powtórzyła Breen. – I mam nadzieję, że jesteś zadowolona ze swojego życia. – Odwróciła się i zeszła dalej na chodnik. – Drzwi są otwarte.

Miała wrażenie, że zrzuciła z siebie ogromny ciężar. Lżejsza, o wiele lżejsza, ruszyła przed siebie w to rześkie kwietniowe popołudnie.

Szła różnym, lekkim krokiem. Gdy mijiała salon, przystanąła i popatrzyła na nadgarstek.

Pod wpływem impulsu weszła do środka, zupełnie tak samo jak za pierwszym razem. Dała sobie zrobić nowy tatuaż, tym razem na ramieniu ręki, w której trzymała miecz. Wybrała ten sam wzór liter jak na nadgarstku.

Po wyjściu z salonu zobaczyła Sedrica. Czekał na nią na ulicy.

– Powinam się domyślić, że będziesz nade mną czuwał.

– Potrzebowałam tej przechadzki, a potem weszłam tutaj. Pomyślałem, że zaczekam. Nie widzę smutku w twoich oczach.

– Nie. – Podeszła do niego i wtuliła się w jego ramiona. – Byłam u matki Marco i zrobiłam to, co należało zrobić. Powiedziałam, co powinnam powiedzieć. A kiedy stanęłam przed własną matką, dotarło do mnie, że w pewnym sensie te dwie kobiety są do siebie podobne. Obie takie zatwardziałe. Zrobiłam więc, co powinnam zrobić, powiedziałam matce, co miałam do powiedzenia. I jej wybaczyłam.

– Ach. – Z uśmiechem pogładził ją po głowie. – I ciężar zniknął.

– Zrobiłam to nie dla niej, ale dla siebie samej.

– Wybaczenie ma sens. – Ujął w dłonie jej twarz i delikatnie pocałował w policzki. – Teraz w twoim sercu jest więcej światła. Babcia się ucieszy i będzie z ciebie dumna. A co tym razem dałaś sobie wytatuować?

– Tutaj – dotknęła ramienia. – Jeszcze jest mały obrzęk. *Inion na Fae*.

Oczy rozbłysły mu w uśmiechu.

– Córka Fey.

– Jestem nią i myślę, że wybaczenie matce, pożegnanie się z nią oraz rozmowa z panią Olsen sprawiły, że to stało się bardziej rzeczywiste.

– Zawsze takie było.

– Zawołam taksówkę i wrócę do hotelu. Może wybierzesz się z nami na przyjęcie?

– Zabawa na pewno będzie przednia. Ale Marg czeka. Obawiała się, że możesz czuć się nieszczęśliwa. Muszę jej powiedzieć, że niepotrzebnie się martwiła. Poczekam z tobą na taksówkę, a potem poszukam któregoś z tych miejsc, gdzie sprzedają precele. One wybornie smakują.

*

Wpadła do hotelu. Drzwi między ich pokojami były otwarte, a Marco nerwowo krążył po apartamencie. Na jej łóżku czekała rozłożona suknia na przyjęcie, no i oczywiście Marco nie byłby sobą, gdyby nie dobrał do niej odpowiedniej bielizny.

– Wiem, wiem, przysłałaś wiadomość, że wszystko w porządku i że się spóźnisz, ale...

– Niepotrzebnie się martwiłeś. Zajęło mi to więcej czasu, niż się spodziewałam. A ty już się przebrałeś!

– Ustaliliśmy, że zjawimy się tam wcześniej i...

– Wiem, wiem. Zaraz będę gotowa.

– Musisz mi opowiedzieć, jak ci poszło z matką. Dawaj, dziewczyno!

– W porządku. Załatwione.

Nigdy mu nie powie, że była u jego matki.

Nie ma sensu.

Zgarnęła rzeczy z łóżka i pobiegła do łazienki.

– Powiedziałam jej wszystko tak, jak planowałam. Nic się nie zmieniło i nie zmieni. Pogodziłam się z tym. Przyznałam, że wiem, że się starała. – Breen mówiła głośno, żeby się przedrzeć przez szum wody z prysznica. – Dodałam, że krzywdziła mnie swoimi kłamstwami. Wiesz, takie tam ple, ple i że jej wybaczam.

– Oj, boli!

Roześmiała się.

– No, mogło ją zabołec. Właśnie tak miało być. Wybaczyłam, nie czuję urazy, kamień spadł mi z serca.

Wyszła spod prysznica. Dziś też ubierze się w tamtą zieloną suknię, prezent od Sally i Derricka.

Nie miała wątpliwości, że Marco specjalnie włożył szmaragdowozieloną koszulę pod długą skórzaną kamizelkę, którą dostał od Marg.

Czas ich gonił, więc nieco wsparła się magią, gdy robiła staranny makijaż. Nie chciała, żeby Marco suszył jej głowę. Założyła kolczyki od Trolli, bransoletkę od syreny i wyszła z łazienki.

– Breen, jestem z ciebie dumny.

– Bo wzięłam prysznic i przebrałam się w niecałe dziesięć minut?

– Dobrze wiesz dlaczego. Długo nie mogłem wybaczyć moim rodzicom i bratu. Wiem, ile to kosztuje. Ty uporałaś się z tym w niecały rok. Więc... O kurczę! Masz nowy tatuaż! Poszłaś tam beze mnie!

– Przepraszam, naprawdę przepraszam.

Przysiadła na łóżku, żeby włożyć pantofle.

– To była chwila. Szłam taka lekka i swobodna i nagle patrzę, salon tatuażu. Nie odpuściłam.

– Kurczę, też będę musiał sobie coś wydziarać?

– Nie.

– A co to znaczy? Nie umiem tego przetłumaczyć.

– Córnka Fey.

– Ha, jasne, rozumiem dlaczego. Jak to możliwe, że nie ma obrzęku i zaczerwienienia?

– Nadal trochę szczypie, ale idziemy na imprezę, więc... – Zamachała palcami.

– Słusznie. Oboje obłądnie wyglądamy.

Podniosła prezent.

– No to idziemy do naszej duchowej mamy.

Jak miło było znowu znaleźć się w barze, zobaczyć szaloną dekorację na cześć Sally. Dzieło Derricka, domyśliła się Breen. Przyszli wcześniej, na razie tylko parę stolików było zajętych. Stojąca za barem kobieta z krótkimi, kruczoczarnymi włosami, ogromnymi świetlistymi chabrowymi oczami w kształcie migdałów i wydatnymi kośćmi policzkowymi rozmawiała z jednym z garstki gości siedzących na hokerach.

Ona ma urodę wróżki, pomyślała Breen. Kobieta podniosła głowę i posłała im zapraszające spojrzenie.

Marco natychmiast znalazł się przy barze.

– Hej, Joey!

Mężczyzna przerwał rozmowę i zerwał się ze stołka.

– Marco, całe wieki cię nie widziałem. Wszyscy mówili, że ty... Breen! – Przygarnął ich oboje do siebie ramieniem. – Co za spotkanie? Ja stawiam. Hej, a to jest Meabh. Pochodzi stamtąd, gdzie was poniosło.

– Moja następczyni.

Skierowała na niego błyszczące oczy.

– Nikt nie jest w stanie zastąpić niesamowitego Marco. Cieszę się, że wreszcie mam okazję poznać was oboje.

– Meabh robi fantastycznego cosmopolitana – odezwał się Joey. – Mówię wam, istna magia.

– Nie wątpię. – Breen wyciągnęła do niej rękę. – Pozdrowienia z domu. Dziękuję – dodała półgłosem, gdy Marco i Joey byli zajęci rozmową. – Za wszystko, co robisz.

– Nie ma za co. Bardzo lubię wasze mieszkanie, a to miejsce, hmm, to mój drugi dom. Wszyscy są dla mnie jak rodzina, dobrze mi tu. To prawdziwy dar.

Breen popatrzyła na nią z uwagą. Zrozumiała, co Meabh ma na myśli.

– Zamierzasz tu zostać?

– Przynajmniej na jakiś czas. – Dotknęła ramienia Breen tuż pod nowym tatuażem. – Każdy z nas znajduje swoje miejsce.

– Później się napijemy – obiecał Marco Joeyowi. – Chcemy przywitać się z Sally, zanim impreza się rozkręci.

– Jest w swojej garderobie – powiedziała im Meabh. – Robi się na bóstwo.

– Wróć tu. – Marco wycelował w nią palec. – Liczymy na super cosmopolitany.

– Podejmuję wyzwanie, bracie.

Akurat gdy się odwrócili, Derrick wyłonił się z zaplecza.

– Nie do wiary. Nie mogę w to uwierzyć. – Przycisnęła obie dłonie do ust, oczy zaszkliły się łzami. – O kurczę! Niech wam się przyjrzą. Pokażcie się oboje.

Kiedy już mocno i serdecznie ich wyściskał, dotknął włosów Breen, pogładził kocią bródkę

Marco.

– Naprawdę jesteście tutaj. Nie wyobrażacie sobie, jak wasza obecność go uszczęśliwi. Jak długo zostanieie?

– Wpadliśmy na jeden dzień. Jutro wsiadamy w pociąg i jedziemy do Nowego Jorku na spotkania i stamtąd wracamy do siebie.

– Patrzcie państwo. – Znowu łzy zakręciły mu się w oczach. – Na spotkania w Nowym Jorku. Jak to brzmi! Nie wiem, co to jest – wskazał duży pakunek – ale nic nie ucieszy go bardziej od waszego widoku, choćby przez jeden wieczór.

– Nie mogliśmy przepuścić urodzin Sally. Ale – Marco poklepał paczkę – myślę, że to będzie hit.

– Chodźmy zobaczyć. Jezu, musicie nam wszystko opowiedzieć. A gdzie ten twój przystojny narzeczony, mój chłopcze?

– Tym razem nie mógł przyjechać. Ale obiecuję, że go tu przywiozę jeszcze przed ślubem.

– Nie zaczynaj z Sally gadki o ślubie. – Derrick przystanął przed garderobą. – Bo nie będzie końca. – Zapukał do drzwi. – Jak tam, skarbie, wyglądasz przyzwoicie?

– Mam nadzieję, że nie!

Derrick wsunął głowę do środka.

– Zobacz, co dla ciebie mam.

Sally z włosami ukrytymi pod czepkiem starannie przyklejał sztuczne rzęsy przed garderobianym lustrem z oświetleniem.

Gdy zobaczył w nim Breen, jego dłoń zastygła.

– No i proszę, diabli wezmą cały makijaż.

Rozdział 26

Uściski, łzy i jeszcze więcej uścisków.

Dom nie musi kojarzyć się z miejscem, pomyślała Breen, czasem jest to osoba.

– Idę po szampana. Nie otwierajcie prezentu, dopóki nie wrócę – ostrzegł Derrick.

– Ten facet dobrze mnie zna. – Sally z powrotem usiadł przed lustrem i ostrożnie osuszał oczy. –

Widok was obojga to najlepszy prezent urodzinowy w całej historii prezentów. Boże, moje kochane dzieciaki.

Kiedy kolejny raz łzy poleciały mu z oczu, Breen usiadła na podłodze i oparła głowę na jego kolanach, zupełnie jak Fąfel na jej nogach.

– Tęskniłam za tobą.

– A ja za tobą jeszcze bardziej. To co, zaręczyłaś się? Jest tutaj z tobą?

– Nie tym razem. Przylecieliśmy na bardzo krótko, ale obiecuję, że niedługo go poznasz. Jest cudowny, Sally. Bardzo go kocham.

– I znowu się rozczuliłem. Wyprawimy ci najwspanialsze wesele pod słońcem. Już mam gotowy pomysł. Fraki i białe muszki. Breen w złotej sukni. Widzę złoto, czerń i plamy bieli. Wszędzie białe kwiaty i...

– Pozwoliliście mu zacząć, tak? – Derrick wniósł na tacy już otwartego szampana w wiaderku z lodem i kieliszki.

– Na początku myślałem o tęczy. A potem uderzyła mnie elegancja połączenia złota i czerni. –

Sally szeroko gestykulował rękami. – I białe kwiaty. Niech on lepiej będzie ciebie wart.

– Mogę to potwierdzić. – Breen odebrała kieliszek od Derricka. – Sally, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

– Podpisuję się pod tym. A teraz zobaczmy, co tu mamy. Co mi przywieźli z dalekiej Irlandii.

– Najpierw otwórz to. – Breen podała mu podłużną szkatułkę. – Od babci.

– Ty... twoja babcia przysłała mi prezent urodzinowy? – Z niemal nabożnym szacunkiem otworzył kartkę.

Najdroższy Sally!

Tak wiele ofiarowałaś Breen, gdy ja nie mogłam. Żaden prezent nie dorównuje blaskiem darowi, jakim jest rodzina. Jesteście z Derrickiem rodziną Breen i Marco, a więc także i moją. Przesyłam Ci, matce serca Breen, ten skromny prezent razem z serdecznymi życzeniami urodzinowymi.

La breithe shona duit,

Marg

– Zanim skończymy, będę potrzebował całego pudła chusteczek. – Mrugał oczami, aż spadły mu łzy z rzęs, i wreszcie otworzył szkatułkę. – Och, jakie to piękne!

Wyjął srebrny łańcuszek z trzema zawieszonymi gwiazdami. Natychmiast pochwyciły światło z lamp toaletki i rozbłysły kolorami.

– Sama to dla ciebie zrobiła.

– Zrobiła?

– Babcia ma... wiele talentów.

– To widać. Przepiękna rzecz.

– Powiedziała, że jesteś gwiazdą, więc powinieneś dostać gwiazdy.

Wzruszony Sally znowu otarł łzy.

– Od dziś jestem zakochany w twojej babci.

– W takim razie jest nas dwóch. – Derrick wziął od niego ten łańcuszek słońca i obracał go w różne strony. – Skarbie, powiesimy te gwiazdy na oknie w sypialni, będziemy budzić się w ich blasku.

– Doskonale. Napiszę Marg liścik z podziękowaniem. Ale koniecznie jej powiedz, jak wiele jej prezent dla mnie znaczy.

Odstawił kieliszek i zaczął zdejmować papier z dużego pakunku.

– To ci trochę zajmie – uprzedził go Derrick. – Pamiętaj, że oni jutro jadą na spotkania do Nowego Jorku.

– Profesjonaliści. Jestem z was dumny. Zobaczcie, podwójne opakowanie. – Wskazał brązowy

papier pod spodem. – Nie moja wina, że trochę to trwa.

– Możesz go rozerwać, Sal. Weź się do roboty.

– Dobrze, tak jest. Nie znoszę przeżywać napięcia. – Naddał papier i znieruchomiał na widok fragmentu obrazu. – O Boże, co to jest?

– No, dalej, rozerwij do końca! – zawołała Breen, podskakując. – Ja też nie cierpię napięcia.

– Och, skarbie, to ty. Ty w bezkonkurencyjnym przebraniu Cher. Wyglądasz fantastycznie.

– Tak. – Sally głośno przełknęła ślinę. – To... Czy to dzieło Briana?

– Taak. Świetne, co? On ma wielki talent. Pomysł był Breen, ściągnęliśmy więc zdjęcie z netu, Brian nad nim popracował, a ja pomogłem zrobić ramę i proszę o wyrazy uznania.

– Szkatułkę i ramę wykonał ten sam rzemieślnik z pomocą Marco. Oboje chcieliśmy mieć udział w przygotowaniu prezentów.

Na obrazie Sally stał na scenie w świetle reflektora punktowego. Długie czarne włosy spływały mu na obcisłą brokatową suknię. W jednej ręce trzymał mikrofon, drugą miał wspartą na biodrze. Scena wokół jego stóp w czerwonych pantoflach na wysokich szpilkach była zasłana różami.

– Brakuje mi słów, a to naprawdę rzadko się zdarza. Marco, chyba ten Brian zasługuje na ciebie. Ten gość ma cholerny talent. To... jestem wzruszony, że wpadliście na ten pomysł, pomyśleliście o mnie. Że przebyliście taki kawał drogi, aby mi to dać i spędzić ze mną czas. Kocham was oboje bardziej niż... kolekcję moich butów od Louboutina.

– Jasny gwint. – Marco, śmiejąc się, puścił oko do Breen. – Pokonaliśmy jego bezcenne buty.

– To prezent także dla mnie – zaznaczył Derrick. – Powiesimy ten obraz w salonie. Dziś wieczorem umieścimy go na ścianie w barze, ale po imprezie wraca z nami do domu.

Sally kiwnął głową na zgodę.

– Wezmę go. A ty zajmij się makijażem. – Derrick nachylił się nad Sally i go pocałował. – Musisz zrobić efektowne wejście.

– Idę z tobą. Nowa dziewczyna obiecała mi drinka Cosmo.

– Jest niesamowita. Polubisz ją.

– Już polubiłem. – Marco pochylił się i cmoknął Sally w policzek. – Podoba mi się pomysł ze złotem, czernią i bielą.

– Mogę zostać i porozmawiać, kiedy będziesz się malował? – zapytała Breen.

– Jasne, wiesz, że tak. – Kiedy drzwi się zamknęły, Sally przekręcił się na obrotowym krześle w jej stronę. – To coś konkretnego czy nadrabianie zaległości?

– Jest kilka spraw.

Opowiedziała mu o rozmowie z matką Marco, a potem ze swoją. A kiedy skończyła, odłożył konturówkę do oczu i pokiwał głową.

– Dobrze zrobiłaś w obu przypadkach. Wiem, że czułaś żal i niechęć do rodziny Marco, w końcu możesz to wszystko odrzucić. Oni są, jacy są, i się nie zmieniają.

– Musiałam spróbować. Jemu jednak o tym nie powiem.

– On poszedł do przodu, już tego tak nie przeżywa. Gdybyś mu powiedziała, niepotrzebnie rozdrapałabyś stare rany. A co do twojej mamy...

Zrobił przerwę na kilka łyków szampana.

– Wiesz, kochana, odczuwanie złości bywa zdrowe. Natomiast dojście do punktu, kiedy możesz ją z siebie wyrzucić, jest oczyszczające. Owszem, przykro mi z powodu tych kobiet. W ogóle żal mi ich obu tych kobiet, chociaż jestem im wdzięczny, bo mam ciebie i mam Marco.

– Mówisz jak moja babcia.

– W takim razie to musiało zabrznieć mądrze jak cholera, bo czuję, że twoja babcia jest bardzo mądrą osobą. A co tutaj masz?

Breen ostrożnie potarła miejsce, które wskazał Sally.

– To znaczy Córka Fey. Fey są...

– Słońce, wiem, o co chodzi. Fey to tacy magiczni ludzie z krainy wróżek. To ma sens, skoro wybrałaś Irlandię na swój dom. Służy ci ta Irlandia. No, co tam jeszcze cię nurtuje?

– Chodzi o pieniądze. Przede wszystkim moja agentka uważa, że sprzeda moją powieść... już ją skończyłam, ona ją czyta i...

– Mój Boże, dziewczyno! Nalej jeszcze szampana.

– Jasne, tylko nie chcę za dużo o tym mówić, żeby nie zapeszyć.

– Fey. – Sally przewrócił mocno wymalowanymi oczami. – Jesteś przesądna.

– Ale wracając do pieniędzy...

Opowiedziała mu o fundacji, którą chce założyć z części odziedziczonych pieniędzy.

– To oczywiste, że ludzie, którzy siedzą w finansach, wiedzą, jak założyć fundację, a potem ją prowadzić. Pomyślałam, że ty i Derrick... znacie się na sprawach finansowych i biznesie. Może... mogliście nam pomóc. Podobno musimy mieć zarząd, zwoływać zebrania.... Moglibyśmy to robić na Zoomie. Marco i ja, ty i Derrick, o ile byście się zgodzili.

– Breen. – Sally wychylił się i uściśnął jej dłoń. – To dla nas zaszczyt. Nie znałem twojego taty, szkoda, że nie mieliśmy okazji się poznać. Ale idę o zakład, że byłby ciebie dumny.

– To, co dla mnie zrobił, odmieniło moje życie. Dzięki, Sally, wielkie dzięki. Nabieram jakby więcej entuzjazmu do tego pomysłu. Nie, nie jakby – poprawiła się. – Czuję ogromny entuzjazm. Bo wiem, że gdy ty i Derrick nam pomożecie, to na pewno się uda.

– Umowa stoi. – Pociągnął usta szminką. – A jak tam sprawy z seksownym Irlandczykiem?

– Jak sprawy? – Zaśmiała się. – Tak połowicznie jesteśmy ze sobą.

Oczy Sally zwały się w lustrze.

– A co to, do diabła, znaczy?

– Dokładnie to. Jest w porządku. I tak na razie wystarczy.

– Kochasz go?

Jak dotąd nikt jej o to nie pytał. Sally ją zaskoczył.

– Tak – odpowiedziała bez namysłu. – O Boże! – Przycisnęła dłoń do brzucha. – Kocham. Ha, wiedziałam. Nie jestem głupia, ale nigdy nie powiedziałam tego głośno.

– A on cię kocha?

– Nie jestem pewna. Dbą o mnie i żadne z nas nie romansuje na boku, odkąd między nami się zaczęło. Jest wobec mnie uczciwy i to się liczy. Traktuje Marco jak brata, bo uważa go za brata, i to też ma znaczenie.

– Jesteś szczęśliwa.

– Jestem.

– I to się liczy.

Później, gdy patrzyła na Sally na scenie, gdy śpiewał na cały głos przeboje Cher przy entuzjastycznym aplauzie publiczności, gdy pomagała rozstrzygnąć konkurs na mieszanie drinków Cosmo (zdecydowany remis), gdy tańczyła z Derrickiem, w jej głowie krystalizował się pewien pomysł.

Rano w pociągu, gdy Marco siedział z nosem przyklejonym do szyby, w oczekiwaniu na pierwsze widoki Nowego Jorku, postanowiła się podzielić z nim tym pomysłem.

– Coś postanowiłam i chcę usłyszeć twoje zdanie.

– Jasne. Superowy wieczór, co? A przed nami kolejne atrakcje. Zostawimy bagaże i ruszemy w miasto, dziewczyno. Sprawdziłem prognozę pogody. Słonecznie, prawie szesnaście stopni, więc całkiem nieźle.

– Zamierzam powiedzieć Sally i Derrickowi.

– O pogodzie?

– Marco, skup się.

– Przepraszam. Co? – Niechętnie oderwał się od okna.

– Chcę ich zaprosić, ale potem, jak już będzie po wszystkim. – O ile będę żyła, dodała w myślach, choć nie powiedziała tego na głos... – Chcę, żeby przyjechali. Może jesienią, może nawet na twoje wesele. To pierwsze wesele.

– Będzie w Talamh, u Briana... – Nareszcie do niego dotarło. Chwycił jej obie dłonie. – Poważnie?

– Źle się czuję, nic im nie mówiąc. Jakbym ich okłamywała. Właściwie to jest kłamstwo. Oni są naszą rodziną. Ta myśl chyba mi zaświtała, kiedy wracałam od matki, choć zdecydowałam dopiero wieczorem. Jeżeli uważasz, że to zły pomysł, powiedz mi.

Marco zamknął oczy i westchnął z wyraźną ulgą.

– To mnie cały czas uwiera. Źle się z tym czuję za każdym razem, kiedy z nimi rozmawiamy, gdy przedstawiłem im Briana na FaceTimie. Chcę, żeby naprawdę go poznali, jego rodzinę, babcię i w ogóle wszystkich. Decyzja należy do ciebie.

– Nie tylko. Muszę porozmawiać z Keeganem. On nie jest tylko facetem, z którym sypiam. To *taoiseach*. Może uznać, że to przesada. Niemniej postaram się przedstawić mu mocne argumenty.

– Będę cię wspierał. Uff, ulżyło mi. Ale kiedy będziesz im wszystko opowiadała i pokazywała, to nie przesadzaj z, no wiesz... – Zamachał rękami i wydał odgłos naśladujący wybuch.

– To oczywiste.

– Super. Hej, czyli umowa o dwóch weselach pozostaje aktualna?

– To też oczywiste. Bardziej zależy mi na złotej sukni niż na oglądaniu ciebie we fraku i białej muszce. Aha, dojeżdżamy do Nowego Jorku.

To będzie równie podniecający pobyt jak tamten pierwszy, pomyślała, a może nawet bardziej, bo fascynacja Marco bywała zaraźliwa.

Zarezerwowała ten sam hotel co wtedy, tylko tym razem była bardziej rozrzutna.

Marco z takim samym zachwytem podziwiał nieduży, przytulny apartament z dwoma sypialniami co widok z okien.

– Dziewczyno, ale bajer!

– Spędzimy tutaj dwie doby. Przynajmniej będziemy mieli gdzie odpocząć po powrocie z miasta.

Umebłowanie salonu stanowiła kanapa zarzucona poduszkami, dwa designerskie fotele i niski podłużny stolik kawowy. Na stoliku czekała patera z różnymi owocami oraz powitalna butelka czerwonego wina i dwa kieliszki.

Panoramiczne okna wychodziły na centrum Nowego Jorku. Breen jeszcze przed wyjazdem sprawdziła w internecie wyposażenie oferowane przez hotel.

Wzięła pilota do telewizora.

– A zobacz to – skierowała go w stronę dużego lustra naprzeciwko kanapy. Lustro zmieniło się w ekran.

– No, to ja rozumiem! – Zachwycony, zadarł głowę i wznosił wysoko ramiona. – Technika! Wracam do świata! Muszę mieć coś takiego u siebie. Jak wrócimy do chaty, sprawię sobie taki bajer. – Okręcił się. – Muszę nastrzelać dużo fotek dla Briana. Wszystko obfotografuję. Nakręcimy filmik. Jak siedzę na kanapie, na jednym z tych foteli, a potem jak padam na łóżko w mojej sypialni i tańczę pod prysznicem. Później zrobimy sesję w twojej sypialni. Teraz powinniśmy wyjść do miasta.

– Pójdę się rozpakować. – Wycelowała w niego palec. – Mamy cały dzień, ale musimy tak wrócić, żeby zdążyć się przebrać przed wpół do szóstej.

– No to szybko się rozpakuj i ruszamy ostro w miasto. A co ma być o wpół do szóstej?

– Mamy zarezerwowany stolik na kolację przed spektaklem.

– Co?! Wykwintna kolacja? Teatr? Idziemy na jakieś przedstawienie?

– Och, Marco, nie jakieś. – Sięgnęła do torby, wyjęła kopertę. – Tu mam dwa bilety – parter, trzeci rząd, środkowe miejsca – na... orkiestra tusz! Wznowienie *Klatki szaleńców*!

Marco opadł na jeden z foteli.

– Jaja sobie ze mnie robisz, dziewczyno.

– Carlee pomogła mi je załatwić. Jak mogłabym przyjechać do Nowego Jorku z moim przyjacielem gejem i nie zdobyć biletów na *Klatkę szaleńców*?

Zerwał się z fotela, chwycił ją w ramiona i wirując po salonie, odtńczył z nią wariacki taniec.

– Jest coraz lepiej. Dziękuję ci. Ubóstwiam cię. Kurczę blade, obejrzymy *Klatkę szaleńców* na pieprzonym Broadwayu!

Wyściskał ją i wycałował roześmianą.

– Leć się rozpakować, bo zamierzam się odwdzińczyć. Twój gejowski najlepszy przyjaciel pomoże ci znaleźć idealne ciuchy na jutro.

– Dziesięć minut – obiecała, skracając do swojej sypialni. – Ciuchy? To liczba mnoga.

– Czeka cię biznesowy lunch i biznesowa kolacja. Dwie okazje.

– Ale ja przywiozłam...

– Ech! – Machnął ręką. – Nie zmuszaj mnie do zrobienia tej zagrzebiście poważnej miny – ostrzegł ją i śpiewając *Downtown*, zniknął w swojej sypialni.

Breen odkryła, że Marco to żywioł, którego nie da się powstrzymać czy choćby wyhamować. Zmuszał ją do biegania po sklepach i wdawał się w dyskusje ze sprzedawcami, którzy natychmiast ulegali jego urokowi. Robił niezliczone zdjęcia i filmy na ulicach, rozmawiał z ulicznymi handlarzami jak z dawno niewidzianymi przyjaciółmi. Nalegał, żeby pojechali metrem do ścisłego centrum, bo zamierzał przespacerować się z nią po Piątej Alei tak jak Fred Astaire z Judy Garland.

Z takim samym zapałem wciągał ją do sklepów z pamiątkami i butików, a przerwę zrobił tylko po to, aby usiąść i zjeść nowojorską pizzę, obowiązkową pozycję na jego bardzo długiej liście. Pizzę ocenił jako wyjątkową.

Breen dała się uwieść jego czarowi, przesadziła z zakupami i przeżyła jeden z najlepszych dni w swoim życiu.

A zakończyli ten dzień wieczorem dedykowanym dla Marco. Kolacja przy świecach, butelka

dobrego wina i jedzenie serwowane z dyskretnym, eleganckim wdziękiem.

Dla nich obojga to kolejna odsłona świata, pomyślała. Świata, w którym żadne z nich nie miałyby ochoty spędzić wiele czasu, ale wręcz idealnego na jeden dzień i jedną noc.

Kiedy Marco sięgnął po rachunek, przycisnęła jego dłoń do blatu stolika.

– Nie, ja stawiam.

– Nie ma mowy. Dałaś mi Nowy Jork. Dałaś Irlandię i Talamh. Dałaś mi Briana. Dzięki tobie tworzę książkę kucharską i jutro podpisuję umowę z agentką. Fundujesz mi Broadway, więc nie zmuszaj mnie, Breen, żebym w tym wypasionym miejscu zrobił moją zagrzebiście poważną minę. Funduję mojej najlepszej przyjaciółce i pierwszej miłości mojego życia kolację w Nowym Jorku.

Cofnęła rękę.

– Dziękuję, Marco.

Uśmiechnął się promiennie, wyjmując kartę kredytową.

– Miło się wydaje dolary, gdy mieszka się za friko. W życiu nie spodziewałem się, że będę mógł coś takiego robić. Cholernie przyjemne uczucie. To nie jest nasze życie i dzięki temu jest takie wyjątkowe.

– Nasze życie to tamto, do którego wrócimy, czy to jest to, czego chcesz?

– Któregoś dnia przywiozę tutaj Briana i chcę zobaczyć wiele innych miejsc – tak jak zawsze o tym marzyliśmy. Chcę taki niesamowity telewizor, który zmienia się w lustro. Najważniejsze, że mam ciebie, kogoś, kto mnie kocha i chce ze mną stworzyć dom. Niczego więcej nigdy bardziej nie pragnęłam.

Pomysł z musicalem okazał się niezwykle trafny. Straciła rachubę, ile razy Marco zerkał się na nią z zachwytem w oczach. Jest wiele rodzajów magii w różnych światach, pomyślała. Ten akurat czarował kolorami, radością, głosami i ruchem. Jeszcze kiedyś zajrzy do niego, jeżeli będzie mogła, i znowu da się porwać tej magii.

A gdy bardzo późno padła na łóżko, bo sącząc wino, długo rozmawiali o tym dniu, wieczorze i musicalu, zabrała tę magię ze sobą.

Rano Marco wynurzył się z sypialni i zastał Breen przy serwisowym stoliku.

– Kawa! – Ruszył prosto do dzbanka. – Zamówiłaś śniadanie? Myślałam, że wyskoczymy do miasta, zajrzemy do tutejszych delikatesów.

– Tylko bajgle. O wpół do drugiej mamy lunch, a jest po dziesiątej.

– Nie mów mi, że wstałaś o świcie i pracowałaś.

– Nawyk. Muszę z tobą porozmawiać.

– Jasne. Możemy, tak jak wspomniałaś, pójść pieszo do agencji. Poznam Carlee osobiście, a potem... – Wzdrygnął się. – Porozmawiam z Yvonne o książce kucharskiej. Aż boję się o tym myśleć. Potem udam się w stronę wydawnictwa, pokręcę się po okolicy i w końcu wszyscy spotkamy się na lunchu. Nie mogę się doczekać, żeby poznać ekipę z działu public relations oraz Melissę z marketingu. Hej, naprawdę dobra kawa!

– Marco, przed godziną dzwoniła Carlee.

– Taak? – Podniósł pokrywę z podgrzewanego naczynia z bajglami. – Och, jagody? Fajnie. – Podniósł wzrok. – Kurczę, coś nie wyszło? Odwołuje spotkanie?

– Nie, Marco...

– To dlaczego masz taką minę? Czemu się marszczysz?

– Wcale się nie marszczę. Carlee powiedziała, że przed telefonem do mnie skończyła rozmowę z Adrianą.

– Redaktor naczelna?

– No i oni, Marco... złożyli ofertę na moją książkę.

– Słodki Jezu! – Podskoczył z radości. – Mimozy! Już teraz!

– Nie, Marco, nie. Zaczekaj.

Kiedy zacisnęła powieki, opadł na krzesło naprzeciwko niej.

– Oferta do dupy? Dobra, oferta do dupy jest nadal ofertą, co nie?

– Nie, nie jest do dupy. Carlee twierdzi, że jest w porządku, ale... Dobra, daj mi minutę. Powiedziała, że według niej mogłaby być wyższa i przedstawiła mi trzy propozycje.

– Zamieniam się w słuch.

– Przesprzedaż przygód Fafla idzie całkiem dobrze. Lepiej, niż się spodziewała. W dużej mierze dzięki twojej aktywności w mediach społecznościowych. To jej słowa.

– No dobra, niech to będzie mój wkład.

– Według Carlee możemy odrzucić ofertę, dać im czas na przemyślenie. A wracając do wyborów.

Pierwszy to po prostu przyjąć ofertę. Wiesz, lepszy wróbel w garści, a to piekielnie dobry wróbel, Marco. Wydaliby moją książkę i to jest... ledwie mogę oddychać, myśląc o tym.

– Całkiem miarowo oddychasz. Jak podejrzewam, drugim wyborem jest zostawienie wolnej ręki agentce, niech robi swoje, zgadza się?

– W zasadzie tak. Wspomniała o prawach zależnych i procentach. W każdym razie to możliwość numer dwa. Trzecie wyjście to pozwolić jej rozesłać książkę do innych wydawców. Uważa, że jeżeli będzie zainteresowanie, uda się jej wynegocjować lepsze warunki.

– A teraz mi powiedz, czego chce Breen.

– Zobaczyć wydaną książkę.

– To jasne i tak będzie. Jaka decyzja?

– Mogę wziąć tę ofertę i sprawa zamknięta. To większa kwota, niż mi się śniło. Nie zapytałeś jeszcze, ile proponują.

– Dojdziemy do tego, bo to nie najważniejsze.

Znowu zamknęła oczy. Jak on ją dobrze rozumiał. To oczywiste, przecież ją znał.

– Jeżeli Carlee zacznie się rozglądać, może znaleźć większe, silniejsze wydawnictwo. Ale...

– Wybór numer dwa, bo ufasz, że dobrze robi swoją robotę, znasz wydawczynię i ludzi z McNeal-Day. Nawiązałaś kontakty.

– To jak wkładanie wszystkich jajek do jednego koszyka.

– Co w tym złego, jeżeli czujesz, że w tym koszyku jajka będą dobrze się miały?

– Tak właśnie czuję. Carlee ostrzegła, że mam się kierować nie emocjami, tylko rozumem. Muszę szybko podjąć decyzję, bo dzisiaj mamy te spotkania. Dlatego Adriana z samego rana zadzwoniła z ofertą, wiem, nie powinnam ulegać presji. Od godziny usiłuję to wszystko przemyśleć, błysnąć inteligencją, ale ja tylko jedno mam w głowie – ktoś chce wydać moją książkę.

– To cholernie dobra powieść. A ja teraz zamierzam usiąść, spokojnie zjeść bajgla, napić się kawy, bo i tak wiem, co zrobisz. Pozwolisz Carlee zająć się jej robotą. Może coś zaproponuje.

– Chyba tak zrobię. Tak, bez dwóch zdań. A jeśli nie wyjdzie, przyjmuję tę ofertę. Chcę mieć wszystkie jajka w tym koszyku.

Poklepał telefon leżący obok talerza.

– No już, oddzwon do niej. Nie dostaniesz bajgla, dopóki tego nie zrobisz.

– Tak jest, masz rację. Może dzisiaj nie usłyszymy nic konkretnego, ale nie będziemy czuć się skrępowani na lunchu czy w trakcie kolacji.

– Niby czemu mielibyśmy czuć się skrępowani? – Wzruszył ramionami. – To tylko biznes, dziewczyno.

Tylko biznes, powtórzyła w myślach, ubierając się w Zestaw Wybrany przez Marco.

Wciąż trochę oszołomiona, włożyła ciemnopopielatą ołówkową spódnicę sięgającą nieco powyżej kolan i obszerny golf w odcieniu bladoszarych chmur. Dodała wiszące kolczyki z małymi kamykami, które Marco pomógł jej zrobić na Boże Narodzenie. Kamyki też wybrał, podobno miały sprzyjać pisaniu. Na koniec włożyła czerwone botki do kostek na niskich cienkich obcasach, bo jak stwierdził Marco, każdy powinien mieć choć jedną parę czerwonych butów.

Nie bardzo wiedziała, co zrobić z włosami, zostawiła je więc tak jak były, za to poświęciła więcej czasu na makijaż, bo trochę drżały jej ręce.

Marco zapukał do otwartych drzwi.

– No proszę! Wiedziałem! Żaden tam garnitur. Masz ten nowojorski sznyt, dziewczyno. Świetnie ci to wyszło.

– A ty jak się wystroiłeś.

Miał na sobie intensywnie różową koszulę z czarnym krawatem w różowe flamingi, czarne spodnie, skórzaną bomberkę oraz jaskraworóżowe trampki.

Wyglądał zabójczo.

– Marco. – Podeszła i ujęła jego twarz w dłonie. – Naprawdę to robimy. Ty i ja. Cokolwiek wydarzy się dziś, jutro czy w kolejnych dniach, naprawdę to robimy. Ty i ja.

– Zawsze jestem z tobą, a ty ze mną. Chodźmy olśnić tych ludzi z wydawnictwa.

– Denerwujesz się? – spytała, kiedy szli do windy.

– Widzisz mój ubiór? Zauważyłaś, jak świetnie się w nim prezentuję? Ktoś, kto tak wygląda, nie ma powodu się denerwować.

Podczas krótkiego spaceru do agencji Marco wpadł do kwaciarni i kupił dwa bukiety. Breen kochała go za to, a jeszcze bardziej go pokochała, gdy po wejściu do gabinetu Carlee wręczył jej kwiaty.

– Psujesz mnie, Marco. Dziękuję i cieszę się, że wreszcie mam okazję poznać cię osobiście.
– To wyrazy wdzięczności dla osoby, która opiekuje się moją najlepszą dziewczyną.
– Jest niekłopotliwa.
– I podziękowanie za pomoc w zdobyciu tych biletów. Przedstawienie było naprawdę niesamowite.
– Cieszę się, muszę też obejrzeć ten musical. Te bilety to właściwe zasługa Lee.
– Och, w takim razie...
Kiedy udał, że chce zabrać kwiaty z powrotem, Carlee się roześmiała.
– Będziemy nimi się dzielić. Lee wstawi bukiet do wazonu, a potem pójdziecie z nią poznać się z Yvonne. Najpierw usiądźmy. Lee, dasz nam dziesięć minut?
– Naturalnie. – Asystentka wzięła kwiaty i dyskretnie zniknęła.
Carlee usiadła przy zarzuconym papierami biurku. Breen patrzyła na tę kobietę w czarnych dopasowanych spodniach, w śnieżnobiałej bluzce, z fryzurą „na chłopaka” z kolorowymi pasemkami i przypomniał się jej dzień, gdy pierwszy raz znalazła się w jej gabinecie.
Wszystko niby tak samo, a jednak zupełnie inaczej.
– Ja wam się podoba Nowy Jork?
– Uwielbiam go. Wczoraj Breen nieźle się nachodziła przeze mnie.
– Spora odmiana w porównaniu z mieszkaniem w Irlandii. Są takie dni, kiedy zazdroszczę wam takiego spokojnego życia. Ono wyraźnie wam obojgu służy. Słyszałam Marco, że się zaręczyłeś. A więc gratulacje i życzenia wszystkiego najlepszego.
– Chcesz zobaczyć zdjęcie?
Carlee się zaśmiała.
– Czemu nie?
Wyjął telefon i poszukał selfie, które zrobił z Brianem na tle zatoki.
– Dobry Boże, serce może stanąć na widok takiej kumulacji męskiej urody. On jest prawie tak przystojny jak ty. Mam nadzieję, że następnym razem zabierzesz go ze sobą.
– Taki jest plan.
Schował telefon i usiadł.
– Skontaktowałam się z Adrianą w sprawie naszej kontrpropozycji – Carlee zwróciła się do Breen.
– A ona przekazała to wyżej. Dostałam od niej odpowiedź, akurat gdy wychodziliście z hotelu. Jest akceptacja. Mamy umowę.
– Przepraszam, możesz jaśniej?
– Zgodzili się na warunki, o których rozmawialiśmy, a z szybkiej odpowiedzi można wnioskować, że spodziewali się kontrpropozycji. Mamy umowę, oczywiście, jeśli ci odpowiada.
Breen opuściła nisko głowę.
Carlee zerwała się z krzesła, ale Marco uspokoił ją gestem ręki.
– Nic jej nie jest. – Pogładził Breen po plecach.
– Przyniosę wody.
– Spokojnie. Daj jej chwilę. Breen, tylko nie płacz, rozmażesz makijaż, a starannie pomalowałaś oczy. Ona za minutę powie „tak” i podziękuje – zapewnił agentkę.
– Nie spodziewałam się takiej reakcji – wyznała Carlee.
– Przepraszam. – Breen powoli się wyprostowała. – Przepraszam.
– Nie przepraszaj. Fakt, zaskoczyłaś mnie, ale to chyba najbardziej oryginalna reakcja. Zdecydowanie mieści się w pierwszej trójce. Chcesz wody?
– Nie, dziękuję. Już dobrze. I dziękuję za umowę. Dziękuję, to za mało. Spełniłaś moje marzenie.
– To nie ja napisałam książkę.
– Ale w nią wierzyłaś. I we mnie. – Breen przeniosła spojrzenie na Marco. – To bardzo wiele znaczy, gdy ktoś w ciebie wierzy. – Wzięła przyjaciela za rękę. – Tak jak ja wierzę w ciebie. Teraz ty porozmawiaj o książce kucharskiej ze swoją agentką.
– Mam agentkę. – Uśmiechnął się do Carlee, podnosząc się z krzesła. – No cóż, muszę jeszcze złożyć podpis w wykropkowanym miejscu na umowie, ale już mam agentkę.
– Jesteśmy zachwyceni, że do nas trafiłeś.

*

Breen poruszałyby się jak we śnie cały dzień, gdyby wokół niej tyle się nie działo. Toasty w czasie lunchu; za nią, za Marco, za Fafla. Rozmowy wydawnicze wirujące w jej głowie jak sny. Potem uro-

czysta kolacja, entuzjastyczna reakcja redaktorki na nową książkę, delikatne sugestie dotyczące kilku zmian i pytanie, którego się nie spodziewała. Czy zastanawiała się nad kontynuacją?

– Właściwie mam pewnie pomysł.

Adriana przychyliła się do niej nad stolikiem.

– Powiedz mi, że główny wątek będzie dotyczył Finna. On nie pasował do Mili, jasno to dałaś do zrozumienia. Chociaż ja szczerze go polubiłam.

– Prawdę mówiąc, chodzi mi po głowie pewna myśl, ale spróbuję ją rozwinąć, dopiero gdy skończę drugą część przygód Fąfla.

– Możesz uchylić rąbka tajemnicy?

– Kontynuacja, a więc głównie te same postaci i kilka nowych. Fabuła skupia się wokół bardzo wiekowej wiedźmy, która mieszka w głębi lasu razem ze swoimi kotami.

– To dobra czy zła wiedźma?

– No właśnie, na tym polega problem, Finn musi sam do tego dojść.

Dam radę, myślała Breen, wracając z Marco do hotelu w ten kwietniowy wieczór, wypełniony gwarem i ruchem. Napisze kontynuację. Potrzebuje tylko odwagi, żeby się do tego zabrać. Odwagi i czasu.

A jej najlepszy kumpel, Boże drogi, będzie pisał książkę kucharską!

– Muszę cię o coś zapytać.

– Teraz? – Breen zadarła głowę ku niebu. – Dzisiaj na wszystko odpowiem: tak. Bo jestem w szampańskim humorze.

– To świetnie, ponieważ Yvonne – no, wiesz, moja agentka...

Dumnie uniósł ramiona, a Breen parsknęła śmiechem.

– Tak, chyba ją dziś poznaliśmy.

– A więc, moja agentka, kobieta, która, jak pewnie zauważyłaś, ma głowę nie od parady i wiele pomysłów, zasugerowała, że mogłabyś napisać wstęp do mojej książki.

Zatrzymała się na środku chodnika.

– Wstęp do twojej książki kucharskiej? – Podskoczyła i wspięła się na palce. – O kurczę, to będzie dla mnie duża frajda. Tak, tak, tak! Och, Marco, muszę to jeszcze raz powiedzieć. Tylko popatrz na nas!

– No, jest co oglądać.

Porwał ją w ramiona i przetańczył z nią pół kwartału.

*

Wymeldowali się z hotelu przed świtem i pojechali metrem do Central Parku. Spisała wskazówki, mimo że miała je też wyryte w pamięci. Kierowała się nimi, gdy szli, ciągnąc walizki na kółkach i targa-
jąc torby z zakupami.

– Jak wiesz, samoloty latają.

– Może następnym razem – mruknęła pod nosem trochę spięta, bo wędrówka przez ciemny park nie należała do przyjemnych.

A potem go zobaczyła: zamek, na skałach, które miały się rozstać, żeby mogli się przenieść do Talamh.

Z mroku wyłonił się Sedric.

– Cholera, o mało nie dostałem zawału!

– Ech, masz na to zbyt mocne serce. Jak na razie nikt się tutaj nie kręci, ale bądźmy cicho i się pospieszmy.

– Jak koty – podsumowała Breen z niepewnym uśmiechem. – Przepraszamy za te wszystkie pakunki.

– To nie problem. Podajcie mi kilka i weźcie się za ręce.

Wykrzesał iskry, które rozlała się w światło skierowane na skalistą podstawę zamku.

– Cicho i szybko – przypomniał.

Marco, ściskając dłoń Breen, przeszedł razem z nią na drugą stronę, prosto na słoneczny dzień i w balsamiczne powietrze Talamh.

– Marco, jak tam? – upewniła się.

– Nie najgorzej. Trochę kręci mi się w głowie. Na chwilę przycupnę na tym murku. – Usiadł odwrócony plecami do farmy. – Hej, Sedricu, dostaniesz upominek.

– Teraz, tutaj?

– Pamiątki dla wszystkich. Jeszcze mi świat wiruje.

Breen z ręką na jego ramieniu rozejrzała się dokoła. Harken z Moreną pracowali na polu. Boy pasł się na łące z innymi końmi. Smok z jeźdźcem bezszelestnie przeleciał nad ich głowami.

Fąfel, radośnie szczekając, już pędził drogą.

Breen wybiegła mu naprzeciw i przykucnęła z szeroko otwartymi ramionami, a gdy pies wpadł w nie z impetem, przewracając ją na ziemię, parsknęła śmiechem.

Rozdział 27

Przechodziła przez portale, a raczej przeciągała ją przez nie ta bezużyteczna Yseult. Przez jeden, drugi, trzeci. Po każdym takim wysiłku coraz gorzej się czuła.

Na światy, przez które się przeprowały, mimo że długo w nich nie bawiły, Shana patrzyła z pogardą. Jeden, gęsto zarośnięty dzikim winem, cuchnął szlamem, w drugim oślepiało jaskrawe światło. A w świecie ludzi pośród skalistych szczytów hulały porywiste wiatry.

To tam ta zdzira Yseult ją zostawiła ze szpiegiem o odpychającej twarzy, który, jak to robią ludzie, wiozł ją trzęsącym się i pojękującym samochodem, potem we mgle płynął z nią łodzią, na brzegu ponownie wsadził ją do samochodu i jechał wijącymi się drogami, które zdawały się nie mieć końca.

Zostawił ją we wsi, gdzie było jeszcze więcej śmierdzących samochodów, a ludzie, którzy tam się kręcili, już za sam wygląd zasługiwali na spalenie. Śmiałyby się do łez, patrząc na ich prochy rozrzucone przez wiatr.

Od tego miejsca miała poruszać się pieszo. Och, któregoś dnia poderżnie gardło Yseult, a psy będą chleptać jej krew. Już nie była chora, właściwie w życiu nie czuła się taka silna i z każdym krokiem rosła jej złość.

Ktoś, kto dysponuje prawdziwą mocą, błyskawicznie przeniósłby ją tam, gdzie miała się znaleźć. Coraz bardziej znudzona, wędrowała cztery dni i trzy noce, na zmianę drżąc z zimna i pocąc się z gorąca. Ani razu nie zadała sobie pytania, dlaczego Odran, wielbiony przez nią bóg, sam jej nie przeniósł, tylko zlecił to zadanie Yseult.

Nie poświęciła ani jednej myśli dziecku, za to dobrze pamiętała każdy moment tamtego potwor-nego cierpienia.

Odran, pojąc ją musującym winem i karmiąc najszlachetniejszym mięsiwem, szeptał jej do ucha, że to wszystko przez Keegana O'Broina. *Taoiseach* nasłał na nią tamten rozdzierający ból i z podłej zazdrości zniszczył syna, którego powiła Odranowi. A ten zapewniał ją, że w tym, co się stało, nie ma jej winy. Całą winę ponosi ten zdrajca Keegan O'Broin, jej oprawca, który zamiast niej wybrał skundloną dziwkę z tamtego świata.

Dlatego Odran dał jej sztylet wyczarowany z trucizny. Najmniejsze skaleczenie, nawet draśnięcie jego ostrzem jest śmiertelne. Dla zabawy wypróbowała go na Beryl, swojej osobistej niewolnicy, i ze śmiechem patrzyła, jak dziewczyna kona, dusząc się własną krwią.

Według Shany ten sztylet został wykonany z czystego złota, rękojeść miał wysadzaną drogimi kamieniami. Niestety, to obłąd mącił wzrok kobiety, bo w rzeczywistości ostrze było czarne i zdeformowane jak jej umysł. Jak jej serce.

Zabije *taoiseacha* i wywoła panikę w Talamh. W chaosie okrzyków rozpacz, płaczu i żalonych jęków Odran nadleci na skrzydlatym koniu. Zanim ją wysłał, obiecał, że włoży na jej głowę złotą koronę inkrustowaną klejnotami. Potem razem wszystko spalą.

Zrobi z rudowłosej dziwki Yseult osobistą niewolnicę. A ona sama, Shana, będzie siedziała na złotym tronie i jako bogini rządziła razem z bogiem.

Chciała dostać złotą koronę z migotliwymi klejnotami, chciała mieć złoty tron. Chciała zrobić niewolnicę z rudej dziwki, która poparzyła jej dłoń. Chciała zanurzyć sztylet w ciele Keegana i patrzeć, jak kona u jej stóp jak tamta niewolnica.

Szła z ustami wygiętymi w nienawistnym uśmiechu. Mijani ludzie schodzili jej z drogi, bo już na sam widok tej postaci przebiegał ich dreszcz. Nikt nie odzywał się do niej, rodzice brali dzieci na ręce i pospiesznie się oddalali.

Zrób to dla mnie, moja piękna, a spełni się każde twoje pragnienie. Jego głos rozbrzmiewał w jej chorym umyśle, tak samo jak wtedy, gdy ją poił musującym winem. Winem, które było jego krwią. Sączyła tę krew drobnymi łyżkami jak wino, żeby na powrót odzyskać siły. Ta krew nigdy nie była winem i zgasiła resztkę światła, która jeszcze w niej się tliła.

Idąc, mamrotała pod nosem, a czasem śmiała się na głos, i już widziała siebie, jak posuwistym krokiem sunie przez komnaty w jednej ze swoich pięknych sukien zdobionych klejnotami i wreszcie zasiada na złotym tronie.

Jej włosy straciły połysk, matowe i skołtunione opadały na plecy. Oczy pozbawione blasku zapadły się w twarzy, na której nie było śladu dawnej urody. Jednak w swoim chorym umyśle i we wszystkich lustrach w świecie Odrana widziała siebie jeszcze piękniejszą niż wcześniej.

Gdy weszła w las, poczuła się lekka jak piórko i silna jak koń pociągowy. Dla zabawy biegła od drzewa do drzewa i wtapiała się w pnie. Ale to było tylko złudzenie, bo ciało, które w swojej wyobraźni

miała gibkie i sprężyste, po ciąży i porodzie dziecka, któremu nie poświęciła ani jednej myśli, stało się zwiotczałe i obwisłe.

Szła szybkim krokiem, jednak jej ruchom brakowało dawnej zwinności.

Dostrzegła chatę za rzędem drzew obwieszonych migotliwymi dzwoneczkami wietrznymi. Gdy z zaciśniętymi zębami i żądzą mordy pulsującą we krwi ruszyła między drzewa, odrzucił ją potężny wstrząs. Zatoczyła się i upadła, z wściekłości tłukąc pięściami o ziemię.

Zobaczyła ogród i przyrzekła sobie, że wdepcze młode rośliny w grunt, powyrywa wszystkie kwiaty, podłoży ogień pod strzechę i będzie tańczyć, patrząc, jak płonie chata, którą Marg wniosła dla skundlonej dziwki.

A potem wymorduje wszystkich złotym sztyletem.

Ktoś się zbliżał; nadal miała elfi słuch. Podczołgała się do skały i wtopiła się w nią.

*

Zdaży, myślał Keegan, wchodząc w irlandzki las. Minie trochę czasu, nim Breen wróci, a od jej wyjazdu nie spadła nawet kropla deszczu.

Musi podlać ten przeklęty ogród i kwiaty w donicach. Nie miał na to czasu – no dobra, chrzanić to – tak naprawdę przez trzy ani razu o tym nie pomyślał. Mógł poprosić Seamusa, on z radością zadbałby o rośliny. Ale czyż nie obiecał, że się tym zajmie? Sam sobie winien.

Pierwszą noc spędził w chacie, drugą w Stolicy, a trzecią na farmie. Za każdym razem kiepsko spał, bo nie było jej przy nim. Śmieszne, przecież nieraz nocował w Stolicy tak długo, jak wymagała tego sytuacja. W końcu musiał przyznać – chociaż to idiotyzm – że wtedy właśnie on wyjeżdżał.

Ona niedługo wróci, rozsądniej będzie odłożyć na bok takie rozważania, a najlepiej wcale o tym nie myśleć. Zdecydowanie wybierał rozsądek.

A tak w ogóle, gdyby nie słabo przespane noce i zastanawianie się, co ona może robić w tej Ameryce, te trzy dni upłynęłyby całkiem spokojnie. Praca na farmie dawała mu satysfakcję i wcale nie była mniejszym wyzwaniem dla mięśni od porządnego treningu.

W trakcie podróży na wschód z przystankami po drodze wszędzie widział źrebięta, jagnięta i cielęta na pastwiskach, zielone pola, pranie suszące się na dworze. To wszystko świadczyło, że wiosna zawiątała do Talamh i zostanie na dobre.

Jak spokojnie, pomyślał ponownie. Niczego tak bardzo nie pragnął jak spokoju.

Wyczuł ją, nim wychynęła ze skały. Nie, nie był zaskoczony, spodziewał się, że prędzej czy później znajdą sposób, żeby ją przemycić.

A jednak w pierwszej chwili przeżył szok. Gdzie podziła się piękna Shana? Jej uroda zwiędła jak kwiat zbyt długo pozbawiony wody. Włosy, którymi tak się chlubiła, zwisały w nieładzie. Brudna koszula zakrywała obwisłe piersi, kiedyś jędrne i pełne. Zniknęła wąska talia. Długie smukłe nogi ginęły w starych spodniach. W przeszłości taki ubiór nigdy nie dotknąłby jej wypieszczonej skóry.

Przeszłość zniknęła, a ona wraz z nią, pomyślał ze smutkiem, gdy minął szok.

Z obłędem w oczach Shana ścisnęła w dłoni pokrzywiony sztylet. Zaśmiała się dziko, celując w niego ostrzem.

– To jak, nie pocałujesz mnie na powitanie? Pokonałam taki szmat drogi, żeby cię znowu zobaczyć.

– Shano, odłóż to. Zrobię co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

– Zrobisz co w twojej mocy? – Zaśmiała się, lecz tym razem w jej szaleńczym śmiechu pobrzmiwała nuta gorzkości. – Już zrobiłeś, prawda, *taoiseachu*? Wykorzystałeś mnie, a potem rzuciłeś dla tej wywłoki, która mieszka kawałek stąd. Czy ona czeka na ciebie w tamtej chacie? Zamierzałam złożyć jej wizytę, ale sprytnie się zabezpieczyła. Możesz być pewien, że kiedy cię zabiję, przedrę się przez tamtą zaporę. Odran tego dopilnuje.

– Nieprawda. – Teraz było mu jej szczerze żal. – On cię wysłał na śmierć.

– On mnie wysłał, żeby takich jak ty zetrzeć z powierzchni ziemi. Będę rządzić zamiast ciebie.

– Ja nie rządę.

– I to twój błąd. Od początku błąd.

Przyczajona, krążyła wokół niego, a on chociaż trzymał dłoń na rękojeści, nie wyciągnął miecza. Po prostu nie mógł.

– Ja bym to zmieniła, och, tak, zmieniłabym, gdybym mogła. Niestety, zdradziłeś mnie dla tej dziwki, która nigdzie nie pasuje. Nie powinnam jej zabić. Odran chce mieć ją żywą i zdrową i będzie tak długo wysysał z niej krew, aż nic nie zostanie. Chociaż zawsze może się zdarzyć wypadek. Ups!

Odrzuciła głowę do tyłu z obłąkanym śmiechem.

– A może pozwolę jej żyć, jeśli Odran mi ją da jako niewolnicę, kiedy zasiądę na moim złotym tronie. Och, będzie pięknie. Błyszczące klejnoty, krew i te rozpaczliwe krzyki. Och, kiedy on mnie pieprzy, jest ogień i lód, lód i ogień, strach i słodki ból, rozkosz tak czarna jak ślepotą.

– Ty mi nigdy tego nie dałeś. – Bawiła się sztyletem, zadając ciosy w powietrzu. – A jednak, widzisz, przyszedłam do ciebie. Poświęciłam dużo czasu. Szłam dniami i nocami, przedzierając się przez czerwoną winorośl, podążałam przez świat ludzi w palącym słońcu i chłodnym wietrze, jechałam w maszynach, które trzęsąc się i rżąc, poruszają się po czarnych drogach w chmurze smrodu. Płynęłam łodzią, przebijając się przez mgłę. Przybyłam z daleka, a ty stoisz taki obojętny?

Uśmiechnęła się zalotnie.

– No co, dasz mi całusa?

I z uniesionym sztyletem rzuciła się na niego.

*

Natychmiast z pola przyleciała Morena.

– Witajcie w domu. A co tu macie?

Breen ledwo zerknęła na pakunki, za to Marco się rozpromienił.

– Na pewno znajdzie się coś dla ciebie i Harkena.

– Poważnie? No to pokazuj.

– Nie będziemy teraz przekopywać się przez tę górę toreb. – Breen musiała wkroczyć, bo inaczej rozpętałyby się istne szaleństwo. Za jednym zamachem odesłała wszystkie bagaże do chaty.

– Rozpakujemy się i jutro przyjedziemy z upominkami.

– Ale nas załatwiła, co, Marco? – Morena oparła się łokciem o jego ramię. – Może i dobrze, bo jestem cała zakurzona po robocie w polu. Marg jest u mojej babci. – Machnięciem ręki wskazała chatę Finoli. – Brian jak zwykle ma wartę przy wodospadzie, a Keegan przed chwilą poszedł do waszej chaty.

– Skoro nie rozdajemy prezentów i nie mamy nic do dzwigniania na drugą stronę, może pojedą przywitać się z Brianem. W powrotnej drodze zorganizuję jakieś ryby. W tych torbach, które odleciały, miałem zabawne drobiazgi na barter, ale Syreny na pewno mnie skredytują. Breen, dziś na kolację ryba z frytkami.

– Super. Jedź. A ja pójdę się rozpakować, może chwilę poćwiczę jogę. Albo się zdrzemnę.

– Byliśmy bardzo zajęci. Zakupy, musical na Broadwayu – Breen, wyprzedzę cię – piliśmy toasty za sprzedaną książkę.

– Och, to wspaniała wiadomość. – Morena oderwała się od Marco, objęła Breen w pół i machając skrzydłami, zrobiła z nią kółko kilka centymetrów nad ziemią. – Jaka dobra wiadomość! Muszę powiedzieć Harkenowi.

Postawiła Breen i odleciała.

– Jestem taki szczęśliwy i dumny z ciebie. – Sedric nachylił się i pocałował ją w policzek. – Mam powiedzieć Marg czy siedzieć cicho, żebyś sama jej powiedziała?

– Nie, śmiało, powiedz jej też, że Marco będzie pisał książkę kucharską. Zobaczą się z wami jutro. Mamy dużo do opowiadania, tyle się działo przez te trzy dni.

– Z radością posłuchamy. Marco, przyda ci się towarzystwo na przejażdżce? Chętnie sam zdobęde kilka ryb i chcę posłuchać o tej książce kucharskiej.

– Mam swoją agentkę w Nowym Jorku. – Marco ze śmiechem postukał się kciukiem w pierś. – Życie jest pełne nieoczekiwanych zwrotów akcji. Osiodłajmy konie i przygotujmy się do barteru. Grzej na drugą stronę, Breen.

– Fąfel, idziemy. Zobaczmy, co słychać w ogrodzie. I czy Keegan się spisał. No i się rozpakujemy, co Fąfel? – dodała, wchodząc na kamienne stopnie.

– Ciekawe, co on powie na kiczowatego szklanego smoka, którego kupiłam za namową Marco. Chociaż to lepszy pomysł od bluzy dresowej z King Kongiem na Empire State Building. Według Marco Keegan koniecznie powinien coś takiego mieć.

Przeszli z Talamh do Irlandii.

– Przemieszcza się z jednego świata do drugiego, a teraz wracamy z powrotem. I wszystko zajmuje góra dwadzieścia minut? – Chłonąc widoki, objęła się ramionami. – Marco ma rację. Życie jest pełne nieoczekiwanych zwrotów akcji. A to nasze, Fąfel, jest dziwne i cudowne.

Zadarł łeb, popatrzył na nią, jakby w pełni się z nią zgadzał, i skręcił do strumyka o brzegach porośniętych orlikami, które lada moment miały zakwitnąć.

Nagle się zatrzymał. Oczy mu pociemniały, obnażył kły, cicho warknął i ruszył pędem przed siebie, a ona nie zdążyła go powstrzymać. Gdy biegła za psem, instynktownie sięgnęła do miecza, którego oczywiście nie miała. Jednak jeżeli czekało ich tam coś złego, zawsze pozostawała jej własna moc.

*

Bez problemu uchylił się przed ciosem. Widział, że była niezdarna i wolniejsza niż kiedyś.

– Shano.

Rozum ją opuścił, a serce stało się czarne jak smoła. Wiedział, że już nie ma dla niej ratunku. Ale musiał spróbować, ostatni raz.

– Odrana nie obchodzi, które z nas tutaj zginie. Jemu zależy wyłącznie na przelewaniu krwi i sianiu śmierci.

– Zginiesz, a Talamh spłonie. Odran pozwoli mi wbić złoty sztylet w serce tej sukki, twojej matki, i odda mi na niewolnicę twoją kurwę, kiedy już wyssie z niej całą moc.

Zrobiła obrót, zatoczyła się i jeszcze raz obróciła.

– Och, odpłacę ci się z nawiązką za moje cierpienie. Być może wezmę do łóżka twojego brata, po czym go zdepczę jak rybę. Przecież ma twój wygląd, a potem na jego oczach obetnę skrzydła tej zadzierającej nosa Sidhe. Jestem teraz boginią, widzisz? – Z obłędem w błyszczących oczach, rozłożyła szeroko ramiona. – Twoja moc mnie nie sięga. Jestem wybranką Odrana. No dalej, mogę cię załatwić za jednym razem albo drasnąć tutaj, skaleczyć tam. Wystarczy jedna mała ranka, ale porządny cios skróci męki.

Oboje jednocześnie to usłyszeli, jej elfie uszy i domieszka Elfa w nim. Szybkie kroki na ścieżce.

– Mamy towarzystwo. – Zawirowała i zniknęła.

Myślała, że on jej nie widzi? Że jest aż taka zwinna? Że on nie wie, iż wniknęła w drzewo ze sztyletem uniesionym do ciosu? Podjął decyzję, wyciągnął miecz.

Gdy pies pędził ścieżką, a za nim Breen, Keegan nie spuszczał z oczu Shany, z cienia na korze szerokiego pnia. Widział w jej oczach nienawiść i żądzę krwi.

Kiedy zaatakowała, tym razem kierując ostrze w Breen, przebił ją mieczem. Nawet nie zarzęziła, nie jęknęła, tylko przez moment, który jemu wydawał się wiecznością, wpatrywała się w jego oczy. Była w nich jedynie pustka.

Odpadła od drzewa i osunęła się na ziemię u jego nóg, a sztylet potoczył się po ścieżce.

– Nie bierz. Zostaw – ostrzegł Fafla. – Jest zrobiony z trucizny. Odsuńcie się, cofnijcie.

Wycelował ogniem w ostrze, przytrzymał płomień, dopóki sztylet nie stopił się, bulgocząc i dymiąc. Dopiero wtedy przeniósł spojrzenie na Breen ponad ciałem Shany.

– Nie udało mi się jej odwieść. Nie było w niej nic, do czego mógłbym dotrzeć.

– Przykro mi.

– Dlatego ją wysłał. Liczył, że ona mnie zabije, a przy tym dobrze wiedział, że biedaczka nie da rady wrócić do przeklętego, krwawego świata, który sama wybrała. Breen, czy on jest aż tak zaślepiiony nienawiścią, żeby nie widzieć, że jej bardziej zależało na twojej niż na mojej śmierci?

Schował miecz do pochwy.

– Potrzebuję soli, oczywiście nie noszę jej ze sobą. Trzeba zasolić plamę po truciznie. Potrzebna też jest sól dla niej. Odstawię ją do Jaskini Goryczy.

– Przyniosę sól. I polecę z tobą. Polecę z tobą – powtórzyła z naciskiem, kiedy przecząco potrząsnęła głową. – Sam tego nie zrobisz. Polecimy razem. – Położyła dłoń na grzbiecie Fafla.

– Croga zabierze nas troje i ją – postanowił Keegan. – Po wszystkim odwiozę cię tutaj, później polecę do środkowego Talamh i powiadomię jej rodziców.

– Nie. – Obeszła zwłoki i stanęła przed nim. – Nie rób tego.

– Mam przemilczeć przed nimi, że zginęła z mojej ręki?

– Oni dawno ją stracili i opłakali.

– Odebrałem jej życie.

– Sama go się pozbawiła, kiedy wybrała Odrana. Ty dokończyłeś to, co ona zaczęła. Nic dobrego dla nich nie wyniknie z tego, że dowiedzą się, jak skończyła. Stracą ją po raz drugi, otworzą się stare rany. I niestety, każde ich wspomnienie o niej będzie skażone tym, co chciała zrobić. Jak sobie z tym poradzą?

– Tak, tak, masz rację.

Przywołał smoka i czekając na Breen, przykucnął przy Faflu.

– Ochroniłeś mnie i swoją panią. – Pogładził go. – Jesteś wielki. Wspaniały z ciebie pies.

Kiedy Breen wróciła z solą, oczyścił ziemię z trucizny i krwi. Dopiero wtedy wsiedli we troje na

Croge i ze zwłokami Shany w smoczycy pazurach wzbili się wysoko pod niebo, przelecieli nad całym Talamh, minęli obozowisko Trolli oraz ich kopalnie i zatrzymali się dopiero na szarej górze wyrastającej z brzegu morza.

Breen wiedziała, skąd wzięła się nazwa Jaskinie Goryczy. Powietrze w nich było nadzwyczaj lodowate i jakby twarde. Wydawało się, że przy uderzeniu wszystko w nich pęknie niczym krucho szkło.

Z wysokich sufitów zwisały stalaktyty ostre jak klingi miecza. W czerwonym świetle wzniesionym przez Keegana jego twarz wyglądała na zalaną krwią, kiedy wyrąbywał wgłębienie w skale.

Sam złożył tam ciało Shany. Potem się wyprostował i wodził oczami po ścianach, jak gdyby chciał tam coś znaleźć.

– Nie przychodzi mi do głowy nic, co mógłbym jej powiedzieć.

– Życzymy jej spokoju, którego nie zaznała za życia.

– To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony. Tak, życzymy jej tego.

Potem się wycofał i wydał rozkaz Crodze. Buchnęły płomienie i spopielity ciało.

Keegan wyjął sól.

– Co pozostało, niech nigdy się nie odrodzi, nigdy nie wyrządzi krzywdy, nie rozleje krwi – recytował, posypując popiół solą. – Co było, odeszło, a prochy na zawsze niech zostaną tutaj.

Nakrył kamieniami prochy i sól.

– Chodź, zbieramy się z tego miejsca.

Po wyjściu z jaskini przystanął na wzniesieniu. Szara, naga góra sprawiała ponure wrażenie, za to świat pod nimi wyglądał bajecznie.

– Mogłem ją inaczej powstrzymać. Była szalona, śmiała się, płąsała, och bogowie, oni ją zniszczyli. Wiem już, jak się tutaj dostała, w tym obłędzie sama to wykrzyczała. Mogłem ją powstrzymać. Powiedziała rzeczy, które powinniśmy wiedzieć. Z jej słów wynikało, że on nie chce cię martwej, ale... – Wzdrygnął się. – Podobno obiecał, że zrobi z ciebie jej niewolnicę. Odgrażała się, że poderżnie gardło mojej matce – tak nienawidziła kobiety, która okazała jej tyle dobroci. Dodała, że zanim zabije Harkena, pójdzie z nim do łóżka. I jeszcze obetnie skrzydła Morenie.

– Widzisz, to nie były czcze pogroźki. Ona naprawdę tego chciała. Marzył jej się rozlew krwi, zabijanie, pożoga i obiecany przez niego pieprzony złoty tron. Pragnęła tego wszystkim, czym się stała, i bogowie, jesteście świadkami, ile zostało z dawnej Shany. Chociaż mogłem ją jakoś powstrzymać.

– Mylisz się, Keeganie. Ja ją widziałam. Nie zostało w niej wiele z tego, kim wcześniej była, nawet nie umiała porządnie wniknąć w drzewo. Zauważyłam ją. Gdyby ciebie tam nie było, zginęłaby z mojej ręki. Dokonałam wyboru, Keeganie, uznałam, że to jedyna słuszna odpowiedź na wszystko, co ona wybrała.

Od spotkania ani razu się nie dotknęli, teraz też jedynie odwrócił się do niej twarzą.

– Banicja?

– Myślisz, że powstrzymałbyś ją, związał mocą i wyгнаł? Nie, Shana nigdy by się nie poddała. To nie leżało w jej charakterze. I gdyby Odran uznał, że ona może mu się do czegoś przydać, prędzej czy później znalazłby sposób, żeby ją wykorzystać.

– Banicja do Świata Mroku zniszczyłaby ją do końca. Widziałem, w jakim była stanie. W porównaniu z wygnaniem śmierć od miecza wydaje się aktem łaski.

– Masz rację. Szkoda, że musiało do tego dojść.

– Powiadomię Radę, tutaj i w Stolicy. Śmierć Shany zostanie utrzymana w tajemnicy. Miałas rację co do jej rodziców. Gdybym im o tym powiedział, zdjąłbym część ciężaru z własnych barków, a przerzucił go na nich.

Odsunął się od niej.

– Nie chcę dotykać cię tutaj. Nie w tym miejscu, blisko jaskiń, gdzie tyle mroku kryje się pod skałami.

– W takim razie wynośmy się stąd i wracajmy do domu.

Kiedy wsiedli na Croge z Fąflem pośrodku, obejrzał się na nią.

– Trzeba podlać ogród – rzucił.

– Czyżby?

– Zajmę się tym – obiecał i wzruszył ramionami.

Lecieli nad połaciami brązu, zieleni i łąkowych barw i długo trwało, nim się zdecydowała ponad Fąflem objąć Keegana w pasie.

Gdy wylądowali przed chatą, Croga natychmiast ruszył w drogę powrotną do Talamh, a Fąfel pobiegł do zatoki. Keegan nareszcie wziął ją w ramiona i zaczął całować w blasku słońca, w wiosennym

powietrzu pachnącym trawą, ziemią i pierwszymi rozkwitającymi kwiatami.

Zimne, twarde powietrze z Jaskiń Goryczy rozwiało się w żarze jego pocałunków.

– Tęskniłem za tobą bardziej, niż chciałem. – Ujął w dłonie jej głowę. – Twoja twarz. Jak bardzo brakowało mi jej widoku.

– Cieszę się. – Teraz ona ujęła w dłonie jego twarz i uważnie spojrzała w zielone oczy. Już nie było w nich śladu żalu czy wyrzutów sumienia.

– Skoro tak uszczęśliwia cię mój widok, chcę cię o coś zapytać.

– Możesz pytać, o co ci się tylko podoba, ale niekoniecznie spodoba ci się odpowiedź.

– Wiem. Po pierwsze, widziałam się z matką Marco. Nie udało mi się jej przekonać, sprawić, żeby go zrozumiała czy przynajmniej zaakceptowała. I nie zamierzam mu o tym powiedzieć.

– Rozumiem, to rozdrapałoby stare rany i obudziło złe wspomnienia.

– Właśnie. W końcu odpuściłam, bo widziałam, że niczego nie zyskam i tylko ją denerwuję.

Potem poszłam do mojej matki i uwolniłam się od ciężaru.

– No dobrze, a jak to zrobiłaś?

– Wybaczyłam jej.

– Bardzo rozsądnie. – Obejrzał się i wywołał drobny gęsty deszcz nad ogrodem.

– Idziesz na skróty.

– Tym razem tak, bo chcę cię słyszeć. Powiedziałem, że rozsądnie postąpiłaś. Ja nie znalazłbym w sobie tyle rozsądku.

– Poczułam ulgę, więc pewnym sensie zrobiłam to dla siebie. Wracając od matki, zafundowałam sobie to. – Zsunęła sweter z ramienia.

Pokręcił głową, ale kąciki ust uniosły mu się w uśmiechu, kiedy powiódł palcami po tatuażu.

– Spodobały ci się tatuaże? Ten akurat bardzo mi odpowiada.

– Tak myślałam. No i poszliśmy z Marco do Sally.

– Ty zdajesz relację, a podobno chciałaś mnie o coś zapytać?

– Właśnie zmierzam do pytania. Wszystko się łączy, rozumiałam to, kiedy zobaczyłam się z Sally i Derrickiem. Oni, a przede wszystkim Sally, już planują wesele Marco. – Zadarła głowę. – Pasowałaby ci jaskółka.

– Wyglądałbym dobrze z jaskółką?

– Oj, to część męskiego stroju! Bardzo formalnego. W każdym razie chcę, żeby urządzili to wesele. Zaprosilibyśmy siostrę Marco i wszystkich przyjaciół po tamtej stronie. A tak na marginesie, Meabh jest fantastyczna. Ale wracając do wesela. Chcę ich wszystkich zaprosić – mówiła dalej. – I chcę, bardzo chcę, żeby Sally i Derrick pojawili się tutaj na weselu Marco. Wolałabym, żeby poznali prawdę, trudno mi ich okłamywać, chcę pokazać im Talamh i to, kim jestem.

– W porządku.

Teraz ona cofnęła się o krok.

– Tak po prostu?

– Nie przejdą przez Powitalne Drzewo, jeżeli mają złe zamiary, ale kiedy poznałem Sally, widziałem, że on kocha ciebie i Marco. Poza tym jest inteligentną, ciekawą osobą.

– Wybaczyłaś matce, zgadza się? To wiele znaczy. Bo wybacząc, zaakceptowałaś fakt, że ona cię urodziła i wychowała, choć nie jest dla ciebie prawdziwą matką. Wolisz mieć przy sobie kogoś, kto jest częścią twojego życia. Twojego Marco. To przecież wasze życie.

– Bardzo dobrze to ująłeś. Kiedy minie zagrożenie, chcę, żeby oni tu przylecieli, zobaczyli chatę. Potem wszystko im wyjaśnię i zabiorę ich do Talamh. Niech poznają babcię i wszystkich.

– W porządku – powtórzył.

– Załatwione. – Pomyślała o tych wszystkich starannie przygotowanych argumentach i uśmiechnęła się. – Pójdę się teraz rozpakować. Nie zapomnij o kwiatkach w donicach.

– Zajmę się nimi. Nie usłyszałem ani słowa o tym, jak ci poszło w Nowym Jorku.

– Bardzo dobrze. Świetnie. Ale to dłuższa opowieść. Marco podpisał kontrakt z agentką, która będzie go reprezentować w trakcie tworzenia książki kucharskiej o roboczym tytule *Radość gotowania*.

– Doskonale. Będziemy ochoczo mu pomagać, degustując każde danie, które zamierza tam umieścić.

– I to bezinteresownie. Kupili moją książkę.

– A nie mówiłem? Widzę, że tym razem nie wylewasz łez.

– Byłam trochę oszołomiona, ale się nie rozplakałam. Moja wydawczyni przysłała mi maila z sugestiami kilku zmian.

– Nie znalazłem tam nic, co należałoby zmienić.

– To słuszne sugestie. Kilka dni pracy i książka będzie lepsza, mocniejsza. – Zakryła usta dłońmi i roześmiała się.– Sprzedałam książkę.

Rzuciła mu się na szyję. Fąfel, przeczuwając zabawę, wyszedł z zatoki, otrząsnął się i biegał w podskokach wokół nich.

– *Magia mroku i światła* autorstwa Breen Siobhan Kelly, dostępna we wszystkich księgarniach.

– Wolę to od chlipania.

– Ja też.

– Ale dobrze pamiętam, co było po łzach, i chętnie do tego wrócę.

Do domu szedł już z Breen owiniętą wokół niego ramionami i nogami.

– Zdażysz później się rozpakować – zawyrokował.

– Zdażę się rozpakować – zgodziła się i kiedy wnosił ją do chaty, skierowała drobny deszcz na donice z kwiatami, bo podlewanie już nie było mu w głowie.

Rozdział 28

Breen brała udział w spotkaniach Rady w dolinie, a z Marg, Finolą i resztą układała plany na festyn. Pracowała w ogrodzie i skończyła korektę książki (trzymała kciuki, żeby dobrze wypadła). Z kolei w czasie przeznaczonym na pisanie skupiła się na nowych przygodach Fąfla. Gdy pomysły na nową książkę natarczywie chodziły jej po głowie, notowała je i rozwijała, poświęcając na to nie więcej niż godzinę.

Trenowała z zapalem i doskonaliła rzemiosło magiczne pod okiem Marg.

Dni robiły się coraz dłuższe, a ona ledwo znajdowała wolną chwilę między zajęciami. Kwiecień niepostrzeżenie przeszedł w maj.

Szczeliny w portalach (wszystkich) poszerzyły się. Ledwo zauważalnie, powiedział Keegan, lecz jednak się poszerzyły. Zastanawiała ją, czy Odran czeka na letnie przesilenie. A może zaatakuję wcześniej? Albo będzie z tym zwlekać?

Chociaż cieszył ją każdy dzień, ciepłe deszcze, wiosenne słońce, coraz dłuższe dni i w Talamh, i w Irlandii, chciała już mieć to za sobą. Tak czy inaczej, niech się problem rozwiąże i raz na zawsze będzie po wszystkim.

Obserwowała postęp robót przy chacie dla Marco i Briana. Tyle osób się w nie włączyło, poświęcając swój czas i podsuwając pomysły.

– Moglibyśmy szybciej ją zbudować – powiedziała Marg. – W takim tempie jak twoją. Ale nie musimy się spieszyć, bo oboje z Marco postanowiliście, że będziecie mieszkać u ciebie do momentu, gdy pozbędziemy się Odrana.

– Nieważne, czy szybko czy wolno, niech będzie jak ma być. Bardzo podoba mi się ten prześwit i altana zrobiona przez Seamusa. To jak przejście z jednego baśniowego świata do drugiego.

– Seamus ma dobre pomysły i zręczne ręce – powiedziała Marg, tak samo zadowolona jak Breen, i obejrzała się na wysoki łuk opleciony pędami fuksji i róż. – I ten różany zapach unoszący się w powietrzu. Twój ogród bardzo ładnie się prezentuje, *mo stor*. Masz rękę do kwiatów.

– Lubię hodować rośliny. Mam to po tobie i ojcu.

– Miłość to jedno, a dar to zupełnie inna sprawa. Ja też go mam, podobnie jak Eian, ale twój jest o wiele potężniejszy. Popatrz tylko na tego psa. Cały czas biega i niezmordowanie węszy.

– On bardzo lubi towarzystwo. Dla Fąfla taki dzień to święto. A najszcześniejszy jest, kiedy Morena albo Harken przychodzą z Darling. Już widzę, jak podniecony biega z chaty do chaty.

– *Mo stor*, może jest w twojej chacie coś, co chciałabyś zmienić?

– Babciu, ja ją uwielbiam. Od pierwszej chwili, gdy ją zobaczyłam. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to będzie mój dom.

– Tak, ale... – Marg wzięła Breen za rękę i przeszła z nią pod okwieconą pergolą. – Zastanawiam się, czy nie chciałabyś mieć do pisania gabinetu z prawdziwego zdarzenia i pokoju do czytania z miejscem na książki.

Breen weszła do chaty i zostawiła drzwi otwarte, tak jak zwykle Marg. Zaparzy herbatę, pomyślała, ma herbatniki upieczone przez Marco. Mogą posiedzieć na tarasie i cieszyć się ciepłym powietrzem. Raczej nie będą im przeszkadzały odgłosy pracy dochodzące zza żywopłotu.

– Bo gdybyś chciała, bardzo łatwo można to zrobić.

– Będę miała jeden pokój więcej, kiedy Marco z Brianem przeprowadzą się do siebie.

– To prawda, ale może chciałabyś mieć kilka dodatkowych pokoi. Kiedy pojawią się dzieci. Chyba się nie mylę, że chcesz mieć dzieci?

– Nie mylisz się. – Wierzyła, że dzieci i wychowywanie ich z miłością jest częścią jej przeznaczenia. – Chociaż nie mam prawa myśleć o dzieciach, babciu, dopóki nie zniszczymy Odrana. Stanowiłby dla nich ogromne zagrożenie. Jeżeli przeżyję...

– Przestań, Breen.

– Taka prawda. Jeżeli przeżyję, a on nie, na pewno w przyszłości pomyślę o dzieciach.

– Wybacz babci, że wtyka nos w nie swoje sprawy. Czy rozmawialiście z Keeganem o przyszłości?

– Nie. – Breen sięgnęła po tacę, zaczęła na niej ustawiać filiżanki. – Nie wiem, jakie ma plany na potem, po wszystkim.

Ach, ci młodzi, pomyślała Marg i westchnęła w duchu, gdy zastanawiała się, jacy oni bywają niemrawi.

– Nie pytasz, nie mówisz, czego ty chcesz?

– Muszę wiedzieć, czy czeka mnie przyszłość, wtedy pewnie mogę pytać i mówić, czego chcę. Jestem zadowolona z tego, co jest, i to mi wystarcza.

– Tak, oczywiście. Ach, jak on ciebie patrzy, moja dziewczyno. Jak wodzi za tobą oczyma.

– Naprawdę?

Marg zaśmiała się i postukała Breen palcem w policzek.

– Bezbłędnie rozpoznaję zadurzonego mężczyznę, nawet kiedy on sam o tym nie wie. Dlatego cieszę się myślą o sypialniach dla dzieci i odpowiednią przestrzenią do pisania dla mojej wnusi. – Weszła do salonu. – Och, przydałby się też niewielki ogród zimowy, żeby wnusia mogła hodować kwiaty w zimowe chłody.

– To brzmi... – Breen, żeby nie dać się ponieść emocjom, podniosła tacę. – Kuszaco, wiem. Poczekajmy. Musimy zająć się planowaniem kilkudniowego festynu.

– Oczywiście. Och, zobacz, idą Morena i Finola. W samą porę, żeby nam w tym pomóc.

Breen odstawiła tacę. Dodam więcej filiżanek, pomyślała.

Fąfel wypadł z altany wyraźnie podniecony widokiem kolejnych gości. Finola na powitanie wyjęła z koszyka, który trzymała w ręce, smakołyk dla niego.

– Jaki piękny dzień! Och, a ten ogród! – Finola niemal tak podekscytowana jak Fąfel, rozglądała się dokoła.

– Breen, na pewno masz do roślin rękę Sidhe – orzekła, gdy Breen wyszła z tacą na dwór.

Finola w różowych legginsach i długiej białej koszuli z nadrukiem w pączki róż sama wyglądała jak kwiat.

– Seamus jest wspaniałym i niezwykle cierpliwym nauczycielem. Nie za głośno tutaj przez te roboty? Możemy przenieść się do środka.

– Nie w taki ładny dzień. Przyniosłam bardzo smaczny ser z farmy i upieczony rano chleb. – Wyjęła jedzenie z koszyka. – No i powiedzmy, że zrobiłam zarys planu na festyn. Musimy wszystko obgadać między sobą, zanim pokażemy go reszcie.

– Według mojej babci, jeżeli wszystko z grubsza ustalimy, zaoszczędzimy czas i unikniemy sprzeczek. – Morena zwinęła herbatnik z talerza. – Poza tym ona nie chce, żeby Jack i jego siostra Nelly się wtrącali, zanim wszystko zostanie dopięte.

– Bardzo słusznie. Tak więc przyjdzie nam spędzić część tego pięknego dnia na pracy, a potem Marg pokaże tym zrzędom, co wymyśliłyśmy.

– Och, Fi, ty moja przyjaciółka od tylu lat, zrzucasz na mnie taką fuchę?

– Nikt nie będzie śmiał dyskutować z Mairghread O’Ceallaigh, za to ze mną wszyscy byliby gotowi pokłócić się na śmierć i życie.

– A szczególnie Nelly – dodała Morena. – To prababka Miny, Breen, tej młodej Elfki, która gania po łąkach i lasach z przyjaciółmi.

Finola położyła plaster sera na kawałek chleba i zamachała kanapką w powietrzu.

– Trzy lata temu na targach w dolinie moje ciasto brzoskwińowe zdobyło pierwszą nagrodę i ona nigdy mi nie zapomni, że pozbawiłam ją pierwszego miejsca.

– Twoje powidła też biją na głowę te jej – przypomniała Marg.

– To prawda, chociaż nie lubię się przechwalać. – Finola, śmiejąc się, przejechała dłonią po ufryzowanych kasztanowych włosach. – Na pewno na festynie będą konkursy wypieków, ale obawiam się, że wszystkie polegniemy przy naszym Marco. Czy on tam jest za żywoplotem? Ten nasz przystojny Marco?

– Uczy się, jak trafić młotkiem w łepkę gwoźdźca, a nie w palec.

Finola uśmiechnęła się promiennie do Breen.

– Zajrzę tam na chwilę, przywitam się i sprawdzę, jak im idzie robota. No i popieszczę oczy widokiem tych wszystkich mężczyzn z młotkami.

– Nie poszła popieścić oczu – zaczęła Morena, kiedy Finola się oddaliła – tylko dała nam szansę porozmawiać o sprawach, o których nie możemy mówić przy niej. Marg, twierdziłaś, że tu jest bezpiecznie.

– Odran nie widzi ani nie słyszy tego, co się mówi czy robi w Chacie Fey i należącym do niej terenie. Zadbaliśmy o wielowarstwowe zapory.

– My bardzo uważamy, gdy rozmawiamy na farmie, natomiast blokujemy Odrana na spotkaniach Rady. Nie wiem, czasem mam takie wrażenie, że on mnie obserwuje, chociaż może to tylko mój umysł płata mi figle.

– Na pewno już wie, że Shana zawiodła. – Breen obejrzała się na las. – Nie jestem pewna, czy on naprawdę wierzył, że jej się uda, ale minęło już kilka tygodni, więc niewątpliwie się dowiedział. A szcze-

liny z każdym dniem nieznacznie się powiększają.

– Dzięki połączeniu czarnej magii Yseult z własną on może patrzeć przez szczeliny, przez szkło, ogień i mgłę. No i co zobaczy? – zapytała Marg.

– Talamh szykujący się do świętowania letniego przesilenia i powrotu Córki – odpowiedziała Breen. – Przez trzy doby zdecydowanie bardziej skupiony na zabawie niż na ewentualnych zagrożeniach. Zobaczy wojowników, którzy zamiast uprawiać sztukę wojenną, zabawiają się fechtunkiem i strzelaniem z łuku.

– Roztańczonych, uczujących Fey, których łatwo będzie zmieść ogniem z powierzchni ziemi – dodała Morena.

– On nas nie zna – zaczęła Marg, słuchając śmiechów i odgłosów rozgardiaszu za żywopłotem. – Przez te wszystkie lata nie nauczył się i nigdy się nie nauczy, jaką mamy naturę i do czego jesteśmy zdolni, żeby obronić nasz świat. Wysłał tę zdemoralizowaną dziewczynę, żeby zabiła *taoiseacha*, bo wierzył, że kiedy ona wbije w niego ostrze z trucizną, w całym Talamh zapanują chaos, rozpacz i żaloba. Każdego dnia jestem wdzięczna bogom, że nic z tego nie wyszło, i ani trochę mi nie żal, że Shana poniosła śmierć.

– Rodzice już wcześniej ją oplakali. – Marg nakryła dłonią rękę Breen. – Słusznie postąpiłaś, nakłaniając Keegana do milczenia, to był akt łaski wobec tych biednych ludzi. Nawet gdyby *taoiseach* zginął na tej drodze pomiędzy światami, Odran nie zobaczyłby tu chaosu, rozpacz i żaloby.

– Tylko wielki gniew i siłę – dopowiedziała Morena. – Również w żałobie pozostajemy nieugięci, a żal jeszcze dodaje nam siły. Czym ona się chełpiła przed Keeganem w tym swoim amoku? Że przedarła się przez czerwoną winorośl? Znamy ten świat tak samo jak tamten skuty lodem z rażącym światłem, a portal, który je łączy, cały czas paruje na skutek zderzenia się zimna z gorącym.

– Sedric udał się na rekonesans, spróbuje znaleźć portal, który stanowi przejście między światem Odrana i czerwonej winorośli.

Breen odwróciła dłoń wnętrzem do góry i uściśnęła rękę Marg.

– Nie mówiłaś, że znowu się wybrała na rozpoznanie.

– Nie sam. Ma trzyosobową obstawę.

– Ale się martwisz o niego.

– Miłość nie jest wolna od zmartwień. On mówi, że to mały, bezwzględny świat, z bagnami, wilgotnymi upałami i buszem czerwonej winorośli. Świeci tam czerwone słońce i jeden mały zamglony księżyc. Sedric jest pewien, że zlokalizują portal w czasie tej wyprawy, tak jak wcześniej inne.

– Zapieczętują go? – zaciekawiała się Morena.

– Keegan mówi, że nie. Zastawią tam pułapkę. – Breen obejrzała się na altanę, pamiętała, że Finola nie powinna tego słyszeć. – Natomiast odnajdą i zapieczętują portal, przez który Shana tutaj się przedostała.

– Aha, rozumiem. – Morena skosztowała ser. – I nie będzie przejścia.

– Gorzej. Uruchomią się pułapki. Gdy oni przyjdą, będziemy o tym wiedzieć i zablokujemy drogę powrotną. Pracuję nad odpowiednim zaklęciem – wyznała Marg. – A wdrożymy je dzięki darowi Sedrica. Nie będzie możliwości powrotu ani kontynuacji dla tych, których Odran wyśle tą drogą.

– Babciu, dotarcie nią zajęłoby im masę czasu. Ty ochraniaś tę stronę, a ci, wysłani przez Odrana, zaatakowaliby dokładnie tutaj. Keegan uważa, że Shana przeszła ze Świata Lodu do Szkocji, a stamtąd do Irlandii i tutejszego lasu.

– Fey zobowiązali się wszystkich bronić i tak postępują. Czy się martwię? Oczywiście. Sedric dzieli ze mną nie tylko łożę, ale też mój cały świat. Szczerze mówiąc, on obudził moje serce do życia. Na szczęście jest sprytny jak kot i wierzę, że bezpiecznie wróci do domu i razem będziemy świętować koniec Odrana.

– Moreno, skarbie, idź po babcię. Porozmawiamy o pomysłach na festyn i, bogowie, o czekającym nas bólu głowy w związku z organizacją tego wszystkiego. No i o tajnych planach, w które będziemy musieli wtajemniczyć wszystkich mieszkańców Talamh.

Kiedy swego czasu planowali festyn i zabawę, Breen sądziła, że największym problem okaże się skomplikowana logistyka. A tymczasem każdy konkurs czy gra dla młodych i nieco starszych miały być tak pomyślane, aby stanowiły kamuflaż dla ewentualnej obrony lub ataku, a czasem obu tych działań.

Na każdym pięknie nakrytym stole, zastawionym jedzeniem czy nagrodami dla zwycięzców konkursów, pod kolorowym obrusem miała leżeć broń. Wszyscy uczestnicy turniejów siłowych czy zręcznościowych mieli być gotowi chwycić łuk, maczugę czy topór, gdyby zaszła taka konieczność.

Wszyscy bawiący się przy dźwiękach fletu w każdym zakątku Talamh czy to za dnia, czy w nocy

mieli ruszyć do boju po pierwszym sygnale rogu.

Owe wielowarstwowe zapory odbierały Odranowi możliwość wniknięcia w spiskowe plany, ale też nie pozwalały Breen obserwować z chaty jego świata czy choćby zaglądać tam we śnie. A jednak wyraźnie wyczuwała, że on napiera i robi, co w jego mocy, żeby przerwać zapory.

– Owszem, napiera – zgodził się z nią Keegan, kiedy wracali przez las po morderczym treningu, który zdecydowanie nadwerzęzył jej dobre samopoczucie. – To się nazywa przerośnięte ego, prawda?

– Ale czy to go nie zastanawia? Czemu jest ta blokada wokół chaty? – dociekał Keegan, który posłusznie rzucił patyk przyniesiony przez Fąfla.

– Jak wcześniej mówiłam, Marg nałożyła zakłęcie ochronne, bo jeszcze bardziej martwi się o ciebie, odkąd Shana dotarła niemal pod twoje drzwi. A jeśli go interesuje, co się z tobą dzieje, to przecież widzi, że codziennie jesteś w Talamh i włączasz się w urządzenie festynu.

Zamilkła, bo Fąfel znowu cierpliwie czekał z patykiem w pysku, jednak tym razem Keegan rzucił go dalej, w stronę strumienia, żeby zachęcić psa do kąpieli.

– To zamieszanie wokół kolorów transparentów i girland. Rozważanie, gdzie urządzić wyścigi konne, ile lizaków przygotować dla maluchów. Czy zwycięzca w rzucie włócznią powinien dostać złotą dzidę, skoro nagrodą w łucznictwie ma być złota strzała. Chcę, żeby takie dyskusje toczyły się nie tylko w dolinie, ale w całym Talamh.

– Te rzeczy mają niemal takie samo znaczenie jak zgromadzona przez ciebie broń, rozlokowanie wojowników, no i te pułapki w miejscach, przez które Shana przeszła między światami.

– To był pomysł Sedrica. On ma bardzo bystry, przenikliwy umysł.

– I szerokie spojrzenie na świat. A raczej na światy – poprawiła się. – Jakie szkody Odran mógłby wyrządzić po tej stronie, nawet gdyby tylko kilku czy choćby dwóch jego popleczników tutaj zaatakowało, podczas gdy inni napadliby na Talamh?

– Ewentualni napastnicy nie pożyją długo w upale na tych bagnach, porośniętych winoroślą.

– I obrócą się przeciwko sobie – dodała. – Taka jest natura mroku.

Kiedy wyszli z lasu, rzucił jej uważne spojrzenie.

– Widzę tu zamianę ról.

– Nie rozumiem.

– Twoje myśli skupiły się na mroku. To zwykle moja rola.

– A jakie ty masz myśli?

Zszedł nad zatokę, gdzie już pluskał się Fąfel, a Breen podążyła za nim.

– Myślę, że nadchodzi czas, kiedy raz na zawsze pokonamy Odrana. Sprawią to broń i twój dar. Mój ojciec, podobnie jak twój, zginął, gdy próbował tego dokonać. Jak wielu innych przed nimi, którzy starali się unicestwić Odrana od czasów, gdy do Talamh dotarły pierwsze opowieści i pieśni o nim. I chociaż nigdy nie brakowało nam odwagi, siły i jedności, nigdy nie zdołaliśmy go zgładzić.

– Owszem wygrywaliśmy z nim i miewaliśmy okresy spokoju i pokoju, ale nigdy nie wbiliśmy noża w jego czarne serce. Wzmacniał się, odbudowywał czarny zamek, przywracając mu blask. Kradł nasze dzieci i mordował je na swoim ołtarzu. Porywał Fey do swojego świata i robił z nich niewolników.

– To dopiero są mroczne myśli.

Keegan potrząsnął głową.

– Tak było i jest. Utrzymujemy pokój w naszym świecie dzięki naszym prawom, naszym zwyczajom. – Obejrzał się na nią. – Naszej magii, Breen Siobhan Kelly.

– Wiem.

– On chce to wszystko zniszczyć, bo dla niego liczy się wyłącznie władza.

– Patrzy na władzę jak na tort. Niektórzy ludzie w podobny sposób patrzą na miłość.

– Jak tort, powiadasz? – Odwrócił się do niej zaciekawiony.

– Tak, jak na pokrojony na kawałki tort i jeżeli ktoś weźmie jeden kawałek, mniej zostaje dla ciebie. Odrana zżera zawiść, bo on nie rozumie, ani nie wierzy, że władza, tak jak miłość, rośnie w siłę tylko wtedy, kiedy ją się dzieli.

– Jak tort – powtórzył. – Interesujące porównanie. W takim razie położymy temu kres, zgładzimy go i nie dostanie tego, co dla niego jest kawałkiem tortu. Ani w tym, ani w żadnym innym świecie. Tym razem pozbedziemy się go, *mo bandia*, na zawsze. Nigdy tak mocno tego nie czułem. I moje myśli wcale nie są mroczne. Nasila się światło.

– Najdłuższy dzień.

– Ten pies wpadł na świetny pomysł z kąpielą w zatoce. Doskonały sposób na zakończenie majowego dnia po lekkim treningu.

– Nazywasz go lekkim?
– Pewnie, bo taki był. Traktuję cię ulgowo, bo jeśli Odran nas obserwuje, zobaczy, jak szybko się męczysz i padasz, zlekceważy twoje umiejętności.
– Bzdura. Zakończę mój dzień długim, gorącym prysznicem i lampką wina.
– Po co ci prysznic po pływaniu?
Poderwał ją z ziemi i wrzucił do zatoki z taką samą łatwością, jak wcześniej rzucił patyk Fąflowi. Zaskoczona, zdążyła tylko szpetnie zakląć, zanim pacnęła o lustro wody.
Wynurzyła się na powierzchnię i stanęła w wodzie sięgającej do pasa. Fąfel, przeschczęśliwy, pływał wokół niej, a Keegan z uśmiechem przyglądał się jej z brzegu.
– Jezu! Faceci są tacy dziecinni! – Odgarnęła z twarzy mokre włosy.
– Możesz tak sobie myśleć, tymczasem ja patrzę na kobietę w mokrym, przyklejonym do ciała ubraniu, pozwól, że ci przypomnę, którego nigdy z niej nie zdjąłem bez pozwolenia. I wcale nie myślę jak chłopiec, o nie.
– I dlatego wrzuciłeś mnie w ciuchach do wody. Jest mi zimno!
– Rzeško. – Machnięciem dłoni rozebrał się do naga i wszedł do wody. – Tak jak mówiłem, rzeško.
– Jasna dupa!
– Jestem jej wielkim miłośnikiem.
– To sobie na nią popatrz, kiedy będę wychodzić z wody. Idę do domu.
– *Mo bandia*, popływaj ze mną chwilę w ten jasny wiosenny wieczór.
Objął ją w psie i pociągnął na głębinę, gdzie woda zakrywała ją z głową.
– A może zdejmę z ciebie te rzeczy i położę obok moich na brzegu, oczywiście za twoją zgodą.
– Nie będę pływać na golasa w zatoce. Marco i Brian są w chacie. Wrócili przed nami. A poza tym woda jest zimna.
– Pływając, szybko się rozgrzejesz. – Zakręcił palcem w powietrzu i ściągnął mgłę. – A tu, widzisz, mamy zasłonę. – Zdejmiemy z ciebie te mokre rzeczy i ściągniemy zabłocone buty, niech podechną na brzegu.
To powiedziałwszy, pocałował ją i teraz oboje byli nadzy.
– W przeciwieństwie do mnie twoje ciało nie budzi pożądania u tamtych dwóch w chacie. Ci mężczyźni to kochankowie i zapewne domyślają się, co robimy w wodzie.
– Pływamy.
– Owszem, ale potem, jeśli pozwolisz. Najpierw pozwól mi rozproszyć twoje mroczne myśli.
– Możemy utonąć.
– Mam w żyłach domieszkę syreniej krwi. Ćwiczyłem pływanie. Pokażę ci.
Całował jej skronie, szczękę i usta. Wsunął się między jej uda.
– Kochaj się ze mną, Breen Siobhan. W wodzie i mgle.
Gdy kołysał ją w wodzie i mgle, oddała mu się na powierzchni. Powoli zanurzył się z nią w ton, ale nie czuła strachu, skupiona na przyjemności, jaką obiecywał dotyk dłoni błędzących po ciele. Objął wargami jej usta i wdmuchiwał w nie powietrze.
Wziął ją pod wodą, pod słońcem igrającym na tafli i unoszącymi się mgłami. Gdy szczytowała i iskry rozkoszy przebiegły po jej skórze i pod nią, a w trzewiach rozlała się fala gorąca, już nie myślała o niczym.
Wciąż połączeni, wciąż spleceni w uścisku, wynurzyli się na powierzchnię. Czuła podmuchy powietrza, wirowanie mgły, kołysanie wody. I Keegana. I jego.
Kiedy ponownie zaznała uniesień finału, doszedł razem z nią i teraz wtuleni w siebie, płynęli unoszeni łagodnym falowaniem wody. Już nie mogła narzekać na zimno.
– To też ćwiczyłeś?
Zaśmiał się w jej szyję.
– No, nie wszystko, ale mam wyobraźnię. Wiem, jak długo mogę przebywać pod wodą, a za każdym razem ten czas się wydłuża. Jest teraz znacznie dłuższy niż w dniu, gdy podjąłem miecz z jeziora, a wtedy woda była zaczarowana. Nie poruszam się w wodzie tak szybko jak Syreny czy Elfy na lądzie, ale na pewno szybciej niż wtedy, gdy nurkowałem po miecz. Trening czyni mistrza – podsumował. – Z tobą jest inaczej. Ty masz dar.
Przerzedził mgły i dostrzegł Fąfla na brzegu, a gdy pies ponownie wskoczył do wody, zobaczył, jaka odległość dzieli ich od plaży.
– Jesteśmy na pełnym morzu – oznajmił.

Teraz Breen poczuła lekką panikę.

– Dla Fąfla to za daleko, opadnie z sił, nie dopłynie.

– To irlandzki spaniel wodny, a my popłyniemy mu naprzeciw. Jestem przy tobie, gdybyś się zmęczyła, ale wiem po tamtej sytuacji w rzece przy wodospadzie, że jesteś dobrą pływaczką. Moglibyśmy zrobić wyścigi, chociaż to nie byłoby fair.

– W takim razie daj mi fory.

Skierowała się do brzegu. Wydawało się jej, że naprawdę szybko płynie, jednak kiedy dotarła do Fąfla, Keegan ją wyprzedził, poruszając się w wodzie jak ryba.

– Mogłeś doholować mnie do brzegu – powiedziała z pretensją do Fąfla – skoro on postanowił się popisywać.

Poczuła grunt pod nogami.

– Byłabym wdzięczna za mgłę, zanim wyjdę z wody – zawołała do stojącego na brzegu Keegana.

– To ludzkie dziecko w tobie przesadnie krępuje nagość.

On wcale się nie przejmuje, pomyślała. Stał na brzegu jak go Pan Bóg stworzył, z połyskującą w słońcu skórą na muskularnym ciele wojownika.

Sama więc ściągnęła mgłę, zanim wyszła z wody.

Wysuszyła włosy, wodząc po nich dłońmi, a Keegan wytarł Fąfla. Kiedy się ubierali, zamyślona, podniosła oczy na Keegana.

– Wierzysz w to, co powiedziałeś wcześniej, że wszystko złe się skończy raz na zawsze.

– Tak. Tak samo, jak wierzę, że nie będziesz musiała poświęcić życia, żeby to się spełniło.

– Dlaczego tak uważasz?

Wzruszył ramionami.

– To oczywiste.

– A jak się skończy?

– Odran zginie, w Talamh zapanuje spokój, ty, zadowolona, będziesz mieszkać w swojej chacie i pisać książki z psem drzemiącym przy kominku i Brianem z Marco po sąsiedzku. A kiedy zechcesz, będziesz przechodzić przez portal do Talamh.

W „swojej” chacie. Mocno ją to ubodło. Jej, nie ich.

– Szczęśliwe zakończenie.

– Nie dla Odrana. Natomiast dla nas wszystkich jak najbardziej. Jesteś kluczem i kiedy otworzysz zamek, nastąpi koniec. Będziemy wspierać cię walką i niektórzy z nas polegną. Trudno. Ale mimo wszystko to dobre zakończenie i ja w nie wierzę. A wiara wzmacnia magię. I ty też uwierz.

– Popracuję nad tym.

Chciała mu powiedzieć, że go kocha, jednak się wstrzymała. Nie ze strachu, ale z tego samego powodu, z którego zabroniła Keeganowi poinformować rodziców Shany o jej śmierci. Co dobrego z tego przyjdzie, jeżeli się okaże, że wiara nie wystarczy, żeby unicestwić Odrana. Jeżeli ona zginie, trudniej mu będzie żyć, gdy zapamięta, co ona czuła, czego chciała, na co liczyła.

– Popracuję nad tym – powtórzyła i wzięła go za rękę.

Rozdział 29

Wiosna błyskawicznie mijała. Breen pamiętała, jak w jej dawnym życiu maj i te ostatnie tygodnie przed wakacjami wlekły się bez końca. A teraz maj pędził z elfią szybkością. Dni mijały błyskawicznie i nie dawały się zatrzymać.

W czerwcu walczyły w niej sprzeczne emocje. Z jednej strony bardzo chciała, aby to wszystko się skończyło, pragnęła szansy na życie bez strachu i zagrożeń, a z drugiej bała się tego, co nastąpi.

Co musi nastąpić.

Mówiła sobie, że dostała od losu cudowny rok, z miłością, poznawaniem siebie i spełnianiem marzeń. I w razie czego tyle powinno jej wystarczyć. A jednocześnie nie przestawała szukać odpowiedzi w ogniu i dymie, w płomykach świec, kuli i w snach. Jednak wizje pozostawały milczącymi, tajemniczymi cieniami.

Pracowała w ogrodzie i znalazła prawdziwą radość w obserwowaniu rozwijających się kwiatów, pielieniu grządek, okopywaniu ziemniaków i uczeniu się podwiązywania krzaczków pomidorów.

Pisała. Pisanie stało się ucieczką od złych myśli. Skończyła drugi tom przygód Fąfla i bez długiego zastanawiania się nad klawiaturą wysłała plik do Nowego Jorku. Potrzeba ucieczki sprawiła, że gdy tylko złapała oddech, siadła do pisania następnej książki. I miała nadzieję, że pożyje na tyle długo, aby ją dokończyć. Pożyje w tych dwóch światach cudu.

Trenowała, a jej urazy i sińce według skali Keegana uchodziły za lekkie i powierzchowne. Praktykowała magię z Marg i na własną rękę. Wszelka zdobyta wiedza, każda dopracowana umiejętność czyniły ją silniejszą.

Pomagała w planowaniu i organizacji festynu.

Marco chciał, żeby wystroiła się na festyn w którąś z tych letnich sukienek, kupionych za jego namową w Nowym Jorku, ale ona się nie zgodziła. Przecież jeżeli przyjdzie jej walczyć na śmierć i życie, nie będzie robić tego w zwiewnej kiecce.

A poza tym, i tu Marco z nią się zgodził, miecz przypasany do boku popsulby cały efekt.

– Mam nadzieję, że w Talamh świeci słońce – powiedział. I chociaż dostarczył już swój wkład w postaci szynki glazurowanej miodem, a Brian wcześniej zataszczył kartony z wypiekami, to Marco zamierzał jeszcze coś dorzucić.

– Tak.

– Co tak?

– Świeci. W Talamh jest pogodny dzień.

– Skąd wiesz? Zaczekaj. Możesz stąd sprawdzić pogodę? – Przewrócił oczami i kuksnął ją łokciem w bok. – Do diabła, czemu wcześniej o tym nie wiedziałem?

– Kiedy się przekonałam, że to potrafię, pomyślałam, że chyba jednak wolę niespodzianki. Ale dziś sprawdziłam.

– Dziewczyno, wyjmij mi okulary przeciwsłoneczne z kieszeni, załóż mi na nos.

Zgodziła się, bo niosła mniej pakunków.

Dzisiaj Marco związał dredy czerwoną, skórzaną opaską, dobraną odcieniem do T-shirtu i tramppek. Trampki miały srebrzyste sznurowadła, które współgrały z paskiem i kolczykiem w uchu.

Fąflowi na kosmatym czubie zawiązał tęczową wstążkę i pies chyba był zadowolony.

Marco zgłosił się do wielu konkursów – dzisiaj zaprezentuje ciasto wiśniowe i biszkopt z truskawkami. Poza tym miał mnóstwo obowiązków. Był jednym z sędziów w konkursie na dżemy owocowe, koordynował dwa z wielu wyścigów dla maluchów, a w wolnym czasie obsługiwał stoisko z barterem na słodycze.

Razem z Breen – zdecydowanie pozostał głuchy na jej wykręty – mieli pomagać w organizacji występów muzycznych.

Marco, zdaniem Breen, czuł się w Talamh jak ryba w wodzie i idealnie wkomponował się we wspólnotę w dolinie.

– Za kilka godzin Brianowi kończy się służba przy portalu. On jest w pierwszej transzy zawodów łuczniczych i muszę tam być, żeby mu kibicować. Ty wiesz, jak bardzo musiałem go namawiać, żeby wystartował?

– Dobrze zrobiłeś. Skupienie się na zajęciach pomaga stłumić żal. Będzie mu ciężko patrzeć na podniebne akrobacje jeźdźców na smokach.

– No i myślałem nad tym, żeby jakoś upamiętnić Herosa. Może posadzić jakieś drzewo przy naszej chacie, ale nie wiem, czy Brianowi nie będzie ciągle przypominało jego smoka.

– Uważam, że to bardzo dobry pomysł, a z czasem przypominanie zmieni się we wspomnienia. Nie musiała widzieć jego oczu za ciemnymi szklami okularów, żeby wiedzieć, że są pełne smutku.

– Tak sądzisz?

– Tak. Ładne drzewo, a pod nim ławka. Któryś z kamieniarzy mógłby wyrzeźbić na niej jakiś smoczy motyw.

– Smoczy motyw – powtórzył półgłosem. – Taak. Dzięki za odpowiedź. – Przed Powitalnym Drzewem poprawił niesione oburącz kartony – Gotowa na festyn?

– Nie aż tak jak ty, ale gotowa.

Przeszli na obiecane słońce i uderzyła ich feeria barw.

Jak tu kolorowo, pomyślała. Też pomagała przy mocowaniu flag i girland, ozdabianiu stoisk, obwiązywaniu chorągiewkami lin dzielących teren na boiska do różnych konkurencji, a jednak ten widok ją zaskoczył.

Nad ogniskami wił się dym, niosąc zapach piekących się mięs. Na straganach osłoniętych barwnymi markizami leżały ciasta, owoce, warzywa i wyroby rzemieślnicze.

Żongler tańczył na drodze, a potem rozwinął niebieskie skrzydła i kontynuował pokaz w powietrzu. Dzieci kręciły się po łące z lizakami albo ciastkami w ręku. Inne biegały, popychając patykiem metalowe obręcze.

Breen zobaczyła, że tak jak zaplanowali, przynajmniej troje dorosłych trzymało się w pobliżu dzieci. Wojownicy niby od niechcenia przechadzali się między straganami, stoiskami i chatami, ale wiedziała, że każdy z nich był przygotowany, gdyby okazało się, że to właśnie ten dzień.

– Rany, ale tu pięknie. Zupełnie jak na planie filmowym. Breen, posłuchaj, jak ta dziewczyna gra na flecie. Laska ma talent!

Niektóre kobiety były w sukniach mieniących się kolorami, inne zdecydowały się na spodnie albo legginsy tak jak Breen. Łatwiej w nich się poruszać, gdyby doszło do walki, uznała, wybierając strój na festyn. Chociaż trochę było jej żal, że nie ma na sobie zwiewnej letniej sukienki.

Pozwoliła Fąfłowi pobiec przodem. W paru susach znalazł się za murkiem, by przywitać się z Darling – przystrojoną wstążkami i malutkim dzwoneczkami.

Finola szybkim krokiem wyszła im naprzeciw.

– Jesteście! Och, będą dodatkowe słodycze! Wiesz, Marco, że z tych herbatników, które przysłałeś przez Briana, nie zostały nawet okruszki?

– Tak? Niosę kolejną dostawę.

– Zrobiłam kilka wymian w twoim imieniu, myślę, że będziesz zadowolony. Ciasto i biszkopt zanieś do namiotu konkursowego, mniej więcej za godzinę zacznie się sędziowanie. – Torowała im drogę między kręcącymi się ludźmi. – Straciliście pierwszą rundę pokazów siły. Jak się spodziewano, wygrał ją Loga, ale wiecie co, młody Ban ostro z nim rywalizował, więc on i jeszcze trzech innych siłaczy przeszło do następnej rundy.

– A jest Sul? – chciała wiedzieć Breen.

– Och, tak. Sekundowała Lodze z maleństwem w nosidełku na plecach. Mała Breen z Trolli ma zaledwie miesiąc, a wygląda tak, jakby już mogła startować w pokazach siłowych.

Zatrzymała się ze splecionymi dłońmi.

– Marco, tutaj cię umieścimy. Dobre miejsce, jak ja to mówię, na widoku. I możesz stąd oglądać zawody łuczników, pewnie niedługo się zaczną. Podoba mi się, że wszystkie markizy są białoczerwone. Ładnie to wygląda.

– A ty jak ładnie wyglądasz – skomplementował Finolę Marco.

Odpowiedziała mu powłóczyстым spojrzeniem.

– Obudziłam się w różowym humorze, to i ubrałam się w różę. – Zakreśliła się w sukni w najbledszym z bladych odcieni różu i spódnica zawirowała wokół jej kolan. – Mamy taki udany dzień. Oczywiście szkoda, że nie ma z nami Keegana, ale jako *taoiseachowi* wypada mu otworzyć festyn w Stolicy. Nic się nie martw, Breen, na pewno wieczorem nie zabraknie ci tancerzy.

Breen skwitowała te słowa uśmiechem i weszła pod markizę straganu.

– Marco, zanieś ciasta do namiotu konkursowego. Poukładałam na ladzie twoje wypieki, oczywiście jeżeli uważasz, że poradzę sobie z ich wymianą.

– Naprawdę mnie zastąpisz?

– Jasne. Mam stąd świetny widok.

– Jak to mówimy, pierwszorzędne miejsce. – Finola puściła do niej oko.

Breen wiedziała, że ani na chwilę nie zostawią jej samej. Zgodnie z kolejną częścią planu cały czas ktoś miał jej towarzyszyć albo dyskretnie nad nią czuwać.

Morena w zebrane na czubku głowy trzy warkocze wplotła dzwoneczki, które delikatnie dzwięczały, gdy włosy obijały się o plecy. Tak jak Breen przysłała w legginsach i dobrała do nich koszulę w esy-floresy w różnych odcieniach fioletu. Przypasała do boku krótki miecz, a Breen wiedziała, że za cholewką wysokiego buta ma ukryty sztylet.

– Dzięki bogom, przynieśliście tego więcej. Trolle w mig wszystko sprzątnęli, reszta uczestników nie miała szansy niczego spróbować. Zastąpimy cię z Breen, a ty biegnij wystawić ciasta na konkurs.

– Dzięki. Zaraz wracam.

Morena obeszła stragan i zajrzała pod ladę. Leżały tam złożone na stertę miecze, łuki i kołczany.

– No, wszystko świetnie się rozkręca – powiedziała zadowolona. – Maluchy szaleją podniecone. Aisling ma pełne ręce roboty, organizując ich w grupy do gier. Widzisz Harkena? Pomaga przy przejażdżkach na kucach i wyścigach konnych. Linia startowa jest w pobliżu chaty Marg. On też nieźle musi się uwijać. – Opowiadając, podniosła pokrywę z pudła z herbatnikami. – Marg ma stoisko z włóczkami, swetrami, czapkami, szalami i różnymi drobiazgami niedaleko chaty mojej babci. W życiu nie ostrzygłam tyłu owiec co tej wiosny.

Daje mi znać, gdzie kto jest, domyśliła się Breen.

– Będę musiała tam zajrzeć – co prawda włóczki mnie nie interesują, bo nie robię na drutach, ale może jakiś sweter wpadnie mi w oko. Czy Sedric jest z nią?

– Kawalek dalej ustawił stragan ze swoimi wypiekami. Zapowiada się ostra rywalizacja w namiotach konkursowych.

Rozmawiały jak dwie przyjaciółki, zupełnie niezainteresowane tym, co wokół się dzieje. Wkrótce też pojawili się pierwsi klienci. Ponieważ Morenie lepiej szło targowanie, Breen przypadło pakowanie ciastek.

– Słyszałam, że Tarryn ma jutro się zjawić z kilkoma smoczymi jeźdźcami – mówiła dalej Morena. – Chce spędzić trochę czasu z rodziną. Keegan po przedpołudniu w Stolicy odwiedza festyny w środkowej części Talamh, a potem leci na północ, południe i Daleki Zachód. W dolinie zjawi się dopiero na przesilenie.

Oczywiście Breen to wszystko wiedziała, ale słuchanie tych słów ją uspokajało.

– Szkoda, że twoja rodzina nie może przyjechać i zobaczyć, jak to wszystko pięknie wygląda w dolinie.

– Mają mnóstwo zajęć w Stolicy.

Stolica potrzebowała wojowników gotowych do walki oraz osób, które zadbają o bezpieczeństwo najmłodszych.

Breen pomyślała, że absolutnie nie wyczuwa tutaj zagrożenia. Było radośnie i kolorowo, festyn przypominał atmosferą jeden wielki piknik. Ojcowie nosili dzieci na ramionach, ludzie dopingowali i oklaskiwali zawodników startujących w konkursach. Pary spacerowały, trzymając się za ręce, a flagi i girlandy powiewały na ciepłym wietrze.

Dochodziło popołudnie, gdy Marco z piękną kokardą przypiętą do rękawka T-shirtu dumnym krokiem podszedł do ich straganu.

– Sedric był lepszy w kategorii biszkoptów, ale nikt nie przebiję mojego kruchego ciasta z truskawkami. Na pewno umieszczę ten przepis w swojej książce.

Poszli popatrzeć na pierwszą rundę zawodów łuczniczych.

– Jak się bawisz, moja Breen? – zapytał Marco, obejmując ją ramieniem.

– Fantastycznie, chociaż czuję, że czeka mnie kolejne mozolne sprzątnięcie kuchni, bo wszystkie twoje ciastka i tarty zniknęły.

– Na jutrzejszy konkurs upiekę chleb sodowy. Nie wierzę, że uda mi się pokonać Finolę, ale trzeba próbować.

Widzieli, jak Morena i Brian przechodzą do drugiej rundy. Breen śmiała się aż do bólu żeber, patrząc na wyścigi dzieci w workach. Wmieszana w grupę gapiów, dopingowała jeźdźców na koniach, kiedy Harken dał sygnał do startu.

Razem z Marg obchodziły stoiska i wymieniały się towarami.

A gdy zapadł wieczór, śpiewała z Marco, tańczyła z Sedrikiem, Brianem i z sennym Kavanem na rękach z główkę opartą na jej ramieniu.

Po zachodzie słońca zapłonęły ogniska.

Finian wsunął rączkę w jej dłoń.

– Mama mówi, że możemy zostać tylko kilka minut.
Obejrzała się i zobaczyła Kavana śpiącego w ramionach Mahona i Kelly w nosidełku u Aisling.
– Jutro będzie jeszcze więcej zabawy i gier.
– Jutro są pokazy smoków. Znowu śnił mi się mój smok, ten, na którym, jak kiedyś mówiłaś, będę latał – zwierzył się jej Finian.

– Naprawdę? – Wzięła na ręce zmęczonego malca, żeby mógł się o nią oprzeć.
– Myślisz, że to będzie niedługo? Naprawdę dobrze jeżdżę konno, ale tata jeszcze nie pozwala mi się ściągać.

– Myślę, że to będzie prędzej, niż sądzisz, ale nie tak szybko, jakbyś chciał. Twój smok nadal potrzebuje swojej mamy.

– Uzdrowiłaś go wtedy, czułem to – mówił, a Breen patrzyła, jak opadają mu powieki. – Tamci mroczni go skrzywdzili i jego światło prawie zgasło. Ale ty je znalazłaś i rozjarzyłaś.

– Czułaś to czy widziałaś?

– I czułem, i widziałem. Mógłbym polatać z tobą i Fąflem na twoim smoku?

– Jeżeli mama ci pozwoli, czemu nie.

Odwróciła się, żeby zanieść malca do Aisling, i wtedy to zobaczyła. Zobaczyła w ogniu i dymie.

Zobaczyła świat Odrana i siebie w nim. Bure niebo, wzburzone morze, czarny zamek i poszarpane klify.

Stała z mieczem poplamionym krwią, a złotymi szatami Odrana targał wzywany przez niego wściekły wiatr. I zobaczyła w ogniu wybór, którego dokonała. I koniec, który po nim nastąpił.

– Widziałem cię – wymamrotał Finian i ziewnął, wtulając się w nią. – Widziałem cię tam. Gdzie byłaś? Nie znam tego miejsca. Było brzydkie. Na pewno brzydkie, chociaż nie widziałem go wyraźnie. Masz zostać z nami w dolinie, bo tutaj jest ładnie.

Zobaczył, ponieważ ona widziała. A moc tego dziecka ciągle rosła. Nie miał nawet czterech lat i nie powinien oglądać takich mrocznych miejsc.

– Jutro znowu przyjdę w dolinę – obiecała i musnęła ustami jego włosy, posyłając mu dobre sny.

Zasnął tak, jak zasypiają małe dzieci, mocno i ufnie. Oddała go zaraz rodzicom i odprowadziła wzrokiem całą piątkę.

– Tylko mi nie mów, że już stąd się zwijasz – rzucił Marco.

– A kto tak powiedział?

– Zazwyczaj ty tak mówisz.

– Zastanawiam się, dlaczego ze mną nie zatańczysz.

– Taak? – Wziął ją za rękę, odwrócił od ognia, od wizji i poprowadził do tańca.

Tej nocy spała kamiennym snem, dopiero nad ranem w kruchych godzinach przed świtem musiała odpędzać od siebie sny, które zakradały się jej do głowy.

Dlatego wstała i zabrała Fąfla na wczesną kąpiel. Wykrzesła światło, żeby wzmocnić poświętę rzucaną przez chochliki i poszła popatrzeć na ogród. A potem przeszła przez altanę i podziwiała postęp robót przy chacie Marco. On już zdecydował, że pomaluje mury na żółto, w słonecznym odcieniu żonkili, dzięki czemu chata będzie radośnie wyglądała nawet w najbardziej pochmurne dni. Oczywiście wyobraźni zobaczyła, jak Marco krząta się w kuchni albo tworzy coś w skupieniu w pokoju muzycznym.

Ten jeden rok przyniósł tyle zmian. Takich niezwykłych zmian.

Wróciła do domu, otworzyła blog i napisała o ogrodzie, o chacie Marco i wszystkich darach, które dostała od losu w ciągu jednego roku życia.

Marco również wcześniej wstał i zajął się pieczeniem chleba. Brian zajrzał do kuchni i pocałował go na do widzenia, a Breen przypadło mycie naczyń.

Znowu poszli do Talamh objuczeni kartonami.

Tym razem oboje stanęli za ladą straganu i stamtąd obserwowali Morenę, która uczyła oblatywania jastrzębia. Gdy Breen zobaczyła jeźdźców na smokach nadlatujących ze wschodu, posadziła Finiana na Lonarcha i dołączyła do nich, spełniając marzenie małego chłopca.

Kiedy wylądowali, malec pobiegł prosto do Tarryn.

– Widziałaś mnie, babciu? Widziałaś?

– Oczywiście, leciałaś jak wiatr. A podziękowałaś Breen za przejażdżkę?

– Tak, tak, ale jeszcze jej dziękuję. Chodź, zobaczysz, jak zdobywam nagrodę w rzucaniu piłki.

– Za chwilę do ciebie dołączę. – Kiedy Finian odbiegł, Tarryn wyciągnęła ręce do Breen. – Zapaliłaś światło w jego oczach.

– Raczej Lonarch.

– Jedno i to samo. Och, cieszę się, że jestem w dolinie. Nie powiem, festyn w Stolicy jest wspaniały, ale już bardzo chciałam znaleźć się tutaj. Dobrze się bawisz?

– Cieszy mnie każda minuta. Minga nie przyleciała?

– Nie tym razem. Jest tam potrzebna. Tak samo jak Keegan. Ale jutro już będzie z nami.

Jutro, pomyślała, patrząc, jak Finian zdobywa nagrodę, a Morena i Brian przechodzą do kolejnego etapu strzelania z łuku. Potem razem z Marg usiadły na murku i pałaszowały paszteciki pełne pysznie doprawionego mięsa.

Lepszy okazał się chleb sodowy Finoli, za to tarta cytrynowa z beżem Marco zostawiła konkurencję daleko w tyle.

– No proszę, aż dwie kokardy. – Marg udała smętne westchnienie. – Zawstydzasz nas, Marco.

– Poczekaj do jutra, gdy zobaczysz moją babkę piaskową. – Podekscytowany, opadł na murek obok nich. – Skoro mowa o jutrze, to będę kibicował Brianowi, mojej prawdziwej miłości. A ty, Breen, masz kibicować Morenie. Jedno z nich musi zdobyć złotą strzałę. Dobrze, że nie ma Keegana i nie bierze udziału w zawodach. To taka niedogodność wynikająca z roli *taoiseacha*. Brian twierdzi, że nikt nie pokonałby go w strzelaniu z łuku, a ty, Breen, musiałabyś mu kibicować, bo go kochasz. I tylko mi nie mów, że tak nie jest.

Wzruszyła ramionami i w tej samej chwili się zorientowała, że naśladuje gest Keegana.

– Kibicowałabym Morenie przez dziewczynską solidarność.

Marco uniósł brwi i trącił Marg łokciem.

– Widzisz, ona nie protestuje.

Breen cieszyła każda minuta tego dnia, a on tak niepostrzeżenie minął i jakby za szybko weszły księżyce.

A gdy nadszedł świt najdłuższego dnia w roku, stała w Talamh, obserwując nadejście światła, słuchając śpiewu kamieni. I czuła wzbierającą w powietrzu magię. Nie mogłaby prosić o nic piękniejszego ani o silniejszy znak, że dokona właściwego wyboru. Że gdy ponownie nadejdzie najdłuższy dzień, pojawi się światło i zaśpiewają kamienie.

Marco w swoim stylu przejął kontrolę nad kuchnią i z okazji przesilenia przygotował wielkie śniadanie. Breen siedziała przy stole z tymi wszystkimi ludźmi, których kochała, słuchała ich rozmów, patrzyła na ich twarze.

Nie, nie mogła prosić o nic więcej.

– Szczególny dzień – zauważył Marco, gdy wracali ścieżką do Talamh z wypadu do chaty po ostatnią górę wypieków. – Wiesz, może właśnie taki ma być. Świętowany biesiadami i imprezami. Nikt nie widział żadnych niebezpiecznych znaków w ostatnich dniach, prawda?

– Marco, proszę, nie łudź się. Musisz być przygotowany.

– Jestem. Dziś wygrywam trzecią kokardę, bo nikt nigdzie nie jadł czegoś tak pysznego jak moja zagrzebista babka piaskowa.

– Nie zaprzeczam, bo ją znam.

– Słusznie. I jestem gotowy walczyć z tym psycholem, jeżeli spróbuje nam zepsuć zabawę. Mamy ciebie, Breen, dzisiaj i zawsze.

Przeszli na drugą stronę.

– Dobrze, że jesteśmy wcześniej. Chcę zobaczyć, czy Loga utrzyma tytuł. Rany, Breen, popatrz na pokazy zonglerów. Jak oni przerzucają się płonącymi pochodniami. Cirque du Soleil nie miałyby czego szukać w dolinie. – Odprowadziła go do stoiska. – Marco, tutaj znalazłeś dom, a drugim będzie twoja chata. Oboje teraz żyjemy w dwóch światach, a przez większą część życia nigdzie nie czuliśmy się u siebie.

– Poza U Sally.

– Poza U Sally.

– Oho, widzę, że coś cię gryzie, dziewczyno. – Dotknął palcem miejsca między jej brwiami. – Ty coś... – Urwał, uśmiechnął się, obrócił ją i pokazał palcem na niebo. – Zobacz.

Zadarła głowę i zobaczyła Keegana na Crodze w asyście dwóch jeźdźców.

Rozległy się wiwaty i wyobraziła sobie, jak przetaczają się przez całą dolinę. *Taoiseach* jest w domu.

Została przy straganie. Wiedziała, że upłynie sporo czasu, zanim on do niej dołączy. Najpierw obowiązki, powinności, tradycja.

Rozumiała to.

Kiedy zbliżał się do straganu, ludzie rozstępowali się na boki. Obejrzał wyłożone wypieki i wska-

zał tartę z brzoskwiniami.

– Poproszę. Co na wymianę?

– Myślę, że *taoiseacha* barter nie obowiązuje.

– O nie, tak być nie może. Ważny jest wkład pracy i umiejętności. Czy masz w tym swój udział?

– Jeżeli liczy się obieranie brzoskwiń i sprzątanie po pieczeniu.

– To oczywiste. W takim razie dam to na wymianę. – Otworzył dłoń i pokazał kolczyki z szafirami, delikatne krople wiszące na srebrnych drucikach.

– Piękne, ale to za dużo za tartę.

– Przyjmij ofertę, kobieto. W Stolicy Ninia stwierdziła, że są stworzone dla ciebie, a więc je załóż.

– Wziął jej rękę, położył na niej kolczyki i sięgnął po tartę.

– Liam, chodź, popilnuj stoiska, dobrze? Załóż je – zażądał, ale zanim zdążyła to zrobić, złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. – Chcę się przejść, wyrwać się z tego zgiełku chociaż na cholernych pięć minut.

Przeniósł ją nad murkiem, wziął znowu za rękę i poprowadził po schodach na drugą stronę.

– Co ty wyrabiasz? Co cię wzięło? Wszyscy pomyślą, że wyciągnąłeś mnie stamtąd, żeby bzyknąć w lesie przypartą do drzewa.

– Czemu miałbym bzyknąć... aha, już rozumiem. – Zaśmiał się rozbawiony, przeczesując włosy takim gestem, który u niego świadczył o zmęczeniu. – Akurat mamy na to czas. Więc niech sobie myślą i Odran niech też tak myśli, bo niewątpliwie on nas ma na celowniku. To będzie dzisiaj. Jestem tego tak pewien jak własnego imienia.

Popatrzyła mu w oczy, takie zielone i skupione, w tej chwili pełne życia i światła.

– Tak, dziś – potwierdziła.

– Widziałas?

– Wyczuwam.

– Ja też. – Odszedł parę kroków. – Letnie przesilenie jest dla nas ważne i on o tym wie. Wydaje mu się, że pochłonięci świętowaniem, jesteśmy nieprzygotowani. I tu się myli. Chciałem z tobą porozmawiać w miejscu, gdzie on nie może nas widzieć i słyszeć, ale trochę to się opóźniło, bo Harken mnie zawiadomił, że Eryn, ta kłacz pokryta przez Merlina, będzie się żrebić.

– Dzisiaj? Czy Harken potrzebuje pomocy? Ja nigdy... Ale mogę spróbować.

– Poradzi sobie, twierdzi, że nie spodziewa się kłopotów. – Przeszedł krząć i spojrzał na nią, marszcząc brwi. – Czemu ich nie zakładasz? Nie chcesz ich? Nie trafiłem w gust?

– Nie, podobają mi się. Są śliczne, ale...

– No to je załóż, przynajmniej jeden problem spadnie mi głowy.

– No dobrze. O czym akurat tutaj chciałeś mi powiedzieć?

– Że to będzie dziś, ale już wiesz, i ostrzec cię, żebyś nigdzie się nie oddalała. Trzymaj się blisko.

Ja muszę pochodzić między ludźmi, porozmawiać z nimi, bo tego się ode mnie oczekuje. A ty pilnuj, żeby zawsze ktoś był przy tobie i nigdzie nie odchodź sama. – Położył dłonie na jej ramionach. – Bądź przygotowana. Będziemy walczyć. Tak jak zaplanowaliśmy, sprowokujemy go do przejścia między światami. W Talamh będzie słabszy niż u siebie. Podejmowaliśmy walkę z nim, odpieraliśmy jego ataki, jednak dotąd nie udało się nam go zgładzić.

– Rozumiem.

– Nie masz czego się obawiać. Cały Talamh stoi za tobą murem.

– Nie boję się.

Dotknięciem palca rozbijał kolczyk.

– Ładnie ci w nich. A więc bzyknąłem cię pod drzewem, dopilnowałem, żebyś też miała z tego satysfakcję, a teraz czas się zbierać.

Przygarnął ją do siebie. Ich usta stopiły się w pocałunku, a ona chłonęła jego smak, dotyk, zapach. Trwali przez chwilę mocno przytuleni.

– Polecisz ze mną do Stolicy. – Odsunął się i znowu ujął ją za ramiona, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Przelecimy nad całym Talamh i stanimy w takim miejscu, żeby wszyscy mogli nas zobaczyć i przekonać się, że mrok został pokonany.

– Jeszcze tak się nie stało. – Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy. – Ale będę z tobą i potem, gdy będzie po wszystkim, cały Talamh się o tym dowie.

Pocałował ją w rękę, u niego rzadki gest, zrobił to jednak z roztargnieniem, i poznała, że myślami jest już daleko.

W Talamh, na bitwie i potem, gdy już będzie po wszystkim.

– Nigdzie się nie oddalaj – powtórzył raz jeszcze, zanim przeprowadził ją z jednego świata do drugiego.

Otoczyły ją kolory, muzyka i gwar, i ruch. Otoczyła ją magia, która zmieniła, a właściwie stworzyła jej życie.

Odwróciła się do Keegana, ujęła w dłonie jego twarz, wspięła się na palce i pocałowała go, tutaj w Talamh, gdzie każdy mógł to widzieć.

Uśmiechnęła się do niego.

– Będę przy tobie i jestem gotowa. – Wracając do stoiska, widziała uśmiechy na znajomych twarzach. – Dzięki, Liam, jesteś wolny.

Odprowadziła wzrokiem Keegana, gdy przechodził przez drogę. Smoki leciały nad jego głową. Zieleniły się żyzne pola, zwierzęta pasły na łąkach. W stajni rodziło się nowe życie, a ona zobaczyła, że to będzie ogierek o umaszczeniu Merlina.

Oparła dłoń na łbie Fafla i chłonęła oczami jej świat, ich świat. Delektowała się spokojem. Absolutnym spokojem przez jeden krystaliczny moment.

Kiedy dźwięk rogu rozdarł ciszę i alarm rozległ się w dolinie, podniosła się i wyprostowała. Była gotowa.

Dokonała wyboru.

– Masz bronić dzieci – poleciła Faflowi i wyciągnęła miecz.

Rozdział 30

Wróżki rozpostarły skrzydła i przenosiły dzieci w bezpieczne miejsca. Elfy pędziły z maluchami w ramionach albo uczepionymi do ich pleców. Wielu uciekających przemknęło przez portal; przeczekają po drugiej stronie do czasu, kiedy będą mogli bezpiecznie wrócić do Talamh.

Bezpiecznie, pomyślała Breen, będzie bezpiecznie, jeżeli – nie, nie jeżeli – kiedy wygrają decydującą bitwę.

Wojownicy i wszyscy zdolni do walki chwyтали za miecze, łuki, maczugi i włócznie, których całe sterty czekały ukryte. Breen wzięła łuk, przewiesiła go przez ramię i zarzuciła kołczan na plecy.

Kilkoro Widzących zakłębieniem zmieniło namioty reklamowe we wzmacnione szpitale polowe. Na łąkach, gdzie jeszcze niedawno bawiły się dzieci, Fey uformowali linie obrony. I tak samo jak tu, w dolinie, działo się w całym Talamh.

Odran nie wedrze się do doliny. Nie zdobędzie Talamh.

Breen sięgnęła pod ładę straganu i wyjęła stamtąd wisior i tiarę. Będzie w nich walczyć.

Kiedy przywoływała smoka, wojownicy już pędzili drogą z głośnym tętentem końskich kopyt. Jeźdźcy na smokach formowali szyki, aby spod nieba wzmacnić obronę wodospadu. Zwiadowcy ruszyli na wschód, żeby dać sygnał, na wypadek gdyby wróg przełamał linię obrony przy następnym portalu.

Zastanawiała się, czy Sedric zdołał zasklepić przejście ze świata czerwonej winorośli i zamknąć napastników w pułapce? Wierzyła, że mu się udało.

Lonarch opadł na ziemię, a ona pobiegła, żeby złapać Fafla, po czym szybko dosiadła swojego smoka.

– Zaczekaj! Breen!

Marco dopadł do nich z kuszą i mieczem.

– Marco!

– Dam radę! Brian jest przy wodospadzie. Na pierwszej, cholernej linii frontu. Lecę z wami.

Nie oponowała.

– Nie pozwolimy ci spaść.

– Już wsiadłem.

Czuła, jak Marco dygocze, kiedy Lonarch odrywał się od ziemi.

Lecieli w kierunku toczących się walk. Chwilę później zrównali się z nimi Harken z Moreną na smoku.

– Lecimy z wami! – zawołała Morena. – Keegan i Mahon z tuzinem jeźdźców są już kawał drogi przed nami. Aisling przeprowadziła część dzieci na waszą stronę, a moja babcia resztę ukryła w schronie.

– A moja babcia, Sedric?

– Pułapka zastawiona zgodnie z planem – odezwał się Harken. – Tamtędy nie przejdą.

Breen widziała jeźdźców i wojowników Sidhe nadlatujących z Dalekiego Zachodu. Syrenoludzie mieli utrzymać linię morza i walczyć z zatoki. Trolle szli do walki z maczugami i włóczniami. Breen przysłała na myśl Sul i jej córeczka, która urodziła się w ładny majowy dzień.

Czuła, jak w gardle rezonuje bicie, walenie, łomot jej serca. To nie będzie przypominać bitwy o Drzewo z Węży. Wtedy wszystko działo się żywiołowo, a teraz wszelkie działania mieli zaplanowane i skoordynowane. Tym razem leciała, żeby walczyć, a nie ostrzec. Walczyć. Zabijać. Raz na zawsze położyć kres zagrożeniom. Powiedziała Keeganowi, że nie będzie się bała, a jednak odczuwała strach, że to, czym dysponuje, może nie wystarczyć.

Na moment zamknęła oczy, pozwoliła skupić się mocy i zagarnęła ją w siebie. Tak, tyle wystarczy.

Lecieli nad lasami, kierując się do wodospadu. Słyszeli huk spadającej wody, krzyki i szcęk zde-rzającej się stali, nozdrza wypełnił im odór dymu i śmierci.

Fąfel z groźnym warknięciem zeskoczył na ziemię i wbił zęby w gardło mrocznego hybryda pod postacią wilka. Breen obejrzała się na Marco, a gdy ich oczy się spotkały, dla pokrzepienia uściśnęła jego dłoń.

– Marco, nie daj się zabić.

Zeskoczyła na ziemię za psem.

Nie myśl, przypomniała sobie. Działaj.

Strumieniem mocy powaliła ruszającego na nią Elfa. Zablokowała cios mieczem mrocznej wróżki, gdy napastniczka, rozpoznawszy ją, sekundę się zawahała. Natarła na nią i wbiła swój miecz w jej serce.

Bierz do niewoli, nie zabijaj, przemknęło jej przez głowę. No, jasne!

To dawało jej przewagę i wykorzystała ją, walcząc mieczem, mocą, nogami i pięściami, tak jak nauczył ją Keegan podczas morderczych treningów. Używając tych wszystkich umiejętności, musiała powstrzymać przedzierających się wrogów. A oni cały czas napływali i było ich mnóstwo.

Odcięła łeb demonicznemu psu i wszystko w niej zatrzęsło się z obrzydzenia na widok rąk umazanych jego krwią i posmaku juchy w gardle.

Odwrociła się błyskawicznie i swoją mocą stawiała czoło mocy wiedzy o mrocznej twarzy i mrocznym sercu, która zbliżając się, przyczajona, rzucała miniaturowe kule ognia ostre jak pociski. Breen poczuła ukłucie, gdy jeden z nich drasnął ją w bok.

– To odrobina krwi – syknęła wiedźma z uśmiechem. – Odran chce resztę.

– Nie dostanie jej. – Breen skrzyżowała ramiona i przycisnęła dłoń do rany, a potem szeroko rozrzucała ręce, ciskając mocą i krwią.

Wiedźma stanęła w ogniu, z krzykiem rzuciła się do ucieczki i z jękiem runęła na ziemię, lizana przez płomienie, dławiona przez dym.

Z drzewa wyskoczył gargulec i z wystawionymi szponami wylądował na plecach Breen. Oszałały walką i zapachem krwi obnażył kły, gotów je w nią wbić. Zanim Breen zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, gargulec spadł na ziemię ze strzałą w grzbiecie.

– Osłaniam cię! – zawołała Morena, wypuszczając strzałę za strzałą w gargulce szykujące się do skoku z tego samego drzewa.

Fąfel wynurzył się z dymu i zagryzł jednego z nich, tego, który czołgał się po ziemi, zgrzytając kłami.

– Marco?

– Walczy jak szalony. Przedarł się do Briana. Uważaj na swoją prawą!

Breen obróciła się i przepołowiła to, co tam się czaiło.

– Brian jest ranny, niegroźnie. – Morenie skończyły się strzały, więc sięgnęła po miecz. – Harken zamknął ranę. Ty też jesteś ranna.

– To drobiazg. Moreno, jest ich zbyt wielu.

– Tak. Musimy się wycofać, niech nas ścigają, zwabimy ich na drugą linię. Keegan... Ach, patrz, on tak samo pomyślał.

Breen spojrzała w górę. Keegan nadlatywał na smoku. Croga zawisł nisko nad ziemią, a Keegan wychylił się, chwycił Breen za ramię i wciągnął ją na jego grzbiet.

– Moreno, wycofaj się.

Kiedy dźwięk rogu dał znak do odwrotu, Morena rozłożyła skrzydła.

– Krwawisz – zauważył Keegan.

– Zatamuję krew.

– No to zatamuj. Przerzedziliśmy ich szeregi. I to znacznie. – Obrócił Crogę, a smok, ziejąc ogniem, stworzył płonąca barierę, żeby spowolnić pościg. – Ci na drugiej linii zadadzą im jeszcze boleśniejsze straty. A ty trzymaj się za linią, bo gdy uderzą, zorientują się, że zostali wciągnięci w pułapkę.

– Mogę walczyć.

– I będziesz, ale za linią. Niektórzy zdołają się przedrzeć i wykończymy ich na trzeciej linii.

Wzniósł się ponad szyki łuczników, wojowników z mieczami i z włóczniami.

– Stać! – krzyknął. – Dopóki nie wynurzą się zza drzew. Wtedy ruszycie i zbierzecie naszych rannych. – Jeźdźcy! – Zawrócił w stronę wojowników na smokach zawisłych w bezruchu. – Smoki zieją ogniem dopiero na mój rozkaz.

Zanurkował nad ziemię.

– Zsiadaj, Breen. I biegnij za linią. Utrzymaj pozycję. Tylko za linią.

Zeskoczyła na ziemię. Czekanie okazało się bardziej denerwujące niż walka. Rozpędzone do galopu serce dudniło jej w uszach.

Z wojowników dosłownie biła energia. Gorąca, nieruchoma energia. Przez chwilę cały świat wydawał się rozgrzany się do czerwoności i zastygły w bezruchu. Bez tchnienia wiatru pod zuchwałym jaskrawym słońcem najdłuższego dnia.

Morena, znowu z pełnym kołczanem, opadła na ziemię obok Breen.

– Pierwsze tutaj dotarliśmy. Oni pomyślą, że uciekamy, że przełamali front.

Nadleciał Harken i Breen o mało nie rozplakała się z radości, widząc, że leci z nim Fąfel. Ścigały ich dzikie, plemienne okrzyki. Na drugiej linii frontu zabiły bębny.

Przyleciał Brian i opasał Marco ramieniem.

– Pomogę mu. – Morena poderwała się w górę i objęła go z drugiej strony, żeby ulżyć Brianowi.

Upuścili Marco obok Breen, a sami, machając skrzydłami, zawisli nad ziemią, Brian z wyciągniętym mieczem, Morena ze strzałą na napiętej cięciwie.

– Brian jest ranny, ale to nic poważnego. Nic złego.

Breen chwyciła Marco za rękę, szczęśliwa, że nie widzi plam krwi ani na jego twarzy, ani na ubraniu.

– Jezu, Breen, oni nadchodzą.

– Łucznicy! – zawołał Keegan z góry. – Spokój!

Wypadli zza drzew z triumfalnymi okrzykami. Cała chmara na ziemi i w powietrzu.

– Teraz!

Przywitał ich grad strzał. Triumfalne okrzyki przeszły w jęki bólu.

– Jeźdźcy! *Lasair!*

Smoki z ogłuszającym rykiem zionęły ogniem, zawirowały złote, czerwone i szaroniebieskie płomienie. Okrzyki zastąpiły rozdzierające wrzaski. Wrogowie płonęli, wijąc się z bólu. Gęsty czarny dym przetaczał się nad ziemią i dławił zaduchem śmierci.

Ci, którzy uniknęli strzał i płomieni, nadal parli do przodu.

Na rozkaz Keegana natarli na nich Fey.

– Jestem gotowa – szepnęła Breen.

I znowu rzuciła się do walki ze skrzydlatymi, szponiastymi, ciskającymi mocą i szczerzącymi kły, tymi wszystkimi, którym udało się przedrzeć poza linię obrony.

Czuła, że atak słabnie. Nawet jeżeli garstka napastników zdoła się przemknąć, szybko zostaną pojmani lub uśmierceni.

Jednakże to nie jest jeszcze ostateczne zwycięstwo.

Czy do niego dojdzie? Tego jej wizje nie pokazały. Jeżeli Odran przyjdzie po nią do Talamh, co to oznacza dla Fey? Nawet osłabiony nadal pozostaje bogiem.

Potwornie zmęczona, przetarła piekące oczy. I w tej samej chwili usłyszała krzyk Marco.

Błyskawicznie się obróciła i zobaczyła, jak jej przyjaciel pada na ziemię. Zobaczyła jego poszarzałą twarz, krew wsiąkającą w koszulę i Elfa z wyszczerzonymi kłami gotującego się do zadania śmiertelnego ciosu. Wezbrała w niej wściekłość i moc. Jednym uderzeniem zmieniła Elfa w pył. Opadła na kolana przy Marco i ze łzami w oczach podrażnionych dymem przycisnęła dłoń do głębokiej i długiej rany w jego boku.

– Zamknę ją, zasklepię – wydusiła, szcękając zębami, bo strach o niego wyparł wściekłość.

W tłumie toczącej się wokół nich bitwy spojrzenie Breen zawisło na szklanych oczach przerażonego Marco.

– To wcale nie boli – wyszeptał.

– Będzie boleć. Wybacz, ale muszę ją zamknąć.

Długo i głęboko wnikała w ranę, znieczulona na ból, który brała z niego na siebie. Nie widziała krwi na swoich dłoniach, nie słyszała szcęknięcia zderzającej się stali. Liczył się tylko Marco. Jej przyjaciel, jej brat. Marco, który nigdy jej nie zawiódł. To on otworzył ją na marzenia i skoczył z nią, dla niej, do innego świata.

Pot spływał jej po czole, mieszał się ze łzami i krwią, którą wciskała mu głęboko w ranę. Wzięła na siebie jego ból, mimo to jego naprężone ciało mówiło, że on jeszcze bardzo cierpi.

– Śpij, natychmiast zaśnij. – Im obojgu będzie lżej, gdy spłynie na niego sen. – Kiedy się rozluźnił, mogła spowolnić uzdrawianie.

Usłyszała za sobą krzyk i jakiś łomot, ale nawet na moment nie przestała działać. Nie mogła.

– Och, bogowie. – Stał nad nią Keegan. – Niech to szlag. Bardzo źle?

– Było, ale już jest trochę lepiej – wysapała. – Chyba lepiej. Potrzebuję więcej czasu.

– Tutaj go nie masz. O mało oboje nie straciliście życia. Przywołaj smoka, zabierz go do najbliższego szpitala polowego.

– Jeżeli go ruszę...

– Jeżeli tego nie zrobisz, on umrze, bo pierwszy z tych szubrawców, który tu dotrze, jego dobije, a ciebie porwie. Zabierz go stąd, Breen. Cholera jasna! – Puścił strumień mocy i coś krzyknęło rozdzierająco. – Breen, on nie jest tutaj bezpieczny.

– Tak, masz rację.

Lonarch opadł na ziemię.

– Osłaniaj nas, gdy będę go układał na smoku. Bądź czujna i broń się.

Bronić się, to za mało, pomyślała. Będzie zabijać. Uniosła miecz i gdy już miała go wbić w szar-

zującego na nią demonicznego psa, Fąfel wyłonił się z dymu i rozszarpał mu gardło, a potem wskoczył na grzbiet Lonarcha, nakrył Marco łapami i smętnie zawył.

– Odstaw go bezpiecznie – zwrócił się do niej Keegan. – Nie stracimy go.

– Nie, nie stracimy.

W drodze nie odrywała dłoni od Marco, żeby utrzymać go we śnie i ani na moment nie przerywać uzdrawiania. Gdy zbliżali się do szpitala polowego, zobaczyła babkę, Sedrica i paru zbrojnych walczących z garstką wrogów, którym udało się przedrzeć aż tutaj.

Niewielu ich, pomyślała, opuszczając się na ziemię, a jednak ciągle za wielu.

Zło ma dar przyciągania.

– Zabieramy go. Zajmiemy się nim, Córko. – Jeden z uzdrowiaczy zdjął Marco z grzbietu Lonarcha. Stary Ojciec ma więcej siły niż na to wygląda, pomyślała. – Sprowadziłaś na niego sen i rozpoczęłaś uzdrawianie. Bardzo dobrze, prawidłowo. Zajmiemy się tobą, Marco.

W namiocie leżało sporo rannych. Niektórzy już dochodzili do siebie, przy innych, pogrążonych we śnie, pracowali uzdrowiacze.

– Zobaczmy, co my tu mamy. Przyjrzyjmy się dokładnie. – Stary Ojciec położył kościste dłonie na Marco i zamknął oczy.

– Szytych wszedł głęboko. Widzę jego cień. Przebił wątrobę. Ale zaczęłaś ją zasklepiać.

– Możesz... Czy on przeżyje?

Uzdrowiacz otworzył oczy i zaczął delikatnie poruszać dłońmi nad raną. Breen, trzymając Marco za rękę, poczuła ciepły przepływ mocy.

– Naturalnie, że przeżyje. Ten nasz Marco jest młody i zdrowy, a ty, Córko, sama rozpoczęłaś uzdrawianie. Teraz zdaj się na mnie. Con, przynieś mi eliksir na utratę krwi i wywołany nim wstrząs.

– Dziękuję. Muszę włączyć się do walki. Wrogowie za bardzo zbliżyli się do namiotu. Fąfel, ty zostajesz. Pilnuj Marco.

– Córko, powinnaś przysiąc na moment, odzyskać siły po uzdrawianiu.

– Nie mogę. Moja babcia.

Wybiegając z namiotu, wybrała różdżkę zamiast miecza, bo stary uzdrowiacz miał rację. Była osłabiona.

Ruszyła na drogę, którą tyle razy chodziła w ostatnim roku, i zobaczyła, że nie jest tutaj już potrzebna. Marg i Sedric byli teraz sami. Wojownicy ruszyli w pościg za wrogami pierzchającymi przez pola. Ciała zabitych napastników leżały na drodze. Zawołała babcię, chciała zapytać, czy pomogłaby staremu uzdrowiaczowi ratować Marco.

I wtedy to się stało. Niespodziewanie, w ułamku sekundy, w mgnieniu oka.

Marg zdążyła się obejrzeć i spojrzeć z ulgą na Breen.

Moment później zawirowała za nią gęsta mgła i Yseult, wyłoniwszy się z oparów, cisnęła strumień czerwonej, ostrej, niszczącej mocy w plecy Marg. Sedric, zwinnie jak kot, wsunął się między kobiety i mocno obejmując Marg, zasłonił ją własnym ciałem.

Wziął na siebie śmiertelny cios.

Breen z krzykiem rzuciła się w pościg za Yseult, ale wiedźma zniknęła tak samo jak mgła. Sedric leżał na drodze, Marg opadła na kolana i zagarnęła go w ramiona.

– Nie, nie! Moja miłości, Światło mojego życia.

– Uratujemy go. – Breen wiedziała, że nie ma mocy, która w tym wypadku mogłaby pomóc, ale uklękła przy nich. – Razem, babciu.

Marg tylko pokręciła głową, łzy popłynęły strumieniem z jej oczu. Podniosła bezwładną dłoń Sedrica i przytuliła ją do policzka.

– Marg – wyszeptał.

– Jestem przy tobie, *mo chroi*. Jestem tutaj.

Breen wzięła jego drugą rękę i próbowała spleść palce z jego drętwymi palcami.

– Moja piękna Marg – wyszeptał jeszcze i zmarł w jej ramionach na drodze w pobliżu chaty, gdzie spędzili razem kawał życia.

Nabrzmiały rozpaczą krzyk Marg rozdarł powietrze i zatrząsł niebem. Zadrżała ziemia pod nią i jej ukochanym.

– Ile jeszcze można tego znieść? Yseult nie dożyje do końca tego dnia. Przysięgam na bogów, mroku i światła, ona nie doczeka końca tego dnia.

– Tak mi przykro, tak przykro. – Breen, łkając, tuliła babcię.

– Umarł za mnie i za Talamh. – Marg kołysała Sedrica w ramionach i przyciskała usta do jego sre-

brzystych włosów. – Tak długo żyliśmy dla siebie i dla Talamh. Odebrała mi go, odebrali mi syna. Sama wymierzę sprawiedliwość. – Trzymając Sedrica w ramionach, nachyliła się zapłakana i pocałowała go w usta.

– Babciu, nie możecie tutaj zostać, sprowadzę pomoc, trzeba go zabrać z tej drogi. Pójdę po pomoc.

Zdażyła przebiec nie więcej niż dziesięć metrów, gdy otoczyła ją gęsta mgła. Ledwo przedarł się przez nią ostrzegawczy krzyk Marg.

A więc tak to się odbędzie, Breen pomyślała chłodno i spokojnie. Yseult, dla odwrócenia uwagi i z małostkowej zawiści, chciała zabić Marg, a zabiła tego, który był ojcem dla jej ojca i dziadkiem dla niej.

Tak, pomyślała, sprawiedliwości stanie się zadość.

– Pokaż się, Yseult.

– Najpierw udamy się w podróż. – Głos dochodził ją ze wszystkich stron, przeciskał się przez mgłę. – Czas wrócić do domu.

– Świat Odrana nigdy nie będzie dla mnie domem, a mój prawdziwy dziadek zginął z twojej ręki. – Wiedziała, że się przemieszczają, suną z mgłą, ale udawała przed Yseult, że tego nie czuje. – Nie pójdę z tobą.

– Och, dziecko, naiwne dziecko, zostałeś stworzona dla jednego celu, twoje przeznaczenie czeka. Wszystko zostało zaplanowane na długo przedtem, zanim pierwszy raz zaczerpnęłaś powietrza.

– Przewidziałas to? Przewidziałas wszystko, co działo się od mojego pierwszego oddechu do teraz?

– Oczywiście.

Krętaczka. Słaba, tchórzliwa manipulatorka.

– Skoro tak, to dlaczego pozwoliłaś, abym pocięła ci skórę na paski?

– Okazałaś się mocniejsza, niż przewidywałam. Tamto małe poświęcenie zrekompensują mi nagrody, które dostanę, kiedy Odran przejmie twoją moc i uczyni ją swoją.

– Jego oddziały to zakrwawione, popalone trupy rozrzucone po Talamh.

– Och, naiwne dziecko – syknęła wiedźma, śmiejąc się ironicznie. – Po co mu one, skoro będzie miał ciebie. Klucz, który w końcu otworzy zamek.

Breen wyczuła, że zbliżały się do lasu. Tu i ówdzie jeszcze trwały potyczki. Słyszała bębny, szcęk stali, krzyki. Wkrótce wszystko się skończy.

– Boisz się pokazać? – prowokowała swoją prześladowczynię.

– Niedługo zobaczysz to, co masz zobaczyć.

– Wysłałaś Shanę, żeby zabiła Keegana.

– Głupia dziewczucha ze słabym, pomieszanym umysłem. Szkoda, że zawiodła, ale nic w tym nic dziwnego.

– Ty zawiodłaś wiele razy, Yseult. A teraz boisz się ze mną zmierzyć. Wiesz, że góruję mocą nad tobą.

– Czyżby? Przecież nie możesz rozproszyć mgły, prawda? Nie byłaś w stanie zablokować mojego uderzenia i teraz biedna Marg zawodzi i szlocha. Och, dla moich uszu to najpiękniejsza muzyka.

Są teraz nad rzeką, zielona woda, zielone światło. Tutaj walki już się skończyły.

Breen poczuła pulsowanie kamienia na piersi, gdy posuwały się wzdłuż rzeki do wodospadu. Za Talamh, pomyślała, i za Fey. Zamknięta w kokonie z mgły, przeniosła się do świata Odrana.

*

Dzieci bawiły się na trawniku przed chatą i nad zatoką. Beztriosko, jak to dzieci. Aisling, pilnując ich, modliła się z całych sił, żeby niedługo mogli wrócić do siebie, a wszyscy przywitali ich z otwartymi ramionami. Żeby jej mąż był bezpieczny. I jej matka, bracia i przyjaciele. Bezpieczni.

Podbiegł do niej Finian.

– Ona poszła do mrocznego miejsca, mamuś. Nie znam go.

– O czym ty mówisz?

– Breen. Breen Siobhan jest w tamtym miejscu, które zobaczyliśmy w pierwszą noc festynu.

W ogniu.

Zaniepokojona, przykucnęła przed nim.

– Fin, co tam widziałeś?

– Byłem senny i obraz się rozmywał, ale zobaczyłem ją w złym miejscu. Wtedy ona też tam siebie

widziała.

– Weź mnie za rękę, cofnij się myślami do tamtego wieczoru i wydobądź tamten obraz, żebym mogła go z tobą zobaczyć.

– To złe miejsce – powtórzył i wsunął dłonie w rękę matki.

Oczy mu się zapadły i pociemniały. Aisling była zaskoczona aż tak dużym pokładem mocy w małym dziecku. I z nim, poprzez niego, zobaczyła. Błyskawicznie podniosła się z kucek.

– Liam, Liam, masz przypilnować dzieci.

Podbiegł do niej, zły, że zrzuca na niego to zadanie.

– Co się dzieje?

– Muszę natychmiast przejść na drugą stronę. Odszukać Keegana.

– Nie wolno tam iść, dopóki oni nie przyjdą tutaj i nie powiedzą, że już jest bezpiecznie.

Stała z nożem wyjętym zza paska w jednej ręce i różdżką w drugiej.

– Ty mi mówisz, że nie wolno mi zrobić tego, co konieczne? Pilnuj dzieci.

*

Morena podfrunęła do Marg.

– Podobno Marco... Och, bogowie, Sedric. Marg...

– Yseult. Pojmała Breen.

– Ależ nie, ona jest przy Marco. Keegan powiedział...

– Yseult ją porwała. Zrobiła to. Nie wiem, ile czasu minęło, bo odurzyła mnie ta przekłeta mgła.

Moreno, nie zostawiaj Sedrica na drodze. Przenieś go w jakieś godne miejsce.

– Ściągnę Keegana.

– Nie wiem, ile czasu minęło – powtórzyła Marg, kiedy jej smok wylądował na drodze. – Zaczęło się ode mnie. Nie dopuszczę, żeby ją wzięli. Nie pozwolę.

Wsiadła na smoka i wbiła się w powietrze, akurat gdy nadbiegła Aisling.

– Zawróć ją, Moreno! Breen przeszła do świata Odrana. Zawróć Marg! Och, nie, nie, nie Sedric!

– A niech to piekło pochłonie! Marg ruszyła w pościg za Yseult. Ona uśmierciła Sedrica i porwała Breen. Ściągnę Keegana, musimy ruszyć na Odrana. Aisling, proszę, nie zostawiaj tutaj Sedrica. Zobacz, kawałek stąd jest szpital polowy. Marco tam leży.

– Jest ranny?

– Tak. Proszę...

– Leć już. Zajmę się Sedrikiem i zaopiekuję Marco. Pospiesz się!

*

Pomimo mgły wyczuła, że powietrze się zmieniło. Ochłodziło się, zgęstniało. Ponieważ sama używała mgły jako zasłony równie często jak Yseult, wiedziała, że część zastępów Odrana uciekła z powrotem do jego świata.

Wiedziała, że rozwścieczony, własnoręcznie zabił wielu swoich wojowników.

Słyszała gniewny pomruk morza pod skłębionymi chmurami.

Tak jak chciała, zobaczyła siebie, jak w kokonie mgły przechodzi przez klify za murami. Widziała basen ofiarny, nawet teraz pełen krwi. Dostrzegła ciała porzucane na stromych zboczach wysokich klifów.

Przeszła obok zwłok Torica. Skończył martwy na skałach, tak jak mu przepowiedziała. A więc Keegan się nie mylił, zakładając, że Odran uwolni banitów. Tylko po to, aby ich posłać na śmierć.

Szła przed siebie, jakby nie potrafiła oprzeć się przyciąganiu.

Aż wreszcie na najwyższym klifie, w rzedniejącej mgle stanęła twarzą w twarz z Odranem.

Miała na rękach i twarzy krew Marco i Sedrica. A ten, który spowodował tę krwawą rzeź, stał nie-skazitelny, odziany w czerń, ze złoto lśniąca bujną czupryną.

– A więc jesteś, wnuczko.

– Mój dziadek nie żyje. To bohater Talamh. A ty jesteś mordercą dzieci. Twoje szumowiny poniosły klęskę.

– Zawsze znajdują się następni. Yseult, zadowolonaś mnie. Teraz idź, zapieczętuj portal, żeby nikt mi nie zakłócił czasu, który zamierzam spędzić z wnuczką.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, mój królu, mój panie, mój władco.

Tak jest, zrób to, pomyślała Breen. Ponieważ wszystko skończy się w tym miejscu.

– Ona zginie z ręki mojej babki. Żadna pieczęć nie zatrzyma Mairghread O’Ceallaigh.

– Być może. – Zgodził się i z uśmiechem lekceważąco machnął dłonią. – Jak powiedziałem, zawsze znajdują się następni czy następne. Takie istoty jak Yseult mają nam służyć, a kiedy stają się nie-

przydatne, pozbywamy się ich. Proponowałem ci światy i władzę, światy i boską władzę.

– Kłamałeś.

Zaśmiał się i potrząsnął złotymi włosami.

– Kłamstwa też nam służą. Zapraszam do środka, wejdź do mojego zamku, tam zaczniemy.

– Zostanę tu, gdzie jestem, i tutaj skończymy.

Wyciągnęła miecz i ugodziła go sztychem.

Cofnął się o krok, ale tylko dlatego, że go zaskoczyła, i z zawiedzionym westchnieniem też wyciągnął miecz.

Ani śladu krwi. Jej błąd, przyznała, zresztą możliwy do przewidzenia. Została jedna ostatnia szansa.

– Miecz? Jesteś aż tak naiwna, żeby sądzić, że mieczem, zwykłym mieczem możesz mnie zabić albo choćby drasnąć? Zobacz, jestem cały!

Uniósł ramiona ku niebu, wywołał piorun, ruchem nadgarstka skierował go w dół i ugodził nim skrzydlatego demona, który płonący wpadł w spienione w morze.

Odwrócił się i wwiercił w nią czarne jak onyksy oczy.

– Wysączę z ciebie moce, ale nie będę się spieszył. Poczujesz, jak ich ubywa, aż w końcu zaczniesz błagać, żebym pozwolił ci się wielbić. A kiedy twoje światło ledwo się będzie tliło, zostaniesz moją maskotką. Na jakiś czas.

Wiedziała, że był gotów tak postąpić, gdyby do tego dopuściła. A wtedy spłonąłby Talamh, upadłyby wszystkie światy.

– To nie jest moim przeznaczeniem. Poznałam je. Widziałam je w dymie i w ogniu. Widzę je teraz. Jestem Breen Siobhan O’Ceallaigh. Jestem kluczem, ale ten klucz niczego nie otworzy, tylko zamknie wszystko na zawsze. Na mnie kończy się ród.

Rzuciła w niego mocą, żeby go powstrzymać, i cofnęła się poza krawędź klifu.

Jedno życie za wszystkie, myślała, spadając. Jedno światło za wszystkie światła. Za Talamh i wszystkie światy. To mój wybór.

Usłyszała wściekły okrzyk Odrana i zamknęła oczy.

Keegan w ostatniej chwili złapał ją w locie, mniej więcej pół metra nad zabójczą skałą.

– Do diabła, co ci strzeliło do głowy?

Świat wirował jej przed oczami.

– Tego nie było w wizji – rzuciła, po czym jej głowa opadła mu na ramię. Gdyby nie to oszołomienie, pewnie ucieszyłby ją widok siedzącego za nim Fafla.

– Musiałam... dotrzymać przyrzeczenia. Ja...

Zobaczyła, że Marg zamierza zeskoczyć ze swojego smoka i stanąć przeciwko Yseult.

– Boże, babciu, nie!

– Czas wymierzyć jej sprawiedliwość, a ty musisz się znaleźć poza tym piekłem.

– Nie, nie, zaczekaj. – Skup się, nakazała sobie. Tym razem nie działaj, tylko myśl. Myśl! – Mieczem nie można go zranić. Przynajmniej nie tutaj. Właśnie dlatego nie udaje mi się tego zakończyć.

Zacisnęła dłonie na poplamionej krwią koszuli Keegana. Dobrowolnie ofiarowała swoje życie, ale śmierć nie była jej przeznaczona. Pozostała kluczem.

– Keeganie, tu jest potrzebna buława, nie miecz. Buława to sprawiedliwość. Musisz ją tutaj ściągnąć. Przywołaj buławę. Ściągnij ją.

– Obyś miała rację. – Patrząc jej w oczy, wyciągnął rękę.

W tej samej chwili na dole, pod nimi, Marg zsiadła ze smoka.

– Już wcześniej próbowałaś mnie pokonać – wytknęła jej Yseult – i co? Nie udało się. Teraz mam w sobie więcej mrocznych mocy, a bóg wszystkich stoi po mojej stronie.

Twarcz Marg pozostała twarda jak kamień, a oczy zimne jak lód.

– Już wcześniej próbowałaś mnie pokonać i nie udało się – przypomniała jej Marg. – Teraz mam w sobie więcej mocy, niż ty kiedykolwiek miałaś. I wspiera mnie krew mojej miłości. Kiedyś oddałam miecz i buławę, a ty mimo wszystko odebrałaś mi dziecko.

Mówiąc, krążyła wokół Yseult. Przez portal przelatywało coraz więcej wojowników ścigających niedobitki Odrana.

– Próbowałaś zniszczyć dziecko mojego dziecka, oddając ją i wszystko, czym jest, bogu, dla którego nas wszystkich zdradziłaś. Odebrałaś mi moją miłość, moje serce.

– Ciebie chciałam zniszczyć. – Yseult machnięciem ręką wzniciła płomień. Marg bez wysiłku go odrzuciła, a on, wirując, odleciał niesiony wiatrem. – Sedric mi stanął na drodze – dodała wiedźma.

– Jakbyś go nie widziała.
– Widzę twoją słabość, Mairghread. Widzę, jak skurczyła się twoja moc, jak przygasło w tobie światło. – Yseult, jakby się drocząc, wzniesła kolejny płomień. – Widzę łzy na twoich policzkach. Chętnie je wypalę.

– Spróbuj – zachęciła ją Marg i potrząśnięciem dłoni wywołała wiatr, który zdmuchnął płomień. – Chcesz tak się bawić, żeby zyskać na czasie? Odwagi. Pokaż mi, Yseult, swoje pokłady mroku. Po raz ostatni pokaż wszystko, co masz.

– Z chęcią. – Teraz ona też krążyła w koło, poruszając dłońmi. Jej oczy stały się czarne jak smoła, pociemniało dzielące je powietrze. Marg cierpliwie czekała.

Kiedy ruszyła ściana smoliście czarnego, gęstego, gorącego powietrza, nadal niewzruszona czekała. Patrzyła w błyszczące oczy Yseult, słyszała jej śmiech, gdy sunęło na nią czarne piekło.

Dopiero wtedy Marg wyrzuciła ramiona w górę, uwolniła swój żal, pozwoliła mu wydrzeć się z serca, trzewi, kości i zmieniła go w światło. Oślepiająco białe i czyste jak szkło. Zadrżała ziemia, z morskiej kipieli wystrzeliły spienione grzywacze.

Mrok zderzył się ze światłem z hukiem podobnym do wystrzału tysiąca dział. Marg nawet nie drgnęła.

– Bądź przeklęta, Yseult. To, co wysyłasz, wróci do ciebie w trójnasób.

Gęsta, płonąca czerń owinęła się wokół wiedźmy Odrana. Yseult zmieniła się w słup dymiącej smoły i tylko jej oczy przeświecały przez czerń, ale po chwili one także zniknęły w mroku. Zgładziło ją własne zło. Po wiedźmie została jedynie parująca błotna kałuża.

– Dokonała się sprawiedliwość – oznajmiła Marg, spoglądając na lepka plamę.

– Babciu – szepnęła Breen. – Ona...

– Zrobiła to, co musiała.

– Pospiesz się, Keeganie, nie chcę dzisiaj widzieć ani jednej śmierci więcej.

– Buława musi przeniknąć z jednego świata do drugiego. To nie to samo co przeniesienie filiżanki z kuchni do pokoju.

Chwilę później buława z plaśnięciem drewna o ciało wylądowała w ręce Keegana.

– Obie z Marg na ziemię.

– Nie, nie rozumiesz? To muszę być ja – zawsze musiałam być ja. Bóg przeciwko bogini, krew przeciwko krwi. Sprawiedliwość przeciwko złu. Musisz mi ją dać, Keeganie. Mnie ją powierzyć. Dokonałam wyboru, byłam gotowa oddać życie. Ty je uratowałeś. A teraz mi zaufaj.

– Dobrze. – Przekazał jej buławę. – Ale nie zamierzam cię stracić ani dziś, ani innego dnia.

– Zabierz mnie tam z powrotem. Pozwól mi zrobić z Odranem to, co babcia zrobiła z Yseult. Pozwól mi przekrócić klucz. Zamknąć zamek. Pozwól mi położyć temu kres.

Skierował smoka na czarny zamek. Odran stał na klifie, miotając ogniem i błyskawicami. Kiedy wycelował piorunem w Crogę, Keegan odrzucił ogień na bok. Jednak poczuł siłę uderzenia w swoim ramieniu.

– On jest tutaj silniejszy, *mo bandia*.

– Ja teraz też. Tam, w zamku, czekają niewinni nieszczęśliwcy. Dziecko w klatce, niewolnicy. Musisz ich wydestać.

– Śmierć Yseult zdjęła zaklęcie z łańcuchów. Wszyscy są wolni.

Ufając mu, tak jak on jej, zsunęła się z grzbietu Crogi, a Fąfel zeskoczył za nią. Keegan, mnąc w ustach przekleństwo, poszedł w ich ślady.

– Ach, *taoiseach* i ten wierny pies. Przynosisz mi dary.

– Niech oni cię nie obchodzą – warknęła Breen. – Po twojej wiedźmie została cuchnąca kałuża.

– Wiem. Nie bez powodu wybrałem Mairghread. Jest rozkoszna, kiedy rozgrzewa się w niej moc i rozpala światło. Zrobię z niej swoją niewolnicę, potężniejszą od Yseult czy jej następczyni. Potężniejszą, a do tego chętną, gdy obiecuję zachować cię przy życiu.

– Nigdy więcej jej nie tkniesz. Ani nikogo z tych, których kocham.

– Nie? – Rozbawiony, wycelował palcem w psa.

Breen wyciągnęła rękę i odbiła moc, roztrzaskując ją w pył.

– Nie. – Wszystko potężniało w niej, wokół niej, przetaczało się przez nią. A to, czym w niego cisnęła, zatrzymało go w miejscu. Medalion na jej szyi jarzył się jak czerwone słońce.

Czuła bicie jego serca na swoim sercu. Klucz znalazł zamek, pomyślała. Nareszcie.

– Jestem Odran! – wrzasnął. – Bóg wszystkich. Masz mi złożyć hołd, bo inaczej wszystko spłonie, wszystko szcześnie, wszyscy będą przeklinać twoje imię.

– Nie – powtórzyła i postąpiła krok ku niemu.

– Jestem Breen Siobhan O’Ceallaigh. – Jej oczy pociemniały i nabrały głębi. – Jestem Córką Fey, Córką człowieka, Córką bogów, Dzieckiem demona. Wzywam ją, tę niewinną.

– Ona należy do mnie. – Odran oderwał się od klifu i zrobił krok w przód. Wtedy Breen, płonąca światłem, pchnęła go z powrotem na miejsce.

– Ona nie należy do ciebie. Twoje jest tylko to, co udało ci się zepsuć i zdeprawować. Masz na sobie jej ślad, Odranie Przekłęty. To nie bogowie, którzy cię stręcili, naznaczyli cię stygmatem. Nosisz znamię demona, jej światła, jej niewinności. Wzywam ją w ten najdłuższy dzień roku, dzień światła. Jestem kluczem. Jasny demonie, otworzę zamek, uwolnię cię z okowów, położę temu kres.

– Pochłonę cię, zmiotę ogniem wszystko, co kochasz. – Odran obnażył zęby, które zmieniły się w kły. Podbił powietrze, a wtedy mroczna i jasna moc zderzyły się między nimi. Powietrze zapłonęło i oświetliło zamek czerwoną luną.

– Zaczekaj – polecił Keegan i Breen wytrzymała do chwili, gdy Odran znalazł się tuż przy niej.

– Nie – powtórzyła po raz trzeci.

Otoczyły ją żar i mrok, wezbrały w niej rozpaczliwe krzyki demona, niewinnych i zepsutych. W jednej chwili wszystko w niej się obudziło. Stała się czymś więcej. I dokonała ostatecznego wyboru.

– Jestem wnuczką *taoiseacha*, córką *taoiseacha*, kochanką *taoiseacha*. I ich buławą, ich sprawiedliwością unicestwiam cię na zawsze.

Przycisnęła Smocze Serce do znamienia na jego piersi. Była gotowa przysiąc, że usłyszała chrzęst przypominający chrobot klucza w zamku.

Przerażony Odran otworzył szeroko oczy, gdy poruszyła Smoczym Sercem. W krzyku femona zabrzmiały tysiące rozpaczliwych okrzyków i jęków tych, których pochłonął.

Nie krwawił. Pod dotykiem Smoczego Serca rozpadł się jak popękane puste naczynie. Złote włosy poczerniały i odpadły od zwęglonej czaszki. Skóra pękła jak szkło, a ze szczelin wydobyło się coś mrocznego. Ogłuszający ryk przetoczył się w powietrzu i pod ziemią, aż wprawił skały w drżenie. Nie wiedziała, co z niego wyleciało, w każdym razie to coś w powietrzu zapłonęło jak siarka. Wiatr poniósł słup ognia i kłęby dymu nad morze. Tak spłonął Odran.

Podmuch wichury uderzył Breen i przeszył ją na wskroś, Keegan na wszelki wypadek wolał ją przytrzymać.

– Dokończ to, *mo bandia*. Doprowadź to do końca.

Podniosła głos ponad szum wiatru i trzask piorunów.

– Odranie Przekłęty, przez krew z twojej krwi wypełniam moje przeznaczenie. Jestem Córką, stoję tutaj i przez krew z twojej krwi światy stają się wolne. Demonie, dawno uwięziony, wyjdź na światło i pomóż mi zakończyć długą noc mroku.

Zobaczyła promyk, cień, iskrę.

– Siostró, światło czeka, drzwi otwarte. Gdy wypowiadam te słowa, mrok słabnie. Koniec twojego zniewolenia. Z mojej woli niech tak się stanie.

Iskra zamigotała, rozjarzyła się i wystrzeliła ku niebu. Pojedynczy płomyk rozszczepił się na tysiące iskier i wybuchł fontanną błysków na tle nieba.

Po Odranie zostały jedynie kości. Kości zmieniły się w poczerniały popiół, a popiół na zawsze zniknął ze wszystkich światów.

Breen cofnęła się i oddała buławę Keeganowi, a kiedy on uderzył nią o skałę, odgłos poniósł się po bezkresie.

– Dokołało się. – Ujął dłoń Breen i mocno uściśnął. – Nie pocałuję cię w tym miejscu.

Wciąż przepełniona mocą, zaśmiała się chrapliwie.

– Już to słyszałam, odpowiem więc tak samo jak wtedy. Wracajmy do domu, Keeganie. O mój Boże, wracajmy do domu.

Podsadził ją na Crogę, poczekał na Fafla. Wzniósł się nad klify i zatoczył nad nimi krąg.

– Wszyscy przetrzymywani w zamku są wolni! Ty i ja, tu i teraz zniszczymy to gniazdo zła. Dzieci Fey! – zawołał. – Walczyliście, krwawiliście, staliście po stronie światła. Zobaczyliście koniec Odrana, a teraz będziecie świadkami, jak płoną i zapadają się mury Czarnego Zamku. Świat zostanie oczyszczony, a portale do tego miejsca na zawsze pozostaną zapieczętowane. Żadne życie, ani jasne, ani mroczne, tam się nie przecisnie.

Uniósł ramiona.

– Breen Siobhan, złóżmy nasze ręce. Twoją moc z moją.

Połączyli dłonie i patrzyli, jak Czarny Zamek rozpada się w gruzy.

Epilog

W ten najdłuższy dzień roku rozdzwoniły się dzwony w całym Talamh, od Stolicy po Daleki Zachód. Breen słyszała je już, kiedy Keegan przelatywał przez portal. Wieść się rozniosła.

Keegan wysadził ją w lesie.

– Zostałbym z tobą, ale...

– Obowiązki. Po tamtej stronie.

– Całość musi zostać oczyszczona i zapieczętowana. Kiedy tylko się z tym uporam, znajdę cię. Mam ci wiele do powiedzenia.

– Dobrze. Ja też chcę ci wiele powiedzieć. Posłuchaj, zanim tam wrócisz, chcę ci podziękować, że mnie złapałeś.

– Serce mi zamarło, kiedy zobaczyłem, jak spadasz. Po prostu cofnęłaś się, jakbyś... Bałem się, że nie zdążę. – Pokręcił głową. – Ha, dokonało się. Dokonało, a ja cię odnajdę. Przywołaj swojego smoka. Walczył dzielnie ze wszystkimi. Zobacz, Marco nadjeżdża, i to samo o nim można powiedzieć.

– Marco.

Z radości i ulgi o mało nie osunęła się na kolana. Pobiegła mu naprzeciw. Zeskoczył z konia, poderwał ją z ziemi i wirował z nią w objęciach.

– Byłem przerażony i cholernie zaskoczony. – Postawił ją na ziemi. – Uśpiłaś mnie!

– Musiałam. Myślałam... – Położyła dłoń na jego boku. – Pokaż.

– Nie ma czego oglądać. Nie zobaczysz nawet blizny. Dagmare uprzedził, że przez jakiś czas mogę odczuwać ból w tym miejscu. Mówił, że było ze mną kiepsko. Uratowałaś mi życie.

– Musiałam. Jesteś moim życiem. – Objęła go. – Ale Sedric...

– Wiem, wiem. – Tłumiąc szloch, oparł głowę na jej ramieniu. – Przynieśli go, jak już byłem przytomny. Brakuje mi słów. Więznę mi w gardle. Pokochałem go, szczerze go kochałem.

– Straciliśmy dziadka, Marco. Ale będziemy blisko babci. Będziemy ją wspierać.

– To jasne jak słońce. – Otarł oczy wierzchem dłoni i obejrzał się na wodospad. – Naprawdę już jest po wszystkim?

– Naprawdę. Nie poczułeś, że to koniec?

– Widziałem, co zrobiłaś, i zobaczyłem to coś, co z niego wyleciało. Ohyda.

– Zło zawsze jest ohydne, niezależnie od postaci, jaką przybiera.

– Dobrze to ujęłaś. A potem pojawiła taka świecąca rzecz i rozprysła się w coś w rodzaju fajerwerków. A Odran po prostu się rozleciał i zginął. Brian mówił, że będzie pomagał w sprzątanii. Już z nim dobrze. Rany nie były głębokie. Keegan go osłonił – opowiadał po drodze Marco.

– Tak? To część krwi na jego koszuli należała do Briana?

– Odparował kilka ciosów i ruszył dalej. Posłuchaj tych dzwonów. Najcudowniejsza muzyka. A co powiesz na to, żebyśmy spłukali z siebie brud, wrócili do chaty i napili się trochę wina. Mówiąc „trochę”, mam na myśli całe litry.

– Jestem za.

– Może wsiądziesz? Moja wierna Alainn uniesie nas oboje i Fafla też. Naszego dzielnego psa wojownika.

– Przywołam Lonarcha. On też jest wojownikiem.

– Będę jechał równo z tobą. Dwa loty na smoku? Wystarczy człowiekowi na całe życie.

Sporo czasu minęło, zanim mogli doprowadzić się do porządku. Z tyloma osobami trzeba było porozmawiać, tyle osób uściskać, pocieszyć.

No i była Marg.

Breen mocno przytuliła babcię.

– Może pojedziesz do chaty razem z nami? Mogłabyś u nas pomieszkać kilka dni, zostać jak długo zechcesz. Nie musisz wracać samotnie do domu.

– Och, *mo stor*. Nie będę czuła się samotna. Sedric, jego serce, będzie ze mną. I ta świadomość daje mi pocieszenie.

– Babciu, Yseult tak szybko się pojawiła. Tak niespodziewanie.

Smutne oczy zapłonęły ze złości.

– Zaatakowała od tyłu jak tchórz.

– Widziałam, co zrobiłaś, jak ją załatwiłaś. Nie sądziłam, że coś takiego jest możliwe.

– Od tyłu, jak tchórz – powtórzyła Marg. – I odebrała mi miłość mojego życia, bo on zawsze nią był i będzie. Uderzyłam w tę wiedźmę tym, czym ona była, czym zdecydowała się zostać. Zabiła ją jej

własna podła moc. Nic więcej, nic mniej. Jedźcie już. Posiedzę z Finolą, popilnuję dzieci. Popatrzę, jak bez strachu bawią się w pełnym słońcu.

– Breen, dokonałaś tak wiele dla swojego taty, dla mnie i Sedrica, dla Fey i dla siebie. Pamięć o tym będzie trwać wiecznie.

– Czy możemy pochować prochy Sedrica obok taty?

Marg przytuliła policzek do jej policzka.

– Byłby szczęśliwy, że o to zapytałaś. Tak, tak właśnie postąpimy. Bo oni darzyli się miłością jak ojciec i syn. Teraz jedźcie do siebie, a potem wróćcie tutaj i zrobimy to, czego oni obaj by chcieli.

– Czyli?

– Będziemy tańczyć w słońcu, aż najdłuższy dzień dobiegnie końca. Noc też przetańczymy.

Gdy Marco poszedł odprowadzić klacz na farmę, pojawiła się Morena. Przyjaciółki rzuciły się sobie w ramiona.

– Widziałam sam koniec. Widziałam, jak go załatwiłaś, i to mi wystarczyło. Jesteś ranna?

– Nie, skończyło się na paru zadrapaniach i siniakach. A ty?

– Tak samo. Wszystko się zagoi. Bardzo przeżywam śmierć Sedrica. Nie dociera do mnie, że go nie ma. On był dla mnie jak członek rodziny.

– Wiem. Harken?

– Tylko draśnięty. Przysięgam na wszystkich bogów i boginie, że bardzo dzielnie walczył jak na farmera. Tyle razy straciłam go z oczu. To było straszne. Ale więcej już nie będziemy się bać. Będziemy żyć tak, jak chcemy. Planuję szóstkę dzieciaków. Przynajmniej w tej chwili tak myślę. – Obejrzała się. – Jest teraz w stajni. Dogląda młodej mamy i źrebaczka. Dostał na imię Solas na cześć tego dnia. Solas, czyli światło.

– Bardzo trafione imię. Idę się umyć, ale jeszcze wrócę.

– Mnie też przyda się kąpiel. Pójdę wyciągnąć mojego małżonka ze stajni, niech się wykąpie ze mną. Czas pomyśleć o tych dzieciach.

Wrócili z Marco do chaty. Fąfel popływał w zatoce, ona długo kąpała się pod prysznicem. Przy okazji odkryła, że zadrapań i sińców ma więcej, niż poczuła w ferworze walki, i spędziła jakiś czas na łagodzeniu urazów.

Potem ubrała się w ładną letnią suknię i uważnie obejrzała w lustrze; lekka sukienka w jasnym odcieniu błękitu, kolczyki od Keegana подарowane z zaskoczenia, śliczne i niepraktyczne sandały z pasczków.

– Nie wyglądasz jak wojowniczką – powiedziała do swojego odbicia. – I nie czujesz się nią. Obyś nigdy więcej nie musiała wcielać się w tę rolę.

Zeszła na dół i zobaczyła Keegana. Siedział na tarasie zapatrzony na zatokę, Fąfel spał u jego nóg. Na stoliku stała otwarta butelka wina. Keegan trzymał kieliszek w dłoni, drugi czekał na nią.

Zauważyła, że się nie przebrał, nadal był w poplamionym krwią ubraniu.

– Pomyślałem, że chętnie napijesz się wina i posiedzisz w ciszy, zanim tam wrócimy. Mnie przyda się chwila wytchnienia z daleka od tłumu.

– Mnie też to odpowiada.

– Marco już się wystroił i poszedł na drugą stronę. – Kiedy obeszła stolik, spojrzął na nią i podniósł się z krzesła. – Ślicznie wyglądasz.

– Dzięki. Potrzebowałam radykalnej zmiany. Może spalę wszystko, co z siebie zdjęłam.

– Powiniennem się umyć i przebrać. Nie pomyślałem.

– Byłeś zajęty. – Zdziwiona, uniosła brwi, kiedy wysunął dla niej krzesło. – Dzięki. I tak jest po prostu idealnie.

– Waleczny i Wierny Fąfel, walczył dziś odważnie i wiernie. A teraz jest zmęczony.

– Znam to uczucie.

– Każda strata boli, ale Sedric... jego śmierć dogłębnie mną wstrząsnęła.

– Nami wszystkimi.

– Taak. Wybacz, że muszę cię prosić, abys wróciła ze mną na drugą stronę, jednak to ważne. Na razie moja matka nad wszystkim czuwa, ale to ważne.

– Nie ma problemu, ja chcę tam przejść, tylko przyda się nam chwila oddechu. Chcę wrócić, być tego częścią. Chcę towarzyszyć babci, jeżeli tego zapragnie, zobaczyć nowego źrebaka.

– Jest śliczny.

– Widziałam go w swojej głowie. Podobny do ojca.

– Merlin miał być ogierem rozplodowym i spełnia się w tej roli.

– Chcę zobaczyć się ze wszystkimi, chcę słyszeć muzykę, włączyć się w zabawę. Chcę widzieć, co dalej będzie się działo. – Wysączyła parę łyków wina. – Co będzie dalej. To najważniejsze.

– Cały Talamh będzie świętować. W ciągu tego tygodnia musisz pojechać ze mną do Stolicy. Chcą cię tam zobaczyć. Uhonorować.

– Uhonorować.

On naprawdę sięgnął ponad stolikiem po jej dłoń.

– Breen, wiem, że tak jak ja za tym nie przepadasz, ale to ma dla mnie ogromne znaczenie. Zobaczysz, o tym dniu, o tobie będą powstawać pieśni i opowieści. O tobie i o końcu Odrana. Nareszcie otwiera się szansa na życie w pokoju.

Podniósł się, przeszedł kilka metrów i wrócił z powrotem do stolika. Wyraźnie go coś nurtowało.

– Cofnąłeś się, zrobiłaś krok poza krawędź klifu.

– To była świadoma decyzja. Jedyna i słuszna.

– Aisling mówi, że wszystko wiedziałaś, że zobaczyłaś to w pierwszą noc festynu. Finian częściowo oglądał to z tobą. I nic nie powiedziałaś.

– Keeganie, co miałam powiedzieć? Tobie, Marco, babci i pozostałym? Gdzieś głęboko wiedziałam, że w końcu do tego dojdzie. Cokolwiek próbowalibyście zrobić, wszystko prowadziło do tamtej chwili i tamtego wyboru.

– Mogliśmy spróbować zwabić go tutaj.

– Nie. Gdybym podjęła inną decyzję, nigdy nie miałabym spokojnego życia. Bez obawy o przyszłość. – Potarła nadgarstek. – Nigdy nie zdecydowałabym się na dziecko, zawsze istniałoby ryzyko, że on będzie próbował je porwać.

– Zrobiłaś to, co uważałaś za konieczne, chociaż nie jesteś zadowolona, kiedy ja robię coś, co muszę, nie uprzedzając cię o tym.

– Masz rację. Ale proszę, uwierz, naprawdę wiedziałam, że muszę to zrobić w taki sposób.

Milczał przez chwilę.

– W porządku.

– I sądzę, że właśnie dlatego znalazłeś się tam, żeby mnie złapać.

– Akurat ten argument mi odpowiada. W takim razie wszystko między nami wyjaśnione.

– Chyba tak, poza... Co dalej, Keeganie? Muszę wiedzieć, czego chcesz, jakie są twoje oczekiwania. Jeżeli ma być między nami tak jak dotychczas, to w porządku, skoro... Nie, mnie to nie wystarcza. Chcę więcej.

– Więcej czego? Więcej niż co?

– Więcej niż to, co jest. Chcę obietnic, planów, deklaracji i tego, co z nimi się wiąże.

Patrzył na nią zdziwiony.

– Przecież na oczach wszystkich dałem ci te rzeczy na uszy. A ty je przyjąłeś.

– Tak, raz jeszcze dziękuję, ale...

– Nie musisz dziękować. Wzięłaś je, nosisz, a więc ustalone.

– Co ustalone?

– Nie daje się takich rzeczy – znaczy szafirów – na oczach wszystkich komuś, z kim się romanuje czy sypia, czy jakkolwiek to nazwiesz, jeżeli te osoby się nie zadeklarowały.

– Słucham?

– Przywiozłem te kamyki dla ciebie i podarowałem je oficjalnie, bo pomyślałem: „Nie, nie będę czekał do po wszystkim, to ona ciągle mówi o po wszystkim” – Opuścił pięść na stół, co wprawilo kieliszki w drżenie. – „Zaręczymy się świetle dnia i nie po wszystkim, ale przed, bo wierzymy, że będziemy razem”, tak jak razem w tej chwili tutaj siedzimy. Teraz, po wszystkim.

Podniosła kieliszek i piła wino drobnymi łykami. Potem delikatnie odstawiła kieliszek na blat.

– Chcesz powiedzieć, że to są kolczyki zaręczynowe?

– A czemu nie? – Był wyraźnie zniecierpliwiony. – W Talamh obrączkę daje się na ślubie. A ty częściowo należysz do tego świata. Dałem ci kolczyki, ty je wzięłaś i wszyscy to widzieli. Sprawa zamknięta.

– No nie, nie wierzę. – Wyprostowała się. – To jakiś obłąd.

Fąfel otworzył oczy i zdecydował, że jednak bezpieczniej będzie zostać pod stołem.

– Och, bogowie, chcesz coś innego? Świetnie, zatrzymaj kolczyki i powiedz, co chcesz dostać, a ja ci to dam.

– Nie oświadczyłeś się. Nie, nie wierzę – prychnęła, kiedy znacząco pokazał na jej uszy. – Nie poprosiłeś mnie o rękę. Nigdy nie powiedziałaś, że mnie kochasz albo że chcesz ze mną spędzić życie.

– Czy dałbym ci te szafiry przy świadkach, gdybym cię nie kochał, nie miał poważnych zamiarów?

– Ja chcę usłyszeć cholerne słowa. Mam prawo je usłyszeć i jeżeli się nie przełamiesz i ich nie wypowiesz... – Sięgnęła palcami do zapiec kolczyków.

– Proszę cię, nie rób tego, nie zdejmuj ich. To rozdarłoby mi serce, a ono dzisiaj już dość wycierpiało. – Wstał i przytrzymał jej dłonie.

– Breen, popatrz na siebie teraz, po tym wszystkim, czego dzisiaj dokonałaś. Zobacz siebie w tej uroczej sukience i tym czymś na nogach, czego żaden rozsądny człowiek nie nazwie butami. Zobacz siebie z gorącymi łzami w oczach, którym złość nie pozwala się stoczyć. – Podniósł jej dłonie do ust. – Kochasz mnie, ja to widzę, czuję i wiem. Ale nie usłyszałem od ciebie tych słów, Breen Siobhan.

– Ja...

– Bo ty pierwsza chcesz i potrzebujesz je usłyszeć. I to jest w porządku. Pragnę tylko ciebie. I myślę, że nikogo nie pragnąłem tak naprawdę, w sercu, bo zawsze wiedziałem, że kiedyś się zjawisz. Kocham cię, jaka jesteś. To był dla mnie trudny czas, bo wiedziałem, że może dojść do tego, co dzisiaj o mało się nie stało, a ja nie zjawię się w porę, żeby cię złapać. Rozumiesz?

Znowu przycisnął dłonie Breen do ust, wpatrując się w jej oczy.

– Kochać cię i nie spędzić z tobą życia? Żyłem rozdarty pomiędzy miłością i poczuciem obowiązku. Złożyłem przysięgę.

– Wiem. – Jej gniew rozwiął się jak mgła na słońcu.

Takiego go kochała. Za to, że rozdarty pomiędzy miłością i poczuciem obowiązku nigdy, przenigdy nie zapomniał, że złożył przysięgę. Nie Talamh. Nie Fey.

I nie jej.

– Mówiłaś o dzieciach. – Przytulił czoło do jej czoła. – Jak moglibyśmy sprowadzić je na ten świat i postawić jemu na drodze?

Zamknęła oczy, wdzięczna, że on to samo czuł.

– A jednak dzisiaj chciałem, żebyś wiedziała, żeby wszyscy się dowiedzieli. To mój wybór. Wybieram ciebie, bo masz moje serce, i pragnę jedynie, żebyś mnie wybrała i w zamian oddała swoje. Przysięgam, wierzyłem, że już to się stało, kiedy namówiłem cię do założenia kolczyków.

Miała swoją miłość, myślała zdumiona. Tu, przed sobą. Miała miłość, szansę, wybór.

– Wybrałam cię w tamtą noc, kiedy leżeliśmy w twoim łóżu, łóżu *taoiseacha* z freskiem Talamh nad głową. Wybrałam Keegana Byrne. Wybrałam *taoiseacha*. Wybrałam cię za wszystko, kim jesteś, a pokochałam wcześniej.

– Oboje kochamy. I ty, i ja. – Znowu ucałował jej dłonie. – Teraz to wiemy na pewno. Pytam cię, czy chcesz dzielić ze mną życie?

– Tak, możesz być tego pewien.

Chciał ją przytulić, ale w ostatniej chwili się cofnął.

– Co takiego?

– Jestem oblepiony krwią, strzępami ciała i tylko bogowie wiedzą, jakim jeszcze brudem.

– Nieważne.

– Ważne. Ach, niech to. – Machnięciem dłoni zmienił to, w czym był, na strój, który w jego mniemaniu nadawał się na szczególne okazje. Do czystej koszuli i spodni dołożył kamizelkę. – Teraz lepiej, prawda?

Porwał ją w ramiona i mocno pocałował w usta.

– Keeganie, podoba mi się to, co nas czeka.

– Tyle czasu przed nami. – Czule muskał wargami jej czoło. – Całe życie. Tutaj mamy chatę, w której będziesz pracowała, a obok naszych wspaniałych sąsiadów. W Talamh rodzinę, obowiązki i magię. I mamy pokój. Będę kochał cię długo i mocno, Breen Siobhan.

Obrócił się w koło z nią w ramionach. Fąfel nareszcie wyszedł spod stolika, stanął na tylnych łapach i zatańczył.

Pod koniec najdłuższego dnia w roku, po wygranej bitwie, ona, dziecko dwóch światów, stała z nim w Talamh w mleczyńskim świetle dwóch księżyców.

Otwarta na to, co przyniesie czas.